

PRZEGLĄD POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

ROK TRZYNASTY. — TOM XLIX.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1896.



KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1896.

Errata:

Str. 7 w. 11 z góry, zamiast:	dworu angielskiego,	czytaj:	dworu francuskiego
Str. 8 w. 26	" " w Subkowie,	"	w Sułkowie
Str. 214 w. 31	" " Weichelmünde i Tahrwasser,	"	Weichselmünde i Fahrwasser
Str. 218 w. 2	" " Sunot	"	Junot
Str. 218 w. 3	" " Houton	"	Mouton
Str. 218 w. 3	" " Droceot	"	Drauot
Str. 218 w. 3	" " Lamaras	"	Lemarris
Str. 218 w. 4	" " Catarelli	"	Cafarelli
Str. 218 w. 5	" " Flahont	"	Flahout.
Str. 219 w. 13	" " Fonrevoy	"	Fourevoy

Z PAMIĘTNIKÓW JENERAŁA CHŁAPOWSKIEGO ¹.

I. Wejście Francuzów do Poznania w r. 1806.

W listopadzie roku 1806-go przemaszerowały wojska francuskie do Poznania. Pierwszy regiment strzelców konnych pod dowództwem pułkownika Exelmans, wsławionego później jenerała, nasamprzód wszedł pod wieczór do miasta. Szwadron pierwszy pospieszył kłusem przez całe miasto z dobytymi pałaszami, zaraz za Wartą rozstawić placówki na drodze warszawskiej i toruńskiej, drugie spokojnie stanęły na rynku, gdzie część ludności się zbiegła i wiwatami ich witała. Dlatego mówię, że część ludności, ponieważ i wtedy połowa była złożona z obcych. Przodkowie nasi podczas prześladowań religijnych w Niemczech przyjmowali, ze zwykłą tolerancją naszą, przybyszów stamtąd, a po rozbiorze kraju napłynęło ich jeszcze daleko więcej. Po utworzeniu Księstwa Warszawskiego wyniosło ich się znów dużo, zwłaszcza urzędników, ale w roku 1806 stanowili oni wraz z Żydami jak i teraz połowę ludności Poznania.

Szwadrony francuskie na rynku zsiadły z koni i po rozmowach z mieszkańcami, cisnącymi się do nich, pomiarkowały, że są w przyjaznym kraju, o czem już po kilkudniowym marszu po Wielkopolsce przekonali się byli. Rozkwaterowali tedy spokojnie. Jenerał Dąbrowski przybył w dwa dni potem, zastał w mieście już wielu obywateli przybyłych ze wsi, uformował

¹ Pamiętniki te mają być wkrótce w całości ogłoszone drukiem.

zaraz gwardyę honorową dla przyjęcia cesarza Napoleona, złożoną ze stu koni, oddał komendę nad nią Umińskiemu, którego znał z wojny Kościuszkowskiej. Był on bowiem, mając 15 lat, adjutantem przy jenerale Madalińskim.

Przed przybyciem cesarza gwardya honorowa mustrowała się codziennie na polu, od strony Buku za wiatrakami, ćwiczyła się w obrotach plutonowych i szwadronowych. Umiński zrobił mnie adjutantem szwadronu i instruktorem, wiedział bowiem, że cztery lata służyłem w dragonach, którzy naówczas pełnili służbę jazdy i piechoty. Była to formacya pierwiastkowa dragonów, skąd też ich nazwa, którą później zmienili na lekką jazdę.

Będąc w służbie pruskiej, tylko sześć tygodni w roku podczas manewrów jesiennych bywałem przy regimencie, resztę czasu odbywałem nauki w Berlinie w szkole wojennej, dawane wtedy przez oficerów artyleryi i inżynieryi, z których kilku później się wslawiło, jakoto jenerał Sehornhorst, wówczas kapitan i nasz profesor, a później twórca obrony krajowej (*Landwehr*). Moim zaś nauczycielem, czyli raczej korepetytorem był porucznik Perlitz — z nim powtarzałem to, co na kursie było wykładanem. Służyłem od roku 1801 do 1805; w tym ostatnim roku, gdy ów regiment dostał rozkaz marszu nad Ren, ojciec mój, nie chcąc żebym przerywał nauki, wyrobił u komenderującego nim jenerała Brüsewitz wymazanie moje z kontroli i pozostałem w Berlinie aż do wejścia Francuzów roku 1806.

Stąd to Umiński użył mnie, choć najmłodszego może z gwardyi honorowej, do uczenia mustry, której sam wtedy nie umiał. Chociaż był adjutantem przy Madalińskim, w liniowym pułku żadnym nie służył. Nauczył jej się dopiero później. Piesza służba bardzo dobrze poszła z tak chętnymi obywatelami, z jakich była złożona gwardya honorowa, ale konna była bardzo trudną, gdyż wszyscy mieli konie za żywe do szeregu, i równania się psuły. Do szeregu należy unikać za żywych koni, zawsze one się dosyć ożywią połączone razem.

Przyjemne to wspomnienie, że w tej gwardyi służyli: Suchorzewski, Morawski, Tomicki, Ziemecki, później nasi jenerałowie. Zjeżdżali się także jeden po drugim z Włoch nasi legionieści,

jenerałowie: Kosiński, Sokolnicki, Downarowicz, Sierawski, Muchowski, Hauke, Cedrowski etc. etc.; serdeczne były ich powitania z nami.

Pierwsza dywizya piechoty francuskiej z korpusu Davoust, która przemaszerowała, dziwne na mnie zrobiła wrażenie. Wyjechało nas naprzeciw niej kilkunastu, spostrzegliśmy o milę od miasta całe pola okryte pojedynczymi żołnierzami, w surdutach różnej barwy, nieśli wszyscy broń kolbą do góry i szukali suchych przepraw po polach, na drodze bowiem było błoto po kolana.

Przed samem miastem, koło wiatraków, uderzono w bębny, zbiegli się wszyscy i stanęli w kolumnie szeregami w mgnieniu oka, pozwijali płaszcze, popoprawiali kapelusze na głowie (cała liniowa piechota jeszcze wtedy nosiła kapelusze trójrogate), wojsko jak najregularniejsze się zjawilo, maszerując z muzyką na czele, krokiem żywym, podwójnym, do miasta. Stanęli około rynku, broń w kozły złożyli, dobyli szczoteczek, trzewiki pochedożyli z błota i żwawo bawić się pomiędzy sobą zaczęli, jak gdyby zamiast 150 mil, jedną tylko milę marszu byli odbyli.

Przypatrywałem się z zdumieniem tej piechocie, złożonej z tak ochoczych ludzi, dotąd niezwycięzonych, wszyscy byli jakby do tańca gotowi. Nie taką kilka tygodni temu widziałem wychodzącą piechotę z garnizonu. W tej każdy żołnierz wyższy o głowę od tamtego, barczysty, daleko silniejszym się wydawał, ale sztywny, nieruchawy, uszedłszy pół mili, skoro kolumna stawała, pokładał się do spoczynku. Z historyi wojen wiedziałem, że piechota bitwy wygrywa, a najczęściej ona je rozstrzyga, a lubo niekiedy jazda je także decyduje, to zazwyczaj po wygranej dopiero korzyści odnosi. Przypatrując się tej dzielnej i tak lekkiej francuskiej piechocie, zrozumiałem to lepiej i utwierdziłem się w myśli zaczęcia służby mojej na wojnie w tej broni.

Przyszła nareszcie wiadomość, że cesarz Napoleon przybywa do Poznania. Wymaszerowała zaraz cała nasza gwardya honorowa, i miała stanąć za Międzyrzeczem, aby przyjąć go na granicy polskiej, ale pod Bytyniem, gdzieśmy pod wieczór stanęli, cesarz nadszedł w nocy i kazano nam go eskortować, przed i za kareta; strzelcom konnym gwardyi, to jest pikiecie

z 25 ludzi i jednego oficera złożonej, która go dotąd eskortowała, kazano maszerować za nami.

Noc ciemna była i tylko turban biały na głowie mameluka Rustana, który siedział na koźle karety cesarskiej, widać było. Z jenerałem Dąbrowskim rozmawiał cesarz z karety podczas przeprzegu i po kilka razy w drodze, ponieważ po wielkiem błocie, wolno tak ciężkim powozem jechać musiano.

Stanąwszy w Poznaniu w gmachu pojezuickim, kazano nam 25-ciu gwardzistom zostać na służbie i pokój dobry na dole nam przeznaczono.

Nazajutrz około 10-tej z rana, cesarz siadł na konia, cała gwardya nasza już czekała na podwórzu, kazano czterem ruszyć naprzód przed cesarzem, a reszcie za nim. Cesarz prosto przez most drogą ku Warszawie, po największem błocie, galopem dojechał do Swarzendza, za miasteczkiem skręcił w prawo w pole, wyszukiwał pagórki, na których zatrzymując się, przypatrywał się naokoło otwartym polom, jakby armię przed sobą wkóło siebie widział. Ponieważ byłem najczęściej przy czterech naszych na przodzie, mogłem mu się dobrze przypatrzeć, kiedy się zatrzymywał; zdawało mi się, że go już dawniej widziałem tak portrety jego były podobne, zwłaszcza te, które go przedstawiały na koniu. Trudno było jednak kolor oczu rozpoznać, tak ciągle w ruchu były, że niepodobna było im się przypatrzeć. Zdawały mi się wówczas ciemne, a to zapewne dlatego, że głęboko osadzone; później, będąc bliżej i często z nim rozmawiając, widziałem, że były bardzo jasne. Mówiąc, nie patrzył w oczy temu, z kim mówił, tylko czasem spojrzał, a patrzył na dół lub na boki.

Powróciliśmy do miasta około 5-tej wieczorem.

Drugiego dnia wyjechał konno około południa i kazał się prowadzić tak, żeby zobaczyć „pałac polski“. Ruszył zaraz za miastem drogą ku Stęszewu galopem i nie stanął aż w Konańszewie.

Trzeciego dnia, 23-go grudnia, kazał jechać w przeciwną stronę. Najprzód około Winiar, tam stawał kilka razy i okolicę przypatrywał, potem polami i przez błoto, w którym ledwie że z ko-

niem nie uwiązał. Eskorta za nim przejechać już nie mogła, bo nasze konie, koń cesarza i kilku jenerałów, którzy przejechać nie mogli, rozrobiły błoto do nieprzebycia ¹. Tak z nami i dwoma szaserami francuskimi zajechał do Radojewa, przewiózł się na promie do Owinsk i tam klasztor próżny oglądał. Pytał się, jakim sposobem te dobra teraz do Treskowa należą? Mógłbym zaspokoić jego ciekawość, bo przypadkiem znałem tę całą rodzinę. Ciotka moja, pani Engeström, Chłapowska z domu, w ich domu w Berlinie mieszkała, a ja zawsze w niedzielę bywałem u niej na obiedzie. Ciotka moja przyjęła w 1804 r. bardzo grzecznie w Berlinie marszałka Duroc, który przybywszy tam w nadzwyczajnem poselstwie, z oznajmieniem koronacyi cesarza, znalazł wszędzie, oprócz w domu mojej ciotki, zimne przyjęcie. Francuzów w Berlinie nie lubiano, a jeszcze ich się nie bano. Marszałek Duroc przypomniał sobie moją ciotkę i jej grzeczne przyjęcie, zapewne o tem cesarzowi powiedział, i może być, że dla tego, gdyśmy powrócili do Poznania, cesarz kazał mnie zawołać

¹ Epizod ten inaczej opisuje baron Bourgoïn w swych pamiętnikach i nie musiał się tak prosto odbyć, skoro stał się legendą w armii francuskiej.

Episodes militaires et politiques, par Le Baron Paul de Bourgoïn, ancien ambassadeur en Espagne. Paris 1864, I. Partie, p. 59.

„On me raconta depuis à Varsovie qu'un jour l'Empereur Napoléon s'avancait à cheval, suivi de son état-major, ayant à ses côtés un jeune gentilhomme polonais, le comte Chłapowski, appartenant aux premières familles de la Posnanie. Il arriva au bord de ce qui lui paraissait une prairie verdoyante et voulut y entrer pour la traverser. Il fut soudainement arrêté par son jeune guide, qui lui signale cette prairie couverte d'herbages comme un marais boueux, profond et caché sous une mince couche de terre végétale. L'Empereur impatient d'avancer ne voulut tenir aucun compte de cet avertissement; mais l'intrépide Polonais le devança en s'élançant, afin de montrer quel était le péril au quel on refusait de croire.

„Le dévouement de le jeune homme parût lui être fatal.

„A peine eut-il fait dix pas, que la couche de gazon s'ouvrit, un gouffre béant apparut, le cheval et le cavalier s'affaissèrent dans une fange liquide; le cavalier seul put être sauvé avec une peine inouïe.

„Pour le récompenser de ce trait de courage, si digne de le noble nation, qui combattait alors à nos côtés, l'Empereur le nomme, peu de temps après, son officier d'ordonnance“.

i sięść do obiadu obok siebie ¹. Oprócz mnie był Berthier, szef sztabu całej armii; zajmował miejsce naprzeciw cesarza. Stolik był tak mały, że tylko jeszcze jedna osoba mogłaby się była naprzeciw mnie zmieścić, a z tej strony jeden tylko służący stawał na stole potrawy i talerze. Obiad nie trwał dłużej, jak mi się wydało, jak pół godziny. Przez te pół godziny cesarz pytał się jednak o bardzo wiele rzeczy. Szybko mi najprzód zadawał pytania, jak gdybym mu zdawał egzamin. Wiedział już, bo po drodze był mi się pytał, że służyłem w wojsku pruskim, więc dowiadywał się o nauki i o profesorów artylerji, o jej składzie i ogółem o całej armii pruskiej; nareszcie zapytał, ilu może być Polaków w korpusie, stojącym jeszcze w Prusach Książęcych za Wisłą, pod jenerałem Lestocq. Na to zapytanie odpowiedzi dać nie mogłem, alem wspomniał, że w tym korpusie musi być najwięcej Litwinów, ponieważ w Litwie Pruskiej się rekrutował, a do Prus należało wtedy, po ostatnim zaborze, całe Augustowskie. Również nadmienilem, że na Litwie dziedzice tylko Polacy, a lud Łotysze.

O Litwie nic nie wiedział, ani tego nawet, jakim sposobem z Polską się połączyła. Musiałem mu to opowiadać. Wogóle naszej historii mało co znał, a pruską, jak mi się wydawało, tylko od Fryderyka II.

Zdziwiło go, gdy mu powiedziałem, że w korpusie pruskim, stojącym pod Królewcem, nie Polacy, ale Litwini i Żmudzini służą, że ci, choć po polsku mało mówią, jednak są, jak i w całej moskiewskiej Litwie, do Polski przywiązani. O stanie chłopów także się pytał. Od ojca mego wiedziałem, że za polskich czasów chłopci nie byli tak obciążeni pańszczyzną. Rolnictwo było prostsze, nie tyle, prócz żniw, rąk wymagało. Ale gdy rząd pruski kraj zabrał, rozdał wszystkie dobra duchowne, koronne i starostwa swoim Niemcom. Ci, ludzie bardzo zaradni, powiększyli pańszczyznę, więcej dni roboczych i wiele innych posług nowych żądając. Nasi obywatele, obarczeni długami po ostatnich

¹ *Gazeta Poznańska* doniosła, że syn byłego starosty Kościańskiego proszony był na obiad do cesarza.

Przyp. wyd.

wojnach, zapatrując się na nowoprzybyłych panów, poczęli częściowo przynajmniej ich naśladować.

Słuchał cesarz bardzo cierpliwie tych wszystkich szczegółów, nareszcie o Żydów się zapytał. Myślał, że oni z Azji do nas przybyli. Odrzekłem, że przeciwnie od Zachodu, wtedy kiedy ich niemal z całej wypędzono Europy, bo przodkowie nasi zawsze największą mieli dla wszystkich wyznań tolerancję.

Opowiadać sobie obszernie kazał, jak Prusy Królewieckie czyli Książęce elektorom brandeburskim się dostały. Nie znałem jeszcze Francuzów, więc nie wiedziałem, jak mało ich interesują rzeczy obce i dlatego anegdoty dworu angielskiego wszystkie na pamięć umieją, a z historyi obcych krajów bardzo mało co znają.

Także łaskawie zapytał się o rodziców moich, a dowiedziawszy się, że matka moja była z Krakowskiego, pytał się o ten kraj i o uniwersytet, o którego stanie ówczesnym mało co wiedziałem, tylko o założeniu, o dawnym wpływie jego i o sporze między Jezuitami a Akademią krakowską opowiedziałem.

Wstał od stołu po kawie, pochwalił, że wina nie piłem, wskazał na butelkę, że on zawsze pół butelki tego samego (Chambertin) pije, ale dodał, że to złe przyzwyczajenie. Potem przechodząc się po pokoju, jeszcze raz o organizacyi wojska pruskiego mówił. Znał ją dobrze, tylko się jeszcze pytał o szkoły wojskowe, jak daleko w matematyce dochodzą. Dziwił się, że na przecięciach krążkowych kończą; a o geometryi wykresnej czy wiedzą? — ja sam naówczas nie wiedziałem, dopiero w Paryżu później ją przeszedłem.

Tegoż samego wieczora, na sali, obok pokoju gdzie był obiad, zebrało się wiele dam, które ze wsi były poprzyjeżdżały, dla przedstawienia się cesarzowi. Dziwne im czasem robił zapytania i sposób mówienia z niemi miał urywkowy, znać, że w tej samej chwili gdzieśindziej myśli jego wędrowały. Do mężczyzn, których zastał całą gromadę i wystrojonych w pończochach i trzewikach, powiedział, że należy im wziąć buty z ostrogami. — Dano dla niego bal w teatrze; cała sala była tak przepełniona aż na galerye, że tylko małe miejsce do tańca pozostało; chodził i roz-

mawiał z wielu obecnymi, jednak nie nie słyszałem, bom się tam nie cisnął i więcej byłem na ulicy, ażeby nasi gwardziści nie wszyscy razem na salę wchodzili, a koni swym masztalerzom nie oddawali, i aby byli gotowi do eskorty, skoro cesarz bal opuści. Bawił jednak kilka godzin, aż do północy.

W parę dni przybył adjutant od Murata z wiadomością, że Warszawa zajęta. Cesarz nazajutrz wyjechał. Gwardya honorowa eskortowała go 3 mile. Tam ją pożegnał i kazał generałowi Dąbrowskiemu wydać wszystkim patenta na podporuczników; Umińskiego na podpułkownika, Suchorzewskiemu na majora, Górczyńskiemu, porucznikowi z pruskich kirasyerów, i mnie na poruczników.

II. Potyczka pod Tczewem.

Nazajutrz przyniósł mi oficer od sztabu rozkaz połączenia się z regimentem. Dopiero od niego dowiedziałem się, że cała nasza dywizya pomaszerowała na lewo do Młynowa, dlatego, że korpus pruski wyszedł był z Gdańska i chciał legię tak zwaną północną, którą dowodził książę Michał Radziwiłł, od nas odciąć, i połączeniu jej z nami przeszkodzić. Ale legia bez nas zbiła ten korpus i weszła do Starogrodu. Liczyła ona 3000 ludzi, samych żołnierzy pruskich, wziętych pod Jeną do niewoli. Oficerowie byli wszyscy z tych, co z Włoch przybyli. Myśmy powrócili znów na drogę główną do Gdańska, ale już nie do Gniewia, lecz do wsi przed to miasto, której niepamięć nazwiska, ponieważ mnie zaraz z kompanią wysłano naprzód do przedniej straży. Tą dowodził Jan Dąbrowski, syn generała, i stał w Subkowie, o pół mili od Tczewa. Kazano mi stanąć tuż za wsią. Chłopi wszyscy Polacy, nanosili nam jedzenia aż nadto hojnie. Nazajutrz ciemno jeszcze było, jak przybył generał Dąbrowski, a oficer będący przy nim, zawołał na mnie z drogi, żebym z kompanią maszerował przez wieś całą i stanął przed nią. Tam zastałem generała, otoczonego samymi wyższymi oficerami, starszyzną, jak mówią nasze wiarusy, którym dawał rozkazy ataku na Tczewo. Mnie, jako dowódcy kompanii wołytyżerów, kazano także przystąpić do koła, bym te rozporządzenia słyszał. Kazał

mi jenerał maszerować zaraz za pierwszym szwadronem, który przed śmami ogrodami przedmieścia miał się usunąć na bok, a ja pół kompanii z podporucznikiem rozpuściwszy w tyraliery po ogrodach, miałem sam z drugą półkompanią żywo wpaść pomiędzy domy przedmieścia, aż do bramy zwanej Nadwiślańską, do której batalion nasz z kompanią grenadyerską na czele miał szturmem się dobyć. Drugi batalion nasz przeznaczony był do zdobycia bramy zwanej Młyńską. Jazda podczas szturmowania miała obejść miasto w lewo i stanąć w obserwacji bramy Gdańskiej, aby uderzyć na cofającego się z miasta nieprzyjaciela. Rozporządzenia te wydał jenerał Dąbrowski jak najjaśniej, tak, że każdy dokładnie mógł je zrozumieć. Marsz zaraz się rozpoczął i trwał około dwóch godzin. Skorośmy miasto spostrzegli i po górkach huzarów pruskich, poczęliśmy maszerować tem spieszniej. Kilka wystrzałów karabinowych i pistoletowych pomiędzy sobą tyraliery jazdy wymienili, które nikogo, jak zwykle strzały jazdy, nie raniły. Przybliżywszy się do przedmieścia, szwadron przede mną kłusem na lewo się usunął, a ja puszczając drugą sekcję w ogrody, sam z pierwszą frontem, spiesznym krokiem, drogą do ulicy przedmieścia dążyłem, równocześnie z tyralierami na lewo i prawo, którzy się przez płoty przeprawiali. Dopuszcili nas Prusacy blisko domów, a z tych oknami, drzwiami i dziurami w ścianach porobionemi, dali razem ognia do mojej półkompanii, tak że podoficer, który przy mnie na lewo biegł naprzód, padł śmiertelnie ugodzony. Padło i za mną kilku, więcej rannych zostało. Pierwszy ten ogień zrobił wrażenie na wszystkich, poprzewracani zabici i mocno ranni zostali oczywiście na placu, a zdrowi poszli w rozsypkę. Przyznaję się, że głowę w tej chwili straciłem. Mój podoficer, z nazwiska Moroh, tak nagle padł, że mnie potoczył. Spojrzawszy nań i obaczywszy twarz białą jak śnieg, a całe ciało bez ruchu, straciłem głowę. Jednem słowem, uciekliśmy wszyscy z 50 może kroków w tył, aż kompania nasza grenadyerów na czele batalionu nas doszła. Wtedy zebrałem ludzi i znów wyprzedzając batalion, wpadłem z niemi pomiędzy domy, ale Prusacy już na atak całego batalionu nie czekali.

Biegając pomiędzy domami na przedmieściu, widzieliśmy, jak przed nami uciekali. Z tyłu było kilku konnych. Goniliśmy za nimi, ale wpadli do miasta i bramę zawarli. Byliśmy wtedy może o sto kroków od bramy, kiedy grad kul padł na nas, ze strzelnic w niej do ręcznej broni zrobionych i z domów na wale po prawej stronie. Powywracało się kilkunastu naszych. Wtem nadjechał konno nasz podpułkownik Sierawski i kazał nam się za domy najbliższe schronić, mówiąc: „poczekajcie tu, przyjdzie zaraz armata i bramę rozbije“. Sam pozostał jednak na ulicy, uśmiechał się, jak kule szeroki płaszcz jego granatowy przedziurawiły. Patrzałem z za domu z podziwieniem na jego zimną krew. Po kilku minutach najwolniejszym krokiem zwrócił się w tył i pojechał do batalionu, który także kompaniami był się za domy za nami schronił. Tym sposobem ulica została próżna, ale wprzód kule do batalionu tak dochodziły, że prócz wielu żołnierzy padł podpułkownik Muchowski, a adjutant major Józef Bojanowski mocno rannym został. Rannych naszych żołnierze mimo kul do domów odnosili. Z mojej kompanii jedenastu.

Przeszło jednak dobre pół godziny, nim armata z Francuzami kanonierami przybyła i odprzodkowała. Przed nią przyjechał konno starszy jakiś oficer z adjutantem jenerała Dąbrowskiego, Bergenzoni, który zaraz ugodzony śmiertelnie kulą, spadł z konia obok domu, za którym staliśmy. Francuz ani się ruszył, jak gdyby nie widział, że ten spadł obok niego. Pierwszy strzał armatni tak przy nim blisko dmuchnął, że mu się kapelusz galonowy na głowie skrzył. Za trzecim strzałem runęła brama i tenże oficer do mnie powiedział po francusku: „Dalej młodzieńcze, zarób na krzyż, ruszaj w miasto“. Ruszyliśmy pędem, wpadli do miasta pomiędzy Prusaków, którzy się już nie bronili, a my z uciekającymi dobiegliśmy aż na rynek, a za nami wkrótce batalion. Mnie zaraz kazano maszerować na drugą stronę miasta, a jedną kompanię za Prusakami w ulicę na prawo posłano. Później się dowiedziałem, że do kościoła z dowódcą swoim się schronili, i tam się poddali, prócz cząstki, która przez słaby lód Wisły uciekała, ale z tych podobno wielu się potopiło. W kościele zabrano jenerała Both i około 800 ludzi, głównie z regimentu

strzelców uczonych, dlatego też tak celnie z okien i z za bramy strzelali i nam sto pięćdziesiąt kilku ludzi w batalionie ubili. Skoro stanąłem za miastem, dano mi rozkaz pomaszerować o pół mili naprzód do Stamberga, małej wioski, z sześciu biednych chałup złożonej, i stamtąd aż pod Wisłę placówki porozstawiać.

Ta pierwsza potyczka pod Tczewem nastęrcza mi uwagę, że młodych żołnierzy, którzy jeszcze w ogniu nie byli, nie należy rozpuszczać w tyraliery. Bezpieczniej jest trzymać ich razem w szeregach, w małych oddziałach, przy każdym takim oddziale oficera. Można przez te oddziały z wielkimi odstępami zająć tyle przestrzeni, ile wypada, i ileby tyraliery po dwóch żołnierzy zajęły.

Jenerał Dąbrowski podczas potyczki był przy naszym drugim batalionie i został ranny. Po nim objął komendę jenerał Kosiński, a w kilka dni potem przybył, starszy od niego, Gielgud, garbaty.

Batalion z księciem Sułkowskim wszedł był do miasta prawie równocześnie z nami, tak, że z rynku widzieliśmy go już wchodzącego w ulicę.

Maszerując do Stamberga, na prawo od drogi do Gdańska, usłyszeliśmy działowy i ręczny mocny ogień na milę przed nami, i dowiedzieliśmy się w kilka godzin potem, że z Gdańska maszerowała kolumna na pomoc Tczewa, ale że jenerał Ménard, z północną legią od Starogrodu idąc, zatrzymał ją i do cofnięcia zmusił. Ogień nie trwał dłużej nad godzinę¹.

¹ Za potyczkę pod Tczewem otrzymali Legię honorową, wedle rozkazu dziennego jenerała Dąbrowskiego z dnia 14 marca, ogłoszonego w *Gazecie Poznańskiej* z dnia 21 marca 1807 r.: 1) Hauke, pułkownik, szef sztabu; 2) Pakosz, podpułkownik adjutant z regimentu 1-go piechoty; 3) ks. Sułkowski, pułkownik; 4) Majaczewski, podpułkownik; 5) Muchowski, podpułkownik; 6) Bojanowski, adjutant major; 7) Puchalski, kapitan; 8) Chłapowski, porucznik; 9) Chojnacki, sierżant major; 10) Bojanowski, sierżant major; 11) Malinowski, sierżant; 12) Szalin, kapral; 13) Czuprynkiewicz, żołnierz; 14) Charlet, oficer artylerji francuskiej.

ŁUDY TURAJSKIE I ICH POJĘCIA RELIGIJNE.

W poprzednim studyum staraliśmy się przedstawić zasadnicze tło pojęć religijnych ludów, należących do rasy żółtej i czarnej, w ogólnych zarysach, a dzięki materyałom historycznym, byliśmy w stanie bardziej szczegółowo podać przebieg tychże pojęć u Chińczyków w ciągu wieków. Ażeby uzupełnić historię religii tych ras, wypada nam pomówić o innej religii, która w swych zasadniczych pojęciach jest identyczna z poprzednią, jakkolwiek ludy, które ją wyznają, do tych ras nie należą. Religia, o której zamierzamy mówić, nosi nazwę Szamanizmu, a ludy, które ją wyznają, otrzymały nazwę Turzańskich, albo Turajskich¹.

Badania ludów Turajskich i ich religii niepoślednią mają wagę i doniosłość dla wielu powodów: odsłonią nam rąbek z dziejów przedhistorycznych, dotąd całkiem nieznanych; najstarszą wzmiankę Pisma św. o pierwszym ludzie, który kulturę materyalną podniósł, nawiążą z danymi historycznymi; wykażą pokrewieństwo tego ludu z plemionami, które w różnych czasach odgrywały ważną rolę w dziejach świata; dadzą klucz do rozwiązywania zagadkowej dotąd czci zwierząt; wreszcie i przede wszystkim uwydatnią nam identyczność pojęć religijnych tego ludu z takimiż pojęciami ludów rasy czarnej i żółtej.

¹ W niniejszej pracy zamiast dość ogólnie przyjętych: Turonowie, ludy Turzańskie, używamy wyrażen: Turowie, ludy Turajskie, albowiem to brzmienie przypomina bardziej wyrażenie pierwotne *Tura*, używane przez kronikarzy irańskich. Ob. *Religie Aryów Wschodnich*, str. 17.

W bardzo odległej starożytności, tak w Europie, jak i w Azji, żyły ludy, które stały na wysokim stopniu cywilizacji.

Badania archeologiczne Schliemann'a w Hissarliku, Mycenie i Tyryncie, Richter'a na Cyprze, Flinders-Petrie w Egipcie, Siret'a w Hiszpanii wykazują, że w Europie przed-aryjskiej istniała już wysoka kultura.

Wykopaliska Uralu, Altaju, przekonywają, iż niegdyś wielkie przestrzenie Azji Środkowej zajmowały ludy kulturowe; przedhistoryczne ślady kultury odnajdują się w Azji Mniejszej, Mezopotamii, Indyach, na wyspach Oceanu Indyjskiego i sięgają nawet Australii. Wreszcie badania egiptologiczne dowodzą, że przed zajęciem dolin Nilu przez Chamitów, istniała już tam wysoka kultura.

Otóż te ludy przedhistoryczne zniknęły całkiem, albo prawie całkiem z widowni dziejów, zostały wchłonięte lub wyparte ze swych siedzib przez inną rasę, głównie zaś przez potomków Chama i Jafeta. I tak w Europie ludy przedhistoryczne zlały się częściowo z wkraczającymi tamże Aryami, częściowo zaś zostały wyparte do krain północno-wschodnich, gdzie dotąd przemierzają. W Azji również ludy te uległy temu samemu losowi. Chamici pierwsi oddzielili się od swego głównego pnia i wkroczyli do Mezopotamii, Egiptu, Indyj. Tubylecy tych krajów połączyli się w części z ludem nowo-przybyłym, w części zaś podążyli dalej, szukali schronienia w głębszej Afryce, na wyspach Oceanu Indyjskiego i dalej, nawet w Australii. Co się tyczy ludów altajskich, jest rzeczą prawdopodobną, że jeżeli nie w tymże samym czasie, to nieco później, ludy te zostały wyrugowane ze swych siedzib i podążyły ku Północy; miejsce ich zajęły inne ludy, pokrewne jednak pierwotnym.

Te przedhistoryczne ludy kulturowe, jakkolwiek dzieliły się niezawodnie, jak i dziś dzielą się jeszcze, na różne i liczne pokolenia, stanowiły jednak, jeżeli nie jedną rasę, to przynajmniej jeden szczepek, który, z jednej strony, znamionami swemi wyróżniał się od innych ras, z drugiej zaś, swemi wspólnymi cechami charakterystycznymi wykazywał ścisłą spójność, przemawiającą za pokrewieństwem.

Jakkolwiek te ludy przedhistoryczne nie zostawiły nam pomników piśmiennych, jednakże inne ich pomniki, ślady ich przemysłu i działalności, wzmianki, jakie kronikarze ludów historycznych o nich podali, przedewszystkiem zaś badania etnologiczne ludów, zajmujących dziś kraje północne Starego i Nowego Świata — posłużą nam do wykazania jedności szczepowej tych ludów.

Ludy, żyjące dziś na północy Europy, Azji i Ameryki, mają wspólne znamiona charakterystyczne, a ponieważ te ludy od wielu wieków żyją w odosobnieniu, nie mają styczności ani z innymi rasami, ani nawet między sobą, stąd wnosić można, że te cechy musiały się u nich wyrobić jeszcze przed rozłączeniem, są zatem charakterystycznymi dla całego szczepu. Te właśnie znamiona charakterystyczne będą dla nas przewodnią nicią, która nas doprowadzi do krajów, w których ten szczep musiał przebywać, zawiedzie nas między ludy historyczne, na które szczep ten wywarł swój potężny wpływ kulturowy.

1. Znamiona ludów Turajskich, co do ciała.

Cały wielki pas ziemi od zatoki Ochockiej do europejskiej Laponii, cała północna Ameryka, osiedlone są przez ludy, należące do jednej rasy, a raczej szczepu, któremu etnologowie dają nazwę Turajskiego¹.

Etnologowie nie godzą się na jedno co do cech znamionujących rasę i stąd w ich dziełach spotykamy nader różny podział. F. Müller podciąga pod nazwę rasy uralo-ałtajskiej następujące ludy: Samojedów, Finów, Madjarów, Turków, Tata-

¹ „In place of these indefinite names (Sacians, Scythians) modern ethnology uses more appropriately the name Turarians, borrowed from the mediaeval usage of the Iranians, to express collectively all those nations who are known by the special names of Finish, Turkish, Mongolian, and Tungusian, and who occupy the wide regions of Central and Northern Asia as they did formerly also nearly the whole of Northern Europe“. H. Kiepert, *A manual of anc. geography*, p. 15.

rów, Mongołów, Kałmuków, Jakutów, Tunguzów; te ludy właśnie my nazywamy Turajskimi.

Przedewszystkiem należy okazać, że liczne ludy, które dziś zamieszkują ten pas północny, pomimo różnaitości nazw, jakie noszą, i różnaitości ich poziomu umysłowego i cywilizacyjnego, posiadają znamiona wspólne tak charakterystyczne, iż je należy uważać za jeden szcep.

Znamiona ciała, charakteryzujące tę rasę, dadzą się sprowadzić do następujących: „Barwa skóry jest żółta lub żółto-brunatna; włos o przecięciu okrągłym, prosty, twardy i czarny; zarost brody i ciała mało obfity lub nie istniejący wcale; oczy po większej części skośne, kości licowe mocno wydatte, nos płaski, czaszka bardzo szeroka i niska“¹. Taki jest typ właściwego Mongoła²; idąc na Wschód i na Zachód od szczepu mongolskiego, napotyka się inne szczepy i plemiona, które wprawdzie wskutek różnicy klimatu, położenia geograficznego i mieszanja z innemi rasami, nabyły w ustroju fizycznym nieco odmiennych własności, jednakże przechowały główne znamiona pierwotnego typu³.

¹ Wisłocki, *Nauka o ludach*, str. 441.

² „The Mongoloid type of man has its best marked representatives on the vast steppes of northern Asia. Their skin is brownish-yellow, their hair of the head black, coarse, and long, but facehair scanty. Their skull is characterized by breadth, projection of cheek-bones, and forward position of the outer edge of the orbits, which, as well as the slightness of brow-ridges, the slanting aperture of the eyes, and the snub-nose, are observable“. E. Tylor, *Anthrop.*, p. 97. — Ranke pisze: „Ein enormes Gebiet, welches hauptsächlich im Osten einer von Lappland nach Siam gezogenen Linie liegt, wird grösstenteils von kurz und stämmig gebauten Menschen mit gelbbrauner Hautfarbe bewohnt; Augen und Haare schwarz, letztere schlicht, grob, lang auf dem Schädel, spärlich am Körper und Gesicht. Sie sind stark brachykephal, ohne prominierende knöcherne Augenbrauenbogen, die Nase platt und klein, die Augenlidspalte schief“. *Der Mensch*, II. B., S. 271.

³ „Des monts Oural à ceux de la frontière coréenne, on constate une transition graduelle entre les types; partout des individus isolés peuvent être considérés comme des représentants de peuplades mongoles ou turques, vivant à des milliers de kilomètres de distance. C'est principalement chez la femme que l'on rencontre le type mongol le mieux caracterisé; même dans la Sibérie du nord-ouest, on voit fréquemment des jeunes filles ayant une figure presque chinoise“. Reclus, *Géogr. Univer.*, vol. VI, p. 628.

I tak wśród mieszkańców Laponii skandynawskiej spotyka się często blondynów; w Finladyi cały szczepek, zwany Tawastami, ma włosy jasno-blond, nieco żółtawe, i oczy niebieskie, i z tego powodu kronikarze rosyjscy dawali im nazwę „Czudów o białych oczach“¹. Inne jednak znamiona cielesne wskazują typ mongolski. „Finlandczycy dzisiejsi, mówi Reclus², należą w większej części do szczepu uralo-altajskiego i są ściśle spokrewnieni z Madjarami, a również z innemi pokoleniami, które stoją jeszcze na niskim szczeblu oświaty, mianowicie z Czeremisami, Ostjakami, Wogułami, Samojedami“.

Podobieństwo typowe ludów, zamieszkujących północny pas azyatycki i europejski, prawie jednomyślnie przyjęte jest przez wszystkich etnologów. „W całej północnej Azji, pisze Maury³, w Europie i Ameryce znajdujemy tę samą rasę; wszystkie ludy, zamieszkujące ten pas, spajają się ze sobą za pośrednictwem szczepu tunguskiego z rasą żółtą. Wybitny typ wszystkich tych ludów jest typ mongolski. Cała ta rasa w dawnych czasach zajmowała nadto kraje wysunięte daleko ku Południowi“. Co się tyczy Amerykanów, napotkano poważne trudności.

Głośna niegdyś hipoteza „wielości środowisk“ stworzenia, postawiona i broniona przez pierwszorzędne powagi naukowe, Mortona, Notta, Gliddona, Agassiza i innych, wywołała była wielkie spory między uczonymi. Polygeniści amerykańscy usiłowali koniecznie dowieść, że ich rdzenna ludność powstała na miejscu i stanowi oddzielne stworzenie, nie przeczyli jednakże, że nowe ludy napłynęły również ze Starego Świata. Otóż jakkolwiek zasadnicze twierdzenie polygenistów w obecnem badaniu nas nie obchodzi, nie możemy jednakże pominąć go milczeniem i musimy zaznaczyć, iż pomimo talentu, z jakim go bronili, i szerokiej wiedzy, jaką w polemice okazali, nie przyniosło pożądanego skutku i zostało przez naukę odrzucone. Mgr. de Nadaillac rozbiera dość szczegółowo dowody za i przeciw i wraz z uczo-

¹ Извѣстія Георг. Рус. Общ. Носаѣ., 1878.

² *Nouv. Géogr.*, vol. v, p. 332.

³ *La terre et l'homme*, p. 434.

nymi takiej miary jak Wilson¹, d'Orbigny², Virchow³, de Quatrefages⁴, uważa twierdzenie polygenistów za mrzonkę⁵.

Rzeczą jest pewną, że Ameryka została osiedloną przez ludy Starego Łądu, a według bardzo dokładnych badań, osiedleńcy przybywali tak ze Wschodu, jak i z Zachodu, i należeli do trzech głównych ras: białej, żółtej i czarnej. Dziś na to wszyscy się godzą; w niniejszem badaniu należy tylko wykazać, że w Ameryce znajdowały się i znajdują ludy ze szczepu turajskiego⁶.

Z pomiędzy ludów, które osiedliły Amerykę, najliczniejsze należały do rasy żółtej⁷, a raczej mieszanej, mianowicie do szczepu mongolskiego⁸. Pomimo tylu wieków rozłączenia, po-

¹ *On the supposed Uniformity of Crania*. Montreal 1857.

² *L'homme américain*, vol. I, p. 123.

³ *Bull. Soc. Anthr.*, 1882, p. 171.

⁴ *Unité de l'espèce humaine*, ch. XXI.

⁵ „Entre l'homme du Nouveau-Monde, et ceux qui ont peuplé l'Ancien Continent, il n'existe nulle différence essentielle; l'unité du genre humain s'impose comme la grande loi, qui domine l'histoire de l'humanité“. Mis. de Nadaillac, *Amér. Préh.*, p. 520.

⁶ „La race rouge ne saurait être regardée comme pure; selon toute apparence, elle a reçu des infiltrations de sang jaune, blanc et nègre pélagien. Ce qui vient d'être dit montre qu'elle se rattache aux races ougro-japonaise et mongole, que rappelle à beaucoup d'égards son type... Les Eskimaux sont, comme on l'a vu congénères des populations du Kamtchatka et de la Sibirie orientale“. Maury, *La terre et l'homme*, p. 445.

⁷ „Parmi ces éléments, les plus importants comme nombre et comme influence sont les immigrations asiatiques. Ces immigrations des races jaunes et brachycéphales sont incontestables; elles ont sûrement duré pendant de long siècles. La plupart ont eu lieu par les îles du Nord; les différents peuples de race Nahuatl successivement descendus vers le sud sont les représentants les plus directs de ces migrations“. *Amérique préhistorique*, p. 574.

⁸ „La ressemblance ethnique est grande entre les Tchoukches de l'Asie et les Esquimaux du Nord de l'Amérique. Grâce aux uns et aux autres, la transition des types entre les aborigènes du Nouveau Monde et ceux de l'Ancien est complètement insensible: du Peau-Rouge au Yakoute et au Bouriate, les croisements ont créé tous les intermédiaire, et de proche en proche la parenté s'est établie; quelle qu'ait été d'ailleurs la différence originelle et quoique les langues diffèrent. On voit des Tchoukches qui ressemblent d'une manière parfaite à des Sioux, sauf pour le costume: ce sont d'admirables représentants de l'Indien sauvage d'Amérique“. E. Reclus, *Nouv. Géogr. Univ.*, vol. VI, p. 796.

mimo mieszania się ras, wybitne znamiona mongolskie przechowały się u niektórych przynajmniej ludów amerykańskich.

Skośne oczy występują bardzo często u różnych plemion amerykańskich, jedno nawet całe plemię w Atabaska nosi tę charakterystyczną nazwę. Podróżnicy i misjonarze napotykali tę oprawę oczu nie tylko w północnej, ale i w południowej Ameryce: Al. Humboldt¹ przypisuje Meksykanom, z wyjątkiem nosa, wszystkie cechy cielesne mongolskie; Burton² opisuje krajowców z okolic wodospadu rzeki Cachauhy w Brazylii jako ludzi z „wielkimi, okrągłymi głowami, płaskim mongolskim obliczem, szerokimi i wystającymi kośćcami licowymi, skośnemi a częstokroć i wązko szelinowemi chińskimi oczyma i rzadkim wąsem“³.

Antropologowie po największej części zaliczają Amerykanów do rasy mongolskiej⁴. Maury wykazuje szczegółowe podobieństwo ludu północnej Azji z tuziemcami Kalifornii i Oregonu⁵. L. Manouvrier na posiedzeniu Towarzystwa Antropologicznego⁶ dowodził, że dzieci Indyan po narodzeniu mają barwę żółtą, która później dopiero przechodzi w czerwoną, charakteryzującą „czerwono-skórych“; co się dotyczy oczu, Indianie mają oczy

¹ *Essai politique sur la Nouvelle Espagne*. Paris 1811, vol. I, p. 181.

² *Highlands of Brazil*. London 1869, vol. II, p. 403.

³ Wisłocki, *Nauka o ludach*, str. 485.

⁴ „The race to which most anthropologists refer the native Americans is the Mongoloid of East Asia, who are capable of accommodating themselves to the extremest climates, and who by the form of skull, the light-brown skin, straight black hair, and black eyes, show considerable agreement with the American tribes“. E. Tylor, *Anthrop.*, p. 105.

⁵ „La couleur noire des cheveux de ces dernières tribus (Czynuk, Dakota i inne półn.-zach. ludy Ameryki), leur peau sèche et roide, la constitution lymphatique de leur tempérament, leurs yeux légèrement obliques sont autant de caractères qui appartiennent à la race mongole. C'est surtout dans la Californie et l'Orégon que se trouvent les tribus chez lesquelles le type nord-asiatique est le plus prononcé. Les Indiens de cette partie du Nouveau Monde ont le front bas, les yeux enfoncés, le nez court, élargi à sa base, déprimé à sa racine, les pommettes saillantes, la bouche assez grande, les lèvres épaisses. Ils se fondent, par diverses tribus de sang mixte, avec la race boréale, notamment les Eskimaux“. Maury, *La terre et l'homme*, p. 447.

⁶ *Société d'Anthrop.*, séance du 16 avril 1885.

skośne, po francusku zwane *yeux bridés*, które charakteryzują rasę mongolską.

W Ameryce spotykają się czaszki długogłowe i krótkogłowe, jak zresztą gdzieindziej, charakterystyczny typ jest jednak mongolski¹. Wystające kości licowe, włos długi, czarny, prosty, w przecięciu okragły, skąpy zarost ciała, są pospolite u ludów amerykańskich. „Uderzające jest podobieństwo, pisze de Nadaillac², między rasą mongolską i mieszkańcami północno-zachodniej Ameryki. To podobieństwo zaznaczają wszyscy nowożytni żeglarze, a przedewszystkiem Wrangel“³. „Podobieństwo jest takie, pisze Grant⁴, że gdyby nie warkocze i różnica ubrania, nie możnaby rozróżnić Chińczyka od Indyanina“. To samo mówią i inni podróżnicy⁵.

Lecz i nos spłaszczony nie jest rzadkością u ludów amerykańskich: M. Wagner⁶, St. Hilaire⁷ i inni, spotykali często nosy płaskie i zadarte. Wreszcie sam Morton przyznaje, że jedną rasą, do jakiej możnaby zaliczyć ludy amerykańskie, jest rasa mongolska⁸.

¹ „Im Nordosten kommt die mongoloide Bevölkerung Asiens in Kontakt mit Tschuktschen, von denen man sagt, sie seien physisch identisch mit den Eskimos und Grönländern von Nordamerika. Diese Völker vereinigen mit der Haut und dem Haar der asiatischen Mongoloiden extrem lange Schädel. Der mongoloide Habitus von Haut und Haar ist ebenso sichtbar in der ganzen Bevölkerung der beiden Amerika; aber sie sind vorherrschend dolichokephal, nur die Patagonier und die alten Mound-builders zeigen zweifellose Brachykephalie“. J. Ranke, *Der Mensch*, II. B., 272 S.

Ten Kates w *Bul. de la Soc. d'anthrop.* z 19 marca 1885 r. pisze: „On y trouve (w Ameryce) la dolichocéphalie et l'hyperbrachycéphalie, les faces européennes à côté des faces mongoliques... Les caractères américains pris dans leur ensemble, tant sur le vivant que sur le squelette, ne sont pour moi que les caractères des races jaunes en général“.

² *Op. cit.*, p. 548.

³ *Nouv. Ann. des Voy.*, 1853. Ob. również *Native Races*, vol. V, p. 237, przez Bancroft'a.

⁴ *Ocean to Ocean*, Toronto 1873, p. 304.

⁵ Ob. Wisłocki, *Op. cit.*, str. 485 i nast.

⁶ *Naturwissensch. Reisen*, Stut., vol. I, pp. 313, 128.

⁷ *Voyage au Brésil*, vol. I, p. 424.

⁸ *Types of mankind*, p. 375.

2. Języki ludów Turajskich.

Język jest jednym ze znamion, charakteryzujących bliższe pokrewieństwo ludów. Polygeniści amerykańscy, a na ich czele Whitney, nie przyznają językowi znamienia etnologicznego, z powodu, iż znamy, mówią oni, wiele ludów w Europie, Azji i Ameryce, które zatraciły swój język pierwotny i przyjęły całkiem obcy. Na ten zarzut odpowiadają słusznie monogenici, iż wyjątek utwierdza regułę. De Quatrefages pisze: „W ciągu mych wykładów w Muzeum porównywałem różne rasy; otóż prawie zawsze znajdowałem uderzające podobieństwo między lingwistyką i antropologią opisową“¹. W obecnem stadyum umiejętności, szowinistyczne zapatrywania Amerykanów są stanowczo wykluczone.

Jakimi językami mówiły i mówią ludy Turajskie? Odpowiedź wyczerpująca na to pytanie jest dosyć trudna, dlatego przedewszystkiem, że te języki nie doczekały się dotąd gruntownych badań filologicznych, jednakże to co o nich wiemy wskazuje ich blizkie pokrewieństwo, mianowicie zaś, wszystkie te ludy używają języka aglutynacyjnego. Szczegóły niżej podane wskażą nam dokładniejsze podobieństwo.

„Na północy Azji i Europy, mówi Peschel², rozpostarła się, w pięciu wielkich gromadach, tunguskiej, mongolskiej, tureckiej, samojedzkiej i fińskiej, budowa językowa, opierająca się głównie na przyrostkach... Główna podstawa języka tych wszystkich ludów jest prawie jedna i ta sama“. Dobitniej jeszcze wyraża się Fr. Lenormant i stanowczo twierdzi, że te ludy, ze względów językowych, należą do jednej rodziny. „Jedność etniczna

¹ *L'espèce humaine*, p. 320.

² *Nauka o ludach*, str. 117, 441. Etnolog francuski pisze: „La même chaîne continue qui réunit les races boréale et mongole, se retrouve entre les langues de ces deux races. Ces langues ne constituent en réalité qu'une formation unique; elles se soudent les unes aux autres. L'étude des idiomes du Nouveau Monde va montrer que ceux-ci se rattachent à la même souche, par les langues des populations dont les caractères physiques servent précisément de transitions entre les Mongols et les Peaux-Rouges“. Maury, *La terre et l'homme*, p. 511.

ludów, pisze on¹, o których tu mowa, jest dziś uznana przez naukę. Znakomite prace filologiczne Raska, Castrena, Maxa Müllera i ich uczniów wykazały, że wszystkie różne ludy, które, poczynając od Finlandyi aż po Amur, zamieszkują północne strony Europy i Azji, a więc Finowie i Czudy, Turcy i Tatarzy, Mongołowie, Tunguzi, należą do jednego pnia i stanowią jedną wielką rodzinę, której pochodzenie stwierdzone jest pokrewnością nierzeczy, jakimi mówią².

Ranke zamieszcza w swem dziele² mapę kuli ziemskiej, ułożoną według języków przez F. Müllera. Autor pod jeden dział językowy, który nazywa uralo-ałtajskim, podciąga pojedyncze grupy językowe: fińsko-uherskie, mongolskie, turecko-jakuckie, tunguskie i samojezdkie.

Maury³, opierając się na pierwszorzędnych powagach, stwierdza to samo i te języki nazywa turajskimi. Co więcej, tenże sam etnolog utrzymuje jako rzecz prawdopodobną, że typ wszystkich języków turajskich przechował się w jednym z trzech języków klinowych, jakie odkryto w Persepolis, mianowicie zaś w tak zwanym języku medo-scytyjskim. Lud tego języka pochodził z gór Karduk, dzisiejszego Kurdistanu, i na kilkadziesiąt wieków przed naszą erą zajął kraje chaldejskie, które były wówczas w posiadaniu Kuszytów. Ta uwaga jest wielkiej doniosłości i zgadza się zupełnie z wnioskami, do jakich doszliśmy w naszych badaniach, jak to w swoim miejscu zobaczymy.

¹ *Les Origines*, vol. I, p. 188.

² Ob. *Der Mensch*, II. B., S. 275. *Sprachenkarte, gegenwärtige Verbreitung der Sprachstämme*.

³ „On peut donc admettre que les diverses familles de langues ici examinées, et celles que l'on fera connaître plus loin, appartiennent à une souche commune, souche à laquelle le nom de touranienne, tiré du nom Touran appliqué par les Iraniens à l'Asie centrale, convient assez bien. Il faut probablement chercher le prototype de toutes ces langues dans ce qu'on a appelé le medo-scytique, idiome parlé vraisemblablement par des tribus indigènes de la Médie et de la Susiane, de la même race que les Chaldéens primitifs qui, originaires des monts Carduques, envahirent l'Assyrie, trois à quatre mille ans avant notre ère, et soumirent la population couchite qui l'occupait“. Maury, *La terre et l'homme*, p. 505.

Uczeni angielscy godzą się również na to zapatrywanie¹.

Sprawa z językami amerykańskimi jest nieco trudniejsza. Tuziemcy amerykańscy mówią kilkuset², co najmniej, różnemi językami, jednakże wszystkie te języki należą do języka aglutynacyjnego, a zatem do tego samego działu, do którego należą azjatyckie i europejskie języki turajskie.

Języki amerykańskie mają swoją właściwość, którą lingwiści nazywają wcielającą; polega ona mianowicie na tem, że wiele wyrazów, lub części wyrazów, spojone razem, stanowią jeden wyraz, który wyraża całą myśl. Oto jeden z wielu przykładów, jakie podają filolodzy; w języku Czyrokezów można powiedzieć: *wi-ni-taw-ti-ge-gi-na-li-skaw-lung-ta-naw-ne-le-ti-se-sti*, a to znaczy: „w tym czasie oni raz skończą przecie ze swemi oznakami łaskawości względem ciebie i mnie“³.

Ta szczególna właściwość dała dobrą broń polygenistom do podtrzymywania amerykańskiej odrębności rodowej, dokładniejsze badania lingwistyczne nie potwierdziły jednak tego zapatrywania.

A najprzód, sama właściwość wcielająca jest tylko szczególnym rodzajem aglutynacyjności, a stąd nie jest wyłącznem znamieniem języków amerykańskich. Języki uralo-ałtajskie, mianowicie gromady ugryjskie, bułgarskie, madjarskie, ostjackie, wogulskie i mordwińskie posiadają tę samą właściwość

¹ „In the middle and north of Asia, on the steppes or among the swamps and forests of the bleak north, wandering hordes of hunters or herdsmen show the squat-built brown-yellow Tatar or Mongolian type, and speak languages of one family, such as Mauchu and Mongol. Although principally belonging to Asia, these Tatar or Turanian languages have established themselves in Europe. At a remote period, rude Tatar tribes had spread over northern Europe, but they were followed up and encroached on by the invading Aryans, till now only much-mixed outlying remnants of them, Ests, Finns, Lapps, are found speaking Tatar languages“. E. Tylor, *Anthrop.*, p. 161.

² Bancroft liczy 600 narzeczy od Alaski do Panamy. *The Native Races of the Pacific States*, vol. III, p. 557. Ameghino w Ameryce południowej liczy ich 800. *La Antiquedad del Hombre*, vol. I, p. 77. Natomiast Squier w *Types of Mankind* przyjmuje tylko 400 różnych języków w całej Ameryce.

³ Whitney, *Study of language*, p. 349.

skupiania wielu wyrazów w jeden¹. Fr. Lenormant² widzi tę samą dążność w językach kaukaskich i języku Basków. Niektórzy lingwiści³ zauważyli wielkie pokrewieństwo językowe między Baskami europejskimi i szczepem amerykańskim Algików, do którego należą plemiona: Delawarów, Algonkinów, Czypwejów, Illinów. De Charencey na mocy długoletnich badań tych języków wyprowadza następujący wniosek: „Sądźmy, że język Basków, w głównych swych zarysach, wiąże się bezpośrednio z gwarami kanadyjskimi, a tem samem z wszystkimi innemi gwarami ludów Nowego Świata, albowiem wszystkie te gwary mają tę samą postać gramatyczną, choć różnią się w źródłosłowach“⁴.

Lecz są lingwiści, którzy w samych źródłosłowach upatrują podobieństwo między językami Starego i Nowego Świata. Mendoza⁵ udowadnia identyczność wielu wyrazów sanskryckich i staro-meksykańskich (Nahuatl). Don Lopez de Montevideo⁶ wynajduje podobieństwo między językiem Qquichua i językami aryjskimi. Forchhammer⁷ starał się wykazać pokrewność między językami uralско-ałtajskimi i amerykańskimi. Na kongresie oryentalistów w Petersburgu w r. 1876 podniesiono kwestyę uderzającego podobieństwa języków amerykańskich z językami ludów, które zamieszkują Armenię. O. Peschel⁸ utrzymuje, że istnieje ściśle pokrewieństwo języków uralско-ałtajskich z amerykańskimi. Ogniwo wspólne, które łączy języki ałtajskie z językami amerykańskimi, widzi Lenormant w językach podbiegu-

¹ Ahlquist, *Mokscha-mordwi. Gram.*, p. 60.

² „Le basque et les langues caucasiennes nous offrent des traces d'une tendance à l'exagération de l'agglutination qui peut s'étendre jusqu'à comprendre toute une phrase en un seul mot“. *Les Origines*, p. 347.

³ Bladé, *Etudes sur l'origine des Basques*. — Baudrimont, *Hist. des Basques*.

⁴ *Des affinités de la langue Basque avec les idiomes du Nouveau Monde*. Caen 1867.

⁵ *Ann. del Museo Nacional de Mexico*, vol. I, p. 70.

⁶ *Les races aryennes au Pérou*.

⁷ *Vergleichung der amerik. Sprachen mit den Ural-altaischen*.

⁸ *Nauka o ludach*, str. 489.

nowych¹. Wreszcie H. Clarke na podstawie badań filologii porównawczej wnosi², że tak język, jak i cała kultura amerykańska ściśle jest związana z językiem i kulturą Starego Świata.

3. Totemizm ludów Turajskich.

Totemizm jest jednym ze szczególnych objawów społecznych, jakie napotykają się u różnych ludów Starego i Nowego Świata; z tego powodu może być uważany jako znamię charakterystyczne.

Rodzina — mąż, żona, dzieci, były pierwszym zawiązkiem społeczeństwa ludzkiego. Z czasem kilka rodzin łączyło się razem i stanowiły plemię, klan; wreszcie kilka, kilkanaście plemion tworzyło kraje i państwa.

Taką genezę społeczeństwa daje nam historia i taką być musiała w początkach u ludów przedhistorycznych. W naszych dopiero czasach pierwszy podobno Lubbock wpadł na pomysł, że ludzie pierwotni żyli gromadnie, jak było; małżeństwo i rodzina nie były znane. Ten wniosek wynikał z ewolucyi po darwinistowsku pojętej. Człowiek pochodzi od małpy, mówili najskrajniejsi, a przynajmniej żył pierwotnie w stanie dzikości, utrzymywali wstrzemięźliwsi, w początkach tedy nie może być mowy o rodzinie.

Otóż te hipotezy, jakkolwiek podtrzymywane były przez osobistości głośne wpływem i wiedzą, nie wytrzymały ścisłej krytyki naukowej i nie zostały przyjęte w poczet nabytków umiejętności. Sprawa ta od dawna już jest ubita i nie poruszamy jej tutaj, gdyby nie ta okoliczność, że niektórzy, rzeczywiście „zacofani“ profesorowie, z wysokości swych katedr uniwersyteckich, dziś jeszcze mają odwagę głosić podobne poglądy; gdyby nie to, iż w czasopiśmie warszawskim, pod re-

¹ *Les Origines*, vol. I, p. 350.

² „So far as the evidence of language is as yet available, and so far as probabilities go, the language and culture of America are connected with those of the old world and there is no exclusive or indigenous American language, grammar or culture“. *The Migration of Man in relation to comparative philology*, p. 41.

dakcyą głośnego literata, ukazała się niedawno rozprawa pod tytułem *Pierwotna Horda*¹. Wobec odgrzebywania tych mrzonek darwinistycznych narzuca się pytanie, czy najnowsze badania, tak przyrodnicze jak i historyczne, nie odkryły nowych dowodów, któreby uprawniały do podjęcia napowrót odrzuconych już hipotez i wniosków: popytamy o to Ranke'go, który w świeżo wydanem dziele² bardzo szczegółowo zajmuje się tą kwestyą.

Przedewszystkiem zaznaczyć tu musimy, że dzieło Ranke'go odznacza się gruntowną i wyczerpującą znajomością przedmiotu, a zarazem nader krytycznym i bezstronnym sądem, stąd też zostało przyjęte przez wszystkie powagi naukowe w Niemczech i za granicą jako dzieło klasyczne.

Odnosnie do kwestyi, o której wyżej mowa, Ranke na podstawie li tylko umiejętności rzeczywiście pozytywnej przeczy stanowczo, żeby człowiek pochodził od małpy, a następnie przeczy również, żeby dziś lub kiedykolwiek żyły ludy w stanie prawdziwej dzikości.

A najprzód, opierając się na badaniach antropologicznych, zaznacza, że jakkolwiek różnice między ludźmi rozmaitych ras, jakie zamieszkują kulę ziemską, są bardzo wybitne, jednakże

¹ Rzecz o pierwotnem gromadnem życiu jest już stara: dwadzieścia lat temu p. Wisłocki, autor *Nauki o ludach*, dość obszernie rzecz tę traktował, i na mocy badań wielu uczonych, których w swej książce przytacza, wykazuje bezpodstawność mrzonek Lubbock'a. Otóż, wobec tego, że p. Wisłockiego nikt o sprzyjanie chrystyanizmowi posądzić nie może, zdawało się, że dla pozytywistów warszawskich rzecz ta jest osądzoną i ubitą, tymczasem ni stąd ni z owąd, ukazuje się w roku zeszłym w *Ateneum* warszawskiem rozprawka niejakiego p. Ludwika Krzywickiego, p. t. *Pierwotna Horda*. Już z samego tytułu można się domyślać zawartości. Ani streszczać ani zbijać niedorzeczności tam wypowiedzianych na kilku stronicach nie będziemy. Jednakże, żeby ta odprawa nie wydawała się gołosłowną, przytaczamy tu zdanie o małżeństwie słynnego racjonalisty, ale zarazem uczonego antropologa Tylor'a, na którego p. Krzywicki błędnie, bezwiednie czy podstępnie, powołuje się. Oto co pisze Tylor w *Anthropology*, London 1881, p. 402:

„Mankind can never have lived as a mere struggling crowd, each for himself. Society is always made up of families or households bound together by kindly ties, controlled by rules of marriage and the duties of parent and child“.

² *Der Mensch*, von Prof. Dr. J. Ranke. Leipzig und Wien 1894.

wspólne ich cechy są tego rodzaju, iż należy uważać te rasy jako pochodzące od jednego pnia¹.

W dalszym ciągu porównywa i zestawia anatomicznie, w najdrobniejszych szczegółach, człowieka, jakim jest obecnie, z małpami Starego i Nowego Świata; przechodzi szczególne przypadki w ustroju ciała ludzkiego, widzi w nich tylko zboczenia patologiczne, które nie mogą być uważane za formy przejściowe, i kończy ten dział temi słowy²: „Obecnie w całej znanej ludzkości niema ras, ludów, plemion lub rodzin, ani jednostek, któreby zoologicznie można uznać jako ogniwa, pośredniczące między człowiekiem i małpą“.

Dalej, na mocy badań paleontologicznych wykazuje, że resztki szkieletów ludzkich, jakie się spotykają w najdawniejszych pokładach, dowodzą, iż anatomicznie niema żadnej różnicy między człowiekiem dziś żyjącym, a człowiekiem „kopalnym“ przedhistorycznym³.

¹ „Hier gehen wir nicht auf die Frage ein, wie wir uns die körperliche Form der Urväter des Menschengeschlechts zu denken haben, und berufen uns nur auf das in der vorausgehenden Untersuchung über die körperlichen Verschiedenheiten des Menschengeschlechts Gesagte. Wir finden auffallende Differenzen und extreme Entwicklungen, wohl geeignet, die Aufmerksamkeit des Forschers zu fesseln, und gross genug, um die Vertreter solcher verschiedener Körperbildungen als wesentlich voneinander differenziert zu unterscheiden. Aber soweit wir diese Verschiedenheiten bis jetzt verfolgen können, sehen wir sie alle durch aufs feinste abgestufte Zwischenformen so vollkommen miteinander verbunden, dass uns die Gesamtheit der körperlichen Differenzen als eine in sich geschlossene Reihe erscheint, in welcher wir Trennungen der einzelnen Formen voneinander nur durch mehr oder weniger willkürlich gezogene Scheidungslinien veranstalten können“. *Op. cit.*, vol. II, str. 261.

Virchow w odpowiedzi B. Stefensowi, który przypuszczał, że na Malace istnieje rasa, nie mająca żadnego pokrewieństwa z innemi, mówi: „Aber auch diese ‚niedere Rasse‘ ist nicht pithekoid oder theromorph, sondern rein menschlich“.

² *Op. cit.*, vol. II, p. 392.

³ Jako jeden z licznych dowodów przytacza słowa uczonego ewolucjonisty J. Kollmann'a: „Ich will vorausschicken, dass ich vollkommen auf dem Boden der die Naturwissenschaft beherrschenden Anschauung der Deszendenztheorie stehe, aber meine eigenen Erfahrungen haben mich zu dem Resultat geführt, dass der Mensch seit der Eiszeit seine Rassen-Charaktere

Wreszcie stwierdza, że nie natrafiono na żadne ślady jakiegosż szkieletu, któryby stał w pośrodku między szkieletem małpy a szkieletem człowieka i stanowił przejściową formę od małpy do człowieka ¹.

Co do człowieka dziko żyjącego, rzeczą jest stwierdzoną, że dziś nie istnieją ludy dzikie, w pełnem znaczeniu tego słowa, a nadto niema żadnych śladów, żeby takie ludy niegdyś istniały; owszem, to co o nich wiemy, przekonywa, że nie żyły w stanie dzikości. Ludy z czwartorzędowego okresu geologicznego, pod względem przemysłu, poczucia estetycznego, stały już wysoko, a wszyscy badacze przypisują im pojęcia religijne ². Stąd słusznie wniesć należy, że istnienie „pierwotnej hordy“ stanowczo musi być wykluczone.

nicht mehr geändert hat. Er tritt physisch vollendet sofort in verschiedenen Rassen auf europäischem Boden auf. Da finden sich keine Affenmenschen, sondern sofort die verschiedenen Typen des wahren Menschen, des homo sapiens, mit ihren charakteristischen Merkmalen, die sich noch bis heute erhalten haben“. *Op. cit.*, str. 480.

¹ „Auch die Ergebnisse der Paläontologie sind sonach bisher rein negativ“.

Przytacza słowa B. Dawkins'a: „...Man muss zugeben, dass das Studium der fossilen Überreste auf das Verhältnis des Menschen zu den Tieren ebensowenig Licht wirft wie die geschichtlichen Urkunden“. A również słowa von Zittel: „...Der durch die Entwicklungslehre postulierte Proanthropos, das Zwischenglied zwischen Mensch und Affen, ist demnach noch nicht gefunden“. *Op. cit.*, str. 504.

Dawniej już, słynny racjonalista ale pierwszorzędny anatom Huxley złożył w tej mierze wyraźne świadectwo. „Każda kość goryla, pisze on, zachowuje wybitne znanie, po którym daje się rozróżnić od odpowiedniej kości ludzkiej; w dzisiejszym przynajmniej stanie stworzenia nie znajduje się żadna istota pośrednia, któraby wypełniała wyłom, jaki rozdziela człowieka od troglodyta. Przeczyć istnieniu tej przepaści byłoby zarówno naganem jak i niedorzecznem“. *La place de l'homme dans la nature*, edit. 1891, p. 79.

² Ranke o brązowym okresie pisze: „Über die Religion dieser Periode wissen wir nichts, aber man kennt aus Schwerin einen Grabhügel, welcher nicht nur ein Begräbnis mit gebrannten Knochen, sondern auch einen viereckigen, von Erde und Stein gebauten, etwa 1,5 m. hohen Altar barg, in den ein grosser, runder Kessel aus gebranntem Thon eingemauert war, wohl ein Beweis, dass der Gottesdienst mit Opfern verknüpft gewesen ist. Aber auch Amulette wurden getragen, und manches deutet auf eine Art Fetischglauben“. *Op. cit.*, vol. II, p. 601.

Poprzednio już, w obecnych naszych badaniach nad religią rasy żółtej i czarnej, podaliśmy zdanie E. Westermarek'a, odnoszące się do tej sprawy. Pisarz angielski, jakkolwiek zdeklarowany ewolucjonista, w dziele swem *The history of human marriage* (1891), na podstawie gruntownych badań historycznych dochodzi do wniosku, że przypuszczenie: jakoby pierwotna ludzkość żyła w związkach gromadnych — jest naukową nieдорęcznością.

Takie jest dziś ostateczne zdanie uczonych badaczy; na tem kończymy naszą, nieco długą, wycieczkę, i powracamy do samego przedmiotu.

Pierwsi ludzie porozumiewali się z sobą mową, jak wiemy z Pisma św., na co zresztą godzą się i lingwiści. Każda rzecz miała swą nazwę, a tem bardziej każdy człowiek. Jaki był pierwotny język — nie wiadomo; nie wiemy też, jak się właściwie nazywali nasi pierwsi rodzice i ich dzieci: według egzegetów, imiona Adam, Ewa, Abel, Set i inne, w języku pierwotnym brzmiały inaczej, a te hebrajskie nazwy wyrażały tylko pierwotne znaczenie tych imion.

Podania ustne i zapiski historyczne przekazały nam różne nazwy, jakie nosiły ludy i pokolenia.

Niektóre ludy dawały swym klanom nazwy, wzięte z fauny i flory, jak Wilk, Niedźwiedź, Orzeł, Ziemniak, Pigwa i t. p. Przedmiot nazwy był herbem, tj. *totemem* klanu. Każdy członek klanu uznawał się za syna totemu; wszyscy, mający ten sam totem, byli ściśle z sobą spokrewnieni, stanowili jedną niejako rodzinę i dlatego nie wolno było młodzianom brać za żony dziewczyn z tego samego totemu. Sam totem, tj. przedmiot, który on przedstawiał, otaczany był w klanie wielką cześcią, między innemi żaden członek klanu nie ważył się zabijać lub używać na pokarm przedmiotu, który był jego totemem; co więcej, totemowi oddawano cześć religijną. Otóż ten totemizm występuje wśród ludów, które, jak już z poprzednich dochodzeń wynika, mają jeszcze inne cechy wspólne, mianowicie zaś wśród ludów Turajskich.

U ludów syberyjskich i u pokrewnych im w Europie mie-

szańców wschodnich gubernij rosyjskich, totemizm występuje w całej pełni.

Kalmucy i Tatarzy altajscy dzielą się na klany, biorące swe nazwy od zwierząt: Pies, Wilk, Kruk, Sęp. Wogulowie, Ostjacy, Samojedzi, mieszkający w dorzeczach Oby, używają do-
tąd totemów¹.

R. Hart zauważył, że wśród Mongołów napotyka się nazwy, odnoszące się do zwierząt, ptaków, owoców, kruszców. a dalej pisze²: „W tych okolicach znajdują się trzy wielkie wioski, z których każda liczy dwa do trzech tysięcy ludności; otóż wszyscy mieszkańcy każdej wioski mają jedno tylko nazwisko, mianowicie w jednej wszyscy noszą nazwę ‚Koniał‘, w drugiej ‚Barana‘, w trzeciej ‚Wołu‘. Co więcej, wedle ściśle przestrzeganego prawa, małżeństwa nie mogą być skojarzone w jednej i tej samej wiosce, i tak mężczyzna ‚Koniał‘ nie może się żenić z niewiastą, która nosi nazwę ‚Koniał‘, lecz albo z niewiastą ‚Baran‘ albo ‚Wołu‘. Ten zwyczaj daje do myślenia, że te nazwy zwierzęce były niegdyś *totemem* tych pokoleń“.

Szczególne uszanowanie, a nawet cześć, jaką wszystkie ludy sybirskie okazują zwierzętom, jest prawdopodobnie pozostałością po dawnym totemizmie.

Etnografowie rosyjscy podają w swych badaniach³ szczegóły, dotyczące się czci, jaką te ludy otaczają cały świat zwierzęcy. Kameczadali, Hiliacy, Wotjacy i Ostjacy okazują niezwykle poważanie dla niedźwiedzia. Castren w swych „Podróżach po Syberyi“ mówi, że u Ostjaków „przysięga na paszczę niedźwiedzia nigdy nie bywa złamana“. Wotjacy, według Michaj-

¹ „La plupart des Kalmouks ont même oublié leurs noms de baptême et ne se connaissent que sous leurs appellations tartares, tirées presque toutes de l'histoire naturelle: Chien, Loup, Vautour, Corbeau... De même que plusieurs autres populations finnoises, les Vogoules ont des totems de famille, qu'ils se tatouent sur les mains, les bras, les jambas“. Reclus, *Nouv. Geogr. Univ.*, vol. vi, pp. 643, 677. Ob. rów. Поляковъ, Древняя и Новая Россія, 1879.

² *Systems of Consanguinity and Affinity*, by L. H. Morgan, p. 424.

³ Пашковъ, Шаманство въ Сибири. Меньшовъ, Этногр. очеркъ. Смирновъ. Вотяки.

łowskiego¹, spotkawszy niedźwiedzia, „zdejmują czapki, kłaniają się, a nawet upadają na kolana“. Czuwasze i niektóre pokolenia kameczadalskie wielkie uszanowanie okazują wilkowi, Burjaci jeźwii, Wogulowie wężowi, Czeremisy owcy i myszy. Górale altajscy nie zabijają nigdy łabędzia, jastrzębia, jaskółki i gołębia. Lecz ludy te nie ograniczają się li tylko na okazywaniu poważania zwierzętom, idą one dalej.

Wszystkie ludy sybirskie mają przeświadczenie, że duchy, mające wpływ na dolę człowieka, wcielają się w zwierzęta, a stąd, żeby sobie zapewnić ich pośrednictwo, należy je sobie zjednać. W tym celu używają różnych zabobonnych środków, które stanowią właściwie kult zwierzęcy; etnografowie rosyjscy nie wahają się nazywać tej czci *zoolatryą*. Otóż, jeżeli teraz weźmiemy na uwagę, że obok tego kultu zwierząt, ludy sybirskie oddają kult zmarłym przodkom, a nadto, że wyprowadzają ród swój od zwierząt², wówczas słusznie wniesć można, że kult zwierzęcy jest pozostałością po totemizmie.

Starzy kronikarze chińscy, jak to już w swoim miejscu wspomnieliśmy, przekazali nam wiadomość, że ksiązę Kom-gun panował nad pokoleniami: Niedźwiedzia, Pantery, Niedźwiedzia Centkowego, Lisa, Dzika; ministrowie cesarza Szun'a, z XXIII. w. przed Chr., nosili nazwy: Lis, Tygrys, Niedźwiedź, Straszny Niedźwiedź. Z tego powodu mówi Legge³: „Dwór Szun'a był podobny do Rady czerwono-skórych Indian“.

Porównanie Legge'a jest całkiem słuszne, albowiem wśród ludów pasa północnego, totemizm występuje najwybitniej w Północnej Ameryce.

Wyraz *totem*, a właściwie *otem*, jest wzięty z narzecza ludu Odżibwa, osiedlonego w okolicach Jeziora Wyższego (Lake Su-

¹ Шаманство, стр. 42.

² Wiele ludów Środkowej Azji wywodzi swój początek od zwierzęcia. I tak ludy Tele utrzymują, iż są potomkami Wilka i księżniczki z rodu Hunów; Tugowie wyprowadzają swe drzewo genealogiczne od Wilczycy i Tufana, Tybetanie od Psa, Chanowie mongolscy od Niebieskiego Wilka i Białej Łani. Burjaci utrzymują, że pierwszy szaman urodził się z „Orła“ i niewiasty burjackiej. M'Lenan, *Fortnightly Review*, vol. VI, new ser.

³ *Chinese classics*, vol. III, p. 46.

perior). Lud Odżibwa dzieli się na dwadzieścia trzy pokoleń, każde z nich ma swój własny totem; totemami ich są: zwierzęta czworonożne, ptaki, ryby i płazy. Do niedawna jeszcze cały szczep Algonkinów, którego jedną odroślą jest lud Odżibwa, dzielił się na klany, różniące się swemi totemami.

Irokezi dzielą się również na klany, które za totem mają zwierzęta: „Dzieci przybierają totem swej matki; jeżeli matka należy do klanu „Niedźwiedzia“, syn jej do klanu „Niedźwiedzia“ jest zaliczony; nie może on brać za żonę dziewczyny z klanu „Niedźwiedzia“, lecz ją wybiera w innym, w klanie „Dzika“ lub „Czapli“¹.

Na wybrzeżach południowej Alaski żyje plemię, które daje sobie nazwę *Thlinkitów*, tj. „Ludzi“, przez Rosyan nazywani są *Koloszami*². Koloszowie dzielą się na liczne klany, które swe nazwy biorą od zwierząt. Każdy z dwóch głównych klanów, „Kruk“ i „Wilk“, rozpada się na wiele innych pomniejszych: „Żaby“, „Gęsi“, „Sowy“, „Orły“, „Niedźwiedzie“, „Rekiny“, „Wieloryby“ i t. d. U tych ludów przed każdą chatą stoi rzeźbiony słup drewniany, 10 do 15 metrów wysokości, przedstawiający zwierzę, płaz lub ptaka, który jest totemem mieszkańców chaty. Czasami dwa znajdują się totemy, jeden przedstawia totem ojca rodziny, a drugi matki. Podobne słupy totemowe posiadają Haidowie z angielskiej Kolumbii, i Nutkowie, mieszkający na Vancouver.

Pomniki, sypane z ziemi, lub wyciosane z kamienia na grobach zmarłych, wyobrażające kształty zwierząt, płazów i ptaków, przedstawiają niewątpliwie totemy pogrzebionych³; niebawem pomówimy o tem obszerniej.

Wogóle każde pokolenie północnych Indyan amerykańskich, które zachowało swe dawne zwyczaje i nie złało się jeszcze

¹ Tylor, *Anthr.*, p. 403.

² Iwan Petrow, *United States Census in 1880*, vol. VIII.

³ „Le symbolisme patriotique et religieux a certainement déterminé la forme des nombreux ouvrages en terre dont le profil représente des otem ou animaux protecteurs, ours, élans ou panthères, tortues ou lézards, hérons ou grenouilles: on les trouve dans tous les Etats de l'Ouest, et principalement dans le Wisconsin“. Reclus, *Nouv. Géogr. Un.*, vol. XVI, p. 34.

z „Błademi twarzami“, ma swój totem. W r. 1849 Czipecjowie wystosowali do prezydenta Stanów Zjednoczonych prośbę, w której zanosili skargę na osadników amerykańskich; otóż zamiast podpisu, umieszczone były tam rysunki różnych zwierząt, które przedstawiały totemy pojedynczych klanów. Dla Indyanina, totem jest herbem rodzinnym, którym tak się szczyci, jak grand hiszpański, lub lord angielski. Ta cecha tak jest charakterystyczną, iż Maury uważa ją za dowód jedności ludów amerykańskich¹.

W miarę napływu osadników europejskich, klany traciły swój dawny charakter, pozbywały się totemu i totemizmu. Rzeczą jest nader prawdopodobną, że totemizm ludów północnych Europy uległ podobnemu losowi: ludy fińskie, wyparte ze swych siedzib przez potomków Jafeta, przekazały swe totemy zwycięzcom; ślady jego odnajdują się w herbach królestw, miast i rodów ludu aryjskiego.

Jak w Azji, tak i w Ameryce wszyscy członkowie klanu, mającego ten sam totem, uważają się za jedną rodzinę, dla przedmiotu zaś, od którego wzięta jest nazwa totemu, okazują niezwykle poszanowanie i nazywają się jego „synami“². Żaden myśliwy nie śmie strzelać do zwierzęcia swego totemu, a jeżeli je zabije przypadkiem, musi odbyć stosowną pokutę; przedmiot też totemu nigdy nie bywa używany za pokarm przez członków klanu, należących do tegoż totemu.

Niejednokrotnie zadawano sobie pytanie, dotyczące genezy totemizmu; wnioski, do jakich doszli ostatniemi czasy antropologowie, zdają się być całkiem słuszne.

Przydomek, dany wybitniejszemu mężowi, stawał się jego nazwiskiem, przechodził na jego dzieci i potomków, był początkiem drzewa genealogicznego nowej rodziny, a z czasem i całego pokolenia³; rzecz ta nie ulega wątpliwości, u wszystkich

¹ „Le généralité de l'usage des totems n'est point un des indices les moins frappant de la parenté originelle des tribus nord-américaines“. A. Maury. *La terre et l'homme*, p. 624.

² Adair, *History of the North American Indians*.

³ „From the practice of naming, first individuals, and then their families, after particular animals“. Sir John Lubbock, *Origin of Civilisation*, p. 253.

niemal ludów i po wsze czasy taki był i po dziś dzień jest jeszcze ten sam zwyczaj. Rzeczą nieco trudniejszą jest wytłumaczyć uszanowanie i cześć, jaką lud przywiązywał do przedmiotu, od którego brał nazwę totem. Jednakże, jeżeli weźmiemy na uwagę, że wszystkie najdawniejsze, przedhistoryczne ludy, jak to archeolodzy wywodzą, wierzyły w życie przyszłe, a tem samem w nieśmiertelność duszy; dalej, że w bardzo odległych czasach ujawnia się u ludów rasy żółtej, i z nią pokrewnych, kult przodków zmarłych, który istnieje dotąd tak w Syberyi, jak i w Ameryce; wreszcie, jeżeli sobie przypomnimy, że niektóre ludy w Indyach, a te ludy były właśnie Turajskie ¹, przed Buddyzmem jeszcze, wierzyły w przechodzenie dusz — wówczas cześć, okazywana przedmiotowi, przedstawiającemu totem, zdaje się być wytłumaczalną. I tak, wszyscy członkowie klanu, który miał „Wilka“ za totem, uważali się za synów „Wilka“, tj. za potomków tego przodka, od którego rzeczywiście pochodzili, a który pierwszy nosił nazwę „Wilka“. Otóż, jeżeli dusza patryarchy „Wilka“ miała się wcielić w jaki przedmiot na ziemi, najodpowiedniejszym było właśnie zwierzę wilk, które mieli w swym totemie — wilkowi tedy należy się cześć. Taką genezę totemizmu podają angielscy etnolodzy ², i to przypuszczenie tłumaczy dobrze, a nawet jedynie, niezrozumiałe i całkiem zagadkowe oddawanie czei i ubóstwienie zwierząt u ludów, które w starożytności stały na wysokim stopniu kultury.

Ks. Wł. Zaborski.

¹ Ob. *Religie Aryów Wschodnich*, str. 356 i dalsze.

² „The Redskin who regards the bear, or the wolf, as his totem, feels that he is in intimate, though mysterious, association with the whole species... A family, which was called after the bear, would come to look on that animal first with interest, then with respect, and at length with a sort of awe“. Sir John Lubbock, *Origin of Civil.*, pp. 327, 253.

Daleko gruntowniej zapatruje się E. B. Tylor, oto co pisze: „As to animal-worship, when we find men paying distinct and direct reverence to the lion, the bear, or the crocodile, as mighty superhuman beings, or adoring other beasts, birds, or reptiles as incarnations of spiritual deities, we can hardly supersede such well-defined developments of animistic religion, by seeking their origin in personal names of deceased ancestors, who chance to be called Lion, Bear, or Crocodile“. *Primitive Culture*, vol. II, p. 215.

KSIĄŻĘ JAKUB KURLANDZKI I JEGO NASTĘPCY.

I.

Podzielając najzupełniej zdanie, wypowiedziane przez jednego z nowszych historyków ¹: „książę kurlandzki Jakub był władcą, którego znakomite przymioty niewątpliwie stanowiłyby ozdobę nawet najpotężniejszego tronu“, nie wahamy się przypomnieć, chociażby w krótkim zarysie czytelnikom naszym, genialną działalność tego lennika dawnej Rzpltej polskiej, z którym chwilowa świetność Kurlandyi bezpowrotnie zstąpiła do grobu. Gdyby go losy na większej widowni umieściły — zauważył trafnie najnowszy historyk kurlandzki ² — imię jego byłoby uwiecznione w dziejach powszechnych świata. Obecnie zaś, poza obrębem Kurlandyi, tak dalece bywa to imię zapominane, że słynny autor dziejów polityki pruskiej ³, zaledwie raz jeden mimochodem je wspomina i przytem daje księciu Jakubowi imię Jana! A jak bardzo nie dopisała tym razem sławiona powszechnie gruntowność niemiecka, o tem przekonamy się niebawem. Przepomniął bowiem najzupełniej autor „Dziejów polityki pruskiej“ zastanowić się nad tem, jak dalece ożywionemi i ścisłemi były stosunki polityczne księcia Jakuba ze szwagrem jego, ele-

¹ Rühs, *Geschichte Schwedens*, v, 130.

² H. Diederichs, *Herzog Jacobs von Kurland Kolonien*. (Mitau 1890, in 4^o), str. 4.

³ Droysen, *Geschichte der preussischen Politik*, III, 3, str. 168 w wydaniu drugim.

ktorem brandeburskim, zwłaszcza w ciągu pierwszej połowy jego panowania, a także nad tem, jak głęboko był on wpleciony w całą ówczesną politykę polsko-szwedzką! Fakt powyższy, zdaniem naszym, wykazuje wymownie, że wspomnienie czytelnikom o tym władcy lenniczego państewka Rzpltej polskiej i jego właściwem stanowisku dziejowem, jest nie tylko dostatecznie uzasadnione, ale całkiem na dobie.

O latach młodościowych genialnego księcia braknie i dotąd jeszcze szczegółowych wiadomości. Napróżno ich szukaliśmy w rozprawie profesora Teodora Schiemana: *Herzog Jacob von Kurland*, ogłoszonej w *Allgemeine deutsche Biographie*¹. Nie dopisuje więc gruntowność drugiego już z rzędu profesora berlińskiego.

Lata pacholece spędzał książę już to w Mitawie, przy stryju swoim, księciu Fryderyku i jego małżonce księżnej Elżbiecie Magdalenie (córcie Ernesta Ludwika, księcia pomorsko-szczecińskiego), już to na Pomorzu przy ojcu banicie², dokąd mu zwykle towarzyszyła księżna Elżbieta Magdalena, będąca dla niego przez całe życie drugą matką³.

Studia uniwersyteckie odbywał młody książę w Rosztoku i Lipsku. Następnie zaciągnął się do polskich szeregów i walczył pod wodzą króla Władysława IV. przeciw Moskwie pod Smoleńskiem, poczem, jeszcze za życia stryja, udzielił mu król polski inwestytury (1639 r.), i dlatego, gdy umarł książę Fryderyk, objął Jakub rządy bez przeszkody w dniu 15 sierpnia 1642 r.

¹ Tom XIII, str. 540—546 (Lipsk 1881 r.).

² Ojciec księcia Jakuba, Wilhelm, książę kurlandzki (młodszy syn Gotarda, pierwszego księcia Kurlandyi i Semigalii), był skazanym na banicję w maju 1616 r. przez króla polskiego Zygmunta III.; matkę zaś, księżnę Wilhelminę, stracił Jakub jeszcze w ciągu roku 1610; zmarła w Goldyndze, rezydencji księcia Wilhelma, położonej nad rzeką Wentą.

Obacz: Seraphim, *Herzog Wilhelms Exil und Ende*, rozprawa ogłoszona w *Baltische Monatsschrift* z r. 1892, tom XXXIX, na str. 513—532. Jest to najnowsza praca o polskim banicie Wilhelmie Kettlerze.

³ Obacz: E. Seraphim i A. Seraphim, *Aus Kurlands herzoglicher Zeit, zwei Fürstengestalten des XVII. Jahrhunderts* (Mitawa 1892 r.). Pracę tę omawialiśmy obszernie w *Kwartalniku historycznym*, rocznik VII, zeszyt I, na str. 150—157.

Nowy książę, człowiek bardzo wykształcony, zaprawiony do rządów (bo od trzech lat był już współregentem stryja), niepomrotnie uzdolniony, ambitny, choć z natury nader gwałtowny (jak ojciec jego), przeszedłszy jednak twardą szkołę doświadczenia, nauczył się hamować i usilną pracą wewnętrzną wyrobił w sobie pełen godności spokój, który go nie opuszczał w najtrudniejszych nawet i najdrażliwszych położeniach.

Smutny przykład ojca, który jako banita tułał się po świecie i napróżno pukał do królów i książąt — silnie się utrwalił w jego pamięci. Dlatego to pierwszy zaraz krok, który uczynił po objęciu rządów, był natury pojednawczej.

Bezpośrednio po zgonie Fryderyka wniosła szlachta rycerska aż 59 zażaleń treści najrozmaitszej, w których liczbie atoli nie brakło także uzasadnionych uroszczeń.

Nie życząc sobie wcale rozpoczynać panowania od zatar-gów z uprzywilejowaną, a w owym czasie prawdziwie potężną klasą społeczną, zgodził się książę Jakub na wszystkie mniej lub więcej uzasadnione wymagania kurlandzkiego rycerstwa, uwzględnił niemal wszystkie pretensye, czem szlachtę całą od razu sobie pozyskał i zobowiązał. Potrzeba było tak znaczną ofiarą okupić pokój niezbędny wewnątrz kraju, aby mózdz bez przeszkody przystąpić do urzeczywistnienia śmiałych pomysłów, z którymi się nosił książę.

Widząc dobrze, ile nad tem cierpiała Kurlandya, że, jako lennicze państewko Rzpltej polskiej, musiała uczestniczyć w walce ze Szwecyą, dążył Jakub systematycznie do tego, aby swój lenny stosunek do Polski albo zupełnie rozwiązać, albo przynajmniej uwolnić się od obowiązku udzielania jej w czasie wojennym zbrojnej pomocy i u obu stron uzyskać uznanie Kurlandyi za państwo neutralne.

Ku temu, jasno wytkniętemu celowi, zwrócił książę Jakub swe zabiegi już w pierwszych leciech swego panowania, gdy na mocy sztumdorfskiego traktatu panował pokój pomiędzy Szwecyą a Polską¹.

¹ Jak czytelnikom polskim wiadomo, król Władysław IV. zrywał stanowczo z zewnętrzną polityką ojca swego Zygmunta III., jak zerwał z we-

Wiedząc, że dla otrzymania zgody obydwóch interesowanych mocarstw na ten projekt i dla odegrania roli samodzielnego, niezależnego księcia, potrzeba mu będzie wielkich środków pieniężnych — postanowił ten genialny lennik Rzpltej polskiej wyszukać nowe źródła osobistych i krajowych dochodów, zaopatrzyć wycieńczony skarb i założyć fundamenta przyszłego dobrobytu materyalnego. Z tej części swego niełatwego zadania wywiązał się książę Jakub znakomicie i do niesłychanie świetnych doszedł rezultatów.

W przeciągu lat kilkunastu z wyczerpanej i nader zaniedbanej prowincyi uczynił kraj isticie zamożny i kwitnący, a nawet zdobył poważne stanowisko w rządzie państw morskich, wybudowawszy flotę, złożoną z 15 nieuzbrojonych i z 44 uzbrojonych okrętów, z których każdy dźwigał na sobie kilkadziesiąt dział, nadto zaś 60 dużych okrętów handlowych i mnóstwo pomniejszych ¹.

wnętrzną, a postarawszy się o poważną demonstracyę wojenną w Prusiech, popartą uchwałami gotowości zbrojnej na sejmie w roku 1635 (obacz *Vol. leg.*, wydanie J. Ohryzki, Petersburg 1859 r., tom III, str. 402 i 403), przyjął rozejm 26-letni w położonym w pobliżu Malborga Sztunsdortie. powracający Polsce Prusy i wariujący dla Polski nader smutne *uti possidetis* w Inflantach, a więc tylko trakty dynaburski, maryenhawski, łucyński i rzeżycki, stanowiące następnie osobne województwo inflanckie.

¹ Przechowyany starannie w kurlandzkim Muzeum prowincjonalnem rękopism Weyganda wylicza sumiennie na str. 186 imiona wszystkich 44 uzbrojonych statków księcia Jakuba, których wierne podobizny niegdyś zdobiły bogato ornamentowany pułap wielkiej sali zamkowej w Goldyndze. Są to wszystko imiona łacińskie lub francuskie, jak na przykład: *Invidia*, *Pietas*, *Espérance* i t. d. Wylicza je także Mirbach w swoich popularnie pisanych *Kurische Briefe*, tom II, str. 292—294, i odwołując się najwyraźniej do rękopismu Weyganda, daje owym 44 statkom imiona czysto niemieckie. I tak, zamiast *Invidia* pisze — *Neid*, zamiast *Pietas* — *Frömmigkeit*, zamiast *Espérance* — *Hoffnung* i t. p. Co najzabawniej, to, że nawet dla wykonawcy tych podobizn na pułapie sali książęcej w Goldyndze, zdołał wynaleść ten szowinista niemiecki w bujnej wyobraźni swojej nazwisko całkiem germańskie *Eichhorn*, o którym jego źródło (przytoczony powyżej Weygand) nie wspomina zgoła. To też słusznie unikają dzisiejsi historycy kurlandcy odwoływania się w pracach swoich do owych fejletonowym sposobem kreslonych „listów“ Mirbacha, który w jednym z nich odkrycie kartofla odnosi do wieku XVII!

Nie narażając siebie i swych poddanych na groźne niebezpieczeństwo wątpliwych zawsze wojen, zyskał książę Jakub nie tylko wielkie skarby, lecz także zdołał sobie zjednać rozgłos niemały i szeroką sławę; stał się bowiem twórcą rozległego handlu morskiego na północy. Handel ten prowadził z dalekimi ładami, przewożąc płody obcych części świata do wszystkich europejskich portów, i naodwrot, zwożąc daleko towary i produkty rodzinne, sprowadzając z najrozmaitszych stron zdolnych fabrykantów, dając im w księstwie kurlandzkim szerokie pole do pracy i zarobek sowity¹.

Zawarłszy korzystne i dogodne dla siebie traktaty handlowe z Francją i Anglią, miał stosunki z Wenecją i papieżem, który, według niezem nieuzasadnionych przypuszczeń prof. Teodora Schiemana, miał się rzekomo łudzić nadzieją pozyskania dla katolicyzmu tego zdolnego władcy. Liczniejsze atoli stosunki (o których nie wspomina zgoła pan Schieman w biografii księcia, ogłoszonej w *Allgemeine deutsche Biographie*) miał ten lennik Rzpltej polskiej z Hiszpanią². Dostarczał także książę Jakub obcym krajom własnego i litewskiego zboża po nierównie tańszych cenach, niż opanowana przez Szwedów Ryga, której wysokie cła współzawodniczyć z nim nie pozwalały.

Te nader ważne przedsiębiorstwa handlowe ułatwiały mu kolonie³, założone na wybrzeżach Gwinei, na wyspie św. Andrzeja

¹ Ciekawe szczegóły o stosunkach handlowych księcia Jakuba podaje jedna z nowszych prac p. E. Seraphim'a, ogłoszona w czasopiśmie *Baltische Monatsschrift* z r. 1890 pod tytułem: *Kolonialpolitische Streifzüge ins XVII. Jahrhundert*.

² Obacz rozprawkę A. Seraphim'a pod tytułem: *Die Beziehungen des Herzogs Jacob von Kurland zu Spanien*, ogłoszoną w *Sitzungsberichte der kurländischen Gesellschaft für Literatur und Kunst aus dem Jahre 1890*. Mitawa 1891 roku. Rozprawa ta, nader ciekawa, istnieje także w osobnej odbitce.

³ Obszerne mapy geograficzne tych licznych niegdyś kolonij kurlandzkich zdobyły na wystawie historycznej w Mitawie z r. 1886 ściany tejeż komnaty, w której mieściły się pod witrynami główne traktaty handlowe dzielnego księcia Jakuba i rozmaite dokumenty, odnoszące się do jego iście niezmordowanej działalności. Obacz nasze „Listy z nad Bałtyku“, Kraków 1886, str. 98. Najbardziej zastanawiał publiczność na tej wystawie historycznej, olbrzymią żółtą pieczęcią na nim przewieszoną, traktat han-

i na Tobago, jednej z najpiękniejszych wysp między małemi Antyllami, nazywanej rajem ziemskim¹.

W kraju założył mnóstwo fabryk, jak papieru, sukna, obić pokojowych i t. p., bardzo gorliwie oddawał się też wyrabianiu materyałów wojennych.

„Pragnąc rozrządzać większemi zasobami surowych płodów, nie tylko od Szwecyi zakupił znaczne dobra na Pomorzu, lecz nadto od rządu duńskiego kopalnie żelaza w Norwegii, i ostatecznie tyle na tem polu dokazał, że mógł zaopatrywać w wojenne potrzeby wielkie mocarstwa europejskie. Anglii, a mianowicie Karolowi I. i II., dostarczał długo okrętów, broni, amunicyi, prochu i różnych zapasów. W r. 1649 zaproponował Francyi, że jej dostarczy ośm do dziesięciu tysięcy żołnierzy, 25 do 30 okrętów całkowicie uzbrojonych i zaprowiantowanych, a układ dlatego tylko nie doszedł do skutku, że strony nie mogły się porozumieć co do ceny“².

Wzrósłszy tak w siły i w zasoby, śmiałym krokiem zdążył książę Jakub do ziszczenia głównego przedmiotu swoich marzeń. Agenci jego dokładali w Sztokholmie wszelkich starań, aby, na wypadek wojny, zapewnić swemu panu neutralność.

Dopiął on wreszcie celu, ale za cenę ustępstw, które uwłączały Rzpltej jako lennei pani księstwa kurlandzkiego i semi-galskiego. Na dniu 4 czerwca 1647 r. podpisał Jakub akt, którym, zapominając całkowicie o świętych powinnościach wasala,

dlowy, zawarty w Westminsterze pomiędzy Oliwerem Kromwellem a księciem kurlandzkim Jakubem, dnia 17 lipca 1657 r. Pieczęć, bez żadnej przykrywy, przechowała się wybornie.

¹ Porównaj źródłową pracę kurlandzkiego historyka H. Diederichs'a: *Herzog Jacobs von Kurland Kolonien an der Westküste von Afrika*. Mitawa 1890, str. 41, w 4-ce i 2 mapy faksymilowane, nader ciekawe, naśladujące wykonane w XVII. stuleciu oryginały.

Porównaj także J. Chr. Praetorius: *Tobago insulae Curaiibicae in America sitae fatum*. Limburg 1705.

Porównaj nakoniec artykuł H. Sewigh'a p. t. *Eine kurländische Colonie*, ogłoszony w wychodzącem w Rydze czasopiśmie: *Baltische Monatsschrift*, t. XXI, na str. 1—10.

² Obacz G. Manteuffel, „Listy z nad Bałtyku“. Kraków 1889, str. 99, oraz *Przegląd Powszechny*, t. XV, str. 323.

zobowiązał się nie udzielać Polsce wojennej pomocy, zamknąć swe porty dla Polaków, a otworzyć je Szwedom.

Trzeba przyznać, że był to akt zdrady względem suzerena, a sami nawet obrońcy Jakuba tyle tylko umieją powiedzieć na jego korzyść, że czynił wszystko co mógł, aby nie dopuścić do wojny, w którejby mu wypadło odegrać tak niezaszczytną rolę, a że w żadnym razie nie byłby spełnił warunków, które, jedynie koniecznością zniewolony, pozornie przyjął (*sic!*)¹.

Z niezmordowaną energią działając dla utrzymania pokoju osobiście i przez swych licznych agentów dyplomatycznych, których, za przykładem potężnych monarchów świata, miał na wszystkich dworach europejskich — nie zdołał atoli Jakub zapobiedz wybuchowi wojny.

Bezowocnie spełził pokojowy kongres dyplomatyczny, za jego głównie sprawą zwołany 1651 r. w Lubece, na którym zasiadało dwóch posłów kurlandzkich, a pośrednictwo księcia Jakuba opóźniło tylko rozpoczęcie wojennych kroków, zamiast im przeszkodzić. Dzięki niezwykłej zręczności, jaka go cechowała, potrafił wyjednać sobie neutralność nie tylko od Szwedów, ale w roku 1655 od Moskwy, gdy z kolei i ta wystąpiła do walki z Rzplłą.

Rozporządzając olbrzymimi sumami, usuwał pomyślnie takie nawet przeszkody, które misternie przezeń wzniesionemu gmachowi neutralności groziły całkowitem rozbięciem². Kiedy hetman Aleksander Gosiewski rozłożył swe wojska w Kurlandyi, księżę Jakub, nie chcąc dać Szwecyi powodu do zerwania układów, znalazł nań nierównie skuteczniejszy środek. Ofiarą dziesięciu tysięcy ówczesnych talarów bitych, skłonił go do dobrowolnego odwrotu z granic księstwa i rozłożenia się na Litwie.

¹ Porównaj artykuł T. Schiemana w *Allgemeine deutsche Biographie* p. t.: *Herzog Jacob von Kurland*, t. XIII, str. 540 i nast.

² Znany jest nawet w Polsce medal z popiersiem kurlandzkiego księcia Jakuba i napisem: *Ich bin ankerfest*, odnoszący się oczywiście do owego przezeń sztucznie, z pewną reklamą wznoszonego „gmachu neutralności“. Obacz Raczyński, 260. Medal ten figurował na wystawie zabytków XVII. wieku w Krakowie w r. 1883. Obacz Katalog wystawy, str. 134, numer 57.

Role pośrednika odgrywał zrazu z niemałym powodzeniem. Podczas gdy już dokoła rozlegał się szezek oreża, Mitawa była ogniskiem dyplomatycznych układów pomiędzy Polską, Szwecją, Danią i Moskwą. Zręczny władca księstwa kurlandzkiego, aczkolwiek tylko lennik, panujący nad szczupłym państwkiem, działał z tak niezwykłym mistrzowstwem, że, traktowany niemal na równi z monarchami, ze wszystkimi żył w zgodzie, każdemu umiał okazać się potrzebnym; w istocie — jakeśmy już wykazali powyżej — dbał jedynie o dobro własnego kraiku.

Tymczasem król szwedzki, Karol Gustaw, postanowił nie tylko nie przestrzegać nadal warunków układu z Jakubem, lecz nawet postąpić z tym księciem bezwzględnie i niegodnie. Ciężył mu niedogodny układ z księstwem kurlandzkim i semigalskim, ale znosił go w nadziei, że to małe państwko lennicze z czasem sobie zdoła pozyskać. Gdy jednak oczekiwania nie ziściły się, a dwuznaczne postępowanie księcia Jakuba coraz większe u przewrotnego Szweda wzniewało obawy, postanowił niesumienny ten monarcha nagłym czynem przemocy i gwałtu stanąć u celu. Zamach był obmyślany z oburzającą złą wolą i złośliwością.

W chwili, gdy poseł kurlandzki, baron Fireks, układając się w Sztokholmie o wieczystą neutralność księstwa, odbierał właśnie najbardziej uspakajające odpowiedzi, polecał Karol Gustaw feldmarszałkowi Duglas'owi ująć podstępnie księcia i opanować całe księstwo. Dnia 19/30 września 1658 roku, wśród ciemnej nocy jesiennej, Rupert Duglas stanął pod dawnym zamkiem mitawskim, którego mieszkańcy w twardym śnie pogrążeni byli, wyciął strażę, opanował zdradziecko wały i wdarł się bez przeszkód do zamkowych komnat. Samego księcia rozbudzili na pastniey i brutalnie wyciągnęli z łóżka, przyczem i w książęcych komnatach nie obyło się bez krwi rozlewu. W oczach małżonki Jakuba, księżnej Ludwiki Karoliny, żołnierz szwedzki uciął rękę jednemu z jej najwierniejszych dworzan, skutkiem czego w dni kilkanaście po tym wypadku księżna powiła syna, który przyszedł na świat o jednym tylko ramieniu¹.

¹ E. Seraphim i A. Seraphim: *Aus Kurlands herzoglicher Zeit, zwei Fürstengestalten des XVII. Jahrhunderts* (Mitawa 1892, str. 248, w 8-ce). Pracę tę

Niesłychany gwałt, popełniony na osobie Jakuba i jego państewku, usiłowali usprawiedliwić najezdniczy manifestem, w którym brak przekonywających dowodów i argumentów zastępowały niesmaczne porównania.

Katastrofa z d. 19 września, zamiast zbliżyć księstwo kurlandzkie do Szwecyi, wytworzyła owszem między nimi przepaść nieprzebytą. Napróżno wzywał Rupert Duglas pojmanego księcia, aby złożył hołd Karolowi Gustawowi, napróżno wzywał szlachtę kurlandzką, aby pod utratą życia i mienia stawiała się na sejm do Mitawy. Jakub, mimo pogroźek, odmówił nader stanowczo, a szlachta rycerska nie tylko nie myślała posłuchać groźnego rozkazu najezdniczki, lecz z bronią w ręku opuszczała swe dwory i zamki, spiesząc do polskiego obozu.

Wtedy chwycił się Duglas jeszcze bardziej wstrętnego środka: wydał manifest, uwalniający włóścian od przysięgi i wzywający ich do mordowania szlachty, za co im obiecywał, że zostaną wolnymi na zawsze. Lud łotewski atoli nie uległ zdradnym podszeptom wroga, już to dlatego, że z natury swej więcej dobrych niż złych posiada skłonności, już to z obawy przed krwawym odwetem po spodziewanem ustąpieniu najezdników.

Uprowadzony najprzód do szwedzkiej podówezas Rygi, gdzie już w dniu 7/18 października powiła mu księżna Ludwika Karolina syna Aleksandra o jednym tylko ramieniu, później do położonej obok miasta Narwy twierdzy Iwangrodzkiej, odpokutował książę Jakub gorzko swe ambitne marzenia i dążności, do których urzeczywistnienia nie miał sił dostatecznych.

Zgubiła go zbyt pewność siebie, zbyt zarozumiałe przekonanie, że polityczna zręczność zapewniła mu całkowite bezpieczeństwo, podczas gdy okazało się, że Karol Gustaw był nie równie przebieglejszy.

Straty, jakie poniósł, dostawszy się do szwedzkiej niewoli, były ogromne. Osobiste jego szkody obliczają najnowsze prace źródłowe kurlandzkie na przeszło siedm milionów

omawialiśmy obszernie w wychodzącym we Lwowie *Kwartalniku historycznym*, rocznik VII, zesz. I, na str. 150—157.

talarów ówczesnych¹, a ileż straciło całe księstwo kurlandzkie i semigalskie?

Najeźdźnicy zabierali i łupili cokolwiek im wpadło w rękę, zostawując po sobie ruiny i zgliszcza. Całkowitemu zniszczeniu uległa starodawna Goldynga wraz z zamkiem książęcym. Niszczono miasta i wsie z zaciekłością iście barbarzyńską. Mszczono się tak za to, że wierna szlachta kurlandzka walczyła w polskich szeregach.

Upadłszy nagle ze szczytu ziemskiego powodzenia w przepaść nicestwa, zmuszony był niejako Jakub do przyglądania się z więziennej celi, jak cały jego ruchomy majątek, począwszy od skarbów pieniężnych, a kończąc na flocie, przechodził bezkarnie w ręce napastnika, jak wszystko, co się unieść nie dało, szło z dymem i wałało się w popiele².

Po dwóch latach, dzięki opiece króla Jana Kazimierza i Rzpltej polskiej, na mocy pokoju oliwskiego, odzyskawszy narreszcie wolność, zwątpił nawet Jakub o możności przywrócenia księstwu kurlandzkiemu dawnego dobrobytu, widząc, że najeźdca może w krótkim czasie zburzyć bezkarnie to wszystko, co on przez długie lata wznosił. Czynił wszakże aż do samej śmierci wszystko, co było w jego mocy dla podniesienia zrujnowanego przez Szweda kraju. W roku 1664 zawarł z Anglią traktat handlowy, podpisany przez króla Karola II., w którym atoli handel księstwa kurlandzkiego ogranicza się przeważnie już tylko do morza Bałtyckiego. Kolonie kurlandzkie w czasie gospodarstwa najeźdźników przeszły prawie wszystkie we władanie spekulantów holenderskich i na zawsze dla kraju zginęły. Dobrem natomiast powodzeniem cieszyły się miasta całego księstwa, w tej liczbie i nowo odbudowana Goldynga, a zwłaszcza Lipawa, Grobin, Bowsk i Windawa, zarówno jak nowo założone przez księcia Jakuba miściny Fryderychstadt i Jakobstadt.

We własnej atoli rodzinie sprawiał mu niemało smutku, urodzony w czasie katastrofy z r. 1658 syn jego książę Aleksan-

¹ Obacz H. Diederichs, *Herzog Jacobs von Kurland Kolonien* i t. d. (Mitawa 1890, w 4-ce).

² *Kwartalnik historyczny*, rocznik VII, str. 155.

der, który już w trzecim roku życia, z powodu słabowitego zdrowia, przewieziony został do Berlina, gdzie się nim wyłącznie opiekowała Ludwika, elektorowa brandeburska. Tam też do 10-go roku życia był wychowywany, młodociane zaś studia odbywał pod okiem ojca w Mitawie; po ukończeniu ich (1676 r.), pozostawał stale na dworze elektora, otrzymując od ojca sute utrzymanie, które mu jednak na hulaszczę życie nie wystarczało i do niesnasków rodzinnych ciągle dawało powody.

W tym czasie ustawicznych kłopotów pieniężnych, staje się ksiązę Aleksander przedmiotem kombinacyi politycznej. Księżniczka Ludwika Karolina Radziwiłłówna, córka księcia Bogusława, namiestnika pruskiego, a ostatniego przedstawiciela protestanckiej gałęzi Radziwiłłów, stosownie do woli ojca, mogła oddać swą rękę tylko protestantowi. Mimo to, jako bogata spadkobierczyni rozległych dóbr na Litwie, otoczoną była całym legionem konkurentów z katolickiej linii Radziwiłłów, a nawet sam król Jan III. pragnął ją widzieć swoją synową.

Tymczasem polscy protestanci zauważyli, że najwłaściwszym małżonkiem dla jedynaczki księcia Bogusława byłby niewątpliwie ksiązę Aleksander, a to nie tylko z powodu sąsiedztwa kurlandzkiego z rozległemi posiadłościami Radziwiłłowskiemi w północnej Litwie, ale i dlatego, iż jako ksiązę kurlandzki miał on indygenat polski. Ludwika Radziwiłłówna wyszła istotnie za protestanta. Nie był nim wprawdzie ksiązę Aleksander, ale brat jego cioteczny, Ludwik, margrabia brandeburski¹.

Na żądanie ojca miał się teraz ksiązę Aleksander poświęcić studjom uniwersyteckim, do których zrazu wielką zdradzał ochotę; atoli rozmaite okoliczności, a zwłaszcza ciągle kłopoty pieniężne i większy pociąg do wojaczki, niżeli do poważnych studiów, złożyły się na to, iż ostatecznie oddał się całkowicie karierze wojennej, mimo woli ojca, z którym stosunek jego coraz bardziej się rozluźniał tak, iż do księstwa kurlandzkiego nie

¹ Seraphim, *Aus Kurlands herzoglicher Zeit, Gestalten und Bilder*. Mitawa 1892.

przybywał zgoła¹. W tym czasie umarł, złamany głęboko odczuwanym smutkiem i znużony długiem bo aż 40-letniem panowaniem ksiązę Jakub, w dniu ostatnim grudnia 1682 roku.

II.

Świetność domu Kettlerów, wraz z genialnym księciem Jakubem, bezpowrotnie zstąpiła do grobu. Dzieje księstwa kurlandzkiego, aż do wygaśnięcia męskiej linii jego rodu, są odtąd pasmem klęsk, niepowodzeń i anarchicznych wybryków. Coraz większy upadek kraju idzie ręką w rękę z rosnącym z dnia na dzień nierzędem i wewnętrznym rozdarciem.

Niemalęj części tego dezorganizacyjnego dzieła dokonał w ciągu szesnastoletnich rządów (od r. 1683—1698) najstarszy syn i następca Jakuba, ksiązę Fryderyk Kazimierz, zamiłowany w niepomiernym zbytku i przepychu². Jakub, o którym król

¹ Dopiero po śmierci księcia Jakuba w r. 1683 zjawił się ksiązę Aleksander w Mitawie dla wykonania praw spadkowych, poczem uregulowawszy swoje stosunki pieniężne, zostaje mianowany pułkownikiem wojsk elektora brandeburskiego. A że elektorowi nie mało chodziło o usunięcie niezadowolonia, jakie na dworze polskim panowało z powodu małżeństwa margrabiego Ludwika z Radziwiłłówną, która za małżonkę dla syna królewskiego od dawna była upatrzoną, przeto wysłał na wiosnę r. 1684 do Warszawy siostrzeńców swoich, ksiąząt kurlandzkich, Ferdynanda i Aleksandra, dla powinszowania bohaterskiemu obrońcy chrześcijaństwa szczęśliwie dokonanej odsieczy wiedeńskiej i równocześnie przesłał królowi Sobieskiemu kontyngens z 2000 rajtarów złożony, jako zasilek wojsk polskich przeciw niewiernym Turkom. W liczbie ich byli obaj ksiązęta kurlandcy wraz ze swemi pułkami. A lubo ówczesna kampania turecka żadnego nie osiągnęła skutku, wojska brandeburskie najpiękniejsze od Jana III. otrzymały świadectwo. W parę lat później, gdy Sobieski, Rzplta wenecka i cesarz niemiecki przeciw Turkom na nowo oręż podnieśli, przyłączył elektor brandeburski do wojsk cesarskich 8200 Brandeburczyków, w ich liczbie także i batalion księcia Aleksandra, który na czele swych dzielnych hufców poległ w Węgrzech przeciw Turkom przy szturmie Budy dnia 6 sierpnia 1686 r. Patrz Seraphim, *Aus Kurlands herzoglicher Zeit, Gestalten u. Bilder. Zwei Fürstengestalten des XVII. Jahrhunderts.* (Mitawa 1892).

² Drastyczny lecz wierny obraz tej manii księcia Fryderyka Kazimierza do nadmiernego przepychu, podaje H. Diederichs w najnowszej pracy swojej pod tytułem: *Johann Casimir Brandt's Aufzeichnungen über Ereignisse und Hoffestlichkeiten aus der Zeit Herzog Friederich Casimirs von Kurland und*

szwedzki, Karol Gustaw, powiedział z przekąsem: „że jest zbyt bogatym na księcia udzielnego, za ubogim na króla“, nie mógł podczas 22 lat pokoju powetować w zupełności olbrzymich strat, w czasie dwuletniej niewoli poniesionych. Zapłacił on wprawdzie porozbijane przez najeźdźnika kasy, atoli nagromadzone na nowo skarby nie wystarczyły jego marnotrawnemu i dziwnie pyszałkowatemu synowi.

Fryderyk Kazimierz wstępował w ślady Ludwika XIV., nie bacząc, że co uchodziło potężnemu królowi Francyi, to było występkiem ze strony lenniczego książątka. A jednak ksiązę, bez względu na skutki, które stąd musiały wyniknąć, postanowił z niepozornej Mitawy zrobić mały Wersal.

Podniosły się w ten sposób niesłychanie wydatki, podczas gdy źródła dochodów nadzwyczajnie się uszczupliły. Niema już śladu handlu z Norwegią, Islandyą, wybrzeżami Gwinei i t. d. Niemale kwoty wpływały wprawdzie zawsze z handlu na Bałtyku i z wybornie zagospodarowanych dóbr książęcych, ale nie wystarczały dla dworu marnotrawcy, szybkim krokiem zdążającego do ostatecznej ruiny.

Szlachta rycerska, której imponował genialny a przezorny Jakub, lekceważyła jego pyszałkowatego syna; nie chciała mu składać hołdu, zanim nie uwzględni jej zażaleń, których było bez liku. Stosunek ten nie naprawił się i następnie, bo pretensye szlacheckie nie zostały załatwione, a tylko na później odłożone, niektóre zaś grawamina przekazano do decyzji królewskiej w Warszawie.

Umierając w 48 roku życia, zostawił Fryderyk Kazimierz zaledwie sześciolatniego syna, Fryderyka Wilhelma, którego mu urodziła druga jego żona, Elżbieta Zofia, córka brandeburskiego Fryderyka Wilhelma. Przed dojściem przeto książęcego pach-

*den nächstfolgenden Jahren 1689—1701. Herausgegeben von der kurländischen Gesellschaft für Literatur und Kunst. Bearbeitet von H. Diederichs. (Mitawa 1892, 47 stronic, w 4-ce). Te jedyne w swoim rodzaju notaty (*Aufzeichnungen*) Jana Kazimierza Brandt'a, który, jako sługa księcia Fryderyka Kazimierza, zapatruje się na wydarzenia i uroczystości dworskie ze swego czysto lokajskiego stanowiska, są równie ciekawe jak pouczające dla badaczy dziejów ówczesnych.*

lęcia do lat dojrzałych, miała rządzić krajem regencya. Chodziło tylko o to, komu to zadanie przypadnie.

Formula regiminis w swym paragrafie 4-tym przyznawała ją wyraźnie najwyższemu radcom (*consiliarii supremi*)¹, w których widziała naturalnych regentów małoletniego księcia.

Atoli wdowa po zmarłym Fryderyku Kazimierz, a także brat jego, wspominany w przypisku u samego końca rozdziału poprzedniego ksiązę Ferdynand, mniemali, że mają słuszny tytuł do rządów. A ponieważ żadna z tych trzech stron nie myślała ustąpić — przeto Rzplta, jako lenna pani, miała ostatecznie rozstrzygnąć, kto będzie kierował losami księstwa kurlandzkiego aż do chwili upelnoletnienia sześciolatniego księżątka.

Rozpoczęły się zabiegi w Warszawie.

Zrazu ubiegł wszystkich ksiązę Ferdynand jako generał-lejtnant w polskiej armii i już 18 lutego 1698 roku, w cztery tygodnie po śmierci brata, otrzymał od Augusta II. edykt, uznający go najformalniej opiekunem małoletniego i administratorem księstwa całego. Atoli brat księżnej wdowy, elektor brandeburski, Fryderyk Wilhelm, wymógł na królu, że ją mianował współ-opiekunką i współregentką, a raczej współadministratorką, i jej wyłącznie powierzył wychowanie syna.

Gdy i najwyższej zwierzchności krajowej nie można było odmówić udziału w rządach, powstał stąd zamęt i powszechne niezadowolenie. Powiększył się chaos, gdy czynny udział w zataргach wzięła rycerska szlachta kurlandzka.

Ze wszystkich stron wyprawiono do Polski protesta i poselstwa. Bóg wie, jak długo byłaby trwała ta wojna domowa, przeważnie papierowa i delegacyjna, gdyby na samym początku XVIII. stulecia, Karol XII., król szwedzki, nie wniósł w tę oko-

¹ „Supremi consiliarii sint hi: Landhofmeister, Cancellarius, Burggravius et Landmareschalcus, omnes quatuor Nobiles indigenae“. (Vidi: *Formula Regiminis Ducatum Curlandiae ac Semigalliae in Commis. Mitav. mense Martio anno 1617, promulgata*, a mianowicie § 4. Oddrukowywano ją kilkakrotnie. Znajduje się *in extenso* w kronice kasztelana J. A. Hylzena, umieszczona na str. 243—253).

licę wojny rzeczywistej, w czasie której książę Ferdynand z obawy przed zemstą Szwedów uszedł z kraju w lipcu 1701 roku.

Uwolniona od współzawodnika, księżna Elżbieta Zofia wyprowadziła do Karola XII., który przyrzekł ją wraz z dziećmi otaczać stale swoją królewską opieką. Tymczasem zajął on księstwo kurlandzkie i semigalskie, gospodarował w niem jak w kraju własnym, i nałożywszy na mieszkańców uciążliwe kontrybucye, ściągał tu coraz nowe oddziały zbrojne, a książęce dochody wpływały wyłącznie do szwedzkiej kasy.

Zawiedziona w swych płonnych nadziejach księżna wdowa, wyruszyła w r. 1701 z Mitawy do Berlina, skąd już nie wróciła do Kurlandyi, poślubiwszy wkrótce margrabiego de Brandenburg-Bajreuth.

Księstwo kurlandzkie, zostawione samemu sobie, pozbawione obrońców i opiekunów, było teraz przez czas długi teatrem wojny. Zajmowali je z kolei jużto Szwedzi, jużto Polacy i Rosyanie; kto chciał, pustoszył ten kraj, wycieńczony i zrujnowany. Pustki i ruiny zalegały tam, gdzie za księcia Jakuba wrzało bujne życie; chwasty i zielska zarastały pola, na których przedtem obfite złościły się kłosa. Nikt nie wiedział, kto właściwie był panem księstwa kurlandzkiego i semigalskiego: Fryderyk Wilhelm Kettler, czy jego matka, książę Ferdynand, najwyżsi radcy, August II., król Stanisław Leszczyński, Piotr I. car rosyjski, czy Karol XII.? Każdy z tych władców, wedle swego widzimisie, rozdawał i rozdzielał posady, ogłaszał prawa, rozpisywał podatki. Nie wiadomo było zgola, którzy urzędnicy byli w prawnym posiadaniu swych godności, jakie prawo należało uwzględnić i uznać, jakie podatki miały obowiązywać?¹

W listopadzie 1709 roku ogłosili najwyżsi radcy 17-letniego Fryderyka Wilhelma pełnoletnim i zażądali jego powrotu do kraju. Ten zaś, ukochwawszy pierwszą gorącą miłością przyjaciółkę

¹ Obacz Teod. Schiemann w artykule: *Herzog Friedrich Wilhelm von Kurland*, ogłoszonym w *Baltische Monatsschrift*, t. XXII, str. 120—146. Podaje on w nim trafny obraz powyższy, powtórzony przez nas niemal dosłownie, ponieważ najnowsze poszukiwania źródłowe trafność tego obrazu najzupełniej poparły.

swych sióstr, księżniczkę Karolinę Wolffenbüttel, nie mógł tak łatwo rozstać się z zagranicą. Trzeba było jednak wybierać pomiędzy księżniczką Karoliną a księstwem kurlandzkim. Szlachetny książę, zadając swemu sercu gwałt, zdecydował się wrócić do kraju, a nawet przyjął warunek poślubienia rosyjskiej księżniczki z nad Newy, za co Piotr Wielki rzekomo zamierzał nie tylko osadzić młodego księcia w jego ojczystem księstwie, ale także mianować go równocześnie swym namiestnikiem w Inflantach szwedzkich (dzisiejszej gubernii rygskiej), które w tym właśnie czasie, po krwawej wojnie północnej, przechodziły pod berło rosyjskie. Nie zgadzał się z tym projektem stryj młodego księcia, znany nam już książę Ferdynand, opierała mu się uporczywie zrazu sama księżna Elżbieta Zofia, nie chcąc wypuścić z pod skrzydeł swej macierzyńskiej opieki syna ukochanego, lecz, nagłona przez brata, elektora brandeburskiego, ustąpiła nareszcie.

Na wiosnę roku 1710 wyprawił młody książę Fryderyk Wilhelm do Petersburga dwóch posłów z poleceniem, aby zawarli ostateczny układ o małżeństwo i o alians. Oblubieniec żądał 300.000 posagu w gotówce i życzył sobie, ażeby ślub odbył się w stolicy księstwa, w Mitawie. Ponieważ nie było jeszcze rzeczą pewną, którą z trzech księżniczek rosyjskich ma zaślubić, przeto prosił o portrety wszystkich, aby mógł wybrać wedle własnego upodobania.

Atoli posłowie kurlandcy, stanąwszy w nadnewskiej stolicy, doznali niemałego zawodu; dowiedzieli się bowiem, że Piotr I., nie myśląc oglądać się na wybór młodego księcia, nieodwołalnie przeznaczył mu za małżonkę Annę Iwanównę, późniejszą cesarzową rosyjską, że nie ma wcale zamiaru mianować go swym namiestnikiem w Inflantach szwedzkich, że posag księżniczki Anny wynosi nie więcej jak 200.000 rubli i że nowożeniec powinien na ślub przyjechać do Petersburga.

W kilka dni po przybyciu posłów do grodu nadnewskiego odbyły się uroczyste zaręczyny *per procurationem*, a młody książę kurlandzki i semigalski, wezwany osobistym listem Piotra I., musiał do stolicy Rosji wyjechać.

W połowie maja 1710 roku, stanąwszy w Lipawie (Libau),

przejeżdżał z długimi przestankami ziemię ojczystą, by się o jej smutnym stanie naocznie przekonać. Kraj cały, niszczoney przez morowe powietrze, witał go jak zbawcę. Fryderyk Wilhelm, lubo zaledwie wyrastał z lat pacholących, wydał niejedno pożyteczne rozporządzenie, malujące wymownie, jak bardzo leżało mu na sercu dobro mieszkańców. Do tych właśnie czasów odnosi się ustanowienie jedynego kurlandzkiego orderu, noszącego nazwę francuską: *ordre de la reconnaissance*¹.

Następnie udał się młody władca kurlandzki do obozu rosyjskiego wodza, rozłożonego pod Rygą, i usiłował nakłonić go do usunięcia bezustannych nadużyć, jakich się wojska rosyjskie dopuszczały w księstwie kurlandzkim. W drodze do Petersburga zatrzymano Fryderyka Wilhelma pod Narwą, gdzie był zniewolony poddawać się kwarantannie nużącej i długiej, tak, iż zaledwie w październiku tegoż 1710 roku zawitać mógł na dwór carski.

Obrzęd zaślubin odbył się uroczyście na dniu 11 listopada. Odtąd następował bankiet po bankiecie aż do stycznia 1711 r. Na każdym z nich wino lało się strumieniem. Młodzieńcy księżę, nie przywykły do tak niezwykłych libacji, popadł w chorobę. Chory już, wyruszywszy w drogę na początku stycznia, dostał gwałtownej gorączki w Duderhofie, oddalonym zaledwie o mil sześć od Petersburga.

Mimo to, pragnąc jak najprędzej powrócić do znękaney klęskami ojczyzny, już nazajutrz rano ruszył dalej. Zaledwie jednak dojechał do następnej stacyi Kipeni, tak go siły opuściły, że się położył, aby już nigdy nie powstać.

Wyzionął ducha 21 stycznia, zanim jeszcze naprawdę objął rządy. Księstwo kurlandzkie i semigalskie straciło w nim władcę, po którym sobie wiele obiecywało.

¹ Order ten oglądał piszący na wystawie historycznej kurlandzkiej w r. 1886 w Mitawie. Ustanowiony *in memoriam recuperatae Curlandiae*, nie przeżył pono założyciela i stanowi obecnie rzadkość prawdziwą. Kształt jego: krzyż biały emaliowany o ośmiu narożnych galeczkach złotych, w środku herb Kurlandyi z napisem u wierzchu: *pour les honnêtes gens*. Noszono go na czerwonej wstędze o brzeżkach srebrnych. (Obacz *Przegląd Powszechny*, t. xv, str. 474 i 475).

Miejsce jego zajął stryj już stary, ksiązę Ferdynand, dotąd bezzenny i przez ogół serdecznie nielubiany, a który rządził z Gdańska, mało się troszcząc o dobro Kurlandyi. Z każdym dniem wzrastał antagonizm pomiędzy nim a jego kurlandzkimi podwładnymi, skutkiem czego nie ustawały zabiegi o usunięcie go od rządów i zapewnienie ich któremukolwiek z postronnych książąt. Jako kandydat do nich stanął pomiędzy innymi Maurycy Saski, syn nieprawy Augusta II. i hrabiny Aurory Koenigsmark. Jedynym owocem dwuletnich jego zabiegów o tron książęcy w Kurlandyi były: zdwojone długi i przechowany przez jego kamerdynera dyplom jego elekeyjny, o którego zwrot długo się jeszcze w Polsce dopominano¹.

Tymczasem nadesłano z Warszawy komisję, która się zajęła określeniem przyszłych losów księstwa kurlandzkiego i semigalskiego na przypadek wygaśnięcia męskiej linii książąt Kettlerów. Owocem tej pracy nielada była tak zwana: *Ordinatio futuri regiminis*, w której to ustawie szlachta kurlandzka nowemi przywilejami sownie się wynagradzała za odjęcie jej nadal prawa elekeyi księcia.

Zgrzybiały i mocno zgryźliwy ksiązę Ferdynand protestował formalnie z Gdańska przeciw prawności uchwał tej komisyi, lecz mimo to nie mógł zdecydować się na przybycie do kraju. To też najwyżsi radcy, nie oglądając się na komisję polską i jej czynności, panowali nad krajem rzekomo w imieniu zawsze nieobecnego księcia, w gruncie zaś stosując się do woli gabinetu petersburskiego, a księżna wdowa, Anna Iwanówna, nie rozstawała się z myślą, że kiedyś zasiędzie na kurlandzkim tronie książęcym jako małżonka wybranego przez siebie przyszłego księcia tego kraiku. Atoli, jak powszechnie wiadomo, całkiem inaczej pokierowały jej losem okoliczności, gdyż już w styczniu 1730 roku wezwaną została na tron cesarsko-rosyjski. W tymże roku 1730 ksiązę Ferdynand, pomimo swych lat 75, wstąpił w stan małżeński z księżniczką Sachsen-Weissenfels, a gdy w roku na-

¹ Najlepszą źródłowo i naukowo traktowaną monografią, poświęconą wyłącznie czynom i życiu Maurycego Saskiego, jest praca Karola Webera: *Moritz, Graf v. Sachsen, nach archivalischen Quellen*. Leipzig 1863.

stępnym przyjął lenno w Warszawie za pośrednictwem posła — w akcie, przy tej sposobności spisany, wyrażono najwyraźniej, „że księstwo kurlandzkie i semigalskie, po wygaśnięciu linii męskiej Kettlerów, już nigdy na prawie lennem oddawane nie będzie“. Wszelako książe Ferdynand, jak to sobie łatwo przedstawić można, nie dawał najmniejszej nadziei zostawienia po sobie prawego potomka. Pozostał zgrzybiały książe w Gdańsku aż do śmierci, która go zaledwie w 82 roku życia zaskoczyła (w dniu 4 maja 1737 roku) i niemal do samego zgonu łudził się zbyt płonną nadzieją, że usychające drzewo rodu Kettlerów na nowo się zazieleni i wyda upragniony owoc.

G. Manteuffel.

PRZEZ SYBERYĘ.

Listy z podróży.

(Dokończenie).

Jeszcze Tomsk, 10 października 1889.

Z wyjazdem jakoś ciężko idzie; drogi, niestety, w niemożliwym stanie być mają. Oficer dawniej ułanów, dziś żandarmów, adjutant Aleksandrowa, generała żandarmeryi, Litwin, kuzyn Poklewskich, przychodzi mnie ostrzegać, że między Omskiem a Tomskiem, jak i Tiumentem, przez stacye niektóre, wskutek błot niezgruntowanych, po 24 i więcej godzin jechać trzeba. Barnaulski step przesławny podobno pokazał już, co umie! Myślę znowu o jeździe przez Taszkent i Środkową Azję; ale to nowa, długa, zmudna podróż! Mnie przecie już chyba czas wracać, choć, Bóg świadkiem, szkoda! Wszak Landsdale jeszcze mówił, że nawet jednego dnia dwóch tych dróg mianować się nie godzi, o tyle średnia Azja ciekawsza i piękniejsza od tego, co jadąc na Omsk, Tiumeń, Moskwę zobaczyć mogę.

Na wieczorze, danym przez profesorstwo Zaleskich, niby na moją cześć, poznaję sproszonego profesora tutejszego uniwersytetu, zdobnych w żony; te, z powierzchowności przynajmniej sądząc, ciekawsze i polorniejsze od mężów. Pani Floryńska, żona kuratora, mówi, podobnie jak pani Veliki, żona profesora a przyszłego podobno rektora, biegle po francusku, i to cichym głosem, składając przytem usta zgrabnie a ponętnie w formę asa kierowego. Pani domu, Jadwiga z Iwanowskich Zaleska, War-

szawianka, gimnazyum żeńskie i konserwatoryum warszawskie skończyła, mówi językami i jest znakomitą pianistką, a przy tem wszystkim bardzo miłą, bo nie afektowaną, młodziuchną i utalentowaną osobą. On, Zaleski, rozumny, uczony, ma być znakomitym chemikiem.

Najmilsi ludzie, których tu spotykam, to gubernatorstwo, państwo Buljaszowie. On, człowiek schorowany, prototyp biurokraty, stworzony na referenta spokojnie i regularnie pracującego w biurze. Człowiek uczciwy, najlepszych chęci, prawy, choć apodyktyczny, może trochę nadto formalista i tylko w paragraf, i w to, co w aktach zapisano, wierzący, rady sobie dać nie może ze złodziejami urzędnikami, którymi jest otoczony. Wicegubernator złodziej pierwszej gildy. Gubernator sam o nim mówi, że łapownik znamienity. Dotychczasowy *smotritiel tiurny* tutejszej *peresylnoj*, w śledztwie obecnie pod oskarżeniem, iż od Żydówki jakiejś za ułatwienie jej ucieczki wziął około 400 rubli.

Aż nadto przekonać się o tym stanie rzeczy mogłem, zwiedzając właśnie *tiurny* tutejsze: *peresilną* i centralną. Fakt ten tylko notuję, że wobec nas skarżyli się aresztanci na robaki w krupach, że podobno policmajster przekonał się osobiście i doniósł gubernatorowi, iż te robaki są istotnie. Jednak pan *sowietnik* od *tiurn* nic o tem nie wiedział, ni wiedzieć chciał. Brud, niechlujstwo, smrody, brak powietrza dochodzą tu szczytu. Cóż za różnica z *tiurną* aleksandrowską! Czy tam może umyślnie wszystko było przygotowane? Oddział kobiet w centralnej *tiurnie* lepsze nieco czyni wrażenie: niema tak szalonego przepełnienia. *Smotritiel* centralnej, pan Wasilewski, renegat Polak, można sobie łącznie wystawić, jakiego rodzaju człowiek. O *smotritielu* obecnie pod sądem będącym z *peresilnoj*, opowiadają mi poważni ludzie, że posiada już około 20.000 rs. złożonych, domy i t. d., wszystko skradzione na jedzeniu i utrzymaniu więźniów. W szpitalu *peresilnoj* przeznaczonych jest 40 kopiejek dziennie na chorego; w tutejszych, specyalnie tomskich stosunkach, gdzie tanio i łatwo prowizyi wszelkiego gatunku dostać można, *smotritiel* wraz z *sowietnikiem* kradnie 30 kop., a na chorego przypada zaledwie 10 kop. W takich stosunkach nie kwitnąć ni postąpić nie może!

Zwiedzam zakłady naukowe i wychowawcze. Dla dzieci, zwłaszcza sierot po skazanych, utworzono, za inicjatywą poprzedniego gubernatora, przytulisko t. zw. *Aleksandrowskij przyjut*. Rzecz istotnie śliczna; dzieci doskonale wyglądają, wydają się czyste, zadowolone i zdrowe; dowodem tego, że w czas okropny, w pierwsze zimna, w szpitalu widzę tylko jedno dziecko. *Prýjut* ten utrzymywany jest przez prywatną szkatułę publiczności tomskiej, a zwłaszcza kupców; podzielony na oddział chłopców i dziewczynek; uczą się tu robót, rzemiosła stolarskiego, chodzenia około kuchni i gospodarstwa. *Prýjut Maryjski*, za staraniem głównie byłego złotoprzemysłnika, p. Cybulskiego, z kapitału 120.000 rs. jest ufundowany i utrzymywany. Dalej dom noclegowy, czyli przytułek dla biednych w czasie srogich mrozów; za opłatą 5 kop. dostają wieczór i rano jedzenie, mianowicie: herbatę, mięso, pierogi. Zachowanie się panienek w *Prýjucie Maryjskim* nie dobre mi robi wrażenie. W realnem *uczyliszczu* chodzę po klasach ku wielkiemu zdziwieniu i podziwie młodzieży, która widocznie czytała artykuł o mnie napisany w tutejszym organie: *Sybirski Wiestnik*. Straż pożarna wcale nieźle zdaje się być uorganizowana. Niestety, zawsze i wszędzie nieco nieporządku, a brudu i błota niesłychanie wiele.

Ciekawe szczegóły podaje mi inżynier, rodem Prusak, o kanale, mającym łączyć basen Obi z Jenisejem. Skarży się on bardzo na nieudolność i łapownictwo urzędów, przez które każda taka sprawa przedostać się musi. Nie tak prędko kanał ten będzie mógł począć funkcyonować. Cytuje mi fakt, gdzie oficer generalnego sztabu, delegowany dla zbadania pożyteczności budującego się kanału, nie miał nawet pojęcia o tem, co jest szluzą!

Najzacniejsza, najpowszechniej ceniona osobistość Tomska, obok księdza Gromadzkiego, to doktor Orzeszko, lekarz więzień tutejszych. Ów Orzeszko jest to istotnie człowiek rzadkiej dziś prawości, czystości uczuć i charakteru; opowiadają o nim setne historie, dowodzące, że to osobistość może jedyna w Syberyi, posiadająca absolutną popularność między najszerszemi kołami, bo między *brodjagami*, złodziejami-złodziejami. Jego nikt nie na-

padnie, jego nikt nie zaczepi, bo on dobrodziej, lekarz, który nie tylko nie odmówi nigdy i nikomu porady, pomocy swej obecności, ale słowem pociesza, kieszenia własną jak może pomaga. Katowska natura, ciepłem katolicyzmu ogrzana. Dzieci kupa; żona nader miła i zacna kobieta.

O Paklewskich notuję, com się dowiedział od pana Sobolewskiego, zarządzającego tutaj kantorem Paklewskiego. Otóż stary Paklewski, dziś lat około 80 liczący¹, zaczął karierę od wyjechania na Sybir jako urzędnik przy Gorczakowie, ówczesnym gubernatorze omskim czy tomskim; działo się około 50-go roku. Wziął się do interesów, na wódce dorobił się; dziś posiada około 15 *zawodów winokurnych* (gorzelni); przeciętnie kapitał obrotowy jednego zawodu wynosi 1.000.000 rubli. Spólnikiem Paklewskiego jest Rosyanin, p. Dawidowski; wszystkie interesa idą na wspólną. Oprócz gorzelni posiadają oni zawody żelazne na Uralu i dobra na Białorusi. Obecnie interes wódczany idzie bardzo nie szczęśliwie, wskutek powiększającej się konkurencji. Wiadro kosztuje 4 rs. 50 kop. Podatku z wiadra opłaca się 3.70 kop. (?), prócz tego patent w miastach, np. w Omsku rocznie 300 rubli, i inne zwykłe wydatki. Straty więc ciągle; Paklewscy spodziewają się jednak przetrzymać tę kryzys fatalną. Żona ojca, z domu Markowska czy Makowiecka, szczególnie ma być energiczna osoba. Synów 4-ech i córka, to owa niedoszła pani Ostrowska, dziś za Riesenkaupfem, flügel-adjutantem dworu petersburskiego, wiekowym człowiekiem. Najstarszy syn cierpi na umyśle; drugi, Wincenty, żonaty z Wołynianką (?), prowadzi wszystkie interesa; trzeci służy w dyplomacji rosyjskiej, czwarty w gwardyi w Petersburgu. Prócz tych Paklewskich, ród to nader rozgałęziony. Kościół tutejszy budowany p^o części staraniem Paklewskiego, ojca. Chciałem naturalnie ich poznać. Telegrafowałem z zapytaniem, a chcąc uniknąć przekręceń i myłek, dałem telegram przetłumaczyć panu Sobolewskiemu, co jednak bardzo źle skuteczniał. Zapewne niedość grzeczna forma mego telegramu uczyniła, że dziś otrzymałem odpowiedź od pani Paklewskiej, brzmiącą nader

¹ Od tego czasu zmarł.

lakonicznie, że Paklewski w domu, ale chory i w łóżku. Bardzo żałuję, bo nie ciekawszego jak widzieć Polaków, którzy się z niczego dorobili, i to na Syberyi. Zapewne tam bardzo dworno i po pańsku! Szkoda, nie mam szczęścia; Kołpakowskiego, jen. gubernatora tutejszego, także nie zastałem. Jest to figura ciekawa, Małorus, bardzo energiczny, dobry gospodarz. On to stworzył np. Wiernoje, dziś niezmiernie kwitnące miasto powiatowe, niedaleko granicy chińskiej, między Semipalatyńskiem a Taszkentem.

Trzeba mi już jechać, i to prosto do Moskwy. Zima się tu zaczęła na dobre i na seryo. Wczoraj 15 stopni mrozu Reaumur'a; nawet w południe wcale nie tajało. Śniegu jeszcze, Bogu dzięki, nie ma zbyt wiele; do Tiumenia przejadę zapewne kołami, ale niestety słaba nadzieja, bym zdążył na statek z Permu do Niżnego — przeszło 1000 wiorst, które trzeba będzie na perekładnej odbyć.

Omsk, 17 października.

Z żalem opuściłem Tomsk; był to jasny punkt na horyzoncie mojej podróży — tam istotnie spotkałem ludzi cywilizowanych, a prostych i serdecznie gościnnych; ani przedtem, ani potem się to nie powtórzy zapewne. Wyjazd z tej plebanii wśród uścisków tak naprawdę serdecznych, wśród znaków krzyża św., błogosławieństw i życzeń szczęśliwej drogi kochanego proboszcza i księdza pomocnika, Litwosza starego, i pana Szczepkowskiego staruszka, opiekuna biblioteki kościelnej, i pana Sylwestra organisty, i pani Ludmiły gospodyni, co szósty krzyżyk niebawem kończy i ma przeszło 3.000 złożonych, ale z nabożeństwa i dla honoru proboszczowi służy, wreszcie Żmudzina furmana i Benia czy Benka sieroty, chłopaka 13-letniego, co do mszy służy i z księdzem po parafii na koźle jeździ, — wszystko to ze łzami w oczach żegnało, tak ciepło i serdecznie, że mimowoli miękko się na sercu zrobiło.

Ruszyłem tą razą z strażnikiem policyjnym, danym przez gubernatora, na koźle — Żyd stary, nazywa się Gutmann, ale sprytny i doskonale rzecz swą prowadzi. Ruszyłem o pół do

piątej popołudniu. Śnieżek popadywał, zimno przenikające. W nocy zatrzymałem się nieco, gruda bowiem piekielna oka zmrużyć nie dawała. Kraj od lewego brzegu Tomy, zwłaszcza jednak od Obi, zupełnie się zmienia, staje się mojem zdaniem weselszy, ludzie przystojniejsi, miłsi niż dotąd. Równy jak po stole, zwłaszcza od chwili, gdy wjeżdżamy na step barabijski. Bagna tu nieprzebyte, tylko w zimie po lodzie się jedzie. Coraz więcej ściaga się tu emigrantów Żmudzinów i Białorusów. Lasów ani śladu, tylko podlaski brzożowe, w których istotnie miliony cietrzewi, kuropatw białych. Sam widziałem dwa razy z tarantasa stadka cietrzewi po 8 do 10 sztuk siedzące na brzożach i objadające pąki. To też w ten sposób i na nie polują z wypchanym cietrzewiem na drzewie. W zimie chłopci biją pałkami w sieci łapiąc i wozami całemi wożą do Tomsku. Jeziór mnóstwo, są i znaczne między niemi. Ziemia byłaby wyborna, tylko osuszyć ją trzeba — aż się prosi o dreny i rowy. Latem mają być miary komarów, tak, że istotnie bywa niebezpieczeństwo od nich dla koni i ludzi.

Wyjechawszy z Tomsku o godz. pół do 5-tej w sobotę i część nocy zatrzymawszy się, staję wieczorem o 10-tej w Koływanu. Po drodze w południe zjadłem obiad nad brzegiem Obi, w ślicznej, schludnej, wyjątkowej stacyi pocztowej, gdzie mi podali świeżutkiego kawioru, istotnie doskonałego. Ob' tu jeszcze nie imponująca, choć niemała. Dziewięć wiorst za Obi teren zalewowy, telegraf pod ziemią prowadzony. Częstsze tu osady Tatarów.

O godz. 10-tej wyjeżdżam z Koływanu i rano spotkawszy *zasedaticla*, komenderowanego przez gubernatora do konwojowania mnie aż do granicy gubernii, gonię jak opętany i wieczorem punkt o 10-tej staję w Kaińsku, rezydencyi *sprawnika*, zrobiłem więc w 22-ch godzinach, odliczając akurat 2 godziny i coś na „czajowanie“, 350 wiorst. W Kaińsku, jak wszędzie, liczne grono chłopów, mieszczan, zbiera się oglądać kniazia zagranicznego, w milczeniu z odkrytymi głowami stoją i ruchu każdego śledzą, ale zupełnie bez służalstwa, tylko nader grzecznie. Ledwo wpadam na stację, już czeka 6 koni gotowych; w trzy minuty zaprzęgli — i dalej. Sprawnik z pomocnikami czekają mnie u progu

domu bogatego kupca kaimskiego, który sobie uprosił zaszczyt ugoszczenia mnie kolacją i przyjęcia na nocleg. Doskonała kolacja, smakuje nad wszelki wyraz. Dwóch chłopaków i policyjny starszy na moje rozkazy, jeden trzyma miednicę, drugi wodą polewa; pan sprawnik przyjmował, zdaje się jeszcze, gdy służył w Tomsku, gubernatora, więc jako biegły w etykiecie, tonem rozkazująco przytłumionym daje wszelkie rozkazy. Bywał na Altaju, miewał do czynienia z władzami chińskimi, zatem ma wielki repertuar ciekawych opowiadań i uchodzi wogóle za bywalca. Zapatrywanie jego na ogólnie ludzkie sprawy nawet pan sędzia tutejszy ceni wysoko, choć ma wielką skłonność do przeczenia i podawania w wątpliwość opowiadań. Panowie ci w pełnych mundurach i przy szablach kolację jedzą, z rękawiczką na lewej ręce.

Opuszczam Kaimsk na drugi dzień rano o 8-ej i staję w Spassku wieczorem. Niestety bardzo niepraktycznie się tu urządziłem, bo za krótko, tylko półtorej godziny zabawiłem. Wpadam jak burza do księdza, przedstawiam się; on oczom, uszom wierzyć nie chce. W miasteczku całem dawno już wiadano, że mam przejechać, pilnowano więc pocztę, by nie minąć okazji, aż tu raptem, gdy *zasiedatiel* przede mną jadący stanął na poczcie, a liczny tłum ciekawych z niecierpliwością ukazania się mego tarantasa oczekiwał, rozchodzi się wieść, że kniaź przyjechał już, ale zajechał wprost do polskiego księdza. Konsternacya! cała publika leci przed probostwo, wszyscy bodaj tarantas chcą widzieć. U proboszcza tymczasem zapełniło się jak w jajach: baby, dziewczęta, mężczyźni, wszystko Litwini, Żmudzini, zesłani i dobrowolni emigranci, wszystko przyszło do swego proboszcza cieszyć się widokiem „Sapiehy“. Zrobiło się nareszcie tak ciasno, że pan organista, Żmudzin jak grab 100-letni, uznał za konieczne przerzedzić szeregi ciekawych parafian; zostawia więc tylko starszyznę i kilka pań, między niemi żonę telegrafisty. W pokoju ze mną tylko ksiądz i Litwosz, gębacz, polityk, zesłany w r. 63-cim, śledzący z uwagą wypadków polityki europejskiej — istny Żuchowski. Poczcziwi, zacni ludziska — w ciężkiej doprawdy doli! Ksiądz tymczasem przyszedłszy pomalutku do zrozumienia sytuacji, rozczulał się coraz

bardziej, tracił głowę z radości, chodził po pokoju, siedzieć nie mógł, wreszcie całować począł, gdym obiecał przysłać relikwiarz z drzewem Krzyża św. dla kościoła. Niestety za krótko między nimi bawiłem. Całuję księdza raz i drugi w rękę, proszę o krzyżyk na drogę, wreszcie zwracam się do zebranych i w paru słowach witam i żegnam zarazem, prosząc o zachowanie życzliwej pamięci, pocieszając, jak umiem i mogę, otuchy, nadziei tym biedakom dodając. Każdy chce rękę uścisnąć, w oczach wszystkich łzy, wszyscy czegoś życzą, a gdym, wsiadając, raz jeszcze księdzu przed zebraną już istotnie ludnością rękę ucałował i z tarantasa zawołał: „Niech będzie pochwalony!“ — już tylko stłumione od lez głosy odpowiedziały „na wieki!“, a kilkadziesiąt rąk, podniesionych w górę, znakiem krzyża św. mię żegnało.

Piękna istotnie była to chwila; szkoda, że tak krótko trwała. Ruscy, bez wyjątku czapki z głów zdjawszy, nietylko w mileczeniu, ale istotnie ze zdziwieniem, ba, nawet z rozczuleniem na tę scenę patrzyli. Koniecznie tam trzeba kościoła. Ale, co ważniejsza, kto zastąpi tam księdza, gdy umrze? kto zastąpi wszystkich tych księży na Syberyi? wszak to wszystko staruszkowie. W Omsku stoję o 3-ciej popołudniu we środę, znaczy to, że, odliczając dobrowolne przestanki, zrobiłem 900 wiorst, mniej więcej 130 mil naszych, w trzech dobach niespełna. Omsk bardzo ładniutka miścina, wesola, czyściutka. Polaków mało, sama nędza.

Tiumeń, 23 października.

Tiumeń nareszcie! Przyjeżdżając do miasta, przejechałem przez tor kolejowy. Sława Ci, Boże! odetchnąłem, choć, niestety, ta kolej, to jeszcze nie zbawienie; parochodztwo między Permem a Niżnym Nowgorodem przerwano już wskutek zimy, więc może trzeba będzie, zdaje się, na Ufę jechać — znowu 300 wiorst tarantasem! A Tatarzy tam podobno wożą tylko 8 wiorst na godzinę. Boże miłosierny, już pewnie nie dojadę nigdy do domu; zginę gdzieś w drodze — byle tylko nie w tarantasie i nie bez księdza.

Ale muszę najprzód opowiedzieć przygody mej jazdy z Omska do Tiumenia. Z Omska więc wyjechałem 18-go w piątek ze-

szły. Prawie w chwili wyjazdu wpada błądy strażnik Gutmann, którego mi tomski gubernator dodał dla bezpieczeństwa, i krzyczy: *Szuga idiot po Irtyczy! Szuga* tj. stryż, śnieg z lodem zbity, niemożliwiający przejazd. Co tu począć? — Dur... czemuś wcześniej nie mówił, a nie w ostatniej chwili? Idź po wiadomości na urząd pocztowy! Wraca po chwili; od trzech dni poczta moskiewska nie przyszła. Rety! co tu radzić? Ktoś drugi daje desperacką radę, żeby jechać do krasnojarskiej stacyi nad Irtyszem i tam zlitowania boskiego czekać. Tak się decyduję; w 15-to stopniowy mróz wyjeżdżam z Omska; wiatr niemożliwy, droga jaka taka, więc wszystko można znieść w szubie i barnaulskim kożusku. Jedziem — ściemnia się — sławne tu bywają rozboje; Kirgizi czasem lubią „pohulać“. Dusza na ramieniu; wichur coraz potężniejszy; jamszczyków przeplacam, byle jak najprędzej dojechać. Zasypiam nareszcie.

Budzę się w krasnojarskiej stacyi. Wyłażę rozespany; wypytuję *smotritiela*, który w pozycyi *ruki pa szwam* daje mi wyjaśnienia: Przewozu niema, *szuga* idzie znaczna; *kuzionny* przewóz nie funkcjonuje; jutro skoro dzień może się uda przewieźć czołnami pocztę, i którzy zechcą, pasażerów. — A mój tarantas jak przejedzie? — *Nie mogli znać, wasze sijatelstwo*. — Otwieram drzwi z trzaskiem i gniewem. W izbie jawi się przede mną jakiś młody doktorek wojskowy, niesłychanie strapiony obawą, że się spóźni na komisję poborową. Przepędził już 48 godzin niewesołych na tej stacyjce, czekając zmiłowania *szugi* i Irtysza. Dziś rano próbowano go przewieźć: ogromna masa *szugi* uderzyła w prom, porwała ze sobą, ledwie że o wiorst kilka ich złapano, i z ciężką biedą uratowano. Mnie więc to samo czeka! Alternatywa niewesoła, czekać aż *szuga* przejdzie, a może czekać, aż droga stanie, *scilicet* 3—4 tygodni! Decyduję się przeczekać tu 24 godziny; jeżeli się nie uda, wrócę do Omska i pojedę na Taszkent.

Noc przechodzi spokojnie, choć wiatr ryczy na dworze. Raniutko przychodzi *smotritiel* meldować, że po drugiej stronie rzeki siedzi generał z Omska, który z Petersburga wraca i chce się przewieźć. Przypominają sobie, że o 5 wiorst niżej jest prze-

wóz prywatny, może tam przejedziemy. Każę powiedzieć, by jenerała najpierw próbowali przewieźć; jeżeli on przejedzie, to i ja może spróbuje. Tymczasem każę konia okulbaczyć i jadę patrzeć, jak też ta rzeka wygląda. Istotnie, niewesoło! Niebo ołowiane, śnieżek mokrawy posypuje; a rzeka sina, szumiąca, zła, przykryta do połowy lodem i śniegiem płynącym. Tu para kaczek domowych między bryłami *szugi* daremnie stara się wydostać na wolną wodę, tam wrona się przewozi na lodzie; hen, daleko, widać czólenko; czterej wiosłarze walczą z prądem i lodem. Niewesoły widok; któż nie widział kry po rzece idącej? tu jednak straszniej i smutniej: straszniej, bo rzeka ogromna, bo brzegi dzikie, bo Azya; smutniej, bo te lody obmierzłe przecinają może na tygodnie drogę do swoich. Okrutnie zimno, wiatr niemiłosierny; uciekam do stacyjnej izby, tam przynajmniej ciepło — i czekam. Mijają godziny całe — cicho, głucho; nagle wpada mój strażnik, melduje, że jenerał jedzie! Czyż być może? Tak jest. Stare jeneraństwo jakieś wyłazi z tarantasa. Naturalnie poznajemy się, i dalejże pytać. Jenerał jeszcze czapki dobrze na łeb zasadzić nie może, tak mu włosy ze strachu dęba stanęły. Koniec końców dowiaduję się, że przejechał na owym prywatnym przewozie. Pytam, czy niebezpieczeństwo wielkie; on milcząco pokazuje na czuprynę, co jeszcze dęba stała. Myślę: źle! nic jednak po sobie nie pokazuję i daję rozkaz natychmiastowego wyjazdu.

Tymczasem wiatr się zmienił, złagodniał i trochę mróz zelżał. Jedziemy ciągle wzdłuż rzeki, jak żeby się przekonać naprzód o niebezpieczeństwie; nareszcie stajemy przed przewozem; prom na drugiej stronie. Ten prom, to wielka łódka z pomostem, z przodu wiosłarze. Patrzymy, jak też oni stamtąd przejadą. Czekamy kwadrans i dłużej, nagle widzimy, że się prom ruszył; wiosłarze poczynają rozbijać lód, co się u przodu promu nagromadził; od czasu do czasu dolatują krzyki i komenda starszego. Prom posuwa się wśród *szugi*, wiosłarze biją po lodzie, ale daremnie, siły wody i lodu nie zmogą. Strasznie! myślałem. Na szczęście, o jakich 1500 kroków od miejsca, gdzie zwykle przewożą, rzeka tworzy nagle kolano, prąd wody tu więc się łamie, rzeka powolniej płynie. Tej chwili wiosłarze czekali; teraz

ostatnich dobywają siłę, hakami, żerdziami wydobywają się z pomiędzy lodów na przestrzeń wody czystej. Tu sama woda popycha ich ku brzegowi; wyskakują na brzeg i linewkami prom przyciągają — uratowani, śmiejący się, choć bardzo pomęczeni, bo półtorej godziny waleczyli z rzeką.

Teraz na nas kolej! Boże, co to będzie? Odprzegają mi konie, wnoszą mię na prom; prócz mnie jeszcze 4 telegi i 14 koni i ludzi co niemiara wciska się na tę nieszczęsną nawę. Wtedy znowu gromkim głosem ja do strażnika: *Shuszaj!* twoja w tem głowa; jak się będziemy topić, to ja ciebie wpierw ubiję! Strażnik się klnie, że przejedziemy szczęśliwie. Żegnam się krzyżem św. — i ruszaj! Przewoźnicy, wszyscy chłopci jak dęby, czekali tymczasem, nie aż ja się wyklóczę, ale aż się odkryje miejsce wolniejsze między krychą. Nagle powstaje wrzask między przewoźnikami: *Puskaj! Puskaj!* Patrzę na *szugę*; istotnie przed nami rozwarła się jakby ulica; w nią to trzeba nam wpaść, inaczej nie przejedziemy. Dalej *rabiata!* a *rabiata* wiosłuje teraz z taką siłą, że aż wiosła jęczą; jeszcze chwila, i dopadamy do owej ulicy, jesteśmy w niej, między lodami zamknięci z trzech stron; przed nami, Bogu dzięki, wolniejsze miejsce. — Ale to wolne miejsce zwięża się coraz, nareszcie poczyną niknąć! Wrzask znowu straszliwy na promie; wszystkie konie sprowadzamy na stronę, od której lody płyną; my wszyscy również tam przechodzimy, by ciężaru dodać. Szczęściem *szuga* to dopiero, a nie kry jeszcze, to śnieg przymarznięty, a nie lód, więc poddaje się ciężarowi i zamiast nas podnosić, sam w głębie rzeki się nurza. Po kilku chwilach jeszcze emocyi, jesteśmy przy drugim brzegu — i uratowani.

Wyjeżdżamy więc z przewozu; tymczasem śnieżek mokry przemienia się w krupy, krupy w deszcz, mróz zupełnie folguje, błoto robi się szkaradne; wlecemy się jak z mazią; o gdyby się tylko wlec — ale te wyboje, te dziury! tarantas skacze jak opętany; mnie kolki spierają, mego strażnika coś w dołku zaczyna boleć. Im bliżej Tiumentia, tem droga gorsza się robi. Przywlekamy się do Jerymu, miasteczka powiatowego. Tu nocuję, bo noc ciemna, że oko wykol. Śpię jak zabity, w taranta-

sie jak zwykle. Skoro świt, ruszamy dalej. Pierwsza stacya jaka taka, druga okropna: tarantas tańczy taką sarabandę, że do-
prawdy znecierpliwilby anioła! chwilami uderzenia i skoki ta-
rantasa tak gwałtowne się robią, że jamszczyk na koźle nie
może się utrzymać. Tak znowu dzień cały przechodzi.

Wieczorem mój strażnik już nie może dalej, prosi o za-
trzymanie się kilkugodzinne. Zatrzymujemy się na noc w stacyi
omutyńskiej. Nie mogę zamilczeć, że wsie, im bliżej Tiumenia, tem
większe, takie jak¹ znaczne miasteczka. Pejzaż wogóle okropny,
płaski jak stół; dopiero przed samym Jajutorowskiem, również
okręgowem miasteczkiem, na chwilę zmienia się krajobraz: po-
kazują się pagórki, piasek i las sosnowy. Niebawem jednak koń-
czy się i to, lasy wprawdzie pozostają, ale pagórków już niema;
błota, bagna, trawska i sitowie są zapowiedzią bliskości Toboli,
podobnej typem swych wybrzeży rzece Obi, owej ogromnej Obi,
która tak sławnie brzydkie, płaskie, niezmiennie aż do Oceanu
Lodowatego ma wybrzeże. Zresztą czyż można na pejzaż uwa-
żać więcej, czyż można myśleć na takiej teledze, po takich wy-
bojach i grudzie? Mój strażnik, znękany, kładzie się na piecu,
ja na kanapie, i zasypiamy. Około północy wstaję, patrzę, czy
strażnikowi nie lepiej? czyby wyjechać nie można? ani mowy,
jęczy, kręci się biedaczysko. Będąc rozbudzony, idę na inspek-
cyę domostwa; w przedpokoju potknąłem się o coś miękkiego,
na ziemi leżącego; to pisarz pocztowy, chłopię czternastoletnie,
jasnowłose, jakoś pocziwie wygląda. Przepraszam biedaka, idę
dalej. Na dworze ciemno, zimno, wiatr lodowaty wyje jak wście-
kły, niebo chmurne, mróz zelżał znowu. Wracam, kilka godzin
znowu snu męczącego; sny jakieś dziwaczne, widocznie głowa
przetrzęsiona.

Nareszcie budzi się świat. Nigdy chyba u nas, tem mniej
na południu, tak smutnych, tak rozpaczliwych ranków niema,
jak w tym biednym kraju. Słońce, jakby żałowało, że mu świecić
wypada tak pustym, zimnym okolicom, leniwo, pomału, chmu-
rami zakryte, powstaje. Świt długo, długo trwa, nim w dzień
się przemieni; wieczorem niesłychanie długi zmrok — wszystko
oznaki głębokiej już północy. Znowu wstaję; przy herbacie

z owym młodym pisarzukiem rożnowę wszczynam. Nazywa się Nowicki, Polak, rodzice nędznie żyją w temże miasteczku: ojciec pieczeniem obwałanków na życie zarabia, on, ten pisarek, 2 rs. miesięcznie pobiera, na ziemi przy schodach sypia i z jamszczykami jada, a to szczęście tylko do końca bieżącego roku go czeka, bo od Nowego Roku dzisiejszy jego chlebobawca przestaje pocztę utrzymywać — więc biedne dziecko zostanie bez chleba. Umie po rusku pisać, po polsku pacierz i trochę mówić. Chciałbym go wziąć ze sobą, ależ dokąd? co z nim począć? — zostawiam więc biedakowi, co mogę, na buty i Bogu go polecam.

Wyjeżdżamy; mój strażnik uparł się, że pojedzie jeszcze dalej — ale darmo, coraz to gorsza febra nim trzęsie. Na pierwszej stacyi każe wołać głowę dumy i tonem groźnym a poważnym przykazuje mu, żeby miał nad chorym pieczę; wysłałam telegram do gubernatora tomskiego, uwiadamiający o tej chorobie strażnika, a drugim telegramem wzywam sprawnika w Jałutorowskiem, by się przy moim przejeździe przez jego rezydencyę przede mną osobiście stawił; poczem dalej sam w drogę! Tyle opowiadają o niebezpieczeństwie tych okolic, tyle tu rzeczywiście na każdym kroku historyj o morderstwach i rozbojach po drogach, że mi się nieco ekliwo w pierwszym momencie zrobiło, gdy mój mego strażnika nie widział na koźle; nie jego obrony trzeba mi było, ale munduru, który w tym kraju więcej znaczy niż 10 rewolwerów i strzelb. Późno po zachodzie słońca, w noc czarną i ciemną, przewłókszy się przez ostatnie 22 wiorsty stepu w niezgłębionych moczarach i błotach — staję nareszcie, nieco duszę na ramieniu mając, w *okrużnym gorodzie*. Sprawnik się natychmiast melduje i oświadcza, że na drugi dzień o 6-tej będę miał drugiego strażnika, który aż do Tiumenia mnie odprowadzi.

Ostatni dzień do Tiumenia najokropniejszy. Mróz znowu stęzał, więc gruda przeraźliwa, stępa trzeba jechać. O zachodzie słońca staję wreszcie w Tiumeniu. Doprawdy, były chwile, żem myślał, iż nigdy już tu nie dojadę. I cóż mi jednak z tego, żem tu dojechał? Cóż dalej, jak dalej? — czekam odpowiedzi z Permu co do parochodów.

Tiumeń, 25 października.

Odpowiedź przyszła wczoraj rano — wczoraj wyszedł ostatni parostatek z Permu i zagrożony już, powiadają, zamarznięciem, a co najmniej szaloną krą na Woldze. Czarna rozpacz! którądyż teraz? na Orenburg albo z Permu do Niżnego kołmi przeszło 1000 wiorst. Zjawia się tutejszy sprawnik, porządny jakiś człowiek widocznie, bardzo na swoim miejscu. Zajęcia ma, jak oni wszyscy, zaniadto, podolać ani w części nie może. Na 33.000 mieszkańców miasteczka Tiumenia, gdzie łączy się kolej uralaska z żeglugą parową po Tomie, Toboli i Omie, gdzie schodzą się trakty jekaterynburski z omskim, tobolskim, w punkcie, gdzie ludności napływowej, przejezdnej, roboczej bywa nieustannie mnóstwo, gdzie, jak ogólnie wiadomo, kradzieże i rozboje są więcej niż na porządku dziennym, gdzie rocznie od 18 do 25.000 przechodzi *peresieleńców* dobrowolnych na wschód, gdzie rocznie przechodzą dziesiątki tysięcy więźniów, z całej Rosyi deportowanych na Sybir — w tym punkcie jako władza policyjna, sądowa i administracyjna jest sprawnik, pomocnik jego, trzech *zasiedatelej* i 33-ech strażników policyjnych okręgowych! Łatwo sobie wystawić, jakie musi być bezpieczeństwo, jaki porządek publiczny. Narreszcie przyjeżdżają państwo Kossowscy, którzy od Omska za mną gonili, żeby resztę podróży razem ze mną odbyć. Po naradzie decydujemy jechać na Jekaterynburg, Ufę, Orenburg. Z Jekaterynburga do Ufy 350 wiorst, droga sanna. Wyjazd jutro wieczorem o pół do jedynastej, pociągiem drogi żelaznej uralskiej, raczej jekaterynbursko-tiumeńskiej.

Ufa, 3 listopada.

Europa! Więc przecie wróciłem! Wsiadając na kolej w Tiumeniu, wyobrażałem sobie, że już w Europie jestem i przeprawę swoją przez Irtysz w wagonie z lubością rozpamiętywałem, jako rzecz do przeszłości należącą; — nie domyślałem się, że mnie jeszcze podobne przeprawy czekają. W Jekaterynbugu musieliśmy pożegnać się z koleją, a że tam z powodu w części już zbudo-

wanej kolei poczta rządowa jest zniesiona, więc trzeba było się zwrócić do prywatnego przedsiębiorstwa.

Bierzemy t. zw. „wolne“, t. j. po prostu od chłopą wynajęte dwie trójki, również od niego wypożyczamy za 10 rs. sanie koszarowe, t. j. oplecione, raczej przykryte plecionką z łyka lipowego. Śnieg wali, wiatr lodowaty, szalony, my jednak ruszamy saniami otwartymi. Na szczęście moje kupuję w ostatniej jeszcze chwili pimy ogromne i baszłyk. I jeszcze na szczęście nasza droga prowadzi przez lasy, bory śliczne i coraz piękniejsze. Przejeżdżamy Ural mnóstwem odnóg wyższych i niższych, naszą drogę przecinających. Ural, owa granica między Azją a Europą, jak wiadomo, ni znaczny, ni wysoki, w wielu miejscach jednak nader malowniczy, pokryty na południowych stokach ślicznym istotnie lasem jodłowo-sosnowym.

Wieczorem przy gwiazdach i mrozie okrutnym zajeżdżamy do michajłowskiego zawodu dla zmiany koni. Wjeżdżamy na podwórze gospodarza, który nam dalej konie wynajmuje. Nie ładniejszego nad to wielkie podwórze zamożnego jeszcze chłopą sybirskiego, od śniegu i nawałnic całe zasłonięte dachem. Parobczaki tłuste, gospodyni tłusta, konie pękają od owsa, krowy ledwie chodzą, tak objedzone, kot ruszać się od sadła nie może; wszystkim tu dobrze, ciepło, dostatnio. Gościnność, uprzejmość tych ludzi wszelkie wyobrażenie przechodzi. Ruszamy dalej — wlecemy się tym razem 8 godzin 35 wiorst. Droga nieciekawa, śnieg coraz głębszy, konie brną po brzuchy, sanie skrzypią, jęczą, ledwie się ciągnąć dają. Wschód słońca domraza nas swym widokiem; wstaje ono takie blade, a takie iskrzące; niebo niebiesko-zielone, istnie lodowate. W chwil kilka po wschodzie mgła gęsta się podnosi, chmury zakrywają horyzont i zaczyna nas prześladować na nowo nieubłagany wróg — śnieg. Nikt pojęcia nie ma, kto nie skosztował, jak dokuczyć może śnieżek ten padając, nie dając chwilki spokoju, łaskocząc nos, oczy zasypując, gębę przysypując — i to przez 48, lub 72 godziny bez ustanku. Tak spać trzeba; pomalutko śnieg się wciska i pod baszłyk i pod futro, topnieje, moczy; konie przytem, gdzie lepsza droga, rzucają w nos zbite grudki śniegu, które nieraz wybiciem oczu zagrażają.

Dowlóklszy się do nowej stacyi, skąd do następnej tylko 25 wiorst, jamszczyki, właściciele, baby, dzieci, dziady — wszystko zaczyna debatować, głowami kręcić, przemyśliwać: czy jechać i jak jechać? Lasów tu już nie ma, step goły, nikt jeszcze nie jeździł, droga nie utarta, ni wytknięta, śnieg niesłychanie głęboki; a nuż noc zaskoczy? a któredy? są dwie drogi: jedna przez pola, 20 wiorst do pierwszej ludzkiej osady, druga przez wsie, ale na drugiej dwa bagniste potoki przejechać trzeba, a mówią, że nie dalej, niż wczoraj, gdy do lasu po siano i po drzewo jeździli parobcy, ugrzązł im koń w niezamarniętym jeszcze potoku i udusił się. Deliberują dwie godziny — nareszcie decyduje się dwóch braci, jak dęby chłopaki, przewieźć nas drogą dłuższą, bo 35 wiorst, przez step, ale bez bagien. Konie w szydło zaprzęgają, t. j. 3 w szydło, a 4-ego środkowemu z boku do pomocy. Baby wiejskie w strachu, nasze panie w jeszcze większym, zadymka coraz silniejsza — ruszamy. Póki we wsi, chłopaki nasze świszczą, miną nadrabiają; gdyśmy po chwili znaleźli się w pustym, głuchym, białym stepie, zwolnili tępa, zsiadli z sani i, idąc obok koni, cicho między sobą się naradzają. Ślad jakiś przed nami jest, ale słaby, stary jakoby, czy nas zdoła przeprowadzić aż do celu, czyż go przedtem śnieg nie zamiecie? Godziny mijają, a my ciągle w stepie, a śniegiem miecie nieustannie.

Zaczyna się ściemniać — słońce widocznie zachodzi, nie widzimy go z za grubej, szarej, istnej koldry chmur. Naraz nagle pierwsza szkapą pierwszych sani czegoś się lęka, skoczy w bok, za nią drugie i w nogi. Sanie się przechylają, powstaje krzyk; drugie sanie naturalnie za niemi. Szczyściem śnieg za głęboki, konie same stają; ale trudność teraz odnaleść pierwotny ślad, który nam przewodniczył; noc za pasem, każda sekunda droga. Już przemyśliwamy nad tem, jak tu nam przyjdzie nocować... w tem wszystko się odmienia. Przysłowie: *Wenn die Noth am grössten, ist die Hilfe am nächsten*, nigdy prawdziwsem nie było. Słońce, zachodząc, zabrało i wiatr ze sobą, śnieg przestaje padać — oddychamy! można się rozkutać, można swobodniej usiąść i patrzeć na świat, nadzieja wstępuje, humory się poprawiają. Ślad znajdujemy po chwilce, a co ważniejsza, wyjechawszy na górę,

gdzie nietyłe śniegu, możemy rysią ruszyć. Jamszczyki zapewniają, że wszystko będzie dobrze — do stacyi mamy jeszcze wiorst 16. Około pół do ósmej wieczorem stajemy we wsi, gdzie i nocować nam wypadnie. Przed nami o wiorst 4 rzeka Jajta ni stoi, ni płynie, nie wiadomo, czy i jak przez nią przeprawić się przyjdzie; w nocy, w ciemności nie sposób. Nocujemy więc; pocziwe ludziska wynoszą, co mogą i mają specyałów: kapustę, wódkę, mleko, krążki, pierogi; samowar kipi, więc humory złote.

Nazajutrz rano przeprawa przez rzekę zapowiada się nieźle; konie wyprzegamy prócz korenników — każdy jednego prowadzi po lodzie, rzeka częściowo stoi, droga wiechami wytknięta. Pierwsi dobrze przeszli, ja z jamszczykiem moim na końcu idziemy, on korennika i sanie, ja szkapę prowadzę; dochodzimy do drugiego brzegu; źle! lód trzeszczy straszliwie — jeszcze 20 kroków, a wszystko skończone; szkapa nie chce iść, ciągnę, jak mogę, byle prędzej; krach! lód pęka, ale niegłęboko, szkapa skacze wprzód i jesteśmy na brzegu! Zaprzęgamy, dalej jazda. Lasy się znowu zaczynają i góry znaczne; nową odnogę Uralu przejechać nam trzeba. Wieczorem znowu nas zatrzymują; przeprawa przez rzekę Ufę nas czeka, a na Ufie krycha idzie; śnieg wali, księżyc w pierwszej kwadrze wyłabudać się z chmur nie może. Nocujemy w stacyjce okropnie brudnej, ja z panem Kossowskim zawsze w saniach. Istotnie przeprawa przez Ufę ciężka: czółno od pomostu niżej o 2 czy 3 stopy; konie muszą skakać, sanie na linach spuszczaają; szuga dość znaczna idzie. Coś równie prymitywnego, jak ten przewóz, w całej Syberyi nie widziałem. Jakoś i przez to się przedostajemy, pędzimy dalej. Jesteśmy w okolicach przez Baszkirów zamieszkałych, plemię tatarskie, podobno zło-dzieje z profesyi; za Baszkirami spotykamy Czeremisów, brzydkie, nieco Buriatów przypominające plemię. Chciałby się człowiek bliżej tym plemionom, ich obyczajom przypatrzeć — ale darmo, trzeba gnać dalej. I tak już obawa, czy dojedziemy saniami do Ufy? Ponieważ jednak czas się wykłarował, księżyc świeci, wiatru nie ma, śnieg nie pada, więc otucha w serca wstępuje; już tylko 76 wiorst do Ufy.

Przejechaliśmy te 76 wiorst, ale w 12-stu i pół godzinach,

a żeśmy z nich cało wyleźli, to doprawdy nie nasza zasługa. Rzeczka Białaja, co pod Ufą płynie, nie stoi, lody szalone po niej idą; przeprawy niema; trzeba jechać górami, brzegiem lewym; księżyc za chmury znowu zaszedł, drogi prawie niema. Co chwila jamszczyk staje, szuka drogi, ciągle mu się coś rwie, wlecemy się. Nareszcie stajemy — a co to? wysiadać trzeba; — dlaczego? bo tu djabelska droga! Cóż znowu takiego? z góry, jak z pieca, na prawo ściana skalista, na lewo przepaść, w pół góry zakręt na prawo, droga tak wązka, że ledwie dwa konie obok siebie przejść mogą. Popłoch! Kossowski komenderuje ogólne wysiadanie; sanie spuszczaają jedne po drugich (hamują oni tu łańcuchem, pod sanie podkładanym). Zjechawszy, jamszczyk zapowiada, że to jeszcze nie; że tam dalej jeszcze daleko gorzej będzie. Winszuję! Zmieniamy konie; gospodarz każdemu z jamszczyków starannie przykazuje, jak ma jechać; istotnie zdaje się, że nas coś niezwykłego czeka. Ruszamy; po dobrej godzinie stajemy — wysiadać! Czegoś tak karkołomnego nie widziałem jeszcze: przez trzy ćwierci wiorsty drożyna wążutka, oślizła; skała znowu po prawej, po lewej przepaść na jakie 5—6 sążni; w spodzie rzeczka, a cała droga pochylona ku przepaści. Dla nas pieszo niema niebezpieczeństwa, ale co poczną konie i sanie, wreszcie jamszczyki. Trzeba przyznać, że ich siła odwadze i zimnej krwi wyrównywała. Przenieśli prawie sanie po tej karkołomnej drodze, w miarę potrzeby na brzuchu zjeżdżając z góry a nogami hamując. Przejmowała nas wszystkich groza i podziwienie. Istnie piekielna przeprawa. A czy na dole lepiej? niewiele. Lód na rzece cienki, co chwila się załamuje. Hartu i siły tych koni i tych ludzi potrzeba, żeby się z takich tarapatów w nocy cało wydostać.

Takimi przejściami kończy się moja podróż azyatycka — po której się wiele spodziewałem — a przyznać muszę, że mię nie zawiodła. Rano z wielką biedą, bo śniegu już niema, dowlekliśmy się do Ufy. Tu już kolej europejska; za 69 godzin dowiezie nas do Moskwy.

Paweł Sapicha.

GRÓB KRÓLA BOLESŁAWA ŚMIAŁEGO W OSSYACHU.

Ossyach (Ossoje), w lipcu 1894.

Z okna pokoju mojego w skromnej, wiejskiej, lecz schludnej gospodzie Bruggera w Ossyachu widać kawał jeziora, ścielącego się spokojną powierzchnią swoich ciemno-szarych wód u stóp wioski Ossyachu (po słoweńsku Ossoje), położonej na południowym wybrzeżu u stoku pasma gór Taueru, a ginącej swojemi kilkunastoma rozrzuconemi domami i kilkoma innemi, nieco okazalszemi zabudowaniami, w cieniu rozłożystych kasztanów, drzew owocowych i smukłych, wysokich topol. Wzdłuż północnego przeciwnego brzegu ciągnie się grzebieniasta, stroma a wysoka ściana, jaką tworzy góra Ossyach (Ossoje) z najwyższym swym szczytem *Gorlitzer Spitze* na przestrzeni kilku kilometrów. Góra Ossoje wygląda jak powalony, a zębem czasu zniszczony olbrzym. Niezawodnie śterczała ona ongi niebotycznie w obłoki, a dziś zachowały się z niej tylko szczątki. Wskutek silnych trzęsień ziemi, jak się o tem znajduje ślady w kronikach krajowych, usuwała się ona kilkakrotnie, a z jej wierzchołka spadały ogromne kawały skalne i zsuwały się potężne warstwy rumowiska kamiennego i ziemi w jezioro. Niektórzy wywodzą jej nazwę Ossoje od tego usuwania się, co jednak jest mylnem, ponieważ *ossoje* oznacza po słoweńsku „od słońca“. Jezioro jest też widocznie zasypane na kilku miejscach przy zwężeniach, a dzieje kraju wspominają o kilku strasznym kataklizmach ziemnych,

mianowicie o okropnem trzęsieniu ziemi w roku 1348, podczas którego obrywały się z gór okolicznych wielkie skały, niszcząc doszczętnie wsie i miasta, zasypując doliny rzek i tamując bieg wód. Niezawodnie też i jezioro zawdzięcza swe istnienie takiej ziemnej katastrofie. Dziś grzebieniasta ściana góry ossojskiej, przedzielająca od strony północnej jezioro od reszty świata, ciągnie się majestatycznie a smutno brzegiem spokojnego jeziora aż niemal dó jego kończyn, z swoim ciemno-zielonem, rzadkiem po największej części zalesieniem, z którego tu i ówdzie wyglądają malowniczo omszone a zczerniałe skały, tu i ówdzie znowu zagony ornego pola, to znowu jasno-zielone łąki, a wyżej ku szczytowi pasma widać hale z porozrzucanemi domkami i szalarami. Olbrzymia ta ściana ma w sobie coś niewysłownie smętnego. Cisza samotności zalega nie tylko pasmo gór i jezioro, ale też i całą okolicę. W głębi perspektywicznej jeziora, ciągnącego się od wschodu na zachód, widać górę *Oswaldi*, a dalej *Dobracza* (2167 metrów wysokości), ginącego w sinawej mgle oddalenia. Jezioro ossojskie leży 487 metrów wyżej niż powierzchnia morza, zajmując 1043 hektarów powierzchni, przy długości 10·7, a szerokości 1·6 kilometrów. W kierunku wschodnim ku miastu Beljakowi (*Villach*), przedstawia to jezioro miły a powabny dla oka krajobraz górski, zasiany gęsto siedliskami ludzkimi, co mu dodaje życia; natomiast wschodnio-północna część jeziora, znacznie zacieniona olbrzymią grzebieniastą ścianą pasma gór ossojskich, wygląda sennie smutno, a nawet nieco pośepnie. Domów mniej tu na jednym i drugim brzegu, ton kolorytu krajobrazowego melancholijny, napawa serce ludzkie uczuciem samotności. Wszędzie tu panuje niemal grobowy spokój, który przerywa od czasu do czasu gwizd lokomotywy i szum turkoczący przelatujących pociągów na szlaku kolejowym Beljak-Trg (*Villach-Feldkirchen*). Stacja kolei państwowej *Ossiach* stoi samotnie w cieniu drzew na południowym brzegu jeziora. W pewnem oddaleniu od niej — kilka porozrzucanych domków. Senna cisza przyrody: wokoło nie widać żywej istoty, nie słychać głosu ludzkiego, a tylko odgłos cicho szumiącego jeziora lub pianie koguta zalatuje do ucha. Mały domek stanowi stację

kolejową, gdzie także niema prawie żadnego ruchu, gdyż wsiada tu i wysiada nadzwyczaj mało osób, a nikt stąd nie wysyła i prawie nie odbiera. Ze stacy kolejowej prowadzi ścieżka do brzegu jeziora, skąd przewóz łódką na drugą stronę do miejscowości Ossoje (*Ossiach*). Nad brzegiem drzemie samotnie dom przewoźnika. Zakołatałem do drzwi tego domku. Było w nim pusto. Wołam — żadnej odpowiedzi. Samotność, cisza, sennaść w powietrzu, na ziemi, na każdym kroku, w całej przyrodzie, a dołem tylko, na rozjaśnionych promieniami słońca miejscach drzemiącego w ciemno-szarawym tonie jeziora, dają znak życia łagodnie kołyszące się fale. Wołam raz wtóry, trzeci — nikt się nie odzywa, jak gdyby wokoło ludzie wymarli lub stąd puciekali. Po kilkakrotnem jeszcze wołaniu odzywa się nareszcie głos:

— *I kimm' glei'* (Przyjdę zaraz).

Wychodzi też krępa a bosa dziewczka, pulchna blondynka z rozwianym włosom, przecierając rękami senne oczy.

— Pan wołał może długo, — mówiła — ale ja nie słyszałam. Zdrzemnęłam się trochę, a mam sen twardy. Nikogo w domu niema, co miałam robić innego. Samej nudno, a muszę czekać na gości.

Po chwili siedzimy w łódce. Dziewka ujęła silną a wprawną dłonią wiosło, i łódka ruszyła rącho od brzegu, prując powierzchnię jeziora. Pogoda była prześliczna. Niebo jasne, pełne promieni słonecznych, które jednak okropnie palą. Jezioro pod wpływem upału kurzy się mglistą parą.

— Ach, jak gorąco! — woła dziewczka co chwila, ścierając ręką pot z oblicza.

Łódka posuwa się ciągle naprzód. Na drugim brzegu jeziora wysterecza, wśród zieleni drzew, strzelisto do góry wieża niewielkiego kościoła, obok którego bieleją mury jakiegoś większego zabudowania. W miarę zbliżania się ku drugiemu brzegowi ukazuje się coraz wyraźniej kawał starego, poszczerbionego muru z basztą narożną. Są to widocznie szczątki tylko jakiejś dawnej warowni, ruina jakiegoś starego obronnego zameczyska, silnie zębem czasu nadszczerbiona. Mur okala całe obszerne bardzo zabudowanie. Płyniemy dalej wśród ciszy sennej, szybując jak

duchy po ciemnej przezroczy jeziora. Myślą odbiegłem w daleką przeszłość, w wiek XI. Mój Boże, jak samotnie, ponuro i dziko musiała wyglądać ta cała okolica w one czasy, kiedy w szacie pielgrzyma zablakał się był w te odległe i zupełnie bezludne strony, ścigany okropnemi wyrzutami sumienia, potężny król a wielki zbrodniarz — nasz Bolesław Śmiały! Groza tragedyi jego żywota jakby przystosowana dobrze do posępnego tła krajobrazu.

Przerwałem milczenie, zawiązując rozmowę z moją przełożnicą.

— Czy jest co widzenia godnego w Ossyachu? — zapytałem ją.

— O, niemało — odrzekła. — Obcy przybywają tu od czasu do czasu. Jedni oglądają kościół, drudzy znowu stadninę cesarską. Jak się komu podoba. Wszystkich przewożę ja, albo nasz *Sepp*. Hi! hi! jurny to chłopak. Dziś kosi siano, tam na górze, koło domu Notschalinga... widzi pan, na owej polance, za tym laskiem, gdzie dom bieleje. *Sepp* to nasz parobek, no — mówił mi to nieraz, iż jak mu Bóg dopomoże dorobić się czego, to się ze mną ożeni. Innej nie chce... tylko ja podobam mu się tak strasznie — i znowu zaczęła się uśmiechać.

Mało mnie interesował *Sepp*, kośba siana i romans jej z parobkiem, więc skierowałem rozmowę na inny przedmiot.

— Powiedz mi, moja panienko...

— O, dla Boga, cobym ja za to dała, gdybym była panienką! Co pan też mówi? Jestem sobie tylko prostą dziewczką i nazywam się *Liesl*. I kto wie, czy nie lepiej, iż nie jestem panienką, gdyż może *Sepp* by mnie nie kochał...

— Więc powiedz mi *Liesl* — podjąłem — co właściwie jest najosobliwszego w Ossyachu do widzenia?

— To albo to. Warto widzieć stary klasztor. Ot, widzi pan, te mury tam, to klasztor, no, a potem w kościele jest grób króla polskiego.

— Grób króla polskiego! — powtórzyłem z udaniem zdziwieniem. — A cóż to za król polski, który jest w tym kościele pogrzebany?

— Nazywają go Bolesławem. Bardzo to już, bardzo dawno, jak on tu przebywał. Przyszedł on tu z dalekich stron, aż z Węgier.

— Opowiedz mi o tem co więcej.

— W klasztorze o tem się pan dowie najlepiej od księdza proboszcza. Ja tu wiem tylko tyle, co u nas ludzie opowiadają.

— Właśnie chciałbym wiedzieć, co u was ludzie o tem opowiadają.

— Mój ojciec mógłby panu dużo opowiedzieć. Był on nauczycielem w naszej wsi, więc czytał także rozmaite książki. Ja nie mam czasu na czytanie książek, bo muszę pracować w polu i przewozić. Wiem tylko, com słyszała od ojca i innych ludzi. Szkoda, że ojciec mój nie żyje, Panie Boże świeć duszy jego!

Od nieboszczyka trudno się czego dowiedzieć, więc wziąłem Liesl na spowiedź. Zaczęła tedy swoją opowieść, którą możliwie wiernie przytaczam:

— ...Było to dawno, bardzo dawno, kiedy się zabłąkał w te strony polski król, Bolesław. A był to sławny i możny król w swoim kraju. Prowadził wielkie wojny, a gdzie się tylko ukazał na czele wojska, bił nieprzyjaciół. Poprzywoził on do Polski z dalekich krajów dużo złota i srebra i wszelkich kosztowności zdobytych w wojnach, daleko za lasami i górami. Ale był to król hardy i okrutny, to też Bóg go opuścił, a szatan opanował. W stolicy jego był pobożny biskup, święty Stanisław, który bezbożnego króla upominał i karmił, lecz król, zamiast posłuchać świętego i upamiętać się, postanowił zemścić się na nim, to też zabił go okrutnie w kościele podczas mszy świętej. Aniołowie ponieśli zamordowanego męczennika wprost do nieba, a król został wygnany z Polski i przeklęty. A miał on znajomego i przyjaciela na Węgrzech, tamtejszego króla; to też uciekł do niego, zabrawszy ze sobą wielkie skarby, uciekł, bo w Polsce rozwiścieczony naród chciał go potem zabić. U króla węgierskiego przebywał sporo czasu, a że tam były ogromne lasy, a on zamilowany myśliwy, więc ciągle prawie chodził po lasach, polując na zwierza. Jednego razu przybył do króla węgierskiego jakiś możny pan z Polski, od stóp do głowy uzbrojony, i począł się go pytać, czy u niego znajduje się polski król Bolesław, który zabił świętego Stanisława. Król węgierski odpowiedział, iż tak jest, więc ten pan rzekł na to:

— Posłano mnie tu, bym na nim kary dokonał. Gdzie on jest?

— Tego nie wiem — odrzekł król węgierski. — Poszedł jeszcze wczoraj na polowanie i dotąd nie powrócił. Musi być w lasach.

Ów rycerz polski poszedł w lasy szukać króla Bolesława. Ale podówczas stał się cud. Kiedy Bolesław polował z swoim psem w lesie, ukazał mu się nagle biały jeleni. Począł więc go ścigać i to było powodem, iż nie wrócił tego dnia do domu, co mu życie uratowało. Ale polski rycerz wytropił go w lesie i chciał go zabić. Tymczasem pies królewski rzuca się na rycerza i rozrywa go w kawałki. Nad jego zwłokami zmówił król modlitwę, a kiedy się modlił, ukazał mu się w obłokach św. Stanisław i rzekł groźnie:

— Czyń pokutę, zrzuc szaty królewskie, a przywdziej szaty pielgrzyma, weź kij w rękę i idź w świat pokutować za grzechy.

Kiedy wrócił Bolesław do swego przyjaciela, króla węgierskiego, rzekł ten do niego:

— Szukają ciebie z Polski i chcą zabić. U mnie nie jesteś bezpieczny, bo już cię wytropili. Każdy cię pozna po twych szatach królewskich i złocie, i kosztownościach, jakie masz przy sobie. Zrzuc szaty królewskie z siebie a przywdziej ubiór pielgrzyma, oddaj mi złote monety i kosztowności, a ja ci dam grosze pielgrzymie, weź kij w rękę i uchodź w świat co prędzej, bo cię tu złapią.

— Ja też sam chciałem to uczynić — odparł Bolesław, i uczynił też, jak mu kazał król węgierski, puszczając się jako ubogi pielgrzym w drogę do Rzymu, aby pokutować za swój ciężki i o pomstę do nieba wołający grzech. Ale wtedy, kiedy się to działo, ciągnęły się wszędzie ogromne lasy; szedł więc ciągle lasami, gdzie było dużo dzikich zwierząt, żywiąc się korzonkami. W nocy wylazł na drzewo i tam spał, chroniąc się przed dzikiem zwierzem. Doszedł tak aż do naszego kraju. W lasach jednak koło *Feldkirchen* zabłąkał się. W nocy, wedle swojego zwyczaju, wylazł na drzewo i znużony usnął. Ale Bóg dotknął go karą, więc spadł podczas snu z drzewa na ziemię i uszkodził bardzo swoje ciało. Leżał na ziemi bez przytomności Bóg wie jak długo, aż go tak spotkał przypadkowo leśniczy hrabiego Dietrichsteina, do którego wszystkie te lasy należały. Leśniczy

zaprowadził go do swojego pana, u którego znalazł opiekę i pomoc; kiedy wyzdrowiał, dano mu u hrabiego radę, żeby wstąpił do klasztoru w Ossyachu, gdzie są dobrzy jegomoście, i on tej rady usłuchał. Z Feldkirchen zmylił jednak znowu drogę i, zamiast iść na lewo prosto do Ossyachu, poszedł na prawo w kierunku Stemmelberga, a stąd musiał dopiero przejszć przez grzbiet góry Ossoje — oto tuż nad nami — a przeprawiwszy się łódką na drugi brzeg jeziora, stanął przed furką klasztoru, do której zakolała.

— Ale już jesteśmy u brzegu, muszę wracać co prędzej do domu, bo mam pilną robotę. Reszty dowie się pan najlepiej od księdza proboszcza. — Potem dodała: — Nieboszczyk mój ojciec był sobie spisał całą tę historię, czytywał nam ją kilkakrotnie, dlatego wbiła mi się ona tak dobrze w pamięć.

— Czy nie mógłbym dostać tego do przeczytania?

— Mój Boże, czy ja wiem, gdzie się ten szpargał podział? Muszę wracać.

— Co kosztuje przewóz?

— Pięć centów.

Z łódki udałem się wprost do zabudowania klasztornego. Ze starego, sławnego i możnego klasztoru Benedyktynów pozostała dziś właściwie tylko ogromna rudera. Od głównego wejścia przedstawia się jednak gmach dość okazale. Jest on z tej strony dwupiętrowy, o 25 oknach frontu. Przez sklepioną bramę wchodzi się na duży dziedziniec czworobocznego budynku. Na prawo w dziedzińcu wejście schodami pałaczkami, z ozdobną w sztukaterie facyatą zewnątrz, do sali pałaczkiej. Dziś nad tem miejscem wisi tablica z napisem: *K. K. Staatshengsten-Depot-Posten*. Cesarz Józef II. zniósł bowiem klasztor tutejszy, zabierając na własność państwa dobra klasztorne i wszystkie zabudowania. Obecnie mieści się w klasztorze — stacya ogierów. Z głównej bramy wiodą schody do „sali rycerskiej“. W tej sali i w pałaczkiej zachowane są malowidła ściennie. Są to wcale udatne i ciekawe freski. W sali rycerskiej zdobne są ściany w freskowe wizerunki naturalnej wielkości wszystkich panujących książąt Karynty, a na suficie znajduje się duży fresk, przedstawiający

hold, składany cesarzowi Karolowi VI. w tejże sali klasztornej. Z dawnej świetności pozostały chyba tylko te malowidła. Budynek wewnątrz dziedzińca bardzo zaniedbany. Mury obszarpane i mocno uszkodzone, dach zdefektowany, okna i drzwi popękane i poodrapywane. W gmachu tym mieści się prócz ogierów c. k. stadniny, cały jej zarząd, urząd leśniczy z mieszkaniem leśniczego, poczta i telegraf, szkoła ludowa i mieszkanie proboszcza.

Dziedziniec przedzielony drewnianymi sztachetami na dwie połowy: lewa część, zamknięta, należy zupełnie do stadniny, prawa więcej do kościoła, chociaż miejscowy proboszcz jest tylko w komornem w gmachu *Craryalnym*. Naprzeciw wejścia „prałackiego“ w dziedzińcu, który zdobią dwa stare, jaskrawo malowane na murze, zegary słoneczne, znajduje się brama, prowadząca do kościoła, stojącego w środku cmentarza. Od strony jeziora sterczy na cmentarzu kawał starego muru warownego z basztą. Całe zabudowanie klasztorne składa się z dwóch dziedzińców, otoczonych czworobocznymi murami; pierwszy gmach, o którym wspomniałem powyżej, był dawniej rodzajem wstępu do klasztoru; tu mieszkali opat i goście, tudzież służba klasztorna. Wzniósł go w XVI. wieku opat Herman III. Gmach na drugim dziedzińcu był o wiele starszy, tu był pierwszy klasztor, gdzie zakonnicy mieli swoje mieszkania, a więc tu przebywał także Bolesław Śmiały. Z tego atoli gmachu niema obecnie i śladu. Po zniesieniu bowiem klasztoru kazał go rząd austriacki rozebrać, i z uzyskanego tym sposobem materiału pobudować stajnie dla stadniny. Kościół z cmentarzem, obwiedzionym murem, stał poniekąd na lewo, na trzecim dziedzińcu. Przypiera on do gmachu klasztornego, z którym łączy go murowany krużganek. Kościół świeżo zewnątrz odrestaurowany i przebudowany. Pierwotny jego styl romański zatarł się zupełnie, przeistaczając się w rodzaj stylu gotyckiego. Przy wejściu do kościołka, obecnie parafialnego, stoi bardzo piękna wierzba płacząca, harmonizująca z powagą cmentarza, otaczającego dom boży, i wogóle z całym melancholijnym kolorytem krajobrazu. Wnętrze kościoła, 43 mtr. długiego a 14 mtr. szerokiego, urządzono po ostatniej restauracji, przedsięwziętej mniej więcej przed czterystu laty, przyozdobione

jest freskami i sztukaterią dość wykwintną, ale bez szczególnego gustu. Freski są pendzla karyntyjskiego malarza, Frohmüllera. Sześć fresków z prawej, a trzy z lewej strony wnętrza kościelnego w górze przedstawiają sceny z życia króla Bolesława: 1) Bolesław zabija św. Stanisława; 2) Rzucenie kłuty na Bolesława; 3) Bolesław jako pielgrzym; 4) Bolesław jako kuchta; 5) Bolesław na łożu śmiertelnem i 6) pogrzeb króla-wygnańca. W lewej nawie kościoła, przy bocznym ołtarzu, bliżej głównych drzwi niż wielkiego ołtarza, znajduje się sklepienie zagłębienie w murze. Tu jest grób króla Bolesława Śmiałego, wychodzący poza mur kościelny na zewnątrz, tj. na cmentarz. Grób znajduje się właściwie pod murem kościelnym. Tłumaczy się to w ten sposób, iż pierwotnie znajdował on się zewnątrz kościoła na cmentarzu. Później, przy przebudowaniu i powiększeniu kościoła, wysunięto mur bocznej nawy na cmentarz tak, iż grób znalazł się w połowie zewnątrz, w połowie zaś wewnątrz kościoła.

Przewodnikiem moim w kościele był miejscowy proboszcz, ksiądz Andrzej Krainz, którego nadzwyczajnej uprzejmości zawdzięczam dużo ciekawych danych. Zaczny ten i czcigodny starzec, liczący już blisko 70 lat wieku, zresztą jeszcze krzepki i ruchliwy, otacza grób Bolesława wielką pieczołowitością i pietyzmem. Dzięki też jego staraniom został on w r. 1888 zrestaurowany i do porządku przyprowadzony, o czem podam w dal-szym toku rzeczy niniejszej bliższe szczegóły. Wewnątrz ko-sciola znajduje się na grobie króla Bolesława marmurowa płyta polerowana z napisem *Boleslav. Rex Poloniae*, ozdobiona z prawej i lewej strony mozaikowymi wkładkami. Na marmurowej płycie leżą cztery wieńce — oto wszystko, co wewnątrz kościoła widać na grobie. Obok na ołtarzu wisi nieduża tablica w ramach i za szkłem, mająca poniekąd pośrednią styczność z grobem. Czy-tamy na niej:

Josephus Alexander de Ducibus Prusiae in Jablonow et Lachowice Princeps, Rom. Imp. Comes in Lisianka et Zawałow, Liber Baro in Podhorce, (następnie) Haeres in..., Dominus in... a Vicholtz Jablonowski, Generalis Terrarum Nowogrodensium, Gubernator Bascensis, Cotsensis, Volpensis, Zagostensis, Dzwiniogrodensis, Capitaneus ...ensis,

...ensis, ...ensis que, Eques Torquatus et Comendator Ordinum..., (wreszcie) Praefectus Loricatae Militiae, Binarum Academiarum Parisiensium Socius

Ossiacum Carnorum

Studio pervenit

Atra nempe septena saecula mirari Phenomenum

Regem

paenitentem

Patrem patriae

Anachoretam

Patrem familias

Orphanum

Principem se

Exulem

Haeredem

Peregrinum

Patronam

egentem

Regentem

parentem

Sanctitudinem

venerabilem (i t. p.) II Calen : VIII bris MDCCLXII.

Nieszczęśliwy król, spoczywający w grobie, ma na tej tablicy, obwieszczającej światu fakt zwiedzenia jego grobu przez księcia Józefa Aleksandra Jabłonowskiego w r. 1762, mniej tytułów aniżeli ów ks. Jabłonowski. Jużto wogóle w książce pamiątkowej dużo szumnych tytułów, a stosunkowo bardzo mało osób zwiedzających. Czytamy w niej także między innemi: *Le comte Ladislas Jean Bieliński, Sénateur-Castellan du Royaume de Pologne visite le tombeau du Roi meurtrier et pénitent de Pologne 13 septembre 1843 a son retour d'Italie*. Prócz w książce pamiątkowej napisał ów hr. Bieliński to samo na osobnej kartce i wręczył ją (po co?) ówczesnemu proboszczowi kościoła, który nie umiając po francusku, a myśląc, iż Bóg wie co się na tej kartce znajduje, zaciągnął ją dosłownie do *Liber Memorabilium*, zawierającej *res gestae* klasztoru i kościoła. Skromnie zapisał się w księdze pamiątkowej ks. August Czartoryski. Czytamy dalej w tej księdze

nazwiska: Zyblikiewicz, hr. Stadnicki, Parczewski, Baudouin de Courtenay, Stefan Buszczyński i kilku innych. Nazwisk wogóle, jak już zaznaczyłem, bardzo mało.

— W r. 1880 — mówił proboszcz ks. Krainz — znalazłem za gotyckim ołtarzem w kaplicy chrzestnej trzy luźne deseczki, na których spostrzegłem malowanie, odnoszące się do szczegółów życia króla Bolesława. Posłałem te deseczki do Krakowa w roku 1884 w celu ich spojenia i oprawienia w ramy. Chodźmy teraz do tej kaplicy, pokażę panu ten obraz.

Poszliśmy. Obraz ten, obecnie w ramach, jest dość duży, przeszło 2 metry wysoki. Malowidło na nim bardzo uszkodzone, w połowie stare deski, na których się to malowanie znajduje, także wskutek starości dość znacznie uszkodzone. Jest to niezawodnie bardzo stary obraz niewiadomego pochodzenia. Przedstawia on w środku Bolesława Śmiałego w pełnym rynsztunku, a wokoło sceny z jego życia w sześciu mniejszych obrazkach, pod spodem zaś zatarty napis, którego ułamki czytelne uzasadniają przypuszczenie, iż był to ten sam napis, który się znajduje na obrazie nowo malowanym wedle starego wzoru a zawieszonym nad grobem zewnątrz kościoła, mianowicie:

Occidit, Romam pergit
Placet Ossiach illi
Ignotus servit, notus pia
Lumina claudit Ossiach
Hinc tibi placat Stanislae
Tyrannum, mitem quod factum
Coelestibus intulit astris ¹.

O obrazie tym znajduje się tylko luźna wzmianka w książce Hohenauera *Kärntens geistlicher Ehrenkranz*, wydanej w Beljaku (Villach) w r. 1851, mianowicie ta, że nad grobem Bolesława (bez oznaczenia czasu) zawieszono obraz, a ten obraz odnowiono w r. 1682. Przy pierwszej wiadomej restauracyi grobu w r. 1839, przedsięwziętej z inicjatywy Niemki, hrabiny Izabeli Goess, żony byłego namiestnika Galicyi, Piotra hr. Goess, która, jadąc z We-

¹ Zabił, szedł do Rzymu, Ossyach mu się podobał. Nieznany służył, znany zamknął oczy pobożne. Ossyach dlatego pojedynywa z tobą Stanisławie tyrana, że czyn pokorny pod niebiosą podniósł.

necyi do Wiednia, wstąpiła do Ossyachu i tu prawie tak dobrze jakby odkryła grób króla Bolesława — sporządzono również na drzewie rodzaj kopii tego obrazu i umieszczono ją nad grobem, podczas kiedy oryginał poszedł w rozsypkę.

Okazalej i nierównie ciekawiej przedstawia się grób przy zewnętrznym murze kościoła na ementarzu. Tu wisi nad pionowo w ścianę wmurowaną pierwotną płytą grobową z drobno krystalicznego wapienia, w jaki obfituje okolica św. Wita (St. Veit), zaopatrzoną w płaskorzeźbionego osiodłanego konia bez jeźdźca, a mającą wkoło napis: *Rex, Boleslaus. Polonie. Occisor. Sancti. Stanislai. Epi. Cracoviensis* — mniejszy znacznie, aniżeli powyżej wspomniany pierwotny, obraz pendzla krakowskiego malarza I. F. Daniszewskiego, przemalowany na tem samem drzewie, na którem hrabina Goess kazała sporządzić kopię pierwowzoru starego, naturalnie wedle tej kopii. Obraz ma około 1½ metra wysokości a 1¼ szerokości. W środku znajduje się wizerunek króla w koronie, nie zaś rycerza, jak na pierwotnym obrazie, a wkoło sześć obrazków, przedstawiających sceny z jego życia, jakoto: św. Stanisław przed królem; św. Stanisław modli się, król zabija świętego; Bolesław jako pielgrzym; Bolesław jako kuchta, a właściwie parobek kuchenny, w klasztorze w Ossyachu; Bolesław umierający; pogrzeb Bolesława. Obraz modlącego się św. Stanisława znajduje się u góry nad wizerunkiem króla z napisem: *Sanctus Stanislaus*, pod królewskim zaś wizerunkiem napis: *Boleslaus Rex Pol. anno 1089*. Pod obrazem szaro pokostowane pole z napisem powyżej przytoczonego wiersza:

Occidit, Romam pergit i t. d.

a w końcu napis: *Sumptibus civitatis Cracoviensis cura Pracsidis urbis D-ris Weigel. Renovatum 1884*. Obraz znajduje się wraz z pierwotną płytą grobową w niszy, nad którą wznosi się dach, pokryty cynkowaną blachą żelazną. Na ziemi przed obrazem umieszczona zwykła płyta grobowa, a cały grób, znajdujący się zewnątrz kościoła, zamknięty jest pięknymi sztachetami żelaznymi ze złożonemi lancami i napisem złotemi literami: *Sarmatis Peregrinantibus salus*. Jest to napis wcale niestosowny, tłumaczy się jednak tem, iż dała go pierwsza restauratorka grobu, cudzo-

ziemka, hrabina Goess; należało go jednak przy drugiej restauracji, spowodowanej staraniem Stefana Buszezyńskiego, a przedsięwziętej przez swoich, że się tak wyrażę, w r. 1884, usunąć wyraz *Sarmatis*, a zastąpić go wyrazem *Polonis*. Co do powyżej wspomnianej pierwotnej płyty grobowej z osiodłanym koniem bez jeźdźca, to istnieje pewność, iż ona sporządzoną została i położoną na grobie znacznie później, co najmniej w 175 lat po śmierci króla Bolesława Śmiałego, czego dowodzi okoliczność, iż w napisie znajdującym się na niej wymieniony jest biskup Stanisław jako święty (*Occisor. Sancti. Stanislai*), gdy kanonizacya jego nastąpiła dopiero w 175 lat po śmierci króla Bolesława. Naruszewicz, czyniąc w swej Historii narodu polskiego wzmiankę o grobie Bolesława Śmiałego w Ossyachu, o czem do Polski pierwszy, jak się zdaje, wieść przywiózł niejaki Walenty Kuczborski, który odbywał ze Stanisławem Hozyuszem podróż do Rzymu, właśnie z powodu tego napisu o „Świętym“ Stanisławie uważa całą historię o Bolesławie Śmiałym, pokutującym w Ossoji, za wątpliwą. Tenże kamień grobowy oglądał także Tadeusz Czacki, który sądzi, iż kamień ten pochodzi z XIII. a może XIV. wieku, i również podnosi z tego powodu ze względu na pewne niedokładności i mylne dane w opisanii historii króla Bolesława, znajdującem się w klasztorze Benedyktynów w Ossyachu, wątpliwość co do całego podania i autentyczności grobu królewskiego. Jednak ani napis na płycie grobowej, ani też mylne dane kroniki współczesnej, spisywane przez mnichów, nie znających dobrze historii polskiej, ani też pewna sprzeczność co do daty przybycia i śmierci króla Bolesława, jakoteż długość czasu jego pobytu w klasztorze ossojskim, nie mogą w żaden sposób być przytaczane jako dowód *contra*. Płyta grobowa, obecnie uchodząca za pierwotną, gdyż starszej niema, była później sprawioną, nie więcej. Kronikę klasztorną czytałem. Znajdujące się w niej mylne dane pochodzą jedynie z nieznamomości polskiej historii i są głównie tego rodzaju, jak np. nazywanie biskupa Stanisława Szczepanowskiego „Kostką“, albo branie konia osiodłanego bez jeźdźca, znajdującego się na płycie grobowej, za herb Polski. Omyłki te atoli rzeczy samej nie dotyczą. Gmatwanina dat zaś

tłumaczy się odległością wieku i okolicznością, iż źródła kronikarskie klasztoru pochodzą od rozmaitych osób i były też kilkakrotnie przez rozmaite osoby przepisywane, omyłka zatem jest łatwa do pojęcia. Główne jednak daty, jak to poniżej wykażę, zgadzają się zupełnie z chronologią dziejową.

Założycielem kościoła w Ossyachu miał być hrabia Ozzius, poganin, posiadający zamek warowny w Tiffen koło Trgu (Feldkirehen). Ruinę tego zameczyska widać z kolei po lewej stronie wymienionego miasteczka, jadąc w kierunku Beljaku. Ów hrabia Ozzius, od którego nazwiska, wedle legendy klasztornej, zarówno jezioro, jak i miejscowość przyjąć miały nazwę Ozziach, Ossyach (prawdopodobniejszą jest dedukcyja od obecnej słowiańskiej nazwy Ossoje, od czasownika usuwać się — usuwające się góry) — kształcił swego syna Poppo w Rzymie, gdzie ten przyjął wiarę chrześcijańską i został później patriarchą w Akwilei. Poppo nawrócił ojca, a ten dla upamiętnienia faktu swojego nawrócenia, zbudował Ossyach i kościół. Właściwym fundatorem klasztoru Benedyktynów w Ossoje był Karloman, syn cesarza Ludwika II, a prawnuk Karola Wielkiego. Jego fundacya przypada na rok 878. Wedle znalezionego starego kamienia z napisem, istniał klasztor już przedtem. Kamień ów nosi datę *D*, a więc r. 500. Zapewne jest to data fundacyi kościoła, klasztor powstał później, ponieważ zakon Benedyktynów założył Benedykt z Nursyi w Kampanii dopiero w r. 529. Pierwotny klasztor został zniszczony przy napadach pogańskich, a mnisi wymordowani na brzegu jeziora. Miejsce to nosi od tego czasu nazwę Heiligengestade, obecnie jest tam miejscowość tej samej nazwy. Klasztor w Ossoje był możny i potężny, a opaci ossojscy grali wielką rolę w dziejach Karyntyi. Klasztor został zniesiony w r. 1782 przez cesarza Józefa II. Przedtem był on zniszczony kilkakrotnie przez Turków.

Przerwaną opowieść o królu Bolesławie, przechowującą się w całej okolicy z pokolenia na pokolenie, podjął czcigodny proboszcz ksiądz Krainz. Opowiadał on dalej: Podówczas rządził klasztorem opat Teuzzo albo Teucho (obraný opatem 1072). Doniesiono mu, iż u furty klasztornej znajduje się obcy, niemy pielgrzym, który giestami daje do poznania, iż życzy sobie być sta-

wionym przed opata; Teucho zezwolił na to; pielgrzym stanął wkrótce przed nim. Nie był to zwyczajny prosty pielgrzym, lecz słuszny i silny mąż, o szlachetnych rysach i bladej cerze twarzy. Opat zapytał go, czego żąda, a pielgrzym pokazał mu pismo z następującemi słowy: „Zlitujcie się nad biednym niemym pacholkiem bożym i przyjmijcie go u siebie“. Badawczo zapytał go opat, czy chce przyjąć służbę parobka kuchennego, który właśnie niedawno zmarł; a zapytany, z wdzięcznem wejrzeniem dał znak głową, iż chętnie tę służbę przyjmuje. Rąbał drzewo, nosił wodę, mył naczynie, zamiatał kuchnię i korytarze, jednym słowem: pełnił w pokorze ciężką służbę. Spostrzegano kilkakrotnie, iż niemy cudzoziemiec umie czytać i pisać i musiał służyć przy wojsku, pewnego bowiem czasu przybyli do klasztoru jeźdźcy sasey, udający się do Włoch — ówczesna droga handlowa i wojskowa prowadziła przez Karyntyę do Włoch; jednemu z saskich jeźdźców spłoszył się koń, wyrwał się i nie dawał się żadną miarą ująć. Na to nadszedł przypadkowo niemy kuchenny parobek. Widząc srogi kłopot rycerskiego jeźdźcy, przyskoczył do konia, ujął go silną dłonią za grzywę, wstrząsnął nim i powalił go na ziemię. Zanim jeździec ochłonął ze zdziwienia, parobek klasztorny znikł i tego dnia wcale się nie pokazywał. Jeden z mnichów pozdrawiał zawsze przy spotkaniu z wielką czcią niemego cudzoziemskiego parobka. Dziwiono się temu bardzo, mnich zaś ów odpowiadał:

— I tacy radują się niepospolicie, jeśli się ich wita ze czcią.

Mnich ów był tajnym spowiednikiem pokutującego króla, znał więc jego tajemnicę. Siedm czy ośm, a wedle niektórych, dziewięć lat pozostawał on w ciężkiej służbie klasztornej, udając głuchoniemego. Nagle popadł w ciężką chorobę i wkrótce umarł. Przed śmiercią rozwiązał mu się język. Oznajmił on zdziwionemu braciszкови, który przy jego łożu czuwał, iż pragnie widzieć się z opatem, gdyż ma mu powierzyć tajemnicę swojego życia. Opat przybył w towarzystwie braciszka. Umierający cudzoziemiec odkrył im tajemnicę swoją, wyznał popełnioną zbrodnię i kim jest, a na dowód podał opatowi sygnet królewski, który nosił na sznurku na szyi, i uwierzytelniające listy. Potem

przyjął sakrament ostatniego pomazania, a umierał z słowami na ustach:

„...Cel mój osiągnięty... w dniu, w którym bogobojny Stanisław padł pod ciosami mojego miecza, oddaję Bogu mego ducha. Dzięki Ci Boże! Święty męczennik przebaczył mi: widziałem go we śnie dzisiejszej nocy, uśmiechał się łagodnie i, ręką kiwając, przywoływał mnie ku sobie, do niebieskiego królestwa, w swój kraj słoneczny. Idę... już idę!”

Król Bolesław zmarł wedle podania 8 maja 1089 r.

Data ta jego śmierci, różna od dat zawartych w źródłach piśmiennych (o czem później), zdaje się też być najprawdziwszą.

II.

Ścisłych i niezbitych dowodów historycznych o pobycie i śmierci króla Bolesława Śmiałego w klasztorze Benedyktynów w Ossyachu niema wprawdzie, jednakże wszelkie przemawia za tem prawdopodobieństwo. Podanie o Bolesławie, żyjące od wielu wieków do dziś dnia, a zapisane szczegółowo w annałach klasztoru, jest więcej niż legendą, zwłaszcza, iż grób króla istnieje i podanie w niczem nie stoi z prawdą dziejową w sprzeczności. Mnisi ossojsey nie mieli żadnego interesu zmyślać historyi o Bolesławie, a już z końcem XIV. wieku znajduje się w annałach klasztornych wzmianka o pobycie Bolesława w Ossyachu, jako o fakte pewnym i niezaprzeczonem; a że te annały pisał opat klasztoru, więc niezawodnie czerpał on swoje wiadomości z pism i dokumentów, znajdujących się w archiwum opactwa ossojskiego. Niestety, po zniesieniu klasztoru w r. 1784 zaginęło to archiwum wraz z księgozbiorem bez śladu, a tylko jedna kronika klasztorna, mianowicie: *Annus Millesimus Monasterii Ossiaccensis* — pisana przez opata Edmunda Iblpachera (był on opatem w Ossoje od r. 1682—1725), ocalała i znajduje się obecnie w historycznem muzeum w Celowcu. *Annus Millesimus* opowiada dość obszernie historię o królu Bolesławie, zgodnie z podaniem utrzymującym się w klasztorze i okolicy, które powyżej wiernie przytoczyłem. Wspomniane annały klasztorne z XVI. w., lubo tylko krótką za-

wierają wzmiankę o Bolesławie, są mniej więcej o sto lat starsze i posiadają więcej powagi kronikarskiej. Te *Annales Ossiacenses* znalezione zostały w r. 1821 przez kaznodzieję Meyera w jednym z domów mieszczańskich w Celowcu. Ponieważ rękopis zawiera także czyste, niezapisane kartki, więc ów mieszczanin przeznaczył te kartki dzieciom do pisania. Pozwolił też wymienionemu kaznodziei wziąć sobie kartki zapisane, mianowicie 153 kartki formatu czwórkowego. Do r. 1587 ma w rękopisie każdy rok swoją osobną kartkę, od r. zaś 1587 każdy opat swoją kartkę. Na okładce rękopisu znajduje się napis:

ANNALES OZ
ZJACENZES (□)
Z. A. O.

poczem herb opactwa: trzy ryby, u góry infuła i pastorał, okolony napisem: † *Confirma hoc Deus quod operatus es in nobis*, a pod herbem rok MDLXXXVIII (1588).

Na wewnętrznej stronie okładki jest umieszczony czterowiersz łaciński o fundacyi klasztoru i kościoła przez Ozziusza, poniżej zaś następujący wiersz:

De rege Boleslao
Rex homicida ego sum perfugus et scelere dives.
Hic latui, luxi deplorans facinus audax
Ne tamen admissum scelestem vindicet ultor
Sanguine purpureo tingentem sidera celi
Te Stanislae peto sedantis advoca causam
Polonum querens hac me vesurus eas.

W *Annales* tych zapisane są wszystkie ważniejsze zdarzenia. Na początku stoi liczba roku i nazwisko panującego opata. Między innemi zapisano tu:

1072 Teuzzo (Teucho) Abbas prefuit.

1084 Hoc anno Boleslaus rex poloniae relinquit regnum suum
hic 8 i annis poenitentia acta moritur.

To „8 i“ czytają rozmaicie, niektórzy uważają je za 9. Jużto wogóle istnieje w historyi o Bolesławie niezgodność dat. I. Maidl w dziełku swem: *Das ehemalige Kloster Ossiach und der stumme Büsser Boleslaus*, podaje r. 1082 jako czas przybycia Bolesława do Ossojów; inni, jak Hohenauer, r. 1084; tę datę stwierdzają

Annales i ona też jest prawdopodobną. Wedle niej jednak przypadałaby data śmierci Bolesława na r. 1092 lub 1093, podczas kiedy *Annus Millesimus* Ibipachera, a za nim wspomniani Maidl i Hohenauer, podają datę śmierci króla 8 maja 1089 r. Tym sposobem przebywałby Bolesław tylko 5 lat w klasztorze. Co do długości czasu jego pobytu w Ossojach zachodzi także wielka sprzeczność. Podanie mówi o ośmiu lub dziewięciu latach, inni o siedmiu lub ośmiu latach, prawdopodobnem zaś jest na powyżej przytoczonej podstawie, iż on tam tylko mniej więcej pięć lat przebywał. Ale wróćmy do *Annales Ossiacenses*. Pierwszą o nich wiadomość podał historyk karyntyjski Gottlieb baron Ankershofen w roczniku 1851: *Archiv für Kunde österreichischer Geschichtsquellen*, wydawanych przez wiedeńską akademię umiejętności. Wspomniany autor pisze o *Annales*. Najpobieżniejsze porównanie tych *Annales* z *Annus Millesimus Monasterii Ossiacensis* wykazuje dostatecznie, iż te *Annales Ossiacenses* są owym *Antiqua Codex*, o którym *Annus Millesimus* kilkakrotnie wspomina. Litera Z. A. O., liczba roku 1588 na górnej okładce i inne okoliczności dowodzą, iż te *Annales Ossiacenses* pisane są przez wybranego w r. 1587 opata Zacharyasza Gröblachera, a przez jego następców, aż do ostatniego opata, Ludengera, były kontynuowane. Opat Zacharyasz Gröblacher z pewnością wszystkie swoje podania brał z dokumentów archiwalnych, które niestety w największej części zaginęły. Baron Ankershofen donosi, iż oryginał *Annales Ossiacenses* znajduje się w ręku wspomnianego kaznodziei Meyera, ale było to w r. 1851; gdzie zaś obecnie się ówczesny rękopis podziwia, tego nie mogłem się od nikogo i z żadnego źródła dowiedzieć.

Świadeztwo zawarte w tych *Annales* o pobycie Bolesława w Ossyachu można też uważać, przynajmniej pośrednio, za dowód historyczny. Niezbitym dowodem historycznym byłby ów pierścień królewski, który Bolesław, umierając, dał opatowi Teucho dla stwierdzenia swych zwierzeń. Ale pierścienia tego niema. O zniknięciu jego także są rozmaite wersje. Hohenauer, autor *Kärntens geistlicher Ehrenkranz*, który czerpał ze źródeł klasztornych, twierdzi, iż pierścień został przed rokiem 1748 przy

zwiedzaniu skradzionym przez jakiegoś Polaka i że znajduje się w „polskim skarbcu“. Inna wersja mówi, iż skradł go jakiś Żyd, wspominany zaś *Liber Memorabilium*, obecny dyaryusz kościelny, prowadzony przez obecnego proboszcza ossojskiego, Krainza, i trzech jego poprzedników, a między tymi głównie przez proboszcza F. Karla, że pierścień królewski został najprzód zamieniony podrobionym, a przy zniesieniu klasztoru zginął i ten falsyfikat.

W r. 1839 otworzono grób i przedsięwzięto, jak już wspominałem, jego restaurację. Stało się to z inicjatywy hrabiny Izabeli Goess. *Liber Memorabilium* pisze o tem: „W r. 1817 przedsięwzięła hr. Izabela Goess podróż z Wenecyi, gdzie jej mąż, Piotr hr. Goess, były namiestnik Galicyi, mianowanym został namiestnikiem, do Wiednia, i po drodze zwiedziła Ossoje, gdzie w kościele odkryła grób króla Bolesława. Przybywszy do Wiednia, miała hrabina audyencyę u cesarza Franciszka i prosiła go, żeby w wypadku, jeśliby klasztor i kościół obrócone być miały na pomieszczenie c. k. stadniny, wolno jej było prochy leżącego tam króla polskiego przenieść do jednej ze swoich posiadłości ziemskich. Cesarz dał hrabinie zezwolenie. Jakoż stadninę istotnie przeprowadzono do Ossojów, kościół jednak pozostał nietknięty i zamieniony na parafialny. Później zebrała hrabina między polską magnateryą kilkaset guldenów i restauracya grobu została według jej planu przedsięwziętą“. Na liście składkowej czytamy nazwiska hrabiów: Stanisława Mniszka, Jana Stadnickiego, Alfreda Potockiego, Karola Krasińskiego, Maurycego Potockiego, Leopolda Krasińskiego, Seweryna Drohojowskiego, księcia Henryka Lubomirskiego i innych jeszcze. Dalej czytamy w tejże księdze: „W r. 1839 hrabina Izabela Goess, urodzona hrabina Thürnheim, małżonka hr. Piotra Goess, byłego namiestnika galicyjskiego a późniejszego marszałka dworu, wspólnie z kilku galicyjskimi książętami i hrabiami, kazała malowidło na drzewie całkiem na nowo, lecz wiernie wedle starego skopiować, przed płytą grobową zaś postawić żelazne sztachety, na których w literach mosiężnych umieszczono napis: *Sarmatibus peregrinantibus salus*. Przy sposobności stawiania sztachet żelaznych otworzono grób Bolesława, który znajduje się pod głów-

wnym murem kościoła, posiadającym na tem miejscu zagłębienie. Grób przykryto masywną płytą kamienną, którą znowu przeplastrowano ceglami... Otwarcia grobu dokonał szwagier hrabiny Izabeli, Rudolf hr. Goess, radca górniczy w Celowcu, w obecności ówczesnego ossojskiego proboszcza, Franciszka Karla, majora Józefa barona Saamen i jeszcze kilku osób“.

Posłuchajmy samego Rudolfa hr. Goessa. Jego sprawozdanie z dnia 21 czerwca r. 1839 o otwarciu grobu opiewa:

„Grób ten nie znajduje się ani w kościele, ani na cmentarzu, lecz bezpośrednio pod głównym murem kościoła. Grób znalazł się prawdopodobnie na tem miejscu wskutek powiększenia kościoła, dokonanego około r. 1500. W grobie znaleziono powyżej oznaczonego dnia tylną część głowy, już bardzo nadpsutą, kości ramion i nóg silnego mężczyzny, żyły z rąk i nóg, następnie długie żelazne ćwieki, któremi prawdopodobnie trumna drewniana była zamknięta, potem metalową (mosiężną) spinkę, zaopatrzoną na obydwóch końcach muszelkowatemi główkami. Prawdopodobnie służyła ta spinka do spojenia na szyi szaty pielgrzymiej. Otworzony grób został po obejrzeniu napowrót troskliwie zamknięty, płytą kamienną przywalony, a po wierzechu jej ceglami wyplastrowany. Wymienioną spinkę nie włożono do grobu“.

O tej spince opowiada dalej obecny proboszcz ossojski, ks. Andrzej Krainz, jak następuje:

„Spinaka ta pozostawała w przechowaniu u mojego poprzednika ks. Franciszka Karla, a następnie u mnie. Później oddałem ją p. Stefanowi Buszczyńskiemu dla przechowania jej w skarbcu katedry na Wawelu, na co posiadam dokument z datą 26 marca r. 1882, podpisany przez obecnego kardynała, księcia biskupa krakowskiego Albina Dunajewskiego, Józefa Łepkowskiego, Stefana Buszczyńskiego, kanonika Ignacego Polkowskiego i Konstantego hr. Przeździeckiego“.

Hohenauer pisze jeszcze o grobie:

„Pewną jest rzeczą, iż grób ten kiedyś, może przy sposobności powiększenia kościoła, kiedy Bolesław już mniej więcej 400 lat leżał w ziemi, otworzono i wzięto kilka kości z jego ko-

ściotrupa, ponieważ przy otwarciu grobu w r. 1839 znaleziono kości na jednej kupie, zgarnięte na miejsce, gdzie prawdopodobnie spoczywała jego głowa“.

Spinka ta może być także ważną wskazówką, gdyż archeologowie mogą najprzód zbadać jej wiek i wogóle inne szczegóły jej pochodzenia, a z tego dadzą się wysnuć pewne wnioski. Czy tego dokonano w Krakowie, nie wiem. Kończąc mój opis, dodam jeszcze to, iż wszystko, co słyszałem, widziałem i czytałem, podaję wiernie.

Z powyższego atoli wynika, iż cały materiał dowodowy jest więcej pośrednim, mającym za sobą wszelkie prawdopodobieństwo, a to tem bardziej, iż nie stoi on w sprzeczności z faktami dziejowemi, ani też nikt dotychczas z tych, którzy całą historję Bolesława w Ossyachu uważają tylko za legendę, nie przytoczył żadnego ważniejszego argumentu przeciw, i wogóle żadnej innej tezy, chociażby na czemkolwiek opartej, nie przedstawił. Wszystkie inne wersje o losie króla Bolesława Śmiałego, że jakoby po opuszczeniu Polski miał zginąć na polowaniu w Węgrzech, lub że przebywał w klasztorze Wilten w Tyrolu, są gołosłownemi twierdzeniami, dowolnem przypuszczeniem, nieopartem nawet legendą lub też jakąkolwiek wiarogodniejszą wzmianką w starych kronikach. Pobyt króla Bolesława w Ossyachu stwierdzony jest silnie i trwale utrzymującym się podaniem, a następnie świadectwem opatów ossojskich, mężów na wysokim stanowisku i poważnych swoim stanem duchowym. Zresztą w Ossyachu pokazują grób króla-wygnańca i w kościele też znajdują się dotyczące pamiątki, mające przeszłość pół tysiąca lat; podczas kiedy w klasztorze Wilten w Tyrolu zgoła niczego niema, coby z losami Bolesława Śmiałego mogło mieć jakąkolwiek styczność lub związek. Wątpliwość, sędzę, powstała głównie stąd, iż w chronologii zachodzą różnice w rozmaitych podaniach, na co zwróciłem powyżej uwagę, a następnie stąd, iż zarówno ci, co opowiadają legendy o polskim królu Bolesławie, jakoteż i ci, co o nim pisali, historyi polskiej nie znają, co niekiedy idzie tak daleko, iż osiodłanego konia bez jeźdźca, znajdujacego się na płycie grobowej, poczytują za herb państwa pol-

skiego, — a dlatego popełniają niedokładności i mylnie tę lub ową rzecz przedstawiają, a właśnie ta okoliczność stała się powodem, iż niektórzy nasi pisarze, jak Naruszewicz, Czacki i jeszcze inni, nie zgłębiwszy i nie zbadawszy rzeczy na miejscu, zniechęcają się do całej „legendowej“ historyi i prostem orzeczeniem poddają ją w wątpliwość.

Podanie o Bolesławie Śmiałym znalazło nawet piewców w literaturze niemieckiej. Poeta J. N. Vogel napisał na podstawie klasztornego podania poemacik, zatytułowany *Der stumme Bruder von Ossiach*, a następnie drugi niemiecki poeta, Fritz Pichler, balladę p. t. *Boleslaus II. (König von Polen)* następującej osnowy:

Der König schlug den Bischof mit seiner tödtenden Hand,
Der Mörder ward ein Pilger und zog aus seinem Land.
Zog aus dem Polenlande und kam in's Kärntnerland —
Das Blut des Bischofs brannte auf Seele ihm und Hand,
Er wollte pilgern gegen Süden bis nach dem heiligen Rom
Und beten in St. Peter am alten Tiberstrom.
Da traf er auf ein Kloster an einem stillen See,
Und war ihm als konnte genesen er von seinem Weh!
Acht Jahre geblieben ist er im Kloster Ossiach,
Der Knechte Dienste that er in Demuth und in Schmach.
Er hat kein Wort gesprochen mit wem es immer sei,
Sie nannten ihn den Stummen und dachten sich nichts dabei.
Bis ihn der Tod gerufen, den Königen, nach Haus —
Da sprach er, er sei von Polen der König Boleslaus ¹.

III.

Wróciłem raz jeszcze do Celowca, ponieważ w Beljaku (Villachu) powiedziano mi, iż w celowieckiem muzeum historycznem znajdują się stare kroniki, w których prawdopodo-

¹ Biskupa zabija król silną swoją prawicą, morderca zostaje pielgrzymem, ucieka z swojego kraju, opuszcza ziemię polską, i zdąża do Karyntyi kraju, — krew biskupia pali mu duszę i rękę. Chce on iść na południe aż do świętego Rzymu, by modlić się w kościele św. Piotra nad starą Tybru rzeką. Lecz oto spotyka klasztor nad cichem jeziorem, i zdaje mu się, że będzie mógł tam uleczyć się ze swej boleści. Ośm lat zostaje w klasztorze, w samotnym Ossyachu, czyniąc służbę parobka w skrusze i hańbie poniżenia. Z nikim słowa nie mówi, ktokolwiekby to był, z nikim, wszyscy niemym go zowią, nie bacząc więcej na nic. Gdy wkońcu śmierć zawołała pokutnika do domu, przemówił nagle, iż jest on król Polski Bolesław.

bnie są wzmianki o klasztorze Benedyktynów w Ossyachu, a więc i o pobycie polskiego króla-banity tamże. Wziąłem się więc do wertowania starych ksiąg, najprzód do dzieła Jana Weicharda barona Valvasora, zatytułowanego *Das Erzhertzogthum Kärnten*, Lublana i Norymberga 1688. W dziele tem jest następujący ustęp o klasztorze ossojskim: „W kościele tym można obok innych relikwii i starożytności widzieć również grób Bolesława II. *cognomento audax*, czwartego króla Polski, a drugiego tego nazwiska, a mianowicie przy murze, od strony północnej ku cmentarzowi, z napisem: *Boleslaus Rex Poloniae. Occisor Sancti Stanislai Episcopi Cracoviensis*. Na drugiej stronie napis: *Boleslaus Rex*. Również znajduje się w Ossyachu we wszystkich rękopisach (dziś zaginionych), następujący wiersz, o którym wspomina historyk karyntyjski Gottlieb baron Ankershofen, podając wiadomość o znalezionym rękopisie *Annales Ossiacenses*, opata Zacharyasza Gröblachera z drugiej połowy w. XIV., mianowicie, iż on znajduje się na okładce rękopisu, o czem też uczyniłem wzmiankę. Jednak tekst, podany przez Ankershofena, wedle *Annales Ossiacenses* jest nieco odmienny od tego, jaki podaje Valvasor, który, pisząc swoje dzieło w r. 1688, czerpał prawdopodobnie z innych klasztornych dokumentów. Dla porównania podaję obydwa teksty obok siebie:

**Tekst podany wedle »Annales Ossiacenses«
przez Ankershofena:**

De rege Boleslao
Rex homicida ego sum perfugus et
[scelere dives
Hic latui, luxi, deplorans facinus
[audax
Ne tamen admissum scelestem vin-
[dicet ultor
Sanguine purpureo tingentem sidera
[coeli
Te Stanislai peto sedantis advoca
[causam
Polonum querens hac me vesurus eas.

Tekst podany przez Valvasora:¹

Rex homicida ego sum perfugus et
[scelere dives
Hic latui, luxi, deplorans facinus
[audax
Ne tamen ob crimen coelestis vindi-
[cet ultor
Sanguine purpureo tingentem sidera
[Olympi
Te Stanislai rogo precantis advoca
[causam.

(Ostatn. wiersza z Donnatów niema u Valvasora).

¹ Wersja Valvasora po polsku znaczy: „Jestem król mężobójca, tułacz i w zbrodni bogaty, tu się ukrywałem, bolałem i opłakiwałem czyn zu-

Valvasor opowiada historię panowania króla Bolesława II. w Polsce i zabójstwo biskupa Stanisława, a potem pisze dosłownie:

„...Uciekł *in Hungariam*, ponieważ sumienie ścigało go tak okropnie, iż w lichych szatach i o żebrach poszedł w pielgrzymkę do Rzymu, aby tam czynić pokutę; uszedł pokryjomu i tajnie z Polski w r. 1080, przyszedł po drodze do Ossyachu, gdzie na prośbę otrzymał od furtyana chleb w jałmużnie, nie mógł i nie chciał iść dalej, pozostał tamże, nosił drzewo do kuchni i sprawował rozmaite proste roboty, udając niemego aż do swego końca (*bis an sein End*), mianowicie przez całych dziewięć lat. Kiedy jednak w r. 1089 (data śmierci zgadza się z datą podaną w kilku innych wiarogodnych źródłach) zachorował ciężko i spostrzegł, iż się jego ostatni czas zbliża, począł nagle mówić; powołał do siebie *patres* i dał się poznać, iż jest królem Polski Bolesławem, mordercą św. Stanisława. Na stwierdzenie tego wyciągnął z zanadru królewski pierścień, również pewne pisma i inne znaki (*Zeichen*), oddając je *patribus*, i wyspowiadał się z wielką skruchą, przyjął ostatnie pomazanie i oddał w obecności księży, Bogu swego ducha, poczem tamże *solemnissime* został pogrzebany“.

W starszej o 76 lat tak zwanej „Kronice Megisera“, nadjornego dziejopisa, której tytuł opiewa: *Annales Carinthiae*, publicirt und in Druck verfertiget durch Hieronymum Megiserum. Gedruckt zu Leipzig durch Abraham Lamberg. Im Jar MDCXII. (1612) — czytamy na stronie 761 i 762 jak następuje:

chwały. Aby jednak mściciel niebieski nie karał za zbrodnię, ciebie Stanisławie proszę, którego krew purpurowa broczy (barwi) gwiazdy Olimpu, bądź obrońcą sprawy modlącego się“.

Wersja zaś wypisana z kroniki klasztornej tak się tłumaczy w miejscach brzmiących odmiennie: „Aby jednak za zbrodnię szkaradną nie karał mściciel, ciebie Stanisławie, którego krew broczy gwiazdy niebieskie, błagam, bądź obrońcą sprawy ukorzonego“, — wiersz ostatni jest zupełnie dla nas niezrozumiały, a ponieważ i metryczności w nim braknie, musi więc być błędnie do kroniki wpisany.

Abt zu Ossiach
das 39 Capitel.

Die Verzeichniss des Klosters Ossiach in Kärnten lasst ein guts über hundert Jar aussen da sie keine Abtes gedenkt und hebt allein an, umb diese Zeit zu der rechten Ordnung zu kommen und meldet, nach dem Albero, der fünfte Abt zu Ossiach gestorben, als hieoben im Jar acht hundert und neunundsiebenzig gedacht worden, sei ihm nachkommen Teucho, ein angezogener und zimlich gelehrter Mann, so viel hat damals leiden können, in der nun angefangenen Ordnung der sechste abt... Es Schreibet auch Aeneas Silvius in seinen Historien, wie das im Jar 1058 nach Christi Geburt Boleslaus, ein König in Polen worden, welcher eines Fürsten von Reussen Tochter zum Ehegemahel gehabt, der hat Stanislaum, den Bischoff zu Crackaw umbracht, welcher, wie die Polacken selbst anzeigen darnach unbekannter Weise eine Zeitlang in diesem Gotteshause Ossiach aufgehalten, in der Kuchin gedient und allda gestorben: dervegen ihm dann ein Grabstein gehauen und gemacht worden ist, darauf ein Pferd und diese Umschrift: Rex Boleslaus Poloniae occisor S. Stanislai Episcopi Cracoviensis. Es wird auch dieses Monumentum gefunden, so durch die Polacken verzeichnet est worden, wie folget: ¹

Fama cinerum regis Boleslai, qui rebus maximis gestis, regem Hungarorum Belam, et Blodiminium ducem Riobiensem, bis pulso ad seorum restituit. Regno suo Poloniae firmato et ampliato insolentior

¹ Opat w Ossyachu. 39 rozdział. Zapiski klasztoru Ossyach w Karynty wypuszczają dobrze więcej niż sto lat, nie wspominając o żadnym opacie i dopiero po tym czasie zaczynają przychodzić do właściwego porządku i donoszą, iż po śmierci Alberta, piątego opata w Ossyachu, jak o tem powyżej w roku ośmset siedemdziesiątym dziewiątym wspomniano (data 879 niezrozumiała, prawdopodobnie odnosi się ona zupełnie do czego innego), został jego następcą Teucho, spokojny i dość uczony mąż, o ile to wówczas czas znośił, w rozpoczętym teraz początku szósty opat. Píše także Aeneas Silvius w swoich historyach, jak w r. 1058 po narodzeniu Chrystusa Bolesław królem został w Polsce, który córkę jednego z ruskich książąt miał za małżonkę; ten zabił Stanisława, biskupa w Krakowie, który, jak Polacy sami donoszą, przez pewien przeciąg czasu w tym domu Bożym w Ossyachu przebywał w ukryciu, służył w kuchni i tu zmarł: dlatego potem wykuto mu grobowy kamień i zrobiono na nim konia i ten napis: Rex Boleslaus Poloniae occisor S. Stanislai Episcopi Cracoviensis. Znajduje się także i to *monumentum*, tak przez Polaków zostało zapisanem, jako następuje...

factus, D. Stanislaum Episcopum Cracoviensem occidit. Hic ignotus acta poenitentia Ossiaci moritur Anno MLXXXIX (1089).

Blodiminium ducem Riobicensem może jest skażonem przez przepisywacza Vladimirum Kiovenssem, wprowadzonym tu zamiast Izasława.

Następnie dodaje tenże kronikarz:

„O tym królu Bolesławie i jego pokryjomym pobycie w Ossyachu piszą polscy *authores* w następujący sposób:¹

Vol. Lud. Decius lib. 1 de vetustate Polonorum. Boleslaus Rex Poloniae, D. Stanislaum propriis manibus gladio interemit. Quem Gregorius VII Papa exautoravit, regnum ab illius obedientia absolvit, anathema imposuit, Polonium ille exiens, traditur in eo Coenobio, quod ad lacum inter Feldkirchen et Villacum Carinthiae oppidum (jezioro

¹ Kronikarze nasi dawniejsi nie pewnego o zgonie Bolesława Śmiałego nie wiedzieli: jedni napisali ogólnikowo, że życie „marnie“ albo „nędzne“ zakończył, drudzy, że sam sobie śmierć zadał. Dopiero na początku w. XV. Jan Dąbrowka, komentator Kadłubka, wspomniał, że, według niektórych, król Bolesław strawił resztę żywota na pokucie w jakimś klasztorze na granicy Austrii i Karynty, i że tam w zupełnej skrusze życie zakończył. „Na grobie jego (dodaje) jest napis: *Hic jacet Boleslaus rex Poloniae, Occisor Sancti Stanislai Episcopi Cracoviensis*. U nas się jednak o tem nie mówi i nie rozgłasza przed ludem, aby łatwość przebaczenia nie dała popohopu do winy“. (Kadłubek przy Długoszu, wydanie lipk. t. II, str. 667). Potem Długosz wspomniał też o pokucie tego króla, ale za miejsce jej wskazuje klasztor Vitthina (Wettina) niedaleko Insbruku. Dalej znów Miechowita utrzymuje, że śladu Bolesława w Wettinie odkryć nie mógł, a nawiasem dodaje: „ani też w Ossyachu“. Dopiero towarzysz Hozyusza w podróży do Rzymu, Kuczborski (o czem pisze i autor niniejszego), ogląda na własne oczy kamień grobowy w Ossyachu, z napisem: *Boleslaus Rex Poloniae, Occisor* i t. d. (bez *Hic jacet*). Opowiadanie Kuczborskiego przytacza Kromer, za nim Strykowski, za Strykowskim Sarnicki. Następnie Marcin Białobrzeski, biskup kamieniecki, zwiedziwszy Ossyach, prawdopodobnie podczas legacji swej od Stefana Batorego do cesarza Maksymiliana (1577), nie tylko że oglądał, lecz nawet zmierzył kamień grobowy Bolesława, a nadto z ust opata ossyackiego dowiedział się podań klasztornych o życiu zakonem pokutnika, co wszystko za powrotem do kraju opowiedział Bartoszewi Paprockiemu, a ten całą relację w „Herbach rycerstwa polskiego“ pod klejnotem „Orzeł“ umieścił.

Odtąd w ciągu dwóch wieków było u nas głucho o Ossyachu, dopiero Naruszewicz w swej „Historji narodu polskiego“ w przypisku powtórzył relację swoich poprzedników, lecz wiary do nich nie przykłada, a Tadeusz Czacki w nocie swej do tego przypisku (wydanie Mostowskiego), stwierdza

ossojskie leży między Feldkirchen a Villachem), situm est poenituisse, inq. eo Sacello, quod in saxo ad lacus ostia eminet, tumulatum esse.

Matthias de Miechovia lib. 2. C. 20. Tradunt annales, quod Rex Boleslaus de occisione Beati Praesulis Stanislai compunctus, dimissis omnibus in chlamyde abiecta unisono comitatus servo, clam in Carinthiam pervenit ad Monasterium Ozia, juxta lacum, prope Villacum et c.

Martinus Cromerius lib. 4. Volunt eum clam omnibus errabundum, inter Alpes, ad Monasterium situm ad Villacum pervenisse, ibiq. latentem quisnam esset post multos labores in coquinae ministerio, ultro et poenitentia commissi parricidii susceptos et exhaustos vitam finivisse“.

Do tych cytata dodaje Megiser od siebie:

„Opat Teucho był jednak przełożonym domu Bożego w Os-

wprawdzie istnienie kamienia grobowego, lecz powiada: „o ile z odrysowania sądzić mogłem, jest on z w. XIII. a może i XIV. w.“; znajdujące się zaś w klasztorze opisanie kończącego się życia Bolesława uważa za „lichą ramotę i taką mieszaninę, że zdaje się być przepisana słowną, od przecho-dniów i bajkami przeplataną powieścią, niżeli częścią dziejów“.

Z późniejszych historyków Bandtkie w „Dziejach narodu polskiego“ wspomina o pobycie Bolesława Śmiałego w Ossyachu. Potem w r. 1837 za-jął się gorliwie tą sprawą Władysław Ostrowski, kazał zrobić obrazek olejny grobu Bolesława i z całym zbiorem wiadomości zakomunikował go Lele-welowi, który korzystał z nich w swych pismach (t. I, str. 77, t. II, str. 315); wreszcie w r. 1842 ukazał się o Ossyachu artykuł w *Ateneum* Kraszewskiego (t. III, str. 151).

Po tem wszystkiem hr. Przeździecki, który w r. 1851 otrzymał był od Ostrowskiego materyały wyżej wspomniane, wobec panującej w rela-cyach swoich poprzedników niepewności, postanowił raz jeszcze zbadać należyte tę sprawę, uprosił więc jadącego do Rzymu malarza Jana Dre-waczyńskiego, aby wstąpił do Ossyachu, zrysował wiernie kamień grobowy i zebrał, o ile to być może, najdokładniejsze w tym przedmiocie relacye. DREWACZYŃSKI sumiennie spełnił jego polecenie, a na mocy dostarczonych przez niego wieści, oraz wszystkiego, co dawniej w materyi tej pisano, hr. Przeździecki oświadczył się stanowczo za autentycznością grobu Bo-le-sława, a więc i za pobytem i zgonem jego w Ossyachu. („Ślady Bolesła-wów naszych po obcych krajach“, t. I).

Nie od rzeczy będzie jeszcze nadmienić, że najświeższą wiadomość o Ossyachu, po odnowieniu grobu Bolesława Śmiałego, podał r. 1887 prof. dr. Jurkiewicz w *Kłosach* (t. XLIV), z rycinami, wykonanemi przez Aleksan-dra Gierymskiego, a przedstawiającemi widok ogółu Ossyachu, cmentarz z częścią kościoła, przy której leży grób Bolesława, jakoteż wierną podo-bizną kamienia grobowego.

syachu przez trzydzieści pięć lat i umarł w roku po narodzeniu naszego Pana Jezusa Chrystusa 1125“.

Ostatni ustęp brzmi tak, jakby sam Megiser, ze względu na czas opactwa Teucha i doby jego śmierci, powątpiewał o prawdziwości historyi o Bolesławie. I rzeczywiście daty stoją w rażącej sprzeczności. Powyżej jest u niego w cytatach wyraźnie mowa, iż Bolesław, który przybył do Ossyachu za opata Teucha (inaczej Theucho i Theuzzo), zmarł w r. 1089, co zresztą stwierdza także Valvasor i inni. Otóż jak mógł przybyć Bolesław do Ossyachu za opactwa Teucha, jeśli ten Teucho zmarł w r. 1125, co jest stwierdzonem, a skoro rzekomo 35 lat był opatem, zatem dopiero w r. 1090 mógł być wedle tego źródła wybrany? Czy ów Teucho był opatem 35 lat, jest to rzecz więcej niż wątpliwa, i jak się zdaje, dowolnie przez Megisera wykombinowana; owszem, jak później wykażę, był ów Teucho znacznie później wybrany opatem. Ale nie tylko Megiser, lecz prawie i wszyscy inni, którzy pisali o pobycie Bolesława Śmiałego w Ossyachu, bałamuca strasznie co do dat, i to jest głównym powodem, iż niektórzy dziejopisowie wątpią wogóle o prawdziwości historyi o pobycie Bolesława Śmiałego w Ossyachu. Ta jednak sprzeczność i to bałamuctwo chronologii — (dziejopis karyntyjski Edmund Oelschker w swej *Geschichte Kärntens* powiada, że za opactwa Teucha [1096] miał przybyć do Ossyachu król polski Bolesław II., śmierć zaś Bolesława podaje w r. 1099; znowu ten sam baron Ankershofen, który wydał *Annales Ossiacenses* Gröblachera, źródło najwiarogodniejsze i najstarsze, bo z r. 1588 pochodzące, gdzie wyraźnie powiedziane, że król Bolesław opuścił Polskę w r. 1084 i w Ossyachu po 8 i *annis poenitentia acta moritur*, ten sam dziejopis, uchodzący w Karyntyi za najlepszego, powiada wprawdzie, iż król Bolesław przybył do Ossyachu w r. 1084, lecz dodaje, iż po „piętnastoletniem życiu pustelnika“, zatem w r. 1099 umarł); — ta niewytłumaczona sprzeczność dat da się zupełnie wyjaśnić, jeśli będziemy mieli na uwadze, iż w klasztorze ossojskim było dwóch opatów nazwiska Teucho, Theucho, Teuzzo, Deuzo, jak je różni różnie piszą; stwierdzonem jest to w książce, znajdującej się w posiadaniu proboszcza ossojskiego i tak zwanem

Liber Memorabilium, dalej w *Annus Millesimus* Iblpachera, oraz portretami opatów, które znajdują się w posiadaniu p. Scheidenbergera w Beljaku. Opat Teucho, za którego opactwa przybył Bolesław do Ossyachu, nie był z rzędu szóstym opatem, ani też, jak pisze Megiser, następcą Albera, lecz był trzecim z rzędu następcą opata Wolframa, jak to stwierdza autor rozprawy historycznej o klasztorze Benedyktynów w Ossyachu w czasopiśmie do historii Karyntyi, wydawanem w Celowcu pod tytułem *Carinthia* (rocznik 1837, numer 15, 16 i 17). Wedle tego autora jest nazwisko pierwszego opata niewiadomem, pierwszy wiadomy opat był Wolfram około r. 1060, jego następcą Teucho albo Teuzzo I., o którym *Annales Ossiacenses* Gröblachera wyraźnie piszą: *1072 Teuzzo Abbas praefuit*. Ów Teuzzo czyli Teucho I. mógł być szóstym z rzędu opatem, jak pisze Megiser, gdyż być może, iż przed Wolframem nie jeden, lecz czterech było opatów nieznanym z nazwiska; zresztą mogło ich być nawet więcej, co dla nas jest rzeczą zupełnie obojętną, gdyż nam chodzi tylko o to, że ów Teucho, za którego Bolesław przybył do Ossyachu, był następcą wyżej wspomnianego Wolframa i w r. 1071 został opatem, a nie, jak Megiser balamuci, następcą Albera, obranym dopiero w roku 1090. Następcą bezpośrednim Albera był Teucho czyli Teuzzo II., lecz nie Teucho czy Teuzzo I., za którego opactwa Bolesław Śmiały przybył do Ossyachu. To mieszanie jednego Teucha z drugim jest powodem całego balamuctwa dat i rażącej sprzeczności chronologicznej co do tego, kiedy przybył Bolesław do Ossyachu, ile lat tam przepędził i kiedy umarł.

Cała zresztą początkowa historia klasztoru ossojskiego osłonięta jest wielką chronologiczną niejasnością. Jedni utrzymują, iż zakon Benedyktynów założony został w pierwszej połowie VI. wieku, drudzy twierdzą, iż założyciel klasztoru, ów hrabia Ozzius czy Otto; ojciec Popona, patryarchy akwilejskiego, żył w drugiej połowie wieku VII., a niektórzy dowodzą, iż Ozzius istniał już w V. wieku i około r. 500 założył w Ossyachu wprawdzie jeszcze nie klasztor, lecz kościół. Tymczasem historycznie jest stwierdzonem, iż klasztor założony został dopiero w r. 878 przez Karłomana, jak już poprzednio wspomniałem, syna Ludwika

Niemieckiego z domu Karolingów. Mając datę fundacyi zakonu r. 878 i to co Gröblacher pisze w swoich *Annales*, iż Teuzzo (Teucho I.) został opatem r. 1072, mógł Teuzzo czyli Teucho I. być szóstym, jak pisze Megiser, z rzędu opatem, jednak nie Albera, lecz Wolframa, obranego opatem r. 1060, był on następcą, a ów Albero, poprzednik Teuzza II., obranego opatem r. 1090, był następcą Teuzza I., którego roku śmierci *Annales* nie podają.

Oglądając portrety opatów ossyackich, znajdujące się u wspomnianego p. Scheidenbergera w Beljaku, spostrzegłem na nich rozmaite notatki, między temi zapisał szumnie swoje odwiedziny w Ossyachu Josephus Lodzia Comes Poninski w r. 1763, który tytułuje się „posłem Rzeczypospolitej *serenissimae* podczas *interregnum* aż przy czterech mocarstwach“, a tak samo notuje na jednym z portretów jakiś „Comes Klevainski“ swoje odwiedziny.

Wkońcu jeszcze kilka szczegółów. Wspomniane czasopismo *Carinthia* (rocznik 1840, numer 47) zawiera szczegółowe sprawozdanie Rudolfa hr. Goessa o dokonaniem w r. 1839 otwarciu grobu króla Bolesława. Z grobu, prócz spinki, wyjęto także jeden gwóźdź żelazny, który wziął do przechowania ówczesny proboszcz z Moosburgu (Blatnigradu), Urban Garnigg, — obecny proboszcz zowie się Rainer. Kopię starego obrazu, znajdującego się przed restauracją z roku 1839 na grobie króla, wykonał malarz Jobst w Wiedniu.

G. Smólski.

PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Byron i jego wiek. Studya porównawczo-literackie. *M. Zdziechowski.*
Tom I. Europa zachodnia. W Krakowie 1894.

„W tomie niniejszym — słowa autora — skreśliłem, obok Byrona, postacie najznakomitszych jego następców we Francyi i w Niemczech, oraz tych współzawodników, którzy, również jak on, tajemnicami istnienia przejęci, kroczyli ku ich rozwiązaniu, bez jego wahań i pewnym krokiem, w jednym z wymienionych trzech kierunków“ (sensualizm, spiritualizm, pesymizm).

Rewolucya francuska, jej świetny początek, a marny koniec, dały głębszym umysłom wyraźne i dobitne poczucie nędzy tego życia, sprzeczności między ideałem a rzeczywistością. Z tych rozczarowań porewolucyjnych powstał sceptycyzm Byrona, a zarazem sensualizm, spirytualizm i pesymizm innych poetów. „Nastrój duchowy Roussa dał początek poezyi Byrona i jego następców“. Nastrój ten objawiał się naprzód w zachwycie, miłości, odczuciu głębokiem natury, po drugie w wrażliwości na nędzę ludzką i chęci zaradzenia jej, następnie w poczuciu Boga i przekonaniu, że dzieła Jego są dobre, a człowiek je tylko zepsuł: — wróćmy więc do natury, bo ta, czysta i pierwotna, jest dobra. Byron i inni „nie marzą już wprawdzie o powrocie do błęgiego, pierwotnego stanu, ale jest w nich gorące poczucie natury i wypływające stąd mniej lub więcej negacyjne zapatrywanie na więzy polityczne i społeczne, które stworzyła cywilizacya“.

Po charakterystyce Chateaubrianda, przystępuje p. Zdziechowski w I. rozdziale do Byrona, i zaznacza naprzód wielki wpływ, jaki na

152
niego wywarł Napoleon. Tym wpływem tłumaczy się kult heroizmu, cześć dla ludzi wielkich, od których Byron żąda, aby życie swe i usiłowania składali w ofierze ludzkości. Roztrząsa następnie sądy krytyków o Byronie (Taine'a, Gervinusa, Brandesa i innych). Kolizja żądz idealnych, prawdy i sprawiedliwości z egoizmem, nie znoszącym najmniejszych więzów, charakteryzuje poezję Byrona. Nienawidził świata nie dlatego tylko, „że nie odpowiadał jego ideałowi, ale dlatego, że istniał, że krępował przez te wybujałe pragnienia ducha, nieskończone porywy i tęsknoty Manfredów i Kainów“. Stąd ta dzika żądza niszczenia, którą przytłumiały nietylko popędy czulego serca, ale i zmysł praktyczny, który uczył poetę, że szlachetniej jest poprawiać i budować, niżli wywracać i tępić.

Rozwód z żoną i wyjazd z kraju, zdaniem p. Zdziechowskiego, nie zmienił, jak powszechnie sądzą, cech typowych poezji Byronowskiej. Przełom ten odbywa się w latach 1806—1810. Młodość miał Byron szczęśliwą. P. Zdziechowski nie wierzy ani w zły wpływ gwałtownej matki, ani kalectwa na charakter Byrona w młodości: ani matka nie była złą, ani kalectwo wielkie, a gorycz w utworach Byrona objawia się dopiero w *Child Haroldzie*, kiedy poeta miał lat 23.

Pogodne wrażenia, ale dość ciasny widnokrąg myśli dziecinnych lat poety odbiły się w „Godzinach wczasu“, pierwszym drukowanym zbiorze jego wierszy (1807). Najpiękniejsze ustępy tego zbioru poświęcone są przyjaźni; bardzo charakterystyczną jest „Modlitwa natury“, „Jęk duszy stęsknionej do Stwórcy“. Potem następuje zwrot w jego twórczości w kierunku pesymistycznego zniechęcenia do świata i ludzi, wybijania uczuć osobistych i rozszerzenia zakresu żądz idealnych, spowodowany ostrą krytyką „Godzin wczasu“, następnie obszerną lekturą głównie dzieł historycznych, wreszcie nieszczęśliwą miłością do Mary Chaworth. „Miłość do Mary przeistaczała się w nim w miłość natury, a ta kochająca matka miała go rozskrzydlić do lotu, natchnąć bohaterską żądzą walki ze złem na świecie“. W 1809 wyjechał Byron do Lizbony, dwa lata był w podróży, a owocem jej „Wędrowki Child Harolda“. Przepaść między „Godzinami wczasu“ a nowym utworem poety zupełna. „Tam tkliwe, tęskne, melancholiczne dumania o cichych rozkoszach przyjaźni i miłości, — tu przedewszystkiem szerokie tło myśli, natura, świat, ludzkość, ognisty, słońca sięgający polot pragnień idealnych, wreszcie ból głęboki nad niedoskonałością życia w porównaniu z owym wymarzoną światem ideału“. Bohater jest smutny, powodem smutku przesyt, a dał mu go Byron dlatego, aby osłabić, zaciemnić te

uczucia szlachetne, te ideały wzniosłe, jakie ów bohater żywi, bo serdeczne i otwarte wypowiedzenie ich mogło Byrona narazić na szyderstwo i śmiechy. I rzeczywiście owo zblazowanie bohatera, a nie jego zachwyt naturą i sztuką, i uwielbienie bohaterstwa Hiszpanii, wywołało naśladowców, pozujących na nieuznane i nierozumiane przez ogół wielkości, przyniosło poecie uznanie nie tylko Anglii, ale całej Europy. Z podróży, pomimo śmierci matki, przyjaciół, kłopotów rozmaitych, wrócił Byron silny, rzeźki, z zapalem do pracy, z postanowieniem walczenia w obronie uciśniętych. I oto w r. 1812 wypowiada w Izbie świetną mowę, ujmującą się za robotnikami, pozbawionymi zarobku w hrabstwie Nottingham. Poeta przebywa teraz przez pewien czas w Londynie i tu wychodzi „Giaur“ (1813), „Narieczona w Abydos“, napisana w przeciągu czterech nocy, a będąca „wyrazem marzeń poety o pogrzebanych uczuciach miłości“, następnie „Korsarz“, w którym znowu odbiła się rządzą czynu, jaka ustawicznie nurtowała w Byronie, i nie dozwoliła mu utonąć w rozkoszach wielkiego miasta. We wszystkich tych utworach, zepsuty pochwałami, i pragnąc ich, dawał publiczności to, co się jej w „Child Haroldzie“ podobało, a co pod względem etycznym nie stało zbyt wysoko. Niezadowolony z tych utworów, wydaje w r. 1814 lepszy od nich pod względem moralnym i psychologicznym, „Larę“. Do okresu londyńskiego należą jeszcze: „Parisina“ i „Obleżenie Koryntu“.

Skutkiem znanych zatargów z żoną i zwrócenia się przeciw niemu opinii publicznej, opuszcza Byron Anglię, uchodzi do Szwajcaryi i tu tworzy III. pieśń „Child Harolda“ i „Więźnia z Chillonu“, i wznosi się w nich do szczytów poezyi. Po epoce szwajcarskiej następuje włoska, w której po wzniosłych natchnieniach przychodzi kolej na coraz większe rozczarowanie i zwątpienie. Epokę tę dzieli p. Zdziechowski na trzy okresy, zależnie od stosunków miłosnych, i tak pierwszy, gdy Byron kocha pospolitą wieśniaczkę, Maryannę Segati, drugi, gdy się otacza haremem, w którym króluje zmysłowa „tygrysica“, Margarita Cogni, trzeci, gdy z toni zepsucia wyprowadza go idealna, wykształcona, pełna serca i wdzięku, a namiętnie i głęboko w nim rozkochana Teresa Guiccioli (1819 r.). W tej epoce powstaje najpierw IV. pieśń „Child Harolda“, skutkiem pesymizmu i smutku nie dorównująca trzeciej, dalej „Manfred“, ciekawy skutkiem wpływu, jaki wywarł na bajronistów. P. Zdz. uważa ten utwór za dalszy ciąg i wspaniałe zakończenie poematów okresu londyńskiego, których podkładem jakaś tajemnicza zbrodnia. Na „Skardze Tassa“ zamyka się pierwszy okres

epoki włoskiej. W drugim, tj. podczas stosunku z M. Cogni, powstają „Beppo“ i pierwsze dwie pieśni „Don Juana“, na których odbiło się ówczesne zmysłowe i lubieżne życie Byrona. P. Zdziechowski zastanawia się po opisie tego stosunku zaraz nad całym „Don Juanem“, chociaż dalsze pieśni powstały już pod wpływem szlachetnego uczucia do Guiccioli. Byron wyszydza w „Don Juanie“ urządzenia polityczne, społeczne, stosunki towarzyskie, nie wierzy w ich poprawę, bo podstawą ich i źródłem zła, a niepoprawna natura ludzka. Z bohaterem swoim nie utożsamia się, jak to było w dotychczasowych poematach, jest tylko jego „pobłażliwym biografem“, „wydaje własny sąd o każdym jego postępku; daje mu to wprawdzie sposobność do wypowiedzenia nwwag przesiąkłych nieraz gorzkim, nawet cynicznym pesymizmem, ale malując otoczenie Don Juana, poeta daje folgę szlachetnemu oburzeniu, i staje się piorunującym trybunem uciśnionej ludzkości“ (np. kiedy występuje przeciw wojnie, przemocy, gwałtowi). Na tem nie poznali się ani czytelnicy, ani naśladowcy i upatrywali w „Don Juanie“ apoteozę zmysłowości.

Na żądanie Teresy Guiccioli, — przechodzimy więc do trzeciego okresu epoki włoskiej — pisze Byron „Proroctwo Dantego“; po rozwodzie Teresy z mężem, Byron, prowadząc życie spokojne i ciche, tworzy w przeciągu roku pięć tragedyj i dramatów: „Marino Faliero“, „Sardanapal“, „Dwaj Foscarrowie“, „Kain“, „Niebo i ziemia“, piątą pieśń „Don Juana“ i satyrę: „Widzenie Sądu“. Następnie przenosi się Byron najpierw do Pizy, potem do Genui, w tych miastach kontynuuje „Don Juana“, pisze „Wenera“, „Zbezkształconego przekształconego“, „Wyspę“ i „Wiek brązu“. Następnie zastanawia się p. Zdziechowski nad „Kainem“, który jest wyrazem tęsknot i wątpliń religijnych Byrona, jest jękiem rozpaczcy człowieka pragnącego wierzyć, a nie umiającego pogodzić Boga z istnieniem złego.

Z tragedyj, w stylu pseudo-klasycznym, zbudowanych na regule trzech jedności, najciekawszą jest „Sardanapal“, bo bohater jej jest wiernym obrazem autora.

Świadomość, że wyczerpuje się natchnienie, że słowem nie wyrwie wpływu na ludzi, pragnienie wreszcie czynu, chęć poświęcenia się dla ideału, dla sprawy wielkiej, to wszystko skłoniło Byrona do zajęcia się Grecją w walce o jej niepodległość. Przybywszy tam, godził dowódców, wspomagał powstanie pieniędzmi i radą, tam też umarł 19 kwietnia 1825 r. Pan Zdziechowski kończy ten pierwszy rozdział swej pracy następującą ogólną charakterystyką Byrona: Byron jest

poetą negacyi i buntu. Te popędy buntownicze i niszczycielskie płynęły z żądzы prawdy i sprawiedliwości, nieumiejętności pogodzenia istnienia Boga z istnieniem złego na świecie. Z tem złem walczył, wykazując je i potępiając w stosunkach politycznych, społecznych i towarzyskich. Poeta jest sceptykiem i nie umiał nigdy wskazać dodatniego ideału, postawić niejako programu swych żądań: z tego sceptycyzmu wywiązał się u jego następców pesymizm. Przed tymi jednak następcami zastanawia się p. Zdz. naprzód nad Shelleyem i Lamartinem, którzy nie zadawałnając się negacyą, stawiają pozytywne ideały.

Główną cechą natury Shelleya jest potęga olbrzymia fantazyi, połączona z ogromem uczucia (*cor cordium*). Te dwa pierwiastki powinny go były doprowadzić do krańców mistycyzmu; że się tak nie stało, przyczyną ścisłość w badaniu i popęd realistyczny, właściwy mu, jako Anglikowi. „Młody poeta zaczął od zuchwałej negacyi Boga, nieśmiertelności duszy i wolności woli, gdyż żadne z tych twierdzeń nie mogło być dotykalnie udowodnione, ale na wnioski te wzdrygała się jednak dusza jego; rozkochany w marzeniach pragnął uwierzyć, że ułudne *fata morgana* fantazyi, staną się kiedyś dla niego rzeczywistością, jeżeli nie w tem życiu, to w zagrobowem — potęga znowu uczucia wywoływała równomierne natężenie energii, więc, duszą całą umiejac kochać i chcieć, nie mógł przypuścić, aby miał być dowolną igraszką jakichś sił ślepych, aby grób miał przerwać pasmo myśli jego, uczuć, marzeń, pragnień, polotów“. Z ateizmu przerzucał się poeta do panteizmu, a gdy mu ten wystarczyć nie mógł, począł się zbliżać do wiary w indywidualną nieśmiertelność, a nawet w indywidualnego Boga. Natura, ludzkość, miłość, to motywa jego twórczości, a zapal dla nauki, dążenie do ścisłości w badaniu, nadają jej szerokie filozoficzne tło.

Po broszurze „O konieczności ateizmu“, po ożenieniu się i nieudanej wyprawie do Irlandyi, wydaje poeta w r. 1813 „Królowę Mab“, której tłem panteistyczne marzenia. Shelley jednak nie roztapia się, nie ginie w panteizmie, on kocha ziemię, kocha ludzi, pragnie ich uszczęśliwić, wykorzenieć zło wśród nich panujące, zrzucić więzy, nałożone na nich przez księży i królów, jednak nie drogą krwi i żelaza, lecz miłości i cnoty. Poeta powstaje przede wszystkim przeciw religiom antropomorfizującym Boga. „Niema Boga“, wołał on, ale „przeczenie to — dodawał w przypisku — odnosi się tylko do Bóstwa tworzącego, nie dotykając wcale przypuszczenia o przenikającym wszechświat i równowiecznym z nim duchu“. Poeta nie wierzy, aby kiedykolwiek zapanowała równość na świecie, niema jej bowiem w naturze, ale powinniśmy

się starać, aby się do ideału równości jak najbardziej zbliżyć. Jest Shelley również nieprzyjacielem małżeństwa, z jego zniesieniem zniknie prostytutka, a z nią zwyrodnienie moralne, choroby, upadek sił fizycznych i umysłowych. Uważając ludzi za zdolnych przejąć się szybko i łatwo dobrem i pięknem, znosi więzy, jakie na nich nakłada religia, państwo i rodzina i sądzi, że po ich rozkuciu nastąpi zupełne szczęście na ziemi.

Poświęciwszy kilka stron smutnemu życiu Shelleya, zastanawia się p. Zdz. nad „Alastorem“ (mężny, łagodny i piękny, czysty, marzący i nadziemski „Alastor“ jest prototypem wszystkich następnych bohaterów Shelleya), „Rozalindą i Heleną“, „Julianem i Maddalo“ (Julian to Shelley, Maddalo to Byron), „Mimozą“ (w r. 1820), w których poeta znajduje i widzi szczęście to, jak w „Alastorze“, w pracy dla dobra ogółu, to znowu, jak w „Mimozie“, w miłości wielkiej, bezbrzeżnej.

„Mimoza“ jest niejako wstępem do „Epipsychidiona“, którego idea da się streścić w następujących słowach: celem człowieka jest szczęście, a najwyższem szczęściem miłość, miłości jednak takiej, jak ją poeta pojmuje, nie zdolna jest udzielić w zupełności żadna ziemską istota, w każdej jednak z szczęśliwych wybranek Antygony (Alastor), uosobienia nadziemskiej piękności, jest część piękna wiecznego, a więc należy „karmić się temi okruszynami miłości“, które one są w stanie dać, brać ją wszędzie, gdzie się da znaleźć. Miłość ta jednak i rozkosze są u Shelleya idealne; Epipsychidion jest Don Juanem, ale „wyszlachtetnionym i rozjaśnionym, wolnym od zmysłowości, a marzącym o platonicznych uczuciach“. Dopiero co omówione utwory były wpływem subiektywnych marzeń Shelleya, w „Laonie“ i „Cythnie“ (1817) zaś i w „Prometeuszu rozpętanym“ odzwierciedlają się znowu jego marzenia społeczne, w których niema już tego optymizmu, tej wiary w dobrą naturę ludzką, w blizkie zwycięstwo prawdy. Teraz zło nie przedstawia mu się jako objaw przypadkowy, lecz jako coś istotnego, trwałego i potężnego; wszechświat jest obecnie dla niego areną walki dwóch potęg, i dobrego i złego, które występują w „Laonie“ i „Cythnie“ w postaci węża (dobre!) i orła (złe), w „Prometeuszu“ w postaci Prometeusza i Zeusa. Raj, który w „Królowej Mab“ miał wkrótce na świecie zapanować, usuwa w „Laonie“ w dalekie czasy, zresztą (zniesienie religii, państwa i małżeństwa) pozostaje na tem samem stanowisku, co w „Mab“. W ostatnim ustępie stwierdza p. Zdziechowski, że Shelley wierzył w nieśmiertelność duszy.

Lamartine, podobnie jak Shelley, jest idealistą, ale zakres jego

myśli i marzeń z powodu zbyt wielkiego zapatrzenia się w niebo i pogody umysłu jest nader ciasny w porównaniu z widnokregiem Shelleya. Forma Lamartine'a mniej udatna, bo poeta francuski więcej pragnie i zajmuje się czynem niż piórem, Shelley zaś, przekonany o niezdadności swej do walki czynnej, wierzy w potęgę swego słowa i stara się mu nadać jak najlepsze wykończenie. Autor kreśli nam obraz wesołego i szczęśliwego życia Lamartine'a z młodości, pod okiem czulej, pobożnej matki, następnie w zakładzie Jezuitów w Belley, a i później toczy się jego życie pogodnie i wesoło. W r. 1816 poznaje i kocha Julię C., opiewaną pod nazwą Elwiry; pod wpływem tej miłości tworzy „Medytacje poetyczne“, które jednak „nie są obrazem miłosnych rozkoszy, smutków i tęsknot poety, lecz tylko wyrazem nastroju duszy, który owe uczucia wywołują“. Pięknemi, prawdziwą poezją tchnącemi słowy tłumaczy nam p. Zdz. nastrój i genezę „Medytacji“. Do dziejów tej miłości powrócił poeta w lat 30 w powieści „Rafael“. Kontynuując „Wędrówki Child Harolda“ („Ostatnia pieśń Child Harolda“), „dał nam Lamartine, podkreślając tylko marzycielstwo Byrona, jako rys jego zasadniczy, wizerunek swego współzawodnika, niepozbawiony podobieństwa, rażący jednak przesadą w cieniowaniu jego sceptycyzmu; pominąwszy bowiem stronę sercową Byrona i nie widząc w nim żywego i gorącego pragnienia prawdy i sprawiedliwości, pragnienia, wypływającego z serca, lecz tylko marzenia nieokreślone, popędy i uniesienia, płynące z fantazyi, autor „Medytacji“ widział w tym sceptycyzmie tylko przesyt marzyciela, nie zaś zniechęcenie żołnierza, który w ogniu bojowym ujrzał się opuszczonym przez towarzyszy“. Kończy się ów ustęp o dokonczeniu Harolda porównaniem formy Lamartine'owskiej i Byronowskiej, porównaniem, w którym zupełne zwycięstwo i wyższość po stronie poety angielskiego.

Po krótkiej rozprawie o „Harmoniach religijnych i poetycznych“ (1830), w których Lamartine uzewnętrzniał wogóle słabo i mdło, a czasami nawet nudno i banalnie zachwyt swój i szczęście, płynące z wiary i pewności posiadania Boga, którego pożył duszą całą; po zastanowieniu się nad „Upadkiem Anioła“ (1838) (początek epopei, w której chciał przedstawić dzieje wiecznej tęsknoty do Boga, podnoszenia się i zbliżania ludzkości przez poświęcenie się coraz bliżej do ideału myśli bożej), nad poematem „Jocelyn“, wydanym w r. 1836 (zakończenie epopei: proboszcz alpejskiej wioski, którego życie składało się z samych ofiar), i nad działalnością polityczną Lamartine'a — streszcza p. Z. swój sąd o nim w słowach: „Naprzekór sceptycyzmowi Byrona i pan-

teistycznym, pogańskim i rewolucyjnym ekstazom Shelleya, Lamartine wołał, że Bóg istnieje, że jest Ojcem kochającym, że wiekuiste z Nim zlanie jest szczytem szczęśliwości i celem życia, że ziemskim przedsmakiem tych zachwytyłów zagrobowych jest miłość Boga, że znajduje ona wyraz w dziecięcym poddaniu się woli Ojca najlepszego w ofierze z siebie, że najmiłą dla Boga ofiarą jest poświęcenie siebie bliżnim — miłość społeczna“.

Po scharakteryzowaniu tych dwóch współzawodników Byrona, przechodzi p. Zdziechowski do jego naśladowców i zajmuje się najprzód bajronizmem francuskim. Bajroniści byli podobni albo do Harolda, marzyciela, jak Vigny, Lenau, Puszkina, Malczewski, albo do Don Juana, tj. satyrycy gwałtowni, namiętni, jak Musset, Heine, Lermontow, Słowacki.

Pod bajronistami rozumie p. Z. nie tylko naśladowców, którzy Byrona należycie nie rozumieli i jego bohaterów tylko parodyowali, ale i kontynuatorów, którzy pracowali w kierunku wytkniętym przez mistrza, czując tak samo, jak on, rozbrat między ideałem a rzeczywistością i nie umiając znaleźć środka, któryby te sprzeczności pogodził. Do nich zalicza p. Zdz. Vigny'ego, Musseta, Lenaua i Heinego.

Alfred de Vigny (1797—1863). Dla Vigny'ego marzenie stanowi wszystko, „wszechświat jest dziełem poronionem lub nawpół dokonaniem, dąży on ku doskonałości z wielkim trudem. Bądźmy więc pokorni i niepewni. Jedno jest pewne: niewiedomość nasza i opuszczenie — może wiekuiste!... Nadzieja jest największym z błędów, a wiara tą nadzieją“. Oto własne słowa Vigny'ego. Czasami popadał poeta w spokojną i cichą, wyczekującą rezygnację, częściej jednak ból brał górę, a wówczas tracił wszelką nadzieję, a szczyt mądrości widział „w rozpaczach spokojnej, bez szarów, złości i bez bluźnierstw“. Z tej zasady beznadziejności wypływały trzy wnioski: wszelka praca społeczna jest bezcelowa; drugi, że należy być litościwym dla cierpiących, ze złem samem jednak nie walczyć, bo ono zwalczyć się nie da; trzeci, będący jego głównym przewodnikiem w życiu: honor, który chcąc utrzymać nieskalanym, cofnął się do życia kontemplacyjnego, w najbliższem kółku rodziny i przyjaciół. Vigny był głębszy od Byrona, nie zniżył się nigdy do skarg; uznając Boga, a nie rozumiejąc go, nie umiając go nazwać, postanowił nie myśleć o Nim i „milczeniem zimnem odpowiedzieć na wieczne milczenie Boga“. Boga poeta uznawał, nie wiedział tylko, czy był Istotą dobrą, czy złą; natury nie lubił za jej chłód i obojętność, kochał ludzi, uwielbiał miłość, która jest

u niego, bezwiednie, zabarwiona zmysłowością (Elsa skuszona przez Lucyfera).

Vigny był większym myślicielem niż poeta, forma jego utworów w ogólności nieudatna. „Samodzielność myśli i twórczość Vigny'ego, w porównaniu z Byronem i bajronistami, polega na spokoju rozpacz, która doprowadziła go do wrót pesymizmu — i na wzniosłej a prostej etyce, którą on na tej rozpacz oparł. Urok jego poezji stanowi odgłos, jaki znalazły w niej cierpienia małuczkie; w morzu tych cierpień umiał poeta zatopić rozbujające porywy indywidualizmu...”

Alfred de Musset. U Vigny'ego góruje nad uczuciem myśl, u Musseta przeciwnie, Musset czuł żywo, głęboko, chociaż uczucie jego zamykało się w zbyt ciasnych ramach: miłości zmysłowej. W niej widział jedyny cel, szczęście, lecz po szalach miłości następowało znużenie, nuda, świadomość, że uczucie to nie może być wieczne, ustawiczne, że więc zupełnego szczęścia nie daje. Przyczyną tego złego stanu jest brak wiary, który powoduje, że duch ciała przezwyciężyć nie umie, że „przyszedłszy na świat zbyt późno, w świecie zbyt starym“, w którym nauka wiarę zniszczyła, do niej powrócić już nie może. To jest filozofia Musseta, najlepiej, najgoręcej, najwymowniej i najnamiętniej wyrażona w „Rolli“. Te same myśli znajdujemy w „Wyznaniach dziecięcia wieku“. „Noce“ i „Wspomnienie“ są dramatem psychologicznym, w którym, wedle szczęśliwego wyrażenia Fagneta, „poeta skupił w kilku kroplach najczystszej esencji całą treść swej poezji“. Wpływ Musseta objawił się we Francji szczególnie w powieści.

Po francuskim, kolej na bajronizm niemiecki: Mikołaj Lenau, melancholik, bez siły woli, popadł wkońcu w obłąd, w którym umarł. Wyrazem tej melancholii są poezje liryczne, w większych zaś utworach („Faust“, „Savonarola“, „Albigensi“) stara się zbadać i przeniknąć zagadkę bytu. Głównem źródłem melancholii poety była nieszczęśliwa i beznadziejna miłość do Zofii Löwenthal, żony przyjaciela.

W „Fauście“ przedstawił Lenau siebie samego. Faust jego pomysłem jest wyższy, choć wykonaniem niższy od tak samo zatytułowanego utworu Goethego. Faust Lenau'a chce wiedzy, prawdy, i aby jej dociec, oddaje się w moc szatana, ale kiedy Goethe doprowadza swego bohatera do uwielbienia siebie, swego rozumu, a w nim ludzkości, to Lenau wiedział, że „bohater jego kroczył złą drogą, rozumiał całą nędzę jego pychy, więc wrzucał go w odmęty coraz to nowych rozczarowań i prowadził do krańców rozpacz, szukającej wyzwolenia w samobójstwie“.

Pod wpływem duńskiego teologa, Marténsena, stworzył mistycznego „Savonarolę“, każącego, że szczęście człowieka polega na skupieniu ducha, na podniesieniu go modlitwą do jedności ze Stwórcą. W „Albigensach“ popadł poeta znowu w dawne wątplenia i pozostawił „rozumowi“, epoce Ducha Świętego, przeprowadzenie szczęścia zupełnego na ziemi.

Ostatecznie skończył Lenau swój zawód uwielbieniem w „Don Juanie“ rozkoszy zmysłowych. Lenau w „Fauście“ zbliżył się do Musseta (wiary w Boga), w „Albigensach“ do Vigny’ego, tj. wychodząc ze stanowiska Byrona, niemożności pogodzenia złego z istnieniem Boga, popadał raz w zapomnienie o Bogu (w „Albigensach“), drugi raz zbliżał się do wiary w Niego — w „Fauście“, w „Savonaroli“ znowu porzucał stanowisko Byrona, aby rzucić się w objęcia mistycyzmu, a w „Don Juanie“ uwielbić rozkosze zmysłowe. Jest więc w tym pocie rozdzwiek, przerzucanie się z jednych uczuć w drugie, stąd pomimo wielkich poetycznych zdolności, wpływu na późniejszych nie wywarł.

Henryk Heine. Marzycielstwo ze zmysłowością łączyło się u Heinego (w tem nowy i oryginalny), z wyszydzeniem siebie samego, swych marzeń i ideałów. Ponieważ w rozkoszach zmysłowych widział jedyne szczęście, był nieprzyjacielem chrześcijaństwa: „sensualistyczny nihilizm stanowił ośnowę jego poglądu na świat“. Trafne są uwagi p. Zdziechowskiego co do charakteru Heinego, jego patryotyzmu, popularności, powodów tejże, bajronizmu, który głównie objawił się w walce przeciw stosunkom politycznym i społecznym, których inni bajroniści (Lenau, Vigny, Musset) nie poruszali. Po wytłumaczeniu uwielbienia Heinego dla Napoleona i Rosyi, mówi p. Z. o przeważnym wpływie Saint-Simonistów na przekonania poety. Zasady Saint-Simonizmu odbiły się w pismach Heinego: „Szkoła romantyczna“ i „Historja religii i filozofii w Niemczech“.

Kończy się rozdział o Heinem ustępem bardzo pięknie napisanym, z którego wypisujemy, co następuje: „Ale Heine... ten nie znał ani miłości bliźniego, ani pragnienia poświęceń, a natomiast wyobraźnię miał bujną i zmysły gorące, więc, sądząc świat tylko ze stanowiska własnych żądz, wyrabiał sobie poglądy bardziej określone, niż Byron, lecz krańcowo niszczyielskie, bo marzył o zerwaniu więzów politycznych, społecznych, a przedewszystkiem religijnych tylko w tym celu, aby na zgłiszczach chrześcijaństwa upajać się szaleem zmysłów, wznosząc ofiary na cześć „świętej“, a sponiewieranej przez wyznawców Chrystusa materji. Więc zbliżał się do Byrona o tyle tylko, że wraz

z nim nie przebierał w środkach do napiętnowania obludy istniejących stosunków, ale niepodobna go za to ochrzcić, jak Brandes, mianem spadkobiercy Byrona“.

Z negacyi Byrona wyrósł sensualizm, spirytyzm i pesymizm. Dotychczas mieliśmy przedstawicieli spirytyzmu i sensualizmu, pesymizm objawiał się u nich tylko częściowo; pierwszym pesymistą nie tylko już co do wniosków, ale i co do punktu wyjścia, jest hr. Giacomo Leopardi (1798—1837). Około r. 1820, wskutek nadmiernej pracy i smutnego życia, doszedł Leopardi do filozofii, która da się streścić w następujących jego własnych słowach: „świat cały jest niczem, a wszystko co dobre, polega na ukochanych złudzeniach“. Poeta zapadał często w nirwaniczne marzenia, lecz ponieważ nicość nic nie daje, lepsze już jest życie, bo choć pełne cierpien, zła i nieszczęść, to jednak są w niem złudzenia i ludzie tyle tylko są szczęśliwi, o ile im podlegają i o ile są one wielkie i wspaniałe. Poeta w początkowych swoich utworach lirycznych („Bruto Minore“) walczy jeszcze z *fatum*, z koniecznością, później jednak dochodzi do przekonania, że walka ta jest próżną, bezcelową. Daremne wszelkie trudy i skargi, złudą jest miłość i szczęście, piękno, ale tych złud trzymać się należy, aby nie upaść pod nawałem bólów życia. Od r. 1826 datuje się zwrot w jego przekonaniach, poczyną odrzucać złudzenia, chce zbadać nagą prawdę, wiodła go jednak w badaniach sama tylko ciekawość i to przewrotna, pochodząca z upodobania w rozdrażnianiu najdotkliwszych stron duszy własnej. Burzył więc te ułudy, nie zastępując ich niczem: niszczył bezcelowo. W studyach owych filozoficznych chodziło jeszcze przytem Leopardiemu więcej może o formę, wyrobienie języka filozoficznego, niż o treść, co przy braku serca, współludziału dla cierpien i nędzy ludzkiej, sprawiło, że wpływu temi studyami („Historia rodu ludzkiego“, „Dyalogi“, „Myśli“) nie wywarł żadnego.

I ta jednak naga prawda nie przyniosła mu, jak się spodziewał, smętnej przynajmniej rozkoszy; sądzi wkońcu, że prawda ta, którą mu dała nauka, powinaby być dla wszystkich ukryta, wraca więc znowu do złudzeń, a spokój znajduje albo w samotności, albo doskonalszy jeszcze w śmierci, bo ta uwalnia od wszelkiego czucia. Podobnie i w utworach lirycznych z ostatnich lat życia czuje ból życia, a schronienie od nich widzi albo w złudnych marzeniach, albo w śmierci. Wreszcie pod sam koniec życia dochodzi do przekonania, że śmierć i miłość to dwie siostry, bo miłość cierpieniem swoim uczy, że życie a ból to jedno, a jedyne z niego wybawienie: śmierć; spokoju jednak

i ukojenia nie szukać w samej śmierci, bo ta nic już nie daje, ale w nirwannie, w kontemplacjach śmierci, w tej rozkoszy konania, w poczuciu zamierania wszelkich żądz i pragnień. Zaprzeczył więc w końcu życia temu, w co wierzył w jego początkach: przedtem wiedza była złem, a złudzenie jedynem szczęściem, teraz wiedza — dobrem, a złudzenie największem złem, bo źródłem ich nasze żądze, a te, z natury rzeczy bezgraniczne i przeto nie dające się urzeczywistnić, mają za nieuniknione następstwo — ból. Poznawszy tę prawdę zasadniczą, trafiaemy na jedyną drogę, prowadzącą nie do szczęścia dotykalnego, bo to możliwem nie jest, ale do ciszy, do spoczynku, do nirwanny. Wyszedł więc Leopardi z bajronizmu, skończył na buddyzmie — na tożsamości życia i bólu.

W ostatnim rozdziale p. t. „Nirwana“, zastanawia się p. Zdziechowski nad znaczeniem pesymizmu w czasach dzisiejszych, nad jego początkami i nad przyszłością. Nirwana, o którą kazał się starać Budda, nie jest nicością, lecz „przeciwieństwem tych uczuć wszystkich i rozkoszy, których pojęcie lub przedsmak daje ziemia, jest wiekuistym spokojem, pewnością wyzwolenia z pod jarzma wszechświatowego istnienia, wszechświatowych przewrotów i przeobrażeń“.

To samo przeczuwał Leopardi, to samo wyrozumował już na mocnych podstawach Schopenhauer, a naukę jego, w gruncie szlachetną, zamienił Hartmann w właściwy pesymizm. W Europie pesymizm z powodu samych już klimatycznych stosunków, nie był możliwy, rozwijał się też tylko sensualizm i spirytualizm, które autor utożsamia z humanizmem i chrześcijaństwem.

Po zwięzłem przedstawieniu dziejów sensualizmu i spirytualizmu od czasów najdawniejszych do najnowszych, kończy p. Zdziechowski nadzieją, że ludzkość, przeświadczona obecnie o „wszechpotężde samolubstwa i zasadniczej przewrotności natury ludzkiej“, zwróci się ku niebu, ku Kościołowi, który sam tylko może jej dać skuteczną pomoc w walce z materją.

Taka jest treść dzieła, napisanego stylem i językiem — z wyjątkiem dwóch czy trzech błędów — bardzo dobrym, nieraz wysoce poetycznym. Książka świadczy o bardzo sumiennych i gruntownych studiach, z wynikami jej i sądaniami zgadzamy się w zupełności; tu i ówdzie mielibyśmy do zaznaczenia pewne, drobne zresztą, wątpliwości, ale nie zajmując się epoką, objętą tem dziełem, nie mamy na tyle pewności siebie, aby jej silniej zaakcentować.

Dr. Antoni M. Kurpiel.

Tatry pod względem fizyczno-geograficznym. Opisane przez *d-ra Antoniego Rehmana*. Z dwiema mapkami. We Lwowie 1895. (Str. VIII i 173).

„W niniejszej pracy znajdzie czytelnik przedstawienie wszystkich (o ile to było możebnem), do fizycznej geografii Tatr należących, szczegółów. Jest ona przeznaczona zarówno dla tych, co zwiedzają Tatry, jak i dla tych, którzy ich widzieć nie mogą. Pierwsi znajdą w niej wskazówki, jak na Tatry patrzeć i czego w nich szukać należy, drudzy mogą z niej nabrać wyobrażenia o najpiękniejszym, a pod względem przyrodniczym najważniejszym i najwięcej na uwzględnienie zasługującym zakątku naszej ziemi“. Temi to słowy określa szan. autor we „Wstępie“ treść i cel swej książki, a sądzymy, iż każdy, kto zajmuje się geografją kraju ojczystego, przeczyta tę książkę zapewne z wielką przyjemnością i korzyścią dla siebie. Nie jest to mniej lub więcej luźne zestawienie mnóstwa godnych uwagi szczegółów, dających nam poznać osobliwe Tatrom zjawiska fizyczno-geograficzne, nie jest to goły tylko opis, odmalowanie, czy charakterystyka owych tak sympatycznych nam olbrzymów górskich, które od tylu wieków dzierżą straż na kresach południowych ziemi polskiej — ale szczegóły te i fakta grupuje i wiąże z sobą autor w sposób umiejętny, odpowiadający wymaganiom nauki, wszędzie stara się wysledzić wzajemny ich związek naturalny i zależność jednych od drugich pod względem przyczynowym. Powstała stąd monografia niepośledniej wartości, obejmująca po raz pierwszy, o ile nam wiadomo, w jednym całobrazie wszystkie zbadane dotychczas, a godniejsze uwagi właściwości geograficzne Tatr, a mogąca zarazem służyć i za podstawę do obszerniejszych tego samego przedmiotu opracowań.

Autor zużytkował zręcznie materiał naukowy, jaki dotychczas zebrano i złożono w specjalnych monografiach, ale spostrzega się też na każdej niemal karcie, że sam osobiście zapoznał się na miejscu z przyrodą, którą tak starannie kreśli i analizuje, że patrzył własnymi oczyma na jej osobliwości i cuda. Choć to rzecz naukowa, jest ona przecie z wielkiem napisana ciepłem, co podnosi jeszcze jej poczytność.

„Wstęp“ zawiera kilka lekko rzuconych uwag o poczuć piękna przyrody u różnych ludów, starożytnych i nowożytnych. Obok spostrzeżeń trafnych są tu także niektóre asercye, które za bardzo dowolne, w każdym razie nieuzasadnione uważać musimy, np. że wieki średnie były czasami moralnego i intelektualnego upadku i dlatego osłabło w tym okresie odczuwanie piękna przyrody, lub że zamięłowanie

tęgo piękna stało się w naszych czasach własnością ludzi wykształconych (tylko?), ale że autor wkracza tu *in terram alienam*, przeto do usterków tych czytelnik nie będzie przywiązywał wielkiej wagi.

Rzecz właściwa zaczyna się od opisu ogólnej budowy Karpat. Dr. Rehman zastanawia się tu nad orograficznym związkiem ich z Alpami, Bałkanami i Sudetami, przedstawia ich budowę łańcuchową i podaje nowy, oryginalny podział Karpat, oparty na stosunkach zarówno geologicznych, jak oroplastycznych. Oto za linię dzielącą Karpaty wschodnie od zachodnich woli przyjmować doliny Laborci, Oslawicy z Oslawą i Strwiążą, jako stanowiące jedno zagłębienie.

W rozdziale następnym poznajemy „wielkie zapadłości podtatrzańskie“ czyli Podhale, mianowicie doliny: Nowotarską z jej torfowiskami, Liptowską i Spiską. Autor rozbiera tu między innymi różne poglądy na genezę torfowisk (t. zw. w gwarze miejscowej „borów“) Nowotarskiej doliny. Kwestya to bowiem arcyciekawa dla geologów, gdyż najobszerniejsze błota zaległy sam wododział między Orawą i Dunajcem, a zatem wyniosłość pochyłą na dwie strony, z której woda, czynnik niezbędny w tworzeniu się torfowisk, bez wielkiego trudu mogła spływać, nie powodując formacyi torfowej. Autor oświadcza się przeciw hipotezie Altha, który początek tej formacyi odnosi do okresu lodowcowego, kiedy lodowce tatrzańskie, zatarasowawszy ujścia doliny Nowotarskiej, wywołały, niby skutkiem tego, spiętrzenie się wód rzecznych i zalanie niemi całej doliny na czas dłuższy, — stwierdza natomiast na podstawie kilku przykładów, wziętych z Karpat i innych okolic, że powstanie i rozwój torfowisk możliwe są także w miejscach pochyłych; dostatecznym zaś powodem do powstania torfowisk nowotarskich, zdaniem autora, jest sama nieprzepuszczalność gleby, której następstwem musi być nieodzowny stały zasób wilgoci.

W dalszym ciągu opisuje i rozbiera autor ogólną budowę Tatr, ich znaczenie hydrograficzne, tudzież stosunki geologiczne, przechodzi wybitniejsze tarasy (jamski, furkocki, szczyrbski, batyżowicki, wielicki i t. d.) i poświęca szczególną uwagę zwałom lodowcowym, progom, jeziorom, mozgrowiskom i innym twórcom, biorącym początek w okresie lodowym, a dowodzącym, że Tatry w okresie tym silnemu uległy zamrożeniu. Lodowce schodziły naówczas do wysokości 800—900 m. nad poziom morza, a granica wiecznych śniegów leżała o całe 800 m. niżej niż dzisiaj, tj. w wysokości 1500 m.

Dokładnie i starannie opracowany jest także rozdział, traktujący

o rzeźbie Tatr, tj. postaci i kierunki ich głównego pasma, tudzież ramion bocznych, grzbietów, wierzchołków i dolin. Niemniej zajmujące są ustępy, poświęcone wodom tatrzańskim i wpływowi ich na ukształtowanie tych gór. Przy tej sposobności objaśnia autor, w jaki sposób powstały doliny, kotły górskie i jeziora wogóle, a w szczególności w Tatrach.

Z kolei następuje opis słynnych i nader ciekawych pieczar tatrzańskich (jaskinie w Kobylim Wierchu, grota Alabastrowa, Lodowa i t. d.), zapoznający nas bliżej z wnętrzem Tatr i podziemnem działaniem wód tamtejszych. Węgierski geolog Roth odkrył w grocie w Nowym Wierchu (pasma Bielskich Tatr) liczne szczątki zwierząt z okresu lodowego, należące do 28 gatunków kręgowców, z których część pewna albo już wyginęła, albo przeniosła się w okolice bardziej na północ leżące.

Kreśląc stosunki klimatyczne Tatr, zaznacza dr. Rehman między innemi korzystny dla Galicyi wpływ ich na rozkład deszczów, następnie przedstawia szczegółowo rozmaite zjawiska okresu lodowego w Tatrach, porównyując je z analogicznymi faktami w Alpach i innych systemach górskich. Za przyczynę, dającą początek temu okresowi, uważa autor, idąc za Partschem (*Gletscher der Vorzeit*), spotęgowanie się ilości opadów wodnych, względnie obfitości śniegów zimowych. Rzecz oczywista, że takie tłumaczenie postawionej kwestyi nie wyjaśnia, wskazuje bowiem tylko główny czynnik, a nie dociera do przyczyny ostatecznej owej zmiany klimatycznej, która wywołała zjawiska znamienne epoki lodowej. Prawda, że na zadowalniające wyjaśnienie przyczyn okresu lodowego nikt podobno jeszcze się nie zdobył.

Ostatnie dwa rozdziały poświęcone są rozbirowi cech charakterystycznych flory tatrzańskiej, jej powinowactwa z roślinnością podbiegunową i alpejską, wartości ekonomicznej lasów i łąk, przyczem autor porusza tu także nagłą coraz bardziej potrzebę zakładania stacji klimatycznych, wreszcie opisowi łąk orawsko-liptowskich. Rzecz całą zamyka zestawienie szczupłych dotąd wiadomości o śladach człowieka przedhistorycznego, napotkanych w Tatrach. Według Schaffhausen'a człowiek ten miał należeć do fińskiego szczepu rasy mongolskiej.

Dwie dołączone mapki, przedstawiające w ogólnych zarysach: jedna zachodnie Karpaty, druga Tatry pod względem oro-hydrograficznym, ułatwiają czytelnikowi zrozumienie wykładanego przedmiotu.

H. Iłbiński.

Budownictwo ludowe na Podhalu. Przez *Władysława Matlakowskiego*.
Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności.

Na podobieństwo niejednej już epoki w historii, przejawia się za dni naszych osobne, znamienne rozmiłowanie w przyrodzie. W życiu, pieśni czy powieści, znaczy się pewne rozbudzenie uśpionego przez czas dłuższy kultu piękna w naturze. Znużony sztucznością otoczenia i warunków bytu człowiek, zatęsknił za świeżością wrażeń odbieranych w górach czy lasach, morskich przestrzeniach czy pustkowiach. Ruch odśrodkowy wyrzuca corocznie z miast krocie mieszkańców, żądnych wiejskich wczasów. Z tej okazji, coraz to nowe miejscowości pasowaniami zostają na stacye klimatyczne, owszem, pątnicy zdrowia, wakacyjne drużyny, często na własną rękę prowadzą wycieczki eksploracyjne, odkrywając raz po raz uprzednio nieznaną prawie, lub zapomnianą ziemię obiecaną.

Ileż takich odkryć i u nas się znalazło w miarę jak zacieśniały się śluby współczesnych pokoleń z przyrodą! Różnego pokroju Kolumbowie, ogłaszając światu własne zdobycze, wzbudzali naśladowców, spieszących na ich wezwanie. Zapomniane, zaniedbane Tatry zaroily się nagle od turystów, myśliwych, cudzoziemców. Prym w tej karpackiej Ameryce trzyma Zakopane, odkąd mu Kolumbem został Chałubiński. A choć z pewnością w górach naszych nie brak równie malowniczych, a niemniej zdrowych punktów, Zakopane miało dziwne szczęście do ludzi i przez ludzi. Wielki lekarz stwierdził higieniczne korzyści tej zacisznej doliny, i ściągnął tu pierwszych pielgrzymów zdrowia. Największy z naszych powieściopisarzy rozślawił opowiadania Sabały i w lot pochwycił gwarę miejscową. Ma już Zakopane swego poetę w osobie Kazimierza Tetmajera, ma swego malarza nadwornego, skończonego artystę z pędzlem czy piórem w rękę, p. Witkiewicza, ma nieprzeliczonych wielbicieli, miłośników, dworaków majestatu gór niebotycznych. A orzeźwiające stąd wpływy nie tylko krzepią ciało i zapalają wyobraźnię: hartuje się i dusza w obcowaniu z przyrodą, owszem, samaż mowa ojczysta nabiera gromkiego zacięcia wśród tych górali, posługujących się starodawnymi zwrotami, posiadających tak bogate i malownicze wyrazownictwo.

Słyszymy nieraz narzekania na pewną zmartwiałosc naszego języka, zacieśnionego w szczupłych granicach powszedniej mowy lub skamieniałych form książkowych. Języki żyjące zwykły dwoma środkami ożywiać się i wzbogacać, bądź przekładami z obcych literatur, naginającami styl do oddawania cudzych obrazów i myśli w nowych kształtach,

badź, i to daleko więcej, stycznością z ludem, przyswajaniem sobie gwary prostaczków, nieraz tak obfitej w trafne, oryginalne a swojskie określenia.

U nas i styczności z ludem niewiele, i ciekawości obcych literatur za mało, i stąd ubóstwo nie wzbogacającego się normalnie języka. Tak zresztą jesteśmy obojętni na te dwa źródła przewodnie cennych nabytków, iż gdy nam je kto otworzy, za nic sobie mamy jego znoje. Najlepszym tego dowodem spuścizna po niedawno zmarłym ś. p. d-rze Władysławie Matlakowskim. Za życia nie doczekał on należytej oceny tak wyczerpującej pracy, jak swego studium nad Hamletem, którego przyswoił mowie ojczystej, zgłębiając filozofię ponurego dramatu. W tej chwili znawcy podziwiają oryginalność poglądów, głębokość spostrzeżeń, oraz stylowe bogactwo tego dzieła. Otóż jednoczesne poznanie innej, skromniejszej pracy autora wskazuje, iż nietylko łamiąc się z trudnościami Szekspira posiadał rzadkie językowe dostatki, lecz że i z góralskiej gwary zaczerpnął niemało też skarbów, wzbogacających sposób jego pisanja i żartki potok obfitego wyrazownictwa.

Zostawiając innym ocenienie wyczerpującej o Hamlecie księgi, dziś chcielibyśmy zwrócić czytelników uwagę na rzecz o budownictwie ludowem na Podhalu, utopioną w wydawnictwach Akademii Umiejętności, gdzie ogół niezwykły szukać lektur przygodnych i podręcznych, zaczem ogromną sumę pracy i ciekawego materiału przysuwa kurzawa, właściwa uczonym nakładom akademicznym we wszystkich krajach. Upomnieliśmy się niedawno za „Rzpltą Babińską“ p. Windakiewicza, upominamy dziś za książką p. Matlakowskiego, niosącą żywiczną woń lasów zakopańskich, macierzankowe zapachy łąk górskich, czyste powiewy wyżyn, i to orzeźwienie, to uspokojenie szczytów:

Über allen Gipfeln
Ist Ruh...

Autor snąć należał do rzędu gorących Zakopanego fanatyków. Z miłością zaczyna rzecz swoją o tem budownictwie oryginalnem, a gotowem dziś zaginać pod naciskiem konwencyonalnej banalności, która napływa do tego uprzywilejowanego, zakopanego dotąd i odciętego od świata zakątku. Radzi na gwałt bronić i ocalać ślady i pomniki rodzimej kultury, mowy, sztuki, bo wszystko naraz ginie w zetknięciu z ludźmi, i bodaj idące pokolenie zachowa jeszcze odziedziczoną po ojcach własną, samorodną oryginalność.

Początek śmiało porównać można z najpiękniejszymi kartami ślicznej książki Witkiewicza p. t.: „Na Przełęczy“. Zauważywszy, iż w Zako-

panem, skoro tylko czegoś jest obficie, to zaraz ponad miarę, autor dodaje: „jak wody, to wody bez końca, jak kamieni, to kamieni bez liku“. Oto próbka stylowa, świadcząca o wspomnianem bogactwie wyrazów i ożywieniu formy: „Taka obfitość tego żywiołu, od którego zależy jedność i soczystość roślinnej przyrody, że człowiekowi zdaje się, jakoby stał się stworzeniem ziemno-wodnem: dokoła huczą górskie potoki, z łoskotem spadają sikławy, szumią rzeczki, bełkocą krynice, sypie kapuśniaczek, pluszcze deszcz, zacina żłodź, leje ulewa, zatapia nawałnica, ogarnia świat widzialny nieprzejrzana chmura, przenika wszystko gąszcz mgły, kapią przez dach krople, sączy się woda z nadeptanej młaki, a nawet w pogodę białą się trawy od rzęsitej rosy“.

Z taką na palcie swej obfitością barw, oczywiście autor umie kreślić świetne, pełne życia i malowniczości obrazy. Czyż to np. nie ustęp gotowy z „Pana Tadeusza“, prozą pełną poezji powtórzony: „Na ogrodach lśni się cudownej zieleni trawa, przerosła wspaniałemi szczerbakami i różnem okazałem kwieciami, rozpościera się runo gęstej konieczyny, dorodne złote pasy jęczmienia; siedzą na czarnej borowinie krzaczaste, z rozczapierzonemi, sinemi liśćmi kapuściane głąby“. Ubolewając nad wylesieniem, nad kłeskami, idącemi w ślad ogołocenia wyżyn, autor unosi się nad olszyną, bez ludzkiej sięgając pomocy: „taka bujność i gęstość tej pocziwej drzewiny, gojącej rany obnażonej ziemi“. Takich szczęśliwych zwrotów pełno w książce ś. p. Matlakowskiego. Wszelako nie one stanowią rdzennej wartości sumiennej pracy, ratującej od zagłady znikającą tradycję miejscowej, naiwnej sztuki. Szukamy etnograficznych zabytków na obcych i zanikłych plemionach. Autor niniejszego studium zaklina, aby raczej czuwać nad tą spuścizną bliżej nas obchodzącą, a przechodzącą u górali z ojca na syna oryginalnością budownictwa i samorodnej ornamentyki. Wskazuje, jak tam wszystko zastosowane do wymagań klimatycznych, do warunków życia górskiego, do stosunków miejscowych. „I tak wszystko — cały dom związany jest z życiem górala, który, stary i osłabiony, nasłuchuje, rychłoli w powale zacznie strzelać na znak, że i jego godzina wybiła. Tymczasem kocha go, zna jego szmery i gadanie; bo dom drewniany, to nie martwy twór, jak murowaniec: schnie on, paczy się, wykręca, zapada, trzeszczy od napadów wichru halnego, drży przy spadaniu nawały śnieżnej z dachu, lecz, aby to wszystko poznać, odczuć i opisać, trzeba by wżyć się w życie ludu, w życie ciekawe i pełne śladów z zamierzchłych czasów, które dziś mąci się i zaciemnia na zawsze, jak oko konającego“.

Temi słowy kończy ś. p. Matlakowski wyczerpujące studium budowy chat góralskich, przyczem w pewnej mierze wniknął i w życie mieszkańców wyżyn, i z ich gwary, przypominającej Rejowe nieraz zwroty, przysporzył nowych dostatków mowie ojczystej. Umieścił nawet w końcu słowniczek niektórych, bardziej charakterystycznych wyrażeń ludowych, niezmiernie pod względem filologicznym ciekawych. Tekst dopełniają bądź ładne ilustracye, bądź tablice przedstawiające przeróżne szczegóły z podtatrzańskich osad, wsi i domów. Skarbnica to etnograficzna, ze wszech miar zasługująca na zaszczytny nakład Akademii Umiejętności.

M.

Kwestya lennego zwierzchnictwa Polski do Pomorza za czasów Kazimierza Wielkiego. *Kazimierz J. Gorzycki*. Lwów 1895.

Pracę swą rozpoczyna p. Gorzycki od omówienia procesu Polski z Zakonem krzyżackim w r. 1422, kiedy to przyjechał do Polski komisarz papieski Antoni Zeno, by ustalić podstawy zawrzeć się mającego pokoju. Powodem ówczesnego sporu było Pomorze, które Krzyżacy mieli bezpodstawnie, podobnie jak ziemie chełmińską i michałowską, dla siebie zagarnąć. Krzyżacy zasłaniali się dyplomem pokoju kaliskiego, stwierdzającym, że ziemie te oddał im Kazimierz Wielki *in perpetuum elemosynam*. W oskarżeniu z r. 1422, te pełne znaczenia czytamy słowa: Krzyżacy *summam 80 marcharum argenti puri, nec non certum numerum equorum, ac certa stamina panni serricei et lanei ac alias res praefato domino Kazimiro Regni et suo Regno Poloniae annis singulis in signum subiectionis ac recognitionis dominii persolverunt...* Jednem słowem, Zakon przyjął był Pomorze wraz z ziemią chełmińską i michałowską od Kazimierza Wielkiego w lenno, a skoro obowiązku wobec Polski nie dopełnił, to Zakon „winien był zwrócić ziemie sporne — jako buntowniczy wasal — za felonię“.

O kwestyi lennego zwierzchnictwa Polski do Pomorza za czasów Kazimierza Wielkiego pisali: dr. Caro i ś. p. Józef Szujski, a z lekka dotknął jej również prof. Semkowicz w swoim „Rozbiorze Kroniki Długosza“; mimo to kwestya ta, zdaniem p. G., daleką była od rozstrzygnięcia.

Zdaniem p. G., istniał bezwarunkowo między Kazimierzem Wielkim a Zakonem stosunek zwierzchnictwa lennego z ziem odstąpionych w r. 1343 Krzyżakom. Dowody na to (oprócz cytatów ze źródeł) przytacza autor następujące: 1) Polska płaciła świętopietrze; gdy Za-

kon krzyżacki z ziem pomorskich przestał płacić świętopietrze, upominali się o nie papież: Benedykt XII. i Klemens VI., nie uważając wcale krajów tych za własność Krzyżaków. 2) Wszyscy świadkowie, przesłuchiwani w procesie w r. 1422, stwierdzają, że Krzyżacy przysyłali Kazimierzowi Wielkiemu i Ludwikowi Węgierskiemu *presertim de terra Pomoraniae* jako daninę: pieniądze, żywność, konie, sokoły i byli obowiązani do niesienia zbrojnej pomocy. 3) Krzyżacy nie zbijali nigdy zarzutu, że byli do pomagania Polsce za otrzymane *beneficia* zobowiązani. 4) Udając się o opiekę do Jadwigi przed grożącą im wojną z Polską, napisali Krzyżacy: *Und das der Orden und wir euch gerne dienen, nach als wir deme allirdurchl. fürsten ewwirm allirlibsten Vater egenant vorgehan haben und auch König Kazimir seligs Gedechniss gethan haben.* 5) Kazimierz Wielki zwiedzał Pomorze *tanquam loca suo dominio subiecta*. 6) Polscy dyplomaci musieli w r. 1422 ignorować układ kaliski jedynie dlatego, bo do straty dyplomów wystawionych przez Krzyżaków przyznać się byłoby dla nich prawdziwą klęską. Zaginienie tych dyplomów tłumaczy zaś pan G. takim przypuszczeniem. Po r. 1370: „Musiał Opolczyk sromotnie opuszczać Kraków... Darowywać uraz książę nie lubiał. Był, co prawda, dość bezsilny — jeżeli więc chciał się mścić, to mógł to tylko drogą tajną, nielegalną. Jechał do swych posiadłości na granicy państwa zakonnego; zemsta, interes najbliższej przyszłości i przyjaźń dla Krzyżaków mogły go bardzo łatwo skłonić, że uwiózł z sobą dyplomy z skarbcza królewskiego, oddał je Wielkiemu Mistrzowi i otrzymał *Schweiggeld* w formie bezpowrotnych pożyczek... Przyznać się do podobnej machinacji otwarcie nie mógł, szerzył tylko różne wieści, które wyszły na jaw dopiero w r. 1422“.

Taka jest treść rozprawy pana G., napisanej z uznania godną sumiennością i odznaczającej się znakomitem wysnuciem wniosków z pracowicie zebranego materiału. „Kwestya lennego zwierzchnictwa Polski do Pomorza“ wskazuje wymownie, z jakiej jej autor wyszedł szkoły; pisana jest bowiem w ten sposób, jaki cechuje wszystkie cennie rozprawy uczniów ś. p. Liskego. Szkoda prawdziwa, że rozprawę tę szpecą nad wyraz liczne błędy drukarskie, i że styl autora czasami nie jest wolnym od usterek.

Rzecz naturalna, że usterki te nie zmieniają wartości pracy, która jest nader cennym przyczynkiem do dziejów naszych w XIV. wieku.

L. M. Dziama.

Sługa Chrystusowy w samotności, czyli dziesięciodniowe rekolekcye. Według ks. *Jana Krasseta*. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1896.

Rozmyślenia dla wiernych. Przez ks. *Chaignon*. Przekład z francuskiego. Drugie poprawne wydanie. 4 tomy. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1895.

Wykład tajemnic Różańca świętego. Przez ks. *Karola Ludwika Gay*. Z drugiego wydania francuskiego przełożył biskup *Henryk Piotr Kossowski*. 2 tomy. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1895.

Nazwiska Crasset'a, Gay'a, Chaignon'a za dobrze znane w ascetycznej literaturze, abyśmy ich pisma potrzebowali zachwalać. Dzięki Bogu, obudza się widocznie potrzeba poważnych, doborowych książek ascetycznych, kiedy jedna tylko księgarnia — prawda, że i zasobna i ruchliwa — wystąpiła od razu z trzema przekładami dzieł, obrachowanych na publiczność szczerze pobożną a zarazem bardziej inteligentną. Zwłaszcza dla księży, dla klasztorów wielkiej wagi to nabytki. Kaznodzieje znajdą nieoceniony skarb w „Wykładzie tajemnic Różańca świętego“. Treść walczy tu o lepsze z formą, z pięknym, polskim językiem; jakże mogło być inaczej, gdy autorem jest ks. biskup Gay, tłumaczem ks. biskup Kossowski? „Sługa Chrystusowy w samotności“ uczy, jak odprawiać roczne rekolekcye; „Rozmyślenia“ ks. Chaignon'a — jak owoce, w czasie rekolekcji zdobyte, przez rok cały za pomocą codziennych rozmyślań przechowywać.

Ceremoniał parafialny. Przewodnik liturgiczny dla duchowieństwa parsterstwem dusz zajętego. Napisał ks. *Antoni Nowowiejski*, magister św. Teol., prof. semin. duchow. w Płocku. Tom drugi. Warszawa 1894. (Cena 1 rubel 40 kop.).

Ten drugi tom „Ceremoniału parafialnego“ jeszcze lepiej się przedstawia niż pierwszy¹. Zawiera on: 1) „Ceremonie pogrzebowe“, 2) „Sakramenta święte“, 3) „Ceremonie poświęceń“, 4) „Rok liturgiczny“, 5) „Niektóre okolicznościowe obrzędy“.

Główną wartość tego dziełka stanowią wskazówki, których gdzieś indziej znaleźć nie można; mianowicie w każdym rozdziale osobne przepisy dla: „Organisty“, „Zakrystyana“, „Ministranta“ i „Wiernych“.

Bardzo też trafnie zwraca autor uwagę na niektóre nasze wiekowe nieuwagi liturgiczne. I tak podziwiamy jego zapatrywania co do kielichów wystawianych przy katafalku zmarłych: że nie mają być prawdziwymi przedmiotami liturgicznymi, ale tylko ich naśladowaniami, jedynie do tego użytku służącymi i niepoświęcanymi. Toż na Boże Ciało

¹ Patrz *Przegląd Pow.* t. XLIII., str. 100. (Zesz. lipcowy 1894 r.).

kielichy z patynami do ubrania ołtarza. Także o zasłonach obrazów na tydzień Męki Pańskiej dobrze powiedziano. Inne bardzo ważne wskazówki, jak: Obchodzenie się z ciałem zaraz po śmierci i t. p.

Ale z obowiązku swego recenzent musi obejrzeć i drugą stronę medalu, czyli wykazać usterki. A co do książki tak praktycznej jak ta, ważniejszy to obowiązek, niżby się zdawało. Jużto wogóle rzymska akademia liturgiczna w swym organie *Ephemerides liturgicae* prosi, aby liturgiści raczyli się wstrzymać na jakiś czas z wydawaniem nowych podręczników, bo ma być wkrótce dokonany przegląd dekretów św. Kongr. Obrz. i uporządkowanie ich. Prawda, że szan. autor, pisząc swoją książkę, nie mógł jeszcze o tej prośbie wiedzieć.

Co do szczegółów, to najprzód, mówiąc tak trafnie o granach paschału, szan. autor popełnia ten sam błąd¹ co w pierwszym tomie, nazywając kadzidłem tak oliban jak bursztyn, kiedy jest niem tylko pierwszy (str. 318 n. 434). Powtóre na str. 66 n. 27 i indziej, przy ceremoniach chrztu, słowo rytuału *exsufflat* szan. autor tłumaczy: „oddycha nad twarzą dziecięcia“. Czemuż nie powiedzieć: „dmucha w twarz“, kiedy *exsufflat* to właśnie dosłownie znaczy; a tem bardziej to musi znaczyć w swoim kontekście. Bo kiedy chodzi o symbol udzielania Ducha Św., wtedy Kościół używa słowa: *halat* (technie, chucha), jak to widzimy w Pontyfikale przy ceremoniach poświęcania olejów śś. Odpędzanie zaś czarta i udzielanie Ducha Św. są to przecież czynności wręcz sobie przeciwne, i dlatego Kościół oznacza je przeciwnymi symbolami i słowami. Potem, dlaczego celebrans, adorujący krzyż w W. Piątek, ma składać „pieniądz na tacy“ (str. 288 n. 341)? Albo dlaczego w W. Sobotę „między kandelabrami postawić należy lampek cztery z olejem“ (str. 319 n. 435), kiedy jest wyraźny dekret Kongr. Obrz., zabraniający na ołtarzu innego światła prócz woskowego? Zwyczaj też jest chwalebny podawać kapłanowi szczyptę soli, która bardzo dobrze oczyszcza palec z oleju św., o tem jednak szan. autor nie wspomina. Szkoda też, że nie powiedziano, co chłopiec służący przy rozdawaniu Komunii św. poza Mszą św. ma odpowiadać, i czy ma zagłuszać dzwonkiem słowa kapłana: *Ecce Agnus Dei* etc., jak to oni zwykle czynią; i jak się lud obecny w kościele ma zachować podczas tego aktu. Albo czemuż-to kazanie ma być po *Credo*, kiedy według racji liturgicznej i wszystkich liturgistów, właściwe jego miejsce jest po ewangelii?²

¹ Wykazaliśmy go w *Przegl. Pow.* t. XLIII. str. 102.

² Jeszcze jedną, nie tak usterkę jak kwestyę, choć w przypisku chcemy poruszyć. Przy sakramencie ostatniego namaszczenia, łacińskie *lumbi* tłuma-

Mimo tych i kilku innych dezyderatów, książka to bardzo pożyteczna i pouczająca, zwłaszcza dla służby kościelnej, która dotychczas, poza miejscowemi, nieraz bardzo wątpliwej wartości tradycjami, nie wiedziała czego się trzymać.

Ks. H. Pydynkowski.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

L'Eglise et le siècle. Conférences et discours de *Mgr. Ireland*, archevêque de Saint Paul. Publiés par *l'abbé Félix Klein*. Paris. Victor Lecoffre.

Przed kilkoma laty święcono w Stanach Zjednoczonych stuletni jubileusz ustanowienia hierarchii katolickiej na tych Nowego Świata wybrzeżach. W 1789 r. papież Pius VI. erygował biskupią stolicę w Baltimore, dla krajów co dopiero odłączonych od Anglii. Pierwszym pasterzem nowej dyecezyi był Jan Carroll, potajemnie wyświęcony na ziemi angielskiej. Za przybyciem do Ameryki zastał nieliczną trzódkę, złożoną z około czterdziestu tysięcy katolików, rozpieczętowaną wśród protestanckiej ludności. Zaledwie trzydziestu kapłanów zaspakajało duchowne potrzeby owej garstki. W setną zaś rocznicę, samych biskupów Stanów Zjednoczonych, zgromadzonych dokoła swego prymasa i kardynała, doliczono się 84. W orszaku ich znajdował się niezliczony poczet księży i zakonników, a szczupła zrazu trzoda urosła była do dziesięciu milionów katolików, w przeciągu jednego tylko wieku. Zdawaliśmy w swoim czasie sprawę z owego jubileuszu, na którego tle występowała poważnie dzielna postać kardynała Gibbons'a, ósmego z kolei następcy biskupa Carrolla. Odtąd, nietylko rozwój katolickiego Kościoła w Ameryce coraz się potężniej uwypatnia, lecz nadto, wyjątkowo pomyślne warunki i swobody pozwalają coraz to znakomitszym osobistościom ujawniać czynem i słowem otrzymane z niebios dary. Najczęściej i najsilniej płynie ku starej Europie z za morza do-

czy sz. autor (wprawdzie zgodnie z Wujkiem) przez „biodra“ zamiast „łędźwie“. W XVI. w. dwa te słowa nie miały może ściśle odgraniczzonego znaczenia, dziś jednak „łędźwi“ tj. miejsc po obu stronach kości pacierzowej nad kością krzyżową (*os sacrum*) nikt nie nazwie „biodrami“ (*coxae*). Racja zaś tego namaszczenia jest bardzo ważna, gdyż z kręgów łędźwiowych wychodzą nerwy *voluptatis venereae*.

niosły głos arcybiskpa z Saint-Paul, m-gra Irelanda. Mąż to niezwykle wymową obdarzony, krystalizujący poniekąd w sobie geniusz młodej a katolickiej Ameryki. Urodzony w Irlandyi w 1838 r., dzieckiem towarzyszył rodzicom, emigrującym na drugą Atlantyku stronę. Ojciec, prosty cieśla, umieścił go w szkółce katedralnej nowo powstającego miasta Saint-Paul. Pierwszy teŹe dyecezyi biskup, uderzony nadzwyczajnemi chłopca zdolnościami, posłał go do Francyi, gdzie się dalej kształcił, a za powrotem do stanu Minnesoty w 1861, otrzymał święcenia kapłańskie. Z kolei wikaryusz katedralny i sekretarz biskupi, kapelan wojskowy w czasie walki bratniej, proboszcz katedry Saint-Paul, ks. Ireland, wzniósł się nareszcie aż do godności arcybiskupiej w temŹe mieście. Jedenaście lat upływa, odkąd rządzi dyecezyą powierzoną swej pieczy, a jednocześnie piastuje urząd słowa, w kaŹdej ważniejszej okoliczności przemawiając do Ameryki lub o niej mówiąc innym narodom ziemi.

Główne z owych odezwań zebrał ks. Klein, znany magister konferencyi przy katolickim Instytucie w ParyŹu. Wybrał on z oratorskiej skarbnicy m-gra Irelanda te mianowicie przemowy, w których ulubioną obrabiał teŹę — pogodzenia wieku swego z Kościołem, sprowadzenia ostatecznego porozumienia między wiedzą i wiarą, wolnością i karnościami, postępem a chrześcijańską nauką i tradycją. Upragniony to sojusz, gdyby go ludzie nie mącili, nie przeszkadzali nadejściu królestwa boŹego na ziemi.

Z kolei znalazła się tu przemowa m-gra Irelanda, wygłoszona z okazji jubileuszu kardynała Gibbonsa; dalej mowa powiedziana na setną rocznicę ustanowienia hierarchii katolickiej w Stanach Zjednoczonych; kilka konferencyj mianych w ParyŹu; nareszcie zagajenie kongresów myśli ludzkiej przy wystawie w Chicago, na temat „postępu“. Mowa ta chyba nad wszelkimi innymi doniosłością góruje. W szczepie anglo-saksońskim tkwi głęboko pierwiastek religijny. Amerykanie nie rozpoczynają ani kończą bez uprzedniego wezwania łaski i błogosławieństwa boŹego. Nic teŹ piękniejszego nad modlitwę, którą uproszony kardynał Gibbons otworzył wystawę, i słusznie zrobił wydawca niniejszego tomiku, iż powtórzył tu w całości owo przepyszne wezwanie rosy niebieskiej na ludzkie trudy i prace. Mgr. Ireland wieczorem zagaił kongres pomocniczy — mający poniekąd zadanie urządzenia wystawy ducha i myśli, obok materyalnego popisu dzieł rąk ludzkich. Po krótkim wstępie i poglądzie na wszystkie dotykane przynęty międzynarodowego targowiska i zbiegowiska, mówca wskazał na konieczność

jednoczesnego ściągania Kolumbów współczesnych, kierowników ducha ludzkiego, sprawców wszelakiego postępu. „Bo istota postępu nie zacieśnia się w materyalnych granicach, ani też sama sobie nie może być końcem. Postęp tkwi w człowieku, nie w materii przezeń użytej, a przejawia się, ilekroć on sam wzrasta w swych zdolnościach i siłach, ilekroć opanowuje bezduszne stworzenie; jeden tylko człowiek, istota rozumna i odpowiedzialna, posiada moc postępowania naprzód. Niepodobna zrozumieć właściwego celu Stwórcy, dopóki proch się nie obleka w żywe kształty męża. To też tyle dobrego, ile człowiek wzrasta, tyle złego, ile się on poniża. Biada też przemysłowi, gdyby miał serca zatwardzać i w nich poczucie sprawiedliwości zamącać. Biada machinom najmisterniejszym, których Nielitościwe śruby i koła pozbawić chcą dusze ludzkie spokoju i czystości. Praca stawia się przekleństwem, gdy przez nią człowiek wprzęga się w zależność materii, bogactwo narodów zamienia się w bluźnierstwo, jeśli dostatki wiodą ich przywłaszczycieli do samolubstwa a tłumy wydziedziczonych do nędzy i grzechu. Tam tylko istotny postęp się stwierdza, gdzie człowiek się podnosi w górę i naprzód postępuje“.

Tu mówca wskazuje niebezpieczeństwo zwykłych wystaw, święcących wyłączne tryumfy materii, dających błędne zrozumienie postępu. A najgorszym symptomatem w narodzie bywa wzrost dostatku kosztem obniżenia charakteru osobników. Dlatego kongres pomocniczy ma poniekąd wlać duszę w martwe współzawodnictwo, a otwierając takowy, mgr. Ireland przedewszystkiem pragnie słuchaczy przekonać, iż ziemia jest tylko drabiną do nieba, i że największe napozór zdobycze postępu idą na marne, jeśliby w nich człowiek miał zniżyć swą naturę, zamiast ją uszlachetniać i podnosić. A wszelkie i doczesne zabiegi winny zdążać do tego wzrostu, który w myśli bożej jest zadaniem, samemże mianem człowieka. A imię jego „wzrost“ — odzywa się wspaniale jeden z proroków, zakreślając poniekąd przeznaczenie ludzkości, zmierzającej do coraz wyższego postępu. „Bóg pracuje dla człowieka, człowiek zaś dla Boga, ilekroć ludziom służy... Postęp — to dalszy ciąg dzieła stworzenia. Zatrzymanie tedy postępu z lenistwa lub złej chęci, jest zbrodnią przeciw Stworzycielowi zarazem i stworzeniu. Ewangelia Chrystusowa jest zakonem postępu, uczącym, iż każda rzecz winna być powiększoną i użytą. Zakopany talent ściąga na leniwego sługę najśrodszy gniew i karę“.

Optymistą jest mówca, nie tracący nadziei, że mimo pozornych zastojów i cofnięć, ludzkość stale zmierza ku wyżynom, i postępuje

ustawicznie. „Nie trzeba tu się zasmucać poszczególnymi zboczeniami lub pozorem upadku, lecz zdobyć się na ogólny pogląd, świadczący za ogólnem też uszlachetnieniem i postępem... Wiek nasz jest wiekiem ruchu, szukania i marzenia... Religia zaś Chrystusowa znajduje się wszędzie, gdzie człowiek dla bliźniego pracuje i usiłuje ludzkość choćby o włos ku wyżynom dźwignąć, a więc nie tylko w kościołach, kędy się chwala Boża święci, lecz i na polach, gdzie rośnie zboże dające chleb, w fabrykach kędy materya nowe obleka kształty na pożytek ludzi, w przybytku filozofa i pisarza, rozmyślających nad uszlachetnieniem idących pokoleń, przede wszystkim zaś tam, gdzie głodni znajdują pokarm, wygnańcy przytułek, słabi pomoc i ulgę“.

W innej znów przemowie arcybiskup Ireland piorunuje przeciw powszedniej tylko cnocie. Ona to ludzkość pogrąża-w niemoc i uspienie. „Więcej niż kiedykolwiek Kościołowi i światu dziś trzeba ludzi przerastających ogół, tęższych i śmielszych, widzących dalej, podnoszących się wyżej. Nawet w małej będąc liczbie, porywają oni za sobą tłumy i gotowi ludzkość zbawić. Jeden nawet mąż o wielkiej duszy zdoła ocalić Kościół, ocalić kraj cały“. Skądże dzisiejsze nieporozumienia między światem a Kościołem? niema ku temu żadnych zasadniczych przeszkód, lecz widnieje usiłowanie zepchnięcia katolików w bezczynność, zamknięcia ich w obręb murów kościelnych, usunięcie się ich małoduszne z areny czynnych zapasów. Nieprzyjaciele, krzewiciele społecznych przewrotów, pełnemi garściami dziś czerpią w krynicy prawdy chrześcijańskiej, podstępnie za własne podają odkrycia to, co od wieków było nauką Kościoła, a samiż katolicy tak do bierności przywykli, tak odzwyczaili się od rozgłosu, że własne ich zasady, wypowiedziane jawnie i śmiało, zbyt często im się wydają czymś obcem i nowem. „Jeśli chcemy podbić nasz wiek, przybliżmy się ku niemu. Niepodobna wywierać wpływu z daleka, zetknięcie osobiste jest koniecznem. Zaczem należy stykać się z światem we wszystkich bliżej go obchodzących kwestyach społecznego ładu, dobrobytu, pomyślności materyalnej, ażeby nawzajem świat się przychylił ku sprawom religijnym, które nas najbardziej zaprzatają“. Mówca wskazuje kardynała Gibbonsa, który lepiej niż ktokolwiek umie godzić przeciwne tylko na pozór prądy, i wymienia go w poczcie takich szermierzy jak Manning, Ketteler, Lavigerie, a mianowicie Leon XIII. Lecz są to chwalebne wyjątki. „Wstręt mam do pesymizmu, w którym upatruję najwyższą zbrodnię przeciw Bogu i ludzkości, stawiającą tamę wszelkiemu postępowi. A jednak i mnie pokusa ta nagabuje, kiedy patrzę na tyle dusz

obojętnych i bezczynnych, gdy zmierzę wszystkie marności, pochłaniające czas szermierzy prawdy, kiedy większa ich część patrzy tylko wstecz, z obawy, by nie dojrzeć świtu nowej zorzy, któraby ich zmusiła zejść z wydeptanych przeszłością ścieżek, aby iść ku temu światu, którego zbawienie w ich złożone jest ręką“.

Wymowny biskup piorunuje zwłaszcza przeciw utartemu a błędnemu mniemaniu, iż w sprawach religijnych człowiek nie ma nic do zrobienia, ponieważ wszystko dziełem bywa bożem. „Zapewne, jeśli *Pan nie zbuduje domu, próżno pracowali, którzy go budują*. Atoli wiara uczy, że chcąc odnieść jakibądź skutek, żywioł ludzki winien z bożym łączyć się żywiołem, wyłączenie jednego lub drugiego starczy, aby spowodować nieurodzajność. Zbyt często nie wypełniamy własnego zadania, chcąc aby Bóg wszystko zrobił. Atoli Bóg nie naruszy porządku Opatrzności swojej, by winę naszego próżniactwa naprawić“.

Trafnie mówca wskazuje, iż bywają epoki, w których należy większy kłaść nacisk na stronę nadprzyrodzoną działania religii, lecz bywają i inne, wymagające większego na przyrodzoną stronę tegoż działania nacisku. „Dziwnem zjawiskiem — za dni naszych przyrodzone siły rozwijają szaloną energię, we wszystkich naraz kierunkach — okrom religijnego — zdając wszystko na czynniki nadprzyrodzone, gdy chodzi o sprawę religii... A tymczasem walka stanowcza zawrzała między porządkiem przyrodzonym a nadprzyrodzonym. Celem jest tu wytrącić Kościół Chrystusowy z liczby żyjących i zepchnąć go między groby i zwaliska. Nie potrzeba powtarzać, jaki jest obowiązek katolików. Winni oni utrzymać przewagę pierwiastku nadprzyrodzonego, a zarazem zbawić wiek swój i zachować go Kościołowi“.

Jedną z sił głosu mgra Irlandia jest bezsprzecznie uczucie, którem umiłował wiek swój i pokolenie. „Mimo tylu błędów i przywar mu właściwych, kocham mój wiek, kocham onego dążności i zamiary i wynalazki i zwycięstwa, podziwiam i miłuję go za jego szeroką dobroczynność dla warstw ludowych, z których sam wyszedłem. Nie kuszę się o zbadanie przeszłości wstecznem spojrzeniem po fali wieków, raczej zawsze naprzód spoglądam i patrzę. Bóg żąda, aby teraźniejszość była lepszą od przeszłości, a przyszłość doskonalszą od teraźniejszości“.

I znów powstając przeciw podstępny kradzieżom, wydającym hasła Chrystusowe na łup dzisiejszych apostołów przewrotu, wymowny biskup powtarza: „Bezbożność może Kościołowi wydrzeć słowa, nie wydrze mu rzeczywistości, która tylko w cieniu ołtarzy Pańskich za-

kwita. Chrystusowa-bo nauka pierwsza świata podała słodkie wyrazy Braterstwa, Miłosierdzia, Wolności... Idźcie tedy, zbliżajcie się do cierpiących tłumów, niosąc im miłość, a co im potrzebniejsze jeszcze i radsze — przynosząc sprawiedliwość. Modlić nam się i trwać niezłomnie w modlitwie, ale wraz i pracować i trwać niezłomnie w pracy. Jeslibyśmy pracowali bez modlitwy, zabraknie nam łaski bożej i trudy nasze pójdą na marne; ale podobnież gotowe się one zmarnować, jeśli pozostaniemy na kolanach, kiedy raczej stać nam i wychodzić trzeba na wielkie drogi i rynki miejskie, zamiast się cofać do świątyni i w nich zamykać“.

Mgr. Ireland nieustannie piętnuje bierność tchórzliwą katolików. „Ilekroć kto uchybi Kościołowi lub mu jaką krzywdę wyrządzi, jęczy-
my i płaczemy — ale nie ruszylibyśmy i palcem, aby przeszkodzić dalszym niesprawiedliwościom. Smutny w tem dowód niedostatku ducha katolickiego. Oddani jesteśmy religii w dniach świątecznych, lub w godzinach wieczornego pacierza. Zapieramy się jej w walkach świata, zwlekamy ją z siebie w życiu publicznem. Konserwatyzm zbyt często bywa synonimem apatii, a tu trzeba, wedle amerykańskiego hasła, iść naprzód: *Go ahead!*...“ Przechodząc zaś do zadań właściwych naszej epoce, mówca powtarza, iż dni nasze są dniami walki i czynu; że okres drżającej i cichej cnoty dawno przeminął. Czas-bo naprawić istniejące niesprawiedliwości społeczne, czas do mas ludowych przemówić, dźwigając je z roli bydła pociągowego i machin, do jakiej zepchniętemi zostały kosztem stłumienia w nich wszelkiego moralnego instynktu. „Dopokąd ich materyalne położenie polepszonem nie zostanie, na próżno-
byśmy im przedkładali obowiązki doczesne i nadprzyrodzone nadzieje. Kto cierpi, świadom jest tylko bólu swego, zaczem w tych tylko rozpozna przyjaciół, co mu pomoc rzetelną niosą. Bezbożność robi im szumne obietnice i przez to ich niewoli. A tymczasem milczą ci, którzyby winni i obietnicą i czynem spieszyć w pierwszym rzędzie. Katolicy dziś dali się ogarnąć chorobliwą jakąś nieśmiałością, jakimś miękkim zwątlaniem cieplarnianych roślin; cofają się oni w cienie kościołów i klasztorów, rzucając świat żyjący na pastwę zasadzek fałszywych przyjaciół, chytrych doradców, gorączek grzechu i nędzy... Tu zaś głównie świeccy mają osobne powołanie, któremu się niestety sprzeniewierzają. Powinniby oni pracować, krzątać się, organizować, pisać, myśleć, wszystko dla dobra braci swych i na pożytek Kościoła czyniąc. A tymczasem, pogrążają się raczej w gnuśnej bezczynności, spuszczają wyłącznie na księży, wmawiają w siebie, że byle ducho-

wieństwo pracowało, oni mogą w sennej odpoczywać bierności. Nie należy się wszelako zaślepiac, iż żyjemy w czasach ogólnego nieukontentowania, kiedy lud mniema się być wydziedziczonym, burzy się, buntuje, i w tem wzburzeniu popada w błędy i szale. Mówmyż ludowi, że ma obowiązki, lecz zarazem przynajmy mu też słuszne prawa. Wiecznie go upominamy, aby się zdobył na cierpliwość, na poddanie i cnotę... Atoli pisarz angielski miał słuszość, gdy twierdził, że darmo się opowiada Ewangelię pustemu żołądkowi, dopóki się nie nasyci, nie usłucha ani nie uwierzy. Na Boga, nie mówmy do ludu: Bądźcie zawsze, bądźcie na wieki cierpliwymi! — ale raczej powtarzajmy: Trochę jeszcze, chwilę jeszcze cierpliwości!... Nieszczęście nasze, nieszczęście katolików wszechświata tkwi w tem, iż wszędzie i zawsze wyprzedzać się dają — nie z braku wiary, lecz z nadmiaru ostrożności. Naprzód! naprzód! lepiej się nawet potknąć w drodze, aniżeli nigdy z miejsca nie ruszyć“.

Gromkie jak wojenna pobudka są słowa dzielnego arcybiskupa, z których luźne przytoczyliśmy urywki. Przebiega zaś każde jego odezwanie się prąd gorącego szlachetnego patryotyzmu. Kocha on swoją Amerykę, przepowiada jej niebywałe w świecie posłannictwo i rolę, byle przodowała w wierze, jako najpierwszy, najbardziej chrześcijański naród ziemi. Czasem tłumaczy się z tych uczuć, wydobywających się przy każdej okazji z płomiennego serca: wszystko bowiem służy mu do wskazywania świetnej, pięknej, wielkiej przyszłości Ameryki i jej zadania. Uniewinnia się niemal z tych ustawicznych zwrotów, jednocześnie dodając, że nikt nie ma za złe wierzącemu, gdy wciąż swoje *Credo* powtarza, a więc chyba i miłującemu ojczyznę wolno wciąż do przedmiotu swego ukochania nawracać.

Czy szowinizm amerykański m-gra Irlandia nie przesadza misyi Stanów Zjednoczonych w świecie? Trudno rozsądzać. Tyle pewnego, że duchowieństwo, a zwłaszcza episkopat Nowego Świata, dziś pod wielu względami przewodnie wobec Starego zajmuje stanowisko, dając najpiękniejsze przykłady czynnych trudów i bohaterskich zapasów. Kto wie, jak przeważną rolę w dziejach świata odegrać mu jeszcze przyjdzie? Wszakże znamienity pisarz francuski Vogüé, przewiduje dzień, w którym może świeża, bujna, rodzajna ziemia amerykańska dostarczy Kościołowi nawet głowy samej, papieża. Proroctwo Malachiaszowe, określające wyrazem: *Pastor et nauta* (Pasterz i żeglarz), jedno z bliższych panowań, kto wie, czy nie oznacza zamorskiego następcę Piotra świętego.

Wyjątki przez nas przytoczone starczą, by wykazać bogatą treść szczerpłego napozór tomiku krasomówczej wymowy ks. Irelanda, przyswojonego mowie francuskiej. Zacerpnęliśmy z wydawnictwa ks. Kleina zwroty, mogące i u nas odbić się pożądanem echem, skoro i w Polsce plagą życia publicznego jest bierność i gnuśność katolików. I należałoby tu zakończyć i tak przydłuższe już z drobnej książeczki sprawozdanie, gdyby nam nie była wpadła do ręki przemowa innego dostojnika amerykańskiego Kościoła, m-gra Keane, rektora waszyngtońskiej katolickiej wszechnicy, o którym mylnie przed dwoma laty nasz *Przegląd* donosił, iż zginął był w przypadku kolejowym. Podczas kongresu naukowego, zgromadzonego we wrześniu minionego roku w Brukseli, mgr. Keane zdawał sprawę z „Kongresu religijnego“, który uwieńczył w Chicago przeróżne obrady kongresów pomocniczych, przydzielonych do międzynarodowej wystawy. Wprawdzie znalazło się już na tem miejscu szersze i wyczerpujące omówienie tego „wiecu nad wiecami“. Że jednak coraz bardziej przyjmuje się myśl ponowienia takowego podczas wystawy paryskiej, naznaczonej na r. 1900, może nie będzie od rzeczy przytoczyć tu niektóre poglądy znamienitego kapłana. Przypomniawszy jubileusz Kolumba, mgr. Keane mówi na wstępie, iż przez ten cały rok jubileuszowy, oczy i myśli więcej niż kiedykolwiek zwróconemi były ku krzyżowi, ręką wielkiego sługi bożego wszczepionemu w amerykańską ziemię. Odtąd cztery ubiegły wieki, ale mieszkańcy Nowego Świata nie przestają przyznawać religii pierwszeństwa nad wszystkiemi innemi sprawami. Nadarzała się tedy sposobność jedyna, aby zwołaniem kongresu, wyłącznie zaprzątzonego duchowemi rzeczami, zdobyć się na wspólną, silną protestację przeciwko materyalizmowi i bezbożności. Rozesłano zatem zaproszenia po całym obszarze ziemi, oczekując z ciekawością odpowiedzi mianowicie katolickiego Kościoła. Kardynał Gibbons postanowił rzecz poddać naradzie episkopatu Stanów Zjednoczonych. Zrazu przemagały odporne zdania, upatrujące uświęcenie poniekąd i stwierdzenie indyferentyzmu w podobnem zrównaniu wszystkich religij. Już się miano rozejść, wydawszy odpowiedź odmowną, gdy wtem podniósł się z miejsca pewien stary arcybiskup: — „Św. Paweł musiał być chyba skończonym waryatem: na cóż mu było wtykać się między pogany? czy nie wypadało raczej w domu siedzieć i zachować godność spokojnego katolika?“

Słowa te padły jak grom, a raczej jak promień światła na zgromadzenie biskupów. Zaczem postanowiono przyjąć zaproszenie, i na wzór naszego Mistrza iść pośród zbłąkanych, aby im wskazać, gdzie

prawda i droga i żywot. Otrzymawszy przychylną odpowiedź, przewodniczący parlamentu oświadczył gotowość przyznania religii katolickiej przynależnego jej stanowiska, oraz warował chętny posłuch zebranych dla rad i głosu jej przedstawicieli.

Nadszedł dzień otwarcia kongresu. Mgr. Keane opisuje to zbiegowisko wysłańców z pięciu części świata. Pierwszą modlitwę wspólną, Modlitwę Pańską, odmówił kardynał Gibbons, pierwsza odpowiedź na słowa przewodniczącego padła z ust innego dostojnika rzymskiego Kościoła.

I oto w ciągu toczących się obrad, ten lwi dział przyznany katolikom stwierdzał się do końca kongresu. Mgr. Keane wspomina między innemi konferencyę kardynała Gibbonsa o stosunku Kościoła do dzieł miłosierdzia, dalej własne przemówienia, gdy mu np. przyszło rozbiierać, co jest właściwem ogniskiem i jądrem religii. „Nadarzała się stąd jedyna sposobność, by wskazać, że tem nieśmiertelnem ześrodkowaniem i jądrem może być tylko Chrystus Pan, że On to działa na dusze za pomocą Kościoła, będącego nie żadną federacyą, lecz jednością obleczoną w ciało, a założoną przez samego Zbawiciela, jako środek łączności z Bogiem... Trzeba było słyszeć oklaski tych pięciu tysięcy zgromadzonych, dziękujących mi za wypowiedziane słowa, aby się przekonać, jak dalece prawda może ogarnąć i powalić umysły ludzkie, byle wprzód miłość wzruszyła i zmięczyła serca“.

Gdy przy pożegnaniu dnia ostatniego, mgr. Keane znów przyszedł do głosu, skorzystał ze sposobności, aby wskazać, co w innych religiach tkwi prawego i dobrego, z tego wszystkiego wysnuwając ostateczną demonstracyę jedynie prawdziwej, katolickiej wiary: „Wykazałem przedstawicielom innych wyznań, iż nie żądamy od nich bynajmniej poświęcenia i zaparcia się wszystkiego, co może być dobrem, prawdziwym, użytecznym w ich religii, lecz raczej nam chodzi o wyczerpanie i spotęgowanie owych stron dodatnich. A zwracając się ku protestantom, otwarcie ich nawoływałem do powrotu na łono Matki, którą odbiegli. I nie urazili się tem wezwaniem, owszem, z wielu oczów potoczyły się łzy, gdym im wskazywał nędze i smutki bratniej rozterki. Zaproszono mnie wtedy, aby, skoro kardynał pierwszą odmówił modlitwę, jam teraz udzielił ostatniego błogosławieństwa. Zaczem protestanci i poganie dziękowali Bogu za błogosławieństwo udzielone im ręką katolickiego kapłana...”

W domówieniu mgr. Keane zastanawiał się nad obrokiem duchownym, wypływającym z tej pierwszej próby. A więc przedewszyst-

kiem nauka, iż nie wojną, nie sporami, nie wyłączeniami, lecz środkami pokojowego podboju i przekonania dusz należy przyspieszać jedność i Królestwo Boże na ziemi. „Za wiele dziś walk, za wiele polemiki. Gdyby Księżę pokoju wrócił na ziemię, nad wykazywanie błędów wolałby niezawodnie głoszenie i wyjaśnianie prawdy. Wśród zebranych w Chicago uczestników kongresu nie brakło przedstawicieli starych pogańskich religij. A czy tychże założyciele byli wysłańcami szatana, ku podkopaniu prawdy i zapewnieniu tryumfów błędu? Fałsz to historyczny, wymagający sprostowania.

„Bóg wszystkim ludziom dał prawdę w udziale. Gdy nieszczęśliwa ludzka rodzina po ziemi się rozproszyła, stopniowo ją puszczać w niepamięć odebrane zasady religii i moralności. Wtedy to Bóg nawet z pośród pogaństwa wywołał mężów, których zadaniem było prawdę ludziom przypominać. Takimi byli mędrcy starożytnego świata: Budda, Konfucyusz, Zoroaster, Sokrates, nie byli zgoła przesłańcami szatana, lecz raczej narzędziem Bożej Opatrzności; z pośrodku błędów rozeznawali jawniej odłamy prawdy, i jak umieli tak ją głosili. Czemuż nie uznać ich dobrej woli, nie skłaniać się przed wyższą i lepszą częścią ich spuścizny? Mędrcy Izraela zwiastowali nadejście Odkupiciela, czemużby i mędrcom pogańskim w części tej roli nie przyznawać? Czyni to Kościół, łącząc imię Dawida z Sybillą: *Teste David cum Sybilla*. O to tylko chodzi, aby przekonać pogan, że wszystko co jest prawdą, co dobrem w ich nauce, wiedzie logicznie do pełności prawdy i dobrego, danej światu przez Zbawiciela. A gdy tak zbierzemy wszystkie odłamy rozproszone prawdy jedynej dokoła Osoby Chrystusa Pana, chyba łatwo można świat przekonać, iż przyjmując jedno, niepodobna i drugiego nie uznać. A raz uznawszy Chrystusa, zgodzić się trzeba na szafarstwo łaski i prawdy powierzone Kościołowi, tej niebieskiej winnicy, której jesteśmy szczepami. Punktem wyjścia ma być zawsze miłość ku Bożej Zbawiciela Osobie, a do tego się dochodzi drogą „ireniki“, stokroć prędzej aniżeli „polemiki“.

Pokój dla zbłąkanych braci, zbudzenie ducha u katolików zaspiających nad posiadaną prawdą, oto dwustronne hasła amerykańskich szermierzy ducha. I znów mgr. Keane, wskazując, iż ucho świata obecnie nasłuchuje z upodobaniem odgłosów dotyczących kwestyj religijnych, ubolewa nad milczeniem i bezczynnością katolików. „Dwie filozofie dziś między siebie rozdzieliły ziemię: jedna ewolucjonistyczna, naturalistyczna, doszła do opłakanych skutków, pogłębiła rozdział pośród warstw społecznych. Inna filozofia uczy, że wszystko pochodzi

z miłości i potęgi bożej; że człowiek jest specjalnym wykwitem miłości i mądrości Boga; że życie ludzkie to przedsięwzięcie wieczności; że nędze, płynące z grzechu, nie powinny z ziemi wykluczać wesela; że ludzie wybitni zdolnościami i energią są narzędziami Opatrzności, by przynosić szczęścia światu i ludzkości. Kościół-to, Głowa jego Najwyższa, głosić nie przestaje owej filozofii miłości i miru. Powinniśmy wtórować jej, ale czekają i na nasze głosy. Czemuż się nie odzywamy? Ale tu należy posługiwać się mową zrozumiałą końcowi XIX. stulecia, nie zaś językiem wieku XIII.

„Pamiętać nam trzeba, iż nie tylko przez chrzest staliśmy się synami bożymi i uczniami Zbawiciela, lecz nadto przez bierzmowanie zapaśnikami Jego. Pole walki przed nami się roztacza. Ale nie mamy przed sobą wrogów, lecz braci, których należy do owczarni nawrócić. Zbrojni jesteśmy nie w narzędzia zagłady, lecz miłości i prawdy. Wszystkim tedy, a mianowicie wam, uczonym Europy, powtarzam: Naprzód!”

To *go ahead* jest przewodniem tętmem w głosach płynących ku nam z za morza. Warto sobie przyswoić hasło, które już tyle tryumfów święci na drugiej półkuli, warto mianowicie na te gromkie pobudki odpowiedzieć czynem, otrząsając się z martwoty i zaskorupienia, aby stoczyć bój święty i wywalczyć panowanie Królestwa Bożego na ziemi.

M.

Pod jednym sztandarem. Almanach katolickich poetów czeskich. W Dobromilicach na Hanie 1895. (Pod jednym praporem. Almanach katolických básníků českých. V Dobromělicích na Hané 1895.

W starożytniej kapitule na Wyszehradzie w Pradze zasiada od lat 25-ciu czcigodny Nestor czeskiej katolickiej poezji, ksiądz Benesz Metody Kulda. Życie jego — jak twierdzi biograf Z. Bouška — obejmuje dobę kilku pokoleń, a zarazem trzy ćwierci wieku w dziejach Kościoła i narodu czeskiego, sięgając od chwili obudzenia się w łonie tego ostatniego poczucia swojej samowiedzy, aż do dni dzisiejszych. Wiąże się też ściśle z działalnością najwybitniejszych mężów, którzy niezatarte względem katolicyzmu i narodowości czeskiej położyli zasługi. Jest to życie pełne pracy, usiłowań, szlachetnych porywów, ideałów i czynów wymownych samych przez się. Zarówno w kościele i szkole, jak w rozmaitych stowarzyszeniach i radzie sejmowej, w dziedzinie religii i narodowej polityki, w poezji i prozie, niezmordowana działalność

księdza Kuldy niosła przez lat kilkadziesiąt dobroczynne owoce. Dewizą jego były piękne słowa: *Cirkvi národ blah!* (W kościele szczęście narodu), które przez całe życie starał się w czyn zamienić. Wraz z Soukopem, Prochazką, Sušilem i Pakostą, Kulda stanął na czele prądu, dążącego do rozwoju katolickiej czeskiej literatury, zasilał ją sam cennymi prozaicznymi i poetycznymi utworami, lub popierając gorliwie młode talenta. Z licznych własnych prac jego, przeważnie treści religijnej, niekiedy zaś społecznej, największą popularność zdobyły sobie śliczne legendy, skreślone wierszem i osnute na tle żywotów Świętych Pańskich. Uznanie to znalazły one nie tylko w Czechach, ale i poza ich obrębem, na całym niemal katolickim świecie, czego dowodem jest między innymi piękny wiersz portugalskiego poety Verdaguer'a do tego *Canonge poeta, cantor de les vides dels Sants*.

Dla nas ksiądz Kulda tem bardziej musi być sympatycznym, że nauczywszy się od młodości polskiego języka i zaznajomiwszy się z naszą literaturą, pozostał aż do dzisiaj serdecznym przyjacielem Polaków. U nas dotąd jeszcze, niestety, jest on prawie nieznany, ale natomiast w Czechach, a zwłaszcza w licznym szeregu tamtejszych katolickich pisarzy i poetów, cieszy się ogólną czcią i szacunkiem, a zarazem tak synowskim przywiązaniem, że wszyscy nie nazywają go inaczej, jak *rozmilým dedouškem* (ukochanym dziadusiem).

W ostatnich czasach ten ojciec katolickiego prądu w piśmiennictwie czeskim, zużywszy wzrok wśród ciągłej naukowej i literackiej pracy, ociemniał. Niestety to, znoszone przezeń z chrześcijańską rezygnacją i spokojem, wywołało w całych Czechach serdeczne współczucie. Chcąc przeto pocieszyć swego patriarchę nadzieją, że rozpoczęte przezeń dzieło nie zaginie, że duch, jakim potrafił natchnąć znaczną część swego społeczeństwa, nie zejdzie z nim razem do grobu, czterej główniejsi przedstawiciele katolickiego kierunku w literaturze, ks. Bouška, Lutinov, Dvořák i Skalík, zaproponowali wydawnictwo księgi zbiorowej, która miała ujrzeć światło dzienne w 75 rocznicę urodzin księdza Kuldy, 50-letnią rocznicę kapłaństwa i 25-letnią rocznicę przyjęcia go na członka kapituły.

Na wezwanie do złożenia wspólnego hołdu zasłużonemu wysze-hradzkiemu kanonikowi, stawili się ochoczo prawie wszyscy pracownicy na niwie katolickiej czeskiej poezji. W zbiorowej tej księdze, noszącej tytuł: *Pod jedním praporem*, napotykamy pięćdziesiąt przeszło nazwisk czeskich poetów, z których jedni są już znani od dawna na literackiej arenie, drudzy zaś po raz pierwszy dopiero na niej występując, muszą

jeszcze walczyć z rozmaitemi trudnościami, ażeby zadowolnić artystyczne wymaganie. Stosownie do życzenia inicjatorów, zarówno szerokoskrzydłe orły, szybujące na wyżynach, jak i skowronki wierne rodzinemu gniazdu, stanęły obok siebie pod jednym sztandarem, aby zwiastować swej ojczyźnie nową erę, w której pochodnia Chrystusowej wiary rozjaśni całą świątynię poezji czeskiej. O ile jednak różnorodną jest miara ich talentów, o tyle jednakowym religijnym i podniosłym nastrojem odznaczają się wszystkie utwory, składające się na tę książkę. Na uwagę zwłaszcza zasługują te, które się zastosowują najbardziej do potrzeb chwili obecnej, poruszając palące kwestye i współczesne prądy; jak zaś na te ostatnie zapatrują się współpracownicy, zebrani „Pod jednym sztandarem“, o tem możemy wnioskować z następującego wiersza księdza Józefa Jasanowicza, pod tytułem „Nowej dobie“ (*Nové době*):

Nie z północy to nadciąga
Stado gęsi lub żorawi,
Ale płynie mgła tak ciężka,
Że aż oddech w piersi dławi.

A gdzie w locie zwiesi skrzydła,
Tam jak moru wieje technienie,
Ucho nie już słyszeć nie chce,
W ziemi smętne tkwi spojrzenie.

Na zagonach wędzną kwiaty,
Spada żółty liść ku ziemi,
I posępnie wiatr kołysze
Gałęziami drzew nagiemi.

Odlatują wnet jaskółki,
Milkną ptasząt leśnych głosy,
Obraz śmierci tkwi w przyrodzie,
W oczach lży jak krople rosy.

W cichej izbie nawpół szaro,
Czoło się ku piersi kloni —
W takiej chwili myśli chmurne
Jedna drugą ciągle goni.

Widzę twarze mi znajome,
Słyszę dźwięki swojskie uchu,
Bo je nieraz słyszeć można
Wśród ludzkiego zgielku, ruchu.

Brzmią z daleka niby burza
Co w powietrzu huczy, płąsa
I stuletnie łamie drzewa,
Lub gwałtownie ziemią wstrząsa.

Netáhnou to od severu
Přeletává stáda husi,
Ale táhnou šedé mlhy,
Těžké mlhy, dech co dusi.

A kde v letu svěsí křídla,
Jak by dech tam zavl moru,
Smutno sluchu naslouchati,
Neveselo zřítí zoru.

Na záhonech vadnou květy,
K zemi padá žluté listi,
Haluzemi holých stromů
Chladný vitr táhle svísti.

Uletují vlaštovice,
Umklají píšně ptáci,
Ve přírodě obraz smrti,
V lidském zraku stesk se zračí.

V tiché jizbě pološero,
Hlava k nádrům niž se kloni —
V také chvíli myslí těžkou
Chmurné dumy vždy se honi.

Vidím tváře povědomé,
Slyším hlasy, známé sluchu,
Nejednou je za dnů našich
Slyšet v denním lidstva ruchu.

Znějí jako z dálky bouře,
Hrozivě-li bliž se nese,
Stalété co kmeny láme
Do základů zemi třese.

Huczą wściekle niby lawa
Przed wylaniem się z wulkanu,
Dziwne głosy, czarne wieści,
Groźne nakształt huraganu.

Prośby, jęki, narzekania,
Klątwy, groźby i nadzieje,
W strofach pieśni czyż to wszystko
Wiersz mój w jedną nutę zleje?

Jam nie pieśniarz powołany,
By uchwycić w swoim śpiewie
Skargi braci uciśnionych,
Wylewane w słusznym gniewie!

Zysku biali niewolnicy,
Twardy mozoł waszych dłoni
Wymowniejszy jest od słowa,
Przed bezprawiem prawo broni!

Piersi chore, oddech ciężki,
Twarz wybladła i wzrok łzawy
Za was mówią, choć w milczeniu,
Broniąc dzielnie waszej sprawy!

Ja nie wierzę, że w serce głębi
Ludzkość znikać już zaczyna —
Choć tłumiona, ujarzmiona,
Lecz się praw swych dopomina!

Nie wierzę, że sztandar wzniesion
Przez porywy samolubne,
Będzie nadal wciąż powiewał,
Na nim „Zysk“, jak hasło zgubne.

Inny sztandar w naszej dobie
Sto tysięcy rąk obiega,
Inne hasło za dni naszych
W dal i wszereż się już rozlega!

Hasło groźne, hasło pomsty,
Które miotać się zaczyna
Tak na winnych jak niewinnych:
To porządku jest ruina.

Hasło groźne dla tych, którym
Wznosi pałac wart pogardy
Za suchego kawał chleba
Własnych braci mozoł twardy.

Hasło straszne i dla tego,
Kto pieniądze chciwie zbiera
Krwcią zdobyte swego brata,
Który z głodu już umiera.

Hluči jako v hloubi sopka
Nežli prorve kůru půdy,
Hlasy divné, sluch co děsí,
Povážlivě rostou všudy.

Prosba, nářek, hana, kletba,
Proklinani, hrozba děsná —
V písňě sloky neumělé
Zda to všechno verš můj vtešna?

Nej sem pěvec povolany
Uchvatnými ličit zpěvy
Uhnětených robů — bratři
Utrpeni, svaté hněvy!

Zisku bili otrokové,
Tvrdý mozoł vašich dlani
Slov jest věru výmluvnější,
Před bezprávím pravou zbrani!

Prsa chorá, dech váš těžký,
Ztrhaný zrak, vpadlé lice:
Za vás mluví, pro vás mluví
Beze slov, leč povi více!

Nevěřim, že vymizela,
Z řader, srdci lidskost pravá —
Potupena, ujařmena
Práv svých přec se dovolává!

Nevěřim, že mrzký prapor,
Sobeectvi co u výš vzneslo,
Nadál bude vzduchem vláti,
Na něm „Zisk“, to kleté heslo!

Jiný prapor doba naše
Statisiců dlani třímá,
Jiné heslo za dnů našich
V šíř a dalei světem hřmá!

Heslo hrozné, heslo pomsty,
Jež se v slepé vášni vrhá
Na vinníky, na nevinné,
Všeho řádu hráze trhá.

Heslo hrozné těm jichž pychu
Stavět musí palác hrdý,
Za tu bidnou skývu chleba,
Vlastních bratři mozoł tvrdý.

Heslo hrozné, děsic toho,
Při kvasu kdo pěníz hýrá,
Vydobyť krvi bratra,
Který bidou, hladem zmirá!

Hasło groźne niby orkan
Coraz bliżej huczy głucho,
Lecz posłuchaj — oto głosy
Zdolne natchnąć nas otuchą:

„Precz z przeklętym hasłem pomsty,
Wszak brat miłość winien bratu,
Miłość wszystkie gładzi spory,
Nową erę niesie światu!

„Miłość bliźnich naszym hasłem,
Która w czynach się okaże,
Rany zgoi, lzy z ocz otrze
I rozjaśni smutne twarze.

„Miłość — hasło to jedyne,
Z którym możemy być zbawieni!
Przez nią ludzkość się odrodzi,
Miłość ziemię w raj zamieni!“

Heslo hrozné, jako orkán
Z dálky huči bliž a bliže —
Leč tu, slyš, ký hlas to libý
Sluch i srdce mile víže?

„Prýč s tím kletým heslem pomsty,
Bratr bratru lásku dluží,
Láska spory všechny smíří,
Rozvaděné lidstvo sdruží!

„Láska budiž našim heslem,
Laska, jež se jeví skutkem,
Rany hojí, slzy stírá,
Jasni líč, jež vadné smutkem!

„Heslo lásky — heslo pravé,
V jiném heslu spasý neni!
Láskou lidstvo obrodí se,
Láska zemi na ráj změní!“

Szlachetna myśl, której ksiądz Jasanowicz dał wyraz w swym wierszu, przebija się także w utworach innych poetów, a zwłaszcza Medniańskiego, Dvořaka, Pavelka, Bouška, Vanka, i t. d. Świadczy to, jak głęboko i powszechnie przenikła w łono katolickiego czeskiego literackiego obozu przewodnia idea wiekopomnej encykliki Ojca świętego Leona XIII., o kwestyi socyalnej i o jedynym środku do jej rozwiązania.

Również wzniosły nastrój, tchnący Chrystusową miłością bliźniego, cechuje wiersz księdza Zygmunta Bouška *Sacerdos*, gdzie z wielkim talentem i poetyckim wdziękiem ujęty został poważny obraz kapłana, który podług słów Apostoła umie stać się wszystkim dla wszystkich. W innym wierszu tenże sam poeta maluje śliczny wizerunek Siostry Miłosierdzia, o której mówi między innemi, że idąc w skromnej szacie wśród barwnego, jaskrawego i hałaśliwego świata:

Milczy ona, bo jej dusza jakby w niebo wzięta,
Rzeczy można, że z ołtarza zesła do nas święta¹.

Utwór Chlumeckiego pod tytułem *Hoří!* („Płonie!“), skreślony biblijnym wierszem, przypomina całkowicie swą tendencją „Nieboską komedję“ Krasińskiego, innemi wprowadzie słowy, lecz w takim samym duchu wypowiadając nieśmiertelne *Galilee vicisti!* Dalej nieco Franciszek Kysely kreśli piękne legendy o św. Norbercie i pewnym świątobliwym

¹ Mlčí celá jejich duše v nebi rozepjatá,
Divný zjev, jak s oltáře by dolů sešla svatá.

zakonniku islandzkim, a Józef Šorm o narodowym czeskim patronie, św. Wacławie. Nader oryginalnym jest wiersz Pavelka „Audyencya“ (*Audience*), w którym Czesi otrzymawszy posłuchanie u Pana Boga, proszą, by im dał króla, Stwórcą zaś odpowiada, że sam jest ich królem. Wymienić także musimy śliczne sonety Leubnera: „Chrystus przed krzyżem“ (*Kristus před křížem*), „Przed obrazem świętej Cecylii“ i *Laudate Dominum*.

Zresztą gdybyśmy chcieli wyliczać wszystkie celniejsze poezye w powyższej księdze zbiorowej, to regestr ich byłby zbyt długi; każdy bowiem z kilkudziesięciu pieśniarzy, jacy wzięli udział w tym poetyckim turnieju, przesłał po kilka swych utworów. Jest to istotnie śliczny hołd dla koryfeusza katolickiego kierunku w literaturze, jakim jest ks. Kulda, i który tem bardziej musi być miły czcigodnemu jubilatowi, że został złożony przeważnie przez jego współbraci w kapłaństwie.

Książka „Pod jednym sztandarem“ stanowi pierwszy tom antologii katolickiej poezyi czeskiej, która ma wychodzić pod tytułem: *Básnické Obzory katolické*, i zawierać oryginalne lub tłumaczone utwory katolickich poetów, jak również literackie studia i oceny. Pożyteczne to wydawnictwo zaważyć może niemało na szali wpływów współczesnych, oddziaływających na społeczeństwo czeskie, i wielką mu przynieść korzyść.

T. Sopodźko.

Treppenwitz der Weltgeschichte. Von W. L. Hertslet.

Są na świecie antypatyczni ludzie — bywają i antypatyczne książki. Ten drugi rodzaj jest nawet poniekąd gorszy niż pierwszy: ludzie bowiem pomrą i zapewne na tamym świecie, zwlóklszy powłokę niedoskonałości, mniej antypatycznymi się okażą; książka natomiast potrafi nieraz przetrwać wiele pokoleń i tyluż pokoleniom jasne chwile młodości zasępić, jeżeli, co się czasem zdarza, zyska pomimo swej antypatyczności uznanie mędrców tego świata dla osobnych zalet wiedzy lub stylu. Szczęściem dzieło, które mamy przed sobą, nie przedstawia tego niebezpieczeństwa — wątpię bardzo, aby którakolwiek akademia otwarła przed niem swe wrota. Autor musiał wprawdzie napracować się niemało i niemało naszperać; pytanie nawet, czy nie pracowało dwóch autorów. Jest bowiem kilka rozdziałów (cała część środkowa), odbijających trzeźwością i spokojem od wichrowatego początku i końca; może być także, iż były napisane poprzednio, w czasach, gdzie autor nie był się jeszcze dał całkowicie ogarnąć upajającej monomanii prze-

czenia. A ma z czego być dumnym: toć książka jego szczęśliwsza od wielu prac poważnych, a nawet i wielu ładnych powieści, ukazuje się obecnie w czwartym wydaniu znacznie powiększona i opracowana — zapewne na swoją niekorzyść. Powodzenie takie jest smutnym dowodem lekkomyślności, z jaką publiczność rzuca się na każdy wykwit miłości własnej, na każdą śmiałą umysłową impertynencyę. Nie co innego bowiem jak miłość własna, jak chęć wyróżnienia się i wywyższenia nad innych, kryjąca się pod płaszczykiem miłości prawdy, jest bodźcem ducha krytyki, nicowania, prostowania, przeczenia, podkopywania całych gmachów wiedzy na mocy własnych domysłów lub jakiego przez siebie wynalezionego paszkwilu. Duch krytyki lubuje się sam w sobie, lubuje w dokonaniem wkoło siebie zniszczeniu, prawdziwie jednak wtedy dopiero radować się będzie, gdy zdepcze i zabije znienawidzonego wroga — ducha twórczości. Zaraza jest w powietrzu i chwytą dzieci nasze niemal w kolebce: nie wierzą już opowieściom niańki, co gorsza nie wierzą słowom matki, gdy podrosną kładą znak zapytania przy niejednem twierdzeniu nauki, a szczęście jeszcze gdy się na nauce powątpiewanie zatrzyma. Jeżeli zaś na stole rodziców znajdują taką książkę jak *Treppenwitz der Weltgeschichte*, to już skończyło się z częścią klasyczną studyów, z dziejami Greków i Rzymian. Oj musiałyż to autorowi niegdyś książki szkolne sadła za skórę zalać, skoro teraz przeciw nim taką prowadzi kampanię! Dla niego *die Schulbücher* są stekiem moralnych, tendencyjnych bajek niezręcznie skleconych, zao krągających i koloryzujących każdy fakt dziejowy *ad usum Delphini*.

Sam tytuł dzieła, zawierającego 471 stron nabitego druku, ma nas pouczyć, że wszystko, co w historyi od początku świata aż do dni naszych wydaje nam się pięknem, wybitnem, zabawnem, tragicznem lub obrazowem, „wszystko co jest wzruszającym, porywającym, bardzo szlachetnem albo bardzo niegodziwem, typicznem lub allegorycznem, wszystkie etymologie nazw, *alles Epochenmachendes*“, jest późniejszym wymysłem tradycyi lub dziejopisów. Historya, twierdzi on, jest bezbarwna, prawda sama przez się płaska i nudna, rozводи się nad tem co zowie *die Plumpheit der Geschichte*, aż wkońcu porywa żal nad człowiekiem, któremu zda się nigdy żywiej nie zabiło serce i który przez tak mętne, szare okulary patrzy na świat i życie. Przychodzi myśl wcale nie grzeszna, że nie historya jest *plump*, ale sposób zapa trywania się na nią niektórych ludzi.

Czy wyszła z pod tego samego pióra, co reszta — nie wiadomo, ale przyznać trzeba, że przedmowa do czwartego wydania mogłaby

służyć za wabika, jest bowiem śliczna. Czytamy w niej, że p. Hertslet tradycję kocha równie jak poezję i dopiero zaczyna z nią walczyć, gdy mu ją za historyczny pewnik podadzą. Przytacza jako przykład podanie o skowronku wyciągającym cieri z głowy ukrzyżowanego Zbawiciela i o skazanej na wieczne drżenie osice. Każdemu miłe te baśnie świetlane, a nikt im wiary nie daje... Dotąd zgoda — ale już we wstępie autor odstępkuje od tej zasady. Zrazu wprawdzie chwytą zdziwienie: zdawałoby się, że to walka Don Kiszota przeciw wiatrakom; widzimy bowiem wyszczególnienie błędów historycznych, zawartych w dramatach Szyllera i Goethego, od których przecież nikt wykształcony nie wymaga ścisłości dziejowej! — P. Hertslet tłumaczy się tem, że wiele ludzi z romansów i teatru uczy się historii: być może — ale dla tych prostować faktów nie warto, skoro ogólne tło jest im obce. Potem następuje wyliczenie długiej a swoją drogą zabawnej seryi podań ludowych, przyczepionych do różnych pomników, miejscowości i gmachów — wszystko, aby nas przekonać o grubych, nad ludzkością ciężących ciemnościach, które ma dopiero książka jego rozproszyć. Właściwa treść zaczyna się od rozdziału zatytułowanego „Wiek złoty“, *Die goldene Zeit*. Tu znów niepotrzebne wycieczki przeciw starożytnym podaniom o Hesperydach i o Atlantydzie, a obok nich apodyktyczne twierdzenie, że i raju nigdy nie było. Jako dowód mówi tylko, że gdyby raj był istniał naprawdę, toby się w nim ludzie byli zanudzili... Winszuję! Raju zatem nie było, a pierwotni mieszkańcy ziemi byli bez porównania gorsi i mniej od nas szczęśliwi; ciekawość tylko, skąd się p. Hertslet o tem dowiedział. Z raju przechodzimy do Assyrii, Medów, Persów i Egipcyan, do ich dziejów bajecznych i historycznych. Tu p. Hertslet zdaje się nam nieco zacofanym, leje wodę na dawno ugaszony pożar. Głównym tego objawem jest prowadzona tu bez uwzględnienia nowożytnych odkryć, a więc tem zaciętsza walka z Diodorem i Herodotem; ten ostatni zwłaszcza sponiewierany, porównany z Walter-Scottem, Dumasem i Luizą Mühlbach. Wprawdzie autor przyznaje mu łaskawie, że pisał w dobrej wierze, ale opowieściom jego w czambuł zaprzecza, nie odróżniając opisów i faktów od objawów pogańskiej łatwowierności i zabobonu. Nie może się jednak skarżyć stary dziejopis helleński; jednym bowiem z czynionych mu zarzutów jest, że wszędzie gdzie cywilizację Persów przeciwstawia stosunkom mniej oświeconych ludów, tam cierpi *an einer kleinen, ozon-schnsüchtigen Schwärmerei à la Tacitus und Rousseau für Naturzustände*. Wogóle Tacyt nie jest w łaskach u p. Hertslet, co się najjaskrawiej objawia w ustępie o rządach Nerona.

Autor bierze go w obronę i mówi, że wobec Filipa II. i Inkwizycyi był on barankiem. Prześladowanie chrześcijan za Nerona — wedle niego — nie jest wcale faktem dowiedzionym; wszak Tacyt pisał stronniczo, a Swetoniusz wspomina o niem bez związku z pożarem Rzymu. Autor wątpi nawet, aby znaczniejsza gmina chrześcijańska wówczas w Rzymie istniała, *denn die Apostelgeschichte ist als Autorität dafür nicht genügend*. Z innym źródłem, listem św. Pawła, pozdrawiającym w Rzymie tak wiele osób, p. Hertslet radzi sobie sposobem *à la Renan*, mówiąc, że cały koniec epistoły jest podrobiony... Nie powinno to dziwić czytelnika: toż niema łatwiejszej metody, gdy chodzi o usunięcie z drogi niedogodnego dokumentu. Męczennicy zresztą nie są wogóle lubiani przez p. Hertsleta, wzbudzają w nim sceptyczny uśmiech, a nawet... zgorszenie! — Zaprzeczając (książka nie zawiera nic prócz zaprzeczeń) tragiczne okoliczności śmierci Lukiana ze Samosaty, rozdartego, według Suidasa, przez wściekle psy za natrząsanie się z chrystyanizmu, szanowny autor uważa, iż jeżeli Lukian się natrząsał, to miał ku temu słuszne powody: *Persönlichkeiten, die sich bei solchen mächtigen Bewegungen in den Vordergrund drängen, berühren selten in angenehmer Weise. Jener Märtyrerenthusiasmus der Christen war ihm unverständlich; er sah dabei und vielleicht nicht mit Unrecht, Eitelkeit und Haschen nach augenblicklichem Beifall durchblicken*¹.

Z dziejów Rzeczypospolitej Rzymskiej mało co z pod pióra p. Hertsleta wychodzi cało: Rzym nigdy nie stał na siedmiu pagórkach, Romulus nie gromadził wkoło siebie luźnych wojaków i włóczgów, Rzymianie nie porwali Sabineek, Servius nie urodził się z niewolnicy, Tullia nie podeptała trupa ojca, Lukrecya się nie przebiła, Scewola nie wkładał ręki do ognia, Klelia nie skoczyła konno do Tybru, Regulusowi nie złego nie zrobiono w Kartaginie, Hannibal nie przysięgał zemsty Rzymowi, Koriolanus nie wzruszył się prośbami matki, Cincinnatus nie wracał z Kapitolu do pług, Wirginius nie zabił córki, Kato nie domagał się zburzenia Kartaginy, ród Fabiuszów nie poległ krom jednego na polu walki i t. d. i t. d. Liwiusz sfałszował dzieje wzrostu Rzeczypospolitej, Tacyt przez nienawiść stronniczą ska-

¹ Wogóle w rzeczach dotyczących się chrześcijaństwa p. Hertslet nie jest szczęśliwym: toż próbuje w nas wmówić, że Chrystus Pan poniekąd uprawnili wielożeństwo przypowieścią, w której jeden oblubieniec wszystkie 5 mądrych panien naraz poślubia! Jeżeli w ten sposób rozumie teksty, nie dziw, że tyle faktów zaprzecza. Inne ustępy rażące pomijamy, gdyż wloclocznie wypływają nie ze złej woli, ale z nieświadomości.

rykaturował pierwszych cesarzy; historia walk żydowskich i zburzenia Jerozolimy Flawiusza Józefa jest *unverschämt und zum Theil sehr drollig*.

Do jakiego stopnia niesmaczną jest ta litania zaprzeczeń, wypowiedzieć trudno. Trudno też pojąć, w jakim celu autor męczy się i poci, wywijając piórem jak cepem przeciw nieuchwytnym postaciom dziejów starożytnych; jakim sposobem, jakim dokumentem dowiedzie nam, że nie istniały, lub że działały inaczej niż opowiadają greccy i łacińscy pisarze? — Pominęliśmy rozdział o historii i literaturze helleńskiej, wycieczki przeciw Arystotelesowi, Pauzanaszowi, Plutarchowi i innym, aby nie nużyć zbyt wielu czytelników — tu bowiem zarówno jak po Rzymie, Assyrii, Egipcie i t. d. harcuje duch przeczenia uosobiony w naszym autorze, traktując zupełnie na równi poetyczne baśnie i wypadki dziejowe. Niejedno sprostowanie jest słusznem, ale niepotrzebnem, bo dziś każdy już wie, że przeciwna wersja jest fikcją; inne, oparte jedynie na głołosłownem twierdzeniu własnem lub jakiegoś innego autora, wydają się po prostu impertynencją. Ma się wrażenie, że gdyby p. Hertslet zabrał się w ten sam sposób do „oczyszczenia“ historii polskiej, dyskutowałby z równą powagą o istnieniu Krakusa i smoka, o zwycięstwie pod Grunwaldem i anegdotkach uczepionych około pamięci Radziwiłła „Panie Kochanku“. Ale p. Hertslet rzadko tylko i to mimochodem dziejów naszych dotyka, a czyni to w części rozsądnej, prawdziwie interesującej swojego dzieła, to jest w rozdziałach, prostujących błędne podania przymieszane do historii Niemiec, Francyi, Anglii i innych krajów.

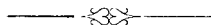
Część ta powinna być zupełnie być oddzieloną od pierwszej. Tu i ton inny i twierdzenia mniej samowolne, czy zawsze słuszne — trudno osądzić bez szperania w poszczególnych dziejach niemieckich państw. Bardzo dobry jest dość długi ustęp o przeprosinach cesarskich w Canossie, przedstawiający cały fakt w świetle właściwem bez przymieszki kolorytów stronnicych; ciekawem słuszne zaprzeczenie nieznanego u nas podania, jakoby Otto III. Chrobremu darował złoty tron Karola Wielkiego, z rzekomego grobu tego cesarza wyjęty. Ciekawe też sprostowanie opowiadania o jakimś Jaczo, prawym następcy ostatniego króla Wendów. Ów Jaczo zamieszkiwał pono w Polsce, gdzie miał poważanie wielkie, i gdy Albrecht Niedźwiedź po śmierci króla Wendów ziemię jego zagarnął, on (Jaczo) z polskiem wojskiem przeciw niemu wyruszył. Hertslet prostuje tylko to, że Jaczo nie był *dux Poloniae*, jak go niektórzy mianują, ale mówi o nim zupełnie poważnie, przytaczając ustępy paru źródeł. Miałoby to być jaki Jaxa

herbu Gryf, spokrewniony z Pomorskim dawnym rodem książęcym? Nam wiadomo jest, że Mieszko Stary zawiązał z Albrechtem Niedźwiedziem rodzinne stosunki i żył z nim w dobrej przyjaźni... Dalej autor protestuje między innymi przeciw oszczerstwom miotanym na generała Tilly przy zdobyciu Magdeburga; sami mieszkańcy, twierdzi słusznie, miasto swoje zniszczyli, a Tilly nie tylko nie nakazywał okrucieństw, ale nie mógł powstrzymać łez na widok tyłu ofiar i nędzy. Przeciwnicy okrzyknęli go potworem srogości, czemu Gustaw Adolf dla politycznych powodów nie przeczył. Przy tej sposobności stacza p. Hertslet walkę o Gustawa Adolfa. Do tej chwili, mówi, Niemcy protestanci żywią dlań cześć i wdzięczność jako dla obrońcy swego i zbawcy, dotąd panuje poetyczna *Schwärmerei* dla króla szwedzkiego, pomimo iż ten w wojnie Trzydziestoletniej miał tylko swój osobisty interes na oku... Przy Fryderyku autor zatrzymuje się długo; tu bowiem trafia na cały rój anegdot, których pozostawić nietkniętych nie może; niektóre z nich są może prawdziwe, ale urozmaicają dzieje tych czasów, stanowią jakoby świetlane punkciki na szarem tle, ulubionem przez p. Hertsleta: więc je czem prędzej zgasić wypada. W historii Maryi Teresy dowiadujemy się, że sławna scena jej wystąpienia w Presburgu z synkiem na ręce i niemniej sławny okrzyk magnatów: *Moriamur pro rege nostro Maria Theresia* — jest wymysłem, a raczej skryształizowaniem dłuższej historycznej akcji, że również zmyślonemi są łzy wylane przez cesarzową przy podpisie rozbioru Polski, zmyślonym też pod tym podpisem dodatek: *placet weil so viele und grosse Männer es wollen; wenn ich aber längst todt bin, wird man erfahren, was daraus herausgehen wird*. Wolelibyśmy i my nie wierzyć w łzy Maryi Teresy — świadomość bowiem może tylko istotę grzechu powiększyć. Nie zagłębimy się wraz z autorem w prostowanie dziejów jego pruskiej ojczyzny; co do Krzyżaków, wymienia tylko jedno znaczniejsze ich zwycięstwo nad Olgierdem, poprawiając w niem jakiś szczegół; o hołdzie, tylekroć powtarzanym, milczy, tak jak wogóle milczy o czasach Reformacji; można mu być wdzięcznym, iż tu nie chce sprzeciwiać się prawdzie...

Rozdziały o Francji i Anglii traktowane może nieco pobieżnie; we Francji zatrzymuje się zwłaszcza nad legendą Napoleońską bez zółci i bez nienawiści; poprzednio broni Karola IX. przed osobistym udziałem w rzezi nocy św. Bartłomieja. Co do Anglików robi sprytną uwagę, iż choć mają zawsze wyraz prawda na ustach i oficjalnie kłamstwem się brzydzą, przecież w dziejach ich równie wiele można

znaleść historycznego humbugu, jak i u innych narodów. Inna uwaga, umieszczona na wstępie książki, jest jeszcze lepsza. Powiada, że na-próżno dla względów moralnych niektórzy starają się wpoić w dzieci, że te narody zwyciężają, które mają słuszość za sobą, gdy natomiast widzimy z historyi, iż przewagę odnoszą zazwyczaj narody nudne, *die langweiligen Völker*, jak np. Spartanie i Rzymianie — byłby mógł śmiało dodać: Prusacy. W ostatnim rozdziale, poświęconym różnym nacyom, dostaje się i nam parę sprostowań bardzo słusznych, np. że Kościuszko nie zawołał *Finis Poloniae* pod Maciejowicami, a książę Józef nie wygłosił pompacyjnego frazesu, skacząc w fale Elstery. Jest też zaprzeczenie brzydkiego zdania przypisywanego Matejce *à propos* obrazu przedstawiającego Sejm Grodzieński. Czy wszystkie zaprzeczenia są równie prawdziwe, trudno — powtarzamy — orzec bez skontrolowania każdego z osobna; dość, że samo ich mnóstwo jest nad wyraz nużącym. Apoteozą negacyi jest rozdział ostatni — zakończenie. Bierzcie ochota zapytać autora, jakim prawem — skoro sam o wszystkim wątpi — żąda od czytelników takiej ufnosci i wiary, iż sądzi, że jako dowód winien im wystarczyć jeden wyraz: *unhistorisch* albo *theatralisch*; dlaczego mamy wierzyć, iż wszystkie zdania przypisywane wielkim ludziom, wszystkie wyrazy wypowiedziane przez wodzów wśród walki lub przez umierających muszą być wymyślane? Czyż wielcy ludzie byli wszyscy niemowami i nie mogli wypowiedzieć ani myśli wzniosłej ani wesołego dowcipu, ani dać wyrazu boleści, współczuciu lub dumie? Dlaczego mają wszystkie szczegóły, dotyczące dziecinnych lat późniejszych geniuszów, być wierutnemi bajkami? Że wyobraźnia w takich razach wiele dodaje, żadnej nie ulega wątpliwości, ale między wiele a wszystko zachodzi ta sama różnica, co między prawdą a przesadą. Szujski mówił kiedyś, że „naciągnięta prawda jest gorszym fałszem od kłamstwa“; szkoda, iż tego p. Hertsletowi przed napisaniem książki nikt nie powtórzył. Wprawdzie byłby zaprzeczył, iż to Szujski powiedział (bo przecież z zasady wszystkie powiedzenia są nieprawdą), byłby jednak może dobrą radę zachował w pamięci i ochronił swe dzieło od obecnego zarzutu przesady. Co do ogólnego jego charakteru i ogólnego jego celu zaprzeczania — możemy tylko przypomnieć, iż w „Fauście“ szatan, zapytany co jest zacz, odpowiada: *Ich bin die Kraft, die stets verneint!*

T. W.



SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Interpelacye rzymskie. — Odpowiedź Crispiego. — Wybory w Stupawie. — Katolicki klub ludowy. — Di Pauli, Lueger, Badeni. — Kardynał Sembratowicz.

INTERPELACYE
RZYMSKIE.

Crispi gniewa się znów na Watykan, na papieża, na Kościół katolicki. Gniewał się dawniej; później widząc, że gniewy do celu nie prowadzą, próbował na chwilę zabawić się w mniej lub bardziej zręczne pochlebstwa; obecnie zirytowany, że słodkie uśmiechy nie wywierają większego wrażenia od jowiszowych gromów, powraca od paru miesięcy do pierwszej metody. W czynach właściwie nigdy od niej nie odstąpił; wniesione w parlamencie przez kilku posłów interpelacye, dały mu nową, pożądaną sposobność pogodzenia praktyki z teorią.

Interpelacye były bardzo ciekawe, a w gruncie rzeczy niezmiernie chlubne dla papiestwa i Kościoła. Radykał Canzi zapytał rząd, jak się zapatruje na ostatnie pismo, w którym papież raz jeszcze zakazuje włoskim katolikom brać udział w politycznych wyborach; w jaki sposób, wskutek i po tym liście ukształtują się stosunki między Kościołem a rządem włoskim? „Dopóki — mówił interpelant — papiestwo mieć będzie we Włoszech siedzibę, dopóty jedności i niezależności włoskiej grożą poważne niebezpieczeństwa. Papiestwo zgodzić się na to nigdy nie może, aby

katolicyzm utracić miał swój wszechświatowy charakter, i dlatego czuje, że żyć nie może w obcym państwie, któreby mu nadawało pewne narodowe piętno. Papiestwo potrzebuje niezbędnie świeckiego panowania; potrzebuje niepodzielnej władzy nad pewnem terytoryum, wielkiem lub małym, ale w cudzym domu żyć nie może. Podczas gdy Włochy nie mogły, a podobno i po dziś dzień zdobyć sobie nie mogą u innych państw tego szacunku, na jaki bądź co bądź zasługują; to tymczasem Watykan odbiera od wszystkich ludów dowody najgłębszej czci. A przecież Watykan leży we Włoszech, włoskie żywioły w Watykanie przeważają, papież jest niemal zawsze Włochem... Dlaczego więc tak się dzieje? Bo papież i Włochy stoją ze sobą na stopie wojennej. Gdyby walka uciszyła się, gdyby dobre stosunki zapanowały na stałe między Włochami a papiestwem, to musiałoby papiestwo stać się włoskiem, a tem samem znowu, wiele ludów powodując się uczuciem wrodzonej dumy, nie oddawałoby pokornych pokłonów władzy, noszącej na sobie narodowościowe piętno... Papieże to rozumieją i stąd płynie *Non possumus* Piusa IX., stąd papieskie *Non expedit*, wzbraniające Włochom wypełniać najwyższe swe polityczne obowiązki. Ale papież na tem się nie ogranicza. Ostatnie zajście z wizytą króla portugalskiego okazuje, jakie coraz nowe trudności Watykan stawia Włochom na drodze i jak się stara odosobnić je od innych narodów. Dopóki papiestwo mieć będzie swą siedzibę we Włoszech, dopóty ten damoklesowy miecz będzie nad nami wisiał... Niechże prezes ministrów jasno nam wyłoży, w jaki sposób tym groźnym wciąż niebezpieczeństwom zamyśla zaradzić“.

Na trochę inną nutę, wyższą, bardziej rozdrażnioną brzmiała interpelacya posłów: Barzilaiego i Mazzy. Ostatecznie praktyczny, choć wyraźnie niedomówiony wniosek wszystkich tych ultraradykalnych interpelacyj streścić się daje w słowach: „Bądźcie raz konsekwentni i wyrzucicie papieża z Rzymu“. „Na nieby się nie przydało — stwierdzał Mazza — taić przed samymi sobą tryumfy odniesione przez klerykalną organizację. Porachujecie tylko zwycięstwa odniesione przez klerykałów: wyborecze zwycięstwa w prowincjach i gminach, rosnącą liczbę uczni w szkołach katolickich,

katolickie banki ludowe, odżycie zakonów, mnożących się na wszystkie strony... A jakież zapory kładzie rząd tej zwycięskiej reakcji? Rządowa polityka kościelna, to zbiorowisko drobnych złośliwości i niesmacznych umizgów; to ciągle wahanie się pomiędzy boginią rozumu a Ojcem Przedwiecznym. Sam Crispi mówić nam śmie publicznie o wzroście duchownej potęgi papieża! — „Tak jest! — dorzucał Barzilai — nie wiedzieć, jak uniewinnić ciągle sprzeczności w stosunku do Kościoła, któremi Crispi nas częstuje! Jedna jest prosta droga, która na razie może nas doprowadzić do celu: zniesienie praw gwarancyjnych, ustanowienie prawa o odwołalności biskupiego *exequatur*. Rząd znosić nie może żadnego urzędnika, choćby on się biskupem nazywał, jeżeli poddać się nie chce jego rozkazom“.

ODPOWIEDŹ
CRISPIEGO. Włoski prezes ministrów nie odpowiedział wprost na zapytanie Canziego; odpowiedź, której udzielił dwom następnym interpelantom, mogła zresztą i dla Canziego wystarczyć i dobitnie go przekonać, że jeśli dawny Garibaldeczyk uznał za konieczne pominąć dyplomatycznem milczeniem jego wywody, to w głębi duszy zgadza się najzupełniej na ostateczny ich wynik.

Niepodobna nam teraz — tłumaczył się Crispi — zmieniać praw gwarancyjnych, bo wywołałoby to niepokoje we Włoszech, a pewne wątpliwości o celach polityki włoskiej za granicą. Watykan udaje, że nie uznaje ustaw gwarancyjnych, ale nie waha się niemi posługiwać, gdy chodzi o jego korzyść... Kurya watykańska jest w tej chwili bardzo potężną, dzięki wolności, której jej używamy, dzięki własnej swej organizacyi i ruchowi na jej korzyść, dającemu się uczuć niemal w całym świecie. Ruchu tego, tego katolickiego obudzenia się lekceważyć nie wolno; zagraża ono całemu dzisiejszemu postępowi. Czoło stawić mu może wyłącznie mądre prawodawstwo i zgodne współdziałanie wszystkich godzących się na liberalne zasady. Co się tyczy możliwości odwoływania udzielonego jakiemuś biskupowi *exequatur*, na to nawet nowego prawa nie potrzeba; i dziś rząd ma wolne ręce w tym kierunku. W ostatnich ustępach swej przemowy unie-

winniał się Crispi ze sławnej swej przemowy, w której, na nie-małe zgorszenie wiernych sojuszników, wspomniął o Bogu. „Cze-muż dziwiecie się, że w Boga wierzę?! Wszak Dante, Mazzini i Garibaldi również wierzyli w Boga!“... Prawdziwie oryginalne, dające do śmiechu, ale i do myślenia zestawienie!...

WYBORY
W STUPAWIE.

Równie wiara, jak postępowanie Crispiego jest wiernem naśladownictwem uwielbianych mistrzów: Mazziniego, Garibaldiego; węgierscy ministrowie i posłowie uważają sobie za punkt honoru zadziwić rewolucyjną bezwzględnością najbar-dziej rewolucyjnych, ale jeszcze jakkolwiek europejskich, z pe-wnemi względami przyzwoitości liczących się kolegów. Po esa-kathurskich skandalach, wybory w Nitrze; po nitrzańskich, które zdawały się ostatniem słowem bezprawia, świeżo przeprowadzone, a mówiąc właściwiej, wywalczone i wymęczone wybory w Stu-pawie (Stampfen). Kandydat partii „ludowej“, zastawiającej się o zgwałcone interesa Kościoła, przepadł, jak przepadł w Nitrze; kandydat rządowy, Latkóczy, wyszedł z urny. Ale w jaki sposób wyszedł; jaką bronią walczono przeciw jego przeciwnikowi? Opozycyjne stronnictwa parlamentarne obiecały cały obraz tych wyborów odsłonić dopiero po wakacyach Bożego Narodzenia; teraz mówcy kilka tylko szczegółów, jakby od niechcienia rzu-cili, ale i te chyba wystarczą dla scharakteryzowania toczącej się walki między „liberalnym“ rządem, a „reakcyjnym“ chrze-ścijańskim ludem.

Hollo (członek skrajnej lewicy): „Nie stoję wcale na sta-nowisku „partyi ludowej“; z zasadami jej się nie zgadzam, lecz to nie przeszkadza, abym z najwyższem oburzeniem nie miał potępić środków, któremi rząd z nią walczy. W Stupawie do-puszczono się przeciw wyborcom z partyi ludowej brutalności bez nazwy; w imię praw człowieka, w imię ludzkości podniesio-nym być musi protest przeciw tego rodzaju wandalizmowi. Woj-sko otoczyło przeszło tysiąc wyborców i trzymało ich cały dzień pod gołym niebem, wśród ulewnego deszczu, bez kawałka chleba... Następnie przeciągnięto umyślnie głosowanie, aby nietylko głód i deszcz, ale i nocne ciemności wyborców męczyły. (Wielki ha-

łas na całej lewicy. Z. Ugron: „Tak sobie postępują złoczyńcy“). Dopiero po 36-godzinnych cierpieniach przypuszczono ich do głosowania. W czasie letnim możnaby może jeszcze umieścić wyborców pod gołem niebem. (Wesołość na prawicy. Hałas na całej lewicy. Z. Ugron: „Nie wypada z takich rzeczy się śmiać. Czegoś takiego ścierpieć nie można!“). To są obrzydliwości, których nie wolno zostawić bez skarcenia. (Okrzyki: *Eljen Banffy!* — *Kat!*). Zwracają się one przeciw konstytucyi i przeciw interesom samegoż państwa węgierskiego. Bez porównania lepszym jest już prosty, jasny absolutyzm. Lepiej w takim razie posłów nie wybierać, lecz mianować... I czy to rozumnie, dziś gdy należące do Węgier inne narodowości prowadzą walkę na całej linii przeciw państwu węgierskiemu, przedstawiać w tem świetle węgierską ideę państwową?... Spodziewamy się, że rząd zapobieży smutnym tym nadużyciom; jeślibyśmy się w tej nadziei mieli omylić, natenczas wiedzieć będziemy, jak postępować sobie w walce z gwałtem“.

Geza Makfalvay (ze stronnictwa dyssedentów). Rząd skorzystać pragnie z każdej sposobności, w której mógłby zwiększyć swą sławę herostrackimi czynami bohaterskimi. W Stupawie powtórzyły się nitrzańskie zbrodnie. Choćby dziennikarskie wiadomości były tylko do połowy prawdziwe, to i tak stupawskie okropności przejąłby nas musiały zgrozą. Ze stupawskimi wyborcami postąpiono sobie gorzej, niż zazwyczaj postępuje się z bydłem. (Z. Ugron: „To liberalna inkwizycya przeciw katolikom“). Bo któżby zostawił i bydło pod gołem niebem przez 38 godzin? (Oskar Ivanka: „Przewodniczący przy wyborach jest krewnym ministra“). Zapewne, potraficie przeszkodzić, aby żaden ze stronników partyi ludowej, ani jeden członek niezależnej opozycyi nie dostał się do parlamentu; ale pamiętajcie, że jednocześnie rzucacie cały lud w objęcia panslawizmowi.

Tomasz Pechy (ze stronnictwa narodowego). Zdawałoby się, jakby rząd chciał dowieść, że tysiącletnie nasze prawa istnieją tylko na papierze. Setkom i setkom obywateli zabiera rząd gwałtem, jak rabuś, przysługujące im wedle konstytucyi prawa. Prawda, dziś mówi, że ta taktyka jest wyłącznie przeciw partyi lu-

dowej wymierzona, ale *l'appétit vient en mangeant*. Rząd powinienby sobie uważać za obowiązek gruntownie wyświecić tę sprawę.

Ludwik Olay, zapalony zwolennik Kossutha, zwrócił się w swej przemowie wprost do węgierskiego monarchy, żądając, aby rozpuścił rząd, który wszelkie prawa depcze. Również do króla odwołuje się baron Kaas w dłuższym, sensacyjnym artykule, ogłoszonym w *Nemzeti Ujsag*: „Mój królu, ojcze ludu, czy wiesz, co robią z twymi synami ci, którzy twym krajem rządzą? ... Dla dokładnego poinformowania monarchy, wybiera się do Wiednia — jak donoszą słowackie pisma — olbrzymia, z tysiąca członków złożona deputacya, na której czele stanąć mają dwaj katolicycy magnaci. Istotnie, najwyższy czas zatamować źródło strasznego, wciąż rosnącego rozgoryczenia, które łatwo i szybko doprowadzić może do najfatalniejszych wyników. Jakie panuje rozgoryczenie, jakie uczucia dla rządu, tego domyśleć się można choćby z następnych paru zdań, wydrukowanych w głównym organie słowackim *Národné Noviny*:

„Stupawskie wybory niejednego nas nauczyły. Pokazały, że u nas strasznie źle, że rozkłada się polityczne ciało, jak rozkłada się trup na upale słonecznym. Gdzie coś podobnego zdarzyć się może; ba! gdzie nietylko może się zdarzyć, ale gdzie nitrzańsko-stupawskie okropności stają się zwyczajnem zjawiskiem, tam o długiem życiu ani mowy być nie może. To jest polityczne konanie, początek końca“.

KATOLICKI KLUB
LUDOWY. Wzburzone fale niechęci, gniewów, kłótni parlamentarnych, dziennikarskich, ulicznych, z powodu niezatwierdzenia Luegera na urząd prezydenta wiedeńskiej rady miejskiej, ułożyły się już do względnego spoczynku. Rząd nie runął Wiedeń zmęczony i trochę już znudzony zbyt licznymi demonstracyami, przygotowuje się do karnawału; obrady parlamentarne toczą się spokojniej, dzięki mniejszej i mniej gorąco usposobionej liczbie widzów na galerii. Pozytywnym rezultatem całej tej hecy, rozdmuchanej głównie przez dziennikarstwo do rozmiarów podzwrotnikowej burzy, jest nowo założony parlamentarny klub „katolickiego stronnictwa ludowego“. Klub taki, mający zastąpić

w Wiedniu, przynajmniej do pewnego stopnia, berlińskie Centrum, od dawna był marzeniem wielu katolików austriackich; wszystkich, którzy żalili się, że sędziwy hr. Hohenwart za wiele i za często bawi się w dyplomatę i niedość energicznie broni interesów ludowych i katolickich. Do nowego klubu weszło całe prawie skrzydło klubu Hohenwarta, a na jego czele stanął br. Di Pauli, dawny również i znany przywódca prawego hohenwartowskiego skrzydła. Program nowego stronnictwa przedłożył br. Di Pauli w parlamencie w dłuższej przemowie; w fundamentalnych zarysach jest on żywym odbiciem postulatów poruszonych w głośnym, zasadniczym artykule O. Alberta M. Weissa, o którym na tem miejscu przed dwoma miesiącami wspominaliśmy.

Czy było w tej właśnie chwili rzeczą wskazaną, politycznie roztropną urządzać secesję z konserwatywnego klubu i odsłaniać przed światem rozterki, które od dłuższego czasu miały w nim miejsce; czy nowy klub potrafi sobie wyrobić stanowisko wpływowe; czy z natury austriackich stosunków nie będzie on zawsze klubem raczej niemiecko- niż austriacko-katolickim; czy w stosunkach z austriackimi Słowianami, z antysemitycznym obozem potrafi zachować i sprawiedliwość i równowagę, jakiej od partii „katolicko-ludowej“ słusznie domagać się można i należy? Pytania ważne, a do rozstrzygnięcia trudne, których dziś, z góry bezstronnie i sprawiedliwie rozstrzygnąć niepodobna. Dziś o nowej partii i jej programie wiemy naprawdę tyle, ile nam o niej przywódca jej powiedział. Piękny to bez wątpienia, w najgłówniejszych swych zarysach bardzo nęcący program; jak będzie w Austrii — w kraju, którego nigdy łokciem innych krajów mierzyć nie można — w praktyce wyglądał, przyszłość dopiero okaże.

„Luegerowska historia — zaręczał i tłumaczył mówca — nie była wcale właściwą przyczyną naszego wystąpienia z klubu Hohenwarta; to była ostatnia kropla, po której woda przelewać się zaczęła z dawno przepełnionego kubka. Niejednokrotnie nie mogliśmy się zgodzić z rządowymi przedłożeniami; nie mogąc inaczej protestować, opuszczaliśmy salę w czasie głosowania, jak dobrze to obecnym wiadomo. I dziś, choć tworzymy samoistny

klub, pójdziemy zawsze z radością razem z dawnymi klubowymi towarzyszami. Co za słuszne uważamy, tego będziemy bronić, nie dając się niezem i przez nikogo, ani przez rząd, ani przez publiczną opinię, sprowadzić bądź na prawo, bądź na lewo... Radykalizmu pobić nie można drugim radykalizmem... Ale i konserwatyzm nie powinien zamrzeć nakształt tych buddaistycznych kapłanów, którzy tak długo wpatrywać się muszą w czerwone, niebieskie i żółte koła, aż wreszcie równie z otwartymi jak z zamkniętymi oczami nie widzą prócz tych kół. Konserwatyzm wiedzieć powinien o wszystkim, co się dzieje; mieć oczy otwarte na wszystkie nowe zjawiska... Wyszliśmy z ludu, żyjemy wśród ludu i dlatego uważamy sobie za obowiązek walczyć z otwartą przyłbicą o to, czego lud się domaga; przykładąć ręki do socyalnych reform, obejmujących i wieś i miasto... Interes państwa domaga się niezbędnie istnienia katolickiego stronnictwa, walczącego o reformę socyalną przeciw kapitalizmowi, i w tej mierze schodzimy się z ruchem chrześcijańsko-socyalnym... Niejedno mamy mu do zawdzięczenia; mówię to bez ogródek; mam odwagę, to co jest do pochwalenia, otwarcie chwalić. Jednocześnie wszakże równie otwarcie ganię, co jest do zganienia; nie niema doskonałego na tej ziemi, a choć mogę wyrozumieć pewne wybryki dzisiejszego ruchu, nigdy ich nie usprawiedliwię. Wyznaję też otwarcie, że nie zawsze zgodzić się możemy z taktyką tego stronnictwa; dobra sprawa zyskać nie może na dwuznacznych środkach. W tej mierze mamy własne nasze tradycye, od których nie myślimy odstępować. Z zasady nie bawimy się w obstrukcye, burzliwe sceny...

„Zowiemy się ze słuszną dumą partją katolicką; ale dlatego, czy pomimo tego, nie przychodzi nam na myśl uważać się za lepszych katolików od tych członków parlamentu, którzy ze względów narodowościowych, lub jakichkolwiek bądź innych wpisali się w szeregi innych stronnictw... Już sama nazwa partji katolickiej wskazuje, że narodowościowemu szowinizmowi nie będziemy hołdować; w katolickim obozie jest miejsce dla wszystkich narodów... Zdaniem naszym, lepszą oddamy usługę naszemu narodowi, starając się o rozwiązanie naciskających ekonomicz-

nych kwestyj, o reformę społeczną, niż wzywając do narodowościowych bojów, które w Austrii mogłyby się stać i dla nas Niemców bardzo niebezpiecznymi. Stronnictwo nasze powinno i pragnie być, w najściślejszym tego słowa znaczeniu, stronnictwem ludowem. Nie jesteśmy zwolennikami nauki o wszechmocy państwa...; nie jesteśmy też zwolennikami nauki o wszechmocy ludu... Środkiem rozumnym, chrześcijańskim środkiem idziemy... Mamy za sobą lud i dlatego nie mamy żadnego powodu obawiać się ludu, dlatego musimy, może prędzej, może później, na całej linii zwyciężyć...“

DI PAULI,
LUEGER, BADENI. Mowa Di Paulego, jasna, spokojna, programowa, wyróżnia się niezmiernie korzystnie od potopu zarzutów, nawalnego deszczu niegrzeczności, w których niedoszły prezydent wiedeński i kilku raczej socyalistycznych, niż chrześcijańskich jego adoratorów, umyśliło sobie zatopić dzisiejsze ministerium. Można być usposobionym bardzo niechętnie dla tego ministerium, można się nań gniewać i srożyć z najrozmaitszych pobudek; ale sądząc przedmiotowo, sądząc z ściśle katolickiego punktu widzenia, niepodobna nie przyznać, że np. budżetowa mowa prezesa ministrów, którą *Vaterland* nazwał najbardziej katolicką ze wszystkich przemówień, jakie wygłosił kiedykolwiek i jakkolwiek prezes ministerium austriackiego, była przynajmniej tysiąc razy bardziej katolicką, niż dajmy na to areynie-taktowna mowa ks. Webera, lub ciskające błotem na Polaków, powtarzające się przy każdej sposobności wycieczki zirytowanego Luegera. Czemu Lueger na Polaków się dąsa i wszystkich w czambuł potępia? Bo go polski minister nie przedłożył cesarzowi do potwierdzenia na burmistrzowski urząd. Co za związek, co za podobieństwo ma ukrzyżowanie P. Jezusa z odmówieniem Luegerowi cesarskiej aprobaty; jak katolicki ksiądz może się tak dalece zapomnieć i w zapale stronnicej walki rzucić tłumowi niemal na pośmiewisko, wszystko co chrześcijańskiemu sercu najdroższe, najświętsze? Mimowoli, odpowiedzi w myśli szukając, nasuwa się tu na pamięć nazwisko polskiego księdza-agitatora, który podobnym przez długie lata orężem walczył; podo-

bnym orężem i obecnie walczy, ale już nie na katolickich, jak w pierwszych latach, nie na chrześcijańskich, jak później, nie na chrześcijańsko-socyalnych, jak w latach ostatnich, ale na socyalistyczno-demokratycznych zgromadzeniach.

KARDYNAŁ
SEMBRATOWICZ. Odznaczenie ruskiego metropolity, ks. Sylwestra Sembratowicza kardynalską purpurą, wzbudziło najżywszą radość, a zarazem wdzięczność dla Rzymu w całej Galicyi, między wszystkimi Polakami, między wszystkimi Rusinami katolikami. Uroczyste, serdeczne powitanie nowego kardynała we Lwowie najlepszym było dowodem, jak wszyscy dobrze myślący Rusini i Polacy umieją sobie ten zaszczyt cenić i jak się nań zapatrują, jak dobrze rozumieją powody, dla których właśnie dzisiejszy ruski metropolita powołany został do najwyższej rady papieskiej. Powody te streścił papieski delegat mgr. Paweł Marya Baumgarten w jędrnej łacińskiej przemowie, wystosowanej do cesarza przed uroczystem włożeniem kardynalskiego biretu na głowę nowego dostojnika.

„Każdemu, kto się zastanowi nad papieskimi planami i zamiarami, nietrudno zrozumieć, jakie ma znaczenie udzielona Rusinowi kardynalska purpura. Wiadomo dobrze, z jaką miłością Papież wzywa do świętej unii wszystkich od Kościoła odłączonych; wiadomo, że w szczególności zwrócił się w osobnem piśmie do wschodnich ludów i wyraźnie przyobiecał im nieskażone zachowanie wszystkich obrządków i zwyczajów, które mają za sobą powagę Świętych i starożytną tradycję. Jednocześnie przyjęciem metropolity Kościoła ruskiego do grona kardynałów świętego rzymskiego Kościoła stwierdza, że wszystkie pochodzące od Apostołów, tudzież ich uczniów, obrządki, są równouprawnione i doznają sumiennej opieki następców św. Piotra. Jego Eminencya Sylwester Sembratowicz trzecim jest z rzędu kardynałem, powołanym z pośród członków ruskiego Kościoła. Poprzednikami jego byli słynny Izydor, który wslawił się w wieku XV. i położył niezmierne zasługi koło sprawy chrześcijaństwa, tudzież kardynał Michał Lewicki, arcybiskup lwowski... Wszakże nadto i inne powody, leżące w samejże osobie nowego dostojnika, skło-

niły Papieża do nadania mu godności kardynalskiej; mianowicie wybitne jego enoty: pobożność, nauka, pasterska gorliwość i inne przymioty serca i umysłu, które zjednały mu powszechną cześć, tak, że nominacya jego znalazła poklask u wszystkich“.

Ks. Jan Budeni.

Łacińsko-polska propaganda wedle pism rosyjskich.

Zabronione książki religijne litewskie i żmudzkie. — Wydawnictwa rządowe książek litewskich cyrylicą. — Zakaz drukowania książek w języku litewskim łacińskimi głoskami. — Stowarzyszenia religijne i zakazane książki polskie do nabożeństwa. — Bractwo Tercyarek. — Kalendarze wileńskie. — Kontrabanda z zagranicy: zakazane dzienniki i ilustracye.

Utyskiwania ze strony rusyfikatorów na Litwie, czyli w tak zwanych „zachodnich guberniach cesarstwa“, na „łacińsko-polską propagandę“ od dawna już w większej części organów prasy rosyjskiej są na porządku dziennym. „Propaganda łacińsko-polska“ to *refrain*, powtarzany chórem przez cały szereg rosyjskich publicystów i pisarzy z Władimirowem, Meszczerskim i Fudelem na czele. Ciekawą więc jest rzeczą, na czem w oczach tych panów polega ta rzekoma propaganda, do czego dąży i jakich używa narzędzi dla dopięcia swego celu. Niestety, wszyscy niemal rycerze pióra, łamiący kopie w tym kierunku i wypełniający całe szpalty rozmaitemi wskazówkami w celu zrusyfikowania katolickiej ludności, oraz miotający anatemy na „propagandę łacińsko-polską“, milczą uparcie o tem, w czem właściwie raczą ją upatrywać. Tendencyjne to milczenie przerwał dopiero jeden ze współpracowników *Moskiewskiego Sbornika*, którego głos podług przypisku redakcyi tego wydawnictwa należy uważać za bardzo poważny. Uchyła on zasłonę w tej kwestyi, mówiąc otwarcie i szczerze, co mianowicie poczytuje za czynniki lub objawy „propagandy“, za pomocą której Polacy, a zwłaszcza księża, neutralizują działalność rusyfikatorów. Wyznania jego są tak szczerze, a zarazem tak naiwne, że pomimo umyślnego przekręcenia faktów, jednostronności, zacofania i prawdziwie *diejatelskiego* zaślepienia, niezdolne są oburzać nikogo, lecz wywołują tylko uśmiech politowania. Bądź co bądź, wielce ciekawych w swoim rodzaju można z nich dowiedzieć się rzeczy.

Na czele charakterystycznych objawów „łacińsko-polskiej propagandy“, autor, ukrywający się skromnie za parawanem anonimu, wy-

mienia rozpowszechnianie się wśród litewskiej i żmudzkiej ludności książek w ojczystym jej języku, umieszczonych na indeksie nie tyle przez sam rząd rosyjski, ile raczej przez jego służalców. Najgłówniejsze z pomiędzy tych wydawnictw litewskich, zakazanych w obrębie caratu, są następujące: *Kalwaria* (Opis stacyi drogi krzyżowej w miasteczku Kalwaryi, w powiecie telszewskim, gubernii kowieńskiej); *Parspicimas* (Ostrzeżenie, dotyczące prawd wiary świętej i Chrystusowego Kościoła); *Gwennimaj Szwientuju Diewas* (Żywoty Świętych Pańskich); *Litanie*; *Brolej katolikaj* (Bracia katolicy); *Prajawtimas* (Cuda); *Kantyczkas* (Kantyczki); *Nowies Altorius* (Nowy ołtarzyk); *Wargaj Bażniczes katoliku* (Kłęski Kościoła katolickiego); *Gramota apskrypta* (Brewie papieskie); *Isz tamsibez* (Z ciemności do światła) i *Szniakezis katoliku* (Rozmowy katolika).

Za cóż na powyższe wydawnictwa, będące po większej części niewielkimi broszurkami, spadł wyrok tak surowej i nieublaganej bannicy? Oto *Prajawtimas* i *Parspicimas* opisują bardzo oględnemi słowy położenie katolików na Litwie, przytaczając tylko najprawdziwsze i najbardziej znane fakta. Śmielszym nieco i bardziej stanowczym tonem odznacza się *Wargaj Bażniczes katoliku*, chociaż i tam główna myśl przewodnia nie sprzeciwia się wcale żywotnym interesom państwa rosyjskiego, stanowi ją bowiem tylko gorące zachęcanie czytelników do wytrwania w swej wierze. W *Gwennimaj Szwientuju Diewas* najbardziej niemiłe uderzył *diejatelej* następujący okres: „Cierpieć i umrzeć za wiarę rzymsko-katolicką — znaczy to spełnić najchwalebniejsze dzieło. Każdy, kto umiera skutkiem prześladowań za wiarę, zostaje świętym i dusza jego wstępuje do nieba. Jeżeli więc i my pragniemy być świętymi, to powinniśmy znosić ochoczo wszelkie cierpienia za religię“. Największe atoli oburzenie w pewnej rosyjskiej sferze wywołała niezbyt korzystna, choć zupełnie zresztą zgodna z rzeczywistością, charakterystyka rosyjskich urzędników na Litwie. Chcąc być bezstronnym, wyznać należy, iż autorowie inkryminowanych litewskich broszur używają niekiedy istotnie zbyt dosadnych wyrażań. z drugiej jednak strony niesłychana z tego powodu wrzawa w rusefikatorskim obozie nasuwa myśl, że tu może bardziej niż gdzieindziej nadaje się przysłowie o stole i nożycach. Zresztą nie tylko Litwini i Polacy, ale nawet wykształceńsi i bezstronniejsi Rosjanie od dawna już uznali za *fait accompli*, iż rząd rosyjski systematycznie obsadzał i obsadza urzędowe posady na Litwie przeważnie tylko „mętami rosyjskiego społeczeństwa“ (Педонки русскаго

общества), jak między innemi wyraziła się kiedyś *Gazeta Petersburska* (Перебурская Газета).

Nawiasem zaznaczyć należy, że dla zatamowania wpływu tych „niebezpiecznych“ litewsko-żmudzkich książek od r. 1865 z inicjatywy słynnego Kaufmana, rząd rosyjski drukuje corocznie kosztem ministerjum oświaty książki litewskie i żmudzkie nie łacińskimi zgłoskami, ale cyrylicą. W przeciągu jednego tylko roku wyszło z pod prasy 40.000 egzemplarzy następujących książek litewsko-żmudzkich, drukowanych cyrylicą: *Аукса алтариусь* (*Auksa Altarius* — Złoty Ołtarzyk); *Кантыцкось* (*Kantyczkos* — Kantyczki); *Евангелісць* (*Ewangelies* — Ewangelie) i *Трумпосць Катехизисъ* (*Trumpos katechizis* — Krótki katechizm). Książki te przemocą bywają rozpowszechniane i narzucane litewskiej ludności, jak niemiłe zaś na niej muszą wywierać wrażenie, to z łatwością odgadnąć możemy. Natomiast drukowanie książek litewskich lub żmudzkich łacińskim alfabetem najsurowiej jest wzbronione i, jak twierdzi sam autor obszernej pracy, z której czerpiemy powyższe dane, wszelkie zabiegi biskupa żmudzkiego w celu zniesienia odnośnego re-skryptu, wydanego w r. 1869 przez ministerjum spraw wewnętrznych, pozostały bez skutku.

Wyraziwszy „szlachetne oburzenie“ z powodu rozpowszechniania się na Litwie inkryminowanych książek, *Moskiewski Sbornik* dodaje, że to, co w gubernii kowieńskiej i wileńskiej propaguje się za pomocą książek litewsko-żmudzkich, w pozostałej części północno-zachodniej Rosyi rozkrzewia się wśród społeczeństwa z większą jeszcze usilnością i na szerszą skalę za pośrednictwem polskich książek i odezów.

„W masie polsko-katolickiej ludności — czytamy tam między innemi — można napotkać na każdym niemal kroku zakazane kantyczki, Litanie, Złote Ołtarzyki i inne książki treści religijnej, naturalnie w polskim języku, w których się znajdują bądź modlitwy o wykorzenienie herezy i schyzmy, bądź modlitwy do królewicza Kazimierza, jako patrona litewsko-polskiego księstwa (*sic*), lub do Najświętszej Panny Maryi Ostrobramskiej, jako królowej i opiekunki państwa polskiego...”

„Od r. 1873 — czytamy nieco dalej — zaczęły się tworzyć osobne stowarzyszenia, dążące do szybszego rozwoju łacińsko-polskiej propagandy. Zwłaszcza Jezuiti ze Lwowa dołożyli gorliwych starań w celu założenia na Litwie i w Królestwie Polskiem Bractwa Serca Jezusowego. Główny cel tych stowarzyszeń polega na rozkrzewianiu idei wskrzeszenia świeckiej władzy papieża, jak również na modlitwie o wykorzenienie herezy. Jako środek zaś do osiągnięcia tego celu ci nowi je-

zuiccy milionerzy (zapewne miało być „misyjonarze“) obrali przeważnie rozpowszechnianie drukowanych książek do nabożeństwa“.

Wielce charakterystyczne są motywa inkryminacyi tych książek. Oto na przykład książka pod tytułem: „Modlitwy do św. Józefa i do Wszystkich Świętych“, dostała się na indeks za to, iż nazwano w niej świętego Józefa największym Świętym i patronem królów polskich. „W książce zaś zawierającej modlitwy do Serca Pana Jezusa — ciągnie autor dalej — wyraźnie jest mowa o tem, że Francya przeznaczoną została przez Opatrzność do obrony papieża i katolickiego Kościoła. Zadaniem więc tej książki jest obudzać wpośród katolików innych krajów, a mianowicie Niemiec, Włoch i Rosyi, nadzieję ocalenia ich przez Francję“ (*sic*).

Już powyższy ustęp zdradza destecznie prawdziwego podszczuwacza, lubiącego szukać plam na słońcu, bardziej zaś jeszcze charakteryzuje go i całą klikę, do której należy, to, co raczył on wyrzec o kolporterach zakazanych książek. Oto co pisze w tej mierze:

„W wielu miejscach utworzyły się stopniowo i nieznacznie stowarzyszenia dewotek lub bractwa Tercyarek. Kobiety, wstępujące do takiego bractwa, podlegają osobnemu obrzędowi poświęcenia, otrzymują nowe imiona, na piersiach zaś noszą krzyż z rozmaitemi relikwiami. Wstąpienie do tego zakonu nie obowiązuje do żadnych specjalnych zatrudnień, jedynym obowiązkiem jego członków jest bezwarunkowe posłuszeństwo względem duchowieństwa rzymsko-katolickiego, które częstokroć ich używa dla dopięcia występnych swych zamiarów (*sic*). Wszystkie takie siostry trudnią się przeważnie rozsiewaniem wśród ludności zabronionych polskich i litewsko-żmudzkich książek, różańców, krzyżyków z napisami na odwrotnej stronie: *Souvenir des missionnaires*, medalików, szkaplerzy i pierścionków“.

Najokropniej atoli oburza współpracownika *Sbornika* odezwa polskich księży emigrantów z Paryża, do duchowieństwa pod zaborem rosyjskim. Odezwa ta potępia odstępstwo Żylińskiego, Tupalskiego, Niemekszy i innych renegatów, o których *Sbornik* się wyraża z wielkiem uznaniem, mówiąc, iż jako wierni poddani, byli oni współpracownikami rosyjskiego rządu (какъ вѣрноподданные были сотрудинками нашего правительства). Przy tej sposobności spada też parę jowiszowych gromów na głowę księdza Piotrowicza, byłego proboszcza przy kościele św. Rafała w Wilnie, który wbrew widokom rosyjskiego rządu przemówił w obronie wiary i ojczystego języka (въ противодѣйствіе

widamъ русскаго правительства промовилъ въ защиту веры и роднаго языка).

Wreszcie jako wynik „łacińsko-polskiej propagandy“ zaznaczono to, że w kalendarzach, wychodzących w Wilnie, nakładem starej i znanej firmy Zawadzkiego, mieściły się w rejestrze Świętych imiona św. Kazimierza królewicza i św. Stanisława biskupa, to jest zupełnie rzymsko-katolickich Świętych, którzy dla Litwy żadnego nie mają znaczenia. „Natomiast zaś — czytamy tam dalej — pominięto umyślnie milczeniem takich mężów bożych, którzy żyli i umarli na ziemi ruskiej, albo nawet w południowej i zachodniej Rosyi, których święte relikwie spoczywają w rozmaitych zakątkach zapomnianej naszej krainy (забытаго нашего края) i których pamięć jest czczona bądź przez całą rosyjską cerkiew, bądź też przez miejscową, zachodnio-rosyjską. Tak na przykład opuszczono tam uroczystość świętych męczenników wileńskich, Antoniego, Jana i Eustachego, świętego Dowmunta, świętego Cyrylla Turrowskiego, świętej Eufrozyny połockiej, św. Makarego metropolity, który żył w Wilnie, a nawet apostolskiego księcia Włodzimierza i wielu innych. Wszystko to są owoce łacińsko-polskiej propagandy, która coraz bardziej wzmacniać się zaczyna — dodaje *Sbornik* patetycznie. — Polski nawet handlowy ruch księgarski w miastach i miasteczkach rozwinął się w ostatnich czasach na tak szeroką skalę, że konkurencya jego zaczyna być niebezpieczną dla rosyjskiego handlu księgarskiego“.

Powyższa obawa najzupełniej jest uzasadniona, sam jednak fakt świadczy tylko o wyższości duchowego pokarmu, dostarczanego przez księgarnie polskie, pomimo nieubłaganej i niesprawiedliwej cenzury, wiszącej nad piśmiennictwem polskim jak miecz Damoklesa.

Tyle o religijnej „łacińsko-polskiej propagandzie“. Przechodząc do świeckiej, znajdujemy najprzód na indeksie kilka kalendarzy wileńskich, w których były umieszczone biografie Mickiewicza, Syrokomli i Kraszewskiego. Następnie jako fakt karygodny wymienia *Sbornik* znalezienie przypadkiem u paru księży na Litwie kilku numerów amerykańskiego dziennika *Orzeł Polski*, jak również to, iż pewnego razu na pocztę w Kukulińcach, w święciańskim powiecie, przybył jeden numer *Gazety Polskiej*, wydawanej w Chicago przez Dyniewiczza, której winietę, o zgrozo! zdobyły herby Polski i Litwy z napisem: „Boże, zbaw Polskę“. Dodaje też autor pomienionej pracy o „łacińsko-polskiej propagandzie“, iż u wielu księży przechowują się w rękopisie pieśni patryotyczne, z pomiędzy których wymienia na czele znany wiersz: „Tańczcie Polki“, przytaczając go zarazem w szkaradnym przekładzie,

stanowiącym prawdziwą parodię. Z kolei nie może znaleźć dostatecznych słów potępienia dla niedarowanej zuchwałości Towarzystwa Sztuk Pięknych w Krakowie, które się waży posyłać jako premium swym członkom na Litwie i w Królestwie Polskiem litografie: „Pochód na Sybir“, lub „Miecznika i Maryę“, której treść została zaczerpnięta z zakazanego w Rosyi poematu Malczewskiego. Takież same wyrazy potępienia ściągają na siebie fotografie Kościuszki, otoczonego największymi polskimi *diejatelami*: Kołłątajem, Małachowskim, Rejtanem, Puławskim i Potockim, z białym orłem u góry, tudzież ilustracye przedstawiające księdza z krzyżem, obok niego szlachcica w kontuszu i konfederatce, oraz młodą Polkę, wieńczącą kwiatami bohaterów sprawy narodowej. Nie uszły nawet uwagi ogłoszenia pisane w języku polskim o mieszkaniach do wynajęcia i wystawiane niekiedy w Wilnie w oknach jedynej księgarni polskiej, lub prywatnych domów, które się wydają *Sbornikowi* podejrzanemi i nagannemi do najwyższego stopnia.

Reasumując swe wrażenia, jakie nań wywarły wszystkie powyższe objawy „łacińsko-polskiej propagandy“, współpracownik *Sbornika* dochodzi do wniosku, iż nie wyrzekła się ona bynajmniej dawnych swych marzeń i nadziei, owszem jak dawniej wskazuje zawsze kościół i księdza, jako jedyne świetlane punkta na ciemnem tle miejscowych stosunków. „Z drugiej strony — dodaje — usiłuje ona zdobywać jak najwięcej praw obywatelstwa polskiemu żywiołowi, zachęca młodzież polską do opierania się wpływowi szkół rosyjskich, tak iż coraz bardziej wyniki tej propagandy dają się spostrzedz zarówno w szkole, jak w życiu“.

H. L.



ASEMITYZM.

Jednem z wybitniejszych zjawisk dzisiejszego życia publicznego jest wzmaganie się ruchu zwanego antysemitycznym; głośne jego echa dolatują nas z różnych stron Europy: we Francyi książki Drumont'a i gazeta *La libre parole* liczą odbiorców na krocie tysięcy. W Niemczech do tego doszło, że partya konserwatywna pruska osobny punkt o obronie przeciw Żydom w swym programie zamieściła. Nawet Austria, która ze wszystkich krajów zdawała się być najdalszą od możliwości takiego ruchu, nawet sam Wiedeń, który uchodził za niezdobytą twierdzę potęgi semickiej, dziś jest widownią reakcyi aż nadto głośnej.

Ruch ten, jakkolwiek dziś rozszerzony, jest tylko ostrym i peryodycznym w historii wracającym symptomem kwestyi, która głębiej i stale w społeczeństwie tkwi — tj. samej kwestyi żydowskiej. Kwestya ta wplata się w najżywotniejsze społeczeństwa interesu, nie tylko ekonomiczne, ale i narodowe i moralne i religijne; płacze się nawet, i to w najdziwniejszy sposób, z panującą dziś kwestyą socyalną: bo z jednej strony socyalizm wojnę wypowiada plutokracji, która jest przeważnie i notorycznie żydowską, z drugiej strony na czele hufców socyalizmu widzimy znowu Żydów! Potrzeba wytłumaczenia sobie tych różnych odnośni kwestyi żydowskiej czuć się daje coraz więcej. Sumienie chrześcijańskie, na które powołują się zarówno filosemici jak i antysemita, waha się nieraz, nie wiedząc gdzie jest obowiązek.

W naszym mianowicie kraju, gdzie, choćby ze względu na liczbę Żydów, kwestya ta jest tak szczególnie ważną, wielu wciąż oscyluje między ostatecznościami dwóch przeciwnych kierunków. A nie brak i takich, którzy w prywatnych rozmowach dorównują w antysemityzmie Faraonowi, co Żydów w Nilu topił, a w publicznych wystąpieniach najliberalniejszym popisują się filosemityzmem, aż do zrównania synagogi z Kościołem.

W tych warunkach uważamy za obowiązek takiego pisma, jak nasze, zajrzeć w oczy tej kwestyi żydowskiej, jakkolwiek trudnej i drażliwej, i, nie mówię: wszechstronnie i wyczerpująco ją omówić — na toby niejednego tomu potrzeba — ale dotrzeć przynajmniej do jakichś podstaw, któreby ułatwiały rozumienie szczegółów, a z którychby można praktycznie wyciągnąć wskazówki. Trzy pytania stawiamy sobie w tym celu: czym jest Żyd? — jaki jest jego stosunek do społeczeństwa chrześcijańskiego? — wreszcie, jakie powinno być stanowisko tego społeczeństwa względem Żyda? — Sądzę, że logiczny związek tych trzech pytań sam się tłumaczy.

I.

Co to jest Żyd? Jest on wytworem pewnej rasy, pod wpływem pewnej historyi. Dziś mówi się dużo o rasie, ale może niedosyć zwraca się uwagi na historję; a jednak ona, może jeszcze więcej niż rasa, wpływa na wyrobienie narodowych typów¹. W każdym razie historyczne koleje, przez jakie przechodził, a raczej przeprowadzany był żydowski naród, są tak znamienne, tak wyjątkowo doniosłe, że one głównie wyrzeźbiły, i one najlepiej tłumaczą jego oryginalną fizyognomię. A więc najprzód czynnikiem, który wyrobił Żyda, jest Stary Zakon. To trzeba należycie zrozumieć. Niektórzy autorowie, jak p. Leroy-Beaulieu w studyach o kwestyi semickiej², ogłoszonych przed kilkoma

¹ Drumont w *France Juive* i wielu innych antysemitów piszą bez końca androny o rzekomej niższości i podłości rasy semickiej, a żadnej nie zwracają uwagi na historję tego narodu.

² *Le juif et l'antisemitisme* par Anatole Leroy-Beaulieu, *Revue des deux mondes* 1891—1893.

laty w *Revue des deux mondes*, suponują, że Żyd ma się do chrześcijanina jak Stary Zakon do Nowego; skąd wnoszą, że jest minimalna między nimi co do religii różnica. Tak przecież nie jest: oba Testamenty są jedną istotnie religią w dwóch stopniach swego rozwoju; Żydzi, od religii jaką mieli w Starym Zakonie, rzeczywiście odpadli przez to, że główny przedmiot jej wiary i nadziei, prawdziwego Mesjasza, odrzucili, a ta zmiana religii objawiła się taką zmianą w stanie duszy tego ludu, jaką każdy skonstatować może, porównując Biblię z Talmudem.

Jednakże Stary Zakon wywarł na tym ludzie w jego historycznym pochodzie pewne piętno, którego późniejsze odstępstwo niezupełnie zatarało. To piętno spróbujemy określić. Bóg, chcąc zrobić jeden lud filarem i piastunem prawdziwej religii objawionej wśród pogaństwa, wybrał za podmiot tego wysokiego przeznaczenia plemię bogato z natury uzdolnione. Żyd jest wogóle obdarzony niemałą dozą energii i woli, wytrwałością w dążeniu do powziętych celów, śmiałością więcej niż odwagą; nie gardzi on niebezpieczeństwem, ale gdy nie widzi drogi do ucieczki, zdolny jest z największą śmiałością wystąpić zaczepnie; i wogóle zdolny jest do rzucania się w skrajności i do śmiałego ryzykowania, gdy idzie o dopięcie celów, które zamierzył. Nie jest on idealistą, jak Hindus, jak pokrewny mu Arab, ale jego materjalizm jest *sui generis*, jak gdzieś zauważył Sołowiew; nie zaprzecza on duchowego świata, duchowych potęg, jeno wymaga, żeby mu te potęgi tu zaraz praktycznie pożytek przynosiły, i to jest warunkiem jego wiary w te potęgi. Samą religię pojmuje on jako kontrakt wzajemny między Bogiem a Izraelem; tem bardziej w stosunkach z ludźmi wytrwale i umiejętnie pilnuje swego interesu.

Taka natura ludu izraelskiego przejawia się już w starożytnej jego historii. Ona sama już stanowiła niemałe uzdolnienie do przechowywania i bronienia skarbu boskiego objawienia. Ale Bóg jeszcze umocnił ten jakoby piedestał nadprzyrodzonej religii, opierając tę religię na najsilniejszym z uczuć przyrodzonych: na nacyonalizmie; dał poznać temu ludowi, że jego wyjątkowo między wszystkimi ludami wybrał, że uczynił go swoim

ludem, a sam, będąc Stwórcą nieba i ziemi, stał się jego, Izraela, Bogiem. W ten sposób nacjonalizm tego ludu, w zetknięciu z bożem wybraniem i objawieniem, spotęgował się niesłychanie. Inne ludy miały też swe narodowe religie, ale jak lichy i bezsilny! Izrael miał Boga wszechświata za Boga narodowego, i to nie iluzorycznie, ale prawdziwie; przekonywały go o tem raz po raz cudowne objawy boskiej dobroci i sprawiedliwości¹. W ten sposób miłość własnego narodu potęgowała u Żydów miłość religii, która była chlubą i skarbem własnym ich narodu; i odwrotnie, wiara i przywiązanie do religii potęgowały w nich cześć narodu, poświęcenie się dla niego, solidarność najściślejszą z wszystkimi, co mieli szczęście do tego ludu wybranego należeć². I w ten sposób nacjonalizm tak głębokie na duszy Żyda wycisnął piętno, że po czterech czy pięciu wiekach bytu państwowego, można już było lud ten rozproszyć między wszystkimi narodami, dla rozniesienia wszędzie wyższego pojęcia o Bogu i nadziei odkupienia; już nie było obawy, żeby Żyd przestał być Żydem, żeby zatracił pojęcia religijne, których był piastunem i rozsądnikiem.— I gdy przez wszystkie następne wieki, w dobrej i złej doli, aż do dni naszych, zdumiewać nas będzie nieporównana tego nacjonalizmu wytrzymałość, nie nam tego lepiej, sądzę, nie wytłumaczyć, jak właśnie to spotęgowanie żydowskiego nacjonalizmu przez zetknięcie z Bogiem.

Wszelako ten spotęgowany nacjonalizm, który czynił Żydów tak silnymi przeciw pogaństwu, mógł się stać dla nich samych szkodliwym — i takim się stał rzeczywiście, nie bez ich winy, rozumie się. Gdy przyszedł oczekiwany Chrystus z religią powszechną, gdy jego uczniowie głosić poczęli równouprawnienie wobec Boga wszystkich narodów, wówczas Izrael nie zdobył się

¹ Przypomnijmy sobie, jak nasz polski patryotyzm aż do nadmiaru się spotęgował i ekskluzywnym zrobił, kiedy nasi poeci wmówili nam na chwilę, że Polska jest mesyaszem narodów. Mesyanizm ten był przecież złudzeniem, na niczem nie opartem; u Żydów boża misja narodu była prawdą, i była wielkimi dowodami popartą.

² W związku z tym religijnym nacjonalizmem jest też silnie ukonstytuowane w tym narodzie i dotąd się przechowujące życie familijne.

na abdykowanie stanowiska uprzywilejowanego ludu, odrzucił Chrystusa i chrystyanizm, nie tylko i nie tyle dlatego, że tenże przynosił duchowe a nie doczesne dobra, ile dlatego, że wyłom czynił w ich religijnym monopolu i na równi z nimi stawiał goimów, co było dla ich wyegzaltowanego nacyonalizmu najdotkliwszym ciosem. Dzieje Apostolskie, Listy św. Pawła najwyraźniej o takim charakterze tego przełomu świadczą. — Następstwem zaś tego przełomu było oczywiście spotęgowanie ujemnych stron owego nacyonalizmu, który przedtem był tak dzielną dla dobra siłą, a więc spotęgowanie pychy narodowej i religijnej, pogarda największa dla innych narodów, skłonność do przypuszczania, że Żydowi wszystko wolno względem nich, nadewszystko zawziętość przeciw chrystyanizmowi, który rzekomo pokrzywdził Izraela w jego najświętszych przywilejach.

Odtąd się właściwie zaczyna druga część historyi tego ludu, już nie bożego. Jak pierwsza część tej historyi znalazła swój najwyższy wyraz w Biblii, tak druga najdosadniej wyraziła się w Talmudzie, a później i aż po dziś dzień pod wpływem tej szczególnej księgi została. Ażeby możliwość takiej księgi, czy raczej takiej literatury jak Talmud zrozumieć, trzeba wiedzieć, że Talmud pisał się w najfatalniejszej chwili historyi Izraela. O ile przed Chrystusem Żydzi nie tylko w Palestynie, ale na diasporze, zwłaszcza w greckim królestwie egipskim i w państwie rzymskim, doszli byli do świetnego i wpływowego stanowiska, umieli sobie władców zjednać, a choć ludność, już wtedy przez nich wyzyskiwana, buntowała się niekiedy, zawsze jednak skuteczną opiekę i poparcie u władzy znajdowali¹ — o tyle wszystko się zmieniło, gdy po zbrodni kalwaryjskiej, jakoby kołowacizną porażeni, szalony rokosz przeciw Rzymowi podnieśli.

Rozpaczliwa obrona Jerozolimy i wreszcie zdobycie jej przez Tytusa, przechodziły w okropności wszystko, co starożytność знаła. Żydzi stracili naraz wszystko, nawet miasto święte

¹ O tem świetnem położeniu Żydów w ówczesnym świecie grecko-rzymskim porównaj ciekawe i gruntowne studyum *La question juive dans l'antiquité* przez A. Durand, w *Etudes religieuses, philosophiques, historiques* z 15 września 1895.

i kapłaństwo i jedyną świątynię. A po tym pogromie jeszcze przez długi czas Żyd był w państwie rzymskiem jakby wyjęty z pod prawa; po różnych miastach ludność, wprzód gniebiona lichwą, korzystała z tego stanu rzeczy, aby grabić i mordować Żydów. Filon, Żyd, opowiada, że w Syrii nie było jednego miasta wolnego od tych rzezi. W jednej Aleksandryi wycięto ich podobno do 30.000. I sami też Żydzi, nie mogąc odzyskać równowagi ducha, jeszcze kilka razy chwyтали za broń i ścigali na siebie mściwe legiony rzymskie aż w okolice dawnego Babilonu. Ten stan rzeczy trwał parę wieków, a właśnie w tym czasie, od II. do V. wieku pisał się Talmud. To nam tłumaczy dziwny i straszny charakter tego księgozbioru, który bez tego byłby niezrozumiałą zagadką. Podczas gdy Biblia Starego Zakonu nietylko zawiera prawdy objawione, ale nawet pod względem literackim tchnie świeżością, wdziękiem, siłą i wielkością ducha, o Bogu zwłaszcza kreśli pojęcie nieporównanie wielkie i piękne, to Talmud przejawia samą karłowatość, złamanie ducha narodu, obniżenie go aż do dziecinnych a złośliwych bredni przeciw Rzymowi, który Żydów zgniótł, przeciw Bogu, który ich nie bronił, przeciw chrześcijaństwu, przeciw całemu światu. Tchnie z tych kart bezsilna złość karła, przygniecionego nogą olbrzyma. Sam Bóg izraelski, tak wielki w Biblii, w Talmudzie dziwnie maleje; rabini go łają za to, że ludu swego nie ocalił i najwyraźniej stawiają siebie ponad nim i swój Talmud ponad Pismem świętem.

Kilka wieków później, duch narodu żydowskiego znowu się podniósł do pewnego stopnia; rabini hiszpańscy w średnich wiekach, jak Aben Esra, Dawid Kimchi, Mojżesz Majmonides, pisali poważne rzeczy o filozofii i teologii, z których nawet chrześcijańska scholastyka skorzystała. Ale Talmud już był wówczas w posiadaniu panowania nad duszą narodu; i tak, nieszczęście czy Nemezis dziejowa zrządziła, że właśnie ów najsmutniejszy wytwór najgorszej dziejowej epoki Izraela został na wieki jego księgą narodową i świętą, jego prawem, etyką i religią.

Dzisiejsi, bardzo zresztą ostrożni, obrońcy Talmudu przytaczają z niego piękne moralne zdania, do ewangelicznych po-

dobne. Istotnie Talmud, będąc zbiorem urywków, pisanych przez rozmaitych rabinów w ciągu trzech wieków bez żadnej przewodniej myśli, zawiera najróżniejsze rzeczy. Są w nim i ładne moralne zdania, niestety rzadkie; są obok tego zdania o goimach i sposobie postępowania z nimi tak strasznie daleko idące, że wolę tu o nich zamilczeć¹. A choćbyśmy z kilku nowożytnymi rabinami przypuścili, że te zdania, jakkolwiek jasno i wielokrotnie powtarzane, dadzą się do przenośnego naciągnąć znaczenia, to jeszcze niezaprzeczalnem zostaje, że mogły one łatwo i mogą być przez ciemnych i fanatycznych Żydów literalnie brane i mogą ich sumienia fatalnie skrzywiać. Ale pominawszy nawet te skrajnie złe, jak i owe moralnie dobre zdania, w każdym razie przyznać należy, że z całości Talmudu wieje, jak wyżej powiedziałem, duch zawiści i wzdardy dla wszystkich innych ludów, a szczególnie dla chrześcijan, przebija się etyka skarłowaciała, formalistyczna, łatwo zacieśniająca moralne obowiązki do samego narodu wybranego; wreszcie zarysowuje się odpowiednie do tej etyki prawo, nadające Izraelowi w obcych państwach odrębną niby państwową egzystencję.

Ale Talmudu, mówią mi, dzisiaj prawie nikt z Żydów nie czyta. — Przypuszczam, że i dawniej liczba czytających Talmud była bardzo ograniczona; jednakże i ci, co go nie czytają, są pod jego wpływem niewątpliwie, podobnie jak chrześcijanin, który nigdy nawet Ewangelii nie czytał, nie jest przecież poza

¹ Skoro faktycznie Talmud wpłynął na duchowy nastrój i późniejszą historję Żydów, zatem uczeni chrześcijanie, którzy sumiennie badają Talmud, oddają nam prawdziwą usługę, z której nawet Żydzi dobrej woli skorzystać mogą. Między innymi ks. J. Pranaitis, profesor języka hebrajskiego w Akademii duchownej petersburskiej, wydał świeżo poważne studjum p. t.: *Christianus in Talmude Judaeorum* (Petropoli 1892), umyślnie, sądę, po łacinie napisane, ażeby służyło uczonym, a nie dostawało się do szerszych kół, jako podnieta do „hecowania“ przeciw Żydom. W książce tej podany jest długi szereg ustępów z Talmudu, określających czem jest chrześcijanin w oczach Talmudu i jak się synowie Izraela powinni względem niego zachować. Ażeby zaś nie zarzucono autorowi, jak zarzucano Rollinowski i innym, że źle tłumaczy, dlatego obok łacińskiego przekładu podany jest zawsze tekst hebrajski Talmudu. — Tam można się naczytać tych zdań „strasznie daleko idących“, o których mówiłem, szczególnie od str. 112—116.

jej wpływem. Od tyłu wieków czyta się Talmud w ich synagogach, w szkołach, w ich rodzinach powtarza się nauka z niego zaczerpnięta; atmosfera duchowa Talmudu od kolebki Żyda otacza; jest niepodobieństwem, żeby nie odziedziczył choć trochę z jego ducha, choćby nawet jego nazwy nie znał.

Mówię: choć trochę — bo stwierdzając wpływ Talmudu na Żyda, nie chcę wcale powiedzieć, że Żyd wyłącznie temu wpływowi ulega (w takim razie byłby o wiele gorszy); wiem, że Żyd ma też wrodzone sumienie ludzkie, wiem, że Żyd nie jest nawet poza wpływem chrześcijańskiej atmosfery, która go owiewa; ale stwierdzam tylko, że Talmud jest jednym z ważnych czynników, wpływających z bliska lub z daleka na duchowy typ Żyda, a to czynnikiem całkiem ujemnym, tłumaczącym po wielkiej części ujemne strony tego typu. Uwzględniając ten czynnik, zrozumiemy, że moralność, jaką Żyd po przodkach dziedziczy i jaka go od dzieciństwa otacza, jest niższego rzędu niż chrześcijańska; że ta moralność skłonna jest ograniczać pojęcia obowiązku i sprawiedliwości do sfery własnego narodu; że się łatwo godzi z pogardą, nawet z nienawiścią dla tak zwanych goimów. Wreszcie zrozumiemy, że ten materyalizm praktyczny, do którego Żyd jest skłonny z natury, nie jest zwalczany, jak u nas, przez religijno-moralne zasady, jakie nam od dzieciństwa wpajają, ale przeciwnie, znajduje w zasadach, z mlekiem matki wyssanych, silnego poplecznika.

Tego etycznego typu, jakkolwiek przeciętnie prawdziwego, nie można jednak i nie godzi się brać za miarę do sądzenia z góry pojedynczych Żydów; byłoby to krzywą niesprawiedliwością. Jest zawsze możliwem i raz po raz się zdarza, że w szlachetniejszych jednostkach, bądź serce i rozum, bądź dodatnie wpływy Starego Zakonu, bądź dolatujące do nich pojęcia chrześcijańskie biorą górę nad wpływami ujemnymi i wytwarzają w nich moralność, która na wszelki zasługuje szacunek.

Jeszcze bardziej niesprawiedliwem i nieracjonalnemby było — co się jednak u nas, niestety, często zdarza — odmawiać z góry zaufania każdemu nawróceniu się Żyda. Kto niema sam żadnych religijnych przekonań, a uważa każdą religię za czysto tradycyjną

formę, ten tylko może konsekwentnie przeczyć możliwości wszelkiego nawrócenia się z przekonania; ale kto wierzy, że chrystyanizm jest prawdą samą, ten wątpić o tem nie może, że i inni ludzie mogą do tej prawdy dojść i o niej się, przy pomocy boskiej, przekonać. Przodkowie nasi, którzy, sami mając silną wiarę, wierzyli też w możliwość wiary u drugich, obdarzali nawróconych Żydów najdroższym, jaki posiadali, klejnotem: szlacheństwem polskiem. Przykładu tego z oczu tracić nie powinniśmy. Między nawróceniami Żydów jest pewnie wiele pozornych, interesownych, ale jest też niemało najzupełniej szczerych. A kto się im z bliska przypatruje, kto widzi, jak wiele ci ludzie nieraz poświęcają, by iść za łaską wiary, jak zrywać muszą z rodziną, wystawiać się na zacięte prześladowania swych dawnych współwyznawców, porzucać niekiedy swój zawód, stanowisko i ponosić ubóstwo — ten gorzko boleć musi, gdy widzi jak na domiar chrześcijanie przyjmują nowonawróconego z nietajonem niedowierzaniem, czasem z pogardą i dotkliwemi wyrzutami!

Rozumie się, że nawrócenie szczere uchyla od razu wszystkie ujemne talmudystyczne zasady; co się zaś tyczy rysów charakteru żydowskiego, które nam się nie podobają, te nie od razu wprawdzie, lecz w przeciągu kilku pokoleń zacierają się zupełnie.

II.

Z określonego typu narodu żydowskiego i jego dziejowej formacyi wytłumaczy się nam teraz jego stosunek do chrześcijańskiego społeczeństwa.

A najprzód, jak się on odnosi do samego chrystyanizmu? Mówi się dużo w historyach o prześladowaniu Żydów przez chrześcijan, a mało się zwraca na to uwagi, że Żydzi jeszcze przedtem prześladowali, o ile mogli, i jeszcze dziś prześladują chrystyanizm i chrześcijan. Już w Dziejach Apostolskich pokazuje się, jak oni, wbrew narodowemu zwyczajowi, szczuli władze rzymskie przeciwko pierwszym głosicielom chrystyanizmu, jakkolwiek krwią sobie blizkim. W czasach następnie męczeńskich, widzimy Żydów, grających rolę donosicieli i podżegaczy przeciw wyznawcom Chrystusa. Są nawet poszlaki, jak stwierdza de Champagny

z innymi historykami, że Poppea i inne Żydówki, przy boku cesarzy stojące, były narzędziami zawiści synagogi przeciw chrześcijaństwu. Później, gdy niektórzy Żydzi przyszli do wybitnych stanowisk w państewkach azyatyckich, nie zapomnieli też o tej narodowej zawiści. Historia z przerażeniem opowiada o rzeziach, jakie między innymi wyprawiał Dunaan, który w VI. wieku królował w Arabii Szczęśliwej, o zabiegach jakie czynił, aby wszystkich dokoła książąt saraceńskich i króla perskiego do prześladowania chrześcijan podniecić — aż Elezbaan, chrześcijański król Etyopii, nadciągnawszy z wojskiem, położył koniec tym okrucieństwom.

W wiekach średnich i później, kiedy sami chrześcijanie dzierżyli władzę, zdawaćby się mogło, że Żydzi byli tylko uciśniani, a dalekimi byli od możności walczenia przeciw chrystyanizmowi. Tymczasem, bliżej się przypatrując sprężynom historii tych czasów, można co innego spostrzedz. Nie szukając dalej, biorę historię antysemityzmu, przez Żyda Bernarda Lazare przed rokiem wydaną¹. Autor, chcąc się zapewne podechlebić panującej dziś w pewnych sferach wolnomyślności, nie tai, owszem z dowodami wykazuje, jak Żydzi, od samych średnich wieków aż do najnowszych czasów, walczyli wytrwale i po części skutecznie przeciw chrześcijańskiej wierze, i przygotowywali panowanie wolnomyślności i ateizmu. Pokazuje on nam tron najmniej chrześcijańskiego z cesarzów, Fryderyka II., otoczony zausznikami semickimi; wytyka też wpływ talmudystów na heretyków wieków średnich, i pomoc, jaką później dali reformacyi; z chępliwością podnosi silny impuls, który dał Spinoza filozofii antychrześcijańskiej; wspomina bluźniercze paszkwile przeciw Chrystusowi i Matce Boskiej, które Żydzi za Woltera tłumaczyli, jak mówi, „z pism rabinów II. wieku“, tj. z Talmudu. A kiedy już dojrzewa wielka rewolucya, i podczas niej, konstatuje on ważną rolę Żydów w tajnych związkach i sektach, po Francyi i Niemczech rozsianych; o czem

¹ Bernard Lazare, *L'antisémitisme, son histoire et ses causes*. Paris. Chaillay. 1894.

zresztą więcej wiemy od takich historyków, jak Barruel, Gougenot, des Monsseaux, Deschamps, Clodio Jannet.

Nowy porządek rzeczy, który wyszedł z rewolucyi pod przywłaszczoną nazwą liberalizmu, sprowadzał religię do rzędu spraw prywatnych, przez co odbierał w zasadzie społeczeństwu charakter chrześcijański i wypierał Kościół z posiadanego prawnego stanowiska. Z tego tytułu Żydzi inteligentni chwycili się go zapalczywie, i pracowali nad jego rozszerzeniem po całej Europie. W rewolucyach 1848 widzimy ich wszędzie, w drukarniach i na barykadach, walczących za sztandarem liberalnym. I kiedy ten cały liberalizm mógł w zasadzie zająć względem chrześcijańskiej religii stanowisko obojętne, a nawet życzliwe, jak w Ameryce, oni pracowali nad tem — i dotąd pracują — aby mu nadać piętno antychrześcijańskie i dążność prześladowczą.

Taki więc był i jest stosunek Żydów do religii chrześcijan; a jak się odnoszą do ich moralności? Już samo zwalczanie religii jest bezsprzecznie podkopywaniem moralności; ale oprócz tego, niższy poziom i jakoby lichszy gatunek etyki żydowskiej tłumaczy nam ten aż nadto znajomy fakt, że we wszystkich niemal krajach, gdzie jest trochę więcej Żydów, przedsiębiorstwa demoralizujące społeczeństwo są poniekąd zmonopolizowane w ich rękach. Żyd nie tylko ciągnie zyski z istniejących instynktów niemoralnych, ale wprost demoralizuje społeczność, aby zmniejszyć jej odporność, i złe instynkta podnieca, aby z nich kiedyś zyski ciągnąć. Zagroda Żyda na wsi jest jakoby z prawa siedliskiem, z którego zachęta do pijaństwa i nauka kradzieży promieniają dokoła, aż na niewinne dzieci. W mieście oprócz tego spekulacja rozpustą wszelkiego rodzaju, pornografia, handel ludzkim towarem, nie tylko lokalny ale i eksportowy na Wschód i na Zachód, znajdują się faktycznie niemal wyłącznie w rękach tych ludzi. Gdybym chciał wyliczać sposoby arcyprzebiegłe, jakimi wciągają w bezdeń niemoralności ludzi wszelkich warstw i wszelkiego wieku i wyzyskują w tym kierunku przestronność nowożytnych praw liberalnych — to miałbym dużo do powiedzenia. Ale wolę na ten bolesny obraz rzucić zasłonę i przejść zaraz do kwestyi ekonomicznej.

Jaki jest stosunek Żydów do ekonomii społeczeństw chrześcijańskich? Dużo się mówi o strasznej przewadze ekonomicznej Żydów przeciw chrześcijanom, przypisuje się tę przewagę ich zdolnościom, ich nieprzebieraniu w środkach, zwłaszcza ich solidarności między sobą, stawia się nawet tę solidarność za wzór dla chrześcijan. To wszystko jest prawdą, trzeba jednak wglądnąć w rzecz głębiej i zrozumieć, że ta solidarność, istotnie zdumiewająca siłą i sprężystością swoją, nie jest tylko braterskiem popieraniem jednego Żyda przez drugiego, ale musi mieć i ma pod spodem konkretną, żywotną organizację. Tą organizacją jest Kahał. Co jest Kahał, tego może nawet niejednen emancypowany Żyd dobrze nie wie — tem trudniej chrześcijaninowi dokładnie to zbadać. Opowiem więc najprzód jak najkrócej, czym jest typowy Kahał, jakiemu się przypatrzył na Litwie, i jaki, z mnóstwem dokumentów w ręku, opisał Brafmann w dziele: „Żydzi i Kahały“, nie dalej jak w r. 1870; a potem zobaczymy, jakie mamy koniektury, że coś podobnego i u nas istnieje¹. — Kahał jest tedy małą republiką, urządzoną według przepisów Talmudu i kierującą wszystkimi sprawami ludności żydowskiej, także opieką nad jej ubogimi, ale głównie tem, co głównie tę ludność obchodzi, tj. interesami ekonomicznymi. W zasadzie władza Kahału żadną granicą nie jest określona. Kahał utrzymuje w rygorze tę ludność i zmusza ją do posłuszeństwa za pomocą kar, w Talmudzie przepisanych. Takimi są: najprzód rozmaite grzywny, potem kłatwa czasowa, zwana *Indui*, która jest formalnem bojkotowaniem skazańca przez całą gminę żydowską, odmawianiem mu wszelkiej pomocy, wszelkiego kupna i sprzedaży, nawet szklanki wody; wreszcie, w razie oporu, kłatwa wielka i nieodwołalna, zwana *Herem*, na której imię drżą wszyscy Żydzi, i której rotę sam nie mogłem bez przerażenia czytać. Wiadomość o rzuceniu He-

¹ Brafmann, nawrócony Żyd, opracował to dzieło dla rządu rosyjskiego, i poparł każde twierdzenie załączonemi dokumentami, przeważnie oryginalnemi aktami kahałowemi, starszemi i świeżemi. Wyszło to dzieło po rosyjsku w Wilnie 1870, a w polskim, skróconym przekładzie przez Z. W. we Lwowie 1874, nakładem drukarni Dobrzańskiego. Obie te książki, rosyjska i polska, są trudne do znalezienia; musiały być wykupione.

rem wszystkim Kahałom się udziela i wszędzie ściśle obowiązuje. Ma też Kahał swe organa wykonawcze: tak zwanego *Nejgosz ganeel* (co znaczy: tajny prześladowca) i mnóstwo szpiegów. Ma budżet, zasilany dochodem z mięsa koszernego, tudzież z grzyw, z podatków nakładanych gminie, wreszcie ze sprzedaży pewnych praw, o których zaraz powiem. Obok Kahału jest zwykle *Bet-Din* (dom sądu), trybunał również na zasadach Talmudu urządzony, który wszystkie spory między Żydami albo między pojedynczą osobą a Kahałem rozstrzyga. W zasadzie tylko wtedy jakaś sprawa między Żydami może być przed sąd publiczny wytoczona, kiedy ją Bet-Din przed ten sąd odeszle.

Taka organizacya jest niezawodnie dla Żydów ciężarem; ale jest też dla nich wielką siłą, która, pod względem finansowym przynajmniej, pewnie się opłaca. Organizacya ta pozwala im zręcznie i prędko opanowywać ważne targi, które sobie upatrzają, chwytając w swe ręce monopol najpotrzebniejszych artykułów. Ona im udziela, za pomocą ciągłej między Kahałami styczności, nietylko najprędszych i najdokładniejszych wiadomości o politycznych wypadkach, które mogą wpłynąć na giełdy i różne interesa, ale nawet szczegółowych o rzeczach i osobach informacyj, jakich który Żyd zażąda, choćby z końca świata. Ona też daje Żydom możność znalezienia prędko sum nawet znacznych, jakich w pewnych okolicznościach wymagają ich interesa. A jeśli kiedy idzie o sprawę, która ogółowi Żydów szkodzić może, to zdumiewająca rzecz, jak wielkie sumy z pod ziemi wydobyć się mogą, aby pchnąć tę sprawę na pożądaną tory. Ciekawe o tem przykłady opowiada Brafmann.

Nakoniec, nietylko zbiorowym interesom Żydów przysługuje się Kahał, on i osobistą inicjatywę każdego silnie popiera. I tak: Kahał sprzedaje pojedynczym Żydom prawa, czy tam przywileje, na poszczególne majątki chrześcijan: t. zw. prawo *Hazaka*. Nabywca takiego prawa wyzyskuje nieszczęśliwego gospodarza lub obywatela, obsacza go, rujnuje bez żadnej obawy konkurencyi. Jeżeli tymczasem drugi Żyd wejdzie w jaki interes z tym gospodarzem, to będzie tylko pozornie, jedynie na korzyść pierwszego. A choćby ich wielu do licytacji stanęło, on jeden jest

z góry przeznaczonym nabywcą. Niekiedy też prawo od Kahału kupione nie odnosi się do oznaczonego majątku, ale w szczególności do pewnej osoby, którą nabywca wszelkimi sposobami wyzyskiwać może; a takie prawo nazywa się *Meropia*. Widać, że Kahał poczuwa się do *altum dominium* nad wszystkimi majątkami i osobami naszemi, skoro niemi tak wszechwładnie rozporządza.

Czy wszędzie takie Kahały istnieją? Dokumenta, korespondencye przez Brafmanna zebrane, świadczyłyby o ich istnieniu nietylko w zachodnich prowincjach Rosyi, ale i w Kongresówce i w Galicyi i w królestwach Bałkańskich i w wielu prowincjach Niemiec, mniej więcej wszędzie, gdzie się ludność żydowska trochę zagościła. Przypuszczam, że dziś, w miejscowościach, gdzie ta ludność jest więcej po zachodniemu wykształcona, Kahały muszą być nieco liberalniejsze i w niejednym punkcie od Brafmannowego typu odstępują, a przynajmniej ludzi wykształconych pod taki rygor nie podciągają. To jednak nie przeszkadza, że i w takich miejscowościach mogą być siłą ekonomiczno-społeczną, potężną i groźną. U nas w Galicyi Kahały istnieją notorycznie; a czy się zajmują wyłącznie religią i wspieraniem ubogich (jakby należało), czy też zbliżają się mniej albo więcej do rodzimego typu, poprzednio opisanego, o tem podług skutków i objawów sądzmy. Jeżeli widzimy, że i u nas Żydzi, z niewytłumaczalną prędkością i karnością, zbiorowo działają przy owładaniu pewnych targów, opanowaniu pewnych interesów; jeżeli postrzegamy, że nawet pewne osoby, najdzielniejsi często więcej rzemieślnicy, są z dziwną systematycznością trzymeni w istnej niewoli bez wyjścia; jeżeli zauważymy, że i u nas w krytycznych momentach żydowstwa, jakby na skinienie różdżki czarodziejskiej, bardzo znaczne znajdują się sumy; jeżeli spotykamy nieraz w biurach telegraficznych, po małych nawet miścinach, Żydka w hałacie, nadającego depeszę do Ameryki z całemi setkami słów, ale tak ustawionych, że żadnego sensu nie przedstawiają dla tych, którzy nie znają klucza do ich układu; jeżeli skonstatujemy, że najważniejsze wypadki światowe prędzej są wiadome Żydkom po małych miastach, niż samym dyploma-

tom (przekonałem się o tem osobiście z okazji śmierci Aleksandra II.); — to mamy bardzo poważne powody przypuszczenia, że i u nas Kahały są i poza sferą religijno-jałmużnianą czynne, karne, jedne z drugimi aż poza granicami państwa solidarne.

A nietylko u nas, lecz i dalej na Zachodzie, gdziekolwiek trochę więcej Żydów się znajdzie, zaraz są skłonni — jak doświadczenie pokazuje — do tworzenia związków, mniej lub więcej zbliżonych do tradycyjnego kahałowego typu. I bardzo mi się zdaje, że sławny Alians Izraelski, który kilka razy z rozgłosem, a wiele razy po cichu wpłynął na politykę Europy, niezem innym nie jest, tylko rodzajem wielkiego Kahału.

Zresztą, kiedy Żyd naszych miasteczek znajduje siłę w Kahale, to Żyd zachodni, który przejął całą kulturę nowożytną, inną wydobywa z niej siłę. Mówiłem, że liberalizm religijny i polityczny podobał mu się jako broń zaczepna przeciw chrystyanizmowi; otóż i liberalizm ekonomiczny przypadł mu do gustu, jako środek do zwycięzania na polu ekonomicznych interesów. Teorya, idąca z hasłem *laisser faire, laisser passer*, dawała wolne pole ich uzdolnieniu do interesów, nieskrępowanemu zasadami chrześcijańskiej etyki, a przynajmniej nierównie mniej skrepowanemu. W walce ekonomicznej mocniejszy będzie zawsze wołał: *laisser faire!* a słabszy będzie szukał ochrony prawa; otóż Żyd podwójnie się czuł mocny: raz, że przeciętnie więcej posiadał sprytu od chrześcijanina do spekulacyi, a po drugie, że, jak powiedziałem, wogóle daleko mniej się czuł skrepowany sumieniem; więc tylko mógł zyskać na zniesieniu więzów prawnych, które kępowały produkcję, a konsekwentnie spekulację. Kiedy zaś, na tle tej ekonomicznej emancypacyi, wytworzyła się i urosła do światowych rozmiarów potęga kapitalizmu, to Żydzi, którzy spory w niej mieli udział, przyczynili się do nadania tej potędze właściwego swego piętna bezmoralności: kapitał, który za chrześcijańskich czasów zawsze miał do siebie przywiązane pojęcie obowiązku, z zasady liberalizmu stał się od obowiązków wolny, wolny od serca i sumienia, sam dla siebie istniejący, innych ludzi traktujący jako narzędzia, w ciągłej żyjący gorączce rośnięcia i dla jej zaspokojenia najszerszą posiadający swobodę.

Nie sami Żydzi, jak powiedziałem, są panami tej straszliwej nowożytnej potęgi, ale oni są jej panami najwyższymi — i oni na niej własne piętno odbili.

Wobec tego, zdaje się, że zawołany wróg kapitalizmu, socjalizm, powinien być nieprzejednanym przeciwnikiem Semitów; skądże się więc zdarza, że, jak wspomnieliśmy na wstępie, spotykamy co krok w socjalizmie Żydów, i to na wybitnych postępkach? Rzecz, sędzę, tak się ma: socjalizm jest wynikiem liberalizmu i reakcją przeciw niemu. Ustrój społeczeństwa wytworzony przez liberalizm na tak zwanych zasadach 93-go r., ustrój, który rozwiązał dawne spójnie, trzymające w organicznym ukształtowaniu społeczeństwo, sproszkował je na odosobnione jednostki, i niczem innym tych spójni nie zastąpił, tylko prawem — prawem, mówię, a nie możliwością — danem wszystkim dobijania się o wszystko: ustrój taki, sztucznie, wbrew Bogu i wbrew naturze wymyślony, okazał się niebawem nieudolnym i złym; społeczeństwa na nim zbudowane, mimo świetnych pozorów, poczęły wewnątrznie cierpieć; liczba jednostek, które się czuły zgniecione, poczęła wzrastać przerażająco. Pod źle zbudowanym gmachem społecznym rodził się fatalnie grzyb socjalizmu. Rewolucya z początku tego wieku, w imieniu trzeciego stanu zrobiona, postawiła ten gmach, który stać nie może — teraz czwarty stan, robi rewolucyę przeciwko tej budowli, sztuczny wymysł ludzki chce zastąpić drugim wymysłem, jeszcze szaleńszym. Ponieważ zaś Żydzi oświeceńsi przyłożyli, jak mówiłem, rękę do owej budowy liberalnej i zyski z niej ciągnęli sownie, przeto ataki socjalizmu przeciwko ich robocie wogóle, a nieraz i przeciw ich osobom się zwracają.

Mimo to, pewną liczbę jednostek żydowskich spotykamy w szeregach socjalizmu: otóż tebym sprowadził do dwóch kategorii. Są najprzód zapaleńcy, o których szczerości i nawet bezinteresowności nie należy wątpić. Naród ten, jak widzieliśmy na początku, posiada szczególny pęd do skrajności; Żyd łatwiej niż inny wymyśliwa teorye krańcowe, śmiałe, bezwzględne; Żyd też, w danym razie, potrafi się do nich zapalić i poświęcić się im z energią, na jaką niełatwo się kto inny zdobędzie. Dlatego

między twórcami idei socjalizmu dominują Żydzi: Marx, Lassalle, Mendelson i inni. — Oprócz tego znajdują się w szeregach socjalizmu Żydzi, kapiący złotem i tłuszczem, taki Singer np. milionowy bankier berliński, których trudno posadzić o palenie się i poświęcanie wszystkiego dla skrajnych teoryj. Tych obecność w szeregach partyi socjalnej chyba tem sobie wytłumaczyć możemy, że przezorność Izraela każe mu i tu mieć swoich ludzi, ażeby, na przypadek tryumfu tej partyi, zasłonić się od jej ciosów, a może też aby wybadać, czy i ten ruch nie dałby się jakimś sposobem na korzyść narodu wybranego wyzyskać. Do tej ostatniej kategorii, a nie do pierwszej, zaliczam też niebogaty Żydów, którzy wstępują w szeregi partyi, ażeby korzystnie sprzedać na jej usługi swe niepomierne do agitacyi talenta. Takich okazów jest niemało u nas. — Mnie się wprawdzie zdaje, że jeśli socjalizm zwycięży, to mimo wszystkie umizgi, Żydzi pierwsi z brzegu padną jego ofiarą; lecz ostatecznie, któż może wiedzieć, czego jeszcze spryt żydowski dla opanowania tego ruchu nie wymyśli.

III.

Przechodzimy już do wniosków praktycznych. Określiłszy znamiona Żyda i jego stanowisko względem chrześcijańskiego społeczeństwa, w zakresie religijnym, moralnym i ekonomicznym, stawiamy sobie wkońcu pytanie, jak chrześcijańskie społeczeństwo względem Żyda zachować się powinno?

Najprzód przypomina się z historyi system gwałtownych represyj. System ten, jak już mówiłem, nie datuje się od wieków średnich, ale dużo dawniejszy jest od chrystyanizmu. Już praktykował go Faraon egipski, który dzieci izraelskie w nurtach Nilowych topił; praktykowano go w rozmaitych czasach i krajach, ilekroć wyzysk żydowski zanadto ludności miejscowej dawał się we znaki. A jeśli kiedy tłumy, uzbrajane na wyprawy krzyżowe, zaczynały świętą wojnę od mordowania u siebie Żydów, to w gruncie nie innym ulegały pobudkom, niż Aleksandryjczycy za rzymskich czasów, gdy w pień wycinali żydowskie przedmieścia. Gwałty te ostatecznie chybiały celu, wychodziły

nawet zwykle na korzyść Żydów: bo w społeczeństwie ludzkim zawsze przyjść musi chwila, w której prawo reaguje przeciw gwałtowi, — albo społeczeństwo istnieć przestaje; a w wyżej ustrojonych społeczeństwach reakcyja ta musi być prędszą. Lecz i niezależnie od tych względów praktycznych, zbrodnia jest zawsze zbrodnią, większem złem dla społeczeństwa niż wszelkie materyalne szkody. Nadużycia Żydów mogą powody takich zbrodni psychologicznie wytłumaczyć, nigdy ich uniewinnić moralnie nie mogą. Każdy chrześcijanin i każde chrześcijańskie społeczeństwo powinno takie czyny sercem i usty potępiać bezwzględnie i bez zastrzeżeń. I gdyby, co nie daj Boże! u nas coś podobnego się zdarzyło, nie lepszego nie mielibyśmy do czynienia, jak wyjść na ulicę i, z narażeniem własnego życia, bronić Żydów od krzywdy — a nasz lud od zbrodni.

Jeżeli zaś nie godzi się gwałtów przeciw Żydom się dopuszczać, to konsekwentnie też nie godzi się judzić, „hecować“ przeciw nim ludności — to znaczy: działać słowem czy pismem na namiętności ludu, pobudzając go do gniewu, zawiści, zemsty przeciw Żydom. Dlaczego się nie godzi? bo „hecowanie“ prowadzi do gwałtów, i sama nawet nienawiść jest niechrześcijańska. — Ale Żydz, powie kto, sami do tego zmuszają; oni swemi niegodnymi sposobami wyzysku, owładania, wysysania doprowadzają ludność do rozpacz. — Prawda, święta prawda, lecz właśnie dlatego jeszcze mniej godzi się judzić. Kiedy namiętności ludu w pewnym kierunku są rozdrażnione i jakoby w stanie groźnego napięcia, to nawet małe ich potrącenie bywa przyczyną zbrodniczych wybuchów. — Ale, powiedzą jeszcze, jeżeli się nie będzie przeciw Żydom judzić, wydrwiwać, oburzać, to nie zwróci się uwagi opinii publicznej, nie poruszy się mas, a bez tego niepodobna zwalczyć potęgi semickiej, tak ze wszech miar szkodliwej. — Sądzymy, że można inaczej przeciw tej potędze się bronić, jak to niżej powiemy, i nawet szersze koła w tym względzie oświecać; ale choćby nie można inaczej tego celu dopiąć, jednak cel nie usprawiedliwia złych środków. Zarzucamy słusznie socyalistom, że choćby ich cele były najlepsze, to ich taktyka jest zła, bo zależy na judzeniu jednych przeciw

drugim; nie czynmyż jak oni. Od tak rozumianego antysemityzmu nie wahajmy się odciąć.

Skoro więc nie można używać przeciw Żydom ani gwałtów, ani hec, to czy można użyć jakich środków prawnych? czy można mianowicie zgubne ich wpływy okiełznać wyjątkowymi ustawami? W przeszłych wiekach Żydzi poddawani byli wogóle osobnym prawom, które ze skutkiem wszędzie, a szczególnie w Polsce, ograniczyły ujemny ich wpływ na chrześcijańską ludność. W zasadzie istnienie takich praw nie było krzywdą, bo społeczeństwo było prawnie chrześcijańskim, i wogóle pojęcie równouprawnienia nie istniało; każda klasa ludzi, każdy stan osobnym podlegał prawom. W naszym wieku przeciwnie, pojęcie politycznego równouprawnienia wszystkich w państwie głęboko się zakorzeniło w przekonaniach, stało się jedną z podwalin nowego ustroju, i dziś już we wszystkich krajach, prócz Rosyi, Żydzi do posiadania tego równouprawnienia doszli. Może ktoś sądzić, że postąpiono w udzieleniu im tej równości praw zbyt pospiesznie, że należało wprzód lepiej ten grunt zbadać i lepiej go przygotować; ale o odebraniu im danych praw nikt, sądząc, na seryo myśleć nie może. Historia się nie cofa wstecz; równouprawnienie powszechne jest zanadto wkorzone w przekonania, zanadto związane z całym ustrojem dzisiejszych państw, aby można myśleć o zrobieniu w niem wyłomu. Dodam, że prawa wyjątkowe wogóle są wśród dzisiejszego ustroju rzeczą tak rażącą, i są tak niebezpieczną bronią w rękach pewnych partyj politycznych, które kiedykolwiek do rządu przyjść mogą, że, według mego przynajmniej przekonania, nie są one wcale do życzenia.

Ale nie koniec na tem: skoro ma być równouprawnienie z Żydami, to niechże ono będzie prawdziwe, zupełne, niech Żyd nie będzie prawem uprzywilejowany, postawiony przez państwo w korzystniejszych niż chrześcijanin warunkach. Tego przynajmniej możemy i musimy się domagać. Może kogo dziwi samo postawienie takiego postulatu, jednak nie stawiam go napróżno. Faktem jest, że pod wieloma względami położenie Żyda jest w dzisiejszych prawnopaństwowych stosunkach uprzywilejowane.

Synagoga daleko więcej ma autonomii, niż Kościół katolicki, daleko mniej jest przez państwo nadzorowana, krępowana — jakoby na większe zasługiwała zaufanie. Ot np. u nas cmentarze katolickie odebrano Kościołowi i zrobiono z nich cmentarze dla wszystkich wyznań; Żydzi zachowali dotąd swoje cmentarze wyznaniowe. Szczegół względnie drobny, ale wiele takich wyliczyćby można. Co już nie jest drobnym szczegółem, ale ogromną przewagą na korzyść Żydów. to istnienie i tolerowanie przez państwo Kahałów. Pretekstem tej tolerancji jest płaszczyk religijny, jakim się instytucja Kahału pokrywa; ale każdy wie, że to żart, którego nikt bez śmiechu nie wspomni. Kahał jest, jak widzieliśmy, istotną republiką, obejmującą całe życie i wszystkie interesa ludności żydowskiej, mającą swoje prawa, swoje organa i środki przymusowe, swoje sądy, które chyba znowu żartem mogą być nazwane sądami polubownemi¹; jest więc w całym tego słowa znaczeniu państwem w państwie. Co więcej, ponieważ Kahały różnych nawet krajów są w ciągłym porozumieniu, istnieje więc rodzaj federacji republik. Państwo nowożytne ma powody, ma środki, ma więc obowiązek wglądać w tę gospodarkę Kahałów. My mamy prawo się domagać, żeby nas nie sprzedawano bez naszej wiedzy; żeby targi, żeby licytacje, do których stajemy, odbywały się w warunkach równości, a nie były komedią z góry ułożoną, — i to nie przypadkowo, ale stale, systematycznie, siłą tolerowanej instytucji Kahału. Domagajmy się więc, żeby Kahały były zniesione, a w każdym razie nadzorowane i ograniczone do spraw wyłącznie religijno-dobroczynnych, kiedy pod firmą religijną istnieją. A jeżeliby się pokazało, że ludność żydowska nie może się do tego zastosować, że instytucje, publicznie kasowane, tajnie w jej łonie odrastają, w takim razie sama ta ludność dałaby dowód, że niezdolną jest do równouprawnienia z społeczeństwem chrześcijańskim.

Jeszcze czegoś więcej w tym kierunku możemy się od pań-

¹ Talmud i praktyka Żydów pozwala w pewnych razach na sądy polubowe przez partie wybrane poza Bet-Din'em, więc oni sami wcale Bet-Din'u za sąd polubowny nie uważają.

stwa i od ustaw domagać. Szkodliwe są Kahały po naszych miasteczkach, ale może jeszcze szkodliwsi są, jak wspomniałem, ci Żydzi, co przyjęli zachodnią kulturę i wyzyskują liberalizm polityczny i ekonomiczny na swoją korzyść, a na zgubę chrześcijan. Otóż i tu jest coś do zrobienia w zakresie prawnopaństwowym, nie ustawami wyjątkowymi, ale ustawami szczególnie obmyślanemi przeciwko szkodom, jakie wpływ żydowski społeczeństwu czyni. Podobnie jak w Niemczech, w walce przeciwko socyalistom, dano pokój ustawom wyjątkowym, a obmyślają się ustawy powszechnie obowiązujące, któreby zwykłym socyalistów nadużyciom drogę zamykały — tak też dla zwalczenia zgubnych wpływów semityzmu trzeba się starać powszechnemi ustawami obwarować słabsze strony społecznego ustroju, na które Żydzi najwięcej godzą, zabronić powszechnie tych rzeczy, których oni najzgubniej nadużywają. Taką jest np. galicyjska ustawa przeciw pijaństwu, a wiele innych takich ustaw krajowych możnaby z korzyścią obmyślić i zrobić!

Ale i w państwowem ustawodawstwie jest wiele do zrobienia. Liberalizm, jako partya polityczna, jest już i w Austrii i prawie wszędzie w mniejszości, czemuż prawa przezeń ukute, o religii, o szkole, o najważniejszych czynnikach społecznego życia, pozostają w mocy i służą interesom semickim przeciw chrystyanizmowi? Ciężary finansowe państw są niemal wszędzie tak rozłożone, że obarczają głównie, a nieraz przygniatają, siły prawdziwie produkcyjne kraju, a kapitał ruchomy, ten ulubieniec potęgi semickiej, prawie bez żadnego brzemienia się panoszy. Gdy państwa myślą o opodatkowaniu giełdy, gdy próbują najbardziej krzyczącym jej nadużyciom zapobiedz, wzbronąć np. fikcyjnych, niezem nie pokrytych kupn walorów, to zaraz kapitał ruchomy grozi niełaską państwom — i państwa się przed tą groźbą cofają. Weksel, którego wynalazkiem Żydzi się chępią, opatrzony jest pieczołowicie całym szeregiem ustaw, umiejętnie w jego interesie zrobionych, uzbrojony wyjątkową egzekutywą; a rola, a przemysł podobnej pieczołowitości prawa, zastosowanej do ich potrzeb, wcale nie znają. Istnieją izby handlowe, w których, jak wiadomo, królują Żydzi tak zupełnie, że chrześcijańscy kupcy ani próbują się wyłamać.

Izby te w wielu rzeczach mają wpływ na rządy i cieszą się przywilejem wysyłania własnych posłów do parlamentu. Nie ganię bynajmniej zasady reprezentacyi interesów w Radzie państwa, ale kiedy handel ma swoje izby, dlaczegoż przemysł nie ma swoich? dlaczego ich nie ma gospodarstwo? skąd ten przywilej wyłącznie dla handlu? — Mamy w zasadzie równouprawnienie, ale, jak widać, daleko nam jeszcze do tego, żebyśmy byli w prawnej równowadze z Żydami. Do tego więc usilnie na drodze prawnej dążmy.

Wszelako równość prawa, choćby najzupełniej przeprowadzona, nie jest jeszcze ostatniem słowem w kwestyi, którą roztrząsamy. W granicach państwowego równouprawnienia, jeszcze społeczeństwo jako takie różne może zająć stanowiska względem Żydów, różnemi kierować się systemami. A najprzód jest system asymilowania, *alias* polszczenia Żydów, przez wciąganie ich wszelkimi sposobami w społeczeństwo chrześcijańskie. W myśl tego systemu, otwiera się Żydom wszystkie drzwi i ramiona, wpuszcza się ich nietylko do wszystkich urzędów, kasynów, klubów, ale do wszystkich towarzystw, do rodzin, wciąga ich się nawet przymusowo do wspólnych szkół — wszystko w nadziei prędkiego zabsorbowania elementu żydowskiego. System ten bardzo się u nas swego czasu spopularyzował, uchodził za kwiat liberalizmu, w jego imieniu występowano w sejmie, w pismach publicznych. Popiera go też gorąco wielu Żydów do inteligencji należących — w jakim zamiarze? czy wierzą sami w możliwość stopienia się w naszym elemencie, czy przeciwnie pragną zdobyć nowe siły, aby nas pochłonać? Bóg raczy wiedzieć. Pewnie i takie i takie poglądy są między owymi Żydami. Ale jest ich nierównie więcej, nawet w liczbie wykształconych, przynajmniej u nas w Galicyi, którzy temu zlaniu się stanowczo się opierają; chcą zachować całą odrębność żydowską. Takie jest stanowisko potężnej partyi t. zw. „Syonistów“ i jej organu *Przyszłość*. A trzeba wiedzieć, że oprócz ich gazet publicznie znanych, wychodzi pewna liczba gazetek drukowanych po żydowsku, tj. ich gwara ludową, hebrajskimi literami wyrażoną. Tych gazetek zapewne

nikt prócz Żydów nie czyta i może nikt nie policzył, jednak sam język, jakiego używają, pozwala przypuścić, że i one tego stanowiska odrębności bronia.

My, co do tego punktu, nie wahamy się stanąć po stronie tych gazetek i partji Syonistów, a filosemityzm ludzący się nadzieją asymilacyi odrzucić. Asymilacya, absorbeyca Żydów (bez chrztu, rozumie się) jest mrzonką; nigdy i nigdzie się nie udała. Trzeba mieć bardzo naiwną wiarę w wszechmoc szkoły, aby wierzyć, że przepędzane przez jej wrota pokolenia przestaną być Żydami. Już sam fakt, że między Syonistami jest wielu takich, którzy pokończyli gimnazya i akademie, zadaje temu przypuszczeniu kłam. Może kto powie, że trzeba na to więcej czasu? Otóż we Francyi od stu lat Żydzi są równouprawnieni, w publicznych uczą się szkołach, a dziś, po wieku, czy nie są najprawdziwszymi Żydami? czy nie widać w ich zawsze potężnem a solidarnem działaniu wszystkich dodatnich i ujemnych znamion żydowszczyzny?

Asymilacya Żydów wtedy jedynie jest możliwą, kiedy w jakimś kraju są tylko rzadkie odosobnione jednostki. Wtedy dzielniejsze z pomiędzy nich wyrobić się mogą na pożytecznych tego kraju obywateli; zdolności w swej naturze po temu mają. Dlatego w Anglii, gdzie aż do ostatnich prawie czasów nadzwyczaj mało było Żydów, Żydzi ci odosobnieni zostawali dobrymi Anglikami; z pomiędzy siebie nawet wydali lorda Beaconsfielda. I stąd Anglicy nie mogli wcale pojąć ruchu antysemitckiego na kontynencie. Skoro atoli w jakimś kraju, choćby za morzami, ludność żydowska trochę się zwiększa, skoro Żyd czuje bliskość Żyda, a nie osamotnienie między chrześcijanami, zaraz budzi się między nimi rasowa solidarność, poczucie zbiorowej siły; zaczem idzie tradycyjna pogarda dla goimów, i wszystko inne. — Więc w kraju, który z wszystkich na świecie ma najgęstsza stosunkowo ludność żydowską, w Galicyi, mówić o asymilacyi Żydów, jest to łudzić się dobrowolnie — a fatalnie.

Wreszcie doświadczenie uczy, że wszelkie usiłowania, by Żydów asymilować, nie tylko się nie udają, ale do wręcz przeciwnego prowadzą rezultatu: odbierają im resztkę moralnej war-

tości, jaką mieli. Tłumacząc wyżej odporność bezprzykładną żydowskiego nacjonalizmu, przypisaliśmy ją wpływowi religii, niegdyś prawdziwej i bożej; dziś ta religia, na fałszywym stojąca gruncie i nadprzyrodzonych pozbawiona środków, słabo stoi i najmniejszego potrącenia krytycznego rozumu nie wytrzymuje; nacjonalizm zaś, w naturę niejako wryty, całą moc swoją zachowuje. Stąd wszystko, co się robi, ażeby Żydów asymilować, do tego jedynie prowadzi, że odbiera im religię, czyni z nich skończonych materyalistów i ateuszów, a cały ich nacjonalizm zostawia nietknięty. I tacy wogóle Żydzi są, rozumie się, gorsi i pod każdym względem dla społeczeństwa chrześcijańskiego szkodliwsi od owych, co choć jakieś karby czci i bojaźni bożej mieli. Dlatego to daje się raz po raz słyszeć między nami utyskiwanie, że dawni hałatowi i pejsaci Żydzi lepszymi byli od dzisiejszych.

Jest faktem uwagi godnym, że nasze polskie społeczeństwo, jakkolwiek ekonomicznie słabsze od wielu innych a mające w swych granicach więcej Żydów niż jakikolwiek inny naród, jednak nie dało się tak Żydom opanować jak Węgrzy, jak Wiedeń i niektóre części Niemiec, jak się już daje opanować Paryż. Żydzi wyzyskują nas materyalnie może więcej niż innych, wdarli się aż do naszej kieszeni, ale nie wzięli nas z góry, jak wzięli te narody, nie owdładnęli u nas prasy, uniwersytetu, nie mają przystępu do naszego towarzystwa; w niczem, Bogu dzięki, tonu nie nadają. Otóż to szczególne ochronienie naszego społeczeństwa zawdzięczamy, nie ekonomicznej, jak powiedziałem, ale moralnej i religijnej naszej sile, która duchowo trzymała Żydów z daleka. Zawdzięczamy to i temu, że Żydzi też u nas z daleka się trzymali, kształcili się odrębnie w swoich hajderach, żyli wyłącznie dla siebie i między sobą. Były to dwa odrębne światy, które ścierały się w ekonomicznych interesach, ale poza tem się nie znały. Te warunki zachowały się u nas dłużej niż gdzie indziej i po części jeszcze się zachowują. Nie przykładajmy ręki do ich usunięcia — inaczej spotka nas to, co innych spotkało, że nie my zasymilujemy Żydów, ale więcej oni nas zasymilują duchowo.

Cóż więc zostaje do zrobienia względem Żydów, kiedy odpychamy antysemityzm, który judzi, i odpychamy filosemityzm, który ich wciąga i asymiluje? Zostaje jeszcze samoobrona społeczna przeciwko zgubnym wpływom elementu żydowskiego, którąbym nazwał asemityzmem. Tak ją nazywam, bo ta samoobrona nie mieści w sobie nic zaczepnego; zależy ona na tem, żeby społeczeństwo chrześcijańskie, przekonawszy się o zwykłej zgubności wpływu semickiego, zamykało się, zawarowywało przeciwko temu wpływowi, o ile być może poza tym wpływem żyło i rozwijało się.

Czy tak pojęta samoobrona jest słuszną i godziwą? Liberalni Żydzi najgwałtowniejsze przeciw niej podnoszą wrzaski, identyfikują ją z antysemityzmem i ze wszystkimi jego ekscesami, mówią, że jest krzyżącą niesprawiedliwością spychać kogoś na drugi plan, odmawiać mu równego zaufania dlatego, że jest Żydem, bo przecież on może być tak dobry, jak inny; a od czegoż równouprawnienie? — Otóż najprzód o krzywdzie ze stanowiska prawa państwowego nie może tu być mowy, bo rzecz jasna, że mówimy tu tylko o akcyi społecznej w granicach państwowego równouprawnienia, którego, jak już wiadomo, naruszać nie myślimy. Ale i ze stanowiska ludzkiej i chrześcijańskiej słuszności niema w tem, według mego przekonania, żadnej krzywdy: albowiem, kiedy postępujemy podług zasady tej samoobrony, kiedy np. mając sprzedać wieś, wydzierżawić karcznię, unikamy Żyda a szukamy chrześcijanina, to nie sądzymy pojedynczych indywiduów Żydów, nie przeczymy, że u nich znaleźć się może największa prawość, ale z powodu uzasadnionego zdania o niższej moralności i zgubności wpływu ogółu zwykłych Żydów, mamy słuszny powód odmawiania indywiduom tego, czego nie jesteśmy prawnie obowiązani im dać. — To nie jest ani przeciwko sprawiedliwości — według określenia — ani też przeciwko chrześcijańskiej miłości bliźniego: bo miłość ta każe więcej dbać o dobro ogółu niż o dobro jednostek, i więcej o dobro moralne niż o materialne.

Każdy, sędzę, i najsumienniejszy chrześcijanin za dobre uznaje zakładać gospody chrześcijańskie dla rugowania żydow-

skich karczem, majątki wydzierżawiać o ile możności chrześcijanom a nie Żydom, handel chrześcijański szczególnie popierać...; otóż, gdyby określona powyżej zasada była niesłuszną i niegodziwą, to wszystkie te postępowania byłyby niegodziwe — bo one z niej wypływają: w każdym takim postępowaniu wychodzi się zawsze z presumpcyi, że wpływ Żyda jest wogóle szkodliwy, i że z tego powodu słusznem jest ten element uchylać w każdym pojedynczym przypadku, gdzie niema prawnego obowiązku go dopuścić.

Ta samoobrona jest wreszcie i z tego powodu słuszną, że Żydzi powszechnie, jakśmy widzieli, popierają się solidarnie przeciwko chrześcijanom — i aby ta ich solidarność nie przekraczała granic, jakie sobie nasz asemityzm wytyka! Określona więc samoobrona chrześcijańskiego społeczeństwa jest tylko przywróceniem — i to częściowem zaledwie — społecznej równowagi i równości z Żydami.

Jeżeli zaś słusność tej samoobrony i jej potrzeby w naszym zwłaszcza kraju w zasadzie uznajemy, to powinniśmy ją szczerze zastosować w całej rozciągłości. Zamykać przed żydowskim pierwiastkiem przedewszystkiem kółko rodzinne. Już same prawa kościelne chronią nas od związków małżeńskich z nieochrzczonymi — i nieobliczalne przez to wyświadczają nam dobrodziejstwo. Lecz na tem nie poprzestając, powinniśmy trzymać Żyda z daleka od rodzinnego ogniska, do którego tylko zaufani i moralnie godni przyjaciele winni mieć przystęp. Zamykać dalej przed tym żywiołem, o ile w naszej mocy, majątki zwłaszcza ziemskie, które tak szerokie jego złym wpływom otwierają pole. Zamykać nawet w pewnej mierze towarzyskie stosunki; kawiarnie, ogrody publiczne, teatry są dla wszystkich — ale związki towarzyskie, zrobione z wyborem dla wspólnego pożytku, dla zabawy, jak rozmaite kluby, różne stowarzyszenia młodzieży, mogą doskonale postawić sobie warunek, że wyłącznie chrześcijan do swych gron przyjmują. Czy potrzeba może wyliczać moralne straty, na jakie zwłaszcza młodzież przez poufałe pożytki z Żydami bywa narażana? W armii niemieckiej niema ani jednego Żyda na stopniu oficerskim; prawo jednakie

Żydom przysłuży, ale ciało oficerskie uporczywie oświadcza, że nie chce z nimi kolegować. Gdy jeden, za pomocą najwyższych protekcyj usiłował złamać ten opór, wszyscy oficerowie pułku podali się do dymisyi. A podobno duch armii niemieckiej na tem zamknięciu się nie traci.

Jeżeli zaś i w rodzinnej i w towarzyskiej sferze pożądanem jest odcięcie społeczeństwa chrześcijańskiego od wpływów żydowskich, to jeszcze pożądanwsze jest ono w szkole. Wielu się o to pytałem doświadczonych nauczycieli, wszyscy mi jednogłośnie świadczyli, że moralnie szkodliwym elementem dla szkół, nawet średnich, ale zwłaszcza ludowych i wydziałowych po miastach, są dzieci żydowskie, które do nich uczęszczają: chłopcy, a jeszcze więcej dziewczęta. One uczą przedwcześnie dzieci chrześcijańskie niemoralności, matactwa, a w trochę wyższych klasach rzucają często pierwsze posiewy religijnego sceptycyzmu. Niema więc innej rady, jak do tego dążyć, żeby szkoły dla Żydów były osobne — innemi słowy: dążyć do szkoły wyznaniowej. Dużo się mówi przeciwko hajderom; przypuszczam, że one mogą być straszliwie zacofane, trwam jednak w przekonaniu, że dawnym hajderom naszym zawdzięczamy, iż nas masa Żydów u nas osiadła nie załazała ponad głowę jak Węgrów i żeśmy uchowali wiarę i narodowe cechy nasze. Trzeba zapewne hajdery nadzorować, zreformować je, aby je do miary współrzędnych szkół doprowadzić; ale nie odbierać im odrębności, cechy religijno i narodowo-żydowskiej, jaką sami Żydzi zachować pragną. I ich dzieci na tem dobrze wyjdą, bo zachowają, jak mówiłem, cośkolwiek religii, i nasze dzieci wyjdą na tem dobrze, bo zgubnego unikną wpływu.

Może się komu zdaje, że jest sprzeczność między tem żądaniem zachowania hajderów, a postawionym wyżej i ostulatem zniesienia Kahałów; ale co innego jest wobec państwa organizacya społeczno-ekonomiczna, jak Kahał, a co innego szkoła. Według Brafmanna nawet, hajdery wcale od Kahału nie zależą, są to czysto prywatne przedsiębiorstwa nauczycieli, nie mające innej normy jak dobrowolne umowy między nimi a rodzicami, którzy im dzieci powierzają; nie więc nie przeszkadza je reformować. Wkońcu, jeżeli już hajdery są w zasadzie potępione, to

niechże będą dla Żydów po miastach i miasteczkach osobne szkoły z charakterem wyznaniowym. I niechaj ta praktyka, pożądana zarówno przez żydowską jak i przez chrześcijańską ludność, znajdzie wyraz i utwierdzenie w ustawie o szkole wyznaniowej, któraby już raz na dobre uwolniła nas od tej mieszaniny dzieci chrześcijańskich z żydowskimi na ławce szkolnej i (co jeszcze szkodliwsze być może) od nauczyciela ludowego Żyda.

Czy już dosyć tych obwarowań? Nazwa asemityzmu wygląda negatywnie, jednak nie oznacza ona wcale bierności, nawołuje do czynów — ale innych, niż pewni hałaśliwi antysemita. Dla bronięcia skutecznie chrześcijańskiego społeczeństwa trzeba podejmować, dawać w ręce chrześcijan pewne przedsięwzięcia, które Żydzi zwykle opanowują i wyzyskują na zgubę materialną i moralną miejscowej ludności: zakładać gospody chrześcijańskie, sklepiki wiejskie, spółki spożywcze, instytucje kredytowe odpowiednio urządzone dla chłopów, dla małomiejского rzemieślnika. Trzeba też pilnować, każdy w swej sferze działania, zwykłych nadużyć, jakich się Żydzi dopuszczają, i z całą stanowczością prawnymi środkami im zapobiegać. Na wsi, czy się jest księdzem, czy nauczycielem, czy właścicielem lub zarządcą, nie pieścić się z Żydem, który się podehlebja, ale mieć baczne oko nad sposobami, jakimi lud usidla i demoralizuje, przestrzegać włościan, a w razie czynów karygodnych ostrzegać władze. W mieście także wedle możności zapobiegać niemoralnym zyskom, o jakich mówiliśmy w swoim miejscu, przestrzegać młodzieży i innych. Trzymać się zasady, że trwające tajemnie psucie daleko większem jest złem, niż publiczny skandal; ten ostatni nawet nieraz przeczyszczają powietrze. Wreszcie na publicznej arenie, w prasie, w literaturze, w pracy prawodawczej, wykrywać i zwalczać mężnie doktrynę i akcyę żydowską, ze wszystkich najgorszą, osłaniającą się nazwą liberalizmu, a zmierzającą, jak mówiliśmy, do odchrześcijanienia społeczeństwa.

A nadewszystko, i w rodzinie i na wsi i w mieście i w kraju, potęgujemy wszystkimi sposobami życie katolickie, rozumienie

jego zasad, cenie i kochanie jego moralności. To najwięcej, bo od wnętrza, uzbroi, odpornem uczyni nasze społeczeństwo przeciwko zaraźliwym i niszczącym wpływom żydowskiego pierwiastku. To je uzdolni do objęcia Żydów w powszechnem przykazaniu miłości bliźniego, a zarazem nienawidzenia i odpychania wszystkiego, co jest złem, nieczemnem w ich zasadach, dążnościach i praktykach.

Idzie teraz na nasz kraj wielkie niebezpieczeństwo, czy też wielka próba, jakiej nie doświadczył w przeszłości. Chmara Żydów mieszkała u nas od wieków, ale nie wnikała w naszą społeczność, trzymaną była z daleka odrębnem wychowaniem i położeniem prawnem. Gdy, za naszej pamięci, zapory prawne zostały usunięte, nie od razu skutek się dał uczuć w całej pełni, musiały nowe przyjść generacye. Dziś już wielu Żydów naukowo wykształconych pnie się w górę, zdobywa różne stanowiska w ustroju naszego kraju. Ale to są, jak się zdaje, dopiero harcownicy na przedzie idący; gdy się rzuci okiem na gęste tłumy tego szczepu za nimi stojące, które też prawdopodobnie i to niebawem w tym ruchu wezmą udział, to strach przechodzi na myśl, co grozi naszej religii, obyczajom i narodowości. Środki obronne, o których mówiliśmy poprzednio, ograniczyć tylko mogą, może opóźnić ten pochód, powstrzymać go zupełnie nie mogą. Jedynie siły moralne, wzniosłe zasady i uczucia religijne, jakoteż narodowe, wszczepione wychowaniem, spotęgowane życiem, zdolne są postawić nasze skarby duchowe tak wysoko, że ich ten załew nie dosięgnie.

Ks. Maryan Morawski.

KOLEGIUM POLSKIE W RZYMIE.

VI.

„Mój najmilszy księżu Aleksandrze!

„Wskutek wypadku nieprzewidzianego piszę dziś do Ciebie o przedmiocie, który odkładałem do kapituły. Od sekretu zależy udanie się tego interesu, a potem po Bogu od Ciebie. Zmów więc hymn do Ducha Św. a potem czytaj.

„Wiesz, jak ważną byłoby dla duchowieństwa polskiego rzeczą, gdyby się tu otworzyło seryo seminaryum polskie. Otóż nie jest to rzeczą niepodobną. Jeden z naszych przyjaciół (to, jak już wiemy, Czacki) mówił zawczoraj z prałatem, wielki wpływ u Ojca św. posiadającym (to mgr. Franchi), o potrzebie seminaryum polskiego w Rzymie, i dodał, że byleby Ojciec św. dał nam klasztor, tobyśmy je otworzyli. Prałat na to: „Jeżeli Zmartwychwstańcy mogą pokazać pierwszy fundusz na wychowywanie dziesięciu przynajmniej uczniów, to ja biorę na siebie otrzymać dom z tablicą marmurową: *Collegium Pianum Polonicum*, i nie wyjdę od papieża, aż to otrzymam. Ale bez tego mówić nie będę, bo jak Ojciec św. ostygnie raz nad jakim zamiarem, to już go później niełatwo rozruszać. Wskutek tego wracamy do myśli burs. W tym celu piszę do p. T., a przez nią do p. P. i gdzie tylko cień podobieństwa będzie, zastukamy. Ale przy dzisiejszych okolicznościach pójdzie to z kamienia i najwięcej otrzymamy obietnicę, jak wróć lepsze czasy, a tu *il faut battre*

le fer tant qu'il est chaud (trzeba kuć żelazo, póki gorące), bo i prałat ostygnąć nam może.

„Wszystko zaś się zrobi, jeżeli Ci Bóg da do serca, byś mu ofiarował twego Izaaka. Jeżeli napiszesz do Ojca św., przedstawiając mu *casus conscientiae*: co sądzi z większą chwałą bożą i pożytkiem dusz, czy budować z cegły kościółek dla Polaków w Paryżu, czy użyć tych funduszy na zbudowanie kościoła duchowego dla całej Polski przez założenie seminarium polskiego w Rzymie dla odrodzenia duchowieństwa polskiego? Pomódl się szczerze, pomów ze spowiednikiem i, po dojrzałym namyśle, weź postanowienie. Zaręczamy Ci, że słowem jednym nie uprzedzimy za, ani przeciw Ojca św.; ale list przyslij na nasze ręce. Musi go mieć w ręku ten prałat dla zwyciężenia wszystkich hezytacyi Ojca św. Jeżeli poweźmiesz takie postanowienie, odpowiedz telegrafem: *Je consens — Vous aurez la lettre* (Zgadzam się — odbierzecie list). To zaraz przygotujemy faszyny etc. do szturm. Niech Jezus zmartwychwstały mówi i czyni za biedne Zgromadzenie, noszące Jego święte imię“.

List ten był wysłany z Rzymu 13 lutego 1864 r., a już 20 lutego ks. Kajsiewicz pisze znowu: „Niech Ci Bóg i Święci polscy nagrodzą za Twój telegram; uważam rzecz za zrobioną“.

Chodziło tu o „sumę zebraną przez ks. Jełowickiego na postawienie osobnej świątyni dla Polaków bawiących w Paryżu, wynoszącą około 100.000 franków. Suma ta zbyt była szczupła na cel zamierzony, zwłaszcza gdy obietnica darowania placu ze strony miasta spełzła na niczem, a wycieńczenie kraju po powstaniu czyniło prawie niepodobnem zbieranie dalszych składek“. (Pamiętnik ks. Kajsiewicza). Jak o wszystko, tak i o to szkalowani byli Zmartwychwstańcy. Ojciec św. jako sędzia spraw sumienia tę zamianę intencji nie tylko zatwierdził, ale i pochwalił; znaczniejsi dawcy, którzy O. Jełowickiemu do uzbierania tego funduszu pomogli, zgodzili się na takie jego użycie. „Mnieby się zdawało — pisze ks. Kajsiewicz do ks. Koźmiana (29 września 1864), — że niema co odpowiadać na nowy paszkwil w Dzienniku, bobyśmy musieli się chwalić. Czyż nie moglibyśmy byli użyć na nasz alumnat 100.000 fr. przez nas uzbieranych, zastrzegając wolność

odebrania swego datku, gdyby kto nie był kontent ze zmiany przeznaczenia, a nikt, albo prawie nikt nie byłby odebrał; a tak cóż możemy mieć za korzyść? Stół i stancya dla dwóch najzdolniejszych kapłanów ze Zgromadzenia“. A nawet, jak zobaczymy, wcale pewnem nie było oddanie kolegium polskiego w ręce Zmartwychwstańców. I z innej strony założenie kolegium szkodę tylko Zgromadzeniu przynieść mogło. „Nie przewidzieliśmy, pisze ks. Kajsiewicz do ks. Jełowickiego (18 stycznia 1868), oddając 100.000 fr., które mogły służyć do wychowywania młodzieży naszej, że nadto odwrócimy skąpe już jałmużny polskie od nas ku seminaryum. Raczej jeszcze kto pomyśli o gałęziach, nikt o pniu nie myśli, nie bacząc, że gdyby pień z korzeniem uschnął, tożby i gałęzie poupadały. Ale żeśmy byli nieroztropnymi dla większej chwały Bożej i korzyści Jego Kościoła, ufajmy, że nam cudownie przyjdzie w pomoc; bo po ludzku dom rzymski długo w obecnem położeniu pociągnąć nie może. *In te Domine speravi, non confundar*“. A 14 marca, tegoż roku, donosi: „Mówiłem z księżną o naszych potrzebach. Ale tylko jedną rzeczą naraz zdolna się zajmować. Dała mi wczoraj, co miała pod ręką i powiedziała: „jak będzie gotowych 12 burs do seminaryum, to zacznę zbierać dla was“.

Z jednej strony miano za złe, że fundusz ten obrócony został na inne przeznaczenie, z drugiej chciano go właśnie obrócić na co innego. Pod koniec roku 1864 ks. Mikoszewski, aby przeszkodzić utworzeniu się kolegium polskiego w Rzymie, rozpisywał odezwy do biskupów we Francyi i Belgii z prośbą o zapomogę dla kleru polskiego, pozbawionego Ojczyzny i zmuszonego tułać się po Europie. Zebrał z 40.000 fr., a biskupi ofiarowali się przyjmować kleryków polskich do swych seminaryów. 5 listopada pisze ks. Jełowicki do ks. Kajsiewicza: „Bieda bardzo tu ściska Polaków. *Oeuvre du catholicisme en Pologne* oprócz obietnic od biskupów nie jeszcze nie zebrało. Znużeni są nami. A księża należący do tego *Oeuvre* byli u mnie z propozycją, abym im oddał pieniądze zebrane na seminaryum na chleb dla Polaków, mówiąc, że ponieważ biskupi francuscy ofiarują się przyjmować do seminaryum, więc już seminaryum w Rzymie nie potrzebne“. Księża

ci byli to zacni księża francuscy, ale snąć podmówieni przybyli, bo oto zaraz 8 listopada donosi znowu ks. Jełowicki: „Miałem wizytę *anonima* niby z przestrogą, że młoda emigracya bardzo się burzy za odstąpienie 100.000 franków, które wołałaby zjeść. Odprawiłem go z niczem, pytając, czy ona to dała te pieniądze. Nie chciał mi powiedzieć swego nazwiska i prosił o sekret“.

Ks. Kajsiewicz wraz z listem do ks. Jełowickiego wyprawił 13 lutego 1864 i list do ks. Koźmiana: „Rzecz następną polecam całemu twemu sercu i całej twojej gorliwości. Kiedy przed laty czterema był ks. Piotr u was, *Celsissimus* oświadczał się z zamiarem zafundowania dwóch burs seminaryjskich w Rzymie. Wyrozumiej, czy nie zmienił postanowienia; a jeżeli nie, czyby nie mógł uczynić tego oświadczenia na piśmie, choćby w liście prywatnym. Czybyś nie mógł podobnego oświadczenia otrzymać co do owych dwóch burs, które duchowieństwo myśli fundować na cześć jubileuszu Pasterza. Gdybyśmy takie dwa oświadczenia a szczególnie pierwsze mogli mieć w ręku, to, czego nam brak, o cośmy tyle lat się troskali, dostalibyśmy. Zrób, co tylko możesz i nie zasypiaj“. — A do ks. Jełowickiego 13 lutego dodaje: „Zdaje mi się, że już czasy dojrzały, aby się seminaryum polskie udało w Rzymie. Rzym widzi gwałtowną jego potrzebę, a sądzę, że i katolicy polscy zrozumieją, iż nie w Polsce dziś można wykształcić reformatorów duchowieństwa i że pomimo trudności czasów przyjdą w pomoc“.

Widzieliśmy, że ks. Jełowicki zgodził się chętnie na propozycję, i zaraz telegrafem o tem doniósł. List jego przyszedł niebawem. Datowany 20 lutego. „Najmilszy Ojcze. Niech Bóg szczęści! Posyłam list do Ojca św. z załączeniem kopii. Staralem się go tak napisać, aby było znać, że o Polskę mi idzie, to jest o kościół w Polsce, nie zaś o Zgromadzenie; abyśmy nie dali powodu do posądzenia, że interesu naszego Zgromadzenia szukamy. Wolno Ojcu św., komu zechce, to kolegium powierzyć. A to już rzecz Ojca, aby nam. Tylko w takim razie życzyłbym, żeby już dali co porządnego i ze wszech miar dogodnego. A co do napisu *Collegium Pianum Polonicum* życzę redakcyę zmienić, bo dla Polaków coś pianego przypomina. Możeby lepiej *Pii Papae IX*.

Collegium pro clero Poloniae, albo jak się podoba, byle nie piane go“. „Interes, o którym Ci pisałem w ostatnim liście — donosi ks. Kajsiewicz ks. Koźmianowi — doskonale stoi. Uważam go za zrobiony. Nie rozgaduj, ale dla Twojej pociechy donoszę, że ks. Aleksander zgodził się, by, co zebrał na kościół, na ten cel obrócić. Teraz możesz nie naciskać Celsissima; bo jak fakt będzie jawny, z większą siłą da się to uczynić. Ale czuwaj, by bursy duchowieństwa do tego zakładu się dostały. Takem odwykł, by nam co pomyślnego łatwo przyszło, że mi się jeszcze wierzyć zupełnie nie chce, i cieszyć się żywiej nie mogę“.

Papież od razu wziął bardzo do serca sprawę kolegium polskiego. „List Twój — pisze ks. Kajsiewicz do ks. Jełowickiego (27 lutego) — bardzo dobrze napisany. Statek się spóźnił i list Twój nie będzie mógł aż za dni pięć Ojcu św. być przedłożony, o telegramie już wie. My się nie wysuwamy naprzód ani też siebie na dyrekcyę stręczymy: kto inny to robi (Czacki), który o tem pamięta, i owszem położył ten warunek, jako *sine qua non* udania się rzeczy, sprawiedliwości, przyzwoitości i t. d. Żeby gmach był taki, aby był darem papieskim, zobowiązał Polaków i by niezbyt daleko od *centrum* miasta, było przedstawione. Ojciec św. sam to pojmuje. Księżna Odescalchi obiecała dać bursę i jeszcze chce myśleć o białiznie, łózkach i t. d. Inna bezimienna osoba ofiarowała 10.000 fr. Z Paryża miałem odpowiedź od jednej osoby, że na św. Jana porachuje się, ile będzie mogła zrobić. *La cosa diventa seria* (rzecz robi się poważna), jak Ojciec św. powiedział. Poczeiwy Ojciec św. w tych dniach, nie mówiąc nikomu, dlaczego, jeździł podczas przechadzki po ulicach nawet bocznych, przypatrując się, dowiadując i t. d. Nasz protektor taki gmach i z takim kościołem nastęczał, że Ojciec św. powiedział: „macie dobry gust, ale już jest do niego potężny kompetytor“. Wszakże nasz adwokat przekonał prawie, że na tamten cel niestosowny. Zobaczymy; bo widoczna, że już chwila przyszła i że Bóg robi. Co do napisu, to było *à peu près*, nie żeby co było już ukartowanego“. „Ci, co około tej rzeczy chodzą, bardzo są gorliwi — donosi ze swej strony X. Semenenko (19 marca). — Między nimi jest i kardynał Altieri, wielki nasz

przyjacieli. Ale się o tem nie mówi; bo wiele, a może wszystko, na tem zależy, żeby się o tem przed czasem nie dowiedział kardynał Antonelli⁴.

Sprawa kolegium choć powoli bardzo — jak wszystko w Rzymie — ale postępowała. Już 16 kwietnia uwiadamia ks. Kajsiewicz ks. Jełowickiego: „List Twój Ojcu św. już oddany. Przez kilka tygodni audyencyi seryo (*d'affaires*) nie było. Polecił monsignorowi Franchi odpisać ci z podziękowaniem; polecił temuż prałatowi być w Propagandzie i mówić *forte, forte*, że chce koniecznie mieć na seminaryum polskie dom do niej należący po Kapucynach-misyonarzach. Wprawdzie koło Santa Maria Maggiore, ale powietrze wyborne, ogród duży... Na teraz nic lepszego, nawet nic innego do wzięcia w Rzymie niema. Propaganda, zdaje się, nie zdoła oprzeć się, bo Ojciec św. wyraźnie jest w gorączce, aby za życia jego jeszcze — zdaje się przeczuwać, że już niedługo: jutro święci sobie grób u S. Maria Maggiore pod wielkim ołtarzem — aby, mówię, seminaryum polskie stało⁵“. — Propaganda jednak robiła trudności i wykazywała, że domu onego dać nie może. „Mgr. Franchi — pisze ks. Kajsiewicz w tygodniu potem — zastał Ojca św. nerwowego i rozplakanego. Wołał: „Jakież ja biedny, kiedy tak małej rzeczy dla Polaków zrobić nie mogę! Modłę się wciąż: Boże, Boże mój, dopomóż mnie!“ Trzeba tedy było użyć z 100.000 funduszu z połowę na spłacenie wierzyciela Kapucynów. Jak Ojciec św. resztę weźmie na siebie, zawsze będziemy mogli mówić, że On dał dom. Zresztą, co z twego funduszu weźmie, to także już jego, boś mu darował. A głównie chodzi nam o to, wobec kraju i biskupów zagranicznych, dla dostania składek, byśmy mieli dom z rąk Ojca św. Chodzi też, by się seminaryum otworzyło, póki Pius IX. żyje, bo on tę rzecz ma bardzo na sercu — a Bóg wie, co później będzie. Już dziś niektórzy z chętnych nam, przewidując reklamacyjne ambasady, cofają się. Więc główna rzecz, pojmiesz, by się rzecz stała, i jak najprędzej stała⁶“.

Rzecz jednak z tym domem Propagandy przewlekła się. Donosi o niej ks. Semenenko w lipcu i w końcu sierpnia. „W tych dniach musiałem biegać, oglądając rozmaite domy do sprzedania

na radę mgra Franchi, który chciałby rzecz seminaryum skończyć prędzej wynalezieniem innego domu. Coś ich z pięć widziałem; po porównaniu z domem Kapucynów, taka jest przewyżka tego ostatniego, że o innych ani co myśleć. Radził mi tedy ostatecznie samemu szturmować do kardynała Barnabò (prefekta Propagandy). Jeśli da P. Bóg, pójdę do tego ostatniego jutro z rana. Mam jakoś nadzieję, że tym sposobem rzecz się ułoży... Byłem w niedzielę i rozmowa najlepiej poszła. Kardynał gotów oddać polubownie, tylko wystawił stan interesów, i rzeczywiście on sumiennie nie może odstąpić od 18.000 skudów; tyle ciąży na nim obligacyj. Ponieważ są dwa domy, jeden kompletnie wyrestaurowany, mający 35 cel oprócz innych sztuk, i który właściwie ma być obrócony na seminaryum; drugi zaś stary, nieknięty, gdzie Kapucyni mają tylko kuchnię i refektarz, a jest z 8 lub 10 stancyj wszystkiego w dość lichym stanie; więc podzielić własność na dwie części; jedną tamtą niech kupi papież za 12.000 skudów na seminaryum, drugą niech nam oddadzą za 6.000. Barnabò na to się zgodził, i owszem, powiada: „chcę pomódz w tej rzeczy, i jeżeli się tak ułoży, wcale tego domu nie wystawię na publiczną licytację“. Było to w niedzielę. We wtorek trzeba było najpóźniej zakomunikować mgrowi Franchi, bo on we środę raniutko wyjeżdża na audyencyę do Castel Gandolfo. Co do tego ostatniego, tedy ten był najszcześniejszy z tego obrotu rzeczy i nie wątpił o dobrym skutku... Wracam od mgra Franchi. Papież jest *contentissimo*, i nawet po dobrem wyjaśnieniu rzeczy przyznał, że kardynał miał rację chcieć tyle. Tym sposobem nie tylko rzecz dla nas korzystnie się ułożyła, ale się jeszcze pogodziło kardynała z papieżem. *Deo gratias!*“ Kupno owego domu nie przyszło do skutku, na wielką pociechę ks. Jełowickiego, który nie rozumiał, jak może Zgromadzenie kupować coś dla siebie, nie mając grosza, i przeczuwał, że będzie musiał o tę sumę 6000 skudów kołatać u dobrodziejów, których obdarł już na kościół, a względnie na kolegium. Ostrzegał też, że niewygodnie nam będzie obok kolegium, jeśli ono w inne ręce przejdzie. I rzeczywiście, „Mejendorf, poseł rosyjski — pisze ks. Kajsiewicz 3 września — kręci się jak opętany, by semina-

ryum polskiego nie było, a przynajmniej nie w naszym ręku... O. Karol prorokuje, że seminaryum dostanie się Jezuitom. Niech Bóg robi, co chce, choć księżna (Odescalchi) oświadczyła ostro, że jeżeli nie dostanie się nam, to ani ona, ani jej krewni nie dadzą“.

Mogli jednak na ten protest księżnej nie zważać, mając 100.000 ks. Jełowickiego, a i sam ks. Jełowicki pisał do ks. Kajsiewicza: „Wolałbym, żeby przełożonym seminaryum był ksiądz Koźmian, i dla ufności, że najlepiejby je prowadził, i dla ochronienia nas od tego zarzutu, żeśmy pieniądze na kościół zebranych użyli na korzyść zgromadzenia“ (13 września). Na co ks. Kajsiewicz odpowiada: „Zapewne, że ks. Jan lepiejby karność utrzymał w seminaryum, ale znowu niema tyle nauki kościelnej, co O. Piotr i niema między tutejszymi teologami zachowania. Zresztą rzecz niepodobna, nietylko, iżby prowincya poznańska poniosła przez jego oddalenie się niepowetowaną klęskę, ale pisał do mnie, że jeżeli nie uda się przerobić wyroku rządowego, zamykającego jego dwa konwikty (a niema potemu nadziei), będę miał na sześć lat biedy, aż się z długów nie wypłacę“. Otóż pewno nie wypłaciłby się, będąc tu rektorem i mając tylko (jak z początku będzie) stół i stancję. To też seminaryum nie jest bynajmniej na korzyść Zgromadzenia (materyalną), raczej na niekorzyść. To też nie zważaj na to, co ludzie gadać mogą lub będą, a ks. Jan niczemuby nie zaradził, bo uważają go za jedno z nami“ (19 września).

Papież, nie przesadzając kwestyi rektoratu kolegium, „powiedział — pisze ks. Semenenko w Dzienniku pod d. 28 sierpnia — że dobrzeby było, abym pojechał do Galicyi porozumieć się co do seminaryum z biskupami. Stąd mój wyjazd“. Opatrzony został listem do nuncjusza wiedeńskiego, a ten miał dać do każdego z biskupów. — Ks. Semenenko 16 września pisze już z Wiednia: „Drogi mój Ojcze! We środę rano, 14 września, byłem u nuncjusza, który mię najlepiej przyjął, przyrzekł listy do każdego biskupa osobno, radził nie zaczepiać i o nic nie prosić spraw wewnętrznych i wyznań, zgadzał się, aby odbyć wszystko ze sprawami zewnętrznymi. Poszedłem tedy natychmiast do

p. Meisenburga (podsekretarza stanu czyli podministra w sprawach zagranicznych) z listem od kardynała Reisacha. Przyjęcie, jakiego tylko mogłem sobie życzyć. Opowiedziałem interes. Radził notę napisać i być u Bacha (ministra spraw wewnętrznych). Nazajutrz z rana, to jest wczoraj, 15 września, byłem o godzinie 8½ u Bacha, bo tak wczesnie przyjmuje. Zrobiłem to na radę p. Meisenburga, więc też i dalej za tą radą poszedłem; bo mi kazał był *parlez à cœur ouvert*, i ja tak uczyniłem. Spostrzegłem jednak, że trochę był zapięty i ton przyjął nieco oficjalny. Pokazało się, iż go to dotknęło, że mu w Rzymie nie nie powiedziano o tem, chociażśmy niemal razem z Rzymu wyjechali. Odrzekłem, że zapewne nie chciano oficjalnie z rządem traktować, a potem p. Meisenburgowi prawdziwą rację powiedziałem, że Stolica Apostolska nie ma do czynienia w tej rzeczy z rządem austriackim, bo założenie takiego seminaryum jest jej sprawą domową, w której działa u siebie z zupełną wolnością. Jednakże z p. Bachem dobrześmy się rozstali; ja niczego nie żądałem, i dawałem za rację mego otworzenia się przed nim to, że tu nie chcę być *incognito*, i że zawiadamiam, dlaczego tu jestem; — jego szczególnie za radą p. Meisenburga, bo jego zdanie w tej mierze będzie pewnie zasiągnięte; zresztą niczego nie żądam, tylko wolności ruchów. Rozstaliśmy się tedy dobrze. — Od Bacha zaraz poszedłem do Meisenburga i opowiedziawszy mu tę rozmowę, przeczytałem notę. Podobala mu się. Powiedział mi, że w sensie tej noty rozmówi się z Rechbergiem (ministrem spraw zagranicznych) i doniosą o całej rzeczy cesarzowi. Tym sposobem pominie się sprawy wewnętrzne. Rząd będzie dostatecznie zainformowany. Prosił przyjść nazajutrz. — Po mojej wizycie u nuncjusza byłem dwa razy z wizytą u kardynała arcybiskupa, ale nieszczęśliwie. Raz podczas obiadu. Drugi raz wyjechał na wieś, to wczoraj, i nie wróci aż za 4 dni. Więc nie mam co czekać. Za powrotem, da P. Bóg, będę go widział. Zostawiłem kartę i prosiłem mgra Spithala (który jest przezeń dobrze widziany), aby mu opowiedział, po co byłem i będę. Poproszę go nawet, aby mu oddał tymczasem list od kardynała Reisacha. — Dziś z rana byłem znowu u Meisenburga. Mówił z Rechbergiem podług noty,

zgodzili się na jedno, i będą mówili cesarzowi. Tymczasem kazał mi jechać i swoje robić; dodając, że za powrotem będzie może mógł nawet być przedstawionym cesarzowi. Rozmawialiśmy dziś z półtorej godziny o sprawach całego świata, to jest o wielkiej sprawie Kościoła, i nie można znaleźć człowieka bardziej Kościołowi oddanego. Lecz i pierwsze dwie rozmowy nie o wiele były krótsze. — Tak się rzeczy obróciły w Wiedniu, Podług tego, nie czekając, jutro z rana 17 września, ruszam do Lwowa wprost, także według rady p. Meisenburga, który mię objaśnił, że takim zaczęciem działania ze środka regencyi, z poleceniem arcybiskupa, z zapewnieniem, że się wszystko wyjaśniło w Wiedniu, uniknie się wszelkich trudności. Listy nuncjusza mam w kieszeni, więc wszystko gotowe; i, da Bóg, w niedzielę z rana, 18 września, będę we Lwowie. Nuncyusz znowu wyjechał do Brünn na Morawach. Był tyle, ile potrzeba było; miał czas mówić z Rechbergiem o tej sprawie; i to także przyczyniło się do tego obrotu rzeczy, o którym piszę. Dzięki tedy Bogu! Mój Ojciec najdroższy, Pan Jezus zdaje się wyraźnie błogosławić tej sprawie. Ona zresztą Jego, niechże myśli o niej do końca. Ja tylko proszę Go, żebym czego nie zepsuł. Ks. Roman Spithal kłania najuprzejmiej. Poczciwy i kochany! Dał mi na dalszą drogę 100 zlr., za co się będę mógł obracać w Galicyi. Zdaje się, że wszystko napisał co ważniejszego. Czasu mam bardzo mało, bo mnóstwo osób muszę widywać. Ten list napisałem u ks. Spithala, do którego przyszedłem na godzinę przed obiadem (który ciągle u nich miewam), żeby mieć czas wolny. Pan Jezus z nami, drogi Ojciec. Kłaniam wszystkim. Twoje ręce całuję. Syn i sługa, ks. Piotr“.

Dalszą swą podróż ks. Semenenko tak opisuje:

„Wyjechawszy z Wiednia w sobotę, spotkałem w Prerau jadącego z Drezna księcia Eugeniusza z żoną. Jechali oboje do Przeworska, gdzie siostra księżny Eugeniuszowej, księżna Janowa, leżała śmiertelnie chora. Odbyliśmy tedy tę podróż razem od 10 czy 11 z rana do 3 w nocy i mogliśmy przez te 17 godzin o wszystkim się rozmówić. Mówilem mu o seminaryum i poleciłem. Przyrzekł starać się... Nazajutrz, w niedzielę 18 września

stanąłem we Lwowie. Zajechałem wprost do arcybiskupa, ale go nie było, więc tuż obok do seminaryum i stanąłem u ks. Puszeta, do którego mnie już przedtem zapraszał i posyłał ks. Łętowski, biskup... Nazajutrz pojechałem do Obroszyna, wsi ks. arcybiskupa, w której latował. Tam przepędziłem czas aż do wieczora. Oddałem list od nuncjusza i wyłożyłem cały stan rzeczy. Przyrzekł jednego ucznia utrzymywać na swoim koszcie. (Będziemy się starali, żeby drugiego wzięła na siebie kapituła). Bardzo był chętny... Musiałem dwa dni czekać we Lwowie na panie N., od których spodziewałem się sukursu na dalszą drogę... Przez ten czas bywałem, gdzie tylko mogłem we Lwowie i korzystałem z pobytu, ale to za długo byłoby opisywać. Najważniejsza jednak rzecz, była moja wizyta u Litwinowicza... O ile przyjęcie było niedowierzające i ceremonialne, o tyle dalsza rozmowa była szczerą i serdeczną... Prosił mię, czyby nie mogli u nas przebywać dwaj alumni jego, już księża, którzyby na jego koszcie ciągle (to jest zmieniając się jedni po drugich) uczyli się w Rzymie całej jurysperycyi po świętych kongregacyach. Na myśl i chęć tak szczęśliwą i płodną w tak dobre skutki nie mogłem wahać się i odpowiedziałem, że i owszem. Ale prócz tego i inne jeszcze traktowaliśmy rzeczy, o których długo byłoby pisać, a które, da Bóg, za widzeniem się opowiem... *NB.* Powiedział mi, że w Rzymie sam Bach mu mówił, iż mógłby owych swoich alumnów u nas umieszczać. Zresztą we Lwowie wszyscy, których widziałem, wielką okazywali przychyłność“...

Ze Lwowa pojechał ks. Semenenko do Jazłowca, bo nie był czas po temu, aby coś we Lwowie zrobić. Wszyscy byli za miastem. O pobycie jego we Lwowie pisze jeden z serdecznych przyjaciół Zgromadzenia do ks. Kajsiewicza. „Muszę Ojcu o sukcesach O. Piotra coś powiedzieć, bo o tem niezawodnie sam nic nie pisał. Prawda, że odkąd Lwów Lwowem, tak mądrego człowieka w nim nie było; ale też okrutnie tu wszystkim za imponował. P. Maurycy Dzieduszycki mojej żonie powiedział: *Je ne me suis jamais senti aussi écolier.* (Nigdy tak się nie czułem żakiem). Orłowski, ks. Puszet i ks. Morawski zachwyceni nim są i bardzo około sprawy seminaryum krzątają się... *Ex Consilio*

wypada, że O. Piotr musi za powrotem z Jazłowca dłużej tu zabawić, bo niepodobna tu prędko coś zrobić. Ks. arcybiskup mówi teraz, że wziął jednego kleryka na siebie, ale że musi się z rządem porozumieć. Żeby kapitułę przekonać, trzeba także czasu, by na jednego kleryka się złożyła, a nakoniec trzeba, żeby O. Piotr u tutejszej arystokracji pokręcił się, niejeden obiad zjadł, entuzjazm trochę wyeksploatował, a może 2 lub 3 kleryków między sobą rozbiorą... Jeżeli O. Piotr stąd z kilku klerykami pewnymi nie wyjedzie, to w Przemyśle i Tarnowie ledwie po pół kleryka dostanie“.

Ks. Semenenko ze Lwowa 25 października pisał do księdza Koźmiana, pytając: „Czy mi radzisz jechać do Poznania w interesie seminarium? Mam wizę pruską z Rzymu na moim paszporcie, więc trudności do wyjechania nie byłoby; ale czy będzie pożytek? albo czy jest potrzeba? Tu we Lwowie nieźle mi idzie. Na Wszystkich Świętych mam mieć kazanie w katedrze, w obecności arcybiskupa. Stąd mam pojechać do Przemyśla, do Tarnowa i do Krakowa, potem do Wiednia. Stamtąd dopiero pojechałbym do Poznania, wziąwszy list od nuncjusza“. Ks. Koźmian odpisał: „Oczywiście, że trzeba, abys tu przyjechał“.

Kiedy tak ks. Semenenko pracował w Galicyi, w Rzymie sprawa kolegium różne przechodziła koleje, a już nawet zjeżdżali tam klerycy. O tem donosi ks. Kajsiewicz: Do ks. Semeneki 25 października: „Ani mi się śniło, byś zacząwszy interes w Wiedniu i Lwowie, siedział potem spokojnie kilkanaście dni w Jazłowcu. Więc sądzisz, że nieprzyjaciel śpi? I tu był namajstrował przeciwko naszej dyrekcji. Zawczoraj Miro (Czacki) naprawił, ale kwestya, czy jeszcze się nie zmieni. W Paryżu mgr. Segur i O. Petelot ogłosili składkę na seminarium polskie we Francyi (zwiedzeni przez ks. Mikoszewskiego). Należało nuncjusza, Dulasa etc. w przejeździe ostrzedz przynajmniej. Trzech Poznańczyków już przybyło. Mieszkają tymczasem u św. Klaudyusza, ale gdyby Rusini przybyli, ani sposobu ich umieścić... Ojciec św. nie dać nie może, bo niema. Więc dotychczas *molti complimenti ma nostra sostanza*. Ojciec św. chce, by za wzór regulaminu wziąć regulamin *Seminarium Pianum mutatis mutandis*, i do tego będziesz

potrzebny, a zabrałeś się podróżować całą zimę. Bóg z tobą mój nieobrotny Bracie“. Do ks. Koźmiana 29 października: „Trzej Poznańczycy przybyli i postawiliśmy ich u nas u św. Klaudyusza, ale już się uwolnili od rozmyślania z powodu, że szkoda czasu. Serce mi się ścisnęło, co to za zarozumiałość. Wszystkich uważają za osłów. Jakie cenienie nauki samej, jaki żal czasu i lekceważenie nabożności. Powiedziałem im, że teraz mogą się uważać za prostych lokatorów, prosiłem tylko, by wieczorami nie wychodzili; ale ostrzegłem, że w seminaryum będzie choć pół godziny modlitwy rannej, rachunek sumienia etc. Dzieci jeszcze; przejrzą z czasem; ale tymczasem popiszą banialuki do Księstwa, jak odgrają się, by tu już nikt więcej nie przyjechał“. O! biedna, biedna Polska. *Quod si sal evenerit in quo salietur*. Puszczam się z Wielkopolanami na Mentorellę. Może się uda. *Santa pazienza!*“ 3 listopada: „Wyprawa do Mentorelli podobała się Poznańczykom: ale pokazuje się, że tu przybyli ze strasznem uprzedzeniem do nas. Trzeba czasu, by się zorientowali i poczuli potrzebę modlitwy, i wyleczyli się z zarozumiałości“. Do ks. Jełowickiego 26 października: „Tobie jednemu powierzam, o czem się świeżo dowiedziałem, że w czasie pobytu Ojca św. kardynał Antonelli zachwiał go był w postanowieniu oddania seminaryum nam, grożąc trudnościami dyplomatycznymi, ile że p. Mejendorf oświadcza, że rząd jego nie przeciwko seminaryum niema, byleby nie było w ręku naszych. Otóż Bóg dopomógł naszemu przyjacielowi (Czackiemu), że na wczorajszej audyencyi to przerobił.. Mój drogi! Same trudności, jakie spotykamy w przeprowadzeniu tej rzeczy, pokazują, jakiej ona jest wagi. Róbmyż, co możemy z naszej strony, aby jej nie upuścić“. 5 listopada: „Nie pisałem zeszłym kuryerem, bom puszczał się na Mentorellę z nowo przybyłymi Poznańczykami. by ich trochę oswoić. Protestowali, że nie mogą czasu marnować na rozmyślanie, bo przyjechali uczyć się, by wziąć stopnie. O mój Boże! Gruby naturalizm panuje w Polakach, nie wyjmując duchownych. Ze świeżo zaciągniętych sześciu Polaków do wojska, trzech już uciekło. Żadnym sposobem nie można kogokolwiek rekomendować, bo arcyrzadki wyjątek, że się bez kompromitacyi wychodzi. Niemilo nam przyznać sobie

fakt niewątpliwyy, że Polacy moralnie strasznie upadli“. 8 listopada: „Z seminaryum znów krok naprzód się zrobiło. Ojciec św. przystał, by był kardynał prezezem komisyi, byle uczony, nie mający do czynienia z polityką, i nie protestował przeciwko proponowanemu Reisachowi; powiedział tylko *un polaccone*. 15 t. m. ma kardynał Reisach mieć posłuchanie, to zapewne go zamianuje. Staramy się zaś, by dwoma innymi członkami byli mgr. Franchi i Simeoni. Kardynał Antonelli, który się nieco uspokoił na przedstawienie, że na teraz w każdym razie z Polski rosyjskiej uczniów spodziewać się nie trzeba, ale zacząć od Galicyi i Księstwa, — spodziewamy się, że całkiem ochłonie, gdy dowie się o protektorstwie kardynała Reisacha, którego i osobiście i jako Niemca rodem wielce poważa“.

W dalszym ciągu ks. Semenenko zdaje sprawę ze swoich obrotów. Píše ze Lwowa 8 listopada: „Donosiłem, że mam mieć kazanie na Wszystkich Świętych. Kazałem tedy w ten dzień przed arcybiskupem, kościół był literalnie nabity samymi niemal mężczyznami. P. Bóg widocznie pobłogosławił. Była deputacya u arcybiskupa (hr. Rusoeki, hr. K. Krasiecki, Orłowski i t. d.), żebym tu w Adwent kazał. Arcybiskup do mojej woli zostawił. Skoro do woli, więc ja nie mogę się podjąć, bom nie po to przyjechał. W każdym razie niech mi Ojciec odwrotną pocztą napisze, czy mógłbym się podjąć... W przyszłą niedzielę, na św. Stanisława Kostkę mam kazać u OO. Jezuitów. Otwierają się tu różne widoki na fundacye do seminaryum, za któremi trzeba chodzić. Oprócz fundacyi 1) arcybiskupa i 2) zdaje się kapituły, idzie teraz 3) o fundacyę jednej przynajmniej bursy przez miasto Lwów. Prezes miasta (burmistrz) najgoręcej tę rzecz przyjął, i jest nadzieja, że rada zatwierdzi (to cały parlament z 70 członków), 4) o fundacyę albo zobowiązanie się utrzymywania jednego ucznia przez bractwo rzeźników; a może i 5) przez bractwo św. Józefa z Arymatei, a może nawet i 6) przez stowarzyszenie czeladników. Prócz tego jest prawie pewna nadzieja 7) jednej fundacyi przynajmniej przez miasto Drohobycz. Te wszystkie tedy otworzone nadzieje wymagają zajęcia się ich ziszczeniem, co wymaga pewnego czasu, a znowu rzecz zacząwszy, nie wy-

pada jej odbiegać, póki pomyślnie idzie... Pokazuje się z tego, że najważniejsza rzecz uderzyć na niższe warstwy, ale liczniejsze i ochotniejsze. Na stowarzyszeniu czeladników byłem raz przez cały wieczór. Przemawiałem. Potem była dysputa ks. dyrektora (ks. Odelgiewicz najślawniejszy tu kaznodzieja) ze mną, on niby szatan a ja anioł, w sensie przydatnym dla czeladników. Byli *extra* i *ultra* zadowoleni... Wyrażnie Pan Bóg wziął w swoją opiekę całe tu moje stanowisko, i pozwala i pomaga w spełnieniu tego, po com przyjechał. Niechże sam całą rzecz do końca prowadzi⁴.

18 listopada: „W przeszłą niedzielę, 13 listopada, miałem tedy owo kazanie na św. Stanisława Kostkę w Kościele OO. Jezuitów. Kościół był przepełniony i w kościele ścisk niesłychany. P. Jezus wyraźnie mi pobłogosławił, i czułem, jak nigdy, moc Jego w mówieniu. Nazajutrz musiałem się znowu stawić w policy; ale to nie było z powodu kazania, tylko z powodu składki, o której głosiła *Gazeta Narodowa*, że znaczne sumy! Wy tłumaczyłem raz jeszcze, że składek nie zbieram, że tylko jeśli kto dobrowolnie sam daje na ten cel (seminarium) na moje ręce datek do oddania Ojcu św., tedy przyjmuję; zresztą, powiedziałem, że namawiam do złożenia funduszów stałych, ale że te będą składane Ojcu św. i że za pośrednika wskazuję nuncjusza, przez którego ręce tam dochodzić będą. Przyjęto moje tłumaczenie i przepaszano, że mię po raz trzeci turbowano; ja odpowiedziałem, że wcale o to nie rozżalony, zwłaszcza, że to stan obłączenia; że owszem uznaję ich wyrozumiałość, jednakże dałem do zrozumienia, że za mną jest Ojciec św., że moja pozycja jest bardzo jasna, i że mogłoby być przykro Ojcu św., gdyby były jakie przeszkody. Ale oni to dobrze rozumieją... W tym tygodniu już myślałem o wyjeździe, kiedy mi pisze ks. Łobos z Przemyśla, że ks. biskup tamtejszy pojechał do Wiednia na 10 dni, więc nie zastałbym tam biskupa. Tymczasem 3 grudnia są imieniny arcybiskupa, na które przyjedzie tu także biskup przemyski, i już ks. arcybiskup przebąknął komuś (tak pewno, żeby się to do mnie dostało), że ja tu pewno zostanę na jego imieniny. Z drugiej strony zachody o owe fundusze nie pokoi-

czone; a tu do tego jeszcze się to przyłącza, że mię z różnych stron zapraszają, bym kazał Adwent. Więc w tej chwili oczekuję, żeby mi P. Jezus dał wyraźniej poznać, czy mam tu pozostać i kazać.

20 listopada. „Wczoraj, mój drogi Ojcie, otrzymałem Twój telegram, żeby nie kazać tu Adwentu. Bardzo z tego kontent, bo się rzecz wyjaśniła i otrzymałem prędko, o com prosił P. Jezusa, żeby wiedzieć, czy tu zostać na Adwent... Załatwienie się tej sprawy tutaj nie mogło się tak prędko, pomyślnie odbyć. Zostałem tu grunt zupełnie nie przygotowany; trzeba było rozruszać, trzeba było, że tak powiem, stworzyć. Do tego trzeba było publicznego słowa“. 20 grudnia: „Kiedy na święto ks. arcybiskupa przyszedł telegram, abym wyjeżdżał, z początku arcybiskup opierał się, ale na końcu bardzo się dobrze rzecz ułożyła; a Bernardynom mogłem tak dogodzić, że jeszcze tydzień został we Lwowie (co było tylko dwa dni dłużej niż mi Ojciec w telegramie termin napomykał), i przez ten tydzień miałem trzy kazania. Więc tylko na czwartą niedzielę kazanie na nich się zważało. Tak się tedy rzeczy dobrze obróciły... Nazajutrz (12 grudnia) miałem wyjeżdżać. Ale się wtrącił ważny interes. Przyjechał był właśnie mało co przedtem p. Baumgarten, namiestnik nowy. Poradziłem się — i wypadło (arcybiskup był także tego zdania), że wypada, abym był u niego... Miałem audyencyę 14 grudnia, bardzo jak się należało, jak sobie życzyć można było. Głównym moim celem było podziękowanie władzy za dobre obejście się — i tylko wstrętnie było o seminaryum. Namiestnik bardzo się o tem należycie wyrażał. Ja zaś o tem mówiłem jako o rzeczy obcej — i jako trzecia osoba; a co do siebie samego, ograniczyłem się na podziękowaniu. Rozumiem jednak, że to dobry wpływ wywarło. Zresztą myśli o tem P. Jezus. Nazajutrz, we czwartek, musiałem jeszcze jedną i drugą rzecz uczynić. Z rana musiałem mieć naukę do pań Towarzystwa św. Wincen-
tego à Paulo, na ich rocznem posiedzeniu. Proszę wiedzieć, że w dzień Niepokalanego Poczęcia miałem wieczorem do stowarzyszenia męskiego, zebranego pod przewodnictwem ks. arcybiskupa, podobną naukę. Moralnie tedy nie mogłem odmówić,

bo tylko o jeden dzień chodziło. Tym sposobem dopiero w piątek 16 grudnia wyjechałem. W Przemyśle mnie biskup z początku zimno przyjął. Ale powoli P. Jezus usposobienie przemienił. Usilnie chciał mię zatrzymać na święta, ale się wymówił; obdarował jałmużną na własne potrzeby, a przytem wszyscy księża (ze 12), koło niego będący, szczególnie wszyscy profesorowie seminaryum, od rana do wieczora ze mną czas przepędzali, i mogę powiedzieć, że tu w innym niż we Lwowie rodzaju P. Jezus pobłogosławił... We Lwowie to się zrobiło, że są cztery miejsca pewne (rozumie się po ludzku mówiąc), a piąte w nadziei z Drohobycza. Ale prócz tego szlachta ma się złożyć na fundusz — i p. hr. Rusocki, jeden z najznakomitszych obywateli Galicyi, podjął się plenipotencyi do tego. Jest nadzieja, że będą mieli więcej pieniędzy na wiosnę“.

Ks. Kajsiewicz tłumaczy się w listach swoich, dlaczego tak mu pilno, aby ks. Semenenko prędzej już się miał ku powrotowi. „I jabym nie pilił O. Piotra — pisze do ks. Jełowickiego (22 listopada), ale kiedy nasi protektorowie tu pilą. Trzeba, aby on napisał regulamin, i aby go obronił przed komisją, już ustanowioną pod prezydencją kardynała Clarelli. Oni zechcą naśladować regulamina włoskie, a do naszej dorosłej młodzieży one nie stosowne. Dalej czas, aby nareszcie ks. Piotr otrzymał nominację na rektora, a kardynał Clarelli, choć pochlebnie o nim słyszał, osobiście go nie zna; nie wiadomo jeszcze, czy zechce go nieobecnego i nieznanego przedstawić. Słusznie tedy mówią, że byleby O. Piotr już był we Francyi pod ręką, toby się go tam zostawiło, gdyby koniecznie potrzebnym nie był. Ważna, by był pod ręką na przypadek jego tu niezbędności“. A 10 grudnia: „Naleganie na O. Piotra jużes zapewne zrozumiał skutek mojego listu do niego. Chodzi o to, by wyjechał z honorem sam, a nie z rozkazu. Dopóki Austria nie skończy z Włochami, będzie zawsze oglądała się na Rosyę. Z seminaryum byle tylko nie załamać i zostawić rzeczy jak są do lepszych czasów. Na mgr. Franchi nastawać nie będę, także, żeby nie załamać. Wyraźnie chce wycofać się z protektorstwa rzeczy polskich, bo to niewygodne. Proklamacya (nieczytelne), ucieczka żołnierzy Polaków *mit Sack*

und Pack, sprawowanie się księży polskich w Trinita, mianowanie znowu Kulezyckiego agentem w Rzymie rządu narodowego etc. etc. sprawia, że dziś niewygodnie z Polakami. I my znosić musimy po raz trzeci złe czasy. Cóż robić! To nasz dochód czysty. Wszystkiego w niebie się spodziewajmy“. A w trzy dni potem: „Na ostatniej audyencyi Ojciec św. dając dobrą nadzieję *che la cosa si farà*, powiedział: *aspettiamo che el Semenenko torni...* I nam korzystnie nie czekać. Póki Ojciec św. oburzony na Rosyę za kasatę klasztorów, to może nie będzie oglądać się na dyplomacyę i Antonellego“. A do ks. Semenienki pisze (3 grudnia): „Dziękuję najprzód pokornie Bogu naszemu, dawcy wszelkiego dobra i pociechy, za miłościwą opiekę, jaką Cię dotychczas otacza. Gdyby odemnie zależało, ze względu na seminaryum, jabym Cię nie był pił, alem się musiał oglądać na pałac Odescalcich, a mianowicie na monsignora... Powtóre, Ojciec św. wskazał regulamin swego *Pianum* jako wzór (gdzie właśnie nierząd klasyczny ma panować), dodał wszakże: *mutatis mutandis*. Ale czy nie można się lękać, aby nałożono regulamin, któregooby nasi w żaden sposób strawić nie mogli? Więc tyś potrzebny nietyle jeszcze, by regulamin ułożyć, ale by go obronić, i zachowując pozory rzymskie, dać mu krój nowożytniejszy“. 16 grudnia zaś donosi: „Z seminaryum wszystko zawieszone do Twego powrotu. Tak Ojciec św. powiedział. Kazał mgrowi Franchi pocieszyć Mira (Czackiego): *Speriamo che si farà*. I Bach skończył na tem *attendons Semenenko*. (Czekajmy na Semenkę). Bo pocziwy kardynał Reisach był u Bacha, aby działanie Mejendorfa zneutralizować. Bach mówił: „Ta podróż nam nie na rękę. Cierpimy przez wzgląd na Ojca św., ale Wasza Eminencya pojmuje, że w naszym położeniu musimy menażować ościenne mocarstwa. My do tych księży nic nie mamy, ale cesarz nasz nie ma w nich pełnego zaufania etc.“. Na to pocziwy kardynał: „Innych nie znam dosyć, ale co za Kajsiewicza i Semenenkę obie ręce w ogień włożyć. Wtedy Bach: „Czekajmyż, aż Semenenko wróci“. Więc jeśli ci się uda mieć posłuchanie u cesarza, to dobrze — ale nie forsuj. Mejendorf oświadczył Antonellemu chęć cesarzewicza bycia w Rzymie, byle był pewny, że Ojciec św. nie będzie mówił o Polsce. „Nie po-

dejmuję się dawać nauk Ojcu św., rzekł kardynał. „To nie przyjedzie”. *Pazienza*. To dobrze, ale ogólnie źle nasze rzeczy stoją“.

W Rzymie przybył nowy kandydat do zakładającego się kolegium polskiego, o którym tak ks. Kajsiewicz do ks. Jełowickiego pisze (27 grudnia): „Wykryła się tu zabawna historia. Miesiąc temu przybył do mnie człowiek lat 40 przeszło, nazwał się Stanisławem Kamińskim z Kobryńskiego, skompromitowanym; oświadczył, że chce zostać księdzem, pytał o seminarium, a tym czasem chciał u nas zamieszkać. Poradziliśmy mu wziąć izbę wolną u ks. de Sanctis na trzeciem piętrze, co zrobił. A że był jakiś tajemniczy, nawet u niego nie byłem; zaprosiłem tylko na wilię. Kilka dni przedtem Poznańczycy tutejsi zaczęli przebąkiwać, że to p. Stanisław Ł., który nagle znikł z domu, cośmy i w *Czasie* wyczytali. Macałem go z daleka, ale trwał przy swoim. W wilię, w południe, wysłałem list do ks. Jana, prosząc, by dostał fotografię jego od rodziny, aby rzecz wyjaśnić. Wieczorem już się byli goście na wilię zeszli i jego czekaliśmy, kiedy mnie wywołują do pierwszego pokoju i oznajmia mi się pani Ł., szukająca męża. Pytam o fotografię. Zostawiła u posła pruskiego. Poszła na górę weryfikować i znalazła mężuła, który chce gwałtem zrobić ze siebie ofiarę P. Bogu. Dwa razy długo z nim mówiłem, tłumacząc mu, że można P. Bogu zrobić z siebie ofiarę bez kapłaństwa, że może zresztą tymczasem uczyć się w domu teologii, a jeżeli przeżyje żonę, to wtenczas urządziwszy się z dziećmi, zgłosi się do biskupa. Zdaje się, że wróci. W każdym razie żona woli, by tu siedział, niż gdzie czmychnął bez śladu. Wyjeżdżając zostawił testament, zapisując pół majątku na seminarium polskie w Rzymie. Nieprzyjaciele nasi mogliby stąd wziąć asumpt do czernienia nas, ale sama żona świadczyłaby głośno za nami. Jaka to Polska biedna! Gdy się co pocziwego wyrodzi, to jeszcze często bzikowate“.

(Dok. nast.).

Ks. Paweł Smolikowski.

Z PAMIĘTNIKÓW JENERAŁA CHŁAPOWSKIEGO.

III. Oblężenie Gdańska. — Dostanie się do niewoli (1806).

Po dwóch dniach pomaszerowaliśmy o dwie mile bliżej Gdańska do wsi Żuławek, gdzie przednia straż stała. Dochodząc do wsi, spostrzegliśmy po pagórkach pikietę ułanów Dziewanowskiego. Strzegli się widać naokoło, gdyż te pikietę w tyle stały. Pułkownik Dziewanowski uformował był ten regiment w Bydgoszczy z tak zwanego pruskiego regimentu towarzyszków, którego większa część przeszła była pod Fordonem do nas, skoro tylko na drugiej stronie Wisły zobaczyli nasze wojsko. Był to zatem żołnierz dobrze wyrobiony. Znajdowało się jeszcze w tym regimencie kilku oficerów i podoficerów z polskiego dawnego wojska Kościuszkowskiego, którzy zaraz po rozbiórce kraju weszli byli z całym oddziałem pułku „złota wolność“ w służbę pruską dlatego, że byli z Augustowskiego, które się Prusom dostało. Do tych 600 ludzi dobrano 300 rekrutów z Bydgoskiego i tym sposobem utworzył się weale piękny regiment. Mundury tego jedyne pułku ułanów w armii pruskiej były kroju polskiego, kurtki granatowe z karmazynowymi wyłogami, a mówili mi, że chorągiewki u lanc nawet były czerwone z białem.

Wieś Żuławek porządna, ładnie położona, należąca do jakiegoś pana, którego nazwiska nie powinienem być zapomnieć, gdyż bardzo uprzejmie nas przyjął. Był to staruszek mianowany jeszcze za Fryderyka II. szambelanem, ale w Berlinie nigdy nie powstał. Zaraz po pierwszym podziale kraju mnóstwo obywateli

wysprzedało swe majątki za bezcen — niektórzy nawet darowali je urzędnikom swoim, a sami przenieśli się do części Polski jeszcze niepodległych. Fryderyk II. różnemi sposobami szlachtę do wyprowadzenia się poduszczał, ażeby wsi swymi Brandenburchykami obsadzać. Z Żułavek pomaszerowaliśmy 3 mile pod Gdańsk. Uszedłszy dwie, ujrzelśmy na prawo i lewo wszystkimi drogami posuwające się dywizye ku miastu. Stanowiliśmy prawie środek; przed nami maszerowali ułani Dziewanowskiego, a za nami bateria francuska. Po naszej prawej szedł na czele jeden regiment lekkiej piechoty francuskiej nr. 2, za nim dywizya saska. Na lewej zaś posuwał się pułk 10-ty strzelców konnych francuskich, za nim bateria i brygada Badeńczyków, dalej na lewo jeszcze legia północna Radziwiłła, a przed nią jazda pod jenerałem Sokolnickim, zebrana z powstań poznańskiego i kaliskiego. Piękny był to widok, jak wielka mustra. Przednie straże jazdy gdzieniegdzie z pistoletów strzelały. Kilkanaście tylko strzałów działowych ze strony nieprzyjaciela padło — z naszej nie widziałem nawet, żeby która bateria była się rozwinęła, a tem mniej odprzodkowała. Dywizya nasza zatrzymała się pod Bomfeld, ale nasz regiment wkrótce potem pomaszerował na lewo pod wieś Schoenfeld i tam na noc rozłożyliśmy się obozem. Jak tylko się ściemniło, powstał ogromny ogień. Nieprzyjaciel zapalił wszystkie przedmieścia; paliły się noc całą; w obozie naszym tak było jasno, że czytać można było.

Staliśmy dwa dni pod Schönfeldem, trzeciego zmieniliśmy obóz z 12-tym regimentem i stanęliśmy pod wsią Kowal. Co dwa dni tak zmienialiśmy się, nie wiem, dlaczego, bo tu i tam staliśmy w obozie, tylko sztab w chałupach. Powietrze było dżdżyste, ale śnieg pokrywał ziemię. Mielśmy słomy dość na budy i na leże, żywność regularnie rozdawano — chorych nic. Łatwo przyzwyczai się człowiek do życia pod gołym niebem, tak że żadnej przykrości z tego nie doznaje, a z dobrymi kolegami wesoło czas płynie. Placówki stawialiśmy przed obozami, i kilka razy kolej na mnie przypadła. Zanotowałem sobie 12-go marca noc na placówce bardzo przykrą, bo już byliśmy się jako tako urządzili i ogień rozłożyli, aż tu przybywa podpułkownik Ce-

drowski i przynosi mi rozkaz posunięcia się pod spalone przedmieście Schotland, gdzie zabroniono nam ognia palić, aby się nieprzyjacielowi nie objawić. Tam bez słomy, bez ognia całą noc moką przepędziliśmy, drepcąc dla rozgrzania się po śniegu z błotem pomieszanym. Blisko bardzo od placówki czaty postawiałem, bo noc była ciemna.

Cała kompania istotnie stała na czatach, bo się żaden z nas nie położył. Nie pamiętam przykrzejszej nocy w ciągu tej wojny. Nad ranem dopiero żołnierze ze spalonego przedmieścia kilka tarcie przynieśli, na których kolejno z Górzeńskim spoczęliśmy, bo na ziemi nie można było się położyć, wszędzie było na pół łokcia błota z śniegiem. Tej nocy nigdy nie zapomnę, bardzo długą mi się zdawała, i dlatego ją obszernie opisuję, ażeby młodzi żołnierze wiedzieli, co na wojnie ich czeka: nie tylko kula, ale niewygody, na które trzeba być przygotowanym.

Koleżeństwo zresztą takie cierpienia zmniejsza. Nasi żołnierze też nie narzekali, usłyszałem kilku śpiewających dawną piosnkę wojska naszego z czasów Kościuszki, która się tak zaczyna:

Czy to w boju, czy to w szańcu,
Żołnierz zawsze jakby w tańcu.

Niektórzy jednak mówili: chłodno, głodno, do domu daleko. Około 9-tej rano, kiedyśmy się dziwili, że nas nie luzują, przy-maszerował cały regiment i my z nim dalej posunęliśmy się pod samo przedmieście. Stanęliśmy w nizinie. Wyminał nas 12-ty regiment i pomaszerował naprzód. Nam złożyć broń do nogi i stać kazano.

Wkrótce się odezwał rzęsisty ogień ręcznej broni. Po godzinie 12-ty regiment już był panem Stolzenbergu.

Nieprzyjaciel cofnął się do Biskupiej góry, i z tej warowni działowy ogień rozpoczął. Dwunasty regiment stracił tego dnia wiele ludzi, bo nieprzyjaciel, zakryty zwaliskami domów, bezpiecznie strzelał. Odnoszono i prowadzono rannych około nas, warczały kule, ale wyżej nas przechodziły. Była to dobra dla nas wprawa: wszyscy żołnierze przekonali się, że kule warczące ponad głowami nie trafiały w nas, bo choć staliśmy blisko

to przecież o wiele niżej, tak że wszystkie kule nad naszymi głowami przelatywały. Byliśmy przeto spokojni i uważać dobrze mogliśmy, że wtedy dopiero słychać kul warczenie lub świstanie, kiedy mijają. Kuli zaś, która trafia w człowieka, całkiem słyszeć nie można.

Cztery kompanie 12-go regimentu zostały na prawie całkiem spalonym przedmieściu Stolzenberg, reszta się cofnęła do Kowala, a nasz do Wonnenberga, gdzieśmy znów obozem stanęli i tu dopiero po 24-ch godzinach ruchu gotować mogli. Myślę, iż w przeciągu tych 24-ech godzin mało który z mojej kompanii miał kawałek chleba. Byliśmy młodymi żołnierzami i nie mieliśmy przy sobie. Nadmieniam to także dla nauki poczynających służbę wojskową, żeby zawsze przy sobie mieć kawałek chleba na ostatnią biedę. Tę naukę każdy łatwo pojmie.

Dnia 17-go marca poczęto podkopy (*Franchées*) do twierdzy. Pod wieczór wysłano mnie z kompanią dla asekuracyi oficera inżynieryi, Francuza, z 40-tu saperami. Skoro dobrze się ściemniło, saperzy zaczęli roboty. Nieprzyjaciel w nocy wysyłał z twierdz Biskupiej i Gradowej góry patrole ku naszym czatom. Te usłyszawszy kopanie, zaraz gęsto z ręcznej broni zaczęły strzelać. Wkrótce puszczono dwie jasne kule dla oświetlenia miejsca, skąd słychać było kopanie, i działa na ten punkt skierowano. Podkop zaczęty był między zwaliskami pogorzałych domów; nim jednak tak głęboko go wykopali, że w nim schronić się można było, został jeden z moich raniony, a jeden saper zabity. Ale przede dniem praca tak dalece posunięta była, że skoro zupełnie rozwidniało i nieprzyjaciel gęściej strzelać zaczął, my już w rowie zakryci leżeć mogliśmy. Kule ryły ziemię przedpiersia tak, że ją podrzucać ustawicznie trzeba było. W dzień postawiono kosze (*gabiers*), napełniono je ziemią i tym sposobem wzmocniono szaniec. Należało było zacząć od postawienia koszów, ale dopiero nad ranem przyniósł je drugi oddział saperów.

Za nami około tysiąc kroków stała pod bronią część naszej dywizyi w odległości pozadziałowej od twierdzy, żeby nieprzyjaciel nie śmiał wycieczki dla popsucia zaczętego podkopu robić. Dowiedziałem się później, że na dwóch innych miejscach także

roboty podkopowe zaczęto. Nazajutrz druga kompania nasza przymaszerowała dla złuzowania mojej, lecz że już był dzień, jak ku nam się zbliżała, przywitano ją po drodze granatami, równie jak i nas, gdyśmy do obozu pod Wonneberg odchodzili, ale nikogo nie raniono.

Dni następnych wysłano do przedkopu wieczorem, jak się ściemniało i przed świtem, ażeby z twierdzy tak dobrze na cel brać nie mogli.

W obozie pod Wonnebergiem słyszeliśmy strzelanie dzień i noc, jeżeli nie przed nami, to na prawo u Sasów, lub na lewo u Badeńczyków. I ci podkopy robili, ale z Wonneberga widzieć ich nie mogliśmy. Również nie widzieliśmy naszej kompanii pracującej z saperami. Pomiędzy naszym obozem a podkopem na pół drogi stały na polu zawsze cztery kompanie, które się co 24 godziny luzowały, a kompania u podkopu co 12 godzin, dla tego, że saperom pomagały w robocie i że tam spać nie było można. Prócz tego co dzień cały regiment stawał pod bronią przed świtem i stał z godzinę aż dzień dobry się zrobił. Mimo tych ostrożności zrobił nieprzyjaciel wycieczkę z Gradowej góry na Badeńczyków, których z przedkopów spłoszył i rozwinął się na Cygańskiej górze, naprzeciw Gradowej twierdzy. Kilkuset Kozaków wpadło na Badeńczyków, z przedkopu uciekających, i nie wiem, ilu ich zabrali. Pokazali się strzelcy konni francuscy, ale się pomieszali, bo zapewne pierwszy raz Kozaków widzieli. Zresztą może tylko mały oddział strzelców konnych tam się znajdował. Z Wonnebergu, gdzieśmy pod bronią stali, tylko jedną stronę pagórka Cygańskiego, ale tę dobrze widzieć można było, i uważaliśmy, jak dwa szwadrony saskich dragonów poważnie się posunęły, a Kozacy do twierdzy rejterowali. Szaserzy postąpili byli rozpuszczeni w tyraliery i dlatego Kozacy przed nimi nie cofnęli się, ale przed dragonami w linii zaraz uciekli.

Dnia 22-go przybył do nas marszałek Lefebvre, przelustrował i kilka obrotów wykonać kazał. Gdyśmy stanęli w linii, przejechał ze sztabem swoim przed i pomiędzy rozstawionymi szeregami. Poczem rozkazał na środkowe kompanie każdego batalionu zwinąć kolumny. Cztery kompanie przed nami stojące były po-

przednio ściągnięte do swego batalionu, znów je rozwinąć kazał i ruszyć krokiem podwójnym, z nadstawionemi bagnetami. Dalej formowaliśmy czworoboki zwyczajne w trzy szeregi, a nakoniec czworoboki pełne, odstawiając w tył po trzy rotę z każdej kompanii na zakrycie odstępu pomiędzy kompaniami. Zgoła odbyliśmy ruchy wszystkie, których się na wojnie używa i jedynie są potrzebne. Dosyć dobrze mimo błota i śniegu obroty te wykonanemi zostały.

Tegoż dnia przeniósł marszałek z Pruszcza główną kwaterę do Piekendorfu. Położenie to więcej środkowe, biorąc linię, która stanowi rzeczywiste obleżenie twierdzy.

Forteca cała Gdańsk, złożona z kilku warowni, łatwiejsza jest do obleżenia, niżby na pierwszy rzut oka się wydawało, ponieważ lubo obszerna bardzo, to większa część jej obwodu od Wisły i zalewów Żuławskich, w tej porze roku przynajmniej, nie jest dostępna. Prócz tego od południa tylko ją zdobywać potrzeba, bo od tej strony leżą obie twierdze, które jej bronią, to jest góra Biskupia i Gradowa. Choćby się udało dostać z innej strony do miasta, to te dwie twierdze samodzielnie ostać i bronićby się mogły, a w mieście wytrzymać nie byłoby podobnem, bo z nich można całe w perzynę obrócić. Nie potrzeba więc całego obwodu zajmować, tylko jego połowę, a podkopy i równoległe jedynie od południa posuwać. Skoro Biskupia i Gradowa góra zostaną wzięte, miasto bronić się nie może. Z drugiej strony Wisły od wschodu, gdzie most komunikacyjny zawsze zbudować potrzeba, pomiędzy Pruszczem a językiem piaskowym, ciągnącym się nad morzem ku Piławie, wypada postawić korpus obserwacyjny. Jeżeli ten jest dość liczny, winien opanować wyspę Holm, utworzoną między Wisłą i kanałem, a tym sposobem przetnie się komunikację Gdańska z twierdzami nad ujściem Wisły, Weichelmünde i Tahrwasser, i zarazem z morzem. To zadanie polecono dywizyi Oudinota, która później przemaszerowała.

Nasza dywizya stała zatem w samym środku linii obleżniczej. Na naszym prawem saska dywizya, na lewem badeńska brygada, a legia północna na lewem zupełnie skrzydle. W Langfur

brygada jazdy generała Sokolnickiego trzymała posterunki od zachodu aż do morza.

Ta na początku, kiedy jeszcze miasto nie bardzo przez nas ściśnięte było, ścierała się z nieprzyjacielem, który z lewej strony miasta wycieczki robił.

Założone jedna i druga równoległe (*paralleles*), przed Biskupią i Gradową górą, postępowały tak szybko, że około baterii do dział mocnego kalibru już zaczęto pracować. Saperzy jednak najwięcej w nocy pracowali, ale i w nocy nieprzyjaciel pociski ustawicznie rzucał, zawsze świecącymi kulami oświetlając. Także i strzelcy celni podsuwali się aż pod czaty nasze, które oczywiście w nocy niedaleko od nas stały, i jak świecąca kula im robotników stawiających kosze i nasypujących ziemię oświetliła, strzelali, lecz z małym skutkiem. Dnia 26-go marca znów na mnie z kompanią przypadła kolej do podkopu. O czwartej z rana już zluźowałem kompanię 12-go regimentu, i ledwieśmy się w rowie umieścili i składać tornistry zaczęli, padł na nas z lewej strony grad kul. Chociaż jeszcze ciemno było, ale od śniegu jaskrawo; spostrzegłem tyralierów, biegnących, aby nam z tej strony tył zabrać. Badeńczycy musieli bez wystrzału się poddać, lub uciec, tego nie wiem, bo tyralierzy nieprzyjacielscy już o kilkaset kroków dalej niż przekop badeński, prawie poza nas się posuwali. Porwaliśmy się, a widząc, że za tyralierami kolumna piechoty niemal nas mija, a i wprost ku nam dążą także tyralierzy, cofnęliśmy się z przekopu w bok ku Stolzenbergowi, gdyż wprost ku naszym kompaniom, stojącym w rezerwie i do których rejterować w przypadku nagłego natarcia mieliśmy rozkaz, już nie było można. Z tyłu już była piechota pruska. Stolzenberg, przedmieście spalone, leżał wyżej nas, na prawo, i tam byli w podkopach kompanie 10-go i 11-go regimentu, do tych tedy przez ogrody rejterowaliśmy pod kulami karabinowymi tyralierów nas ścigających. Nie doszedłszy i na pół drogi, zobaczyliśmy, że Stolzenberg już był zajęty przez piechotę nieprzyjacielską, która nas przyjęła rżęsim ogniem. Ale z powodu nocy kilku tylko nas ranionych zostało. Nie można było inaczej, tylko spieszenie przez ogrody ruszyć pomiędzy dwoma ogniami.

Wychodząc z ogrodów, zwróciliśmy się znów w prawo, i ciągnąc i podpierając kilku rannych żołnierzy, ruszyliśmy w pole ku naszym 4-em kompaniom, które także na ratunek ku nam się posunęły. Major Malczewski, który niemi dowodził, ku nam konno podjechał, a za nim kilkunastu tyralierów biegło, żeby nas wspomódz. Wstrzymali tych, co nam tył już zabierali. Dostaliśmy się z majorem do jego 4-ch kompanij, ale major z konia lepiej widząc (już też widniało), że całe kolumny nieprzyjaciela wycieczkę z miasta robią, rozkazał kompaniom prawo w tył i ku Wonnebergowi rejterować; mnie zaś, ponieważ jeszcze o 100 lub 150 kroków od tych 4-ch kompanij byłem, za niemi o ile możności tyralierować.

Posunęliśmy się tak kilkaset kroków ku Wonnebergowi, cztery kompanie w kolumnie, a moja, rozpuszczona w tyraliery, ze 150 kroków za nią, odstrzeliwała się Kozakom, których cała chmara wyleciała przed swoją piechotę. Za Kozakami spostrzegłem wkrótce rozwijającą się kawalerję regularną. Wtedy tyralierów odwołać kazałem, a zatrzymawszy przy sobie dziesięciu ludzi, podporucznikowi rozkazałem z kompanią cofać się razem, sam zaś z tymi 10-ma tyralierami może o 50 kroków za nią pospieszałem. Jednak już było zapóźno. Dwa szwadrony dragonów puściły się w linię. Jeden z nich prosto w nas uderzył i przeleciał. Pomiedzy dwoma końmi przewróciłem się, uderzony w kark.

Straciłem przytomność i nie wiem, jak długo leżałem, ani nie wiedziałem, kto ze mnie surdut i mundur ściągnął.

Gdym przyszedł do siebie, leżałem na ziemi. Przedemną i koło mnie było na koniach kilku Kozaków i jeden tylko z moich woltyżerów, także już obdarty z płaszcza, ale nie z munduru. Kozak oficer kazał mi wstawać, lecz nie mogłem się na rękach oprzeć, kark i ramiona były sztywne. Podał mi rękę i podniósł, a prostemu Kozakowi kazał zsiąść z konia i wsadził mnie na niego. Poprowadził go, nie dając mi trzgli do ręki, przez przedmieście spalone, między Biskupią i Gradową górą, przez Stiglitz, aż do miasta. Zaraz za bramą pomógł mi znów Kozak zsiąść z konia na ławkę, na której usiadłem i zgrzytałem zębami od

zimna, bo byłem rozebrany. Nadjechał pułkownik kozacki, zsiadł z konia, dał mi się napić wódki, również czterem żołnierzom z tych dziesięciu, którzy przy mnie byli, spytał, jaki miałem mundur na sobie. W kwadrans potem oddał mi go z nietkniętą wstążeczką legii honorowej, ale bez krzyża.

Krzyż dostałem za potyczkę pod Tczewem; w kilka dni później przypiął mi go szef sztabu marszałka Lefebvre, który był pod bramą Tczewa, kiedyśmy ją brali. Czapka przepadła, ale pułkownik podarował mi czapeczkę kozacką. Zawsze lepsze to było, niż nic.

Już tam zastaliśmy w niewoli Sokołowskiego, porucznika jednej z owych czterech kompanij, który był się przewrócił, jak mi później powiadał, oraz jednego żołnierza Francuza, czterech z mojej kompanii, oficera od saperów i od artylerji Francuzów, nareszcie oficera badeńskiego i kilkunastu żołnierzy. Żołnierza Francuza z 2-go regimentu lekkiej piechoty oficerowie pruscy różnej broni otoczyli, i ci, co po francusku umieli, rozmawiali z nim, bo był gadatliwy; dwaj oficerowie Francuzi nie odpowiadając nie raczyli. Ten to żołnierz z 2-go lekkiego regimentu dał im odpowiedź, która się później rozeszła w świecie. Jeden z oficerów mu mówił, że wy, Francuzi, tylko dla pieniędzy się bijecie. Francuz go się żwawo zapytał: a wy za co? My za sławę. Macie rację, zawołał, każdy się bije o to, czego mu brakuje! Zaprowadzono nas w miasto do jakiegoś magazynu, a po dwóch dniach nocą do Tahrwasser, gdzie na okręt szwedzki nas wsadzono i najprzód do Piławy i Memla, a potem do Rygi przewieziono.

IV. Szkoła Politechniczna. — Rozmowa z Kościuszką. (1807).

W Warszawie zatrzymałem się tydzień dla zwiedzenia wszystkiego i uporządkowania się na nowo.

Po zameldowaniu się księciu Józefowi i naszym generałom, wyjechałem do domu; zastałem ojca mego zdrowym. Tam doszła mnie nominacya na oficera ordynansu cesarza. Wyjechałem więc wkrótce do Paryża. Pod nazwiskiem oficerów ordynansu byliśmy istotnie cesarza adjutantami, ponieważ generałowie, którzy nazwy

adjutantów nosili, nigdy adjutanckiej służby nie pełnili, najczęściej korpusami dowodzili, jak: Sunot, Marmont, Rapp, Savary, Bertrand, Houton, Lauriston, Droceot, Lebrun, Lamaras, Durahnel, Catarelli. Jak Marmont został marszałkiem, nastąpił po nim Narbonne, a roku 1813 Flahont.

Przy cesarzu było ich najczęściej dwóch tylko, czasem jeden, niekiedy żadnego nie było. Ponieważ był wtedy pokój, otrzymałem pozwolenie od cesarza słuchania kursów szkoły politechnicznej. Nająłem więc mieszkanie w pobliżu i chodziłem na kursa a pomiędzy niemi i geometryi wykresłej, o którą mi się był pytał cesarz w Poznaniu, a że nie umiałem wtedy mu odpowiedzieć, zostało mi to na sumieniu. Przy matematyce dawano tam inne kursa, których słuchałem, jak geologii, chemii, botaniki, mechaniki i t. d.

Szkoła politechniczna w Paryżu była wówczas niezawodnie najlepszą wyższą szkołą wojskową i nauki przygotowawcze wojskowe najdalej posuwała. Duch młodszych i starszych uczniów był tak dobry, że nigdy o innym przedmiocie, tylko o naukach między sobą mówili. A do rozmów i tak bardzo mało zostawało czasu, gdyż korepetytorowie już o 6-tej z rana do stancyi przychodzili, i dwie godziny przed kursem pierwszym z uczniami powtarzali, a zatem przed szóstą każdy musiał już być gotów. Kursa trwały od 8-ej do 11-ej, potem śniadanie bardzo krótkie od 12-ej do 5-ej znów kursa, o 5-tej obiad, a od 7-ej do 10-ej korepetytorowie powtarzali z uczniami to, co na kursach wykładano. Czasem nawet do 11-ej lub do 12-ej siedzieli z mniej pojętymi uczniami. Bardzo oni sumiennie swego obowiązku dopełniali. Podczas śniadania i obiadu najczęściej o wojnie rozmawiano, zastosowując do niej i do wojen dawniejszych wiadomości przygotowawcze, czyli teoretyczne. Każdy był przekonany, że doświadczenie jest potrzebne, ale że doświadczenie bez nauki przygotowawczej jenerała nie wykształci. Powracałem zawsze na noc z kursów do stancyi mojej u doktora Markowskiego, który jeszcze w ostatnich latach życia politycznego kraju wysłany został z uniwersytetu krakowskiego jako jeden z najlepszych uczniów do Paryża, dla wydoskonalenia się w naukach lekarskich.

Kraj nasz rozebrano, rewolucya francuska przeszła, a Markowski 26 lat w Paryżu wciąż się uczył i był najlepszym korepetytorem. Namówilem go przecież, żeby do kraju powrócił, bo każdego powinnością być, jeśli może, ojczyźnie użytecznym. Ale dopiero w roku 1809 się zdecydował. Inny z naszych korepetytorów, Livet, zdecydował się także, za moją namową, jechać do nas i potem został profesorem w szkole aplikacyjnej w Warszawie. Jemu to pewnie zawdzięcza wielu z naszych oficerów artyleryi i inżynieryi wysokie w matematyce wykształcenie, pewnie też niejeden z nich jeszcze z przyjemnością go sobie przypomina.

Nadmienię tu jeszcze, że w szkole politechnicznej paryskiej dawali wówczas kursa ludzie, których imiona na całym świecie są sławne: Monge, Fonrevoy, Fageas, de St. Fond, Thenard, Jussien i t. d., i t. d.

Łatwo pojąć, że młodzież tak zatrudniona, żadnej rozrywki lekkomyślnej nie dopuszczając, bo jak już wspomniałem, nawet w godzinach rekreacyi o niczem innem mowy nie było, jak tylko o zastosowaniu nauk do wojny, postępy wielkie czyniła i władze umysłowe rozwijała. W niedziele tylko i to nie co tydzień kilku nas do teatru i to zawsze na tragedye chodziło, bo myśli były w poważnym zwrócone kierunku. Nie dziw więc, że uczniowie szkoły politechnicznej w późniejszym życiu swoim znakomite odgrywali role.

Podczas kilku dni feryj pojechałem do Berville za Fontainbleau do jenerała Kościuszki. Mieszkał u przyjaciela swego, pana Letner, Szwajcara, który miał dom w Berville i przy nim folwareczek, na którym zacny nasz naczelnik trudnił się rolnictwem. Zastałem go w ubiorze wieśniaka francuskiego: w słomianym kapeluszu, w pół-fraczkę sieraczkowym, krótkich spodniach i moenych trzewiakach.

Żeby górne już był potracił, co mu psuło wymowę; był dla mnie łaskaw, opowiadał mi wojny, które odbył, i przypominam sobie, że jak atak pod Raclawicami na baterję moskiewską mi opisywał, rzucił się jakby go coś naprzód porwało, gdy wymówił: Naprzód wiara! i słomiany kapelusz na głowie tak mocno przycisnął, że go zgniótł zupełnie. Niezawodnie, przeniósłszy się pa-

miecią w ten dzień, tak teraz kapelusz, jak wtedy czapeczkę krakowską na głowie przydusił.

Opisywał mi także klacz wilczatą, na której siedział, kiedy przy końcu bitwy pod Maciejowicami ugrzązł w błocie i Kozacy rannego dostali. Powiedział mi następnie te dla mnie pamiętne słowa, dotyczące się mego położenia przy cesarzu: „Dobrze, że służysz i że się uczysz. Ucz się pilnie i jak będzie wojna, uważaj dobrze na wszystko. Przy boku cesarza możesz uzbierać sobie wiele wiadomości i doświadczenia. Nagromadzaj ich, ile będziesz mógł, by kiedyś stać się użytecznym naszej nieszczęśliwej ojczyźnie, w dobrej do tego jesteś szkole; ale nie myśl, nie pochlebiaj sobie, żeby on (cesarz) Polskę wskrzesił; on tylko o sobie myśli, żadnej wielkiej narodowości, a tem samem ducha niepodległości nie cierpi. To jest despota; zaspokojenie ambicyi osobistej — jedyny cel jego. On nie trwałego nie utworzy, tego jestem pewien. Ale to wszystko tobie młodemu nie przeszkadza, żebyś przy nim nabrał doświadczenia, uczył się strategii. Znakomity on wódz, a choć naszej ojczyzny nie wskrzesi, to oficerów nam może wykształcić wielu, a bez takowych źleby było, choćby Bóg zesłał nam później szczęśliwe okoliczności. Powtarzam — ucz się pilnie, — ale on dla nas nic nie zrobi“.

Dnia 1-go kwietnia odebrałem rozkaz stawienia się do cesarza w Bajenne. Egzamin ze szkoły politechnicznej zdałem w Niort przed jenerałem Bertrand'em, który naówczas był naczelnikiem całej inżynierii. Łagodnie sobie ze mną przy egzaminie postąpił, nie tak ściśle egzaminując, jak rzeczywistych uczniów szkoły politechnicznej.

RADYKALI RUSCY.

Od kilku lat pojawiają się w dziennikach, na pierwszym miejscu lwowskich, sporadyczne wzmianki o radykalnym ruchu między wiejską ludnością na galicyjskiej Rusi; tu więc się odbył, tam jakiegoś zbyt gorliwego agitatora zbyt gorliwy czasami żandarm przyaresztował, tam raz zawiązano, raz rozwiązano jakieś stowarzyszenie, oparte na radykalno-socyalistycznych zasadach. Widocznie ktoś agituje, widocznie coś się burzy, rusza w tak przysłowiowo dotąd spokojnych ruskich wsiach i wioskach; ale kto, za czym i dlaczego agituje; jaki to ruch, jakie jego przyczyny, cele i granice, czy i jaki jego stosunek do socyalistycznej agitacyi, szerzącej się po naszych miastach i miasteczkach; jaki stosunek do tak żywego, tak żywo w ostatnich miesiącach zajmującego umysły, ruchu chłopskiego w Galicyi zachodniej? Pytania bez wątpienia ciekawe i ważne; zaciekawiające z samej swej istoty, a tem ważniejsze, że nie rozchodzi się w nich o Zulusów, a choćby Kurdów lub Armeńczyków, ale o lud bratni, mieszkający na tej samej ziemi, związany z nami możliwie najściślej tyłu politycznemi, ekonomicznemi, historycznemi węzłami; tyłu interesami wspólnemi w każdej niemal dziedzinie życia społecznego, religijnego, prywatnego!

Odpowiedzi na te pytania — przez długi przynajmniej czas, powiedzieć można do ostatnich miesięcy — dziwnie były lakoniczne i bardzo niejasne. Jeden, choć na Rusi mieszka a nawet zajmuje się publicznymi sprawami, patrzy na pytającego o rady-

kalnym ruchu ruskim, jakby patrzył na dowiadującego się o wewnętrzne pałacowe intrygi na dworze niam-niamskiego kacyka. Drugi zaręcza z silnem przekonaniem: „Jest paru agitatorów, którzy z tego żyją i niewiedzieć skąd pieniędzy dostają; ale nie mają żadnego wpływu i wogóle o całej tej sprawie mówić nie warto; tem bardziej nie warto jej rozmazywać, przywiązywać do niej jakiegokolwiek wagi, bo toby tylko była woda na młyn niespokojnych duchów“. Cóż — kiedy piękne te sny niemiłosiernie rozprasza trzeci, z natury melancholijniej usposobiony, a przed którym w dodatku świeżo chłop na drodze czapki nie zdjął: „Żle! strasznie źle! jak tak dalej pójdzie, za lat parę będziemy mieli niechybnie nową rzeź!“ Żle! strasznie źle! Pytasz: w czem, jak, dlaczego? — Ha! bo źle, strasznie źle!...

W tem przyszły wybory, a przebieg ich i niespodziewany wynik w kilku ruskich powiatach dać musiał do myślenia i optymistom i pesymistom; przekonać jednych i drugich, że ani dobrowolne zamknięcie oczu, ani niemęskie załamywanie rąk, ani „Jakoś to będzie!“ i „Tak źle nie jest“, ani „Żle Panie“, „straszne rzeczy się dzieją“, postawionych, domagających się rozwiązania kwestyj nie rozwiążą; płynącej bądź co bądź naprzód fali nie powstrzymają w biegu. Czyżby rzeczywiście coś było; czyżby radykalizm nie żył i nie istniał tylko w kilku zapalonych głowach lwowskich agitatorów, ale znalazł sobie grunt na wsi i siedł z siola do siola, z chałupy do chałupy? Czyżby to było wojsko do pewnego przynajmniej stopnia zorganizowane, mające nie wyłącznie samych generałów, jak dotąd się pocieszano, ale i całe liczne, a karne pułki? Co za zacz, czego chce ten chłop Nowakowski, co zwyciężył w wyborczym boju księcia Adama Sapiehy; kto nowy zbarazki poseł, Ostapczuk; jaki właściwy program kołomyjskiego, pod radykalnym sztandarem stojącego posła, Okuniewskiego? A i ci radykali, co nie przeszli w Stryjskiem, Tarnopolskiem, Horodeńskiem: dr. Oleśnicki, chłop Dumka, dr. Daniłowicz; ci, na których padło w innych powiatach po kilkadziesiąt głosów, tak, że nie bez pewnej słuszności chęłpić się mogli odniesieniem przez siebie moralnem zwycięstwem, — czego chcą, w imię jakiego programu i jaką bronią zwycięstwo to osiągnęli?

Zadała sobie to pytanie para polskich dzienników; rozbierał je w *Gazecie Narodowej*, najbardziej bodaj w tym względzie kompetentny, p. Platon Kostecki; wskazywał na nie interesujący się żywo wszelkiego rodzaju i odcieni radykałami p. Teofil Merunowicz; lwowski korespondent *Głosu Narodu* przesłał, trochę na chybił-trafił, parę wyciągów z radykalnych ruskich dzienniczków; jeden z głównych przewodców ruskiego ruchu radykalnego, a jednocześnie stały współpracownik *Kuryera Lwowskiego*, dr. Iwan Franko, umieszczał w nim raz po raz krótkie oracye *pro domo sua*. Teraz gorący czas wyborów szczęśliwie przeminął; osobiste niechęci i namietności przygasły, usunęły się na drugi plan; najlepsza bodaj pora, aby bliżej, spokojniej, wszechstronniej, niż to możliwem w dorywczej korespondencji, lub dziennikarskim artykule wstępnym, rozprawić się z zagadnieniami, odnoszącemi się do ruskiego ruchu radykalnego. O jego istnieniu, o tem, że zupełnie go ignorować nie wolno i nie należy, trudno dziś wątpić; dziś, jak słusznie gdzieindziej stwierdzono, po ostatnich wyborach, po ostatnich wiecach partya radykalna gra na pierwszych skrzypcach: na halickiej Rusi. Nie o to więc już chodzi, czy radykalizm jest, ale o to, jakim jest, do czego i jakimi drogami dąży?¹

I. Cele, programy, ideały.

Czego chcecie, jakie najwyższe wasze ideały, jaki program, dokąd lud zamysłacie prowadzić? Z natury rzeczy pytanie to wysuwa się na pierwszy plan, gdy rozmawiamy z przewodcami ruskich radykałów, przeglądamy ich broszury i pisma. Radykali ruscy dzielą się już dziś wprawdzie na parę odcieni, na „sta-

¹ Zdaję sobie wybornie sprawę, że podjąłem się zadania niełatwego, że trudno mi bardzo kogobądź zupełnie zadowolnić, a niejednokrotnie sam, zwłaszcza w drobniejszym jakimś szczególe mogę się pomylić. Staralem się, o ile mogłem, poinformować się wszechstronnie a najdokładniej. Przewertowałem ważniejsze książki, publikacye, pisma peryodyczne, wyszłe z obozu ruskich radykałów; zetknąłem się osobiście niemal z wszystkimi wybitniejszymi przedstawicielami radykalnego kierunku; z bardzo wielu osobistościami z innych obozów, Polakami i Rusinami, którzy tą sprawą w jakikolwiekbyż sposób się interesują. Miło mi na tem miejscu podziękować im

rych“ i „młodych“; ale różnice te odnoszą się niemal wyłącznie do taktyki wojennej; cele, ideały, programy w głównych zarysach są jedno i te same.

„Celem ruskiego radykalnego stronnictwa — odpowiada organ „starych“ radykałów, *Chliborob*, w programowej wyborczej odezwie¹ — jest doprowadzić cały ruski lud, własnymi jego usiłowaniami, do zupełnej swobody politycznej, do oświaty i dobrobytu; stronnictwo nasze walczy z wszelkiego rodzaju niewolą, z każdym ukróceniem wolności, czy to pojedynczych ludzi, czy stowarzyszeń, gmin lub narodów. Partya radykalna walczy z wszelkiego rodzaju ciemnotą, z tem wszystkim, co ciągnie korzyść z narodowej ciemnoty. Partya radykalna walczy z wszelką krzywdą i niesprawiedliwością, z panowaniem bogatych nad biednymi, z wyzyskiwaniem pracy ludzkiej. Wedle naszego przekonania wszyscy ludzie są równi i każdy ma prawo korzystania ze wszystkich zdobyczy ducha i pracy ludzkiej. Na świat przychodzą wszyscy ludzie jednakowi; wszyscy więc jednakowo, równo żyć powinni, żyć — wedle wyrażenia poety naszego Szewczenki — „bez chłopów i bez panów“.

„Aby dojść do tego celu, partya radykalna przyjęła następujący szczegółowy program, i walczyć za nim postanowiła. Żądamy:

1) Zaprowadzenia tajnego, bezpośredniego prawa głosowania we wszystkich wyborach do rady państwa, do sejmu, do rad powiatowych i gminnych, tak, aby każdy pełnoletni mężczyzna, równie najbogatszy pan, jak biedny zarobnik, miał jeden głos i aby wszyscy głosowali razem i jednocześnie bez prawyborów i bez jakichkolwiek kół lub kuryj wyborczych. W ten sposób wola samegoż ludu przyjdzie do panowania w państwie,

raz jeszcze, wszystkim bez wyjątku, za uprzejmość i gotowość, z jaką poświęcili nieraz długie godziny dla szczegółowego wyjaśnienia rzeczy natrętnemu interviewierowi, o którym niejeden z góry musiał być przekonany, że na zdanie jego się nie godzi, i wszelkimi siłami pragnie je zwalczać.

¹ Z 1 września 1895. Nr. 13—17. „Odezwa do wszystkich stowarzyszeń radykalnych i wszystkich ruskich chłopów w Galicyi i Bukowinie“.

kraju, powiatach i gminach, i lud będzie mógł ustanowić sobie takie prawa i porządki, jakich dobro jego będzie wymagać.

2) Zupełnej wolności pisma, słowa, zgromadzeń i stowarzyszeń, aby lud mógł bez żadnych przeszkód o interesach swych wzajemnie się naradzać i oświecać.

3) Poszanowania honoru i wolności przekonań każdego w szczególności człowieka, aby nikt nie był prześladowanym, bezczeszczonym i więzionym za swe przekonania polityczne i naukowe, za pracę nad oświeceniem i rozbudzeniem ducha narodowego.

4) Rozszerzenia oświaty narodowej przez takie urządzenie szkół, aby lud w całej pełni mógł z nich korzystać; przez zaprowadzenie bezpłatnej nauki we wszystkich szkołach ludowych i wyższych; przez dopomaganie biednym rodzicom ze strony państwa i kraju w wychowywaniu dzieci; przez postawienie zasady, że szkoła wyłącznie nauką się ma zajmować; przez jak najszybsze postaranie się o to, aby nie było nikogo niepiśmiennego.

5) Zmniejszenia ciężarów rolnych i ulgi w podatkach i opłatach dla ludzi ubogich, tak, aby podatki nie były pobierane od gruntu lub rzemiosł, ale od dochodów i aby szły progresywnie, tj., aby im kto większy ma dochód, płacił stosunkowo większy podatek od każdego reńskiego. Kto ma dochody tak szczupłe, że niezbędne mu są w całości do utrzymania rodziny przy życiu, wolnym ma być zupełnie od podatków.

6) Uwolnienia od podatków i opłat wszystkich przedmiotów niezbędnych do życia dla biednych ludzi, jak np.: sól, nafta, mięso i t. d.

7) Postarania się dla ludu o środki do życia, aby lud nasz z głodu nie ginął i nie musiał emigrować do obcych krajów. Ponieważ najważniejszym środkiem do życia ludu jest ziemia, partya radykalna domaga się, aby cała ziemia oddaną została do użytku tym ludziom, którzy na niej pracują. Domagamy się zatem wykupienia, w drodze indemnizacyi, wszystkich gruntów należących do większej posiadłości i oddania ich do używania gminom. Również domagamy się, aby grunta kameralne oddano chłopom.

8) Obrony wszystkich wiejskich i przemysłowych robotni-

ków i zabezpieczenia im odpowiedniego zarobku, aby nie dopuszczano się z robotnikami nadużyć, nie niszczone ich zdrowia, i aby robotnik miał za co, za swą pracę, żyć po ludzku“.

Taki program „starych“ radykałów; „młodzi“ powtarzają tę samą piosenkę, tylko na trochę wyższą nutę, tylko niektóre jej ustępy z szczególną forszą i brawurą wybijają, bo od czegoż byliby młodymi? W pierwszym, programowym artykule nowego pisma „dla ruskiego ludu“: *Hromadzkij Hołos*, wydawanego przez młodych radykałów od marca 1895 r., pisze sam oczywiście redaktor, W. Budzynowski¹:

„Chłop nasz cierpi, bo za mało ma ziemi. Dosyć tego skarbu na naszej Rusi, cóż, kiedy skarb ten nie dla chłopca! Rуска ziemia tak wielka, że mogłaby wykarmić i świat cały. A dla-czegoż dzieci jej, chłopci ruscy, nie mają gdzie bydełka popaść; dlaczego ruski chłop niema w co się ubrać, czem w chałupie zapalić? Dlaczego ruski chłop uciekać musi do Brazylii i na obcej ziemi szukać lepszej doli? Dlatego, że ruska ziemia, która niegdyś jak długa i szeroka była własnością gminną, wyszła z rąk chłopskich. Weźmy np. lasy. Na każde 100 morgów lasu przypada 84 morgów na panów, a 16 morgów na chłopów. A liczba panów tak drobna w porównaniu z liczbą chłopów!... a chłopci muszą tysiąc razy więcej mieszkań wystawić i ogrodzić!... Ale i ten nawet kęs chłopskiej ziemi nie pozostaje w posiadaniu ludu; Żydzi zabierają morg za morgiem. Radykali, a wespół z nimi *Hromadzkij Hołos*, mniemają, że nędza wtedy dopiero od-czepi się od ruskiego chłopca, kiedy lud dostanie więcej ziemi, tej ziemi, która teraz pozostaje w rękach pańskich. Ale radykali nie myślą o konfiskowaniu panom ziemi; broń Boże!². Radykali domagają się, aby państwo lub kraj wykupił pańską ziemię — wszak dosyć na to płacimy podatków — i aby tę ziemię, od panów

¹ *Hromadzkij Hołos*, nr. 1, z 20 marca 1895.

² „Bóg“ pisany jest systematycznie w radykalnych ruskich pismach przez małą literę; dziecinne to, ale charakterystyczne naśladowanie zachodnich, między niemi i polskich, socyalistycznych gazetek. Tem charakterystyczniejsze, że np. „Bank“ pisze *Hr. Hołos* przez wielkie B (Por. nr. 5 str. 33).

wykupioną, oddawać po 20 albo 25 morgów tym chłopom w dzierżawę, którzy mają tak mało własnej ziemi, że wyżyć z niej nie mogą. Domagamy się, aby czynsz dzierżawny był jak najniższy, i aby chłopci mieli obowiązek płacić go dopiero po sprzedaniu zboża. Również żądamy, aby państwo wykupiło od panów lasy i pastwiska, i aby dozwoliło gminom paść bydło i brać drzewo, stosownie do potrzeby... Można było dawniej wykupić od panów pańszczyznę i propinację, to można teraz wykupić ziemię, lasy i pastwiska. Oto, czego domagają się radykali; każdy chłop powinien być radykałem!

„Dalej domagają się radykali skasowania podatku gruntowego; a natomiast zaprowadzenia podatku dochodowego, tak mianowicie, aby 600 złr. wolne były od wszelkiego podatku.

„Dalej, zdaniem radykałów, dzikie zwierzęta na świecie nie są potrzebne, bo dla pożywienia wystarcza mięso ze zwierząt domowych. Dzika zwierzyna niszczy tylko ludzką pracę i dlatego radykali domagają się, aby wolno było każdemu strzelać na własnym gruncie do wszelkiego rodzaju zwierzyny.

„Prócz tego będzie *Hr. Hołos* i za tem walczyć, aby autonomiczne ciężary były sprawiedliwie rozłożone; dziś inaczej się dzieje, tak np. na drogi gmina musiłożyć więcej, niż dwór.

„Wogóle bronić chcemy ruskiego ludu od wszelkiej krzywdy. Za pośrednictwem naszym będzie mógł lud zanosić swe skargi i tam, dokąd dziś chłopca nie dopuszczają“.

Radykalny wiec ruski w Przemyśle, obradujący w ostatnich dniach czerwca z. r. (6 lipca st. st.), pod przewodnictwem Budzynowskiego, przyjął *en bloc* cały ten program, a nadto kilku jeszcze punktami mniejszej lub większej wagi go wzbogacił.

...„Wiec oświadczył się przeciw zakazowi moczenia konopi¹, bo jeżeli konopi nie pozwolą nam moczyć, będzie musiał chłop chodzić w takim stroju, w jakim chodził nasz praojciec w raju. Pawłuckij żądał, aby bank krajowy użyczał i drobnych pożyczek, bo inaczej korzystać z niego mogą tylko sami panowie, a korzystać nie mogą ci, za których pieniądze bank założony, tj. chłopci.

¹ *Hromadzkij Hołos*, nr. 5 z 20 lipca 1895.

Wiece wyraził także żądanie ustanowienia sprawiedliwszego katastru, a mianowicie podwyższenia wykazu dochodów z gruntów pańskich, które w dotychczasowym katastrze za nisko są oszacowane. Dochód z gruntów chłopów winien być zmniejszonym, bo dziś za wysoko jest oszacowany, tak, że chłopci od całych lat 15 płacą wyższe podatki, niż sprawiedliwość tego wyciąga. Zebrani żądają, aby kasa państwowa zwróciła chłopom pobierane niesprawiedliwie nadwyżki. Wiece zaprotestował przeciw nowej, niedawno temu przez sejm uchwalonej ustawie szkolnej, i wzywa ministerium, aby jej nie przedkładało do sankcyi cesarskiej. W kwestyi podatków wiece oświadczył się za skasowaniem wszystkich podatków, a zwłaszcza podatków gruntowych; natomiast zaś zażądał zaprowadzenia podatków od czystego dochodu¹.

Te same mniej więcej żądania i merzenia zawarte są w ostatnim z rzędu urzędowym programie, przyjętym na grudniowym zjeździe lwowskim przez skonfederowane stronnictwa radykalne. „Program ten, mający być odtąd konstytucją i kodeksem dla wszystkich bez wyjątku radykałów ruskich, na dwie główne części się rozpada¹. Pierwsza określa ostatnie cele ruskiego radykalizmu. Ruskoukraińska partya radykalna stoi na gruncie naukowego socyalizmu i przyjmuje wszystkie jego konsekwencye, dąży do utworzenia odrębnego terytorjum politycznego ze wschodnich powiatów galicyjskich i północnych bukowińskich, do uspołecznienia ziemi i ruchu handlowego, do zaprowadzenia publicznych magazynów handlowych i wytworzenia zupełnej swobody słowa i druku. Druga część programu, szczegółowa, rozpada się na trzy kategorye. Pod względem ekonomicznym żądają radykali ruscy: zaprowadzenia podatku progresywnego z zastrzeżeniem pewnego minimum, wolnego od podatku niezbędnych do życia artykułów, zupełnej swobody polowania i rybołówstwa, regulacyi rzek, utrzymywania rzek kosztem kraju, ograniczenia egzekucyi tylko na dochody, dobrowolnej komasacyi gruntów, zakładania gminnych spółek handlowych i rolniczych, wreszcie jak

¹ W streszczeniu uchwalonego na lwowskim zjeździe programu posługujemy się artykułem p. P. Kosteckiego, umieszczonym p. t.: „Program radykałów ruskich“, w *Gazecie Narodowej* z 1 stycznia b. r.

najszerszej organizacji proletaryatu dla wspólnej obrony jego interesów. Pod względem politycznym: powszechnego głosowania do wszystkich ciał prawodawczych dla kobiet i mężczyzn, zniesienia izby panów, swobody słowa i druku, zniesienia stempla dziennikarskiego, oddania jak największej części spraw publicznych pod bezpośrednią decyzję wszystkich obywateli (plebiscyt), zaprowadzenia w ruskiej części Galicyi i Bukowiny ruskiego języka w szkołach i urzędach, nakoniec zniesienia armii stałej, zaprowadzenia pospolitego ruszenia dla obrony całości państwa i trybunałów pokoju dla ugodowego załatwiania międzynarodowych sporów. Żądania cywilizacyjne są następujące: bezpłatna nauka we wszystkich kategoriach szkół, pomoc dla ubogiej uczącej się młodzieży z kas państwa i kraju, podwyższenie wydatków na oświatę, autonomia w zakresie szkoły, zdemokratyzowanie Kościoła przez oddanie zarządu majątków kościelnych w ręce zwierzchności gminnych, wreszcie ogólne podniesienie oświaty narodowej“.

Trudno nie przyznać, przyznają samiz radykałi, że to dość daleko sięgające postulaty. Tak daleko, że sam redaktor *Radykała* i *Hr. Hołosu* uznaje za odpowiednie w dłuższym ustnym wywodzie rzucić szczyptę pudru na pewne doły, wypukłości, zbyt silną karminową farbą rażące.

„Dawniej — wyjaśnia i tłumaczy — mówili nasi ruscy przewódcy chłopom o ucisku ruskiego języka, o ruskich gimnazyach i uniwersytetach. Ucisku języka chłop nie czuje; a cóż mogą analfabetów obchodzić gimnazya i uniwersytety? To też nie dziwnego, że dopiero my, radykałi, zyskujemy prawdziwy wpływ na chłopą, bo mówimy mu o tem, co go istotnie i najgoręcej interesuje. W Śniatyńskim wzięli nasi towarzysze za tło agitacyi powszechne głosowanie. Dobre to, ale wymaga długich wywodów, jakie praktyczne korzyści przynieść kiedyś może prawo powszechnego głosowania; dlatego agitacya rozwijała się tam stosunkowo dosyć wolno. W Przemyślim rzuciliśmy hasło: „Lasy i pastwiska“; w jednej chwili cały powiat nas zrozumiał i przyznał się do radykalizmu. Naturalnie, to nie cały nasz program, to zaledwie jedna jego cząstka; ale na razie względu

taktyczne nakazują nam głosić z największym naciskiem tę praktyczną część naszego programu. Zresztą chłop przyzwyczajony brać z lasu gminnego, a choćby z pańskiego; zakazy nie pomogą, chłop nie rozumie, że brać mu nie wolno; czy ostatecznie nie lepiej doprowadzić tę sprawę do porządku, dokąd polubownie, prawnie można ją doprowadzić?”

„Naszym celem, celem właściwym — zaręcza ze swej strony redaktor *Chliboroba*, dr. Daniłowicz — przyprowadzić lud do uświadomienia, dopomódz mu do takich warunków życia, jakie sam dla siebie za najlepsze uzna. Dotąd na Rusi na pierwszym planie była walka polityczna, teraz na pierwszy plan ciśnie się kwestya socyalna, agrarna. Grunta wykupić trzeba, to wątpliwości w teorii nie podlega; w teorii, bo w praktyce wiedzieć nie można, kiedy do tego przyjdzie. Na czyją rzecz wykupić, czy państwa, jak chce Budzynowski; czy na rzecz gmin, jak my wolelibyśmy „starsi“ radykali? Trochę ten spór przypomina walkę o skórę niedźwiedzia, który jeszcze po lesie swobodnie buja. Niech sobie będzie na rzecz gmin, niech będzie na rzecz państwa, byle je wykupić i chłopom rozdać. Ostatecznie, mówiąc krótko, radykalizm ruski jest odłamem kwestyi socyalnej; jest socjalizmem przystosowanym do naszych agrarnych potrzeb i warunków“.

II. Przyczyny.

Taki cel, takie fundamentalne zasady radykalnego ruchu; jakie główne jego źródła, przyczyny? Mają one w części podstawę w istniejących stosunkach, w części wymyślone są *ad usum Delphini*, w największej części powstały z pomieszania fałszu z prawdą, bałamutnych podejrzeń, niesprawdzonych zażaleń z rzeczywistemi tu i owdzie zdarzającemi się niesprawiedliwościami i nieprawidłowościami. Bez kwestyi Galicya nie jest rajem na ziemi; inne pytanie, czy jest piekłem, a każdy szlachcic, ksiądz, urzędnik wcielonym biesem, dyszącym nienawiścią dla każdego chłopca, dla tego, że jest chłopem, i przemysłiwającym dniem i nocą, jak go ze skóry obedrzeć.

Jakie dziś położenie naszego chłopca? pyta i odpowiada

p. Budzynowski w osobnej broszurze, omawiającej stosunki drobnej posiadłości w Galicyi¹. Patent z r. 1848, nibyto wprowadzający uwłaszczenie chłopów, narobił właściwie tylko kandydatów do torby żebraczej. Ten dar to wylizana misa soczewicy. Gdyby panowie naprawdę byli chcieli pańszczyznę darować, powinni byli indemnizacyjne obligacye wrzucić w ogień. Oni woleli przetrwonić je w Monako i w towarzystwie paryskich rozpustnic. Owszem, panowie jak mogli urywali z chłopskich gruntów, oszukiwali, kradli. To nie próżne słowa. Poseł Huryk udowodnił w sejmie przed dwoma latami szeregiem faktów, że panowie poprzywłaszczali sobie dawne gromadzkie lasy i pastwiska. Chłopi prowadzili około 32.000 serwitutowych procesów, za które zapłacili około 15 milionów reńskich, na to, aby przegrać około 30.000 spraw. Dodajmy do tego nierówno wymierzone podatki, cisnące chłopów bez porównania więcej, niż pana; dodajmy propinacyjną krzywdę; dodajmy wzmagające się wciąż, dochodzące do niemożliwych granic rozdrobnienie mniejszych posiadłości.

A zarobki? — pyta dalej p. Budzynowski. — Fabryk niema, i chłop, czy chce, czy nie chce, pracować musi na pańskim polu. W niektórych okolicach, gdzie obszary dworskie wielkie a ludność nieliczna, może sobie robotnik zarobić w czasie żniw od 50 do 80 kr.; wyjątkowo i guldena dziennie. Prawda, że dla pochwycenia tego zarobku musi niejednokrotnie własne pole zaniedbać. Lecz oto po niewielu dniach minęły żniwa; zarobek dzienny spada od 30 do 40 kr. W miesiąc po żniwach nie dostanie i 30 kr. Po wymłóceniu zboża, po wykopaniu kartofli rozpoczyna chłop swój zwykły, od wieków praktykowany, dziewięciomiesięczny urlop. Niema dla niego zarobku — aż znowu za rok. Teraz może sobie spokojnie jechać na świeże powietrze do Meranu, albo do Monako — zgrywać się z zarobionego grosza. Płaca dzienna kobiety jest zazwyczaj niższą o 25 do 30 procent od

¹ *Chłopska posiadłość w Galicyi a nowoczesni suspilno-reformatorski zmagania*. Lwów 1895. Przedruk z *Narodu*. Polskie socjalistyczne pismo *Światło*, miesięcznik ku oświeceniu i rozrywce klas pracujących, umieściło u siebie tę pracę w polskiem tłumaczeniu, zatytułowanem: „Chłopska posiadłość w Galicyi“.

płacy mężczyzny. Przeciętny jej zarobek wynosi od 10 — 15 kr. dziennie.

Jakie dochody, takie i życie chłop. Z gryzącą ironią maluje radykalny przewódca mieszkanie, ubranie, jedzenie naszego „szczęśliwego wieśniaka“¹. Mieszka on w chlewie zlepionym z gliny i słomy. Parkietów nie ma. Dym przepływa swobodnie wszystkimi możliwymi otworami, bo komin to rzadkość... Okienka, złożone z najróżniejszych szklanych czerepów, tak silnie w ścianę wmurowane, że ani sposób ich otworzyć. Zresztą, gdyby nierozważny jakiś awanturnik-higienista zechciał je otworzyć, to razem z najrozmaitszemi wyziewami wypuściłby z izby i drogie ciepło, wydobywające się, za pomocą fizyologicznych procesów, z samegoż chłopskiego organizmu... Nadto w chłopskim salonie mieszkają przecież razem kury, cielęta, a nawet i krowy. Historia jednej pary butów, jednego kozucha na całą rodzinę, zanadto czytelnikom naszym znana, abym miał ich męczyć opisywaniem chłopskiej garderoby... A co dopiero za paradna strawa, „zdrowa, prosta“ strawa!... Każdy z nas wie, że najlepsze marcypany jako to: najpiękniejsze kartofle, marchew, a czasami mleko i ciasto nie idą na stół, ale w koryto dla prosiąt, aby rosły, rozwijały się, tuczyły na pociechę — nie chłopskiego żołądka, lecz „fiskusa“ i wszystko pożerającego lichwiarza. Chłop zapycha się przebraniami kartoflami, kartoflami i jeszcze raz kartoflami. Największy specyał — to, czem ciasteczka są dla mieszczucha — to czarny razowy chleb, o imponującym ciężarze gatunkowym... Mleko, chleb, ser, jaja chłop je wtedy wyłącznie, gdy mu się mimo najstaranniejszych poszukiwań, poszczęści — nie znaleźć na nie kupca. Od mięsa odwykł nasz chłop zupełnie... Pewien pisarz słusznie zauważa, że chłopci nasi żywią się i przygotowują sobie jedzenie zupełnie w ten sposób, co dzicy w środkowej Afryce“...

W straszniejszych bodaj jeszcze barwach maluje chłopską dolę dla chłopów pisany *Hromadskij Hołos*². Za pańszczyzny były baty, kańczugi, niewola. Dziś chłopska nędza w inny strój

¹ Te słowa w ruskim tekście wypisane po polsku.

Hr. Hołos, nr. 1. *Pany, didyczi a muzyki*.

się przybrała, ale nie mniej straszna. Kto panom żnie i młóci, kto kosi i zbiera pańskie siano?... Chłop iść musi do pana na robotę; iść musi, — przymusza go nędza gorsza od ekonoma, od kańczuga i nachajki... Lichwa, długi pędzą go w żydowską niewolę. Nie ma chłop bydła, bo nie ma go gdzie paść... A cóż to za chłopskie gospodarstwo bez bydła? Mleka nie ma, dzieci nie rosną; gnoju nie ma, ziemia nie rodzi. Gdy orać przyjdzie, jeden gospodarz ma krowę, drugi kobyłę; sprzęgą je razem i orzą. A jak źle dopiero bez lasu, bez drzewa! Nie ma czem w piecu zapalić, nie ma przy czem strawy uwarzyć... Biedny gospodarz sprzedaje w jesieni zboże żydowskiemu spekulantowi, a na wiosnę kupuje od niego i przepłaca. Sprzedać musi, bo mu koniecznie, na wszystkie strony pieniędzy potrzeba. Podatki, dodatki do podatków i dodatki do dodatków — płać! Notaryuszowi za kontrakt, za intabulację, za spisanie masy spadkowej — płać! Żydowskie długi — płać! Raty i procenty do banku — płać! Księdzu za śluby i pogrzeby — płać! Gdy budować zacząć cerkiew lub szkołę — płać! Wójt albo pisarz okradnie kasę gminną, albo zabierze sobie podatek — płać! Napadnie cię kto na gładkiej drodze, wpadniesz w jakiś proces — znów płać! A jeśli gdzie wkradła się nowa moda i nie wyrabiają domowego sukna i płótna, to kupuj chłopie w sklepie i płać! Płać! ale skąd pieniędzy weźmiesz? Nic nie pomoże; musi i zamożniejszy gospodarz iść do pana dziedzica na robotę, aby sobie parę szóstek zarobić. I tak, choć dziś pańszczyzna skasowana, nigdy dziedzicom nie brakuje robotników, a często się zdarza, że ludzie nie mogą sobie znaleźć zarobku. Ludzie biedni, robotnik tani; więc panowie dziedzice tyle płacą, ile sami chcą. Nędzny zarobek, z krzywdą ludzką połączony; ale najgorzej, gdy go zupełnie nie ma. Teraz dziedzice pozaprowadzali u siebie rozmaite maszyny; teraz zaledwie w czasie żniwa można łatwo znaleźć pracę i to nie wszędzie!...

¹ W dalszym ciągu artykułu autor wyprowadza do boju słynne „porcye“, i odwołuje się na artykuł St. Tarnowskiego, ogłoszony w roku 1874. Z umysłu ustęp ten opuszczamy, nie chcąc wdawać się w długie wywody, jak sprawa ta właściwie stała i stoi. W każdym razie rok 1874 nie jest rokiem 1895; co wtedy mogło być prawdziwem, może już dziś, przynajmniej na jakkolwiek szerszą skalę, istniejącym stosunkom nie odpowiadać.

„Popatrzcie na naszego chłopą — wołał Daniłowicz na wiecu w Obertynie ¹, — popatrzcie na zapadłe jego oczy, wychudzoną twarz, na jego bydełko i gospodarstwo... Jak tak dalej pójdzie, musi naszemu ludowi zabraknąć na siłach, nie będzie mógł ostać się przy roli i powędruje do Ameryki nie setkami, lecz tysiącami!“

„Tutaj chłop — wyraża się drastycznie nie Rusin, nie radykał, lecz łańciński proboszcz na Rusi — z duszą i ciałem w rękę żydowskimi. Z czego żyje? Z tego, co w lesie zarobi lub ukradnie; co żona borówek zbierze. Ja u siebie pozwalam chłopu z mego lasu żyć; z czegóżby inaczej żył?“

Niełatwą rzeczą wyszukiwać mozolnie, co w tych obrazach ściśle z rzeczywistości skopiowane, a co dodane dla artystycznej gry światel i cieni, dla silniejszego podziałania na nerwy czułych widzów. W każdym razie, nikt temu nie zaprzeczy, obrazy te nie są zupełnie z fantazyi malowane; nie wszędzie, nie jednakowo przedstawiają chłopską biedę w właściwej postaci i naturalnej wielkości, podkreślając pewne jej przyczyny, zamileczają dyplomatycznie o innych, ale z poza karykatury bądź co bądź niewesoła prawda przegląda. Głód, bieda częstym gościem w ruskiej chacie. Dowodem tego choćby te emigracyjne fale, płynące wciąż to ku północnej Ameryce, to ku Brazylii, to znów ku Węgrom, Rosyi, Rumunii; płynące mimo stawianych zapór, bo w domu chłodno i głodno, a tam za morzami, za górami, kto wie, czy lepiej nie będzie? Zapewne niesumienni ajenci podsycają emigracyjną gorączkę; zdarzają się wypadki, że zupełnie dobrze mający się gospodarze, jakby szalem tknięci, nie znajdują pokoju, aż za granicą z dziadowskimi torbami się znajdują; ale to sporadyczne wyjątki, ale najsprytniejsi ajenci niewieleby zdziałali, gdyby gniotąca bieda drogi im nie utorowała. Zgadza się na to Polacy i Rusini, księża i urzędnicy, ruscy radykali i ruscy klerykali. W tem między nimi różnica, że kiedy radykali wyszukują w słownikach najdrastyczniejszych wyrażen dla określenia „chłopskiej niedoli“ i całą winę spychają na „popów i szlachtę“, na „polski rząd“ i niesprawiedliwe prawa, to wszyscy inni, równie co najmniej dobrze znający lud ruski,

¹ Chłiborob z 1 września 1895 r.

jego życie i potrzeby, ostrzegają przed egzageracją, przypominają, że w niejednym powiecie zachodniej Galicyi położenie nie lepsze, a bodaj, czy nie gorsze; wykazują, że jeśli może pan i ksiądz nie zawsze bez winy, niemało i sam chłop sobie winien.

„Największem nieszczęściem ruskiego chłopca — mówi mi łaciński proboszcz, wybornie mówiący po rusku i wogóle od Rusinów poważany, — najwłaściwszem źródłem dręczącej go biedy, bezprzykładne lenistwo, o którym w zachodniej Galicyi wyobrażenia mieć nie można. Więksi właściciele sprowadzają sobie Mazurów do służby, do roboty w polu; muszą sprowadzać, bo nie wyszliby na swoim. W jednej wsi, należącej do mej parafii, pracuje na dworskich łąkach 70 Mazurów, a miejscowi chłopci leżą i patrzą. Jadąc do szkoły, do sąsiada, aż przykro czasem widzieć, jak się chłopci silni, zdrowi i młodzi po polach, po fosach wylegają. Na co jemu na zarobek iść, kiedy dziś ma co jeść, a i do jutra resztki w garnku zostaną?”

Ruski poseł do sejmu, od niektórych nawet podejrzany o radykalne sympaty, nie przeczy wcale tym informacyom:

„W lecie, przy żniwach płaci się w naturze i najmuje się robotników np. za dziesiąty lub dwunasty snop, albo gdzie jest kukurudza, nawet za trzecią część zbioru, tak, że pilny pracownik może sobie guldena i więcej zarobić. Ale iluż z naszych zarobi? W zimie chodzą do roboty za 10, 15 ct. Powiesz pewnie: to nie dużo! O wiele za dużo, bo nie nie robią”.

Nie może chłop zarobić, bo robić mu się nie chce; robić mu się nie chce i nie może, bo źle i mało zjadł; źle i mało zjadł, bo zarobek śmiesznie mały, albo go zupełnie niema. Błędne to koło, z którego nie wiedzieć, jak się wydostać. Ale chłop tak daleko i głęboko nie rezonuje. Bardzo mu na tem mało zależy, jakie przyczyny chłodu i głodu; dość, że chłodno i głodno. Każdy, kto mu powie: „Idź za mną, a będziesz miał zawsze w chałupie ogień, na stole chleb piękny, mleko tłuste a nawet i kawał kielbasy”, wydać mu się musi koniecznie mesyaszem z nieba zesłanym, którego nie słuchać głupstwo i grzech. I oto zjawili się tacy mesyasze, rzucili ziarno w pole przez biedę, istotną, czarną biedę uprawioną. Cóż dziwnego, że ziarno weszło;

że tłumy poszły za nowymi Mojżeszami, obiecującymi im uwolnienie z szlachecko-księżej niewoli, wołającymi: Oto ziemia obiecana, w której nikt się przy pracy nie zmęczy, a każdy będzie miał wszystko, czego dusza zapagnie!?"

III. Agitatorzy i agitorki.

Kiedy po raz pierwszy pojawili się radykalni agitatorzy w ruskich siolach; kiedy zadziwieni, zaciekawieni ruscy chłopci usłyszeli po raz pierwszy radykalne postulaty, z których niektóre mimowolną bojaźnią ich przejmowały, inne, czasem te same, całą siłą ku sobie ciągnęły? Lasy, pastwiska, oswobodzenie się z pod księżej i szlacheckiej powagi, zrzućcie z bark nałożonych dziś przez państwo i kraj ciężarów — dość stare to hasła, odzywające się to ciszej, to głośniejsze od kilkudziesięciu lat. Ale ujęcie tych haseł w system, stworzenie i uorganizowanie partii, któraby, zupełnie na seryo, ułożyła z nich swój polityczno-społeczny program, datuje zaledwie od lat sześciu. W roku 1890 powstał „rusko-ukraiński radykalny organ“: *Narod*; w rok później *Chliborob*, „polityczno-literackie i naukowe pismo dla ruskich włościan i mieszczan“; dwa te pisma stały się centrem agitacji, ich redakcyje rzeczywistymi, jeśli nie nominalnymi komitetami, kierującymi radykalnym ruchem na Rusi, podobnie jak pisemka ks. Stojałowskiego i Wysłoucha stały się źródłem i centrem agitacji ludowej w Galicyi zachodniej.

Inicytorem, „duchownym ojcem“ galicyjskiego radykalizmu a zarazem jego bankierem był głośny Ukrainiec-radykał Michał Piotrowicz Dragomanow, zmarły w czerwcu roku zeszłego, w pięćdziesiątym czwartym roku życia¹. Już jako student uniwersytetu kijowskiego brał Dragomanow żywy udział w ruchu ukraińskim, wydawał i rozrzucał broszury, zakładał niedzielne szkoły i t. p.

¹ Daty te i szczegóły zaczerpnięte z licznych nekrologów, rozspanych zwłaszcza po ruskich pismach a razem zebranych w osobnym numerze *Narodu* (za 1 i 15 lipca 1895), poświęconym wyłącznie pamięci Dragomanowa. M. Pawlik uczcił pamięć mistrza obszerną książką p. t.: *Michajło Petrowycz Dragomanow 1841—1895. Jeho juwilej, smert, autobiografija i spys*

W r. 1865 został docentem historii w kijowskim uniwersytecie, a w kilka lat później zwyczajnym profesorem. Śmiałe, federacyjne poglądy, szeroko rozwinięte w rosyjskich, a szerzej jeszcze i śmielej w zagranicznych pismach, spowodowały rząd do usunięcia go w 1875 r. z zajmowanej posady. Dragomanow opuścił ojczyznę, stworzył w Genewie centrum małoruskiego ruchu, a sypiącemi się bez końca broszurami, ognistemi artykułami, umieszczanemi w założonem i redagowanem przez siebie czasopiśmie *Hromada*, rozrzucal swe idee w węgierskiej, galicyjskiej, ukraińskiej Rusi. Do Genewy, później do Zofii, dokąd powołano Dragomanowa w 1889 r. na profesora szkoły wyższej, pielgrzymowali młodzi Rusini, którym w głowie się paliło, a ręce drżały do ruszenia z posad bryły świata; pytali, słuchali proroka i wracali do domu, wyrzuciwszy z serca resztki chrześcijańskiej wiary, upojeni z daleka we mgle rysującym się czarodziejskim widokiem olbrzymiej, wolnej, radykalnej Rosyi — bez Boga i cara i pana — złączonej w siostrzanym uścisku z wolną, radykalną Ukrainą.

Za wizyty, za płynące gęsto odezwy z hołdami, odwdzięczał się „radykalny papież” — jak czasami Dragomanowa nazywano — publicznemi encyklikami, w których dodawał swym wiernym otuchy, wyjaśniał ciemniejsze punkty opowiadanej przez siebie ewangelii, zapowiadał blizki dzień ostatecznego tryumfu. Po obchodzie 30-letniego jubileuszu literackiej pracy pisał:¹

„W szczególności składam podziękowanie za głosy, które doszły do mnie z Galicyi. Ze wszystkich części ojczyzny naszej Rusi-Ukrainy, Galicya była mi zawsze niemniej może blizką i drogą jak rodzinna ma Pułtawszczyzna... Dwadzieścia lat minęło od czasu, jakem się przekonał, że w Galicyi mamy przed sobą pole, na którem z większą swobodą możemy pracować, szerszy i głębszy wpływ wywierać, niż w rosyjskiej Ukrainie... Nie ludzę się wiarą w zbyt wielkie siły radykalnego ruchu w Ga-

tworów. Ułożyw i wydał M. Pawłyk kosztem Ukraińców. Lwów 1896. Jest to z niejednego względu ciekawy zbiór surowych materyałów: listów, przemów, telegramów, odnoszących się głównie do obchodzonego w 1894 r. jubileuszu 30-letniej literackiej pracy Dragomanowa, i do jego śmierci.

¹ *Narod* za 1 i 15 lutego 1895, str. 45 np.

licy. Ale teraz śmiało powiedzieć mogę, że ruch ten znalazł sobie właściwe koryto, że nie ustanie, wzrastać będzie — bo już pewna część galicyjskich chłopów przyłączyła się do wszechświatowego, postępowego ruchu, którego nie nie jest w siłach zatrzymać. Złe, najgorsze czasy dla stronnictwa naszego już minęły; przyszłość dla sprawy naszej zabezpieczona!¹

„Galicya — powtarza i rozwija te myśli w obszerniejszem piśmie do *krużka* młodych Ukraińców¹ — jest dzisiaj jedynym zakątkiem Ukrainy, w którym mężowie inteligentni stanąć mogą przed tłumem i mogą spróbować natchnąć ich swemi postępowo-naukowemi ideami, zorganizować ich do walki za własne swe interesa. Tu przeprowadzoną być może dokładna próba, co właściwie są warte ukraińskie narodowo-demokratyczne i postępowe tendeneye. Próba ta nie może nie wywrzeć pewnego wpływu i na Rosyę. Już i dzisiaj wieści o niewielkich rezultatach, osiągniętych przez galicyjskich radykałów, jak np. wiadomości o narodowych wiecach, rozechodzą się za pośrednictwem rozsyłanych przez agencye telegraficznych depesz po całej Europie, przechodzą do wszystkich gazet rosyjskich. Już i dzisiaj rosyjskie gazety więcej pisały o galicyjskim ruchu radykalnym, niż pisały przez całe 10 do 15 lat o wszystkich razem wziętych ukraińskich sprawach“...

Dzienne rozkazy ukraińsko-radykalnego atamana znajdowały chętny posłuch; mistyczno-rewolucyjne jego odezwy trafiały do przekonania, a bardziej do serca i fantazyi młodzieży, co potrzebowała w coś wierzyć, do czegoś szczytnego dążyć, a której wiarę paczono i niszczono w zarodku; ideały oblewano zimnym strumieniem niezdrowego materjalizmu. „Każdy z nas — przyznawał mi się z uśmiechem poważny ruski kapłan — każdy, kto więcej miał trochę zdolności i energii, był za studenckich swych lat radykałem“. Legion studentów-radykałów topniał, topnieje oczywiście gwałtownie po wejściu w życie praktyczne; ale znaleźli się i tacy, którzy choć opuścili szkolną ławkę, nie puscili radykalnego sztandaru. Niezbyt ich wielu, lecz — przy-

¹ *Narod* za 1 i 15 sierpnia 1895.

znać trzeba — są to wogóle ludzie zdolni, energiczni, nie cofający się przed trudnościami. Wszysey oni za życia Dragomanowa należeli jakby do jego sztabu; wszysey uważali i uważają się za jego uczniów, choć nie wszysey, jako dokładniej ze stosunkami galicyjskiemi obeznani, uważają za możliwe, całą jego naukę przejąć, a przynajmniej propagować.

„Dziela nas i dzielimy się sami na „starych“ i „młodych“ — informuje zgodnie paru najwybitniejszych przewodców z partyi „starych“ i z partyi „młodych“. — Partye te istnieją; „starzy“ z „młodymi“ bardzo czasem energicznie się kłóca; „starzy“ wyrzucają „młodym“, że niedość się trzymają dragomanowskiej tradycyi, że dla pewnych, chwilowych, praktycznych korzyści zapierają się zasad; „młodzi“ za złe mają „starym“, że dla oderwanych teoryj wystawiają na szwank dotykalne interesa. W gruncie rzeczy, niema co tak wiele o tem gadać. Jeden nasz cel, jedne właściwie drogi; co najwyżej „starzy“ idą po prawej, „młodzi“ po lewej stronie tej samej ścieżki. „Starzy“ trzymają się taktyki dawniejszych wrogów dzisiejszego porządku, co wprost walczyli z księżmi i religią. „Młodzi“ uważają za właściwszą taktykę dzisiejszych socyalistów, udających, że nie wiedzą nic o religii i księżej sutanny nie widzą. Odmienna taktyka, ale ten sam cel, te same fundamentalne zasady. To dwa pułki należące do jednego wojska, choć w odmienne mundury przybrane, choć zazwyczaj na siebie chyłkiem się boczą, czasem nawet jawnie i z hałasem za łby się wodzą. Niech zagra wojenna trąbka, oba pułki zapomną o domowych waśniach, i karnie, pod jedną komendą ruszą na wspólnego wroga“.

Redaktor „starego“ *Chliboroba* tak zachodzące różnice określa:

„Młodzi“, z Frankiem i Budzynowskim na czele, chcieliby bardziej jeszcze naciągnąć narodową strunę. Narodowość rzecz piękna i ważna. I my walczymy i rozwijamy się także na tle narodowem, ale właściwy ton całemu ruchowi nadawać musi tło społeczne. Wyższej polityki boimy się, aby goniąc za nią nie stracić z oka tego, co lud boli, czego prawdziwie potrzebuje. Coś podobnego jak u nas, jest i u polskich socyalistów; i oni

zawzięcie dyskutują, jak się do ludu praktycznie wziąć. Ale to teoretyczne spory“.

Redaktor „młodego“ *Radykała* powtarza podobną piosenkę, prawie na tę samą, może o parę tonów wyższą nutę, ledwie kilka nazwisk i wyrażań w tekście zmieniając, przedstawiając. Reprezentuje „młodych“, więc oczywiście więcej w nim ognia, fantazyi i pewności siebie.

„Musieliśmy taktykę zmienić i dlatego *Radykał* zastąpił Pawlikowski *Narod*, trochę zniedołężniały. Zmiana pierwotnego programu, ułożonego w 1890 r., nasuwała się koniecznie sama przez się; nawet najkonserwatywniejsi między „starymi“ na wszystkie punkty ówczesnego programu się nie godzą. Nakazano np. wtedy każdemu członkowi partji radykalnej trzymać się we wierze racjonalizmu, a w sztuce realizmu. Co u licha sztuka i realizm w sztuce ma wspólnego ze stronnictwem polityczno-społecznem? Swoją drogą, choć się raz po raz ze „starymi“ wyklócimy, umiemy cenić ich zasługi, dawniejszą i dzisiejszą pracę. Dziś na nas kolej, my dziś prawie wszędzie górą; ale oni pierwsi drogę nam torowali, byli i są, w razie potrzeby, dzielnymi, lojalnymi sojusznikami“...

Dopóki żył Dragomanow, był on uznany przez obie partje za wspólną moralną głowę, nie zawsze słuchaną, ale zawsze otaczaną przykładną czcią; był nietykalnym Mikadem, przed którego tronem kłaniały się równie nisko dawne, wierne, jak i świeżo zaciężne, w części zbuntowane legiony. Dziś takiej głowy niema; dragomanowscy jenerałowie i sztabowcy podzielili między siebie Ruś i każdy z nich jest do pewnego stopnia niezależnym królikiem w zajętem przez siebie terytoryum; właściwa naczelna władza nad całą partją przeszła w ręce senatu, złożonego z najpotężniejszych, najsprytniejszych, najruchliwszych królików.

Były wydawca i redaktor byłego *Narodu*, Michał Pawlik, niegdyś pierwszy adjutant Dragomanowa, cofnął się dziś w domowe zacisze, pióra nie złamał, broszurę po broszurze w świat puszcza, ale brać na razie nie chce bezpośredniego udziału w toczonych harcach i bojach. Jak się cofnął, tego drobnym znakiem, że we Lwowie, w najlepiej zdawało się poinformowanych

kołach, zaręczono mi, że Pawlik zamieszkuje obecnie Kołomyję; w Kołomyi dowiedziałem się, że przeniósł się od dłuższego już czasu na stałe mieszkanie do Lwowa i nie myśli Lwowa opuścić. W jednym z ostatnich numerów *Narodu* udzielił on „młodym“ i „starym“ bardzo praktycznej rady, w której zarazem streścił swe zapatrywania na te domowe kłótnie¹: „Reformatorzy zacząć muszą reformę od samych siebie... Niech się wezmą do praktycznej pracy między ludem, niech mniej krzyczą, więcej robią... Zabrał się p. Budzynowski do takiej roboty i przestał narzekać na „starych“, bo przekonał się, że ostatecznie musi wiernie w ślady ich wstępować. Niechże wszyscy „młodzi“ i „starzy“ zrobią, jak zrobił p. Budzynowski, a wypłynie sama z siebie ogólna, przesłiczna reforma radykalnej partii“. — Twarde trochę słowa, niemiłe zarzuty, na które „młodzi“ nie zostali dłużnymi odpowiedzi. Franko dawniej już w jednym z swych wierszów odmalował Pawlika, jak wstawia się za *Bidą*, gnębiącą ruskiego chłopca: „Nie rwijciej jej tak na kawałki, nie mordujcie, trzeba z nią obejść się humanitarnie“². Żarliwy stronnik i obrońca „młodych“, Łukianowicz, oblał redaktora *Narodu*, w samymże *Narodzie*³, deszczem zarzutów... Zimny był deszcz, ulewny, i trudno się dziwić dawnemu organizatorowi i wodzowi, że taka niewdzięczność mu dopiekła i powiedział niewdzięcznikom: „Radźcie sobie, jak możecie, a mnie dajcie święty pokój! Dłużej z wami nie gram!“...

Po odsunięciu się Pawlika wystąpili we Lwowie na pierwszy plan, stanowczo i bez rywala, dwaj „młodzi“: Wiaczesław Budzynowski i Iwan Franko⁴. P. Budzynowski, ekandydat na doktora medycyny, dość młody, i to nie tylko ze względu na brońiony przez siebie program, przedstawia idealny typ skończonego

¹ *Narod* z 1 i 15 lipca 1895, str. 237 i 238.

² *Z wierszyn i niżyn*. Zbiornik poezji Iwana Franka. Druge dopownene widanie. W Lwowi 1893, str. 142.

³ *Narod* z 1 maja 1895.

⁴ Ponieważ p. Franko także w polskich pismach i broszurach tytułuje się systematycznie Iwanem, dlatego, nie wiedząc jaka w tem może być racya, woleliśmy dla bezpieczeństwa nazwać i jego towarzysza Wiaczesławem, zamiast Wacławem.

komitego powieściopisarza“, „wielkiego“, „największego dziś“ — jak niektórzy dodają — ruskiego poety. A w dodatku ten poeta, powieściopisarz, socyolog, ruski redaktor, polski wicedaktor, polsko-rusko-niemiecki korespondent, bierze gorący udział w czynnym politycznym życiu: prawi mowy, na wiece jeździ, w różnorodnych deputacyach bierze udział, na posła zawsze kandydować gotów. Trzeba mieć na to talent; trzeba mieć i fantazyę.

Jeżeli już p. Budzynowski nie zarzuca bynajmniej w redagowanych przez siebie pismach wstydlivej zasłony na wyznawane przez siebie teorye, mówi jasno, szczerze, aż miło: „Precz z panami, ze szlachtą, z dzisiejszem pojęciem własności, ze wszystkimi istniejącymi dziś urządzeniami społecznymi!“ — to p. Franko, korzystając w całej pełni z wolności, przysługującej poezyi i powieści, tem mniej się myśli hamować. W „Dumkach proletaryusza“¹ rzuca śmiało w twarz swym sędziom — całemu społeczeństwu, twarde wezwanie, hardy program:

Sądzicie wy mię, moi sędzie,
 Bez miłości fałszywej,
 Nie łudźcie się, że zawrócę
 Z drogi nieuczciwej.
 Nie łudźcie się, że ja głowę
 Przed wami uchylę,
 W dobroć waszą, że uwierzę
 • Choć na jedną chwilę!...
 O jedno was tylko proszę,
 Powiedźcie jasno i śmiało,
 Jaką winę w sobie noszę,
 Ja i moi towarzysze?
 Powiedźcie nam: Wyście zdrajcy,
 Bo z was każdy, każdy rad
 Poprzemieniać, poprzetwarzać,
 Zwalić nasz społeczny ład!
 Powiedźcie nam, z jakiej racyi
 Społeczny ład zmienić chcecie?
 Z tej, że panem w nim bogaty,
 A lud niemy sługą kornym;
 Z tej, że praca w nim ucziwa
 Przyduszona, poniżona,
 Choć wasz cały ład społeczny
 Podpiera i żywi ona.

¹ *Z werszyn i niżyn. Dumi proletarija. Na sudi. Str. 39 np.*

Z tej, że wasze darmojadztwo
 Z roboczych ciał ssie krew i pot;
 Z tej, że z waszych katedr, ambon
 Nie zorza idzie, lecz noc;
 Z tej, że krew miliony leją
 Dla zachcianki panów, carów,
 Z tej, że człowiek człowiekowi
 Katem, bogiem, niewolnikiem,
 Gorzej niż u psów.

Powiedzcie nam, w jaki sposób
 Chcecie nasz ład w inny zmienić?
 Nie przemocą, ani sztuką
 Ognia, żelaza i wojny,
 Lecz prawdą, pracą, nauką.
 Może krwawe przyjdą boje,
 Lecz to już nie nasza wina!

A czyja? Czyjaż, jeśli nie Lachów, polskich panów, polskich księży, despotycznego Rzymu, czarnej nędzy, barbarzyńskiej niewoli, w której chłop jęczy?¹

Cóżeśmy z tego skorzystali, Lachy! żeśmy się z wami bratali? Braterską szyję w jarzmoście zaprzęgli. A gdyś Lachu częsteczkę, drobną częsteczkę władzy dostał do rąk z niemieckiej łaski, to nam:

Zazdrościsz kruszyny swobody,
 Ciśniesz i krzyczysz: Do zgody!...
 Bratajmy się — równi z równymi,
 A nie pany z poddanymi!

Kto Rusi grozi? W Chyrowie Jezuiaci sidła na naiwną Ruś zarzucili². Gdzie symboliczna „Bieda“, cisnąca i dręcząca nieszczęśliwą Ruś, radzi nad jej zagubą, kto do tych rad pomaga?

Bieda sobie poszła prosto
 Na łacińskie probostwo,
 Tam radziła z księżami
 Jak Ruś puścić z torbami.
 Tak zrobiła w Tuczapach,
 Taki poszedł z nich zapach,
 Na wsze siola, cały kraj,
 Że choć nosa zatykaj.

¹ *Z werszym i nyżyn. Liacham*, str. 73 np.

² Tamże, *Wandriwka Rusina z bidoju*, str. 137.

Krzyknął Rusin: Bierz cię lichu!
Bieda rzecze: Siedźże cicho!
Zawiaż język na kłódkę,
Kiedy *Roma locuta*!¹

„Mużyk“ umiera z głodu i biedy; matka nie wie, jak pocieszyć zgłodniałe dziecko; ojciec z płaczem wychodzi na zarobek do Rosyi, do Mołdawii. Radźcież, rozumni panowie, ratujcie przemożni panowie! A rozumni, możni odpowiadają:

— Jakoś to będzie, jakoś to będzie!

Chłopskie pole przechodzi w żydowskie ręce. Chłopskie szkoły nie rozsiewają nauki, ale nienawiść i niezgodę. Prawo, sumienie wszędzie podeptane. Radźcież, rozumni panowie, ratujcie przemożni panowie!

— Jakoś to będzie, jakoś to będzie!²

Po cóż zresztą radzić, ratować? — pyta kiedyindziej z gryzaczem szyderstwem³. — Wszak chłop najlepszy na świecie los wyciągnął. Ziemię świętą w banku zastawia, w długi wpada jak w morze bezdenne...; cesarzowi wiernie służy, macha gwerem, maszeruje w „glidzie“, marznie na warcie, zdycha w „szpangach“.

Hej! kto na świecie lepszej doli zaznał,
Jak ten, co prawym patryotą zwie się,
Podatki wiernie rok za rokiem składa,
Szanuje władzę, przed żandarmem gnie się,
Ściska się z woźnym i choć bardzo biedny,
Jak trzeba dawać, da i grosz ostatni,
A na co daje, i za co — nie pyta —
Hej! kto na świecie lepszej doli zaznał!...

Pracuj, poć się chłopcze! Gdy przyjdzie święto, choć wielkocne — czas wytechnienia i spoczynku — nie znajdziesz schronienia, chyba w szynku u Żyda⁴. Biegaj, bosi Iwanku, po śniegu i lodzie; biegaj dla zabawy paniczka, który ci za to da cztery grajcary; przeziebisz się, umrzesz — cóż z tego? — panicz się zabawił, a ty i w trumnie zarobionych sumiennie czterech graj-

¹ Tamże, str. 133.

² Tamże, *Osy* III, str. 109.

³ Tamże, *Chliborob*, str. 110.

⁴ Tamże, *Halicki obrazki*. Welykdeń, str. 188.

carów z ręki nie wypuścisz¹. Czemu, biedny stary dziadku², co zbierasz ze strachem w pańskim lesie trochę grzybów, za które dostaniesz kawałek chleba i parę łachmanów; czemu na widok mój tak się przeraziłeś i uciekasz co sił w jar ciemny? Już do-myślałem się, rozumię! O! bądźże przekłety, pański, ciasny mój surducie, boś ty ubogiemu mojemu bratu uczynił mię tak strasznym!³...

A lasy, a pastwiska? O! to już krzywda o pomstę do nieba wołająca! To rozbój na równej drodze! Jednego pięknego po-ranku — opowiadać każe p. Franko staremu chłopu — zajechała komisyja do dziedzica, a po komisyi dziedzic oznajmił, że odtąd lasy i pastwiska, do których gmina od wiek wieków miała prawo wyłącznie do niego należą, a nam do nich wara! Procesowaliśmy się siedm lat za ostatnie grosze; to tak, jakby kto z gminy przez siedm lat żyły wyciągał. A potem pan adwokata przekupił i my przegrali. Chcieliśmy siłą naszej własności bronić; pan wojsko sprowadził. Dwa miesiące stało wojsko we wsi, a kiedy ze wsi wyszło, mógł być pan spokojny; gromada była złamana, zruj-nowana do cna i musiała sama oddać się w jego ręce³.

„Ot — taka nasza dola! — wyciąga p. Franko ostateczny morał, jak z tego opowiadania, tak w trochę innych słowach lecz z tą samą przewodnią myślą z mnogich innych, gęsto z pło-dnego jego pióra się sypiących. Czy będzie kiedy lepiej, czy powie-dzie nam się przed śmiercią swobodniej odetchnąć — Bogu wiadomo. Ale pan ze wszech sił nad tem pracuje, aby nas skuć w coraz ciśniejsze kajdany. Pięć karczem we wsi postawił, szkoły niema, księdza takiego sobie wybrał, że idzie z nim ręka w rękę, a my nie mamy pójść do kogo z poradą, żyjemy jak te woły w jarzmie, nawet dzieciom nie robimy nadziei lepszej przyszłości...“

Budzynowski jest we Lwowie naczelnym agitatorem rady-kalnej partyi. Franko nie jest jej szefem i formalnie miał nie-zaprzeczną rację, gdy niedawno temu w polemice z p. Roma-

¹ Tamże, *Hałahan*, str. 192.

² Tamże, *W lisi*, str. 200 np.

³ *Lisy i pasowyska*, umieszczone w zbiorze: *W poti czola*. Lwów 1890, str. 179—190.

nowiczem energicznie przeciw temu tytułowi się bronił¹. Ale czem z pewnością jest, to jej powieściopisarzem, poetą, jeneralnym ambasadorem w kraju i za granicą, jeneralnym sekretarzem. A wiadomo przecież, czem zazwyczaj sekretarz bywa, tem bardziej tam, gdzie stanowisko rzeczywistego, a choćby nominalnego szefa nie obsadzone.

Stolica Galicyi jest obecnie zarazem, dzięki zjednoczonym usiłowaniom przewódców „młodych“: Franka i Budzynowskiego, stolicą ruskiego radykalizmu; do niedawna centralnym jego punktem, prawdziwą stolicą, była Kołomyja; jej filią, tem niejako, czem Podgórze jest w stosunku do Krakowa, był Śniatyn. W Kołomyi drukowały się podburzające broszury, stąd rozchodziły się na wszystkie strony grube paczki *Chliboroba*, szerząc niezadowolenie; w Kołomyi, w Śniatyniu zbierały się hałaśliwe wiece. Piękne te kołomyjsko-śniatyńskie radykalne dni należą do przeszłości, ale swoją drogą starzy wodzowie, choć w części na drugi plan usunięci, posterunku nie opuścili, nie zaprzestali energicznej agitacyi. Franko w znanej już nam „Wędrówce Rusina z Biedą“, oddaje gorące pochwały kołomyjskim radykałom:

Jeszcze Bieda nie skończyła,
Aż tu radykałów siła
Ze wszech stron się na nią rzuci,
Bez litości Biedę młóci.
Z tego boku Daniłowicz,
Z tamtego Harasimowicz,
A z trzeciego Tryłowski
Biorą Biedę w obroty.
Zaparyniuk z tyłu parzy,
A Sandulak rżnie po twarzy...².

Gdyby poeta dziś wiersz swój przerabiał, dodałby jeszcze pewnie d-ra Okuniewskiego.

Najruchliwsi są Daniłowicz i Tryłowski, obaj w sile wieku; obaj żyją z adwokatury, a więc na pierwszym miejscu z chłopskich procesów; obaj licznymi, możliwie najbliższymi koligacyami związani z całym szeregiem ruskich księży i stąd części goście na ruskich

¹ „Nieco o stosunkach polsko-ruskich“, napisał dr. Iwan Franko. Lwów 1895, str. 33.

² Z *werszyn i nyżyn*, str. 142.

probostwach; obaj wybitni stronnicy „starego“, dragomanowskiego programu; obaj zwyciężeni kandydaci przy ostatnich sejmowych wyborach. Dr. Seweryn Daniłowicz rezyduje w Kołomyi i jest jednocześnie prezesem kołomyjskiej socjalistycznej „Siły“, prezesem *Narodnej Woli* i redaktorem z systematyczną nieregularnością pojawiającego się *Chliboroba*. Dr. Cyryl Tryłowski rezyduje w Śniatyniu, a częściej bodaj, zwłaszcza w czasie wyborów, na wózku i w kolejowym wagonie. Rusin z innego obozu, ale który miał czas i sposobność dobrze się w różnych okolicznościach Tryłowskiemu przypatrzeć, tak mi go, szkoda że w zbyt ogólnych zarysach, charakteryzuje:

„Zdolny to człowiek, zapalony, młody, bo ma dopiero 31 lat. W czasie wyborów się zrujnował. Chłopi nie bardzo się za niego zastawiali, jak i za Daniłowiczem nie myśleli się kompromitować, bo bądź co bądź, choć obydwaj głoszą teorye, które mile po sercu głaskają, obydwaj noszą czarne surduty. Niechby jednego albo drugiego obrano posłem, zobaczylibyśmy, czyby taktyki nie zmienili; czy po paru miesiącach na inną nutę nie zaczęliby śpiewać. Po prostu na muzyckich karkach chcą się do góry wydrapać“.

Stryjski adwokat i inspirator *Stryjskiego Hołosu*, dr. Oleśnicki, podobnie jak redaktor nowego tego, nie umiemy na pewne powiedzieć, czy istniejącego jeszcze pisma, Włodzimierz Ochrymowicz, przyznają się wogóle do radykalnych zasad, ale wykreślają z nich, a przynajmniej pomijają milczeniem niektóre krajcowe postulaty. Takich połowicznych, nieokreślonych, których pewne sympatye do radykałów ciągną, przed pewnemi konsekwencyami strach bierze, możnaby jeszcze z pół tuzina, a może i cały tuzin wyliczyć. Od nich wszystkich, od całych i połowicznych, odbija, jak odbija oryginalny, świąteczny strój ruskiego chłopca od konwencyonalnego surduta, nowy przemyski poseł, Stefan Nowakowski.

Bawiąc w Przemyślu, w Przemyśkiem, w pierwszych tygodniach po wyborach sejmowych, tyle wciąż słyszało się o Nowakowskim, tak szczegółowo komentowano każdy jego krok i giest, że niejedna ekscelencya mogłaby mu tego pozazdrościć. Istotnie z opowiadań, z podawanych szczegółów sądząc, dość

interesująca to postać i mocno żałuję, że nie udało mi się osobiście zetknąć z nowym posłem. Dość on jeszcze młody, może sobie liczyć 32, 33 lat życia; ale agitator bardzo już wprawny, wiedzący wybornie, jak i czem współobywatelom swym zaimponować. Przy komisji wyborczej, choć pierwszy bodaj raz przypatrywał się jej działalności i rozgrywał się własny jego los, nie zadrgnął mu ani jeden nerw; po wyborze podziękował w kilku prostych, spokojnym głosem wymówionych słowach, i natychmiast zabrał się z powrotem do domu, do oddalonych o mil kilka Torek, w których piastuje wójtowską władzę. Wogóle, w sposobie przemawiania, nawet poruszania się naśladuje on podobno spokój, majestat ruskich księży przy religijnych obrzędach; Mazurówby to może irytowało i pobudzało do ziewania, Rusinom trafia najłatwiej do przekonania. Pewne wykształcenie, a wspólnie z nim radykalne przekonania, zawdzięcza dzisiejszy poseł swemu bratu, prawnikowi, który przez lat parę u niego mieszkał, do książki, do pióra i do agitacji go zaprawiał. Jakie żywi ideały, do jakich celów i jaką drogą, z jakim przygotowaniem zdąża, to sam określił w liście do redaktora polskiego radykalnego tygodnika *Monitora*¹. List to niezbyt ciekawy; lepiej wystylizowanych, ogólnikowych narzeknięć i programów dużo się czyta; ale ponieważ rzuca pewne światło na pisarza i pokazuje, jak w myślącym, choć niewykształconym chłopskim umyśle przyjmuje się nasienie hojnie rzucone w różnych wiecowych mowach i socjalistyczno-ludowych gazetkach, wypisujemy tu z niego ważniejsze ustępy:

„Szkoły, którem ukończył, niewysokie, ledwo czwarta klasa normalna — lecz za to szkoła życia, którą przeszedłem, twarda, pełna nauki, mozolna. Niegdyś w szkole przodowałem dziarskim moim współkołegom, nadziei pełnym, dziś ci koledzy, okrasa wsi mej rodzinnej, jej cała nadzieja, w porozumieniu z całym powiatem przemyskim, wysunęli mię na swego przewodnika. Czy ziszczę ich marzenia? Chcę — goreje we mnie silna wola spełnienia ich życzeń, bo te życzenia tak proste a tak

¹ *Monitor*, nr. 32.

sprawiedliwe, iż mimowoli nabiera się wiary, że przy dobrej woli sejmu ziścić się dadzą...

„A teraz o zapatrywaniach.

„Właściwie zapatrywania ma dzisiaj c. k. rząd, hr. Badeni, panowie, a my, lud? — kto się z tem liczy? O tem cisza, na skargi i żądania zatyka się uszy. Wszak to polityka najwygodniejsza! polityka, która nie zamąca szczęśliwych czasów! Nie słyszy się owych groźnych pomruków na ucisk podatkowy, bezwzględne ściąganie podatków, na ucisk polityczny, lub słyszeć się nie chce. Wydziera się tylko rąk tysiące od pługa, a ćwiczcy w robieniu śmiercionośną bronią!

„Chcę wspomnieć o jednej rzeczy, co o katolickie zaczepia sumienie „braci szlachty“. Napisał był w encyklice swojej papież, aby pomagać słabszym, bo silni sami sobie pomogą. Powiedziano rozumnie i powiedziano wyraźnie.

„A u nas? Nietylko, że ekonomicznie niszczą nas wrogo usposobione dla nas sfery decydujące, ale nadto wymyślają ustawy ochronne nie dla słabych, ale dla mocnych! Dla mocnych ustawy ochronne! To anomalia! A odezwij się o nich z krytyką, toż natychmiast ma c. k. prokurator w zanadrzu cały zapas przesłecznych paragrafów, jak np. § 65, § 300, § 302 i t. d.

„Nie trzeba wielkiego powodu, a współobywateli moich w siermiedze pakuje się „inkwizytem“ do kozy, gdzie ohydne towarzystwo, nędzne jedzenie, głód, do szaleństwa mogą doprowadzić. Przy każdym ruchu chłopstwa, czy to w czasie wyborów, czy zgromadzeń, pakuje się chłopstwo do Iwanowej chaty pod zarzutami, o których się nawet nikomu nie śniło, a których się nie udowadnia i zamiaru udowodnienia nie ma! Nawet mnie, wybrańca ludu, na donos indywiduów najpodlejszego gatunku, uważał prokurator za stosowne wziąć w swoją opiekę. Ach dużo... dużo trzebaby o tem pisać!“...

Do pomocy agitatorom przychodzi, i to w znacznej mierze przychodzi, dość liczny legion amazecek-agitatoerek. Lekkie te, skrzydlate hufce są często w boju najgorętsze, a co jeszcze niebezpieczniejsze, rozkładają nieraz swe namioty w samym środku obozu, z natury rzeczy z wywieszanej na wstępie tablicy

wręcz nieprzyjacielskiego, roznoszą w nim bezkarnie swe hasła, jawną szerzą propagandę. Nie wiedzieć czasem, — zastrzegam się, że czasem, nie zawsze — śmiać się, płakać, czy gorzką satyrę pisać, kiedy przestąpisz gościnne, szczerze po słowiańsku gościnne progi ruskiego proboszcza, ba! znanego, poważanego, kościelnego dygnitarza. Za chwilę zjawi się jego córka, siostra, lub kuzynka; uraczy, ufetuje, ale jednocześnie uraczy tak skrajnoczerwonemi poglądami, wykaże taką znajomość najradzykalniejszych pism i programów, że zdziwiony spoglądasz na gospodarza i nie możesz zdobyć się na dostateczną admirację dla filozoficznego spokoju, z jakim słucha tych wywodów. Śnać próbował je nieraz zbijać, ale nauki szły regularnie do lasu; więc teraz protestuje jedynie dla ceremonii machnięciem ręką, cichym szepem: „Co też dziś gadasz?!“ Gdzie i skąd, jakim ulegając wpływom, ta rzadziej pani, częściej panna, ta wzorowa gospodyni, energiczna nauczycielka, zaczerpnęła tych poglądów i tak się niemi przejęła, że gotowaby za nie, za Franka, za Budzynowskiego, za Daniłowicza, dać się porąbać na sztuki?

Wybornie ze stosunkami obeznany, równie gorący ruski patriota, jak katolicki kapłan, który z natury swego urzędu i powołania przebiega raz po raz znaczną część Rusi wszertz i wzdłuż, częstym jest gościem i pod wieśniaczą strzechą, na probostwach i w urzędniczych dworkach, zwraca mi sam z naciskiem uwagę na ważność tego pytania i taką daje, a mówiąc ściślej, dyktuje mi na nie odpowiedź:

„Jednem z naszych nieszczęść, i to wcale nie najmniejszych, jest zaniedbanie wychowania i wykształcenia ruskich naszych dziewczyn w duchu odpowiadającym naszym potrzebom, a jednocześnie szczerze i rozumnie religijnym. Polacy chętnie się swemi niewiastami i chętnie przyznają, że mają z czego się chęcić; lecz widziećbym chciał, czy i Polki — najwzorowsze dziś, najrozumniej patryotyczne — byłyby takie, jak są dziś, gdyby im za młodych lat tak brakowało opieki, gdyby chcąc do czegoś dojść, musiały same oryentować się i drogi szukać, gdyby przyszło im przedzierać się przez tyle trudności, co naszym Rusinom. Brak nam zakładów wychowawczych dla kobiet, wielki

brak klasztornych konwiktów. Są wprowadzić dwie szkoły we Lwowie i Jaworowie, prowadzone przez zakonnice, Bazylianki; ale szkoły te, choć same w sobie bez wątpienia bardzo dobre, bardzo pożyteczne, musiałyby się rozwinąć, w niektórych może punktach zreformować, jeśliby miały wywierać szerszy, na całą Ruś sięgający wpływ. W Przemyślu założony został świeżo ruski pensjonat dla dziewcząt; o podobnym pensjonacie myślą w Stanisławowie; jak instytucje te się pokierują, dziś powiedzieć niepodobna, w każdym razie i dziś można zaręczyć, że klasztornych konwiktów nie zdołają nam zastąpić. W domu małym dziewczęciem nie ma się kto zająć; w szkole wydziałowej, w seminarjum, jeżeli posłą do niego dziewczynę, nabierze wiele przeróżnych wiadomości, ale sercem jej, wychowaniem nie ma się znów kto zająć; gdy do domu wróci, zostaje w ciągłej, codziennej styczności z księżmi różnego zakroju, rozmawia z nimi o codziennem prozaicznem życiu, bierze udział w nieuchronnych, i dobrze jeśli tylko nieuchronnych, finansowych troskach; patrzy, przysłuchuje się, porównuje, kombinuje, i mimowoli stracić może idealną część dla kapłańskiej sutanny. Starsze „imoście“ mniej były uczone, ale więcej miały uszanowania dla księdza; młodsze, ucześnie, traktują nieraz księdza tak jak każdego innego młodszego lub starszego pana; prawda, że i w polskich domach można się z tem dziś spotkać. Rusinka z natury czuła, serdeczna, instynktownie niejako potrzebuje gorącego nabożeństwa; cóż, kiedy brakuje, już nie ascetycznej, ale katechizmowej podstawy; kiedy z sakramentów nie umie korzystać, i zbyt często wystarcza jej spowiedź raz na rok; kiedy wstydzić się gotowa prześlizgniętych naszych religijnych praktyk. Nie bije pokłonów, bo się wstydzi, choć np. największe rosyjskie panie wcale się ich nie wstydzą; a do bractw nie należy, bo dawne bractwa cerkiewne poszły w zapomnienie; od nowszych, choć zaleconych przez biskupów, wstrzymuje groza latynizacyi. A przecie ta w gruncie szlachetna, gorąca młoda dusza potrzebuje jakichś ideałów, chce coś kochać, dla czegoś wielkiego się poświęcić. I oto przychodzą radykali z łudzącym swym programem, przepełnionym frazesami, w piękne, poetyczne zwroty ubranym, o miłości ludu, o nowej

złotej erze, której jutrzienka już wschodzi; przychodzą i rzucają wielkie hasła: emancypacja ludu, emancypacja kobiety, usunięcie ze świata wszelkiej niesprawiedliwości. Czyż dziwić się, że wrażliwe a łaknące serce chłonie chętnie, bez upamiętania, podany sobie napój?⁴...

Chłonie sama, a gdy zdolniejsza, rezolutniejsza, innym wkoło podaje. Panie, panny starszego autoramentu wyrzekają na chłopską butę, na podżegaczy, „co z dnia robią noc“, pojąć nie mogą, „co się teraz na tym świecie dzieje“, a czasem i z płaczem zaklinają się: „Wolałabym żyć między zwierzętami, niż między tymi ludźmi, tak im radykali w głowie poprzewracali“. Panny, młode bezdzietne wdowy, rzadziej mężatki-emancypantki głoszą na prawo i lewo każdemu, kto słuchać zechce, najskrajniejsze teorie; co Dragomanow, Franko, Budzynowski podają w pewnych odstępach czasu i drobnych dawkach, tem one częstują w przeciągu kwadransa, zmieszawszy w jednym kotle wszystkie esencje znanych sobie systematów filozoficznych, społecznych, literackich. Agitują prywatnemi rozmowami, agitują piórem, występują z publicznemi prelekcjami; zdarzyło się nawet, że zapalona młoda „radykałka“ wsiadła na wózek i naśladując zaparcie się i męski hart starożytnych Rzymianek, wyjechała zwalczać kandydaturę niedość radykalnie usposobionego własnego swego ojca, agitować za wyborem szczerego radykała.

Oplaci się nałożyć spory kawał drogi po przedpotopowych błotach, aby przypatrzyć się takiej radykalce, przysłuchać się, z jaką nieczem niezamąconą pewnością siebie, wysnuwa swe poglądy i teorie. Stary ojciec, ksiądz, od czasu do czasu na znak protestu ręką macha, lub głową kiwa; młody kolega-nauczyciel uważa za stosowne występować w roli rozejmcy, przyjmuje ogólne linie, lecz w tym, to znów w owym szczególe koleżance się sprzeciwi¹; poważny Żyd, faktor, który uważany tu jest

¹ Szczególniej irytował naszego nauczyciela projekt popierany przez radykałów, aby szkoła zostawała pod bezpośrednim zarządem i dyrekcją gminy. „Pięknieby to wyglądało, nauczyciel marłby z głodu, a za szkołę służyłby musiała najgorsza chałupa w całej wsi! Co innego głosowanie powszechne; to słuszne żądanie i musi być zaprowadzone“.

widocznie za poufałego domownika, wchodzi na chwilę z lampką w rękę, przysłuchuje się uważnie, i z lekka się uśmiecha; panna zaprzecza wręcz z zasady wszystkiemu co ojciec nieśmiało wypowie, a nad cichymi jego protestami przechodzi najspokojniej w świecie do porządku dziennego. Sypią się zarzuty, pytania, poważne i ironiczne odpowiedzi. Czemu Polacy księdza Stojłowskiego prześladują? Dlaczego panowie tak się boją, aby lud woli swej nie objawił przez głosowanie powszechne? Kto w Galicyi największy radykał? Nikt inny, jak były namiestnik, bo najradykalniej przeprowadzał wybory.

Na najgłośniejszej trąbce w emancypacyjnej, radykalnodamskiej kapeli gra znana i w polskich kołach powieściopisarka p. Natalia Kobryńska. Wdowa po ruskim księdzu, córka głośnego w ostatnich czasach przewodcy ruskiej deputacyi do cesarza, ks. Ozarkiewicza, p. Kobryńska mieszka na ojcowskim probostwie w Bolechowie, w dzień gospodarzy, uczy, a przynajmniej uczyła „chłopców i dziewczyny, jak z Biedą wojować“¹, w nocy czyta i pisze. Dlatego pewnie taka zdenerwowana, chwili na miejscu usiedzieć nie może, chwili ręką nie daje spokoju, chwytą, gnie, rzuca, co pod oko podpadnie. Niedawno temu w żywych obrazach przedstawiała p. Kobryńska mickiewiczowską Telimenę, i przedstawiała podobno bardzo świetnie, choć w rzeczywistości wcale nie we wszystkim możnaby dopatrzyć się podobieństwa pomiędzy pompatyczną, rachującą się z słowami i ruchami Telimeną, a bolechowską literatką. Przez przeciąg czterech godzin mówiła niemal jednym ciągiem, z nieustającym ożywieniem; wyłożyła z całą szczerością swój program, zapatrywania i rozczerowania. Pilnie w czasie samegoż wykładu robiłem sobie z niego notatki, tak że z pożądaną, jak sędzę, dokładnością podać jestem w stanie główne idee przewodnie i sameż nawet wyrażenia tej ciekawej prelekeyi, rzucającej niemałe światło i na cały ruski radykalizm, i w szczególności na ruskie radykałki, i na pierwszym miejscu na prelegentkę.

„Mówią, że kobiety nasze się nie ruszają; że niema na

¹ Franko: „Wędrówka Rusina z Biedą“.

Rusi ruchu kobiecego, albo tylko chwilowy, sztuczny. To nieprawda! Ja wiem, że ruch jest i ruch musi być, kobieta ruska nie może być dłużej „martwą kłodą“, choć wielu przeciw mnie powstaje i, jak może, przeszkadza. Założyliśmy już swoje towarzystwo, nie „dam“, bo to za arystokratyczna nazwa; nie „żenich“, bo to znowu za demokratyczna, ale „żeńszczyn“. Tak! założyliśmy, ale potem mnie wypędzili, bo powiedzieli, że ja ateistka!... Ateistka! — a czemuż wszystkie partye: kacapy, narodowcy, radykali, chcieli, abym się zaciągnęła do ich szeregów? Za bagatelki mnie czepiają, za słowa, za litery...; reklamy mi żadnej nie robią. Nawet radykali mi zarzucili, że ja szerzę wyłącznie antagonizm kobiet do mężczyzn. I to nieprawda. Całą kwestyę socyalną, jak długa, jak szeroka, obejmuję...

„Dużo czytałam, wszystko co najważniejsze, o kwestyi socyalnej i kobiecej. Hoffmanowa wasza, bardzo dla swych czasów dobra autorka, ale dziś to czasy przeżyte, zapatrywania reakcyjne. Dopiero kiedy przeczytałam Stuarta Milla „O niepodległości kobiety“, którego mąż mi kupił, naprawdę przejrzałam. Potem czytałam Marksa, Lassala, Darwina; zaczęłam nawiązywać kwestyę kobiecą do ogólniejszej socyalnej. Uczniowie Dragomanowa zupełnie mię aprobowali. O! my Dragomanowi bardzo wiele mamy do zawdzięczenia, choć specyalnie o kwestyi kobiecej nie nie pisał!...

„Chrystusa z ludzkiego stanowiska, jako człowieka, podziwiam. Swem poświęceniem dla ludzkości stał się Bogiem... Ale żeby miał się z Dziewicy narodzić — ja tego nie rozumię. Żeby od łacińskiego kleru można domagać się takiego poświęcenia, jakim jest celibat?! Jak mamę kocham, ja tego nie rozumię¹.

„A kwestya „wolnej miłości“? Zarzucają mi, że kwestyę tę poruszam. Nie! naprawdę teraz nie poruszam. Bo czy ja wiem, jakie zajść mogą w przyszłości ewolucye; któż zdoła przewidzieć, jak w następnych wiekach ukształci się stosunek kobiety do mężczyzny? Na razie, to pewna, że dopóki kobieta

¹ Przypominam, że powtarzam nietylko tok myśli, ale zdania i wyrażenia p. Kobryńskiej.

zupełnie z pod przewagi męczyzny się nie wyemancypuje, dopóty nie można prowadzić na seryo dyskusji o „wolnej miłości“.

„Na wiecu w Stryju poruszyłam myśl zakładania ochronek dla dzieci; ale tych ochronek nie miałyby prowadzić żadne zakonnice, Służebniczki, lecz proste baby, bo one wiedzą najlepiej co dzieciom potrzeba. W przyszłości do takich ochronek powinnyby dzieci swe oddawać nie wyłącznie ubodzy chłopci, którzy nie wiedzą co zrobić ze swemi robaczkami w czasie roboty w polu, wszyscyby oddawać powinni, i panie, popadye... Wtedyby ochronki poszły przesłiecznie...¹ Projektowałam także założenie wspólnej kuchni dla całej gminy, przynajmniej w czasie żniw, kiedy robota w ręku się pali i niema czasu gotować, tak że dziś żyją wtedy ludzie ogórkami i zinną mamałygą“...

Zbijaj, kto możesz, kto masz po temu czas i animusz, tych setkę co najmniej różnorodnych propozycyji, wykazuj, oddzielaj w nich kroplę prawdy, zatopioną w jeziorze ze wszystkich stron

¹ Tu znajduje wyjaśnienie szerzona uporczywie bajka nie-bajka o rojonych przez ruskich radykałów „dzieciarniach“, w których wszystkie bez wyjątku dzieci wychowywałyby się na ultrasocyalistyczną modłę pod dozorem i z łaski państwa, powiatu, gminy. W Przemyskiem cytowano mi następny dyalog, jaki miał się odbyć między Nowakowskim a chłopami zgromadzonymi, jeśli się nie mylę, w Torkach. Nowakowski upewniał:

— Wszystkie pola będą cesarkie. Nad niemi postawieni będą dzieciętnicy, którzy będą zboże sprzedawać i każdemu wypłacać, tak, że każdy dostanie 1 zhr. 40 ct. dziennie.

— A jak żona w ciążę zajdzie, — pytali chłopci — jak komu dziecko na świat przyjdzie, kto będzie utrzymywał?

— To będzie we wsi wspólny dla wszystkich szpital. Będzie i „dzieciarnia“, w której dzieci będą się razem chować, żeby matce w robocie nie przeszkadzały.

Chłopci wzięli „dzieciarnię“ z komicznej strony. Żartowali sobie, że odtąd będą po wsiach: „świniarnie“, „królikarnie“, „dzieciarnie“.

Poważniejsi i bardziej cywilizowani radykali, jak Franko, Budzynowski, słuchają z pewną niechęcią zapytań o kompromitujących „dzieciarniach“ i zaręczają, że to plotka wymyślona dla ośmieszenia radykalnego ruchu. Daniłowicz odpowiada wymijająco: „Być może, że Nowakowski o czemś takim myśli. W programie naszym przyjmujemy uspołecznienie wychowania, a jak to sobie każdy wyobraża, to już jego rzecz“. Wobec tych sprzecznych informacyji nie wiedziałem, co o całej sprawie sądzić, gdyby mię p. Kobryńska na właściwy trop nie wprowadziła. I tu więc się sprawdziło: „Kaźda bajka zawiera połowę prawdy“.

świata nadpływających sofizmatów. Słuchający ich razem ze mną niegdyś radykał, później ruski publicysta, dziś państwowy urzędnik, zgłosił parę faktycznych sprostowań; puszczać się na niezgłębione tonie właściwej dyskusyi, nie miał również ni czasu, ni odwagi. Zapewne, w tym wyjątkowym wypadku nie było to potrzebne; każdy ze słuchaczy miał swoje jasne, silnie wyrobione przekonania, których na inne nie przekuł. Ale co się dzieje, gdy hojnie rzucane nasienie pada na młodą, nieobrobioną rolę? Jaki wpływ takie teorye, takie prelekye, rozprawy w takim duchu pisane wywierać muszą na umysły wrażliwe, cheiwe na wszystko, co nęci ku sobie blaskiem nowości, pozorami wielkości?

Radykalni agitatorzy są wogóle ludźmi zdolnymi i zapalonymi dla sprawy, za którą walczą; rzucają hasła popularne, domagają się spełnienia niejednego postulatu powszechnie od dawna za niezbędny uznanego; budzą i przywołują do świadomości żądze, pragnienia ukryte na dnie serca; wreszcie nie wahają się własnej swej osoby nadstawić. Czyż dziwić się, że tłumy nie pytają o więcej, że propaganda prowadzona przez nowych mesyasów przyjmuje się i coraz szersze kręgi zatacza? Tem mniej dziwić się temu można, że propaganda to istotnie zręczna, energiczna, a w służbę swą zaprządz umiała wszystkie znane, możliwe środki.

IV. Agitacya.

Jakimi drogami radykalna agitacya ruska teren sobie zdobywa? Temi samemi, któremi w zachodniej Galicyi szerzy się zdrowy, a szybciej, niestety! i gwałtowniej niezdrowy ruch chłopski; któremi kosmopolityczny socyalizm kroczy po galicyjskich miastach i miasteczkach. Jak tu, tak tam, ruch rozpoczyna się i rozwija za pomocą prasy, wieców, stowarzyszeń.

Pierwsze, ściśle radykalne wydawnictwa: *Mołot*, *Hromada*, pojawiły się w Genewie przed niespełna dwudziestu latami. I wtedy w szeregu następnych lat szli razem i pisali razem, niejednokrotnie w tem samem piśmie, radykali z późniejszymi narodowcami: Franko z Belejem, Pawlik z Romańczukiem. Stanowczy

rozdział między obu stronnictwami nastąpił przed sześciu latami i w tym też czasie powstał znany już nam, obecnie przed kilku miesiącami pogrzebany *Narod*. Znany nam również z poprzednich cytatał dwumiesięcznik: *Żytie i Słowo*, i ściśle ludowe dwutygodniki: „stary“, a właściwie również zmarły, choć urzędowo nie pogrzebany, kołomyjski *Chliborob*; „młode“: *Radykał* i *Hromadzkij Hołos*. Naukowo-literacki dwumiesięcznik *Żytie i Słowo* rozchodzi się w około 200 egzemplarzach; cyfra dość poważna, jeśli zważymy, że organ ten przeznaczony jest wyłącznie dla sfer zajmujących się z pewnem zamiłowaniem nauką i literaturą, a między księżmi liczyć nie może, z powodu jawnej swej tendencji, na szersze rozpowszechnienie. Ile dla ludu przeznaczone pisma mają płatnych prenumeratorów? To już ściśle, najściślejse redakcyjne tajemnice, i byłoby niegrzecznością, nie prowadzącą, co gorzej, do żadnego rezultatu, pytać o wyraźne cyfry czy Budzynowskiego, czy Daniłowicza. Dawniej rozsyłano *Chliboroba* w dość grubych pakietach do djaków, wójtów, wybitniejszych gospodarzów.

„Rozrzucali, rozrzucali — żali się kołomyjski właściciel drukarni — ludzie przyzwyczaili się darmo brać gazetę, i ani im w głowie powstało dać za nią parę groszy, a ostatecznie ja najgorzej wyszedłem“.

I sam redaktor, czarno na białem przyznaje, że bardzo mało kto płaci i dlatego *Chliborob* nie może wychodzić regularnie. Budzynowskiemu wiedzie się lepiej; jest dotąd w stanie swe pisemka wydawać regularnie, a jak sam zaręcza, w jednym np. tylko powiecie stanisławowskim rozrzuca do 150 egzemplarzy *Hrom. Hołosu*. Prawda, że najsprytniejszy agitator-redaktor nie zawsze wiedzieć może, co odbiorcy robią z nadsyłanymi pakietami gazet lub broszur. Tak np. wymieniono mi z imienia, nazwiska i miejscowości pewnego wójta, który nadsyłane sobie paczki z *Chliborobem* układał nierozpieczętowane w oryginalne, ku powale piętrzące się stosy, a gdy go zapytano, czy nie ciekawy się dowiedzieć, co mu i dlaczego przysyłają, odparł z lekceważącym machnięciem ręki: „Et! dobrego tam nie być nie może, kiedy darmo przysyłają; nie głupim czytać, rozpieczętowywać“...

Radykalne pisma łamią pierwsze lody, kształcą i przygotowują miejscowych agitatorów, mówców; rozpoczęte dzieło prowadzi się dalej na szersze rozmiary, na sprytnie, i o ile możliwa, gęsto urządzanych wiecach i wszelkich nazw i tytułów zgromadzeniach. Wiecowem żniwem czas wyborów, ale i kiedyindziej nie brak przyczyn, okazji i pretekstów do ściągnięcia to tu, to tam, to do wsi, to do miasta kilkuset ludzi, aby im z większą emfazą ustnie powtórzyć, co w druku nie wszędzie dociera, nie zawsze równie silne wywiera wrażenie. „Ciągłe na wózkach być muszę — żali się p. Budzynowski; — trzeba ludzi na każdy wiec przygotować, zaciekawieć... „On ciągle na wózkach — opowiadają sąsiedzi o d-rze Tryłowskim; — ktoby mu inaczej na zgromadzenie przyszedł?“ „Kręcą się akademicy — zaręczają mi w Przemyskiem — i agituja, ściągają; akademikom bardzo dopomagało kilku Czechów, robotników, którzy w rodzinnym kraju nasiąkli młodoczeskimi ideami, a tu od razu zbratali się z radykałami“. W niektórych okolicach, głównie w Śniatynskim, Kołomyjskiem, po części w Przemyskiem, nie potrzeba nawet wielkiej agitacji; chłopci zasmakowali w obradach wiecowych; pochlebia ich dumie, że radzić mogą i przemawiać wśród głośnych oznak uznania, że w gazetkach wydrukowane ich nazwiska; na pierwsze wezwanie jadą na wiec, jak na bal. W kilku wsiach, głośnych gniazdach radykalnego ruchu, jak np. w Torkach, rodzinnej wsi Nowakowskiego, lub w Karłowie koło Śniatyna odbywają się raz po raz większe lub mniejsze radykalne zebrania. „Tamtego roku — konstatuje Daniłowicz — urządziliśmy w trzech powiatach, kołomyjskim, śniatynskim, stanisławowskim, sześć walnych wieców. Bardzo wiele zgromadzeń poufnych zbiera się wciąż po różnych wsiach za zaproszeniami. Owszem, chłopci tak się już do wieców przyzwyczaili, że sami je sobie zwołują, a my o nich nie nie wiemy, albo dowiadujemy się dopiero dużo później“.

Liczba wiecowników różna, lecz wogóle wcale poważna. „Jak z Torek — zaręcza z dumą Budzynowski — rozbiegną się dziś parobcy, pastuchy z okólnikiem po całej okolicy, to jutro będzie już na zgromadzeniu do 500 ludzi“. Na wiecu w Przemysku, odbytym w lipcu z. r. pod przewodnictwem Budzynow-

skiego, miało być, wedle zapewnienia *Hr. Hołosu*¹, przeszło 1500 uczestników; na wiecu w Obertynie do 500; w Śniatyniu do 1500; na wiecu w Karłowie, obradującym pod gołym niebem, do 2000². Nie należy, rzecz prosta, dziennikarskich tych cyfr z niemłą skrupulatnością sprawdzać, przeliczać, przeważać. Tak np. redaktor *Hr. Hołosu* podaje w ustnej rozmowie liczbę przemyskich wiecowników na „mniej więcej tysiąc”. Poważny śniatyński Rusin prostuje niektóre cyfry i daty rozgłoszone w *Kuryerze Lwowskim*: „Przed dwoma latami był wiec na Wygodzie pod miastem w czasie nieszpórów. Zeszło się może 80 do 100 ludzi, a *Kuryer* napisał, że było 1500. Teraz, przed paru miesiącami, był znowu wiec. W małej izdebce cisnęło się ze 40 mężczyzn, 70 kobiet z dziećmi, a gazety pisały o 1500 uczestnikach“³. Zapewne polityczno-dziennikarska matematyka kieruje się wogóle nieco odmiennymi zasadami od zwykłej, szkolnej i kupieckiej; podzielmy, dla ostrożności, każdą podaną cyfrę przez dwa, w wyjątkowych razach nawet przez trzy, to i tak nie możnaby pocieszać się lekceważącym pytaniem: Kto tam na wiece te chodzi?

Radykali nie zadawalniali się urządzaniem własnych wieców; o ile mogą, korzystają z całą przyjemnością z wieców zwołanych przez inne stronnictwa ruskie i starają się na nich propagować swe teorye. Z niemalym mym żalem nie udało mi się uczestniczyć w żadnym wiecu, ściśle i wyłącznie radykalną marką opatrzonym; pewne wyobrażenia o tem, jak wyglądają, powziąć mogłem naocznie jedynie z wiecu w Żółkwi, zwołanego pod koniec października z. r. przez sprzymierzone ruskie stronnictwa: „twardych“, „narodowców“ i „radykałów“, w celu zaprotestowania przeciw ostatnim wyborom. Na wiec ten zaprosił mnie p. Budzynowski, a w czasie samychże obrad udzielał z całą

¹ *Hr. Hołos* nr. 5 z 20 lipca.

² *Chliborob* z 1 września, nr. 13—17.

³ Oddać należy sprawiedliwość, że ruskie radykalne pisma, zdając sprawę z tego wiecu, nie wspomniały, bardzo dyplomatycznie, ani słowem, wielu, prócz mówców, na wiec się zeszło.

uprzejmością, wespół z głównym inicjatorem zjazdu, przypadłym żółkiewskim kandydatem, d-rem Korolem, potrzebnych wyjaśnień.

Już na dwie mile przed Żółkwią gościniec roi się od wózków; na każdym czterech, pięciu, czasem sześciu chłopów w swiątecznych strojach. Obrady, zapowiedziane na dziewiątą, rozpoczęły się około jedenastej po nabożeństwie w cerkwi; na czysto radykalnych wiecach nabożeństwo prawdopodobnie odpada. W dość obszernej sali, przyozdobionej obrazami świętych i portretem cesarza, stało chłop przy chłopie, od 400 do 500 uczestników; kilkanaście krzeseł zajęło kilku księży, kilku przedstawicieli świeckiej inteligencji, parę pań. Przybycie Budzynowskiego nie przez wszystkich równie chętnie zostało przyjęte. Jeden z chłopskich prowodyrów pytał dość głośno: „Czego ten radykał od nas chce?“ — ale gdy sam przemówił, zdawałoby się chwilami mogło, że odczytuje artykuł *Hr. Hołosu*.

„Podeptali nogami konstytucyę! My *chliboroby* musimy sami ciężko na wszystkich robić, a nam mówią i mówią ciągle: Daj! daj! Podatki daj! szurwarki daj! Wielmożny pan ma parę tysięcy morgów, a daje to i tyle co my. Nam nic nie wolno, bo my *chronie*, my sieroty; a agitatorom nasłanym z góry wszystko było wolno“.

Mykłyta z Butyn, wsi nie od dzisiaj głośniejszej z radykalnych sympatyj, budzi ultraenergicznymi, ostremi słowami szalony entuzjazm:

„My chłopci dziś już pełnoletni, i chcemy aby nas panowie uważali za pełnoletnich. Chcą panowie, żeby chłopci wybierali pana — dobrze; ale niech za to panowie wybierają chłopów. Ja biedny chłop, ale gdyby zaszła tego potrzeba, potrafiłbym trochę zaoszczędzić i nakupić dla panów kielbasy i wódki. Inne chłopskie, inne pańskie interesa; jakże pan ma w sejmie bronić naszych interesów? Przed wyborami pan aż miło taki grzeczny, sadza, wita, pyta o zdrowie, o dobytek; po wyborach udaje, że chłopą nie widzi: czego ten *chruć* ode mnie chce? Przegraliśmy teraz przy wyborach, ale nie upadajmy na duchu, bracia chłopcy! Weźmy sobie za wzór chłopów Mazurów! Stójmy wszyscy jak jeden mąż, nie łakommy się ani na to, ani na tamto, co z da-

leka nam pokazują — ale kupy się trzymajmy, a całe regimenty wojska przeciw nam nie nie wskórają! Tak! organizujmy się, zakładajmy czytelnie, pomnażajmy i wzmacniajmy „Ruskie Rady“, idźmy śladami Mazurów i Czechów! Przekonają się wtedy wszyscy, że my dorośli ludzie, a nie bydełko. Dorośliśmy do wojska, dorośli do podatków; czas, żeby nas uznano za dorosłych do korzystania z przynależnych nam praw. Od cesarza spodziewać się jedynie możemy sprawiedliwości i za cesarza my w ogień gotowi skoczyć, choć mu czasem nie płacimy podatków, nie dlatego, żebyśmy nie chcieli, ale dlatego, żeśmy biedni, nędzni, głodni. Ileżto ustaw domaga się zmiany. Ot! weźmy ustawę łowiecką. Zajac wkradnie się do chłopskiej stodoły, chłop go złapie i do kryminału pójdzie“.

Wasył Pęczak opowiadał, jak żandarmi i policyjanci nad nim się znęcali, ogłosili go za złodzieja. Inny chłop z Żelca skarżył się w jędrnych, prostych wyrazach na nierówne opodatkowanie panów i *chliborobów*. Młody Hrabar z Butyn zachęcał do prenumerowania, do czytania gazetek, ale takich, co jak np. *Hr. Hołos* prawdziwie dobrze chłopu życzą i rozumnie radzą. I tu nie trzeba nam się dać Mazurom zawstydzić i wyprzedzić.

Trzeba było widzieć, z jakim przebijającym się w całej postaci zainteresowaniem, z rozpłomienioną twarzą słuchali zgromadzeni tych wywodów, tych wyrzekai; trzeba było słyszeć, jak pełną pierśią i w stosownej chwili przerywali mówcom okrzykami: „Prawda! Istna prawda! Wstyd! Tak jest! Gorzej jest jeszcze!“ Opowiadanie Pęczaka zamknął i podkreślił Budzynowski wypowiedzianym na cały głos sarkazmem: „Zaśpiewajmy *Mnoha-jalita* takim żandarmom i takiemu starostwu!...“ Mykyłyta wołał: „Plujmy na tych panów z inteligencyi, co nas zdradzają“. „Plujmy!“ — odpowiedziało mu kilkanaście głosów, a za chwilę dwóch silnych parobków podniosło mówcę w górę i z tryumfem obnosiło po sali... Redaktor *Radykała* miał prawo ręce zacierać i stwierdzać z zadowoleniem: „Prawda, że ten Mykyłyta tęgi ,pyskacz‘, a takich ,pyskaczów‘ mamy kilkunastu. Dzisiejszy wiec pięknie się odbył, choć ani się umył do zebrani czysto radykal-

ných. Bądź co bądź, my radykali i tutaj rej wodzimy; bez nas toby była sama ciepła woda“.

Obok pism, obok wieców, potężnemi rozsadnikami radykalizmu są polityczne i niepolityczne stowarzyszenia, zostające pod kierunkiem wybitnych radykalnych przewódców, jak np. lwowskie „rusko-ukraińskie“ towarzystwo *Postup*, mające na celu szerzyć oświatę między rusko-ukraińskim ludem: polityczne towarzystwo, *Narodna Wola*, z głównem centrum w Kołomyi; ekonomiczne *Narodne Spilki* również z centralną organizacją w Kołomyi, urządzone w pewnej mierze na wzór polskich „kółek rolniczych“; wreszcie, a właściwie na pierwszym miejscu, pewna, trudno dokładnie oznaczyć jak znaczna liczba, wiejskich i miejskich czyteln, przez radykałów powołanych do życia lub zdobytych na słabszych przeciwnikach. Dr. Daniłowicz utrzymuje, że w samym tylko Kołomyjskiem i Horodeńskiem pozostaje przeszło trzydzieści czyteln w rękach radykałów. Wogóle powiedziećby można, — informuje ktoś inny — że prawie każda czytelnia, do której ksiądz nie chodzi, do której się nie miesza, a która nie przekształciła się w najprostsze kasyno, stała się lub niebawem stać się musi łupem radykałów. „Póki czytelnia nie było — raportował pewien konserwatywnie usposobiony wójt bezpośredniej swej władzy — wszystko u nas dobrze było. Teraz smarkacze schodzą się i radzą o zniesieniu religii i podziale gruntów“.

V. Wrogowie i sojusznicy.

Pierwszym, najglówniejszym nieprzyjacielem, z którym radykalizm w zaboreczym swym pochodzie spotkać się musiał, była i jest: religia, cerkiew, ksiądz. Niektóre radykalne zasady i wyciągane z nich praktyczne konsekwencje mogły się może kilku młodszym, zapaleńszym księżom podobać; na wszystkie zgodzić się nie mogli, jeżeli nie chcieli przynajmniej pół dekalogu z katechizmu wykreślić. Dowódcy radykałów zrozumieli to od pierwszej chwili: Księży nie uda nam się pozyskać — i zamiast trwonić czas na niepotrzebne paktowania, nie czekając, aż się księża zdecydują i w szeregi ustawiają, rzucić się postanowili całą siłą nie tylko na kler, ale wprost na religię. Dopiero na gruzach re-

ligii — rozumowali niektórzy nie bez pewnej słuszności — myśleć możemy o przeprowadzeniu w całej pełni swych programów. Tak myśleli niektórzy, innym walka z religią była już nie tylko środkiem, ale wprost celem, do którego zaleźali z fanatyczną zaciekłością, nie pytając nawet, czy innym, ekonomicznym, społecznym swym postulatam przez to najbardziej nie szkodzą. Dziś pierwsi — identyczni z partją „młodych“ — po nabytem doświadczeniu przyszedli do przekonania, że waleczyć z religią na Rusi wstępnym bojem i z odkrytą przyłbicą jeszcze nie pora, i postanowili za przykładem zachodnich socyalistów zmienić taktykę: nie występować, o ile tylko się da, ani przeciw religii, ani przeciw cerkwi, ale stale i wytrwale ją ignorować. Drudzy — „starzy“ — widzą, że trzeba im także z drogi zawrócić; rozumieją, że stronnictwo, które w programie swym umieszcza jako jeden z głównych punktów: usunięcie, wytępienie religii, nie ma na Rusi racji bytu; ale ciężko im jeszcze zerwać z dawnymi nawyknięciami, nie bardzo wiedzą, jak bałwochwaleczą cześć otaczane dragomanowskie hasła z obiegu wycofać. W gruncie rzeczy jedni i drudzy zapatrują się na religię jednakowo. w gruncie serca jedno dla niej żywią uczucia; jak w całym sporze między „młodymi“ a „starymi“, chodzi i tu jedynie o kwestję bardziej z rzeczywistością się liczącej, sprytniejszej, szybciej do celu wiodącej taktyki; chodzi może jeszcze częściej o drażliwą kwestję miłości własnej, nie pozwalającej otwarcie przyznać, że się szło długi czas błędną drogą. Zajęcie wprost i brutalnie zaczepnego stanowiska, wprowadzenie radykalizmu ruskiego na faktycznie i taktycznie błędną drogę zacieklej walki z cerkwią i jej przedstawicielami, jest na pierwszym miejscu zasługą Dragomanowa. Religii, wszystkiego co z religią miało związek nie nawidził on wprost chorobliwie; czytając jego artykuły i broszury odnosi się wrażenie, że ma się do czynienia z niepoczytalnym w tym kierunku maniakiem, trzęsącym się na samo słowo: kościół — dostającym spazmów na widok księżej sutanny.

Weźmy np. pierwszą z brzegu wydrukowaną pierwotnie w *Chliborobie*, a zatem pisaną wprost i bezpośrednio dla ludu

broszurę: „Opowiadania o zazdrosnych bogach“¹. Od dawien dawna — tłumaczy autor — ludzie wytworzyli sobie przeróżne podania, świadczące o zazdrości, którą bogowie względem ludzi żywią. Spotykamy te podania u Greków; spotykamy je i u Żydów, którzy zresztą główne religijne swe pojęcia zaczerpnęli od greckich filozofów. Z tegoż źródła płynie głoszona przez księży nauka o grzechu pierworodnym. Mówią oni, że Bóg, zazdrosny Bóg nie chciał, aby ludzie znali dobre i złe, tj. aby mieli rozum i nim się kierowali. My dziś wiemy — jak powiedział Gete w swym „Prometeuszu“ — że dziś ludzie wyłącznie na samych siebie spuszczają się muszą, na własny swój rozum i miłość wzajemną.

W innej rozprawie², drukowanej w *Narodzie*, Dragomanow zbija i wyśmiewa chrześcijańską wiarę w życie przyszłe, w królestwo niebieskie; zabawne marzenia o raju zastąpić każe rozmyślaniami nad ciągłym postępem rodu ludzkiego. Osobne tablice chronologiczne dokumentnie czytelnikowi przed oczy kładą, jak rodzaj ludzki wciąż i wciąż postępował naprzód; ważniejszymi etapami postępu w ostatnich czasach są: założenie robotniczego internacyonalu, działalność Karola Marksa, otworzenie kanału Suezkiego, powstanie trzeciej rzeczypospolitej we Francyi, ustanowienie ośmiogodzinnego dnia pracy w kopalniach angielskich...

Jeszcze w innej broszurze³ mistrz i twórca galicyjskiego radykalizmu ruskiego zaręcza, że właściwego obrazu Chrystusa mieć nie możemy, bo Ewangelie pisane są dużo później i przedstawiają bardzo niepewny, niejednorodny materyał. Twierdzenie jasne; bliższych objaśnień, tłumaczeń, dowodów, napróżnobyś szukał. Dragomanow we wszystkich swych „ludowych“ pismach, uważa je naturalnie za najzupełniej niepotrzebne; odrzuca katechizm chrześcijański, a natomiast bardzo po prostu wierzyć każe w katechizm przez siebie skomponowany.

Ostatnią z cytowanych broszur wydał wierny uczeń M. Pawlik, pierwszą Dragomanow Pawlikowi dedykował; dość, choćby

¹ *Opowiadania pro zazdrich bogiv*. Kołomyja 1894.

² *Raj i postup*. Kołomyja 1894.

³ L. N. Tołstoj, *Carstwo Bożije wnutri was i t. d.* Kołomyja 1894.

z tego jednego widać, jak zgodne były religijne a raczej anty-religijne zapatrywania mistrza i najpierwszego ucznia. Mistrz głównie teorię uprawiał, wiarę w dogmaty podkopywał; uczeń, jego koledzy i przyjaciele szli inną, może praktyczniejszą drogą do tego samego celu, mniej mówili o samej wierze, a natomiast poruszali wszystkie sprężyny, aby lud znienawidził naturalnych nauczycieli wiary, kopali z zapalem, z pewnego rodzaju poświęceniem coraz głębsze rowy między ludem a księdzem.

Pełne wagony powodów, pretekstów niechęci dostarczyły i dostarczają daniny i opłaty cerkiewne, tak zwane najogólniejшем wyrażeniem: *jura stolae*. Przypuszczamy, że te daniny, jakkolwiek skromne, są dla mikroskopijnej kieszeni chłopa nieraz bardzo uciążliwe. Przypuszczamy także, że ze strony księży zdarzają się sporadyczne nadużycia, objawy chciwości. Jeżeli takie uchybienia zdarzają się u kleru łacińskiego, to tem łatwiej można przypuścić, że się zdarzą niekiedy u kleru obarczonego rodziną. Ale czy z tego wynika, że każdy ksiądz zdziercą, czy dla paru nadużyć wolno na cały stan miotać obelgi; czy i jak można żądać od księdza: Nie bierz nic od chłopa, nie zabezpieczywszy mu wprzód życia w inny sposób? To wszystko bardzo jasne; ktoś z boku stojący przysięgałby gotów, że niema tu racyi i sposobności do urządzania sobie sportu; radykałi osądzili inaczej.

Funkcye manlicherowskich karabinów ośmiomilimetrowego kalibru zastępuje w tej kampanii patent Józefa II., określający szczegółowo, ile krajcarów i półkrajcarów należy księdzu składać za spełnione przezeń duchowne czynności, ile za pogrzeb, ile za ślub, ile za chrzest. Radykalni przewódcy ani myślą przeczyć w prywatnej rozmowie, że patent ten nietylko dziś nie obowiązuje, ale wobec zmienionych warunków życia i zmienionej wartości pieniędzy nadaje się chyba do komedyi. Dr. Trylowski przyznaje: Niesmaczna ta „patentowa“ walka i bardzobym się cieszył, gdyby nakoniec przycichła. Nikt naprawdę żądać nie może — objaśnia dr. Daniłowicz — literalnego wykonywania patentu, — to nonsens; my, rozpowszechniając go, pragnęliśmy jedynie wywołać dyskusyę i usunąć istotne nadużycia. Niema co mówić, piękny środek, przypominający niemieckie przysłowie o dziecku

wyrzuconem za okno razem z brudną wodą po kąpieli. Chłopi ani wiedzieli o tych subtelnych rozróżnieniach, ani myśleli się w nie zapuszczać; natomiast z uwagą odczytywali patent, który im setkami i tysiącami do rąk wypychano, przylepiano na krzyżach, rozrzucano po karczmach — a gdy ksiądz nie zadawał na się wypisanemi w patencie krajcarami, ogłaszali go bez dłuższych ceremonij zdziercą i złodziejem. Były wsie, w których każdy niemal chłop nosił przy sobie patent, aby, w razie potrzeby, księdzu pod oczy go podsunąć. W Kossowskiem, w Śniatyńskiem, zdarzyły się przykłady, że gdy ksiądz zgodzić się nie chciał na takse pogrzebową przepisaną w patencie, chłopci sami sobie pogrzeb urządzili; zdarzyły się podobno i takie wypadki, że choć ksiądz żadnych a żadnych od siebie warunków nie stawiał, chłop z góry podjudzony niósł sam dziecko na cmentarz, a potem przed sądem usiłował spędzić winę na proboszcza.

Naturalnie, gdzie raz gmina lub część gminy wypowiedziała swemu księdzu wojnę, tam nie zatrzymano się na pół drogi, nie ograniczano się na wymaganiu ścisłego wypełniania patentowych przepisów. „Niektórzy — opowiadają mi na karłowskiem probostwie — co chcą dać na mszę, przychodzą dopiero późnym wieczorem, aby ich nikt nie widział i tłumaczą się z góry: „Ja sam do kościoła na tę mszę nie przyjdę, bo się boję, żeby mię nie ubili“. Zapaleńsi grożą sąsiadom: „Nie kupujecie świec do cerkwi, bo wam chałupy poburzymy“. Biednej babie wybili cztery szybki w oknie za to, że w cerkwi rzuciła dwa centy na ofiarę. W dzień Zaduszny postawili na ulicach warty, żeby ludzie nie nosili do cerkwi świec, chlebów i t. p. Szkolne smarkacze wyuczyły się od starszych przekpiwać z cerkiewnych obrzędów, z księży; raz, gdy jakaś dziewczyna pocałowała księdza w rękę, siostra jej starsza oburzyła się i na głos ją upominała: „A to po co? — Nie całuj!“... Raz znów na pogrzebie jeden z „haupt-radykałów“ kazał ludziom pozabierać dla siebie bułki, płótno, które złożono wedle zwyczaju koło trumny, jako ofiarę dla księdza... Od wschodu do zachodu słońca, kończy się opowiadanie, dałoby się różne takie sprawki wyliczać i jeszczeby się do dna nie doszło“.

Możnaby z niejednej wsi, niejednego miasteczka podobne opowiadania przytoczyć. Jeden z wybitniejszych chłopów-agitatorów miał się publicznie na rynku pytać zgromadzonych koło siebie słuchaczy: „Po co wy chodzicie do cerkwi? Ksiądz wam kawałek chleba wykroi, a wy mu wierzycie“. Inny rozповідаł: „Księża nie pozwalają chłopom uczyć się po niemiecku, bo w interesie ich leży, żeby między ludem panowała jak największa ciemnota“. Jeszcze inny, także prosty chłop, odezwał się publicznie na zebraniu: „My księży ch p acierzów nie potrzebujemy“. „Niechno do mnie pop przyjdzie! — odgraża się czwarty — już ja mu dam!“ I to, oczywiście bardzo wyjątkowo, zdarzało się, że chłopci naprzekór księdzu nie dawali dzieci chrzeić.

Jawna wojna z religią, jawne, bezcelne szerzenie skrajnego ateizmu, ciągle skargi, oszczerstwa wymierzone przeciw klerowi, musiały wywołać obronę ze strony zaatakowanych, niechęć u wszystkich lepiej myślących, nieufność do całego radykalizmu u wielu i bardzo wielu, którzy godziliby się na polityczne, ekonomiczne, po części może i na społeczne teorye radykalne, ale nie za cenę zaparcia się, oplwania swej wiary¹. Rozumniejsi, do praktycznych celów dążący przewodcy musieli to zrozumieć. „Młodzi“, a za ich przykładem i niektórzy „starzy“ zrzekli się dragomanowskich tradycyj, wykreślili, przynajmniej teoretycznie, w ostatnich, zwłaszcza powyborowych czasach, walkę na noże z religią i klerem; a natomiast uznali i ogłosili za swoją, teoretyczną zasadę zachodnich socyalistów: „Religia jest rzeczą prywatną“. Poprzednia dragomanowsko-pawlikowska taktyka okazała się widocznie tak szkodliwą, że redaktor *Hr. Hołosu* uznał za niezbędne zastrzedz się energicznie we wstępnym, programowym artykule przed zarzutem, jakoby radykał był synonimem bezbożnika².

¹ Charakterystyczne w tym względzie było odezwanie się posła Ostapczuka na zjeździe radykałów, odbytym we Lwowie w ostatnich dniach grudnia 1895 r.: „Słyszałem, że stronnictwo radykalne lekceważy religię. Jeżeli rzecz tak się ma, to uważam to za rzecz złą, bo dla mnie religia jest podstawą życia“.

² *Hr. Hołos* nr. 1 z 20 marca 1895.

„Wrogi chłopskiej sprawy, ci, coby cheieli, aby lud żył w ciemnocie, aby nie wiedział, gdzie złe się gnieździ i nie bronił się od krzywd, mówią wam, że my, podobnie jak wszyscy radykali, jesteśmy bezbożnikami, dążącymi do zniszczenia wiary i cerkwi. Nie wiercie tym kłamstwom. Tym radykałom, którzy piszą w *Hr. Hołosie*, ani przez myśl nie przychodzi zaczepiać kogo z powodu jego wiary; a co do cerkwi, uwolnić ją chcemy z pod panowania kolatorów i władz politycznych, bo taka zawisłość cerkwi nie wychodzi ludowi na dobre“.

„Młodzi“ radykali uważają religię za rzecz prywatną, nie walczą z nią, ale nie walczą jota w jotę tak samo, jak polscy socjaliści nie walczą z religią i księżmi na swych wiecach, w swych „Robotnikach“ i „Naprzodach“. Zaręcza p. Budzynowski, potwierdza p. Franko: „Religii zaczepiać nie myślimy, ale niech też księża staną na gruncie neutralnym i nas nie zaczepiają. Tymczasem musimy się bronić i stąd pewne wycieczki przeciw metropolicie i duchowieństwu“. W teorii dosyć niewinnie to brzmi; w praktyce jest wymowną ilustracją do polskiego przysłowia: „Nie kijem go, ale pałką“.

Istotnie w pismach, mowach młodo-radykałów spora doza owych „pewnych wycieczek“ i zaczepów, niemało chyłkiem, z boku przeciw religii skierowanych pchnięć; niewiele mniej niż np. w *Chliborobie* lub w mowach, głoszonych przez Trylowskich i Daniłowiczów; z pewnością nie mniej niż w polskich pismkach Daszyńskich, Wysłouchów, Stojalowskich.

„Czy my mamy obowiązek metropolity słuchać? — pyta *Hr. Hołos* w hojnie pokiereszowanym przez cenzurę artykule¹. — Czy musimy go słuchać, gdy nakazuje trzymać się pańskiej polityki Barwińskiego? Nie; i raz jeszcze nie! Metropolita głową cerkwi i wyłącznie w sprawach, odnoszących się do cerkwi, ma prawo rozkazywania... Na wyborach do sejmu nie się w dodatku nie rozumie, bo gdyby się rozumiał, to nie kazałby narodowi trzymać z Barwińskim, z tym pańskim sługą. Głosujecie przy wyborach na kogo sobie chcecie; jedno tylko pamiętajcie: nie

¹ *Hr. Hołos* z 29 kwietnia 1895, nr. 2.

głosujcie na tego, na kogo wam metropolita każe głosować. Naszemu metropolicie radzimy z całego serca, niech on sobie za przykład weźmie Jezusa Chrystusa, który do polityki się nie mieszał“...

„Powiedz nam, Ojcie Metropolito, z kim trzymasz? — pyta p. Budzynowski w ironicznym artykule: „Jezus Chrystus i głosowanie powszechne“¹, wiernie przekopiowanym z bardzo licznych, podobnych artykułów i broszur zachodnio-socyalistycznych. — Ludzie sobie opowiadają, że trzymasz z naszymi wrogami, i nie chcesz, aby chłop miał równe prawo z panem. My temu nie możemy wierzyć, bo jesteś przecie Chrystusowym namiestnikiem, nie możesz się godzić z Herodem i Piłatem. A pomyślże sobie, co by się działo, gdyby teraz żył Pan Jezus, Herod i Piłat. Gdyby teraz żyli, to wedle obowiązującego dziś prawa wyborczego, Herod i Piłat mieliby głos w kuryi wielkich posiadłości, a Pan Jezus nie miałby prawa głosowania, bo nie pochodził z panów, ale z biednej rzemieślniczej rodziny... Powiedzże, bardzo prosimy, swe zdanie w tej sprawie, abyśmy wiedzieli, czy trzymasz, Ojcie Metropolito, z Jezusem, czy z Herodem, z chłopami, czy z panami?“...

Nie sam metropolita na razy wystawiony. Dostają po kolei porządne cięgi, à la *Narod* i *Chliborob*, zdziercy księży, myślący o wszystkim, prócz o wypełnianiu swych obowiązków²; dostają surowe upomnienie, że śmiały agitować przeciw rozszerzaniu się *Hr. Hołosu*. „Czy nasi księża zapomnieli, jak ich dziadowie i pradziadowie odrabiali dziedzicom pańszczyznę? Czy my może nie z ich wrogami wojujemy? Zapomniała krowa jak cieleciem była — tak się stało i z naszymi księżami. Widać, że mają niezupełnie czyste sumienie, kiedy się tak boją *Hr. Hołosu*, który pisze jedynie czystą prawdę“.

Cięgi i upomnienia dawane metropolicie, księżom, Bazylanom, łatwiej jeszcze wyrozumieć, chodzi tu nieraz bezpośrednio o interes partyi; ale dlaczego, z jakiej racji redaktorzy, nie mie-

¹ *Hr. Hołos* z 20 kwietnia 1895 r.

² *Hr. Hołos* z 20 maja, str. 21 np

szający się z zasady do żadnych religijno-kościelnych spraw uznali za konieczne skruszyć kopię np. w obronie zaboru Rzymu przez Włochów? ¹ Co z tego Rusinom przyszło, co dały Zjednoczone Włochy młodemu radykałom, aby w swym organie tak gorąco się za nimi zastawiali? Ciekawe zagadnienie, jak wogóle ciekawem jest pytanie, dlaczego młoda radykalna partya, choć w teorii uznaje wybornie szkodliwość walki z religią i klerem, w praktyce oprzeć się nie umie świerzbiaćce, wciąż do walki tej ciągnącej. Pewien klucz do rozwiązania tej zagadki podają może chyba dwa, z doświadczenia życia zaczerpnięte przysłowia: „Natura wilka ciągnie do lasu“ i „Czem skorupka nasiąkła za młodu, tem na starość trąci“.

Mniej niebezpiecznymi od cerkwi, od kleru wrogami, ale zawsze do pewnego stopnia wrogami, są inne, innych trzymające się programów partye ruskie. Chcąc podać pewnego rodzaju matematyczną formułkę, wyrażającą najkrótszemi wyrazami stosunek radykałów do tych partyj, powiedziećby można: „Nowo-erzystów“ radykali znieść nie mogą, Moskalofilów czyli „twardych“ nie lubią i trochę się boją, Narodowców czyli „miękkich“ nie bardzo lubią i trochę ich lekceważą. Naczelnym dzisiejszy radykalny organ obszerniej stosunek ten określa ²:

„Rusini z większych miast, a zwłaszcza ze Lwowa, którzy wodzą rej w ruskiej polityce, podzielili się na dwie partye. Jedna nazywa się „staroruską“ czyli „twardą“ partyą; druga „narodową“ czyli „miękką“ partyą. Jedna i druga partya jest przekonaną, że jedynie ona broni należycie sprawy ruskiego ludu. Ale jak „twarda“ partya nie była i nie jest twardą, tak „narodowa“ nie była i nie jest partyą „narodową“. W obu tych stronnictwach to jedno było dobrem, że oba do niedawnych czasów nie szły jawnie i otwarcie z polskimi panami; natomiast w żaden sposób powiedzieć nie można, aby być miały prawdziwymi przedstawicielami ludu. Jak jedno, tak drugie jedynie o tem przemysliwa, co wyjść może na korzyść ruskim uczonym i ich dzieciom;

¹ *Radykał* nr. 2, str. 21 np.

² *Hr. Hołos* nr. 4. *Radykalizm ide w horu*.

o chłopską sprawę nie dbają. Jeśli przemawiają za chłopem, to tylko dlatego, aby chłop sądził, że są jego przyjaciółmi i wysłał ich do sejmu i rady państwa. Obie partye mają wyłącznie na celu wygarniać chłopskimi rękami z ognia kartofle dla siebie i dla swych dzieci“.

„Bo i czego domagali się dotąd ci lwowscy wodzowie Rusinów? Krzyczeli raz po raz: „Umieszczajcie ruskie napisy na skrzynkach pocztowych i pod cesarskimi orłami; posługujcie się w urzędach ruskiem pismem i odpowiadajcie po rusku, uczcie po rusku w szkołach“ — a najgłośniej krzyczeli: „Dajcie nam ruskie gimnazya i ruskie katedry, ruskich profesorów na uniwersytetach“. Dobra to rzecz, czegoś takiego się domagać, Rusini i o to muszą się dobijać, ale czy to rzecz najważniejsza, czy wobec niej kwestya „lasów i pastwisk“ zniknąć musi, jak nikną gwiazdy przed wschodem słońca, jak ginie kropla wody w morzu? O! nie! Dla ludu ruskiego kwestya podatkowa, kwestya „lasów i pastwisk“ jest daleko ważniejszą niż kwestya ruskiego pisma; bo tamte kwestye każdemu chłopu dopiekają, a kwestya ruskiego pisma tego obchodzi, kto umie czytać i pisać. Tymczasem około trzech czwartych ruskiego ludu nie czyta i nie pisze... Chłopi przy wyborach nie popierali ani jednej, ani drugiej partyi, bo ani „narodowcy“, ani „starorusini“ nie są prawdziwemi narodowemi stronnictwami. Można o nich prawdziwie powiedzieć: Ni to pies, ni baran“.

„Dopiero w ostatnich latach zmieniły się rzeczy, w części na lepsze, a w części na gorsze. Wpśród Rusinów zrodziły się dwa nowe stronnictwa. Jedni przeszli na stronę pańską i wiodą pańską politykę. Rusini nazywają ich „nowoerzystami“. Hetmanią im dwaj profesorzy: Barwiński i Wachnianin. Samo z siebie się rozumie, że za tymi nowoerzystami ani jeden chłop pójść nie powinien. I o tem nie mamy po co pisać, że ani jeden chłop, który swą godność szanuje, nie powinien głosować na posła, trzymającego z nowoerzystami. Niech na nich głosują polskie pany“.

„Drugie stronnictwo, które między Rusinami się utworzyło, to chłopskie, radykalne stronnictwo... Przekonani jesteśmy, że

każdy chłop, który zrozumie, czego się domagamy, pożegna narodowców i starorusinów, a do nas przystanie“.

A cóż ze swej strony odpowiadają ruskie partje: „twarde“, „miękkie“, „nowej ery“, na te niekoniecznie grzeczne wynurzenia; jakie ich uczucia dla radykałów? Nie lubimy was, zamyślamy was połknąć jak najprędzej, mówią radykali starorusinom, mówią nowoerzystom; a oni odpowiadają: I my dla was nie możemy czuć sympatyj, i musimy się starać, żeby was połknąć, zanim wam uda się nas połknąć. Zwracają się z tym samym programem do narodowców i tu spotykają się z bez porównania większą wyrozumiałością dla swych aspiracyj.

„Co tu rzecz w bawełnę obwijać? — mówi z podsyconą niepomyślnemi wyborami goryczą jeden z obecnych menerów partyi narodowców, który, co prawda, podobnie jak niejeden z jego kolegów, do bardzo niedawna należał do ściślejszego koła radykalnych agitatorów. Ruch radykalny rozwijać się musi wobec obecnej rządowej polityki; jest tylko naturalnym skutkiem wojny prowadzonej przeciw narodowcom. Nam w gruncie radykalizm nie nie szkodzi; to lewe nasze skrzydło. Zwłaszcza teraz, gdy główna armia radykałów pojęła, że nie powinni wywieszać hasła: „Hejże! na cerkiew i na księży!“, możemy śmiało iść z nimi w jednych szeregach przeciw polskim uroszczeniom, tak jak Staroczesi stanęli z Młodoczechami w jednym szeregu przeciw Niemcom. My starsi, spokojniejsi, tam młodzi, więc gorętsi, prędzej chcieliby do celu dojść; ale ostatecznie to nasi sprzymierzeńcy w walce z dzisiejszym uciskiem“.

O wiele wyraźniejszymi sprzymierzeńcami radykałów ruskich są radykali polscy i to wszystkich odeieni, równie kupiacy się pod buławą Wysłoucha, jak ks. Stojałowskiego, jak Daszyńskiego. Nie wszyscy i nie we wszystkim ze sobą się zgadzają; patrzą prawie zawsze na siebie z pewną podejrzliwością; od czasu do czasu zdarzy się, że na jakimś zgromadzeniu, w jakimś piśmie za włosy się chwycą¹; lecz letnie to, krótkie burze, po

¹ Nie mamy racji wdawać się w bliższe szczegóły tych kłótni, którym polskie i ruskie socjalistyczne piśmka poświęcają od czasu do czasu po parę kolumn.

których znów słońce wzajemnej zgody błyszczy tem jaskrawszemi promieniami. *Hr. Hołos* ujmuje się za „męczennikiem prawdy“ ks. Stojałowskim, pyta, nie wiedzieć z naiwnością czy ze złą wiarą, kogo mają chłopci słuchać, czy nieomylnego papieża, który przysłał swe błogosławieństwo ks. Stojałowskiemu, czy polskich gazet, które w tym wypadku nie chcą uznać papieskiej nieomylności¹; irytuje się na polskich biskupów, którzy na prośbę polskich panów wykleli *Wieniec, Pszczółkę, Przyjaciela ludu* i *Na-przód* — dlatego, „że pisma te bronią chłopskiej sprawy“². Franko w rozprawach i artykułach, wydawanych w kraju i za granicą, wysławia *Przyjaciela ludu* i zeszeregowanych koło niego redaktorów i agitatorów: Wysłoucha, Stapińskiego, Szarka, Skware, Bojkę; zaznacza z tryumfem, że Wysłouch zawdzięcza swe polityczno-społeczne wykształcenie ruskiemu ruchowi ludowemu i lwowskiej socyalistycznej agitacji³. Dr. Tryłowski bierze bardzo żywy udział w trzecim lwowskim zjeździe polskich socyalistów. Budzynowski przedkłada na odbytym we wrześniu r. z. czwartym zjeździe polskich socyalistów w Nowym Sączu, agrarny swój program, żywcem wykrojony z znanej już nam po rusku i po polsku drukowanej broszury: „Chłopska posiadłość w Galicyi“. Na tenże zjazd przybywa świeżo wybrany w Przemyślim poseł Nowakowski i przemawia to po rusku, to po polsku wśród entuzjastycznych oklasków zgromadzonych⁴.

Ze swej strony polscy socjaliści nie dają się w grzeczności uprzedzić; trochę niekontenci, że ruscy radykali nie chcą się poddać pod ich wyłączną komendę, ale tymczasem, oczekując lepszej przyszłości, za mowę płacą mową, za przychylny artykuł równie przychylnym, za powitalny adres powitalnym adresem.

„Nasze cele — stwierdzał Daszyński w przemowie wygłoszonej na zebraniu krakowskiej grupy ruskich radykałów⁵ —

¹ *Hr. Hołos* nr. 6.

² *Hr. Hołos* nr. 3 z 20 maja 1895.

³ Por. artykuł: *Die Bauernbewegung in Galizien*, umieszczony w wiedeńskim tygodniku *Die Zeit*.

⁴ Por. *Radykał* nr. 1, *Nowy Robotnik* nr. 28 i 29.

⁵ *Perszi pominki* M. P. Dragomanowa. Wydał M. Pawłyk. Lwów 1895, str. 8.

i cele Dragomanowa są jedne i te same, chociaż drogi, po których stąpamy, są odmienne. My przygotowujemy grunt, na którym dopiero marzenia Dragomanowa będą się mogły stać aktualnymi i na czasie. Bez socjalizmu ideały Dragomanowa osiągnąć się nie dadzą, i dlatego młodzież ruska, przyznająca się obecnie do tych ideałów, przejść powinna po prostu w socjalistyczne szeregi⁴.

Po pojawieniu się pierwszego numeru *Hr. Hołosu* p. Daszyński wydał manifest, w którym wyrażał „szczerą radość z pojawienia się tego nowego bojownika za prawa ludu ruskiego“ i przystępował od razu do zawarcia „zaczepno-odpornego sojuszu z partią „młodych“ radykałów“, ślubując jednocześnie z góry, że komenderować nimi nie myśli, „bo tu nie „komendy“, lecz delikatnie mówiąc, pracy wśród chłopów potrzeba i to pracy nowoczesnej, tak jak umie pracować socjalna demokracja“¹.

Na radykalnym wiecu w Przemyśle, odbytym w lipcu r. z., witał zebranych głośny socjalista Reger imieniem socjalno-demokratycznej partii polskiej; witał Stapiński imieniem mazurskiej partii ludowej. Wiec przemyski, zebrany 8 stycznia b. r., polecił gorąco dwa organy, ruski i polski: *Hr. Hołos* i *Przyjaciela ludu*. Najcharakterystyczniejsze bodaj, wybornie malujące wzajemny stosunek między polskimi, mniejsza o to, „niezawisłymi“ czy „urzędowymi“ socjalistami, a radykałami ruskimi, są dwa powitalne pisma, podpisane przez Daszyńskiego i Breitera, a zaadresowane do ostatniego czwartego zjazdu mężów zaufania ruskiej radykalnej partii. Drugie, mniej jeszcze stosunkowo ważne, bo wpływ Breitera i redagowanego przezeń *Monitora* nie obejmuje zbyt szerokich kręgów, a w dodatku w samejże odezwie więcej wszecheuropejsko-rewolucyjnych frazesów niż treści. Za to pierwsze, odznaczające się wszystkimi cechami ściśle urzędowych, ministeryalnym co najmniej podpisem i pieczęcią opatrzonych dokumentów, warto w całości zacytować²:

¹ *Nowy Robotnik* z 11 kwietnia 1895. „Przebrzmiało żale“.

² *Radykał* z 5 stycznia 1896 r.

Do IV. zjazdu Szanownych Mężów zaufania partyi radykalnej we Lwowie.

Wywiązując się z polecenia danego nam przez konferencję partyjną zachodnio-galicyjskiego i śląskiego okręgu agitacyjnego, przesyłamy Wam serdeczne życzenia, aby obrady Wasze doprowadziły do upragnionego przez nas i przez Was rezultatu i zgromadziły lud wiejski pod tym samym sztandarem, pod jakim już stoi wielka armia międzynarodowego proletaryatu.

Wspólnym ulegamy prześladowaniom i wspólni są nasi wrogowie, więc chociaż zachodzą różnice pomiędzy obu naszymi partyjami, znajdujemy się i my i Wy we wspólnym obozie opozycji.

We wspólnej tej walce znajdziecie w nas zawsze wiernych sojuszników, wolnych od drobiazgowej niechęci, gotowych do czynu.

Przesyłamy Wam bratni uścisk dłoni i wnosimy okrzyk:

Niech żyje międzynarodowy sojusz ludów!

Kraków, dnia 28 grudnia 1895.

Za redakcyę tygodnika „Naprzód“ *Ignacy Daszyński*.

Redakcyja i administracyja tygodnika „Naprzód“ w Krakowie. Za krakowski komitet partyjny *L. Misiulek*.

VI. Co robić?

Jest, krzewi się na Rusi skrajny ruch radykalny; agitacyja na szerokie rozmiary rozwinięta; agitatorowie sprytni, zapaleni, czasu i znoju nie żałują, potrzebne pieniądze umieją znaleźć, przed żadnym religijnym, czy patryotycznym względem się nie cofają; wśród polskich „ludowców“ i socyalistów mają wiernych sojuszników. Czy i kiedy ruch ten dojść może do ostatnich granic, które sobie zaznaczył; czy zmienić kiedy radykalnie potrafi istniejące dziś narodowe, ekonomiczne, społeczne stosunki? Dajmy na to, że to mrzonka, że to chmura na niebie, za którą dzieci nieopatrznie gonią. Ale czy goniąc bez upamiętania nie wpadną w jary i doły, w błota i kałuże; czy zdrowiem, jeśli nie życiem, tej gonitwy nie przypłacą? Czy wolno dać im gonić na złamanie karku; czy wolno pozwalać, aby coraz liczniejsze tłumy puszczały się nad samym brzegiem przepaści w te zawrotne tany?

Co drugi przynajmniej z ludzi rozumnych i dobrej woli, z którymi w ostatnich kilku miesiącach zapuściłem się w roz-

mowę o ruskim radykalizmie, kończył melancholijnem pytaniem: „Co zrobisz, co na to poradzisz?” Ależ ja właśnie, informując się u ludzi najlepiej z ruchem radykalnym obeznanych, najbardziej nad nim bolejących, wiedzieć i dowiedziećbym się pragnął, co robić i jak na to poradzić?

Niektórzy z zapytanych — takich na szczęście niewielu — ograniczali się na czysto represyjno-policyjnych środkach. Sami starsi chłopci — dowodził z zapalem pewien chorujący trochę na energię i sprężystość niższy urzędnik — pytają nieraz: Czemu to panowie na wszystko pozwalają; czy to bagnatów nie mają? Ale i bez bagnatówby się obyło. Zaostrzyć przepisy paszportowe, zakazać wieców, zamknąć czytelnie, bo tam wiecznie coś się knuje; pozamykać najniebezpieczniejszych agitatorów — a za ośm dni cały radykalizm zabity i pogrzebany. Gdyby mnie się tak władza do rąk dostała, już wiedziałbym co robić! Ale cóż? — rząd na wszystko przez szpary patrzy, — a potem, jak przyjdzie do rzezi, będzie za późno!

Inni, którzy nie żywią tak wschodnio-kalifowskich instynktów i pamiętają, że co nie zawsze w absolutnej Turcyi się udaje, to w konstytucyjnej Austrii udaćby się mogło, głębiej, do dna złego sięgają; nie myślą o tem tylko, jak ściąć parę gałęzi, które na razie: przy wyborach, przy urzędowem jakimś przyjęciu, zawadzają i oczom wykluciem grożą; ale myślą i radzą, jak dobrać się do korzeni złego. Dwa główne korzenie: nędza i ciemnota, a raczej gorszy od zupełnej ciemnoty półmrok, w którym przy odrobinie sprytu nietrudno tłumom wytłumaczyć, że drzewo jest wilkiem a wilk drzewem. Niech dobrobyt się podniesie — powtarzają różni na różne tony, ale ostatecznie tę samą piosenkę — niech chłop ma choć jakkolwiek odpowiedni zarobek i sposobność do zarobku, a zniknie fundamentalna podstawa rozgoryczenia; znajdą się może agitatorzy, którzy nie przestaną rzucać zatrutego swego ziarna, ale nie będzie ziemi, któraby je chętnie przyjęła. Niech rozwinie się prawdziwa oświata, niech wszelkiego rodzaju i nazwy seminaria wysyłają do wsi i miasteczek pełnych poświęcenia, kochających prawdziwie swą wiarę i ojczyznę księży, nauczycieli i nauczycielki, a zgubne zasady,

wyrzucające z serca boże te skarby, a nieczne podżegania, wrzucające natomiast w serce nienawiść do pana, do Polaka, do księdza — na cztery wichry ze wstydem się rozleca.

Nigdy zapomnieć nie potrafię, z jakim akcentem głębokiego przekonania, z jakim świętym ogniem mówił mi pewien ruski ksiądz:

„Radikalizm się wzmaga i my go nie zmożemy, jeżeli nie użyjemy radykalnych środków. Dotąd zajmowaliśmy się polityką, każdy prawie z nas polityką się zajmował, aż tu nagle rozszalała się burza społeczna i zastała nas nieprzygotowanych. Dotąd zorientować się nie umiemy. Idą hordy Gotów, nacierają, a my z papierosem w ustach idziemy naprzeciw nich, jak na spacer. Właściwie krzyżby nam trzeba wziąć w rękę, boso na ulicę wyjść; niech ludzie widzą i wiedzą, że my ubodzy, że nietylko słowem, ale życiem opowiadamy Ewangelię. Namby potrzeba kilku ludzi niezwyklej miary; kilku z takim przynajmniej poświęceniem, z takim hartem i zaparciem siebie, do jakiego czasem, na wstyd nasz widzimy, że radykali są zdolni, gdy się nie boją ani rządu, ani procesów, ani więzienia; potrzebaby nam koniecznie kilku świętych. Krzyknąć: Gałgany! i spisać protokół, jak Gerwazy czy Protazy w waszym „Panu Tadeuszu“, to nie wystarcza!“...

Zapewne! — ale chwilowo, tymczasem, zanim Bóg tych świętych wzbudzi, zanim wejdą w życie wielkie seminaryjne, szkolne, ekonomiczne reformy; zanim słońce wejdzie, czy czekać z założonemi rękami, aż rosa oczy wyżre? Kilku, kilkunastu agitatorów potrafiło prywatnemi siłami i środkami rzucić zarzewie groźnego pożaru we wszystkie już niemal ruskie powiaty; czyż zabraknąćby mogło pewnej liczby ludzi dobrej woli, którzyby wzięli się energicznie do tłumienia ognia; czy zabraknąć może lekarstw, lekarzów biorących się za bary z gwałtownie naprzód posuwającą się zarazą? Idą między lud: *Radykały* i *Hromadzkie Hołosy*; idą broszury opowiadające o okrucieństwach panów i zdzierstwach księży; tłumy rozciekawionych chłopów i kobiet tłoczą się na wiecach i słuchają z otwartemi ustami cudnych kasek o przyszłych złotych czasach, w których chłop zmieni się

w pana, pan w chłopa. A czyż radykałom wydany cesarski przywilej na wydawanie i rozrzucanie broszur, rozsyłanie po wsiach wędrownych profesorów, na urządzenie zebrań, zwoływanie wieców? Chłop nauczył się czytać i chce czytać; czyta chętnie książkę pobożną, czasem jakąś powiastkę, ale czyta też coraz chętniej i ciekawiej, co z nim i koło niego się dzieje. Chłop — podobnie jak szlachcic, jak mieszczanin — przyzwyczaił się chodzić na przeróżne zebrania, które go i bawią i zaciekawiają; czuje się dumnym, gdy może na nich głos zabrać; cóż dopiero, gdy ujrzy potem swe nazwisko wydrukowane w gazecie. A co ma czytać, na jakie zebrania chodzić, z czego do przemówień czerpać materiał społeczny, polityczny? Prowadzą go na radykalny wiec, wciskają do ręki *Radykała* lub *Chłiboroba*. Prowadzą, więc idzie; wciskają, więc czyta — i otóż gotowy radykał, tem niebezpieczniejszy, tem bardziej zażarty, im szcuplejszy zakres jego wzroku. Na jakież zresztą inne zebranie go dziś zaprowadzić; jakie inne ludowe polityczno-społeczne pisemko mu polecić?

Niezbędna, i na pierwszym planie niezbędna ciągle a gorąca praca w cerkwi; niezbędne rekolekcyje, misye, tam zwłaszcza, gdzie stosunek między cerkwią a parafią, probostwem a wsią z jakichbądź przyczyn zepsuty. Niemało w tej mierze dzieje się dziś na Rusi i tę zapewne pracę i błogie jej skutki mieli przewódcy radykalni na oku, gdy niejednokrotnie wyrazili się, że dziś dwie tylko partye mają przed sobą przyszłość na Rusi: czarno-klerykalna i czerwono-radykalna. Wiele dobrego się dzieje — o czem nie każdy u nas wie — a wobec bijącego coraz żywszem tętnem duchowego życia, z roku na rok więcej z pewnością dzieć się będzie. Ważne to — powtarzamy — i najważniejsze, lecz samo w walce z radykalnym prądem nie wystarczy. Na ambonie, w konfesyjale mówić nie można o wielu politycznych, społecznych sprawach; o niejednej lepiej nawet, aby wogóle mówił nie ksiądz, lecz człowiek świecki. Obecnie, nie wspominając o paru wyjątkach, tak jest, że mówią o nich i piszą dla chłopów sami niemal radykali; że w każdym razie — choć czasem kto inny broszurę jaką wyda, broszura zostaje w księgarni, figuruje na stołach księży i urzędników, a chłop radykałów i jednych tylko rady-

kałów jak słuchają tak czytają. I czyż dziwić się potem, że zasady ich powtarzają, że ich na rękach noszą, wybierają na posłów?

* * *

Parę lat temu, socjalizm, a cóż dopiero mówienie, pisanie o socyalistycznym ruchu w Galicyi, uważane było za sport, nawet za sport niekoniecznie potrzebny, bo nuż licho się zbudzi i do nas zaglądnie. Licho zbudziło się i dawno już nie spało, chociaż robiliśmy jeszcze cośmy mogli, aby dawno przestarzałych formułek się trzymając, istnienie jego ignorować. Dziś wiemy, radzi nieradzi mówić musimy głośno o polskim ruchu i miejskim demokratyczno-socyalistycznym i wiejskim ludowo-socyalistycznym. Ruchowi temu przychodzi z Rusi groźny sprzymierzeniec; właściwie nie przychodzi, lecz już przyszedł — sprzymierzeniec tem straszniejszy, że śmiało, od razu między lud się rzucił i ciągnie całe tłumy za sobą do wspólnej walki przeciw wspólnym wrogom: ojezyźnie, ładowi społecznemu, religii. Galicya obecnie jakby dwoma armiami zagrożona. Od Zachodu, wiedeńskim, berlińskim gościńcem idzie jedna armia; od Wschodu, ukraińsko-ruskim szlakiem posuwa się druga. Więcej już coś interesować się zaczynamy przynajmniej w pismach, mowach i rozmowach, jeśli jeszcze nie w życiu pierwszą; nie wolno Polakom, cóż dopiero Rusinom, zapominać o istnieniu drugiej.

Ks. Jan Badeni.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Z najnowszych powieści polskich¹.

Fachowiec. Przez *Wacława Berenta*. Powieść współczesna. Warszawa. Nakładem księgarni T. Paprockiego i Spółki. 1895.

Czy p. Berent dowieść chciał, że człowiek posiadający pewne wykształcenie, pewną ogłębłą towarzyską, nie może się zaprzężyć do ta-czek rzemieślniczej, czy fabrycznej pracy, bo prędzej, później zidyocieje; bo ci sami, co w teorii wnoszą pochwalne hymny na cześć robotniczych bluz, stwardniałych od młota rąk, w praktyce znać ich nie chcą i spoglądają na nie z góry z wzgardliwym uśmiechem; bo towarzystwo, z którym robotnik rad nierad musi przestawać, zwyczaję, którym musi się poddać, złamają go, zniżą umysłowy jego poziom? Tak! — zdaje się, że tę, a nie inną tezę chciał autor udowodnić; chciał satyrę napisać na te gazety, artykuły, co na prawo, na lewo sypią filipiki, kazania i rady, tyczące się przemysłu; co tak pięknie malują wspa-niały wieniec z kominów, młotów, pił, oskardów i wierzyć każą, że tylko w zetknięciu z nimi — odrodzenie. Pięknemi takimi marzeniami napoił się i Kazimierz, bohater powieści; poila go niemi „córka ludu“, demokratycznie usposobiona panna Helena; winszowała mu z rozrze-

¹ Por. *Przegląd Powszechny* sierpień 1892, kwiecień 1892, maj 1893 styczeń 1894, luty 1895.

wnieniem, że, choć gimnazyum ukończył, nie waha się rękawów zakasać i przy maszynie stanąć. Piękne marzenia, inna, niestety! prozaiczna rzeczywistość; piękne powinszowania, ale trwające dopóty, dopóki Kazimierz na przyszłego robotnika tylko pozował. Gdy naprawdę nim został, powinszowania umilkły; nawet, nawet nie bardzo jakoś wypadało go u siebie przyjmować. Bo i jakże przyjmować, kiedy ów robotnik nabrał w fabrycznym towarzystwie trochę niecywilizowanych sposobów postępowania, kiedy nie wie, co się w świecie dzieje, z nowymi prądami naprzód nie idzie, a — co najgorsza — nosi brudną bluzę? Biedna amfibia! nikt się do niej nie przyznaje, i ona nigdzie „swoich“ znaleźć nie może...

Kazimierz zmienia się w zahukanego „roboczego woła“, jak sam w końcowym monologu lamentuje, bo nie sam z własnego popędu do fabrycznej pracy się rzucił, ale inni popchnęli go do niej niedowarzonemi frazesami; nie został naprawdę „fachowcem“, bo nie miał do tego ani powołania, ani zdolności, i dlatego właśnie arcyniezgrabnie brał się do rzeczy. Czy z tego wynika, że nigdy i nikt, kto pewne szkoły ukończył, pewne wytworniejsze wychowanie otrzymał, nie może, jako przemysłowy, fabryczny „fachowiec“ społeczeństwu służyć? Tej konkluzyi i sam autor chybaby nie podpisał.

Żona z jarmarku. Powieść wiejska. Przez *Klemensa Junoszę*. Warszawa 1896.

Kto trochę zna Junoszę, tem bardziej, kto się zaciągnął w szeregi wiernych jego czytelników, temu „Żona z jarmarku“ sprawić mus niemiłą niespodziankę. Czy to przypadkiem nie wyciągnięte ze starej teki, poźółkłe, melodramatyczne, truciznami nasiąknięte, sztyletami ponapełniane skrypta, puszczone w obieg dla uwolnienia się od natrętnych księgarzy-nakładców? — Czy nie złośliwa próba: Co też publiczność powie, czy potrafi odróżnić wyborowy towar od tandety, choć tandeta tą samą marką opatrzona? Naturalnie Junosza znaną jest Junoszą, za bystro umie podpatrywać, znaną wyćwiczony i wydelikacowany ma słuch, aby wprowadzeni przezeń na scenę półmieszczanie, półchłopi: Kieliszki, Śpiewalscy, Kasie, Rózie, nie umiały czasem trafnie przemówić, nieczem i nigdy pendzla mistrza nie przypominały. Ale co to za kolosalna różnica z bohaterami, dajmy na to „Pajaków“, „Kalktugłów“, z których każdy raz pod oko się dostawszy, nigdy już z pamięci wyjść nie może! Niech giną tego rodzaju „wiejskie“ powieści, niech rodzą się i mnożą powieści „żydowskie!“

Dobra nauczka. Nowela. — **Ilko Szwabiuk.** Obrazek z życia ludu huculskiego w Galicyi. Przez *Abgar-Soltana*. Lwów. Jakubowski i Zadurówicz. 1896.

Abgar-Soltan zna i lubi Huculów; obrazki, malowane na tle życia tego ludu, tak blizkiego nam, a tak mało znanego, należą do najlepszych i najciekawszych w mnożącej się niemal co miesiąc galeryi do zbytku płodnego powieściopisarza. „Ilko Szwabiuk“ nie wzbija się niczem wybitnem, oryginalnem, ponad swych huculskich poprzedników; nowej jakiejś strony hulaszczopryszkowskich obyczajów nadczeremoskich mieszkańców nie odkrywa, ale ponieważ wogóle ludzie ci i obyczaje mało znane, zapoznajemy się z ciekawością, i z nieszczęśliwą Mariką, i ze starym opryszkiem Andrijem Semaniukiem i z Ilką Szwabiukiem i z cyganką Riną. W „Dobrej nauczce“ fantastyczni, dziką poezią niedostępnych gór i lasów opromienieni Huculi sytuacji niestety! nie ratują. Autor każe nam się przypatrywać stanisławowskim gimnazyalistom i ich wcale niestudenckim figlom; aby figle te ułatwić, wprowadza starą ciotkę-dewotkę, naiwną, a używając bardziej odpowiedniego wyobrażenia, głupią do niemożebności. Na kanwie tej naiwnej głupoty snuje się cała, także bardzo naiwna, a w niewiele mniejszym stopniu niesmaczna fabuła studenckiej noweli.

Bez woli. Przez *Sylweryusza Kondratowicza*. Warszawa 1895.

Wyszły z mody „przedmowy“, „przedślowia“, „słowa wstępne“, a bardzoby się czasem przydały. Tak np. gdyby p. Kondratowicz zechciał być nas uwiadomić w parokartkowej przedmowie, co w powieści swej chce wykazać, kto w niej jest typem, myśl tę przewodnią wcielaającym, i jakie znaczenie mają inne figury, kręcące się koło głównej owej osobistości, nie potrzebowalibyśmy mozolnie przez paręset kartek za ową myślą przewodnią gonić; nie potrzebowalibyśmy po zamknięciu książki w domysłach się gubić: „Czego właściwie autor chciał?“ Takie domysły, których w dodatku naprawdę rozwiązać niesposób, nikogo nie usposabiają przychylnie, a u mniej cierpliwego gotowe wywołać niegrzeczny wykrzyknik: „Po licha te paręset kartek zabazgranych?“ Wedle wszelkiego jednak prawdopodobieństwa autor miał cel jakiś; z pewnych oznak domyslać się wolno, że chciał nam przedstawić zbyt częsty u nas typ ludzi nigdy nie zdecydowanych, którzyby wiele rzeczy niby chcieli, a naprawdę niczego nie chcą i do niczego się nie biorą.

W układzie powieści, w wynajdywaniu i prowadzeniu wrzekomo zawikłanych sytuacji, w malowaniu duszy ludzkiej, spóźnił się nasz autor o dobrych lat kilkadziesiąt. Prawda! jest w nim i coś nowożytnego.

Z niektórymi z dzisiejszych psychologiczno-filozoficznych „grüblerów“, którzy nie wiedzieć jakim prawem przenuďne swe „analityczne“ monologi tytułują powieściami, to ma wspólnego, że również do końca tylko z pewnym wysiłkiem silnej woli doczytać go można. Kto „bez woli“, nie doczyta z pewnością.

Rozdzióbł nas kruki, wrony. Obrazki z ziemi mogił i krzyżów. Napisał *Maurycy Zych*. Kraków. Nakładem L. Zwolińskiego i Spółki. 1896.

Jeśli kto kiedy zabierze się do pisania bardzo potrzebnej broszurki: „Co i kto u nas krytykuje?“ — nie powinien pominąć obrazków p. Zycha. Autor zalicza się widocznie do obozu postępowo-demokratyczno-radykalnego; obrazki swe malował na tle demokratyczno-radykalnem i umieszczał je w dziennikach mniej więcej tej samej barwy. Stąd wynik praktyczny, że pisma demokratyczne pochwał p. Zychowi nie szczędzą, zapowiadają nową gwiazdę na literackim widnokręgu; pisma konserwatywne o nowym zbiorze nic nie wiedzą, i jeśli coś nadzwyczajnego się nie stanie, nic o nim do końca świata wiedzieć nie będą. Naturalnie, zmieniłyby się role, gdyby chodziło o autora zaciągniętego w przeciwną szereg; wszystkie pisma dziś milczące, wtedyby pisały; dziś piszące konsekwentnieby milczały. Wyjątek od tego prawidła stanowi kilku autorów: Tarnowski, Asnyk, Sienkiewicz, Konopnicka, których nazwiska tak się wzbily nad tłum szary, że trzeba koniecznie, koniecznie o nowych ich pracach czytelników zawiadamiać. Może kiedyś i p. Zych dojdzie do tego honoru; dziś nazwisko jego za mało na to znane.

A jednak obrazki Zycha zasługują istotnie, abyśmy wszyscy o nich wiedzieli. Taktyka ignorowania wszystkiego, co niezaopatrzone stemplem pewnej partji i pewnego kółka ludzi, może gdzieindziej, w innych krajach od biedy uchodzić; my, przeszedłszy trzy polityczne podziały i cierpiąc ciągle na bardzo ciężką chorobę tych podziałów, moglibyśmy i powinniśmy chyba nowych bez potrzeby nie stwarzać. Rzuciliśmy te uwagi z okazji książki p. Zycha, właśnie dlatego, że w bardzo wielu punktach z nim się nie zgadzamy, że jego realizm przesadny, a bywa, że i błotnisty, sprawa nieraz niesmak; lecz czy dlatego nie mamy powiedzieć: To nowa siła, z którą trzeba się rachować?

Farby, których używa nowo występujący na arenę powieściopisarz, nie zawsze miłe i stosownie dobrane; pendzel, śmiały wiedziony ręką, prowadzi go czasem bodaj dalej, niżby sam zamierzał; z winy, nie wiemy, swojej czy cudzej, sączy się z jego pióra gorycz i gorycz bez końca. Gorycz ta, w paru zwłaszcza ustępach, tak duszę autora zatruwa, że

zapomina zupełnie o wypisanem na czele książki, rozumną, chrześcijańską wiarą i nadzieją natchnionem *motto*. Zapomina, co podtrzymywało i podtrzymuje nieszczęśliwych, żyjących na „ziemi mogił i krzyżów“, co sprawiło, że dotąd nie rozdzióbały ich kruki i wrony i z pewnością nie rozdzióbią, chyba gdyby wyrzekłszy się swych ideałów, wpadłszy w niemą rozpacz, zostali „poganami“, chyba gdyby o „swoim Bogu“ zapomnieli. Na szczęście dusze starych wiarusów, dusze Unitów, za wiarę więzionych i bitych, hartowniejsze od duszy powieściopisarza; to dusze prawdziwie chrześcijańskie, więc rozumieją, czym jest męczeństwo. Tego p. Zych zupełnie nie rozumie. A szkoda! — bo talent świeży, bujny, powinienby głębiej wniknąć w dzieje świata i w dzieje dusz. Czytając *motto*, czytelnikowi zdawało się, że autor głęboko patrzeć musi; dobiegając do ostatnich kartek, przekonuje się ze smutkiem: Omyliłem się...

Ale to pierwsze kroki... P. Zych ma w sobie iskrę prawdziwego talentu; i dlatego możemy się pocieszać ufundowaną nadzieją, że iskra ta, w piękny płomień się rozwijając, nie pozwoli mu się dalej ślizgać po wierchu zewnętrznych, chwilowych zdarzeń; że zaprowadzi go poza drogę łatwego szyderstwa, małodusznego zwątpienia... Komu Bóg daje wzrok ostry, płomienny, ten głębiej, wyżej patrzeć winien. Niech taki szczęśliwy zgrzytanie zębów, podnoszenie pięści zostawi małomiejским aktorom, błoto — płazom.

Opowiadania. Przez *Stefana Żeromskiego*. Warszawa. Nakładem księgarni T. Paprockiego i Spółki. 1895.

Czarna melancholia otaczać musi kołem p. Żeromskiego; czarna melancholia ze snu go budzi i do snu prowadzi. Czego chce, czego zazdrości i matce-wronie i chłopu, ciemnemu Obali? Zazdrości im — zapomnienia, którem dobra matka-przyroda obdarzyła matkę-wronę i kudłatego chłopca Obalę, podczas gdy „my ucywilizowani na pioruny uczuć mamy lekarstwo tylko w samobójstwie“. Jakie typy sobie i innym maluje? Doktora Piotra, co ojca kocha, a szanować nie może, bo ukochany ojciec ciągnął nieprawy zysk z krwi i potu nieporadnego chłopca. Folwarcznego parobka, któremu ucięto naprzód jedną nogę; potem uciąćby trzeba drugą, ale chirurg uciąć się wzdryga, bo parobek... kiepski. Pocztmistrzową żonę, cichą męczennicę nędzy, płaczu i chorób dzieci, co z dziećmi ucieka od męża, bo mąż w chwili ciężkiej pokusy dopuścił się kradzieży i t. d. i t. d. Jest i małomiasteczkowy doktor, co tyje i nic nie robi, i wiejska nauczycielka, co pracować, poświęcaćby się chciała, ale jeść co nie ma. Jest obrzydłych pijaków gromada. Są obrzy-

dliwsze jeszcze panie i panny, którym nie wiedzieć czego więcej brak, rozumu czy wstydu. Wszystko jest, tylko niema ani jednego jaśniejszego typu, jednego prawdziwie pocziwego człowieka. Czyżby autor nie spotkał się w swem życiu, czy sądzi, że się nie spotkał ani z jednym człowiekiem rozumnym, pocziwym? O! wtedy ma rację włożyć ciemne okulary, mgłą melancholii ciemnej się otoczyć i zaintonować hymn zwątpienia — przedewszystkiem o własnym, nowelistycznym talencie!

Grzech. Przez *Zygmunta Niedźwieckiego*. Nowele i szkice. Kraków. Nakładem autora. 1895.

Jakie są ideały p. Niedźwieckiego, jaką — aby wyrazić się językiem nowszych krytyków — chorobliwą nostalgię do błota w sobie czuje, to wiedzą czytelnicy naszego pisma z podawanych poprzednio paru notatek. Obecnie wspominamy o ostatniej jego książce dlatego jedynie, aby zwrócić uwagę, że największa część — być może, że i wszystkie — z zawartych w niej opowiadań, pojawiły się poprzednio w socjalistycznym piśmie *Naprzód*. Charakterystyczne to dla ocenienia dążeń, ideałów, aspiracji naszych „zbawców ludzkości“, surowych Katonów, piętnujących raz po raz „głęboką niemoralność klas posiadających“. Winszujemy *Naprzodowi* urzędowego jego fejletonisty; o fejletonach wolimy dłużej nie mówić, bo kto zobaczy błoto, powinien ostrzedz przechodzących krótkim wykrzyknikiem: „Błoto!“ — ale przypatrywać mu się, analizować go pewnie nie będzie!

Zalotnica. Nowele *Sewera*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*. Lwów. Jakubowski i Zadurowicz. 1895.

Nie zupełnie to nowy, w każdym razie bardzo praktyczny sposób kazać przyjacielowi napisać do swej książki przedmowę, z której mniej domyślny, mniej świadomy ludzi i spraw literackich czytelnik, dowiedziałby się od razu, z jaką to „wielkością“ mieć będzie do czynienia, a zarazem dowiedziałby się, że jeśli mu się coś w książce nie będzie podobać, to dlatego, że ma smak zły i zasad rozumnej krytyki nie zna. Takiego przyjaciela obstalował sobie Sewer w panu Chmielowskim: prawdziwie mógł mieć o sobie samym lepszą opinię i zbytku tego sobie oszczędzić. Rozumiemy, że początkujący pisarz do takich sztuczek się ucieka; rozumiemy, że pobłażliwy przyjaciel-krytyk dla dodania odwagi przyjacielowi-pisarzowi chwali w protekcyjnej przedmowie „dzielny jego talent, prawdziwie męski, zupełnie wolny od sentymentalności, pogodny“; ale, naprawdę, czy autorowi „Nafty“, „Wiosny“, a choćby „Zyzmy“, reklama taka była potrzebna? Chyba dlatego, że sam czuł, iż pierwsza

zwłaszcza z nowel umieszczonych w świeżo wyszłym tomiku, napisana przed blisko 20 latami: „Zofia Żurawianka“, nie dotrzymuje kroku późniejszym obrazkom, malowanym czy „w słońcu“, czy w deszczu. W każdym razie i choćbyśmy dwom innym nowelom: „Zalotnicy“ i „Łusi Burlak“ nie zrobili zarzutu, że tłem i formą zbyt podobne do innych „obrazków“, które autorowi przyniosły zasłużoną sławę; lepiej może byłoby z wydaniem tego tomiku poczekać, aż zamiast przestarzałej, trochę dziś zblakowanej „Żurawianki“, nie wyszedłby inny jaki obrazek, inny portrecik z pod szybko po papierze posuwającego się pióra.

Żusia. Powieść współczesna w trzech częściach. Przez *T. Tomasza Jeża*. Lwów. Jakubowski i Zadurowicz. 1895.

Pan Teodor Tomasz Jeż nowicyuszem na arenie powieściopisarskiej nie jest; pisze dawno i dużo, a jak niektórzy utrzymują, i dobrze. W każdym razie, zostawiając nawet *sub judice* trzeci tytuł, można z racyi dwóch pierwszych, wątpliwości nie podlegających, z racyi nazwiska powtarzanego od tylu lat, w tyłu szkolnych i nieszkolnych podręcznikach, domagać się, aby, kiedy coś nowego wydaje, było to istotnie nowem; aby, głosząc w teorii postępowe zasady, i w powieściopisarskiej praktyce za ogólnym postępem zdążał. A właśnie w ostatniej, biorąc na liczbę kartek, dość poważnej książce p. Jeża, nowości, postępu niesposób się domagać! Takie typy jak Pieckich, jak hr. Łopacińskiego, br. von Schaubube i t. d. i t. d., odmalowane, odfotografowane tyle już razy, że nie bardzo wiedzieć, dlaczego p. Jeż uznał za odpowiednie raz nam je jeszcze zaprezentować. Prawda, że nieraz to już nie fotografia, ale nie bardzo zgrabna i dowcipna karykatura. Sama bohaterka, Elżusia — Żusia, najokropniej wychowana, otoczona od niemowlęcych lat najniezdrowszemi miazmatami wiedeńskimi, wychodzi cało, niewytłumaczonym cudem, z tych płonieni, zachowuje prawie bez walki dziewiczość serca, wzniosłość myśli i ideałów. Cudu tego zapomniał nam autor wytłumaczyć. Ale nie, nie zapomniał. Żusia ma bosą piastunkę Justynę; zaglądnęła kilka razy do skromnego dworku rządcy majątku swych rodziców; i dzięki tym wpływom została perłą, choć leżała w błocie. Prosty stąd morał się wywodzi: Zgniła arystokracja może jedynie ratunku się spodziewać od bosych piastunek; zdrowsze powiewy spłyną na nią jedynie od ekonomskich dworków. Zapewne, w morale tym jest coś prawdy; ale też jest, zwłaszcza tak, jak go p. Jeż podaje, coś, a niejeden powiedziałby, i dużo fałszu. Ale

trudno żądać, aby nie umiejący się zorientować w nowszych prądach powieściopisarz, pożegnał się z ulubioną manierą, która przez lat tyle służyła mu za wierną, za wyłączną gwiazdę przewodnią.

Kiedyś p. Jeż uchodził za człowieka postępowego... Ostatnia jego powieść najlepszym dowodem, jak słowo „postęp“ względnem pojęciem. Wierzyć się nie chce, jak autor, niegdyś postępowy, dać nam mógł tak zacofaną powieść; tak, powiedziećby się chciało, przedpotopową i ze względu na fabułę i na tendencję i na formę.

Cudzoziemiec. Opowiadanie. Przez *Zofię Urbanowską*. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1895.

Spotykając na okładce nowej książki nazwisko p. Urbanowskiej, przychodzi nam mimowoli na myśl arcsympatyczna i arcypożyteczna „Księżniczka“, uwieńczona tak słusznie nagrodą konkursową imienia Pauliny Krakowowej — i z góry przychylnie usposabia dla nowej pracy, obudza nadzieję czegoś „użytecznego, zdrowego, na czasie — jak przed dziesięciu latami recenzent *Przeglądu* o „Księżniczkę“ się wyraził¹ — czegoś napisanego z głęboką znajomością stosunków społecznych naszego kraju, z niemuiejszą znajomością ludzkiego serca!“ Niebezpieczne takie nadzieje, bo gdy im rzeczywistość niezupełnie odpowie, wznecają w umyśle jakąś niechęć za doznany zawód, a tem samem nastrajają go do surowszej krytyki. Otwieramy „Cudzoziemca“ z wielką nadzieją, podziwiamy się spotkać z bystrą analizą serca ludzkiego; pewni jesteśmy, że odczytamy ciekawą a ważną kartę historii naszych społecznych stosunków; sam tytuł przypuszczenie to potwierdza. Może autorka w barwnym obrazie przedstawi nam, jaką rolę gra po dziś dzień cudzoziemszczyzna w narodowym naszym życiu; może poznamy Polaka z urodzenia, cudzoziemca z zasad, aspiracji, nawyków; może przeciwnie zjawi się wyjątkowy, szlachetny rycerz, choć niemieckie, dajmy na to, nazwisko nosi, choć po polsku mówić cięższa dlań praca, niż kamienie tłuc. Nie! cudzoziemcem jest Polak, który Niemca udaje dlatego, ponieważ „chce być kochanym dla siebie samego, pomimo wszystkiego“; — to udawanie doprowadza i udającego i tych co z udającym się przyjaźnią, najprzód do długiej komedii omyłek, później do krótszej na szczęście tragedji, aż znowu w ostatnim akcie tragedia w komedję się zmienia i kończy na ślubnym kobiercu. Zamiast: „Cudzoziemiec“, można było powieści dać tytuł: „Herman“, można ją było

¹ Por. *Przegl. Powsz.*, t. x., str. 108 np.

zatytułować: „Basia“, jeszcze lepiej: „Herman i Basia“, albo np.: „Przygody dwojga zakochanych“; nieby to rzeczy nie zmieniło.

Prawda, jest i drugi cudzoziemiec, słynny aktor-Żyd, Bogumił Dawison, który radby być Polakiem, ale dawno nim naprawdę być przestał, jeśli kiedy był. Wspomina on od czasu do czasu o swej polskości, ale spokojny słuchacz obronić się nie może od myśli, że te wspomnienia kłaść należy na karb schorowanych nerwów. Zresztą postać Dawisona zostaje na drugim planie i miała tylko opowieści nadać pewne niby historyczne, niby rzeczywiste tło.

Nie brak w „Cudzoziemcu“ i kilku pięknych epizodów. P. Urbanowska zanedo jest utalentowaną, za żywo czuje piękno i zanedo szczerze prawdy szuka, aby raz po raz nie podsunęły się jej pod pióro obrazy bijące prawdą, pociągające pięknem. W tem do niej żal czujemy, że to tylko epizody.

Ks. Jan Badeni.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Geschichte der Päpste seit dem Ausgang des Mittelalters. Mit Benützung des päpstlichen Geheim-Archives und vieler anderer Archive bearbeitet von *Dr. Ludwig Pastor*, ordentl. Professor der Geschichte an der Universität zu Innsbruck. Dritter Band: Geschichte der Päpste im Zeitalter der Renaissance von der Wahl Innocenc VIII. bis zum Tode Julius' II. Erste und zweite Auflage. Freiburg im Breisgau. Herder. 1895. (Str. LXVII. i 888. 8^o).

Niemala to robota przeczytać uważnie dzieło tej objętości, co niniejszy tom trzeci Pastora, ale co mówić o pracowitości pisarza, który w przeciągu jednego roku takiej pracy dokonał? W r. 1894 wyszedł drugi tom jego historii papieży w wieku odrodzenia, a oto jeszcze przed świętami doszedł rąk naszych tom trzeci, od poprzedniego jeszcze obszerniejszy. Ta pracowitość¹ zdumiewa tem bardziej, że jak to sam

¹ W r. 1894 wydał nadto L. Pastor życiorys ks. Janssena p. t. *Johannes Janssen (1829—1891). Ein Lebensbild, vornehmlich nach den ungedruckten Briefen und Tagebüchern desselben*. Freiburg im B. Herder. 1894. — Poprzednio w ciągu 2 lat, tj. 1893—1894, wydał i uzupełnił dwa ostatnie tomy dzieła Janssena: *Geschichte des deutschen Volkes*. Tom VII, r. 1893, tom VIII, r. 1894. Tom IX, który ma obejmować dzieje 30-letniej wojny, przygotowuje obecnie do druku.

autor w przedmowie wspomina, zmuszony jest pracować w małym mieście, w którym nie ma pod ręką większej biblioteki. Tymczasem od lat kilku starają się rozmaite osoby, poczynawszy od arcyksiążąt, kardynałów i biskupów, aż do niżej podpisanego, aby Pastor mógł otrzymać katedrę historii powszechnej w uniwersytecie wiedeńskim. Miałby pod ręką biblioteki, poczynawszy od uniwersyteckiej, która w nowym gmachu, na półkach o żelaznej konstrukcyi wspaniale się przedstawia; miałby archiwa, poczynawszy od państwowego, które obecnie znalazło lepsze i wygodniejsze pomieszczenie; miałby — a przecie i o to chodzić nam powinno — wpływ na młodzież w duchu katolickim; — ale smutno wyznać, że wszelkie starania były dotąd bezskuteczne. Nawiasem mówiąc, aż trzech synów Izraela wykląda na uniwersytecie wiedeńskim historię!

W przedmowie do drugiego tomu zapowiedział Pastor, że tom trzeci obejmie panowanie czterech, *resp.* pięciu papieży, aż do ukończenia soboru laterańskiego (1517). Tymczasem materiał wzrósł mu pod ręką tak dalece, że tom ten obejmuje tylko panowanie trzech papieży, tj. Innocentego VIII., Aleksandra VI., krótkie Piusa III. i Juliusza II. († 1513), a i tak powstała księga olbrzymich rozmiarów. Nie dosyć bowiem, że tekst sam tworzy opowiadanie związane bardzo, tak, że prawie „fakt na fakcie siedzi“, ale nadto co wiersz, często nawet co wyraz, jest odsyłacz, który wskazuje na dzieła i źródła, z których autor czerpał, umieszczone w uwagach na dole, drukowanych *petitem*. Niepodobna zaś pomijać tych przypisów, bo tutaj pomieszcza zwykle Pastor polemiki, niezmiernie interesujące i prostuje błędne zdania innych autorów. Odprawy, dawane mianowicie protestanckim pisarzom, są cięte i ostre. Niektórzy robią z tego Pastorowi zarzut. Naszem zdaniem zarzut niesłuszny, bo gdyby rzekoma chrześcijańska *Duldung* miała iść u katolików tak daleko, żeby „sobie pozwalali w kaszę pluć“ — toby to może było panom protestantom i liberałom wygodne, ale dla katolickiego Kościoła niebezpieczne. I tak niestety, mamy w Austrii znaczniejszych historyków, o charakterze jawnie i wybitnie katolickim zaledwie dwóch i to: Weissa w Gracu i Pastora w Innsbruku, a natomiast liczba liberalnych i wprost nieprzyjaznych kościołowi historyków jest znaczna. Niechże im się więc choć czasem po palcach dostanie.

Niniejszy tom musiał z natury rzeczy nastęrczać autorowi częste powody do prostowania fałszów i kłamstw historycznych, bo kto — chociaż tylko pobieżnie — zna dzieje papieża Aleksandra VI., ten wie, jak olbrzymią jest literatura rodziny Borgiów. Fantazya, poezya i paszkwil wplotły w rzeczywistość tyle dodatków, że nikt z nas ostatecznie wiedzieć nie

mógł, o ile wierzyć tym, którzy jak np. Ollivier (*Le Pape Alexandre VI et les Borgia*. Paris 1870) albo Nemec (*Papst Alexander VI*. Klagenfurt 1879) rehabilitacyi tego papieża się podjęli. Pastor wypowiada teraz prawdopodobnie ostatnie słowo. Za przyczyną ś. p. kardynała Hergenröthera otrzymał na wiosnę r. 1888 od wielkodusznego papieża Leona XIII. specjalne pozwolenie do studyów w tajnem archiwum papieskiem, w którem znajdują się w 113 tomach (nr. 772—884) registry, bulle i brawia Aleksandra VI. Papież wyraźnie oświadczył, że pozostawia uczonemu badaczowi najzupełniejszą swobodę korzystania z tych dokumentów historycznych, które od 300 lat były nieprzystępne dla nikogo. Pastor jednakże nie poprzestał na tem. Przeszukał jeszcze relacye nuncyuszów po innych archiwach, a miarę jego sumiennosci daje spis archiwów i rękopiśmiennych zbiorów, z których korzystał, zamieszczony str. XXXVII—XXXIX. na 6 kolumnach. Nowe, zupełnie dotąd nieznane dokumenta, ogłosił też jako dodatek do niniejszego tomu (str. 806—872). Mianowicie państwowe archiwum w Medyolanie, archiwum Gonzagów w Mantui i państwowe archiwum w Modenie dostarczyły mu nowych dokumentów. Prawda, że już inni przed nim te źródła znali, Gregorovius np. był w państwowem archiwum w Medyolanie, ale sam przyznaje, że rozrzucone po stu rozmaitych półkach papiery, odstręczyły go swoim nieładem. Pastor nie uląkł się tej żmudnej i mozolnej pracy, ale też znalazł tutaj rozliczne depesze książęcych posłów, oraz całą, po części cyfrowaną, korespondencyę kardynała Ascanio Sforza z tegoż bratem, księciem Ludwikiem Moro, którzy ściśle byli wtajemniczeni w rodzinne stosunki Borgiów. Rezultat, do jakiego Pastor doszedł, jest ten, że wszelkie próby rehabilitacyi Aleksandra VI. uważa odtąd za niemożliwe (str. 473). Prawda, że bardzo wiele oszczerstw zbija i fałszów prostuje, ale mimo to pozostaje jeszcze tyle złego, że jedenastoletnie panowanie tego papieża nazywa słusznie „nieszczęściem dla Kościoła“. Jest to zresztą stanowisko, które przed Pastorem już dawniej Reynald (1456 nr. 41. — 1492 nr. 26), a z nowszych Hergenröther (K. G. II. 1. 130.) i Jezuici, wydający *Civiltà Cattolica* (Ser. 3. T. IX, 722, 727) wobec nowoczesnych apologetów tegoż papieża zajęli. Oryginał bulli przez tegoż papieża w 70 roku życia wydanej, znajdujący się w tajnem archiwum papieskiem, legalizujący 3-letniego syna, dowodzi tej straszliwej prawdy, że na szczycie kościelnej godności, na strażnicy najwyższej postawiony, w sędziwej starości jeszcze nie zaprzestał rozwiozłego życia, które przez 37 lat, jako kardynał prowadził. Skończył przecież śmiercią chrześcijańską, pojednany z Bogiem, i umarł

na febrę, a nie skutkiem trucizny, jak to bardzo wielu historyków dotąd utrzymywało (str. 471—72). Co przytem dziwne, to że nawet taki papież wolny jest od wszelkiego zarzutu w traktowaniu spraw czysto kościelnych i że pod tym względem, nawet najzaciętsi nieprzyjaciele, nie podnoszą przeciw niemu żadnych zarzutów. Czystość nauki kościelnej pozostała nietknięta, jakby Opatrzność chciała dowieść, że ludzie mogą Kościołowi zaszkodzić, ale go zniweczyć nie zdołają (str. 475). Jak oprawa zła nie zmniejsza wartości drogiego kamienia, jak grzeszne życie kapłana nie zmniejsza wartości Ofiary i Sakramentów śś., które sprawuje: tak papież, choćby najgorszy, nie zdoła ująć nic wysokiej godności tego świętego urzędu, który piastuje. Dlatego też Pastor położył jako *motto* na czele niniejszego tomu słowa papieża Leona W.: *Petri dignitas etiam in indigno haerede non deficit*.

Kościół katolicki nie potrzebuje też lękać się prawdy, a historyk katolicki może i powinien jasno i śmiało ją wypowiadać, bo wtedy tylko może dobrze bronić prawdy, gdzie tego potrzeba. Pastor czyni też to z całą swobodą i sąd jego o nepotyzmie Innocentego VIII. jest równie bezwzględny. Pierwszy to papież, który się ośmielił w Watykanie wyprawic wesele synowi swemu, Franceschetto Cibo z Magdaleną Medici i w ten sposób syn papieża po raz pierwszy był legalizowany i na widownię polityczną wysunięty (str. 195—196). Aleksander VI. naśladował już tylko poprzednika swego i Watykan widział wtedy po raz pierwszy, niebывałe tam tańce i gorsze jeszcze rzeczy.

Całe państwo kościelne byłoby też przepadło dla Stolicy Piotrowej, gdyby synowie Aleksandra VI. nie byli tak wczesnie poginęli, i gdyby (po krótkim pontyfikacie Piusa III.) nie był wstąpił na Stolicę Piotrową potężny duchem i energią Juliusz II., który wrogi wszelkiemu nepotyzmowi, słusznie odnowicielem państwa kościelnego może się nazywać. Autor kreśli dzieje tego papieża z widocznym zamiłowaniem. Opowiadanie ożywia się i nabiera potoczystości, której w pierwszej i drugiej księdze, tam gdzie mowa była o poprzednich dwóch papieżach, było daleko mniej. Ta trzecia księga zajmuje też połowę niniejszego tomu (str. 503—805).

Już jako kardynał Julian della Rovere, zajmował późniejszy papież Juliusz II. wybitne stanowisko. Ponieważ jego stronnictwo było za słabe, skierował głosy w konklawe (1484) na Innocentego VIII. (str. 173). W następnym konklawe (r. 1492), popierany przez Francję i Neapol, był jeszcze bliższym tyary, ale przekupstwo kard. Roderigo Borgia, na które Pastor przytacza niezbite dowody i wykazy (str. 276)

sprawiło, że tenże uzyskał tyarę. Dlatego też zmuszony był następnie kard. Julian della Rovere uciec do Francyi (str. 306) i mimo to, że Aleksander VI. zapewniał mu przez osobne breve wszelakie bezpieczeństwo, wołał pozostawać przez 10 lat we Francyi z daleka od Rzymu (str. 330). Wrócił dopiero ze śmiercią Aleksandra VI. (str. 508), ale odtąd był do śmierci najzaciętszym przeciwnikiem Francyi, której przemożny wpływ na Stolicę Apostolską usiłował złamać. Po krótkim pontyfikacie Piusa III., on też został jednogłośnie i to po kilku godzinach wybrany papieżem (r. 1503). Konklawe to liczy się do najkrótszych, jakie dzieje papiestwa znają (str. 522). Potężnego ducha i olbrzymiej energii człowiek, przedsiębrał ten papież wszystko na wielką skalę, a raz postanowiwszy, nie baczył ani na wiek, ani na zdrowie, ani nawet na powagę urzędu swojego, póki na swoim nie postawił. Państwo kościelne odbić z rąk nepotów papieskich i możnych panków włoskich, a przywrócić zupełną niezależność Stolicy np. od zagranicznych dworów: oto co sobie założył i czego rzeczywiście dokonał.

W pierwszym rządzie należało upokorzyć Wenecyę, która nie tylko zagrabiła kilka miast w Romanii, ale nawet w sprawach duchownych lekceważyła powagę papieża.

— Nie spocznę, póki z was nie zrobię pokornych rybaków, jakimście pierwotnie byli — zawołał papież w gniewie do posła weneckiego.

— A my — odpowiedział hardy Pisani — zrobimy z Ojca świętego małego proboszcza, jeśli się nie będzie miał na baczności (str. 592).

Tymczasem klątwa papieska i jedna klęska pod Agnadello (14, 5, 1509), przytarła rogów hardym kupcom do tego stopnia, że głowy zupełnie potracili. Aż Machiavelli szydził z ich niedołęstwa. Papież wszelako nie mógł pragnąć zguby Wenecyi, którą uważał za wał obronny przeciwko cesarzowi Maksymilianowi i dlatego sam podał rękę do zgody (str. 587—601). Większej jeszcze energii dał dowody Juliusz II. w odbiciu Perugii i Bolonii. Sam wyprawił się z wojskiem, zajął Perugię, nie bacząc na reumatyczne cierpienia, przeprawił się przez wąwozy apenińskie, odbył wjazd do Bolonii i powrócił w tryumfie do Rzymu (str. 559—578). W trzy lata potem (1510) musiał jednak w daleko gorszych warunkach ponowić wyprawę przeciwko Bolonii. Tutaj obleżony przez Francuzów, chory na febrę, i nieprzytomny leżąc w gorączce, o mały włos nie dostał się do niewoli francuskiej. Skoro odzyskał przytomność, uratowała go energia, która go nigdy nie odstę-

powoła. Jej też zawdzięcza zwycięstwo nad królem francuskim Ludwikiem XII., który nie tylko orężem chciał supremacyę nad papieżem wywalczyć, ale i tyary go pozbawić. Zwołane za jego poduszczeniem zborzysko do Pizy spełzło jednak na niczem. Przeniesione do Medyolanu, wywołało już tylko szyderstwo ludu. Tymczasem krwawa bitwa pod Rawenną (1512) zadała cios stanowczy polityce francuskiej, a papież, chcąc wytrącić oręż niebezpieczny z rąk Ludwika XII., zwołał sobór laterański. Jednakże śmierć nie dała mu przeprowadzić dzieła reformy Kościoła, jaką na wielką skalę był zamierzył.

Współcześni nazywali tego papieża *terribile*, co znaczy „potężny“. Taki sam przydomek nadawali też Michałowi Aniołowi. Rzeczywiście dwaj ci ludzie, charakterem tak bardzo do siebie podobni, mieli pomysły olbrzymie i również do ich wykonania potrzebną olbrzymią energię. Ale drugi z nich nie byłby nabrał takiej w świecie sławy, gdyby mu nie był Juliusz II. dał pola do pracy i popisu. Charakterystyczny fakt przytacza Pastor (str. 734—737). Papież zamówił u Michała olbrzymi pomnik dla siebie. Mistrz nasprawdzał ogromne zapasy kararyjskiego marmuru, gdy tymczasem myśl papieża zwróciła się w inną stronę, bo już się rozpoczęły prace około nowego kościoła św. Piotra i Michałowi polecił malować freski na sklepieniu Sykstyńskiej kaplicy. Mistrz czuł się dotknięty i niewiele myśląc — uciekł do Florencyi. Na wszelkie prośby był głuchy i wracać nie myślał. Dopiero urzędowy list papieża do Signorii sprawił, że go Florencya zmusiła do powrotu. Padł do nóg papieżowi i rozpoczął robotę, a papież mimoto że był zajęty sprawami całego świata, jeszcze znajdował czas, żeby po drabinach wchodzić na rusztowanie w kaplicy Sykstyńskiej i przekonywać się, o ile praca postępuje. Michał Anioł narzeka też w jednym z sonetów swoich na niecierpliwość papieża i opisuje ciężką swoją dolę, bo leżąc na plecach musiał malować niezrównane freski na sklepieniu — „podczas gdy farby, kapiące mu na twarz, mozaikę na niej tworzyły“. Natomiast z olbrzymiego pomnika, który papież za życia jeszcze u tegoż mistrza zamówił, zostały tylko niektóre części, ustawione w kościele św. Piotra w Okowach, a Mojżesz, który główną figurę tegoż pomnika stanowi, jest doskonałym obrazem potężnej energii znakomitego papieża.

Najpiękniejsza też to część niniejszego tomu, która obejmuje zasługi Juliusza II. około sztuk pięknych w Rzymie (str. 698—805). Najcenniejsze skarby sycerskiej sztuki, jak Laokoona, Torso Belwederski, Apolina i t. d. nabył ten papież dla watykańskiego muzeum.

Watykan połączył z Belwederem i rozpoczął wiekopomną budowlę nowego kościoła św. Piotra. Prawda, że starożytna, wiekami i nieocenionymi pamiątkami uświęcona bazylika Konstantyna W. padła ofiarą i nikt nawet nie pomyślał o tem, czyby się nie dało jej odrestaurować. Bramante obchodził się jak barbarzyńiec ze starożytnymi tejże świątyni zabytkami i byłby nawet grób śś. Apostołów ruszył z miejsca, gdyby się Juliusz II. nie był stanowczo oparł. Lud szemrał, ale duch owego czasu, który się zowie wiekiem odrodzenia, patrzył z pogardą na dzieła „wieku barbarzyńskiego“.

W usługach tegoż papieża, wedle jego wskazówek i dyspozycji, malował też Rafael pokoje (*stanze*), które Juliusz II. zamieszkiwał w Watykanie. Stosunek ten tłumaczy też pojedyncze obrazy, wykonane przez genialnego mistrza. Objaśnienia, jakie daje Pastor czterem wielkim obrazom w stancyi *della Segnatura*, oraz t. zw. „Dysputy“ i „Szkoly ateńskiej“ (str. 760 i 787), świadczą o tem, że naszemu autorowi są dzieje sztuki w czasie Odrodzenia równie dobrze znane, jak i dzieje cywilizacyi, której obraz dał na wstępie do niniejszego tomu (str. 3—164).

Kończymy zapewnieniem, że jest to praca tak gruntowna i pouczająca, a przytem pisana tak zajmująco, że nikt nie pożałuje trudu, kto ten tom przeczyta.

Ks. Chotkowski.

Nowe pieśni. Wyśpiewał dr. A. Tresić Pavičić. Zagrzeb 1895. (Nove pjesme. Spjevao dr. A. Tresić Pavičić. Zagreb 1895).

O pieśni moje, moja dziatwo droga,
Choć w skromnej szacie światu się zjawiajcie,
Ale tam szczęścia się nie spodziewajcie,
Niema go zdala od własnego proga.
Nieraz was może spotka burza sroga
Złośliwych krytyk, lecz nie rozpaczajcie;
Zwiastunki prawdy, cierpcie i wytrwajcie,
Nie dla was sławy aureola błoga.
A gdy ktokolwiek może wam zarzuci,
Żeście wy zimne, ciemne, nieuchwytnie,
Niech cel wasz święty odpowiedź mu rzuci:
„Pragniemy budzić myśli wzniosłe, szczytne
Zamiłowanie prawdy i wolności,
Oraz prąd czystej dla kraju miłości“¹.

Powyższym sonetem p. Tresić Pavičić rozpoczyna szereg utworów, zebranych w książce pod tytułem: „Nowe pieśni“. Nowe to wprawdzie, ale nie debiutowe poezye, bo już nie po raz pierwszy lutnia poety, znanego wśród swych rodaków pod pseudonimem Mosorskiego gęślarza, na chorwackiej rozbrzmiewa ziemi. Przed kilkoma zwłaszcza laty cały literacki świat Chorwacyi witał z gorącym uznaniem jego „Echa z Adryatyku“ (*Glasovi s mora Jadranskoga*), z któremi autor nawiązuje i dzisiejszy zbiór swych utworów, wołając w „Pożegnaniu Adryatyckiego morza“:

Z Bogiem, żywiole pieśni, bezmierne błękitne morze,
Jak myśl ruchliwe, ciemne, bezdenne,
Matko myślenia mego, polotu mego przestworze,
Świetlanych pieśni źródło promienne!¹

Morze więc, jak wyznaje sam poeta, nastroiło jego duszę dlatego, aby przelał w natchnione pieśni wszystko, co mu szeptał szmer fali, lub niezgłębione mówiły tonie. Nieraz w istocie się zdarza, że jakiś fakt, napozór drobny i nieznaczący, porusza w sercu napiętą tam dłońią Boga, lecz milczącą jeszcze strunę. Takim poruszeniem poetyckiej struny był dla Pavičića widok morza, jako obraz bezmiaru, nieskończoności. Uderzenie wydobywa iskrę z głazu, bez niego zaś na wiek tamby spoczywała (*Udar nadje iskru u kamenu, bez njega bi u kum oćajala*), powiedział niegdyś czarnogórski poeta, Piotr Niegusz. Wprawdzie każdy w mniejszym lub większym stopniu ulega magnetyzującemu wpływowi morza, ale nie każdy, niestety, umie uchwycić tajemniczą jego

Al tu se sreću naći ne nadajte,
Jer ljubav nije van otčinskog praga.
Od nemila će svak vas do nedraga
Progonit psokam, al ne oćajajte;
Vjerovjestnice pravde, trpit znajte,
A ne čekajte slave, niti blaga.
Ma što vam itko igdje prigovori,
Il da ste tamne, tvrde, il studene,
Nek cilj vaš sveti njemu odgovori:
„Želimo buditi misli uzvišene
I jarka čuvstva za dom, za slobodu,
I čistu ljubav pram dragoj i rodu“.

¹ S Bogom, plavetno more, neizmjerena pjesmi mi hrano,
Poletom mojim prostore bajni;
Majko mišljenja moga, uvjete velebne mašte,
Svjetlosti pjesme izvore sjajni!

melodyę i sam do niej się dostroić. Tresić Pavičić to potrafił i — został poetą.

Pomiędzy muzą jego a kapryśną naturą morza wielka istotnie istnieje analogia. Jak to ostatnie jest wogóle pięknem, w szczegółach zaś nadzwyczaj urozmaiconem, kapryśnem, nieokielznanem i zmiennem, tak też i piękne co do treści utwory Moserskiego gęślarza odznaczają się niekiedy niezwyklej ekscentrycznością formy. Podobnie zaś jak lazurowa morska powierzchnia kryje bezdenne, tajemnicze głębie, tak też i poezye Pavičića cechuje raczej głębokość i powaga myśli, niżeli śmiały ich polot; to właśnie czyni niektóre jego utwory nieco zimnemi i sztywnemi. Przewaga rozumu nad uczuciem, refleksyjnego pierwiastku nad lirycznym, objawia się zwłaszcza w wierszach: „Melancholia“, „Na grobie Lisinskiego“, „Do kapitana Vinkova“, „Na gwieździe miłości“, „Sen“, „Na Ozrenie“ i t. p., a nawet w okolicznościowych wierszach: „W pamiętniku“ (*U spomenaru*). Dzięki niezwykle bogactwu fantazyi, poddającemu pocięciu coraz to nowe i coraz piękniejsze obrazy, oraz wynagradzającemu do pewnego stopnia brak naturalnego ciepła, refleksyjny ten charakter nie wyszedł wcale na złe jego utworom: czytelnik bowiem z prawdziwą rozkoszą daje się prowadzić pieśniarzowi, który go jak Wiryliusz Dantego wiedzie ze sobą do wzniosłej krainy myśli. Zarówno bystry, jak głęboki jego umysł nie cofa się przed najbardziej doniosłemi i poważnemi zagadnieniami:

Czy się twa dusza dręczy pytaniami,
Jakie ma cele nieustanna zmiana,
Gdzie dąży wszechświat z gwiazd milionami,
Którym od dawna ścieżka już wskazana?
I dokąd wszystkie twory podążają
Tak bez wytchnienia, każdy swoją drogą,
A dawnych kształtów przybrać nie zdołają,
Ani się cofnąć nigdy już nie mogą?
Czy trwa świadomość po zgonie choć chwilę,
Czy jak meteor zaraz znika w cieniu,
Albo z poczwarki jak barwne motyle,
Wyleci grzać się na wiecznym płomieniu?¹

1

Da l' ikad misli vesela ti duša
Kud struji ova neprestana miena,
Kud ide vasmir s milijuni zviezda,
Kojim je staza već predodredjena?
Kad idu živa bića? za što nikad
Ne mogu ni čas sustat na svom putu,

To straszne, zagadkowe *quo vadis?* ta myśl o zmienności i znikomości wszystkiego co ziemskie, wstrząsa duszą pieśniarza, miotając ją jak wiatr słomką, „która złamana szeleści smutnie, niby ostatnie echo dzwonu, rozplywające się w przestrzeni“. Widząc, że piękność, szczęście, bogactwo i miłość gasną tak prędko, jak iskra lub błyskawica, poeta pociesza siebie nadzieją, iż może przynajmniej nie umiera sława i nie więdną laury na skroni wieszczą, lecz i tu niebawem ogarnia go zwątpienie. Wówczas jednak do duszy jego spływa z góry promyk pociechy:

I nagle we mgle czarnych wątpliwości
Zabłyła boska jutrzienka wieczności,
Dla której niema bogactw, blasków żadnych,
Bo sama zlewa blask na wsze istoty,
Na mędrców, płytkich, pięknych i szkaradnych,
Na możnych władców i biedne sieroty¹.

(»Do pamiętnika«).

Taki sam nastrój cechuje utwór pod tytułem: „Melancholia“, którą poczytuje poeta za źródło wszelkich wzniósłych porywów, mówiąc, że w niej jak w lekkim eterze płyną szlachetne duchy, tęskniące za dobrem i pięknem. Ktoś ty? — woła do niej — ktoś ty, co zlewasz do serca srebrną rosę pieśni?

Czy ty myśl wzburzoną masz za matkę,
Wzbijającą skrzydła do błękitu,
Która pragnie rozwiązać zagadkę
Pośmiertnego bytu?

Która pragnie ujrzeć w blaskach tęczy
Tego, Kto z lazurów wzniosł sklepienie

Nit ikad biti, što su prije bila
Nit opet gazit stazu prevrnutu?
Po smrti traje l'sviest osobe naše,
Il kio meteor izčezne u tamu,
Il iz kožurka, kô šareni leptir,
Grijat se prhne na vječitom plamu?
Tek tad u tami sjete i oćaja
Božanska zora vječnosti mi grane;
U kojoj nema bogatstva, ni slave,
Što na sva bića siplje rajske trake,
Na mudre i plitke, na ljepe i ružne,
Na care i kralje i na siromake.

(»U spomenar«).

I Kto w serce dobra wlał pragnienie,
Które tak nas dręczy? ¹.

Ta właśnie tęsknota za lepszym nadziemskim światem, którą poeta zowie „melancholią“, wiodła jego zdaniem mężów Bożych do Tebaidy, potem zaś jak gwiazda przyswiecała słowiańskim ludom, ucząc jednych umierać za ojczyznę, drugich — opiewać jej sławę.

Wogóle samotność, cisza i obcowanie z krainą promiennych ideałów, to jedyny żywioł dla duszy poety, z którego czerpie jego lutnia łagodne i harmonijne dźwięki. W miarę zaś zetknięcia się ze światem rzeczywistym, to jest zstąpienia ze swego piedestału, poeta traci równowagę i spokój, wydobywając z lutni ostre i przenikliwe tony, podobne do jęku lub zgrzytu. Przebija się to najbardziej w wierszu do przyjaciela Vinkowa, któremu pieśniarz zazdrości, że na morzu ponad jego głową

Szumia mewy skrzydłami białemi,
Rój delfinów za okrętem goni,
I błysnąwszy oczyma chciwemi,
Niknie znowu wpośród morskiej toni.
I tak żywot upływa ci młody,
Jakby powiew morskiego wietrzyka,
Bez zawiści, potwarzy, niezgody,
Która duszę jak sztylet przenika ².

W innem miejscu oburza się poeta na to, że jeżeli orzeł innym orłom, a nawet lew innym lwom nie zabrania kochać rodzinnego gniazda, lub własnego legowiska i stamtąd ich nie wypędza, jakimże prawem

¹ Jesi l'kćerka nemirne misli naše,
Koja zalud segnuti našeq žića,
U predzorje teži i spoznat udes
Posmrtnog bića?
Koja zalud shvatiti želi, tko je
Svod taj čvrsti nad nama sbio plavi;
Tko nam dao nevolje, i tu želju
Koja nas davi.

² Nad glavom ti galebovi kruže,
A dupini po moru se gone,
Šiknu šijom i udahnu zraka
Pak opeta u more zarone.
Tako žiće prolazi ti mlado
Kô slobodni vjetar sinjeg mora,
Bez zavisti, mržnje i bojazni
Tajna noža, podla ogovora.

człowiek człowiekowi wydiera ukochaną ojczyznę, gdzie spoczywają zwłoki jego pradziadów? Atoli pieśniarz choć patrzy na świat nie przez pryzmat złudzeń, lecz przez złote okulary prawdy, nie poddaje się zniechęceniu, bo go od tego broni wiara w Opatrzność Bożą, która w cudowny sposób przeplata ból z radością, lub nadzieją, i obok cierni daje róże. Zresztą

Możesz nawet mi dlatego miła,
Ty, ojczyzno moja opuszczona,
Żeś tak zawsze nieszczęśliwa była,
I wśród bojów często tak skrwawiona¹.

Pierwsza to patryotyczna nuta w szeregu utworów Pavičicia, pierwsza ale nie ostatnia, bo dźwięczą one w rozmaitych kształtach to smutnie, to z nadzieją lepszej przyszłości. „Nad brzegami Sawy“ (*Na obali Save*), lub w starożytnym „Biokowie“ rozmyśla pieśniarz nad świetną przeszłością rodzinnego kraju, „Słowiańską gwiazdę“ (*Slavonskoj zvezdi*) pyta o dalsze jego losy, a wreszcie z niezwykle sobie zapalem kreśli dla swych rodaków następujący program:

Gdy już, bracia, za swobodę
Ukochanej swej ojczyzny
Dziś nie pora znosić blizny
I na krwawy lecieć bój,
Więc przyrzekłszy sobie zgodę,
Trzeba inne obrać pole,
I poświęcić mu swą wolę,
Pracę, oraz żywot swój.

Niech nam jedność szanćcem będzie,
Naszem hasłem — sprawiedliwość,
Tarczą — prawo i uczciwość,
Bojowiskiem — ciągły trud.

I z nas każdy wówczas wszędzie
Niech zapału pełen leci,
Bo mu w walce gwiazdą świeci
Blask nadziei, a nie złud.

Zamiast strzelby lub pałasza
Pług, motyka, albo radło,
Sieci, wiosła, lub kowadło,
Niechaj zbroją będzie nam;

Kad već, braćo, za slobodu
Premile nam otačbine
Nije vrijeme, da se gine,
U krvavi hrleć boj,
Tada treba našem rodu,
Da na drugom bojnem polju
Posvetimo rad i volju,
Žrtvujemo život svoj.

Zastava nam budi sloga,
Čisti pravac geslo zdravo,
Bojnim štitom naše pravo,
A proprište znojan rad!

Oružja se svatko svoga
Pun zanosa neka lati,
A u boju nek ga prati
Kano zvezda, stalan nad.

Mjesto puške, ljuta mača,
Ralo, kuka i motika
Mreža, veslo, kormanika
Nek oružje bude nam.

Stokroć lepsza ta broń nasza,
Niżli kule są działowe,
Bo wytwarza życie nowe,
Nie znające żadnych tam.

Gdy się w sercach naszych synów
Zbudzi miłość kraju swego
I narodu chorwackiego,
To wolności błysnie dzień.
Gdyż wspomnienie pięknych czynów
Taką jasną aureolę
Rozpłomieni na ich czole,
Że nie padnie na nią cień.

Choć wrogowie dalsi, blizcy,
Chcą nas trzymać u łańcucha,
Lecz zwycięży siła ducha
I nie zboczy z jasnych dróg.
A więc, bracia, zgodnie wszyscy
Gdy do pracy się weźmiemy,
Niepodległość zdobędziemy,
Z nami bowiem będzie Bóg!

Ta su oružja mnogo jača
Nego puške i topovi,
Jer stvaraju život novi
Iz kog sviesti sieva plam.

A kad sviest u svima sine
Da smo sinci hrvatskoga
Slavnog roda junačkoga,
Tad slobode dan će doć.
Jerbo ponos i vrline
Tolikim će sjati žarom
Da ih dušman mržnjom starom,
Ugasiti neće moć.

Dušmani su naši mnogi
I tudjinci i domaći,
Al sviest žarka sve će smaći
Da do cilja dodje svog.
S toga, braćo, svi u slogi
K marnom radu prionimo,
Da slobodu izvojštimo,
A s nama će biti Bog!

Nie bez znaczenia jest także wiersz, poświęcony „Słowiańskiej idei“ (*Slavenska misao*), która, jak głosi poeta, budzi z uśpienia starą Europę, lub jak wiosenne technienie rozsiewa kwiaty miłości i nadziei. I nas w tym utworze nie pominął pieśniarz chorwacki, owszem rzucił o naszej poezji nader znamienne słowa:

Tu myśl prorocza światu się odsłania,
Płynąc z ust wieszczu, zmarłej Polski syna,
Co jak Jeremiasz klęskę przypomina,
Budząc do zemsty i zmartwychpowstania¹.

O sympatyi dla Polski i jej bohaterów świadczy bardziej jeszcze wiersz pod tytułem: „Tarcza Jana Sobieskiego“ (*Štit Jana Sobieskoga*), rozpoczynający się następnymi strofami:

O cicha nocy i matko jedyna
Wytechnienia, ciszy i sennych mamideł,
Pod cieniem miłych twoich skrzydeł
Wędrowiec o trudach zapomina.

Twe skrzydło czarne w przestrzeni krąg toczy
 I ty świat cały na swem tulisz łowie,
 Gdy miękkie syna twego dłonie
 Śmiertelnym zamykać zaczęły oczy¹.

Przytoczyliśmy powyższe dwie strofki na poparcie poprzednich słów naszych o ekscentryczności formy w utworach tego poety, której wiersz ten jest jednym z najbardziej charakterystycznych okazów. Teraz zaś przejdźmy do treści tego ze wszech miar oryginalnego utworu. Oto wpatrując się w czarny płaszcz nocy, haftowany gwiazdami, poeta spostrzega ze smutkiem, że wpośród rozmaitych konstelacyj niema ani jednej, któraby słowiańskie nosiła nazwisko, chociaż naprzykład dwaj bracia Zryńscy daleko lepiej przyświecali ludzkości swemi czynami od mitycznego Kastora i Polluksa. Wreszcie na Mlecznej drodze pomiędzy Orłem a Heraklesem migoce doń przyjaźnie mała, nieznaczna prawie pośród innych konstelacya, nosząca nazwę Tarczy Jana Sobieskiego. Stąd poeta bierze asumpt do klasycznego opiewania bohaterstwa zwycięzcy z pod Wiednia, „którego postać jaśniejje jak słońce na widnokręgu dziejów“. Atoli obok uwielbienia dla naszego bohatera znalazła się i dla nas gorzka pigułka, zawarta w słowach, że „własny naród zapomniał o Janie, nie widzi blasku jego tarczy, nie słyszy głosu Adama, który go budzi do życia jak trąba Archaniola, lecz niewolniczo służy innym, sprzedając własnych braci, jak Judasz Pana Boga“. Surowe to oskarżenie modyfikuje później poeta do pewnego stopnia wezwaniem wszystkich Słowian, aby poczytywali Tarczę Sobieskiego za zwiastunkę słowiańskiej przyszłości, bo skoro o niej zapomną, staną się sami godnymi niewolniczego jarzma.

Nie będziemy się zastanawiali nad tem, o ile powyższy zarzut poety jest słuszny lub niesłuszny, nie tu bowiem miejsce na wywody raczej politycznej, niż literackiej natury. Zresztą niepodobna nawet brać tak bardzo za złe Pavičićowi jego filipiki, gdyż jest ona, niestety,

1

O tiha noći, preblaga majčice
 Morfeja sladkog, majčice počinka,
 U tvome milom krilu putnik
 Brige i umornost zaboravlja.
 A ti nad svieta trudnoga bešiku
 Na tamnim krilim vineš se brižljiva,
 Dog tvoga sina prsti meki
 Smrtnikom lagano luči sklope.

tylko wyrazem ogólnego prawie braku sympatyj dla Polaków ze strony innych Słowian, o których — uderzmy się w piersi — za małośmy sami dbali.

Dobiegając do końca naszej oceny, nie możemy pominąć milczeniem ulotnych utworów: „Prośba poety“ (*Molba pjesnikova*), „Po szczęściu“ (*Poslje sreće*), „Sen lipcowego poranku“ (*San lipanjskog jutra*), „Do Safvet-bega“ (*Poslanica Safvet-begu*) i t. d., w których poeta naśladuje bardzo zręcznie charakter ślicznych ludowych pieśni chorwackich. Jak one, tak też i wszystkie inne utwory, objęte nazwą „Nowych pieśni“, nie są wcale dyletanckimi próbkami, lecz owocem rzeczywistego, dojrzałego i wyrobionego już talentu, którego posiadacz nie potrzebuje wcale się obawiać, że „nie dla niego aureola sławy“.

T. Sopotzko.



SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Walka kulturalna w Węgrzech. — Trzecie przykazanie Boże w Galicyi. —
List o socyalizmie księdza biskupa Lobosa.

WALKA KULTURNA
W WĘGRZECH. W roku bieżącym obchodzą Madziary tysiąclatnią rocznicę zawojowania dzisiejszych Węgier przez przodków swych, przybyłych z Azji. Rocznicą tą, do której Węgrzy od dawna się sposobią, przypada na niewesołą chwilę ciężkich, wewnętrznych walk, sprowadzonych przez nieszczęsne kościelno-polityczne prawa, walk tak ciężkich, wskazujących na tak głębokie rany państwowego organizmu, że nie brak melancholijnie usposobionych proroków, którzy lękają się, aby tysiącletni jubileusz istnienia Węgier nie był zarazem ostatnim ich kresem. Za czarne to może horoskopy, choć kto widzieć chce, jakie szerokie morze niechęci, ponurej rozpaczy rozlało się po królestwie św. Szczepana, od słowackich gór aż po Chorwację, po Rumunię, kto przypatrzył się stupawskim lub nitrzańskim wyborom, ten pytać się musi: „Czy te horoskopy nie zawierają w sobie części prawdy?“ Wobec ciągłych nadużyć, bezustannej walki na noże, z Kościołem toczonej, wygląda prawdziwie na ironię żądanie Banffego: „Niech rok jubileuszowy będzie rokiem bożego pokoju; zapomnijmy w nim o wzajemnych waśniach, złożmy oręż,

myślimy wyłącznie o sławie i wielkości ukochanej ojczyzny!“ Złote słowa, i możnaby im z całego serca przyklasnąć, gdyby w danym razie nie przypominały dowcipnego awanturnika, co obławowawszy porządnie wóz i kieszenie, proponuje protestującemu i broniącemu się właścicielowi: „Zawrzyjmy na rok pokój; po roku możesz, jeśli zechcesz, mię szukać i o swą własność się upominać!“...

Partya ludowa, duchowni i świeccy jej przewodcy nie mogą oczywiście dać się schwycić na lep tego rodzaju brutalno-naiwnych propozycji. Dążyć bez przerwy muszą wszystkimi konstytucyjnymi drogami do rewizyi kościelnego prawodawstwa; bronić się muszą przed wyborczemi nadużyciami. Nie idą oni tak daleko, jak Ugron, który głośno woła, że jedynym sposobem pozbycia się rządzącej dziś kliki, byłoby przeprowadzone konsekwentnie w całych Węgrzech wstrzymanie się od płacenia podatków i spełniania innych ustawami nałożonych obowiązków; nie myślą o wysyłaniu zbiorowych deputacyj do Wiednia, jak Rumuni, lecz swoją drogą zdać się nie myślą na łaskę i niełaskę niewęgierskich w znacznej części elementów, które dziś w Peszcie rej wodzą. „Piękny to pokój boży, — pisze główny organ partii ludowej, *Allkotmany* — z którego z góry wykluczono wszystkich naszych stronników, choć chrześcijanie, a w szczególności katolicy tyleby — zdawało się — co najmniej udziału mieć powinni w nadchodzącym jubileuszu, ile go sobie przywłaszczają Banffy i liberali. Przecież Węgry były przez dziewięć wieków państwem chrześcijańskim; królowie węgierscy byli katolikami; na węgierskiej koronie, na herbach błyszczy krzyż; przecież Węgry swe konstytucye i wszystkie instytucye zawdzięczają chrześcijaństwu; bohaterowie chrześcijańscy przelewali swą krew na polach walki, doprowadzili kraj do wolności i ofiarowali wszystko za ojczyznę, podczas gdy liberali zawładnęli Węgrami dopiero od lat dwudziestu i panowanie swe zaznaczyli powszechną demoralizacją i zburzeniem odziedziczonych instytucyj. Jako jedno z najgłówniejszych zadań wielkiego jubileuszowego roku zaznaczył Banffy „w pierwszej linii utrwalenie kościelno-politycznego ustawodawstwa“. Ogłasza zatem „pokój boży“, a jednocześnie w niwecz go obraca, w tejże samej chwili wypowiada wojnę chrześcijaństwu, rzucając na wodzów

katolickiego Kościoła podejrzenie o brak miłości ojczyzny... Więc jakiś Banffy odważa się zakazywać nam, chrześcijanom, założyć stronnictwo, mające na celu obronę naszej wiary?“...

W innym, z natury rzeczy, tonie, ale w podobnym duchu odzywają się biskupi w listach pasterskich, wydanych z okazji narodowej, jubileuszowej uroczystości. Kardynał Vassary stwierdza z boleścią: „Wiecie, patrzycie własnymi oczami, jak dziś smutno w pięknej naszej ojczyźnie, jak się w niej rozpanoszyły nienawiści, spory, niechęci, kłótnie, waśnie“... Nie wolno, za nic na świecie nie wolno zdradzać ojczyzny lub religii swych ojców; równie za ojczyznę, jak za wiarę należy i krew w danym razie przelać i życia nadstawić. „Biada naszemu narodowi — przestrzega arcybiskup Csaszk — jeżeli oddalając się od ścieżki zdrowej, chrześcijańskiej moralności, zejdzie w błoto zepsucia! Biada biednej naszej ojczyźnie, jeśli od siebie odepchnęła katolicki Kościół, wzięła rozbrat ze świętymi jego instytucjami, które przyniosły temu krajowi wielkość i sławę... byłoby to po prostu dziewięćsetletnie węgierskie społeczeństwo postawić w sprzeczności ze sobą samem, a tak przyprowadzić je do koniecznego rozkładu“.

Nie mniej poważnie, energicznie brzmią przestrogi świeckiego przewodcy katolickiego obozu, hr. Ferdynanda Zichego: „Dziś nie lud wybiera, dziś wybiera pieniądz, polowanie na urzędy, na majątek, handel publicznymi instytucjami; nieraz wybiera po prostu materyalna przemoc, uznana i przyjęta za dobrą na równi z innemi, przytoczonymi powyżej środkami... Czy mamy dziś wolność, czy mamy wolne wybory, czy mamy miejską lub gminną autonomię? Nie, nie mamy... Wszystko zburzone, zniszczone, skonfiskowane na rzecz rządzącej partii. Dłużej na tej drodze iść już nie możemy. Chcemy — „ludowa partya“ chce — nadać nakoniec konstytucyi utracone piętno prawdy; chcemy, aby parlament naprawdę lud reprezentował. Chcemy wolności religijnej, ale nie ograniczającej się na czecznych słowach, nie dla tych wyłącznie, którzy nie mają żadnej religii... Chcemy zachować prawdziwą, chrześcijańską podstawę naszego państwa; chcemy tam, gdzie jest naruszona, doprowadzić ją do pierwotnego, właściwego stanu“...

TRZECIE PRZYKAZANIE BOŻE W GALICJI.

Dane „na gwiazdkę“ przez wiedeński parlament zaledwie przed rokiem nowe prawo o odpoczynku niedzielnym, nie urzeczywistniło pokładanych w sobie nadziei. Jakże urzeczywistnić miało, kiedy już samo z siebie bardzo było niedoskonałem, a katolicycy posłowie zgodzili się na nie jedynie wychodząc z zasady: „Od złego dłużnika bierz, co ci dają“; kiedy w dodatku co miesiąc, co tydzień wychodziły nowe ministeryalne rozporządzenia, nowe dyspensy, z których każda wyrządzała nowe szczyrby w nowem prawie, aż wreszcie zostało z niego kilka nieforemnych skorup?! To też „kwestya niedzielna“ w Austrii stoi na tym samym niemal punkcie, na którym stała przed pamiętnym przeszłorocznym, „gwiazdkowym“ upominkiem. Jak wtedy, tak dziś upominają się o ostateczne jej uregulowanie katolicy i socjaliści; upominają się zgodnie, klóćące się we wszystkich innych sprawach, chrześcijańskie narodowości. I od nas wychodzą, i u nas słyszeć się dają coraz — dzięki Bogu — częściej i głośniejsze nadto słuszne rekryminacye i postulaty.

Władze krajowe — skarżył się poseł Jan Potoczek w wiedeńskim parlamencie wśród oklasków polskiego klubu — w dekretach swych, regulujących prawo o spoczynku niedzielnym, pozabawiły spoczynek ten cech, które większość parlamentarna nadać mu właśnie pragnęła. Wydane rozporządzenia utrudniają w niejednym kierunku katolikom wykonanie religijnych swych obowiązków, ponieważ pozwalają na wykonywanie w niedzielę rano takich robót, które w żaden sposób ze święceniem niedzieli zgodzić się nie mogą. Dzisiejszy rząd przyznał się już kilkakrotnie w tej Izbie do szersze katolickich przekonań; spodziewać się zatem należy, że nie pominie koniecznych starań, aby Austria wyglądała na przyszłość, jak wyglądać powinno państwo katolickie.

Obszerne debaty nad tą samą sprawą toczyły się w pierwszej połowie stycznia w lwowskiej Radzie miejskiej. Radcy Markiewicz, Piętak, Kordys i Roszkowski stwierdzili zgodnie, wbrew żydowsko-liberalnym wywodom pp. Goldmanna i Byka, że sposób, w jaki praktykuje się dziś ustawa o spoczynku niedzielnym, czyni ją wręcz iluzoryczną, absolutnie nikogo nie może zadowolnić i właściwie niezłym potrzebom zadość nie czyni. Jakże

ma kogoś zadowolnić, kiedy naprawdę mówiąc, tak rzeczy się mają, jakby jej nie było. Tyle posypało się dodatków, poprawek, wyjątków, że z zasady, iż odpoczynek niedzielny trwać powinien 24 godzin, pozostały liche strzępy. Pozwolono targować i kupczyć w dzień poświęcony chwale bożej, zupełnie tak, jakby prawo boże: „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił“, straciło moc obowiązującą. Żydzi, z nielicznymi wyjątkami, święcą swój szabas; chrześcijanie w pogoni za zyskiem i z obawy przed żydowską konkurencją bezczeszczą dzień święty. Lecz czy dobrze na tem wychodzą? Najlepszą odpowiedzią ogólny ekonomiczny upadek. Nie znać we Lwowie chrześcijańskiego charakteru; nawet roboty publiczne dokonywają się w dnie świąteczne... Ustawa o odpoczynku niedzielnym wydaną została na pierwszym miejscu dla służby, dla robotników, zatrudnionych w handlach i przedsiębiorstwach; a chodzi w niej o to, aby robotnik mógł wytehnąć, nabrać sił, dopełnić mógł swych religijnych obowiązków. Robotników też pytać trzeba, jak oni chcą niedzielę spędzać, nie ich pryncypałów... Jeśli Żydom nie podoba się, że muszą w niedzielę swe sklepy zamykać, to niechże pamiętają o tem, że żyją w państwie chrześcijańskim, a nie żydowskiem...

Ruchliwa lwowska Czytelnia katolicka, zapalająca się z młodzieńczą energią i siłą do każdej dobrej sprawy, skorzystała w lot z nadarzającej się sposobności i natychmiast po dyskusyi, przeprowadzonej w Radzie miejskiej, uchwaliła wspólnie z delegatami wszystkich innych katolickich stowarzyszeń we Lwowie:

1) Wyrazić radnym: pp. Markiewiczowi, Piętakowi, Kordysowi i Roszkowskiemu najgorętsze podziękowanie za gorliwą obronę sprawy święcenia niedzieli...

2) Wysłać zbiorową petycję do namiestnictwa, wykazującą niezbytnie potrzebę zaprowadzenia ustawowego święcenia niedzieli i godzinowego odpoczynku dla klas pracujących naszego społeczeństwa.

3) Na wypadek, gdyby Rada miejska powzięła uchwałę niezgodną z potrzebą i duchem większości katolickiej naszego kraju, poprzeczyć tę petycję osobiście przez wysłanie deputacyi do księcia Namiestnika

4) Wygotować w tej sprawie petycję do Rady miasta i uprosić pana Prezydenta o jej odczytanie na przyszłym posiedzeniu.

Kraków idzie zwykle za Lwowem z daleka, krokiem statycznym. Kongregacya kupiecka uchwaliła wprawdzie jeszcze dnia 10 maja r. z. zwołać za przykładem Lwowa, danym parę lat temu, publiczny wiec, mający omówić uregulowanie święcenia niedzieli; ale wiec ten — jak czytamy w komunikacie ogłoszonym w *Głosie Narodu* — „dla wielu przyczyn od kongregacyi niezależnych, nie mógł przyjść do skutku“... Obecnie członkowie kongregacyi, zebrani na walnem zebraniu dnia 12 stycznia, zajęli się znowu tą samą „piekącą sprawą“ i przedewszystkiem stwierdzili, że porozumienie już nietylko z Żydami, ale i między kupcami chrześcijańskimi „nie było łatwe do urzeczywistnienia, dla różnicy poglądów i braku dobrych chęci pogodzenia względów utylitarnych z etycznymi... Mimo to — zaręcza dalej komunikat — Wydział nie ustaje w zabiegach, aby tę tak piekącą sprawę doprowadzić do pożądaných wyników, któreby zarówno nie przynosiły szkody interesom handlowym, jakoteż zapewniały ze strony kupców żydowskich pewien respekt dla świąt wyznania, które w naszym kraju jest panującym“.

Niech się cieszy tą uchwałą kto może; niech wytłumaczyć łaskawie nam raczy, do jakich praktycznych rezultatów ma doprowadzić; niech objaśni, w jaki np. sposób proponowane przez Wydział kongregacyi otwarcie galanterijnych sklepów w niedziele i święta od 6 rano do 12 w południe godzić ma interesa handlowe „z wykonaniem religijnych praktyk“ i jakie to w szczególności praktyki Wydział ma na myśli. Chyba nie Mszę, bo jak to lwowski katolicki kupiec p. Markiewicz zaznaczył nie bez pewnej ironii w czasie lwowskich rozpraw: katolik wiedziećby powinien, że w kościołach Msze św. odprawiają się tylko do godziny dwunastej, i że Kościół przyjętych przez siebie zwyczajów nie zmieni, dlatego że komuś wygodniejszemby się wydało, aby służba zajęta po sklepach i handlach szła do kościoła dopiero po dwunastej.

LIST
O SOCYALIZMIE
KS. BISKUPA
ŁOBOSA.

Groźne postępy, któremi pochwalić się może grasujący po Galicyi różnorodny socyalizm: polski, ruski, miejski, wiejski, zaczyna otwierać oczy coraz szerszym zastępom ludzi dobrze myślących. Przed kilku latami po-

cieszano się nieprawdziwym komunalem: socjalizm do polskich domów nie znajdzie przystępu; przed paru jeszcze latami redakcyje najlepiej zresztą usposobionych pism nie tały się z zasadą: „Nie wspominajmy ani słowem o socyalizmie, bo nuż lichu zbudzimy, nuż przyczynimy się do jego rozpowszechnienia!“ — a rezultatem tej zasady było, że bardzo nawet skądinąd poważni, już nie zwykli obywatele, ale posłowie do sejmu słuchali o socyalizmie jak opowiadań o żelaznym wilku i ze zdziwieniem niezmiernem, z niedowierzaniem pytali: „Jakto, więc naprawdę we Lwowie, w Krakowie odbywają się socyalistyczne zebrania, istnieją socyalistyczne zgromadzenia!“... Dziś tego rodzaju zapytania żaden chyba posełby już nie zadał. W gazetach spotykamy coraz częstsze wzmianki o socyalistycznym ruchu¹; — w szczególności lwowska *Gazeta Narodowa* poświęca od pewnego

¹ Co prawda, wzmianki te, i te nawet, co są pisane w najlepszej intencji i z najlepszą wiarą, nie zawsze świadczą o należytem zorientowaniu się w tej kwestyi, najbardziej bodaj dziś ze wszystkich na czasie, najbardziej piekącej. Tak np. *Czas* umieścił w n-rze z 10 stycznia wstępny artykuł o socyalizmie u nas, w którym obok bardzo zdrowych zasad, znajduje się pewna liczba zdań, których z temi zasadami pogodzić nie możemy. Autor artykułu stwierdza, że społeczeństwo nasze zaskoczone już zostało zarazą socyalistyczną; stwierdza, że wewnętrzny ten wróg może najszkodliwszy jest dla polskiego społeczeństwa; stwierdza, że „agitacya socyalistyczna grasuje wśród młodzieży, robotników, przedziera się na wieś, rozwija intensywną czynność“... Więc cóż robić? — bronić się, walczyć, zaslaniać własnymi pierściami zagrożone ideały? Nie! — odpowiada autor — „walczyć teoretycznie lub polemicznie na nic się tu nie przyda!“ — Jakto? dlaczego? Bo „to są tylko niewolnicze małpiarstwa utopij zagranicznych, których nawet nikt z adeptów socyalizmu nie umiał uzasadnić w stosunku do naszego społeczeństwa“. To zdaje się znaczyć, że w naszym kraju socyalizm nie ma pola, i wszystko idzie jak najlepiej. Nie bez zdziwienia więc znajdujemy znowu w końcu zdanie: „W obronie porządku społecznego jest za mało czujności, inicjatywy, solidarności i jakby lekceważenie całego zbrodniczego ruchu“... Jest w tem, zdaje nam się, jeżeli nie sprzeczność, to przynajmniej niejasno określone stanowisko w sprawie tak ważnej. W gruncie, myślą autora zdaje się być, żeby nie wyklądać i nie zbijać teoryi socyalizmu, tylko w sferze czynu, opieki nad ludem, zwalczać jego działalność. Otóż i na ten pogląd godzić się nie możemy. Socyalizm musimy zwalczać na wszystkich polach, na których on walczy. A on też u nas wykląda swe teorye, uczy, pisze, bałamuci głowy robotników i włościan. Zbijać te teorye, prostować pojęcia, jest jednym z najważniejszych zadań obrońców społeczeństwa.

czego wśród zajęć kapłańskich pierwszej imać się wypada. A przede-
wszystkiem i nadewszystko towarzyszyć musi tej pracy wzaje-
mna, gorąca miłość; miłość, co nie zazdrości i kupi koło siebie
wszystkich, którzy w poczeiwej pracy społecznej chcą i mogą
brać udział; miłość, która dla nikogo, nawet dla tego, co nam
szkodzi, nie pozwala nienawiści żywić.

Od dawna czuć się dawała potrzeba takiego w szczegółach
opracowanego programu chrześcijańskiej kapłańskiej pracy spo-
łecznej w naszym kraju; od dawna odzywały się głosy, doma-
gające się takiego programu, takiej zachęty do tej tak trudnej
a tak niezbędnej pracy. Nietylko dyecezya tarnowska, nietylko
duchowieństwo, lecz całe społeczeństwo nasze winno gorącą
wdzięczność dostojnemu autorowi listu do tarnowskiego duchi-
wieństwa, za to obudzenie publicznej opinii, sprostowanie błą-
kających się jeszcze mylnych pojęć, wskazanie drogi, na której
pracować, na której z szerzącą się zarazą należy walczyć.

Ks. Jan Badeni.



Wypadki w Transvaalu i następstwa ich w Europie.

Wszystko to, co zaszło w południowej Afryce między 28-ym gru-
dnia i 12-ym stycznia, przyniosło dyplomatom i ludom europejskim pewne
nauki i przestrogi, wskazało możliwość — a i prawdopodobieństwo —
pewnych kombinacji politycznych, całkiem nieprzewidywanych w świeżej
przeszłości. Może więc nie będzie od rzeczy uczynić przegląd owych
wypadków. A dla tem łatwiejszego ich zrozumienia warto przypomnieć
sobie w głównych zarysach, jakie dzieje dotychczasowe ma europejska
kolonizacya Afryki południowej, tj. tej części afrykańskiego lądu, która
sięga od półwyspu i Przylądka Dobrej Nadziei (37-y stop. szer. połud.)
do północnego kolana rzeki Zambezy, na stop. szer. półn. 16-ym.

I.

Cała ludność tubylcza między Zambezą i Przylądkiem rozpada się
na dwa wielkie szczepy, rasowo zupełnie różne, mające odrębne cechy
etnograficznego pochodzenia. Pas zachodni krajów nadmorskich — między

14-ym i mniej więcej 21-ym stop. długości — zamieszkały był gęsto w wiekach XVII. i XVIII. przez wielką rodzinę plemienną Garyepinów, pochodzenia niewątpliwie mongolskiego. Cechami jej zewnętrznymi są: cera śniado-żółta, oczy skośne, włosy czarne, lecz długie i opadające, wzrost częściej niski, jak średni; charakter jej łagodny, usposobienie gnuśne, obyczaje miękkie. Garyepinowie, lud pasterski, rozpadają się plemiennie na Hottentotów, Namaków, Damarów, Korannów i „mieszkańców“, wiodących życie przygodne na stepach i w lasach (*Bushmen*). Reszta Afryki południowej — więc przestrzeń daleko większa, a i zasobniejsza w bogactwa ziemi — jest, nawet dziś jeszcze, gęsto zaludniona przez wielki szczep Bantu, którego plemiona, Zulusowie, Kafirzy, Bazuci, Suazowie, Matabele, Maszonowie, Beczuanie i inne, zdolali do pewnego stopnia zachować niepodległość: w pewnych krajach rządzą się sami, choć pod protektorem brytańskim; w innych zostawiono im pełną swobodę, lecz odmówiono równouprawnienia politycznego i municypalnego z kolonistami europejskimi. Bantowie zdradzają pochodzenie polinezyjskie: cerę mają ciemną, prawie czarną, włosy krótkie skręcone, wełniste; rysy twarzy regularne, nierzadko piękne — więc niewstrętne, jak tubylców Afryki środkowej, zwłaszcza w północnym Kongo i w całym Sudanie — wzrostem się odznaczają wysokim, budową ciała atletyczną. Ludy tego szczepu słyną z odwagi i waleczności; zaborcze wojowanie z sąsiadami zdaje się być ich rzemiosłem. O religijnych pojęciach tak Bantów, jak Garyepinów, nic, lub prawie nic się nie wie, a to, co pod tym względem ma do powiedzenia głośny znawca tych krajów i ludów, lecz dużo głośniejszy powieściopisarz, Rider Haggard, nie może zasługiwać na wiarę. By wyraźniejszym być w dalszym ciągu tej pracy, ilekroć mi wypadnie pisać o Bantach lub Garyepinach, wspominać będę te tylko ich plemiona, które poza południową Afryką są najlepiej znane: więc Hottentotów, lub Zulusów.

Koloniści Przylądka, narodowości przeważnie holenderskiej i bezustannie — a poza jednorazowym przybyciem francuskich wychodźców, prawie wyłącznie — holenderską emigracją wzmagający się liczebnie, znani byli Europie, już w połowie XVIII. wieku, pod nazwą, nieco wzgardliwie im daną, „chłopów“, lub „kmienci“ — *Boers*. Później dopiero, w ciągu i po rewolucji francuskiej, przybrali sami nazwę „obywateli“ — *Burghers*. Dziś, gdy się mówi o tych potomkach pierwszych Afryki kolonistów, którzy zaludniają kraje południowej Afryki poza Transvaalem i Oranią — którzy więc albo przyjęli poddaństwo brytańskie lub są lojalnymi współobywatelami kolonij brytańskich — zowie się ich

ogólnie Boerami; Burgherami zaś nazywają się chętnie republikanie Transvaalu i Oranii. Nakoniec po ostatniej wojnie transwaalskiej (1880—81), kiedy koloniści pochodzenia holenderskiego powzięli byli krótkotrwałą myśl wyrugowania żywiołu brytańskiego z południowej Afryki, powstały między nimi dwie znaczące nazwy: „Cudzoziemców“ (*Uitlanders*), dla Anglików i innych, i „Afrykanów“ (*Afrikaners*), dla wszystkich Boerów i Burgherów. Tu więc zauważyć wypada fakt, mający w chwili obecnej znaczenie bardzo doniosłe, że Boerowie nie okazywali nigdy chęci do ścieśnienia jakichkolwiek między sobą i Holandją węzłów politycznych. Przypisuje się to nadużyciom i gwałtom, spełnianym niegdyś, mianowicie od samego początku kolonii do r. 1795, przez nazbyt potężną i bezwzględną kompanię holendersko-indyjską na jej pierwszych i późniejszych osadnikach. Kompania wyczerpywała wszelkie środki i sposoby, by koloniści Przylądka pozostawali w najcałkowitszej od niej zależności, handlowej, administracyjnej i politycznej (w stosunkach z plemionami). Pod koniec zeszłego wieku Boerowie, przyprowadzeni do ostatnich granic cierpliwości, a przez rząd niderlandzki zaniedbani i opuszczeni, gotowali się do rewolucyi, kiedy, w następstwie podbicia Holandyi przez wojska francuskie i układu, zawartego między zbiegłym do Londynu Stadholderem i Anglią, w zatoce Stołowej stanęła fregata brytańska i zajęła Kap (port i stolicę Przylądka) w imieniu mocarstw sprzymierzonych. Wprawdzie po pokoju w Amiens (1801) cofnęła się załoga angielska i kolonia Przylądkowa przeszła pod bezpośrednią władzę Holandyi — nie kompanii holendersko-indyjskiej — lecz w r. 1814 Anglia nabyła od rządu Hagi wszystkie prawa do krajów południowej Afryki za sumę sześciu milionów funtów szterl. Nie dziw, iż w ten sposób traktowani, wkońcu sprzedani Boerowie nie przekazali swoim potomkom przywiązania do kraju macierzystego, dziw jednakże, że nie było i niema w Holandyi człowieka, któryby powziął ambicję zastosowania w Afryce dewizy narodowej: *Je maintiendrai!* i „zachował“ narodowi i berłu niderlandzkiemu klejnot tamtejszego odrośla. Zwłaszcza że „klejnot“ ów znalazł obsadę... Kimberley'u i Johannesburga: największych pod słońcem kopalń dyamentów i złota.

Przypominając sobie wewnętrzne i zewnętrzne dzieje Holandyi w wieku XVII. i w pierwszej ćwierci XVIII., domyślimy się, jakiego charakteru i usposobienia wychodźcy powiększali bezustannie liczbę pierwotnych osadników-żeglarzy. Boerowie odznaczeni się zawsze i dziś się odznaczają osobliwą zaciekłością swych kalwinistycznych i luteraniskich pojęć i przekonań, jakimś ponurym fanatyzmem i niezmiernie

ciasnym religiantyzmem, pozbawionym spokoju, pogody i wielkodusznej pokory prawdziwej religijności. Rzecz napozór dziwna, dająca się atoli łatwo wytłumaczyć samą istotą kalwinizmu, ci rzekomi purytanie chrześcijańscy przewyższali okrucieństwem Arabów Sudanu i Zanzylaru w swoich stosunkach z plemionami tubylczymi, zwłaszcza z Hottentotami, do oporu mało zdolnymi. Widząc w nich zapewne istoty, nieodwołalnie od Boga odrzucone, obchodzili się z nimi bez porównania gorzej, jak z bydłem, bo oszczędzając bydła używali ich w zaprzęgu do pługa i woza, a co zostawało nieszczęśliwych, sprzedawali handlarzom portugalskim lub ościennym Zulusom: pierwszym w zamian za towary, drugim w miejsce okupu od najazdów, lub jako cenę różnych koncesyj. Poza tym rysem religijnym, w taki się ujawniającym sposób, o Boerach powiedzieć należy, że są ludem pracowitym, wstrzemięźliwym, lubiącym nadewszystko spokój i zgodę, ludem prostaczym w znaczeniu bynajmniej nie ubliżającym. Słyną z przywiązania do swoich ognisk domowych; mężczyźni są waleczni, zahartowani w obyczajach życia myśliwskiego i częstymi wojnami z plemionami, a podobno niema na świecie lepszych od nich strzelców.

Z nastaniem, po r. 1814, rządów angielskich, zaczęły się dla Boerów czasy ciężkie (niewiadomo, czy cięższe od poprzednich), które miały trwać lat blisko siedmdziesiąt. Dla dokładniejszego ich zrozumienia musimy wziąć pod uwagę cechy wybitne angielskiego systemu kolonizacyjnego.

Najwybitniejszą jest — absolutny brak systemu. Paradoks jest pozorny tylko; wyjaśni go króciutkie porównanie angielskiego nie-systemu z systemami innych rządów i narodów. Pięć jest narodów europejskich, które muszą, lub chcą kolonizować inne kraje:

Rosya, zmuszona różnemi względami etnograficzno-ekonomicznemi i samym, ogromnym ciężarem swego ciała politycznego, do coraz dalszego rozsuwania swych granic, ma stały system kolonizacyjny militarno-etnograficzny: awanturnicze kupy wojskowe wchodzą do danego kraju podstępem lub przebojem, lecz w ślad za niemi przybywają kupcy i urzędnicy pewnej kategorii, którzy zaskoczonemu ludowi nie wydają się zupełnie obcymi, ani całkiem obcymi nie są. Są to jako tako zruszczeni współplemieńcy świeżo zabranego narodu, a jeśli nie są współplemieńcami i do niedawna sąsiadami, to (boć myślimy o środkowej Azji) łatwo się przekabacają, już choćby dlatego, że... musi *być po siemu* i że, *après tout*, niema ani jednego plemienia między Newą i Manczurją, między morzem Lodowatym i granicami persko-indyjskimi, któreby nie miało swoich reprezentantów w petersburskich i moskiewskich *czynach*

ogólnie Boerami; Burgherami zaś nazywają się chętnie republikanie Transvaalu i Oranii. Nakoniec po ostatniej wojnie transwaalskiej (1880—81), kiedy koloniści pochodzenia holenderskiego powzięli byli krótkotrwałą myśl wyrugowania żywiołu brytańskiego z południowej Afryki, powstały między nimi dwie znaczące nazwy: „Oudzoziemców“ (*Uitlanders*), dla Anglików i innych, i „Afrykanów“ (*Afrikaners*), dla wszystkich Boerów i Burgherów. Tu więc zauważyć wypada fakt, mający w chwili obecnej znaczenie bardzo doniosłe, że Boerowie nie okazywali nigdy chęci do ścieśnienia jakichkolwiek między sobą i Holandją węzłów politycznych. Przypisuje się to nadużyciom i gwałtom, spełnianym niegdyś, mianowicie od samego początku kolonii do r. 1795, przez nazbyt potężną i bezwzględną kompanię holendersko-indyjską na jej pierwszych i późniejszych osadnikach. Kompania wyczerpywała wszelkie środki i sposoby, by koloniści Przylądka pozostawali w najcałkowitszej od niej zależności, handlowej, administracyjnej i politycznej (w stosunkach z plemionami). Pod koniec zeszłego wieku Boerowie, przyprowadzeni do ostatnich granic cierpliwości, a przez rząd niderlandzki zaniedbani i opuszczeni, gotowali się do rewolucyi, kiedy, w następstwie podbicia Holandyi przez wojska francuskie i układu, zawartego między zbiegłym do Londynu Stadholderem i Anglią, w zatoce Stołowej stanęła fregata brytańska i zajęła Kap (port i stolicę Przylądka) w imieniu mocarstw sprzymierzonych. Wprawdzie po pokoju w Amiens (1801) cofnęła się załoga angielska i kolonia Przylądkowa przeszła pod bezpośrednią władzę Holandyi — nie kompanii holendersko-indyjskiej — lecz w r. 1814 Anglia nabyła od rządu Hagi wszystkie prawa do krajów południowej Afryki za sumę sześciu milionów funtów szterl. Nie dziw, iż w ten sposób traktowani, wkońcu sprzedani Boerowie nie przekazali swoim potomkom przywiązania do kraju macierzystego, dziw jednakże, że nie było i niema w Holandyi człowieka, któryby powziął ambicję zastosowania w Afryce dewizy narodowej: *Je maintiendrai!* i „zachował“ narodowi i berłu niderlandzkiemu klejnot tamtejszego odrośla. Zwłaszcza że „klejnot“ ów znalazł obsadę... Kimberley'u i Johannesburga: największych pod słońcem kopalń dyamentów i złota.

Przypominając sobie wewnętrzne i zewnętrzne dzieje Holandyi w wieku XVII. i w pierwszej ćwierci XVIII., domyślimy się, jakiego charakteru i usposobienia wychodźcy powiększali bezustannie liczbę pierwotnych osadników-żeglarzy. Boerowie odznaczeni się zawsze i dziś się odznaczają osobliwą zaciekłością swych kalwinistycznych i luteranских pojęć i przekonań, jakimś ponurym fanatyzmem i niezmiernie

ciasnym religiantyzmem, pozbawionym spokoju, pogody i wielkodusznej pokory prawdziwej religijności. Rzecz napozór dziwna, dająca się atoli łatwo wytłumaczyć samą istotą kalwinizmu, ci rzekomi purytanie chrześcijańscy przewyższali okrucieństwem Arabów Sudanu i Zanzylaru w swoich stosunkach z plemionami tubylczymi, zwłaszcza z Hottentotami, do oporu mało zdolnymi. Widząc w nich zapewne istoty, nieodwołalnie od Boga odrzucone, obchodzili się z nimi bez porównania gorzej, jak z bydłem, bo oszczędzając bydła używali ich w zaprzęgu do pługa i woza, a co zostawało nieszczęśliwych, sprzedawali handlarzom portugalskim lub ościennym Zulusom: pierwszym w zamian za towary, drugim w miejsce okupu od najazdów, lub jako cenę różnych koncesyj. Poza tym rysem religijnym, w taki się ujawniającym sposób, o Boerach powiedzieć należy, że są ludem pracowitym, wstrzemięźliwym, lubiącym nadewszystko spokój i zgodę, ludem prostaczym w znaczeniu bynajmniej nie ubliżającym. Słyną z przywiązania do swoich ognisk domowych; mężczyźni są waleczni, zahartowani w obyczajach życia myśliwskiego i częstymi wojnami z plemionami, a podobno niema na świecie lepszych od nich strzelców.

Z nastaniem, po r. 1814, rządów angielskich, zaczęły się dla Boerów czasy ciężkie (nie wiadomo, czy cięższe od poprzednich), które miały trwać lat blisko siedmdziesiąt. Dla dokładniejszego ich zrozumienia musimy wziąć pod uwagę cechy wybitne angielskiego systemu kolonizacyjnego.

Najwybitniejszą jest — absolutny brak systemu. Paradoks jest pozorny tylko; wyjaśni go króciutkie porównanie angielskiego nie-systemu z systemami innych rządów i narodów. Pięć jest narodów europejskich, które muszą, lub chcą kolonizować inne kraje:

Rosya, zmuszona różnemi względami etnograficzno-ekonomicznemi i samym, ogromnym ciężarem swego ciała politycznego, do coraz dalszego rozsuwania swych granic, ma stały system kolonizacyjny militarno-etnograficzny: awanturnicze kupy wojskowe wchodzą do danego kraju podstępem lub przebojem, lecz w ślad za niemi przybywają kupcy i urzędnicy pewnej kategorii, którzy zaskoczonemu ludowi nie wydają się zupełnie obcymi, ani całkiem obcymi nie są. Są to jako tako zruszczeni współplemieńcy świeżo zabranego narodu, a jeśli nie są współplemieńcami i do niedawna sąsiadami, to (boć myślimy o środkowej Azji) łatwo się przekabacają, już choćby dlatego, że... musi *być po siemu* i że, *après tout*, niema ani jednego plemienia między Newą i Manczurją, między morzem Lodowatym i granicami persko-indyjskimi, któreby nie miało swoich reprezentantów w petersburskich i moskiewskich *czynach*

i koszarach. Militarizm, asymilacja (i przekupstwo także) znamionują urzędową i rządową kolonizację Moskwy.

Francya kolonizuje za pomocą szabli i najszczytniejszego bohaterstwa swoich misyonarzy. O ile dobywa pierwszej, o tyle doznaje trudności; drugie stawilo ją daleko na przedzie pionierów cywilizacji prawdziwej. Lecz Francya kolonizuje niepomyślnie, ociężale i niedostatecznie, bo, niestety, wymogi militarizmu obronnego z jednej strony, a z drugiej ubytek coraz wyraźniejszy ludności we własnych granicach, nie pozwalają jej pozbywać się żywołu najlepszego. Portugalia niechętnie szuka nowych kolonij, ledwo mogąc zachować dawniejsze; pamięć zaś środków i sposobów, jakich używała poza Europą, nierychło się zatrze na kartach najsmutniejszych dziejów jej własnych. Niemcy, jako ciało polityczne, nie biorą inicjatywy w kolonizowaniu krajów nowych, zostawiając takową temu żywiłowi swej ludności, któremu w Europie staje się życie niemożliwem, lub niewygodnem. Wogóle mówiąc, Niemcy tam się osiedlają, gdzie już dłoń europejska coś potrafiła zdziałać i zarządzić, gdzie istnieją już miejscowe lub ościenne gwarancje bezpieczeństwa. Faktem jest również, że, jak niema na kuli ziemskiej kraju, w którymby Niemcy byli rozpoczęli i rozwinęli jakikolwiek system swój własny, cywilizacyjno-kolonizacyjny, tak też niema poza Europą kolonii, założonej przez kogokolwiekbądź, do którejby nie spieszyli wszystkiemi drogami i ze stron najdalszych. Stosuje się to przedewszystkiem do kolonij angielskich, zwłaszcza w południowej Afryce. Wymowną zaś ilustracją niezdolności Niemców do zakładania kolonij własnemi siłami jest ta okoliczność, że, choć w południowej Afryce posiadają dwie olbrzymie krainy (obie razem tak wielkie, jak Francya z Hiszpanią i Portugalią), bez wątpienia obfitujące w złoto i inne kruszce, mające blisko 1.200 mil atlantyckiego wybrzeża — kraje: Namakwa i Damara — to jednak zostawiają te strony lądu na łasce plemion tubylczych i... przedsiębiorczych Anglików i Amerykanów, oddali nawet Anglikom środkową wybrzeża zatokę (Walfisch Bay), a sami cisną się tłumnie pod flagę brytańską, dobijają się angielskiego indygenatu, zalewają Przylądek i republikańskie kraje Boerów.

Anglia, zmuszona, jak Rosya, do szukania nowych krajów — zmuszona jest nieco odmiennemi względami, bo małością swego terytorium macierzystego, nadmiarem swojej ludności, brakiem rolnictwa — więc potrzebą własnych obszarów w krajach, gdzie korzystniejsze są warunki życiowe. Nadto, rasa anglo-saska została niewątpliwie powołaną do karczowania najdalszych i najdzikszych uroczysk pod cywili-

zacyjną siebie, kiedy ona jedynie zdaje się posiadać najwłaściwsze ku tej pracy uzdolnienie i pracuje skutecznie i pomyślnie. Z biegiem czasu, z rozwojem pierwszych i następnych kolonij, wszakże samo tychże położenie i konieczność zapewnienia im dróg komunikacyjnych, potrzeba zabezpieczenia inwestowanych w nich interesów, zmuszały do szukania dalszych nabytków. Nie twierdzi się oczywiście, że poza normalnem parciem przyczyn powyższych, były, są i będą parcia innych pobudek. Lecz naród brytański, jako ciało polityczne, nie nakłada żadnego, z góry przygotowanego systemu administracyjnego na ludy i narody, zagarnięte siecią kolonizacyjną. Z góry — rząd angielski nie przyjmuje odpowiedzialności za obroty i zakusy swoich poddanych w krajach, leżących poza jurysdykcyą mocarstw dyplomatyczną i handlową. Wychodźca angielski jest awanturnikiem, w najlepszym rozumieniu tego wyrazu; jeżeli mu okoliczności sprzyjają i przyszłość się uśmiecha, przystępuje do organizowania... nie ludzi i warunków miejscowych, lecz sił i warunków swoich własnych. Dlatego nie narusza, nie gwałci swobody tubylców, nie narzuca im praw swoich, ani obyczajów, ani wyobrażeń; zostawia ich, jak ich zastał, z jednym tylko wyjątkiem: nie dopuszcza, by w jego obecności spełniały się rzeczy, na jakie nie pozwalają mu patrzeć względy obyczajności i ludzkości. Więc w Indjach położył przemocą koniec okrutnym praktykom sufistów (sektę Islamu), paleniu wdów i samowolnemu kaleczeniu się derwiszów — a w Afryce południowej dał Boerom alternatywę: albo wyniesienia się poza granice kolonii, albo zaniechania handlu niewolnikami i wrócenia tubylcom najpierwszego prawa ludzkości — wolnej woli i zupełnej swobody osobistej. Anglik-eksplorator przestaje być awanturnikiem, skoro tylko nabrał przekonania, że w danym kącie świata praca jego i współziomków może być pożyteczną i korzystną. A wtedy... zakłada kompanię. Tak było w Indjach, tak jest w Afryce południowej i środkowej i wschodniej. Kompania, jako ciało administracyjne, jest od swego rządu absolutnie niezawisłą w granicach wyznaczonego sobie przez swój rząd terytorjum; poza niem jest zależną od rozporządzeń rządu. Kompania utrzymuje własną armię, marynarkę, policję i służbę administracyjną, używa protekcyi dyplomatycznej swego rządu. Kiedy ona, kompania, skończy swe zadanie: gdy więc ustali granice swej sfery administracyjnej, zdobędzie rękojmnie bezpieczeństwa na zewnątrz i wewnętrznego porządku, wtedy ta sfera jej przechodzi pod wyłączną, pośrednią lub bezpośrednią jurysdykcyę rządu i parlamentu W. Brytanii. Przykład jurysdykcyi bezpośredniej widzimy w Indjach i w niektórych posiadłościach Anglii w Ameryce południowej, na pe-

wnych wyspach europejskich (Cypr, Malta), oraz na wszystkich wyspach oceanów. Pośrednią jurysdykcję zachowuje sobie korona brytyńska w Kanadzie, Australii, Nowej Zelandyi i na Przylądku Dobrej Nadziei.

Raczy mi czytelnik wybaczyć przydłuższe odejście od głównego przedmiotu; łatwiej nam teraz będzie przebiec 80-letnie dzieje południowej Afryki po r. 1814-ym.

II.

Boerowie, nie chcąc przyjąć ustaw znoszących stan niewolniczy i handel tutejszemi, a widząc, że opór byłby daremny, rozpoczęli tłumną wędrówkę na północ i półn.-wschód. Jakaś ich liczba pogodziła się z położeniem, wzięła od rządu angielskiego z górą milion funt. szterl. indemnizacyi i pozostała na Przylądku — potomkowie jej są w chwili obecnej lojalnymi obywatelami angielskimi; w parlamencie Kapu, złożonym z członków 76-ciu, zasiada Boerów 30-tu. Pierwsza wędrówka holenderskich kolonistów zaszła w latach 1818—1822. Boerowie, nie dopuszczeni przez walecznych Zulusów do krajów położonych wzdłuż wschodniego wybrzeża, zmuszeni byli osiedlić się na przestrzeni ogromnego terytorium, leżącego na północy od źródeł rz. Orańskiej, graniczącego na zachodzie z krajami Beczuanów, na wschodzie z wojowniczymi ludami Natalu i Basutu, opierającego się na północy o rzekę Vaal. Ukonstytuowali się tu w rodzaj patryarchalnej republiki pasterskiej, którą nazwali Wolnem Państwem Orańskim (Orange Free State) i założyli stolicę w Bloemfontein. Pozbawieni robotnika — bo zapewne drobną tylko liczbę Hottentotów zdołali uprowadzić z Przylądka — zaczęli rychło zwracać oczy na „wiecznie zatracone dusze“, a raczej na silne ciała okolicznych Murzynów, urządzać zbrojne wycieczki i oblawy. Lecz większe stąd przyszły na nich klęski: Zulusowie zdołali odeprzeć najazdy, poczem, nie rozróżniając między „białymi“, zapuścili łupieskie i mordercze zagony w głąb kolonij, zarówno boerskich i angielskich — a gdy spostrzegli większe zasoby w tych ostatnich, stali się postrachem osad i miast Przylądkowych. Rząd Kapu nie widział innego środka obrony prócz jednego — i tego się chwycił: wydał proklamacyę, mocą której całe terytorium Orańskie przeszło pod administracyę kolonii Przylądkowej; wkrótce potem nastąpiła formalna Oranii aneksya (1848) i kraje korony brytyjskiej posunęły swe granice od 31-go do 27-go stopnia szerokości południowej.

Ponownie wtedy większa część Boerów wyemigrowała dalej na północ: przeszła rzekę Vaal i między 27-mym i 22-gim stop. szer.

połud. założyła swoją siedzibę. Kraj ten otrzymał geograficzną nazwę Transvaalu, a polityczną Republiki Południowo-Afrykańskiej. Pierwszym teŝe prezydentem był Pretorius Wessels, stolicą kraju jest Pretoria. Angielski rząd kolonialny rzekł się niebawem dzierżycielstwa Oranii, niezmiernie utrudnionego bezustannemi wojnami przeciw Zulusom — i Wolne Państwo Oranii odzyskało byt swój polityczny. Jednakŝe rozdzieleni rzeką Vaal Boerowie zjednoczyć się nie chcieli pod żadną wspólną formą rządu; dlatego to istnieją w chwili obecnej dwie obok siebie republiki. Obiedwie są krajami południowej Afryki wewnętrznemi, bez innej komunikacyi z morzem prócz kolei ŝelaznej, zbudowanej przez Anglików, łączącej transwaalskie miasto Komati (przy spławnej rzece tego nazwiska) z wybrzeŝem i zatoką Delagoa — w posiadłości portugalskiej. Aŝeby zaś odebrać Boerom wszelką nadzieję dotarcia do brzegu morza, zawarła Anglia traktat z Portugalią (1881), dający gabinetowi londyńskiemu prawo pierwszeństwa do nabycia Delagoy, gdyby ją rząd lizboński zamierzał kiedykolwiek sprzedać¹.

Łatwo pojąć, jak niezmiernie trudnemi musiały być warunki bytu Boerów, zwłaszcza transwaalskich. Orańscy, granicząc na południu z kolonią Przylądkową, mieli otwarte do niej drogi handlowe, mieli jej pomoc przeciwko wschodnim plemionom; transwaalscy o handlu pozakresowym marzyć nie mogli, nie mają go do dziś dnia, a nadto będąc otoczeni z trzech stron przez narody murżyńskie, wystawieni byli na bezustanne boje zaŝarte... Czy Anglicy podŝegali Zulusów przeciw Boerom, czy to czynili Hottentoci z mściwą pamięcią lat dawnych, czy wreszcie wojny te były normalnem następstwem kolonizacyi Transvaalu, roztrząsać tu nie będziemy. Stwierdzamy fakt, ŝe nazbyt częste klęski Boerów rozzuchwalały plemiona murżyńskie i... upozorowały potrzebę Anglików ustalenia bezpiecznego spokoju na południowym lądzie Afryki. W r. 1879 więc nastąpiła aneksya Transvaalu przez komisarza angielskiego, Shepstone'a, któremu towarzyszył z siłą zbrojną generał sir Bartle Frère, najsmutniejszej pamięci. Sir Bartle był typem moskiewskiego raczej, wcale nie angielskiego oficera: bezwzględny, okrutny, wyzywający, dumnym absolutyzmem swoim onieśmiał Boerów, ówczesnie między sobą powaŝnionych i finansowo zupełnie upadłych. Tymczasem,

¹ Jest dziś (18-go stycznia) mowa o toczących się między Londynem i Lizboną układach: Anglia gotowa jest wypłacić Portugalii 300 milionów franków za prawa własności do zatoki i wybrzeŝa Delagoa. Ulegając atoli naciskowi z Berlina, rząd portugalski nie decyduje się.

prędzej niż się spodziewać mogli, odzyskali Boerowie niepodległość; Frère, marząc o podboju Zulusów, zażądał od nich zaprowadzenia w ich własnym kraju pewnych zmian, mianowicie zniesienia celibatu wojskowego i wojskowych osad wzdłuż granic Transvaalu i Natalu. Zulusowie odpowiedzieli generałowi angielskiemu na polu bitwy (Isanduala), pamiętnej walecznością szczupłej garstki wojska kolonialnego, wyciętej w pień przez 16-cie razy liczniejszych Murzynów¹. Niezaradność rządu londyńskiego wsparła wtedy najskuteczniej sprawę Boerów. Na pierwszą bowiem wiadomość o klęsce pod Isandualą, gabinet p. Gladstone'a zdecydował się wysłać do Afryki generała Roberts'a z armią 12-tysięczną, lecz, ulegając tej frakcyi swego stronnictwa w Izbie niższej, którą zwano „partyą pokoju za jakąniebądź cenę“, rząd odstąpił od zamiaru. Ośmieleni w ten sposób Boerowie chwycili za strzelby, i po kilkunastu mniejszych utarczkach odnieśli nad wojskami kolonialnemi dwa decydujące zwycięstwa — najprzód pod Laings-Neck, a zaraz potem przy pagórku Madżuba. Należy nie tracić z uwagi tej okoliczności doniosłej, że obie wojny — z Zulusami w r. 1879, i z Boerami w r. 1880/81 — prowadził rząd kolonialny Przylądka prawie bez pomocy londyńskiego ministerstwa wojny: armia posiłkowa sir Bartle Frère'a liczyła zaledwie półtora tysiąca ludzi, a pod Madżubą poległy tam pułkownik Colley opierał się na czele tylko 648-miu oficerów i żołnierzy (z tych około 400 kolonialnych) sile 3.000 wyborowych strzelców boerskich. Okoliczności te ocenił należycie nowy rząd transwaalski w Pretoryi — dlatego zawierając z Anglią konwencyę pokojową we wrześniu 1881, nie stawiał żądań wygórowanych. Boerowie Transvaalu i W. P. Orańskiego odzyskali na mocy tej konwencyi niezależność polityczną i administracyjną w granicach swoich krajów, lecz uznali nad sobą protektorat W. Brytanii.

Uwzględnić teraz musimy skromność postulatów boerskich, mającą swe źródło albo w obawie wywołania zbrojnego zatargu z całą potęgą W. Brytanii, lub w nieudolności dyplomatów Pretoryi. Konwencya bowiem z r. 1881 przywracała w Transvaalu *status quo ante* 1845, tj. zwracała Boerom niezależność, lecz narzuciła im równocześnie protektorat, nie dający żadnych gwarancyj, iż Anglia zechce bronić orężnie granic Transvaalu przed rozbójniczymi najazdami plemion, zwłaszcza północnych. Konwencya nie rozwiązała palącej kwestyi: skąd Boerowie mieli ściągnąć robotnika, bez którego ich ziemia leżeć musiała odłogiem? Spodziewano się w Pretoryi, iż Anglia udzieli pożyczki na budowę

¹ Zginął tam, jak wiadomo, książę Ludwik Napoleon.

kolei żelaznej z Transvaalu do Delagoa i że nie sprzeciwi się zaludnieniu kraju tym samym żywiołem roboczym (Murzynów sudańskich i środkowo-afrykańskich), którego używali Portugalczycy w sąsiednim Mozambiku. Tymczasem budowę kolei podjęła i przeprowadziła prywatna kompania angielska, przez rząd swój specjalnie uprzywilejowana, a o robotniku sudańskim w Londynie słyszeć nie chciano. Gdy więc znów zaszyły zatargi z północnymi plemionami (Beczuanów, Maszonów i Matabelów) i Boerowie ponieśli klęski; gdy i kraj cały podupadał spieszenie, dla braku funduszy i rąk do pracy rolnej — prezydent Krüger wyjechał do Londynu, by tu wyjednać i zmiany pewne w ostatniej konwencji i jakies ustępstwa. Rezultatem jego nad Tamizą pobytu była owa konwencja z r. 1884, która stanowi dziś istotne jądło problemu południowo-afrykańskiego, a zarazem... wielkiego problemu anglo-niemieckiego.

Wszystko, co Krüger uzyskał, redukuje się do dwóch punktów:

- 1) Ażeby dać Boerom obronę przeciw plemionom, zezwoliła Anglia na wysunięcie granic Transvaalu północnych o paręset mil ang. dalej w głąb bezludnych krajów, aż do rzeki Limpopo, a równocześnie... zajęła wszystkie kraje na starem i nowem pograniczu zachodniem Transvaalu, tj. prawie całą Beczuanie¹. W ten sposób Boerowie zyskali dodatkowe obszary ziemi, której nie było komu uprawiać — lecz w miejsce bezpośredniego sąsiedztwa plemion, otrzymali sąsiedztwo... kolonialnej sfery brytańskiej.
- 2) Gabinet londyński zmodyfikował treść konwencji poprzedniej w ten sposób, że nie wspominając w artykułach nowej konwencji ani jednym wyrazem o „protektoracie“, ani o politycznem nad Transvaalem „zwierzchnictwie“ W. Brytanii, orzekł, iż Republika Południowo-Afrykańska (Transvaal) jest politycznie i administracyjnie najzupełniej wolną i niezależną, że atoli obowiązuje się nie wchodzić w żadne układy, ani nie zawierać „porozumień, ani politycznych traktatów żadnych“ z mocarstwami obcemi bez sankcyi W. Brytanii, „mającej być jedyną pośredniczką dyplomatyczną i oficjalną między Republiką i mocarstwami“².

Podpisawszy tę konwencję, Krüger udał się do Hagi, gdzie znalazł oficjalne przyjęcie dość chłodne, lecz zdołał namówić Holendrów do osiedlania się w Transvaalu; z Hagi zaś pospieszył do Berlina... O pobycie „wujaszka Pawła“ nad Spreą to się wie jedynie, że ks.

¹ Z wyjątkiem kraju króla Khama, blisko granic kolonij niemieckich. Khama, przyjąwszy chrześcijaństwo, został przyjacielem Anglii.

² Art. II—V.

Bismarck nazwał go „najwytrawniejszym dyplomata, zdolniejszym od europejskich“, i że zaproszony do stołu cesarskiego milczeć musiał przez cały czas obiadu, innego nie znając języka, prócz swego narzecza boerskiego; ale cesarz Wilhelm I. wniósł zdrowie prezydenta Republiki południowo-afrykańskiej i, ściskając w milczeniu dłoń Krügera, długo ją zatrzymał w swej dłoni¹. Cichuteńka ta demonstracya nie gwałciła może świeżo podpisanej konwencyi.

III.

Dziesięciolecie następne (1884—1894) uważa się za pierwszą epokę spokojnego—lub przynajmniej względnie spokojnego—a szybkiego rozwoju ekonomicznych zasobów południowej Afryki i jej całokształtu politycznego. Do krajów, o których cuda głoszone, które otoczyła ze-wsząd opiekuńcza i obronna „sfera interesów brytańskich“, spieszyć zaczęły tłumy wychodźców z krajów europejskich, zwłaszcza z Anglii i Szkocyi, z Belgii i Holandyi i z północnych Niemiec. Charakter wychodźstwa ogólny da się najtrafniej zarysować w świetle tego rozkładu narodowości, jaki dziś widzimy między 1 i 35 stop. szerokości południowej. Żywiół brytański wzmógł się, jak to było do przewidzenia, najpotężniej i dla materyalnych widoków południowej Afryki, najkorzystniej. Przybyszów z W. Brytanii podzielić wypada na dwie główne kategorie: ludzi pracy i ludzi szukających przygód myśliwskich. W pierwszej kategorii wielu jest rolników, lecz więcej fachowców przemysłowych; w drugiej są młodzi synowie rodów magnackich i obywatelskich, oficerowie pułków najmniej czynnych, gwardyi królewskiej i ochotniczej milicyi. I ta otóż kategoria stanowi w Afryce żywiół najlepszy, najwięcej przedsiębiorczy—pod każdym względem żywiół dodatni. Składa się nań przecież młodzież brytańska, wysoko wykształcona, wytwornie wychowana, najwybitniej *juventus virilis*, zahartowana od lat chłopięcych do najwięcej męczących ćwiczeń fizycznych, roznamiętniona do sportu każdego, w którym odznaczenie się wymaga odwagi, szalonej może śmiałości i... zarazem przytomności umysłu nie zawodzącej, nerwów stalowych. Jest to młodzież—młodzież angielska, od lat 16-tu do 45-ciu, która tak jest świadoma swej męskiej jędrności i umysłowej, chłodnej przewagi w świecie, że na cudzoziemców pogląda z politowaniem, jeśli nie ze wzgardą nawet... Nie jest to twierdzenie

¹ *Westminster Gazette* z 6-go stycznia t. r. umieściła tę wiadomość, jako pochodzącą od kogoś obecnego na owym obiedzie.

przesadne — jak sam fakt nie jest, niestety, bezpodstawny. Z grona takiej młodzieży wyszedł Cecil Rhodes, istotny twórca angielskiej potęgi na całym lądzie Afryki, od granic Egiptu do Kapu — wyszedł młody dr. Jameson, którego świeżą awanturę potępia świat i potępić musiał rząd angielski, lecz którego śmiałość, waleczność i poświęcenie się, Sienkiewiczowskich przypominające bohaterów, świat cały uznał jednomyślnie. Takich Jamesonów ma Anglia wielu — w Afryce, w Australii, na kresach indyjskich i egipskich. Oni to, silnie zestosunkowani w kraju macierzystym, wsparci przez ogólnopaiństwową rację stanu, kierowani przez genialnych sterników brytańskiej polityki kolonialnej — oni to stanowią czoło wychodźstwa angielskiego, są jego dumą i chwałą, oddziałują nań dodatnio zdrowym przykładem, utrzymują w niem i rozogniają przywiązanie do ojczystego kraju i do wszech rzeczy kraj ten przypominających i przedstawiających w stronach najdalszych.

Przybysze z Holandyi łączą się najchętniej z tymi w Afryce Boerami, którzy nie byli przeszli do Transvaalu, lecz pozostali na Przyładku i zakolonizowali Natal i Wolne Państwo Orańskie. Holendrzy ci, nie wdromieni do życia rolniczo-myśliwskiego, prowadzą handel w miastach nadmorskich i... przyjmują poddaństwo angielskie. Belgowie, również garnący się pod flagę brytańską, pracują w kopalniach węgla (w południowej Beczuanii), dostarczają Anglikom i Boerom zdolnych inżynierów, lecz oczy mają zwrócone na Kongo, gdzie ich własny rząd obiecuje im znaczne koncesye, na warunkach nietrudnych. Charakter wychodźstwa z północnych Niemiec naszkicowałem już, tu więc tylko chcę położyć nacisk szczególny na tę okoliczność, że poza *junkrami* pruskimi i poza agentami wielkich domów handlowych Hamburga, Bremy i Lubeki — wreszcie poza różnorodną armią niemieckich „Armerrajzenderów“ — przybywa coraz tłumniej do kolonij afrykańskich niemieckie żydowstwo. Zwłaszcza w latach ostatnich, po odkryciu złota w Transvaalu i Matabelii, po olbrzymiem rozwinieciu kopalni dyamentów pod Kimberley, Żydzi niemieccy zdają się przywozić ciężeniu wszystkich swych europejskich współplemieńców ku tym krajom, bezsprzecznie najbogatszym pod słońcem. Dłużej się nie mogę zatrzymać nad zaznaczeniem niektórych rysów tego objawu i jego wpływu w Afryce¹, dość powiedzieć, że w Natalu cały handel hurtowny jest już w żydowskich rękach, że prawie połowa dyrektorów kopalń złota pod Johannesburgem

¹ Więcej szczegółów znajdzie czytelnik w mojej „Kronice londyńskiej“, w *Bibliotece Warszawskiej* z ostatniego grudnia.

giem (w Transvaalu) składa się z Żydów, że dyamenty kimberlejskie stają się monopolem Żydów i że... Żyd każdy w Afryce jest lub chce zostać czem prędzej poddanym angielskim.

Jeżeli teraz przypatrzmy się mapie całego ładu Afryki, to śledząc postępek Anglii od Kapu, widzimy: 1) kolonię Przylądkową, oblaną morzem z trzech stron, sięgającą na północy wielkiej pustyni Kalahara; miasto Mafeking w południowej Beczuanii stanowi kończynę (na 26 stop. szerokości połud. i na 26-ym długości) północnej granicy Kaplandu — i przestrzeń ta z Mafekingu do Kapu, mierzy z górą tysiąc mil ang. 2) Wyżej 26-go stop. szerok. połud. zaczyna się Rodezya (tak nazwana, bo zajęta i zakolonizowana przez Cecila Rhodesa), sięgająca między Mozambikiem i Damarą, aż do północnych kończyn jeziora Tanganika, czyli aż do 4-go stop. szer. południowej. 3) Stamtąd i do samego Równika, nie posiadając własnego terytorium, przebijają się pionierzy angielscy poprzez sferę niemieckiej kolonii wschodnio-afrykańskiej do swojej Ugandy, tuż nad Równikiem (30-ty stop. długości) i są znów u siebie między Kongiem, południowym Sudanem i Abisynią. aż poza 10-ty stop. szer. północnej. 4) Nakoniec, ponieważ rzeka Bafra-el-Azrek i dalsze jeszcze miasto Berber leżą na południowym pasie sfery interesów Anglii... w Egipcie, więc drogą tą przedostaje się Anglik nad morze Czerwone, do Suakinu i do Egiptu. Posiadając wyłącznie najbogatszą i najlepiej dla handlu międzyświatowego położoną kończynę południową ładu, usiłuje Anglia utworzyć od granic Rodezyi do ujść Nilu federację swoich własnych, lub przez się protegowanych kolonij. Ten plan kolosalny wyszedł z inicjatywy „niekoronowanego monarchy Afryki“, Cecila Rhodesa, który był do niedawna (i znów będzie) pierwszym ministrem Kaplandu. On to rozpuścił był po krajach, zaludnionych przez plemiona Maszonów i Matabelów, najodważniejsze bandy angielskich awanturników, a gdy dojrzało prawdopodobieństwo wojny z plemionami... założył „Brytańską kompanię południowo-afrykańską“², otrzymał dla niej wyjątkowe przywileje i prawa administracyjno-polityczne, stał się jej najczynniejszym członkiem i dyrektorem. Wojska tej kompanii prowadziły długą, lecz ostatecznie zwycięską kampanię przeciw Matabelom, ostatnim niepodległym wojownikom wielkiego szczepu Bantów — króla ich, Lobengulę, zmusiły do ucieczki w głąb Mozambiku i posunęły obronne stanowiska angielskie aż do Tanganiki. Po tej wojnie, skończonej w pa-

¹ Zatwierdzona patentem królewskim (*Chartered*) 18-go paźdź. 1889. Między dyrektorami jest zięć księcia Walii, ks. Fife.

żdzierniku 1894, zaczęły się wewnętrzne niesnaski i rozruchy w boerskim Transvaalu.

W odległości mil ang. 80 na południe od Pretoryi był, lat temu ośm, głuchy i pusty step, ciągnący się wzdłuż podnóża pagórków, które łańcuchem swym przecinają całą szerokość kraju. Step zwany był Witwasrand. Garstka inżynierów i przybyszów angielskich odkryła na nim ślady złota, otrzymała od prezydenta Krügera prawa do poszukiwania cennego kruszcu na warunkach łatwych i rozłożyła się na stepie obozem. W dwa lata później obóz ten liczył z górą 10.000 ludności górniczej. Jeszcze dwa lata później górnicy założyli poza obozem miasto, Johannesburg, mające dziś przeszło 100 000 mieszkańców: 72.000 poddanych brytańskich, 14.000 Niemców, Belgów, Holenderczyków europejskich i Amerykanów, a Boerów transwaalskich i orańskich zaledwie 15.000. Witwasrand, zwany krótko Randem, odsłonił tak olbrzymią obfitość złota, że produkcją zeszłoroczna przewyższała o $\frac{3}{4}$ produkcję wszystkich istniejących na świecie kopalń, razem wziętych. Lord Dunmore¹ przytacza sporo cyfr, wykazujących bajeczny prawie rozwój Randu; wystarczy nam wiedzieć, że kopalnie tamtejsze dają przeciętnie każdego miesiąca 60.000 łutów złota, wartości około 4,000.000 złr. w. a., i że kompanie, eksploatujące 52 kopalnie Randu, mają na giełdzie londyńskiej akcye, których wartość ogólna wynosiła na początku r. 1893-go funtów szt. 13,557.044, a w rok później 31,782.613 f. szt., czyli 134% wtęcej! Dochód roczny samych tylko kompanij akcyjnych, potworzonych w Londynie dla rozwinięcia kopalni Randu, podskoczył z 84,414.000 f. szt. za r. 1894, do blisko 200,000.000 f. szt. za rok ubiegły, 1895.

Wyobraźni czytelnika pozostawiam potęgę siły magnetycznej tego nowego Eldorado! Dyamenty w Kimberley (na granicy Kaplandu i W. P. Orańskiego) i złoto pod Johannesburgiem zaludniają Afrykę z szybkością tak wielką, że jaki taki, choćby w przybliżeniu, spis mieszkańców stał się zupełnie niemożliwym². A zawsze przypominam, że na setkę przybyszów z Europy przypada Anglików i Szkotów (Irlandczycy kolonizują Australię) najmniej 85, zaś z pozostającej reszty, $\frac{3}{4}$ kolonistów i górników, lub spekulantów, stara się czem prędzej o otrzymanie poddaństwa brytańskiego. W całym Transvaalu i W. P. Orańskim na $3\frac{1}{2}$ miliona Boerów jest brytańskich poddanych przeszło $2\frac{1}{2}$ miliona. Rząd

¹ *Pall Mall Magazine*, styczeń, 1896.

² *Whitaker's Almanack*. 1896.

transvaalski, który był do niedawna bez finansów i bez kredytu, rozporządza dziś wcale okazałym budżetem.

Cóż wszczęło niesnaski i rozruchy w Transvaalu? Chcę odpowiedzieć jak najzwięźlej, dlatego wyliczę skargi tych, których Boerowie zowią ze słusznym naciskiem „cudzoziemcami“ — *Uitlanders*. Przede wszystkim skarżą się, że, choć rząd ściąga z nich nadmierne podatki i wygórowane regalia, to jednak pozbawia ich obywatelskiego równouprawnienia z Boerami, nie pozwala im zakładać szkół własnych, nie dopuszcza języka angielskiego do sądów i urzędów. Dalej utyskują na wzrastającą chciwość rządu Pretoryi, nakładającego na cudzoziemców coraz wyższe ciężary podatkowe, żądającego opłat przesadnych za każdą koncesyę, nie tylko górniczą, lecz i rolniczą i budowlaną po miastach. Nakoniec oburzają się na niesprawiedliwość i ciemństwo w samym Johannesburgu i na całym Randzie, gdzie Boerowie, stanowiący zaledwie 15% całej ludności, rządzą samowolnie. Wszystkie przeto skargi streszczają się jednym zdaniem: są podatki, niema równouprawnienia! Wiadomo zaś, że Anglicy głoszą od wieków zasadę: *No taxation without representation!* rząd nie może ściągać podatków od mieszkańców, pozbawionych reprezentacyjnego głosu w szafowaniu publicznym groszem.

Na te skargi odpowiedź Boerów jest kategoryczna: Jeżeli *Uitlanderzy* pragną równouprawnienia, to niech przestaną być cudzoziemcami, niechaj przyjmą obywatelstwo kraju, w którym się bogacą. Dopóki atoli cudzoziemcy osłaniają się flagą brytańską i dopóki rząd kolonialny Przyłodka wspólnie z brytańską kompanią południowo-afrykańską ściska pierścieniem potęgi angielskiej oba kraje boerskie; dopóki, wewnątrz obu tych krajów, utrzymuje swoich kolonialnych i koronnych W. Brytanii rezydentów (w Pretoryi i w Bloemfontein), a nadto Anglia chce sobie zachować władzę i prerogatywy państwa zwierzchnego (*Suzerain Power*) nad obu republikami; dopóki nakoniec kompania angielska nie przestaje koncentrować wojskowych sił swoich wzdłuż wschodnich granic Transvaalu — dopóty też nie dopuszczają Boerowie cudzoziemców do równych z własnymi praw reprezentacyjnych, bo... gdyby dopuścili, to za rok najdalej ludność brytańska w Transvaalu przewyższyłaby liczebnie Boerów, przegłosowałaby ich w parlamencie (*Volksraad*) Pretoryi, wyrugowałaby ich z kraju i zmusiła do nowej wędrówki, a wędrować niema już gdzie.

Jeżeli słusznie są uzasadnione skargi *Uitlanderów*, niemniej słuszna jest odpowiedź Boerów. Ale na Randzie i w Johannesburgu postanowiono rozciąć trudny węzeł otwartym rokoszem. Że zamiar miał, jeśli nie inicjatorów, to gorących popleczników w Kapie i na stano-

wiskach wojskowych i administracyjnych kompanii uprzywilejowanej wzdłuż granic Transvaalu, wątpić niepodobna po wypadkach najświeższych. W Johannesburgu nagromadzono broni palnej sztuk 26.000, sformowano komitety -- a w Mafekingu stanął dr. Jameson, energiczny administrator kompanii w Beczuani. Rząd Pretoryi śledził te ruchy, był przygotowanym na wybuch rewolucyjny, ale „zbójeckiej wyprawy“ (jak ją pierwszy nazwał cesarz niemiecki) podobno nie przewidywał. Wojska boerskie zbliżyły się do Johannesburga. W mieście i na Randzie powstała panika, zamknięto kopalnie, wyprawiono do Oranii i Natalu kobiety i dzieci, komitety rewolucyjne spieszyły z organizacją siły zbrojnej, zawiadomiły o tem Jamesona, wreszcie... na widok forpocztów boerskich, wysłały do Mafekingu gońców. I cóż wynikło? Oto kronika wypadków:

Grudzień 28-my: Uitlanderzy błagają Jamesona o pomoc.

Grudzień 29-ty: Jameson na czele 650 wojska kompanii pędzi bez prowiantów co konie wyskoczyć mogą.

Grudzień 30-ty: Już w granicach Transvaalu najeżdżają go gońcy z Johannesburga, nagłąc do pośpiechu, zapewniając, że komitety wyprawiają silny oddział, mający go spotkać pod Krügersdorpem.

Grudzień 31-szy: Komitety w Johannesburgu wysyłają delegatów do Pretoryi, mających przedstawić Krügerowi groźne położenie i otrzymać ustępstwa. Krüger obiecuje ustępstwa, jeżeli cudzoziemcy zachowają się spokojnie. Cudzoziemcy zachowują się spokojnie. Krüger wysyła 2500 wyborowych strzelców przeciw Jamesonowi.

Styczeń 1-szy i 2-gi: Jameson, dopadłszy do Krügersdorpu (15 mil ang. od Johannesburga), nie znajduje oddziału posiłkowego, znajduje natomiast Boerów w doskonałej pozycji. Oddział Jamesona, głodny od trzech dni, walczy godzin 11-cie. Wystrzeliwszy ostatnie naboje, składa broń. Poległo 130 Anglików, 15 Boerów.

Z osłupieniem pytano się i pyta się jeszcze każdy: Co myśleć o komitetach johannesburskich i jakie powody kazały im opuścić Jamesona? Korespondenci z Kapu i Natalu telegrafowali do Londynu, że w spieszenie zorganizowanych oddziałach powstał bunt Niemców i Żydów, „nie mających odwagi jednej w..y“¹, i że oni to potrafili zdemoralizować usposobienie mieszkańców. Czy tak było, czy inaczej, dowiemy się, gdy Jameson stanie przed trybunałem swoich ziomków

¹ Depesza z Kapu do *Westminster Gazette*. 3-go stycznia: „—they have not the courage of a louse“.

w Anglii. Zapiszemy tylko, że na wiadomość o porażce sił kompanii, Cecil Rhodes złożył tekę pierwszego ministra Kaplandu i spieszy w tej chwili do Londynu. Wiadomo zaś, iż rząd londyński, uprzedzony o oczekiwanej w Johannesburgu pomocy Jamesona, zabronił temuż telegraficznie opuszczać Mafeking, lecz administrator kompanii przeciał druty za sobą rozmyślnie, by go żadne nie mogły dojść rozkazy.

IV.

Cały ten epizod nadobfituje w okoliczności i wypadki tajemnicze. Jedyne rozwiązanie zagadki nasuwa nam Cecil Rhodes: Wsiadając na okręt, wiozący go w tej chwili do Anglii, powiedział te słowa: „Nie zrzekam się odpowiedzialności za nic, jadę — *to face the music*, czyli po polsku: wypić piwo, któremu nawarzył“.

Opuśćmy daleki Transvaal, zostawmy kwestyę południowo-afrykańską decyzji tamtejszych i londyńskich mężów stanu — rzućmy oko na następstwa opowiedzianych wypadków i możliwe ich następstwa w Europie. Że owe wypadki zmieniły już ogromnie dużo rzeczy w Europie, że wstrząsły potężnie jej kalejdoskopem dyplomatycznym — to się przypisuje bezpośrednio treści telegramu cesarza Wilhelma do prezydenta Krügera (3 stycznia). Wysłanie telegramu samo przez się było aktem obrażającym majestat korony brytyjskiej, jako zwierzchniej władzy dyplomatycznej w Transvaalu. Treść telegramu, dająca Boerom zapewnienie sympatyj cesarza w szczególności, a „mocarstw przyjaznych“ wogóle, wywołała w całej Anglii oburzenie tak głębokie i namiętne, że daremnie-bym usiłował je opisać. Juryści dowiedli w dziennikach, że telegram był złęptaniem praw międzynarodowych; politycy rozpisali się szeroko o nad wyraz śmiałym spoliczkowaniu Anglii, widocznie uważanej za tak bezsilną w swem politycznem osamotnieniu, iż można jej bezkarnie uragać i naśmiewać się z jej rzekomej potęgi. Poeta-laureat (Alfred Austen) napisał balladę, deklamowaną co wieczora w teatrach, naszpikowaną aluzjami, które wywołują najwyższy entuzjazm publiczności. W ciągu długich lat mojego życia tutaj, nigdy nie byłem świadkiem demonstracyj anty-niemieckich tak gwałtownych, a choć wiedziałem, że poza sferami dworskimi niema w Anglii ani odrobiny sympatyj do niemiecko-pruskiego kuzynostwa, to jednak wyznać muszę, że nie domyślałem się nigdy... jak głęboka jest antypatya!

Lecz poza objawami usposobienia narodowego, jakże potężną okazała się ta Anglia „zupełnie osamotniona!“ Dowiodła, iż właśnie to osamotnienie jest najpierwszym warunkiem i czynnikiem jej potęgi.

Pomijając, że naród geograficznie odcięty od innych narodów może nie potrzebować ścisłych sojuszków, że potrzebować ich nie chce, patrząc na nieuniknione konsekwencje sojuszków i aliansów — na wszechwładny militarizm, który rujnuje materialnie $\frac{4}{5}$ ludów europejskich, a moralnie zabija ich młodzież... pomijając to, W. Brytania jest osamotnioną przez ludy i rządy, mniej od niej silne i zasobne, zawiszczone jej — jej wszechświatowego znaczenia. Czyż zresztą jest Anglia osamotnioną tak, jakby sobie życzone? Wszakże telegram cesarza Wilhelma wywołał natychmiast deklarację parlamentu Kanady, oznajmiającego Anglii i światu, że „matka-ojczyzna może każdej chwili liczyć na zbrojną pomoc obywateli prowincji kanadyjskich“ — a równocześnie nadszedł do Londynu zbiorowy telegram od wszystkich pierwszych ministrów w Australii i Nowej Zelandyi, zapewniających rządowi imperyalnemu „natychmiastową gotowość sił kolonialnych“.

Jeżeli w Berlinie liczono na to osamotnienie, na choćby takie poparcie Francji, jakiego doznano w sprawie Kongo, na jakąś gotowość Rosji do skorzystania ze sposobności w Azji środkowej; jeżeli budowano nadzieje na istotnie silnem nieporozumieniu, wynikiem między Anglią i Stanami Zjednoczonymi z kwestyi wenezuelskiej i z orędzia prezydenta Clevelanda; jeżeli osądzono chwilę za najstosowniejszą do poniżenia W. Brytanii, a postawienia się na najwyższym w Europie piedestale — to jakżeż się zawiedziono! Francya, która Anglii kochać nie może, odpowiedziała Berlinowi wskazaniem Alzacyi i Lotaryngii i zapytaniem, czy może treść mowy w rocznicę ćwierćwiekową pogromu francuskiego zapowie zwrot zabranych prowincji? Cóż zaś miano odpowiedzieć w Petersburgu, gdzie się zapałano z zachwytem na dojrzewające owoce dyplomacji hr. Nelidowa... wymagające atoli jeszcze słońca bezczynności angielskiej! Stany Zjednoczone odpowiedziały szczerze i otwarcie: Mamy na pieńku z kuzynem Johnem Bullem, ale nie dopuścimy, by mu zagroziła jakakolwiek inna potęga! Czytaliśmy nawet w prasie paryskiej zdanie, iż Francya, stanowiąc z Anglią istotny i najpotężniejszy rozsadek cywilizacji świata, nie mogłaby żadną miarą pragnąć zagłady, ani nawet upokorzenia „matki parlamentów“. Nakoniec, kiedy w Berlinie nie wierzono w gotowość Anglii do żądania satysfakcyi za telegram i nawoływania *Hamburskich Wiadomości* — minister marynarki wydał rozkaz zmobilizowania drobnej części floty, konsystującej w cieśninie Kaletańskiej... i już trzeciego dnia po wydaniu rozkazu, ku niesłychanemu zdumieniu całego świata, stała uzbrojona i kompletnie gotowa „latająca eskadra“, złożona z wojennych

pancerników, krzyżowników i torpedowców — a liczniejsza i silniejsza od całej floty niemieckiego cesarstwa!

Zwinięto w Berlinie wojenne proporce, przeproszono sędziwą babkę. Ale gabinet angielski, mając powody powątpiewać o szczerości, postanowił przekonać rząd berliński, że istotnie osamotnioną potęgą w świecie mogą każdej chwili być — Niemcy. Tem się tłumaczy cała serya najświeższych kroków dyplomatycznych Anglii: z Francją przyszła do porozumienia w kwestyi granic Syamu; z Waszyngtonem jest w drodze przyjacielskiego załatwienia się; Włochom powinszowała oficjalnie zwycięstwa w Abisynii. Trwałość najlepszych stosunków anglo-austryackich jest doskonale ustalona.

Jakie atoli następstwa sprowadził już, lub lada dzień sprowadzi telegram berliński w stosunkach anglo-rosyjskich — wyobraźnia najchłodniejsza wzdryga się przesądzać. Jest mowa o prawdopodobnem zezwoleniu Anglii na okupację Armenii przez wojska moskiewskie. Jeżeliby wieść miała być prawdziwą, to niewiele czasu upłynie, zanim stanie Europa dzisiejsza na tym progu, poza którym widnieje wielki — Początek Końca.

Edmund S. Naganowski.



Z PAMIĘTNIKÓW JENERAŁA CHŁAPOWSKIEGO.

V. Z kampanii roku 1808 w Hiszpanii.

Stałem w trzy dni w Bajonnie, właśnie kiedy król hiszpański, stary Karol VI. z królową i księciem Pokoju (Godoy) wyjeżdżali do Valencay, gdzie ich cesarz osadzał. Wyjechał był z swego kraju król Karol po rewolucyi w Arankes, która go tronu pozbawiła i koronę na głowę jego syna, Ferdynanda włożyła. Cesarz zaprosił także Ferdynanda do Bajonny, nie uznał go królem i do Valencay również odesłał. Później króla Karola z królową i tytułowaną królową Etruryi usunął stamtąd na mieszkanie do Włoch. W Valencay sam Ferdynand pozostał¹.

Cesarz z cesarzową mieszkali w zamku Marac, o ćwierć mili od miasta na drodze do Pampeluny. Nieduży to był dom. Sala dość obszerna w środku; do której się wprost z dworu, bez sieni i przedpokoju, wchodziło, służyła za salon dla nas służbowych oficerów. Z jednej strony były dwa pokoje, w pierwszym mieszkał cesarz, w drugim jadał z cesarzową, — z drugiej także dwa, przez cesarzową zajmowane. Na górze mieszkaly damy honorowe, *lectrices*, jedna Włoszka, dwie Irlandki, a naprzeciwko nich garderobiane. Marszałek Berthier, szef sztabu całej armii,

¹ Valencay był pałac księcia Talleyranda. Ten skarżył się cesarzowi, że go utrzymanie króla więcej kosztuje, niżeli jemu na to płaca, bo ma liczny dwór z sobą. Gdy cesarz nie bardzo słuchał, rzekł mu Talleyrand: *Mais que dois-je lui dire alors? — Dites lui la messe* — odrzekł cesarz. Wiadomo, że Talleyrand był księdzem.

marszałek Duroc, arcybiskup Halines (Pradt, kapelan cesarski), minister sekretarz stanu, Maret, minister zagranicznych spraw, Champagny, adjutanci-jenerałowie, Mouton Durosnel, później jenerał Bertrand i pan Senfft Pilsac, poseł saski, którego cesarz bardzo lubił, była z nim żona, bardzo miła i rozumna osoba, choć nieco głucha¹, mieszkali w pobliżu po domkach, należących do kupców z Bajonny.

Przed samym zamkiem stał batalion grenadyerów starej gwardyi pod namiotami tak blisko, że tylko powóz mógł przejechać. Tuż obok stało także 200 Basków z gór pirenejskich, którzy byli dla cesarza gwardyę honorową utworzyli. Ubiór ich stanowiły spencerki ponsowe, czarne, krótkie spodnie, białe pończochy i trzewiki, na głowie mała czapeczka wełniana granatowa. Bardzo to piękny, żwawy lud, i podobno doskonali strzelcy. O 500 kroków dalej na pampeluńskiej drodze stał szwadron Chevaulegerów naszych, pod dowództwem kapitana Dziewanowskiego. Ile razy cesarz, czy konno, czy powozem wyjeżdżał, 25-ciu naszych i oficer stanowiło eskortę.

Furier pałacu wyznaczył mi kwaterę u pana Taubin, sta-

¹ *Fragment des mémoires du Comte de Senfft amien ministre de Saxe.*

„L'empereur demeurait au chateau de Masac à un demi quart de lieue de la porte d'Espagne et M. de Champagny occupait une maison voisine. M. de Seufft en avait fait arranger une attenante pour son habitation. Un escadron de la garde polonaise, établie au bivouac dans un bois voisin, faisait le service du palais. — La légion de la Vistule et le beau régiment des lanciers commandé par le colonel Konopka (*sic*) furent les premières troupes qu'on vit passer par l'Espagne, et les lanciers exécuterent, plusieurs fois leur brillantes manoeuvres devant la terrasse de Masac. Dès leur arrivée à Bayonne on avait annoncé à M. et M-me de Seufft les entrées partienlières au palais, ce qui portait l'invitation de passer la soirée chez l'impératrice, où ce réunissaient de neuf heures et demi à minuit les personnes de la cour qui étaient du voyage. C'étaient les dames du palais M-me de Montmorency, et M-me Maset, le belle Madame Garana, lectrice de l'impératrice, le grand maréchal du palais, le général Ordener premier écuyer de l'impératrice, les généraux Bertrand et Lebrun, fils de l'architrésorier, un jeune officier d'ordonance polonais, nommé Chłapowski que l'empereur avait pris en affection et qui jouissait alors à le cour d'une faveur de Chérubin. Les députés Polonais (byli to wojewodowie Potocki Stanisław, Bieleński i Działyński) furent admis au même privilège pendant leur séjour“.

rego kapitana okrętu, bardzo dobrego człowieka, którego dom stał zaraz na początku miasta, przy bramie, zwanej hiszpańską. Miarkując, że z Hiszpanami będziemy mieli do czynienia, wziąłem natychmiast nauczyciela języka hiszpańskiego, który codzień do mnie o 6-tej z rana przychodził, o 8-ej bowiem musiałem już być na służbie. O tej godzinie, równie jak wszyscy oficerowie-adjutanci, wchodziliśmy do pierwszego pokoju cesarza. Dawał wtedy rozkazy na ten dzień, co trwało 5 do 10 minut. Potem siedzieliśmy w salonie i każdy zatrudniał się, jak chciał, wyjąwszy gdy przybył kto obcy i czekał w salonie, póki go cesarz wpuścić do siebie nie każe. Prawie wszyscy czytali lub rozmawiali. Ja grywałem często w szachy z szembelanem Bondy. O 11-ej szliśmy na śniadanie do marszałka Duroc, który stał w domu najbliższym zamku i powracaliśmy zaraz potem do salonu, gdzie wśród dnia przybywało bardzo wiele osób. Ministrowie z ogromnemi tekami, czekali tam, dopóki cesarz jednego po drugim do siebie nie przyzywał. Arcybiskup Pradt część dobrą dnia w salonie przebywał, i zawsze wiele ciekawych anegdot miał do opowiadania. Przybywało także codzień wielu oficerów i kuryerów z rozmaitych stron. Tych cesarzowi meldował jenerał-adjutant, a kiedy tego nie było w salonie, jeden z nas go zastępował.

O 3 lub 4-ej godzinie przed obiadem, który był regularnie o 6-ej, cesarz zwykle wyjeżdżał konno lub powozem z cesarzową, najczęściej nad morze ku Biarrity. Bardzo tam piękne położenie. Jechał wtedy tylko koniuszy przy powozie, a za powozem naszych 25 chevaulegerów z oficerem.

O 6-tej bywał obiad. Cesarz sam z cesarzową jadał, często z niemi księżę Neufelrateln (Berthier). Wieczorem schodzili się wszyscy do salonu cesarzowej. Cesarz w niektóre tylko dnie przychodził. Czasem chodząc rozmawiał, i wtedy prócz dam wszyscy stali. Czasem znów usiadł, wtedy i nam wszystkim się kazał. Jednego dnia wszedł z książeczką w rękę i rzekł: „Bardzo to nudne, nawet pocziwego romansu napisać nie umięją. Nie mam nic do czytania!” i rzucił książkę na krzesło. Dziwnem zdawać się może, że ten człowiek miał czas czytać powieści. Jestto dowód, że maszynę całą doskonale był nakręcił. Na nie-

których wieczorach grano w karty w grę, którą nazywano Krebs. Nikt zwykle nie wygrywał ani przegrywał, chociaż tylko złoto było na stole. Łatwo pojąć że nikt tam nie grał ażeby wygrać, i wszyscy grali z roztargnieniem. Jednego wieczora jednak wygrałem kilkadziesiąt napoleondorów, i prawie nieprzyjemnem mi to było, choć niezawodnie więcej uwagi na grę nie zwracałem jak wszyscy przytomni. Cesarzowa tylko zawsze wygrywała. Zapewne wiedząc, że ją to bawi, wielu przez grzeczność przegrywało. Nigdy jednak pieniędzy wygranych nie ruszała ze stołu, gdy odchodziła, zwykle przed 12-tą godziną. Nie wiem co potem z nimi się działo. Skoro cesarz i cesarzowa wyszli, wszyscy także odchodzili.

Wkrótce wysłał mię cesarz z rozkazami do Hiszpanii. Wyjechałem i przed nocą stanąłem na koniach pocztarskich nad małą rzeczką Bidassoa. Tu cała kraina inna i ludzie inni. Niema podobno w Europie granicy, któraby tak odrębnie dwa kraje oddzielała. Wszędzie zmiana stopniowa, tutaj nagła. Z jednej strony Bidassoy lud mały, wesoły, żwawy — z drugiej rosły, poważny, posępny. Z tej strony domki porozrzucane, ogródki wesołe, prawie na płaszczyźnie — z tamtej miasto Irreu z kamienia ciosowego zbudowane, przed niem widok wysokich gór, w które zaraz za miastem wjeżdża się wąwozami prowadzącymi z góry pod górę, aż pod Vittoryą, 33 leguas hiszpańskich, około 24 mil naszych. Pocztylon, Hiszpan w szerokim płaszczu, ruszał galopem przedemną, koń jego miał pełno na łbie dzwonków, więc w nocy choćbym go nie widział, to zawsze go słyszałem. Konie pocztowe hiszpańskie doskonale noszą i galopują czy pod górę czy z góry, tak, że się ujedzie dwie i pół mili na godzinę. Stałem w Vittoryi nad ranem, w Burgos z południa, a w Madrycie na drugi dzień, ale już nie czułem członków i prowadzić mnie musiano do marszałka, bo się na nogach utrzymać nie mogłem. Po opowiedzeniu mu rozkazów, odprowadzono mię do stancyi, w której dobre bardzo łóżko było, dano mi służącego, sami adjutanei pomogli mi się rozbierać, ale tak mi nogi narzmiwały, że butów nikt ściągnąć nie mógł, musiano je rozerznąć, chociaż w Bajonnie wybrałem najszersze. Spać pierwszej nocy

nie mogłem, miałem gorączkę w całym ciele lubo członków nie czułem. Ale myśl była wyraźna i bardzo przytomna, a zdawało mi się, że się głowa karku nie trzyma. Po drodze nie jeść nie mogłem, tylko na drugi dzień pić ciągle mi się chciało i piłem prawie na każdej poczcie wodę z cukrem. Drugiego dnia pomagano mi wsiadać na koń, bo już sam nie mogłem. Dopiero po drugiej nocy, którą przespałem, pozwolono mi pójść do kąpieli, poczem zjadłem dobre śniadanie i byłem gotów jechać na powrót, ale mię kilka tygodni zatrzymano.

Opisałem tutaj tę podróż, ażeby młodzi, jeśli im zdarzy się jechać wciąż na pocztowych koniach kilka dni i nocy, wiedzieli że trzeba mieć buty bardzo szerokie, strzemiona jak trepki drewniane, kulbakę długą z roweczkiem na wierzchu. Nie należy też jeść wiele przed wyjazdem. W drodze i tak się nie chce. Kiedy się jedzie w porze bardzo gorącej i w dzień sucho w gębie się czuje, trzeba mieć przy sobie małą buteleczkę wódki francuskiej, Cognac, i gębę nią popłukiwać ale nie połykać. Każdy mocny trunek pomnożyłby gorączkę, która jest nieuchronną po 48 godzinach jazdy. W upał pić wody także nie trzeba, aby się nie pocić i nie osłabnąć. Tylko płuczac gębę wódką odświeża się i pokrzepia człowiek.

Dnia 2-go maja wybuchła rewolucya w Madrycie. Miała wybuchnąć dopiero 3-go i zacząć się na wielkiem widowisku, ulubionem w Hiszpanii, walki byków. Wszystkich oficerów zaproszono na ten teatr, i miano ich tam pozabijać, poczem łatwo spodziewano się skończyć z żołnierzami. Tych stało w Madrycie nie więcej nad 4000 piechoty, gwardyi fuzilierów, artyleryi dział 12 i 200 Mameluków gwardyi obok pałacu królewskiego. Jazda gwardyi kantonowała na wioskach o mile i półtorej od miasta, ponieważ w bliskości wiosek nie ma. Okolice pusta, zdaje się być płaszczyzną, ale wąwozami poprzecinana.

Spisek był dość dobrze uknuty. Spiskowi zebrali kilkanaście tysięcy ludności męskiej z obydwóch Kastylij, które różnemi wąwozami, odległemi od głównej, jedynie obsadzonej przez nasze wojsko drogi, nocami ku miastu się podsuwały i w nocy 2-go tuż pod miastem stanęły. Ale 1-go maja dowiedziano się o spisku,

i tegoż dnia wyszedł rozkaz, ażeby wszyscy oficerowie, po mieście kwatery mający, przenieśli się do koszar Benretiro. Spiskowicy dowiedzieli się zapewne o tym rozkazie i postanowili zamiast 3-go, natychmiast powstać. W nocy więc przyspieszyli przybycie wiejskiego ludu. Ze świtem 2-go, kilkanaście tysięcy chłopów wtargnęło do miasta, i zabiwszy kilku żołnierzy na warcie przy bramie, wpadli do arsenału. Mieszczanie zbierali się na głównych miejscach, zbrojni w długie szpady, a osobliwie w długie noże, wielu miało fuzye. Zbiegło się ich najwięcej w środku miasta na placu zwanym Puerta del Sol, ale i po ulicach komunikacyjnych pełno ich było bez żadnego porządku. Strzelali do oficerów, którzy konno z rozkazami jeździli. Adjutant Murata, Gobert, pędząc przez Puerta del Sol, został kilka razy pchnięty nożami w uda, bo siedział na wysokim koniu. Pomimo tego zawiózł przez całe miasto rozkaz do fuzilierów, a ci wprost na arsenał ruszyli i bez wystrzału go odebrali, rozpędzając całą zgraję, która wytoczyła starych dział kilkadziesiąt, ale nie wiedziała jak sobie z nimi postąpić. Około 2000 chłopów i mieszczan schwytano, a że był rozkaz każdego Hiszpana, który się porwie z bronią w rękę, natychmiast rozstrzelać, przeto po uspokojeniu miasta, to jest po dwóch około, zdaje mi się nie więcej, godzinach (nawet jazda ze wsi dopiero ku ostatkowi do miasta wchodziła i już czynną oprócz Mameluków nie była), wyprowadzono te dwa tysiące pojmanych ludzi za miasto, kazano im nad murem miasta klęknąć w ściśniętym szyku, batalion fuzilierów postawiony w linii tuż przed nimi dał ognia na komendę, padli wszyscy głowami o ziemię, ale żaden nawet ranny nie został. Żołnierze bowiem wystrzelili w górę czy to z rozkazu, czy że stary żołnierz do bezbronnych strzelać nie chce, nie wiem, ale niezawodnie generałowie pewni tego usposobienia w żołnierzach, a nie śmiejąc wbrew rozkazom cesarza postąpić, musieli dać tylko rozkaz jak był ogłoszony proklamacją, a oficerowie i żołnierze postąpili po swojemu. Batalion zaraz odmaszerował, a Hiszpanie czując że żywi, dalej każdy w nogi do domu.

Dziwna rzecz, że kilkadziesiąt tysięcy ludzi, prawie wszyscy zbrojeni, nie mogło nic dokazać przeciw kilku tysiącom regu-

larnego i doświadczonego żołnierza. Tłumaczy się to tem, że Hiszpania już dawno nie miała wojny, a zatem brakło jej doświadczonych oficerów.

Zapoznałem się z wielu panami hiszpańskimi i uważałem, że o ile lud śmiały i do poświęcenia gotowy, tak grandy (wysoka szlachta) zniewieścieli. Złoto amerykańskie i długi pokój złe na nich wywarły skutki. Pomiedzy oficerami jeden tylko Palafox, naówczas kapitan w regimencie gwardyi konnej Calatrava, zdawał się być człowiekiem z energią i czującym głęboko kraju swego poniżenie, przez narzucenie mu obcego rządu.

Powróciwszy do Bajonny, opowiedziałem cesarzowi co tylko w Hiszpanii uważałem. Nie tailem mu weale przekonania, że skoro ludność cała w Hiszpanii dowie się co się stało z rodziną panującą i że cesarz zamiast Ferdynanda ma nadesłać brata swego Józefa, ogólne wybuchnie powstanie. Powstanie cząstkowe 2-go maja w Madrycie było dziełem kilku ludzi, ale lud jeszcze nie wiedział, że Ferdynand już jest wysłany do Valencyi i że nie powróci, dlatego też się na mieście stołecznem ograniczyło. Cesarz miał sposób zapytywania się jasny i krótki. Odpowiedzi nasuwały się wyraźnie. Kiedym mówił że wybuchnie ogólne powstanie, zapytał się jeszcze raz o to żywo i z powątpiewaniem. Powtórzyłem więc moje zdanie. W czasie tego cesarzowa siedziała w pokoju na kanapie. Kiedym potem przyszedł do salonu cesarzowej wieczorem, zawołała mnie na bok i zrobiła uwagę, żebym był ostrożniejszy w mych słowach do cesarza, bo on nie lubi żeby przeciw jego zdaniu coś twierdzić, dodała, iż powinienem był spostrzedz, iż cesarz nie był kontent kiedym o powstaniu mówił. Podziękowałem cesarzowej za radę, ale nie zmieniłem nic w przyszłości z mego sposobu raportowania cesarzowi i nie uważałem ażeby kiedykolwiek się tem obraził, ale owszem zawsze aż do końca służby mojej był na mnie łaskaw.

Zjechali się wkrótce po moim powrocie do Bajonny prawie wszyscy członkowie Kortezów. Było ich coś blisko stu. Prezydentem Kortezów był książę Infantado. Dawali codzień dla nich obiady, pan Maret, Duc de Bassano, Champagny, Duc de Cadore Durse, Duc de Frioul i minister saski, pan Senfft Pilsac, który

ze żoną trochę głuchą, ale nader dowcipną, utrzymywał salon bardzo przyjemny, gdzieśmy często się schodzili, w letniem mieszkaniu jednego z kupców bajońskich. Hiszpanie wszyscy w mieście mieszkali.

Przybył nareszcie z Neapolu brat cesarza, Józef, którego z tronu neapolitańskiego przenosił cesarz na hiszpański.

Kortezowie, jadąc do Bajonny, myśleli, że tam zastaną Ferdynanda. Kiedy z Hiszpanii wyjeżdżali, mówiono im, że cesarz go wziął pod swoją protekcję. Rzeczywiście zaś wysłał go do Valencay, co było grzecznem więzieniem. Zamiast Ferdynanda zastali tedy Józefa, którego za króla Hiszpanii cesarz im uznać kazał i przysięgę mu złożyć. Urządzono w tym celu w ratuszu miejskim tron na wielkiej sali, do której zebrali się Kortezowie. Cesarz przyjechał, kiedy już wszyscy na sali się znajdowali, a król Józef co tylko był go uprzedził i właśnie na tronie zasiadł. Cesarz zatrzymał się w przedpokoju, a raczej była to sien, ale drzwi do sali kazał na wpół otwarte zostawić, chciał bowiem słyszeć mowę, którą do Józefa miał prezydent Infantado. Ten mówił po francusku bez cudzoziemskiego akcentu i bardzo wyraźnie. Gdy już mowa jego miała się ku końcowi, a cesarz nie o przysiędze wierności nie słyszał, tylko po pochwałach dla charakteru i przymiotów Józefa następujące słowa: „Wtedy, gdy naród hiszpański się przekona o tych W. K. Mości przymiotach, zjedną mu one uczucia, które powodem się staną, że mu na wierność przysiądz będziem mogli“, cesarz się rozgniewał, otworzył raptem drzwi szeroko do sali, wkroczył żwawo na środek między tron i Kortezów, i wymawiając brzydkie, francuskie słowo wpadł na księcia Infantado: „Po co tu przybyłeś? Należało się wprzód namyslić i tu nie przychodzić, ale kiedyście się tu zebrali dla uznania brata mego królem waszym, mów do niego jak do swego króla; przysięgę wierności złożyć mu winniście!“

Skoro tylko cesarz na salę wkroczył i pierwsze wyrzekł słowo, brat jego jakby spadł z tronu, tak prędko z niego zeszedł, a grandowie wszyscy kapelusze, które według swego przywileju zachowają w przytomności króla na głowach, co żywo pozdej-

mowali. Przysięgę przygotowaną odczytał Infantado, a oni niby ją powtarzali, podnosząc rękę do góry.

Nazajutrz tego dnia siedziałem na obiedzie u pana Champagny, przy jednym z Korteżów, który w swojej prowincyi późno uwiadomiony, dopiero co był stanął w Bajonnie i zaraz z hotelu zaproszony na obiad, do ministra przybył. Nie wiedział nic, co się dzień wprzód stało, a ponieważ drugi jego sąsiad przy stole, koniuszy cesarski, Cavaletti, zapewne przez wielką ostrożność niewiele mu odpowiadał, do mnie więc swe zapytania skierował. Nie sądziłem potrzeby tajenia mu, co zaszło, boć i tak byłby się od swoich o wszystkim dowiedział. Na jego przeto zapytania odpowiedziałem mu, że Ferdynanda wywieziono do Valencay, że cesarz go nie uznał za króla, a ojeu Karolowi kazał na drugi raz abdykować w swoje ręce. Krew do twarzy mu uderzyła, nie już nie mówił, nie nie jadł, ledwie co wstano od stołu, zaraz wyszedł, i jak później się dowiedziałem, wyjechał z Bajonny. Był to Alava. Przyjemnie mi było spotkać, choć jednego szlachcica Hiszpana z uczuciem godności. Król Józef wyjechał z Bajonny do Madrytu ze wszystkimi Korteżami, ale i z dobrą eskortą starej gwardyi.

Przyjechała także do Bajonny siostra Napoleona, Karolina, naprzeciw mężowi, Muratowi, który w miejsce Józefa awansował, jak francuscy żołnierze się wyrażali o królu Neapolu. Zabawiła ona kilka tygodni i rozweselała wieczory u cesarzowej. Miała dwie damy przy sobie. — Teraz przewidywał cesarz, że Hiszpanie nie tak łatwo zmianie dynastyi się poddadzą, bo już dał był rozkaz kilku korpusom wojska maszerować do Hiszpanii. Zaczęły regimenta przechodzić przez Bajonnę. Jeden z najpierwszych przemaszerował pułk ułanów polskich pod dowództwem Konopki. Był to ów stary regiment legii włoskiej Dąbrowskiego, uformowany we Włoszech przez Roźnieckiego z samych niewolników i dezertów galicyjskich z wojska austriackiego. Bardzo piękny i silny regiment, sami starzy oficerowie i żołnierze. Kliki był w nim grosmajorem naówczas. Cesarz z rana przed śniadaniem, na placu obszernym za ogrodem, przeszedł ich rewiją i maszerować kazał. Wszelkie ruchy wykonali z największą szyb-

kością i akuracnością, tak że wszyscy oficerowie francuscy przyznali, że ich armia cała, nie wyłączając i gwardyi, nie posiada tak pięknego i dzielnego regimentu jazdy. Cesarz kazał oficerów zaprosić na obiad, który suto urządzono w obozie szwadronu gwardyi polskiej. Kapitan Dziwanowski i oficerowie, pomiędzy tymi Krzyżanowski i Andrzej Niegolewski Wielkopolanin, robili honory. Żołnierze z gwardyi naszej przyjmowali żołnierzy pod drzewami gdzie stali. Służba cesarska wszystko przygotowała. Bardzo wesoło do nocy bawiliśmy się. Nazajutrz regiment pomaszerował do Hiszpanii, a do Bajonny przybyły trzy regimenty piechoty polskie, legii dawnej włoskiej, a teraz nazwanej nadwiślańskiej. — Piękne bardzo regimenty pod dowództwem generała Grabińskiego, a później Chłopickiego. Cesarz także odbył ich przegląd, i gwardyi pieszej kazał dawać dla nich kolejno obiady. Oficerowie przyjmowali oficerów, żołnierze, żołnierzy. W kilka dni potem przybyły dwa szwadrony ułanów bergskich niemieckich, których Murat, na wzór polskich uformował, ale wielka zachodziła różnica i w postawie i w poruszeniach, chociaż w mundurach daleko więcej było przepychu.

* * *

Z Benawentu tej samej nocy, wysłał mnie cesarz do marszałka Bessieres, który z całą dywizją był przed kilku godzinami pomaszerował ku Astordue. — Noc była ciemna, żwirowej drogi nie było, ani drzew nad drogą, puszczałem cugle koniowi memu, trzymając się tropu kawalerii, która była poszła. Dojechałem marszałka o dwie mile w Bancza około 2-giej po północy; w pół godziny dywizya siadła na koń i pomaszerowaliśmy przez Astoryę i tegoż dnia złączyliśmy się z awangardą marszałka Soult, który maszerował od Lyonu. Tą awangardą dowodził generał Edward Colberg, dywizya Bessiera stanęła przed Astorgą a Colberg pomaszerował dalej aż do Manzanale. Pod Carcavellos nieco dalej, zastał za wsią w położeniu korzystnym, strzelców szkockich, przejechał przez wieś z plutonem, czekając na piechotę, chciał się położeniu za wsią przypatrzeć, padło

kilka strzałów i kula karabinowa ugodziła go prosto w czoło, padł i skończył na miejscu na mojem ręku.

Powróciwszy do cesarza, z którym się zjechałem w Bonera, doniosłem mu o śmierci Colberga; bardzo go żałował.

Cesarz dojechał jeszcze do Astorgi, ale odebrawszy raport od marszałka Soult'a, który ścigał armię angielską, przekonał się, że jej już nie dogoni przed Coruną. Z Astorgi pomaszzerowaliśmy do Valladolid, skąd mnie cesarz wyprawił do ksiąząt niemieckich, ażeby kontyngensy swoje czem prędzej na stopie wojennej postavili, bo Austria wchodziła do Bawaryi.

Ruszyliśmy z oficerem ordynansu Marbauf (ojciec jego był gubernatorem Korsyki i on to był wysłał młodego Bonapartego do szkoły w Brienne, a więc cesarz syna bardzo lubił; był on też bardzo dobrym człowiekiem i oficerem) na południową Francję, Strassburg, Carlsruhe, Marbauf do Stuttgartu i Monachium, a ja do Darmstadt, Frankfurtu, Cassel, gdzie królował Hieronim, Drezna, gdzie nie zastał króla i pojechałem za nim do Warszawy, dokąd i tak miałem polecenia; przybyłem do Warszawy nad ranem, po 19-tu dniach i tyluż nocach, nie zatrzymawszy się nigdzie, tylko kilka godzin u każdego panującego, bo musiałem im prócz zleceń, opowiadać wojny hiszpańskie.

Z Valladolid do Bajonny na koniach pocztowych, z Bajonny do Warszawy w własnym dobrym koczyku. Za radą starego doświadczonego podróżnego, nie jadłem tylko mleko grzane z chlebem, dwa lub trzy razy na dzień, kiedy się jeść zachciało na poczie. Chłodny był czas, ale od Lipska mróz, tak że futerko musiałem tam kupić. Zajechałem nad ranem do posła pana Bourgoing, który mieszkał w hotelu Wiedeńskim; kazał o ósmej zaprządz do swej karety, przebrałem się, i zawiózł mnie do króla saskiego w. księcia warszawskiego. Król bardzo mię łaskawie przyjął. Po odebraniu zleceń cesarza, wypytywał się o wypadki w Hiszpanii, i nareszcie kazał przyjść na obiad.

Tegoż samego wieczora był bal u dworu. Król zakończył bal polonezem o 10-ej, ks. Józef Poniatowski bawił trochę dłużej, ale także wkrótce wyszedł, i ja też pojechałem spocząć. Przyjemnego bardzo uczucia doznałem w Warszawie. Poznałem się

ze wszystkimi prawie naszymi oficerami starszymi. Wprawdzie wojsko nasze było jeszcze we formacyi, ale dzielny duch ożywiał wszystko. Znać jednak było we wszystkich regimentach brak oficerów doświadczonych, i wielka zachodziła różnica między temi pułkami a gwardyą polską i legią nadwiślańską, które dopiero co w Hiszpanii byłem widział i często z nimi przebywał. Gwardya miała, prócz pułkownika Krasieńskiego, cały sztab złożony ze starych oficerów i na wzór starych regimentów gwardyi się wykształciła. Legia nadwiślańska miała samych starych oficerów jeszcze z legii włoskiej Dąbrowskiego i z nadreńskiej legii Kniaziewicza. Prawie wszyscy podoficerowie jeszcze w niej byli starzy, więc służba szła spokojnie, poważnie i regularnie. Nie tak było w wojsku księstwa Warszawskiego, ale duch dobry, żywność, wesołość i zaufanie rokowały najlepszą nadzieję. Zresztą wojska polskiego w księstwie stało niewiele, bo trzymało garnizony w Gdańsku, Szczecinie, Kistrzynie. Zabawiłem w Warszawie tydzień. Nie wyjechałem aż po odebraniu doniesień z Galicyi o wojsku austriackiem, do czego mi dopomógł Roman Sołtyk, oficer z naszej konnej artyleryi, znany mi ze szkoły politechnicznej, z której przed rokiem wyszedł. Miał on ojca w Szydłowcu, należącym naówczas jeszcze do Austrii, więc wiedział a raczej dowiedział się dobrze, gdzie i ile stoi austriackiego wojska, a między mojami poleceniami było także, abym zebrał w tym względzie jak najdokładniejsze wiadomości. Niemcewicz, który miał krewną mojej matki za żonę, dostarczył mi także wiele bardzo dobrych wiadomości i porobił uwagi, które cesarzowi wręczyłem¹.

Marszałek Davoust natychmiast z korpusem do Szlązka wymaszerował, a stamtąd do Bawaryi. Odebrał od cesarza polecenie oddania wojska polskiego pod komendę jednemu z trzech, jenerałowi dywizyi, którego sam wybierze. Wybrał i oddał komendę księciu Józefowi. Wojsko saskie, także zaraz na stopę wojenną postawione, miało rozkaz na końcu kwietnia stanąć w Bawaryi.

Powróciwszy do Paryża, zastałem cesarza w Elisee Bourbon, wybierającego się do Niemiec. I my też za nim wszyscy ruszy-

¹ Memoryał ten drukowany w pamiętnikach Niemcewicza.

liśmy do Strassburga. Naszym ludziom i koniom kazano z Hiszpanii udać się do Strassburga z gwardyą, ale ponieważ jeszcze byli daleko, dano nam każdemu po 10.000 franków i kazano konie kupić. Ja kupiłem sobie jednego na poczeie przed Stutgardem, a drugiego w Ingolstadt. Miałem z sobą mego kamerdynera, a masztalerza przyjąłem z poczty Wirtemberskiej. Dopiero pod Wiedniem doszły nas konie z Hiszpanii. Aż do tego czasu cesarz jeździł na koniach króla Wirtemberskiego.

VI. Bitwa pod Aspern. Wyjątek.

Tegoż samego dnia (18-go maja) wysłał mnie cesarz do Ebersdorf obejrzeć ekwipaż Pontonów, który tam w dobrym zastałem stanie i stosowny zrobiłem raport. Cesarz przybywszy wieczór, dwie kompanie wołytyżerów przeprawił na wyspę Lobau, a 19-go cała dywizya Molitor już most przechodziła. Wkrótce most stanął także na drugiej odnodze Dunaju. 20-go już trzy korpusy były na wyspie Lobau.

Tegoż dnia z południa stanęły dwa mosty na ostatniej odnodze Dunaju pod osłoną baterji ciężkich dział, które nad brzegiem usypano, aby ogniem swym przejścia, gdyby go broniono, wspierać mogły, a zasłonić odwrót w razie potrzeby. Odnoga ta jest mniej szeroka. Około 4-tej przeszła ją cała dywizya lekkiej jazdy jenerała Lasalle, z którym cesarz mnie wysłał. Gdyśmy wychodzili z lasku, który przy samym leży Dunaju, austryackie działa zaczęły puszczać na nas granaty, co jednak nie przeszkodziło dywizyi z 5-ciu regimentów złożonej do uformowania się we dwie linie na płaszczyźnie za Aspern i Essling. Około 7-mej wieczorem, po mocnej kanonadzie, puścili na nas Austryacy ostry atak kawalerji. Huzary z przodu pierwszą brygadę (Piret) z 8-go regimentu huzarów i 16-go strzelców konnych składającą się, atakowali gwałtowną szarżą, a z boku naszego lewego pędził na nas pułk ułanów. Jenerał Lasalle dopiero gdy huzarzy byli o 200 lub 250 kroków od nas i cwałem puścili się z wielkim krzykiem, ruszył naprzód stępo, i zaraz kłusem i galopem, tak, że w całym pędzie zderzył się z huzarami. Ułanów przyjął regiment drugiej linii, zmieniając front na lewo. Pomieścili się

wszyscy jak groch z kapustą. Już też troszkę ciemniało. Mięszanina, hałas, krzyki trwały z godzinę. Działa już wprzód ustały.

Nareszcie austryacka jazda z placu ustąpiła, a dywizya Lasalle w dwie linie znów się uformowała, ale kilkaset kroków w tył położenia, które przed szarżą zajmowała. Straciła zatem, jak mówią, *terrain*. Z dział potem jeszcze kilkanaście razy dali ognia Austriacy po ciemku, nie wiem dokąd kule poszły, nad głowami naszymi nawet nie zawarczały. Noc była jasna.

Jenerał Lasalle i Piret wyjechali naprzód podczas rozstawiania placówek i czat. Na taką utarczke niewiele trupów leżało, zawsze jednak daleko więcej nieprzyjacielskich, jak naszych; można śmiało powiedzieć, że dwa razy więcej, lubo ich nie rachowaliśmy.

Nierówność ta pochodziła niezawodnie z tego, że Węgrzy bardzo pałaszami machają, a Francuzi żgają, i lubo Węgier na lżejszym koniu łatwo francuskiego konia oskoczy, Francuz siedząc na ciężkim koniu, właśnie dlatego, że koń nie rzutny i że mało może nim kierować, spokojnie uważa z której strony Węgier się na niego zamierza, ma czas zasłonić się od cięcia, a prawie prostym a dobrze zaostrzonym końcem szabli niechybnie pchnie w pierś przeciwnika. Węgrzy nie płazem, tak jak angielska kawalerja, ale ostrzem rąbią, ale że zawsze czynią to w pędzie lub zwracając konia, więc tną jakby bez przytomności, gdzie się uda.

Kilka razy w tem spotkaniu szarżowali na nas. Jedni się mieszały, wielu za nas przelatywało, to znów wracało do swoich, a zawsze byli po szarży w zupełnej rozsypce. Francuzi zaś lubo po szarży linię tracili, daleko bardziej trzymali się razem i w każdej chwili dążność do zrównania była u nich widoczna. Wprawdzie oprócz wyższości z lepszego użycia broni wypływającej, mieli oni oczywiście więcej jak Austriacy doświadczonych żołnierzy, a osobliwie oficerów po tylu wojnach.

Z tego com powiedział o Francuzach na ciężkich, a Węgrach na lekkich koniach, nie należy wnosić, że dla lekkiej jazdy konie ciężkie są właściwszymi. Bynajmniej. Jeśli bowiem można mieć na lekkich koniach żołnierzy doświadczonych pod oficerami

jeszcze doświadczeńszymi i przytem zręcznych w użyciu broni, przyuczonych do klucia, nie do rąbania, to będzie najlepiej. Stary, doświadczony żołnierz wie o co chodzi i kiedy potrzeba równania, potrafi żywość lekkiego konia powstrzymać, na czem tak wiele zależy, a użyje go zwinnie na tyraljerce i w pojedynczych wypadkach. Opowiadam tylko stan rzeczy i skutki onego w tej wojnie, to jest, że Węgrzy w ataku ostrzy, trudniejsi są, gdy się rozleca, do zebrania się i zrównania. Francuzi wiedząc, że ich konie tego pędu nie mają, z bliska tylko przypuszczali ataki i dlatego lepiej równanie do końca utrzymywali, a po szarży prędzej znów zbierali się na linii przeznaczonej. Węgrzy rąbiąc w pędzie lub oskakując pojedynczych jeźdźców, często wiatr tylko rąbią, a w najlepszym przypadku tylko mniej lub więcej mocno ranią. Francuzi nie machają nigdy do cięcia pałaszem, łatwo się zasłaniają, a zasłoniwszy się od cięcia, jednocześnie jednym pehnięciem najczęściej śmierć przeciwnikom zadają. I mnie w szarży ciał węgierski huzar przez udo, ale pałasz mu się zwinął i tylko guza oberwałem.

Gdy wszystko ucichło, powróciłem do cesarza, którego zastałem pod szalasem z gałęzi przy moście na ostatniej odnodze Dunaju i zdałem mu raport, że generał Lasalle zajął stanowisko między Aspern i Essling na płaszczyźnie. Cesarz jeszcze w nocy wysłał piechotę i artylerję, aby obie te wsie obsadziły. Całą więc noc na 21-go przechodziła piechota nasza i stawała na linii pomiędzy Aspern i Essling. 21-go równo ze dniem cesarz objeżdżał położenie i rozporządzał stanowiska. Postawił lewe skrzydło w Aspern, dwie linie piechoty od lasku w prawo tej wsi ku Essling. (Jazda była około 1000 kroków postąpiła naprzód), a na lewo przy samej wsi Essling kazał w murze naokoło cmentarza powybijać strzelnice. Nareszcie prawe skrzydło od Essling prawie pod prostym kątem dochodziło do Dunaju naprzeciw Enzersdorf, któregośmy zapewne dlatego nie zajęli, żeby zanadto linii nie rozciągać. Na prawem skrzydle stanęli grenadjerzy i fuzilierzy gwardyi, a w rezerwie szaserzy konni i 2 szwadrony polskiej gwardyi. Dragoni, grenadjerzy konni i żandarmi gwardyi, również jak i artylerja gwardyi były jeszcze z tamtej strony Dunaju.

Na tę stronę przeszło tylko 60 dział, które należały do korpusu Masseny. Rozłożone one zostały bateriami pomiędzy Aspern i Essling. Więcej jak te 60 dział nie mieliśmy przez wszystkie trzy dni bitwy.

Cesarz zrobił te rozporządzenia obronne, czekając na przyście reszty armii. Na tej stronie mieliśmy dopiero 30.000, a na drugiej stronie był jeszcze cały korpus Davoust'a, trzy dywizye kirasyerów, połowa gwardyi, większa część artyleryi i cały wielki park, to jest około 60.000 ludzi.

Około południa rozpoczęli Austriacy bitwę na całej linii ogniem z dział kilkuset. Jazda nasza, która stała przed piechotą, musiała się cofnąć i uszykowała się w ściśniętych szeregach o kilkaset kroków za piechotą. Nasza artylerya odpowiadała, ale oczywiście jednym strzałem na trzy lub cztery nieprzyjacielskie. Linie piechoty austriackiej widać było opodał, ale tego dnia nie zbliżyły się na nasz środek, tylko główny atak skierowały na Aspern, gdzie prócz działowego, kilka razy bardzo rzęśisty szedł ogień z ręcznej broni. Z położenia, gdzie stał cesarz, nie można było widzieć tego ataku, bo z tej strony lasek przeszkadzał, ale będąc kilkakrotnie posyłanym do marszałka Masseny, który stał i bronił Aspern, miałem stamtąd sposobność przypatrzenia się kolumnom austriackim, które były tak głębokie, że wątpić nie należało, iż nieprzyjaciel tego dnia tam miał najznaczniejsze swe siły.

Lubo jednak po kilka razy zbliżały się do domów, zawsze piechota nasza celnymi strzałami z ogrodów i domów do odwrotu je zmuszała.

Raz zastałem Massenę, siedzącego pod ścianą domu, gdzie spoczywał, oddałem mu rozkaz cesarza, on zaraz siadł na konia przyprowadzonego, ale spostrzegłszy, iż strzemię za krótkie, zawołał masztalerza, by mu je przydłużył, sam siadł po damsku, przelożywszy nogę przez kark konia. W tej chwili kula działowa zabiła masztalerza na miejscu i strzemię urwała, koń potoczył się na bok, marszałek upadł mi na ręce, ale nawet kontuzyi nie otrzymał. Przypięto mu inne strzemię, siadł na konia i pojechał.

Zapaliły granaty kilkanaście domów i niemal wszystkie da-

chy stały w ogniu, ale większa część domów i stajen były murowane, piechota więc miała dobre stanowisko i zakrycie. Ilekroć kolumny austryackie tak się zbliżyły, że się zdawało, iż kule francuskie już ich nie wstrzymają, to zaraz francuskie rezerwy szły do ataku na bagnety i ani razu Austriacy nie wytrzymali, lecz zaraz w rozsypkę poszli, mimo tego, że oni w kolumnach, a Francuzi w linii postępowali. Bezpieczniej oni w kolumnach iść mogli, ponieważ dawno musieli pomiarkować, że mamy mało artyleryi; nasza zaś piechota linią puszczała się, prawie biegnąc na bagnety, z powodu, że nieprzyjaciół na bokach każdej kolumny miał wiele dział i kartaczami każdy swój atak wspierał. Tegoż dnia ani razu nie dostał się do samej wsi.

Obrona Aspern dowodzi niezawodnie wyższości piechoty francuskiej nad wszystkimi innemi.

Około godziny 4-ej z południa odebrał cesarz wiadomość, że most na drugiej odnodze Dunaju zerwany w chwili, gdy dywizya kirasyerów przechodziła. Zerwały go statki naładowane kamieniami, puszczone przez Austryaków ze Sladelle, a pędzone bystrym prądem rzeki, która bardzo nagle wskutek topniejących śniegów w górach, wzbierała. Skończono jednak naprawę do nocy i reszta dywizyi kirasyerów przeszła, a następnie dwie dywizye piechoty, z których jedna Oudinota, grenadyery i wołyżery połączone i połowa gwardyi. Tym sposobem mieliśmy z rana około 60.000 ludzi, ale nie więcej jak 60 dział.

Równy z dniem cesarz siadł na konia, udał się na linię, dowództwo całej środkowej linii oddał marszałkowi Lannes, uformował w kolumny całą piechotę, prócz korpusu Masseny w Aspern i piechoty gwardyi, którą zatrzymał w rezerwie. Dział 60 stało w odstępach kolumn, a za kolumnami piechoty dwie dywizye lekkiej jazdy i dwie kirasyerów. Gdy atak miał się rozpocząć, cesarz przejechał przed kolumnami, zdejmując przed każdą kapelusz i powiewając nim przeciw nieprzyjacielowi. Na ten znak kapeluszem, kolumny odpowiadały wiatami, zakładając kaszkiety na bagnety. Wnet wszystkie ruszyły razem. O kroków około 1000 stały na całej płaszczyźnie austryackie posterunki kawaleryi, a za niemi piechota. Na widok naszych kolumn wszystko to znikło:

Nieprzyjaciół odsłonił liczną artylerję, która grzmieć zaczęła, ale wkrótce i cała jego armia ukazała się, postępowała ku nam kolumnami, które tą razą rozwinęły się o kilkaset kroków do kolumn francuskich, dały ognia batalionami, ale tak, iż się zdawało, że rotowy szedł ogień. Działa wszystkie kartaczami sypały. Nie jednak nie mogło wstrzymać kolumn francuskich. Biegły z nadstawionemi bagnietami na linie austriackie, które się pomieszały zanim nawet Francuzi doszli. Działa cofały się spiesźnie, ale co chwila, odwracając się, gęsto kartaczami strzelały. Mnóstwo Francuzów padało, biegli jednak naprzód, ale Austriacy jeszcze się prędzej cofali. Wreszcie piechotę całą zasłonili linią jazdy, którą po kilka razy kirasyerzy nasi przełamywali, lecz zawsze nowe za przełamaniami się ukazywały, wspierane liczną artylerją, która kartaczami przyjmowała każde natarcie Francuzów. Cała linia cofała się jednak coraz bardziej i jazda austriacka po kilka razy odsłaniała swoją piechotę, sformowaną na nowo, lub z rezerw przybyłą. Kirasyerzy dwakroć wpadli na nią i rozbili bataliony, ale zaraz świeże pułki jazdy austriackiej pokazały się do ataku gotowe, a kirasyerzy, dla sformowania się po szarży, musieli się o kilkaset kroków cofać. Dywizye lekkie, Lasalle i Beuyere szarżowały także po kilka razy na daleko liczniejszą kawalerję. Do 11-ej cała nasza linia prawie milę postąpiła naprzód. Jazda, to za kolumnami, to znów przed niemi pomykała się. Szyk nasz bojowy posunął się aż pod wieś Breitenlee. Tu, zdaje się, reszta armii austriackiej przybyła, bo widać było wojsko, ciągnące poza prawem skrzydłem austriackiem. Już i tak nasza linia bojowa, postępując po płaszczyźnie, krótszą była od nieprzyjacielskiej. Skoro więc jeszcze więcej Austriaków przybywało, łatwo oskrzydłonymi być mogliśmy. Gdy do cesarza wrócił z pod Breitenlee, z wiadomością od marszałka Lannes, że z lewego skrzydła spostrzega masy nieprzyjaciela, które go oskrzydlić mogą, cesarz postawił dwa bataliony starej gwardyi eszelonami przed Aspern, ale daleko za lewem skrzydłem marszałka Lannes, które nam flankę zabezpieczyć miały i łączyć nas z Masseną w Aspern.

Po naprawieniu mostów wciąż wojsko nasze nadeięgowało. Cesarz liczył, że przybędzie jeszcze cały korpus Davoust'a z 60

działami, z 3-cią dywizją kirasyerów i jedną lekkiej jazdy, polowa gwardyi i nareszcie cały park artyleryi. Korpus Davoust'a byłby zrównał siły marszałka Lannes z nieprzyjacielskimi; tymczasem około południa przychodzi z jednej strony wiadomość, że oba mosty znów zupełnie zerwane, a niedługo potem, że marszałek Lannes mocno ranny, bo jedna noga urwana, a druga zgruchotana. Wkrótce nadjechał i Oudinot, kilka razy postrzelony, i choć rany nie były niebezpieczne, z placu musiał zjechać.

Cesarz z najzimniejszą krwią dał rozkaz cofnięcia się na położenie pierwotne między Aspern i Essling. Ustępowanie to milowe nastąpiło w największym porządku. Po kilka razy kawalerya austriacka przypuszczała atak na kilku punktach cofającej się linii. Zawsze ze szkodą odpartą została przez lekką jazdę Lassalla, wspieraną kirasyerami w drugiej linii. Nigdzie przedrzeć się nieprzyjaciel nie zdołał i piechota nasza nie potrzebowała się nawet zatrzymać dla odbicia ataku. Ani razu kirasyerzy nie szukali schronienia za piechotą. Jazda sama wystarczała do wstrzymania napadów nieprzyjacielskiej. Około 3-ciej godziny obie formacye kolumn naszych stanęły na pierwotnej pozycyi pomiędzy Aspern i Essling. Również i artylerya, która musiała ogromnie strzałów oszczędzać. Wtedy obie dywizye kirasyerów dla ochrony od dział, które wciąż za nimi ogień sypały, przeszły za piechotę i stanęły we dwie linie przed cesarzem; ale i tu już kule donosiły i przenosiły. Wkrótce nawet sięgały aż do Dunaju za nami i niejednego już rannego dobiły. Mnóstwo bowiem rannych naszych leżało przy mostach na ostatniej odnodze Dunaju. Przez dwa dni odnoszono ich tam i na wyspę Lobau przeprawiano.

Skoro piechota zajęła znowu położenie pomiędzy Aspern i Essling, cesarz rozkazał gwardyi grenadyerów znów przejść na nasze prawe skrzydło naprzeciw Enzersdorf, dokąd spostrzegł kolumny austriackie dążące, i w samej rzeczy korpus ich, jak mówiono, pod Lichtensteinem zajął Enzersdorf nad samym Dunajem.

Teraz więc armia austriacka tworzyła około nas półkole. Marszałek Belgarde stał od Dunaju za Aspern i przed Aspern,

arcyksiążę Karol zajmował środek z główną armią, a Lichtenstein formował ich ostateczne lewe skrzydło naprzeciw i prawe za naszym prawem, które składały tylko cztery bataliony strzelców gwardyi i dwa starej grenadyerów, a w tyle polska gwardya konna i szaserzy konni gwardyi. W takim położeniu kule z dział Belgarda przenosząc przez Aspern, dochodziły czasem aż do naszego prawego skrzydła, a kule Lichtensteina, które często szły za wysoko, sięgały aż na lewe skrzydło nasze. Cesarz zatem stojąc za sztabem, w miejscu środkowem, miał je z trzech stron, ale najczęściej warczały nam tylko nad głowami. Jednak kartacze dochodziły do piechoty i do kirasyerów za nią stojących o 500 kroków przed cesarzem. Myśmy wtedy już nie mieli czem odpowiadać, bo 60 tylko dział było przeszło na tę stronę i już prawie wszystkie były zdemontowane, choć żadnego nam nie zabrano, a amunicyi brakło zupełnie.

Cesarz stał jak wryty, nie ruszając się z miejsca, cugle opuszczone, perspektywa w rękę, dając rozkazy i wysyłając nas na wszystkie strony, ale już mało kto z nas miał konia pod sobą i mój ostatni był bardzo zmęczony. Wysłany do marszałka Masseny, który stał niedaleko, wolałem iść pieszo, konia za sobą prowadząc. Cesarz spostrzegł, że mocna kolumna ze stanowiska arcyksięcia Karola, to jest z środkowej armii, puszcza się na Aspern. Kazał więc przestrzedz o tem marszałka Massenę i polecić mu, żeby uformował kolumnę rezerwową dla przyjęcia jej. Marszałek siedział pod drzewem przy murach spalonego domu, bo tylko kilka jeszcze domów pozostało całych. Siadł zaraz na konia, w ogrodach uformował kolumny, w sam czas właśnie, kiedy Austriacy z poważną siłą dochodzili do wsi. Piechota francuska z domów i z za płotów dała bardzo z blizka rżęsiły do nich ogień, ale tym razem obie kolumny austriackie z chorągwiami żółtymi na przedzie nie zatrzymały się i opanowały domy i ogrody. Massena sam dobył szpady i poprowadził na nich dopieroco uformowaną kolumnę, do której po bokach przyłączyli się Francuzi wyparci z domów.

Kolumna ta wpadła bez wystrzału na Austryaków, którzy byli z porządku wyszli między płotami i domami, i bagnetem

tylu ich położyła, że gdy powracałem do cesarza, takie mnóstwo trupów leżało na drodze wsi, że koń mój co chwilę na nie na-deptywać musiał.

Wprawdzie już poprzednio padło tam wielu Francuzów od kul działowych i ręcznej broni. Przywiozłem tedy cesarzowi raport od marszałka Masseny, że Aspern uratowany i że spodziewa się tam do wieczora utrzymać. Potem jeszcze jeździłem do Essling i znowu drugi raz na pozycyę naprzeciw Enzersdorf, dopiero więc później dowiedziałem się, że do wieczora trzy razy jeszcze piechota austriacka dostała się do Aspern i za każdym nawrotem dzielnie stamtąd wypartą została.

Ale i środkowa armia austriacka uformowała kolumny do ataku na Essling. Jenerał Durosnel, adjutant cesarza, który tam komenderował, wyjechał naprzeciw, aby ją zreknoskować; mając zmęczonego konia, nie zdążył się cofnąć przed atakiem kirasyerów austriackich, wzięty do niewoli został. Podwójny ogień działowy skierowany na Essling, o ataku nas uwiadomił. Kolumny grenadyerów węgierskich, z rozwiniętymi chorągwiami, z oficerami konno naprzeciw maszerowały ostro.

Nie wstrzymał ich ogień z poza muru cmentarza i domów. Wpadli tam, Francuzi się cofać musieli. Cesarz rozkazał jenerałowi Mouton, adjutantowi swemu, wziąć z prawego skrzydła cztery bataliony strzelców gwardyi i napowrót Essling odebrać. Stało się to bez wystrzału. Znów tu na cmentarzu leżało mnóstwo Węgrów zabitych, tak jak we wsi Aspern. Essling został w naszym ręku do wieczora.

Jeszcze raz nad samym wieczorem Austriacy przypuścili atak, czterema kolumnami piechoty na nasz środek między Aspern i Essling. Nasza piechota zmęczona, zgłodniała, leżała w rowach nad drogą z Essling do Aspern wiodącą. Gdy się kolumny austriackie zbliżyły, wstali wszyscy z uderzeniem w bębny do szeregu, nadstawili bagnety i podwójnym krokiem tak żwawo naprzód ku nieprzyjacielowi się rzucili, że jego kolumny się zmieszaly, zaczęły rejterować, a kirasyerzy nasi klusem małym, bo konie już prawie iść nie mogły — przeszli naprzód pomiędzy batalionami i szarżować chcieli, lecz jazda austriacka zaraz się

przed swoją piechotą wysunęła, ale przybliżyła się tylko około 500 kroków i stanęła. Był to ostatni już atak.

Ciemnieć też zaczynała kiedy cesarz rozkazał naprzód kirasyerom i lekkiej jeździe przez most na wyspę Lobau rejterować się. Rannych wciąż odnoszono na wyspę. Po kawaleryi działa i caissony, które jeszcze były na kołach, przeprowadzono — wiele z nich tylko parą koni. Narachowałem 40 dział, a zatem ze 20 zostać musiało, bo koni do nich nie było. Cesarz stał przy moście. Około 10-tej przeszedł dopiero z gwardyą na wyspę. Tu przed niego przynieśli marszałka Lannes; ścisnął go po kilka razy i ponieważ noc była jasna, widziałem, że płakał.

O północy piechota Masseny, grenadyerzy i wołyżerzy Oudinota także przeszli most, który zaraz potem rozebrano. Było w bitwie 60.000 ludzi, z tych na wyspie pod bronią zostało 30.000 — a zatem połowę straciliśmy w zabitych i rannych. W dziejach wojen francuskich jest ta bitwa najkrwawsza i ze wszystkich niezawodnie czyniąca najwięcej zaszczytu wojsku francuskiemu pomimo tego, że została przegrana, bo musieliśmy się cofnąć i nieprzyjaciół zajął pole bitwy.

Około 2-giej godziny w nocy cesarz z wyspy Lobau przepłynął się na łódce na drugą stronę Dunaju. My za nim na dwóch innych przebyliśmy rzekę, ale nurty mocno wezbranej bardzo bystro płynącej rzeki zapędziły nas aż o pół mili od Ebersdorf, dokąd pieszo doszliśmy około 5-tej z rana.

Stał tam korpus marszałka Davoust. Cesarz kazał mu natychmiast stanąć pod bronią i maszerować ku Presburgowi, aby zająć przedmieście i nie dopuścić arcyksięciu Karolowi przejścia Dunaju. Mając tam bowiem most, mógł przejść z całą armią, pobić marszałka Davoust i wziąć resztę armii na wyspie Lobau i wszystkich rannych do niewoli.

LUDY TURAJSKIE I ICH POJĘCIA RELIGIJNE.

4. Pomniki grobowe ludów Turajskich.

Szczególna cześć, okazywana prochom zmarłych przodków, chrakteryzuje wielki odłam ludów Starego i Nowego Świata; te ludy właśnie zajmowały lub zajmują cały pas północnej półkuli, a należą do ludów Turajskich.

Archeologia poucza nas, że ludy pierwotne, przedhistoryczne, które zajmowały północno-środkową Europę i Amerykę, okazywały wielkie poszanowanie dla prochów zmarłych przodków; liczne groby i ogromne cmentarze są niezbitym na to dowodem. Uczeni i nieuprzedzeni etnolodzy uznają w tym fakcie cechę religijności tych ludów, mianowicie zaś wiarę ich w życie przyszłe.

O najdawniejszych ludach, które zamieszkiwały Europę w okresie czwarto-rzędowym geologicznym, pisze de Quatrefages¹: „Nie ulega dziś wątpliwości, że troglodyci rasy Cro-Magnon grzebali swych zmarłych, a temu grzebaniu towarzyszyły takie szczegóły, iż musimy przypuścić, że wierzyli w życie przyszłe. A ponieważ ta rasa jest jedną z najdawniejszych, z epoki niedźwiedzia, stąd, jeśli człowiek w czasie pojawienia się na ziemi nie miał pojęcia duchowego o swej istocie, czego żadna umiejętność stwierdzić nie może, w każdym razie doszedł do tego pojęcia w bardzo wczesnej dobie“.

Pomniki ludów z epoki kamiennej, odnalezione dotychczas,

¹ *Introduc. à l'étude des races humaines*, pp. 278 i 280.

są nieliczne i dlatego antropolog francuski wyraża się tak oględnie, lecz pomniki ludów późniejszych usunęły wszelkie wątpliwości. „Religijność ludów z epoki kamienia polerowanego, pisze dalej, nie została nigdy przez nikogo zaprzeczona. Wiara w życie przyszłe ujawnia się u wszystkich pokoleń neolitycznych w nader starannem grzebaniu zmarłych. Groty naturalne i sztuczne służyły im za grobowce, najczęściej jednak budowali tak zwane dolmeny, które dziś jeszcze wywołują podziw z powodu olbrzymich skał, użytych w tym celu. Obok ciała zmarłego, człowieka dorosłego, a nawet dziecka, umieszczano różne przedmioty, służące do ozdoby, broń, naczynia, słowem to wszystko, co po-grzebionym, według mniemania żyjących, mogło się przydać na tamtym świecie¹. W tych właśnie grobach znaleziono te przedmioty, które stanowią skarby etnograficzne naszych muzeów... W grobach neolitycznych znaleziono również przedmioty, które sam Broca nie wahał się nazwać amuletami².

Podajemy tu jeszcze świadectwo innego, bardzo również poważnego i gruntownego badacza; „Jakkolwiek dane paleontologiczne, pisze Fr. Lenormant², wskazują nam twarde i ciężkie warunki istnienia, jednakże nie wykazują nigdzie, żeby pierwotni ludzie żyli w stanie dzikości. Przeciwnie, człowiek z czasów geologicznych, zwłaszcza z epoki czwartorzędowej, z tej bowiem epoki znamy go najlepiej, posiada przymioty, które są przywilejem dzieci Adama. Posiada on wzniosłe dążenia, instynktowne poczucie piękna, nie licujące całkiem z jego twardem życiem materialnem. Wierzy w życie przyszłe. Jest on już istotą myślącą i twórczą, a duchowość jego duszy jest w samych początkach przepaścią nie do przebycia i stanowi samoistny dział, wyróżnia-

¹ Rzecz ta stwierdzona jest powszechnie, nawet Tylor pisze: „Personal or individual property was chiefly what each wore or carried — the man's weapons, the ornaments and scanty clothing of both sexes, things which they had some power to do as they liked with during life, and at death very commonly took away with them to the world beyond the grave“. *Anthrop.*, p. 420.

² *Les Origines*, vol. 1, p. 213.

jący go od zwierząt, najwięcej zbliżonych do niego pod względem organizmu ciała“.

• Do jakiego szczepu należały te ludy przedhistoryczne? Pytanie to nie zostało rozwiązane z całą ścisłością historyczną; materiały, na których opierały się odnośne dochoczenia, składały się tylko z jako tako zachowanych szczątków kości ludzkich i nielicznych okruchów przemysłu, stąd też i wnioski nie mogą być uważane jako stanowczo pewne, ale tylko jako prawdopodobne. Otóż rzeczą jest prawdopodobną, że różne rasy ludzkie wychodziły z Azji i osiedlały Europę. Różnicę ras upatrują antropolodzy w znamionach cielesnych, mianowicie zaś w kształtach czaszki ludzkiej. Najdawniejsze rasy były krótko-głowe, w ustroju kostnym zbliżone do Laponów; późniejsze były długo-głowe. Nowi przybysze wypierali zwykle dawniejszych ze swych siedzib, częściowo jednak mieszały się z nimi. Niektóre mogiły zawierają tylko czaszki krótko-głowe, inne długo-głowe tylko, lecz są również liczne mogiły, mieszczące razem oba rodzaje czaszek¹. Sam tedy ustrój kostny nie daje nam klucza do rozwiązania kwestyi, staranne jednak obchodzenie się ze zmarłymi i sypanie lub stawianie im identycznych prawie mogił pozwala wnioskować o ścisłym pokrewieństwie tych ludów; a ponieważ, jak to zobaczymy, zwyczaj ten przechował się w czasach historycznych u ludów Turajskich, stąd też i ludy z epoki kamiennej do tego szczepu zaliczać możemy.

W Europie kurhany napotyka się w Brandenburgii, Szwecyi Danii, we Francyi i Anglii. „Stepy Wołynia, Podola, Ukrainy, (mówiliśmy już o tem gdzieindziej)², szczególnie stepy noworosyjskie i besarabskie, gdzie Scytowie przebywali, od Kremeńczuga do brzegów Dunaju, do Czarnego i Azowskiego morza pokryte są kurhanami...”

¹ „En Allemagne, en Pologne, dans les long-barrows d'Angleterre, les constructeurs de dolmens sont généralement dolichocéphales; ils sont brachycéphales dans la Lozère. Les hommes de Sclaigneaux, en Belgique, se rattachent aussi à ce dernier type, qui, du reste, se présente très souvent juxtaposé au premier dans des proportions variables“. De Quatrefages, *Introduc. à l'étude des races humaines*, p. 115.

² *Religie Aryów Wschodnich*, str. 412.

„Azya jest ojezyzną kurhanów. Kurhany napotykają się w Syryi i Małej Azji, lecz przedewszystkiem w środkowej i północno-zachodniej Azji. Turkestan usiany jest kurhanami. Nad Irtyszem, Jenisejem i w zachodnim Altaju kurhany są tak liczne i miejscami tak gęste, iż przedstawiają się zdala jak ogromne koczowisko, pokryte namiotami. Według Kostrowa, kurhany sybirskie są zupełnie podobne do kurhanów nad Dnieprem; według podania były one budowane przez Czudów, którzy wyparci ze swych siedzib azyatyckich, podążyli na zachód. Ludy tatarsko-mongolskie wznosiły niegdyś kurhany i po dziś dzień przechował się wśród nich zwyczaj nader charakterystyczny. Kirgizi, według Kostehki i Lewszyna, oddają cześć duchom zmarłych, na ich grobach wznoszą wysokie mogiły, od czasu do czasu zbierają się tam, zanoszą modlitwy i składają ofiary“.

Wprawdzie największa część Kirgizów przyznaje się do mahometanizmu, a niektóre pokolenia przyjęły nawet prawosławie, jednakże wszystkie ich dawne przesady i praktyki szamanizmu utrzymały się u nich dotąd w całej pełni, mianowicie cześć dla zmarłych i sypanie mogił na ich grobach. Wyjmujemy z Lewszyna¹ ciekawsze szczegóły tych obrzędów. Pogrzeb odbywa się wśród płaczu, jęków i krzyków przeraźliwych; po dniach czterdziestu ponawia się ten sam obrząd i powtarza się jeszcze po dniach stu, po roku i po latach dziewięciu. Kurhany, wznoszone na grobach, mają różne kształty, mianowicie, piramid, wieżyczek, bań, portyków. Niektóre kurhany są ogromne; nad brzegami Turgaju wznosi się mogiła, która ma w okręgu 290 metrów, a wysokość jej wynosi 32 m. Wszystkie wzgórza pokryte są kurhanami, lecz i na stepach kurhany są liczne; według Ermana, stepy Abakanu są literalnie pokryte mogiłami. Kirgizi zbierają się u stóp tych mogił i kurhanów, tam klęcząc odmawiają modlitwy i składają ofiary, mianowicie różne potrawy, ubrania, a nawet i pieniądze. Otóż, ponieważ, z jednej strony, Kirgizi, według Vambery², najlepiej zachowali wraz z czystością języka swe dawne

¹ *Description des Kirghiz-Kazaks.*

² *Die primitive Cultur des Turkotatarischen Volkes.*

zwyczaje, stąd te obrzędy i praktyki należy odnieść do odległej starożytności; ponieważ zaś, z drugiej strony, typem cielesnym zbliżeni są do ludów fińskich i północno-amerykańskich¹, stąd też tak sam lud, jak i jego zwyczaje, uważać należy za turajskie.

Dawniejsze ludy fińskie wznosiły również na grobach swych zmarłych pomniki, które odnajdują się dzisiaj w Szwecyi. „Grobowce z epoki kamienia polerowanego, pisze Reclus², są bardzo liczne w południowej Szwecyi. Przedstawiają się one w różnych kształtach: jako dolmeny albo *stendösar*, zbudowane najczęściej na mogiłach; *hällkistor* czyli rodzaj olbrzymich trumien kamiennych, otoczone są wałem ziemnym; *gånggrifter* czyli grobowce podziemne, nazywają je także *jättestugor* tj. izbami olbrzymów. Te kostnice olbrzymie, niektóre zawierają dwadzieścia i więcej kościotrupów, tworzą często kwadrat, prostokąt albo koło i są pokryte płytami granitowymi, na których dopiero wznosi się kopiec ziemny lub grupa kamieni... Narzędzia i przedmioty znalezione w grobach obok kości zmarłych, należą do epoki kamienia polerowanego; we wszystkich tych grobach znaleziono w wielkiej ilości paciorki bursztynowe, które służyły do ozdoby“.

Jakkolwiek grobowce ludów przedhistorycznych w Europie, znane pod różnemi nazwami (dolmenów, menhirów, cromlechów) nie są rzadkie, a kurhany w Azji są nawet bardzo liczne, jednakże Ameryka przedewszystkiem słynie ogromną ich ilością. Archeolodzy amerykańscy odszukali, zbadali i opisali kilkadziesiąt tysięcy kurhanów, które tam nazywają *Mounds*; stwierdzili również, że wielka ich ilość rozoraną została pługami nowych osadników³.

Nie wszystkie „moundy“ amerykańskie są mogiłami; niektóre z nich były wielkimi obozowiskami i stanowiły zarazem

¹ Etnologowie rosyjscy: Radłów, Wereszczagin i inni, opisywali znamiona cielesne Kirgizów: wzrostu są małego, dobrze jednak zbudowani, krępi; szyja ich gruba i krótka, czaszka szeroka i mało wypukła, twarz płaska, kości policzkowe wystające, nos mały, spłaszczony, oczy drobne i skośno osadzone, zarost twarzy nikły, barwa skóry brunatna.

² *Géogr. Univ.*, vol. v, p. 135.

³ Bancroft, *The Native Race of the Pacific States of North America*.

miejsce obronne, inne widocznie były świątyniami. Margrabia de Nadaillac w poważnem swem dziele, poświęconem przedhistorycznym pamiątkom amerykańskim, podaje następujące streszczenie¹. „Moundy są to wzniesienia sztuczne z ziemi, budowane ze ścisłością prawie matematyczną. Kształt ich jest różny: zwyczajnie są okrągłe, jajkowate, kwadratowe, rzadziej trójkątne i wieloboczne. Wysokość nie jest jednakowa: najniższe mają zaledwie kilka centymetów, najwyższe dochodzą do 30 metrów; średnica niektórych nie przechodzi jednego metra, innych zaś dochodzi do 300 metrów. Kurhany poświęcone uroczystościom religijnym zakończone są płaszczyzną, do której dojść można bardzo zręcznie zrobioną ścieżką; aby się dostać na wierzchołek innego rodzaju kurhanów należy pokonać niezwykle trudności. Niejednokrotnie kurhany znajdują się na wzgórzach, częściej jednak rozsiane są po równinach i ciągną się wzdłuż mil kilkanaście... Taylor ze wzgórza panującego nad doliną Merced naliczył ich tysiące... Napotykają się również kurhany rozmieszczone metodycznie i otoczone wałami ziemnymi. Lecz wszystkie, jakiegobądź kształtu i wielkości, mają między sobą uderzającą analogię; są one widocznie dziełem jednej rasy, która ulegała tym samym wpływom i działała pod naciskiem tych samych przyczyn“.

Wśród kurhanów amerykańskich wyróżniają się niektóre z nich szczególnym kształtem, mianowicie zaś, kontury tych kurhanów wyobrażają zwierzęta, płazy, ptaki. Takie kurhany są bardzo liczne w całym Far West, w stanach Iowa, Ohio, Illinois, Missouri, Indiana, szczególnie zaś w Wisconsin, gdzie ich liczą na tysiące. Kształty nadane kurhanom są tak dokładne, iż na pierwsze wejrzenie rozeznać można, jaki rodzaj zwierzęcia jest przedstawiony; są tam łosie, niedźwiedzie, wilki, pantery, orły, czaple, gęsi, jaszczurki, żółwie, węże, żaby, pająki. Niektóre z tych kurhanów są olbrzymiej wielkości. W Pewaukee żółw ma 450 stóp długości, kajman z Granville (Ohio) 205 stóp, małpa z Wisconsin 160 stóp.

¹ *Amérique préhistorique*, p. 83.

W tych kształtach kurhanów amerykańscy archeolodzy upatrują totemizm. Mogiły były wznoszone na grobach wodzów, kształt zaś tych mogił oznaczał pokolenie, do którego wódz należał, a które wyrażone było tetemem. To jedynie przypuszczenie tłumaczy nam kształty kurhanów, a zarazem wyjaśnia niektóre szczególniejsze ich kształty, jakie się spotykają. I tak w kilku miejscowościach znajduje się kurhan wyobrażający węża, kruszącego w swej paszczy głowę żółwia; inny znowu, w którym wąż miażdży w swych splotach postać ludzką; w Wisconsin przedstawiony jest człowiek, trzymający w swej ręce nogę łosia¹. Otóż w przypuszczeniu totemizmu te symboliczne przedstawienia łatwo się tłumaczy, mianowicie, pierwsze dwa kurhany są pamiątkowymi pomnikami zwycięstwa pokolenia „Węzów“ nad plemionami „Żółwia“ i „Człowieka“; trzeci kurhan wyobraża sojusz przyjazny między plemionami „Łosia“ i „Człowieka“.

Powyższy pobieżny przegląd identycznego zwyczaju sypiania kurhanów przez ludy północne Azji i Ameryki pozwala wnosić, że ten zwyczaj jest ich charakterystycznym znamieniem, musiał się tedy wyrobić przed ich rozłączeniem, co wreszcie przemawia za ich blizkiem pokrewieństwem.

5. Przemysł kruszcowy ludów Turajskich.

Badania archeologiczne pozwoliły historykom sięgnąć w odległą starożytność ludzkości, zajrzeć w działalność i ustrój ludów, o których przemileczały najdawniejsze opowieści dziejowe. Egiptologia i asyriologia opierając się na resztkach starodawnych pomników budowlanych i szczątkach przemysłu, szczególnież zaś na niezbitych pomnikach piśmiennych, szczęśliwie odnalezionych i z podziwem świata odczytanych, posunęły o wiele wieków wstecz nasze wiadomości z historii, lecz nie dosięgły początku społeczeństwa. Dzieci i potomkowie najbliżsi Adama nie porozumiewali się zrazu między sobą pismem, a tem samem nie zostawili na piśmie przejść dziejowych swego czasu. Co więcej, po wynalezieniu nawet pisma nie wszystkie ludy, na które już

¹ Conant, *Foot Prints of the Vanished Races*.

302

WÓWczas podzieliło się było społeczeństwo, znały je i używały; o ile dziś wiemy, kilka zaledwie ludów, bliżej z sobą spokrewnionych zapoznały się z tem wynalazkiem i z niego korzystały. Wynika stąd, że historia ludów pierwotnych i wielu innych ludów, choć późniejszych, ale niepiśmiennych, nie jest nam znana. Badacze jednak nie chcieli dać za wygraną, w braku pomników piśmiennych, korzystali z wykopalisk, jakie odgrzebano w różnych miejscowościach kuli ziemskiej; wykopaliska świadczyły o przebywaniu tam ludów przedhistorycznych, a okrucy ich przemysłu dostarczyły materyału do skreślenia ogólnych przynajmniej rysów dziejowych tychże ludów.

Jak wiadomo archeolodzy na mocy wykopalisk chronologicznie ułożonych, rozróżniają w dziejach pierwotnej ludzkości kilka epok, które stosownie do materyału i wyrobu narzędzi używanych w pewnych okresach czasu, nazywają epokami kamienia nieobrobionego, gładzonego, bronzu i żelaza. Epoki te następowały po sobie, jedna po drugiej, każda z nich trwała jakiś czas, stąd też, dla Europy przynajmniej, są wskazówkami chronologicznemi; mówimy dla Europy, albowiem epoki te w innych częściach świata nie miały tego przebiegu.

Przemyśl ludzki rozwijał się stopniowo; rzeczą jest pewną, że najbliżsi potomkowie Adama używali narzędzi drewnianych i kamiennych; epoka kamienna odnajduje się na całej niemal kuli ziemskiej, jednakże nie wszędzie trwała ona jeden i ten sam czas, i dziś jeszcze są ludy, które nie przekroczyły tej epoki, i dziś jeszcze używają tylko narzędzi drewnianych i kamiennych. Ale nie trzeba tak daleko szukać; w naszym kraju do niedawna jeszcze wieśniacy nasi obywali się prawie bez żelaza, majątniejsi sprowadzali z zagranicy broń, narzędzia i inne wyroby żelazne: w wieku dopiero przeszłym powstały u nas huty żelazne, a przy końcu dopiero tegoż wieku, robotnicy nasi nauczyli się hartowania stali w Suchedniowie.

Wynalazek obrabiania kruszców, bronzu a przedewszystkiem żelaza był nadzwyczaj ważnym wypadkiem, potężną dźwignią w kulturze materyalnej. W jakiej mianowicie miejscowości powstał ten przemysł i wśród jakiego ludu, do ostatnich prawie

czasów nie było wiadomo, najnowsze dopiero badania rzuciły nieco więcej światła i pozwoliły sięgnąć do samych początków tego przemysłu.

Najdawniejszą wzmiankę o wyrobach kruszczowych posiadamy w Piśmie św.: Sella też urodziła Tubalkaina, który młotem robił i był rzemieślnikiem wszelkiej roboty od miedzi i żelaza¹. Tubalkain, albo jak mają LXX Tubel był tedy wynalazcą przemysłu kruszczowego. Rzeczą jest prawdopodobną, że następcy Tubela prowadzili dalej przemysł kruszczowy a wynalazek swój trzymali w tajemnicy, jak się to dzieje i dziś jeszcze wśród ludów murzyńskich Afryki. Gdzie przemieszkował Tubalkain, w jakiej miejscowości powstał ten przemysł, Biblia tu nie wspomina, jednakże z innego miejsca Pisma św. możemy, choć w przybliżeniu, oznaczyć miejsce pobytu Tubalkainów.

Tubalkain był szóstym z rzędu potomkiem Kaina; wynalazcy zatem metalurgii byli Kainitami. Otóż po dokonanym zabójstwie, Kain odłączył się od wspólnej dotąd rodziny: I wyszedłszy Kain od oblicza Pańskiego, mieszkał wygnanecem na ziemi, ku wschodniej części Eden². Kain odłączył się od wspólnej rodziny moralnie i materyalnie.

Kain był odstępca, porzucił Boga³, tak on, jak jego potomkowie uważani byli za złych, w przeciwieństwie do potomków Seta, których Pismo św. zowie „synami bożymi“, z tem wszystkim ci Kainici byli przodownikami w kulturze materyalnej⁴.

¹ Ks. Rodz., iv, 22.

² Ks. Rodz. iv, 16.

³ „Egressus est ab ea terra et loco, ubi Deus faciem suam ostendere solebat, i. e. praesentiam suam declarare edendo oracula, reddendo responsa et sub aspectabili forma humanae naturae cum primis illis hominibus familiariter loquendo“. B. Pererius, *Com. in Genesim*.

⁴ „Ejecta item e regione Eden Caini stirps novum auspicatur progressum, habent quippè vel poenae divinitus hac in terra inflictæ aliquid admixtum benedictionis. At hic alter progressus terrestris totus et mundanus est... Cainitarum genus insolens, lascivum, impium: novit quippe vel perversis ad suos fines uti Deus“. F. de Hummelauer S. J., *Com. in Genesim*, p. 184.

Kain ze swoją rodziną odszedł na wschód, zapewne od Edenu, a jak mają LXX. do ziemi Nod. Gdzie leżał raj, nie wiadomo. Komentatorowie Pisma św. podawali najrozmaitsze przypuszczenia, umieszczali położenie raju we wszystkich częściach świata, jednakże najbardziej poważne dowody przemawiają za Azyą zachodnią, mianowicie za Chaldeą i wyżynami Pamiru. W takim razie Azya środkowa, a w szczególności pustynia Gobi lub sąsiadujące blisko z nią kraje byłyby ziemią Nod, i tam należy szukać początku przemysłu kruszcowego.

Przedewszystkiem możemy stanowczo stwierdzić, że najdawniej znane w historii ludy, które wysoko posunęły kulturę materyalną, nie są wynalazcami metalurgii.

Chińczycy nie byli wynalazcami metalurgii. Bakowie, podczas wtargnięcia swego do Chin, nie znali kruszców; wśród dwustu pierwszych hieroglifów, które są podstawą pisma chińskiego, zaprowadzonego przez Baków, niema żadnego, któryby wyrażał jakikolwiek kruszec. Kroniki chińskie, zgodne całkiem z tym wnioskiem zaznaczają, że dopiero za czasów cesarza Ju, dwadzieścia wieków przed naszą erą, Chińczycy poczęli używać wyrobów kruszczowych, nie wyrabiali jednak żadnych przedmiotów z brązu i żelaza, a przymysł ten począł się rozwijać dopiero na dynastyi Czeu (1123—247). Te same kroniki pouczają nas, że tubylecy, w prowincyi tybetańskiej, których Bakowie również podbili, mianowicie mieszkańcy Miao-Ceu, używali noży i siekier żelaznych, które u siebie wyrabiali.

Aryowie, którzy wkroczyli na półwysep Hinduski, nie byli wynalazcami metalurgii, jak wiemy z Wedów, zastali już w kraju wysoko rozwiniętą cywilizację, wyroby żelazne w powszechnem używaniu. Dzisiejsi kowale i rzemieślnicy innych kruszców w Indyach nie należą do wyższych kast, są Sudrami, a ponieważ według wiekowego zwyczaju rzemiosła przechowują się tam dziedzicznie, stąd też i pierwotni rzemieślnicy kruszczowi na półwyspie hinduskim nie pochodzili od Aryów.

Aryowie wprowadzili przemysł brązowy do Europy, ale nie byli jego wynalazcami.

Dzięki badaniom archeologicznym znamy dziś przedhisto-

ryczną epokę brązową w Europie. Archeologowie rozróżniają dwa całkiem różne rodzaje wyrobów brązowych, jakie tutaj wydobyto, mianowicie: brązy, pochodzące z zachodniej, północnej i wschodniej Europy, i brązy, pochodzące z Grecyi i krajów, leżących nad morzem Śródziemnem. Brązy pierwszego rodzaju są podobne do wyrobów brązowych, jakie się spotyka w Syberyi; drugi zaś rodzaj odnajduje się na Kaukazie i w Małej Azji. Otóż, te dwa rodzaje brązu odpowiadają dwom różnym momentom historycznym. Brązy pojawiają się w Europie wraz z wkroczeniem tamże Aryów. Aryowie wtargnli do Europy dwoma szlakami: Grecy i ludy romańskie przez Kaukaz i wprost z Azji Mniejszej; Celtowie, Germanowie i Słowianie przez południowo-zachodnią Syberję. Wynika stąd, że Aryowie nie wynaleźli brązu w Europie, lecz wynalazek ten przynieśli z sobą z Azji, a nadto nie oni byli wynalazcami tego przemysłu, albowiem, jak świadczy w syem uczonem dziele dr. Jan Ranke¹, tak jedne, jak i drugie brązy pochodzą z tego samego źródła, prastarego ogniska metalurgicznego w Azji.

Chamici, którzy zajęli Egipt, zastali tam epokę kamienną. Archeologowie opierając się na wykopaliskach wnoszą, że Egipcyanie znali bronz w XX. już wieku, a może nawet dawniej², ale nie byli jednak wynalazcami metalurgii, dla tej dobrej przyczyny, iż Egipt nie posiada rud kruszcowych; wyroby kruszczowe prawdopodobnie sprowadzali z zagranicy.

Wreszcie przychodzimy do Babilonu. W grobach prachal-

¹ „Die Richtung, in welcher Sophus Müller die Bronzekultur zuerst in Nordeuropa einziehen lässt, ist sonach die gleiche, in welcher der ge-läufigen Annahme nach die Einwanderung der Germanen aus Asien erfolgt ist. Dabei weist manches darauf hin, dass die nordeuropäisch-sibirische Bronzegruppe eine Ausstrahlung nach einer, die südeuropäische eine zweite Ausstrahlung nach anderer Richtung gewesen ist, beide ursprünglich aber von Einem uralten Kulturzentrum Asiens ausgehen“. — Dr. J. Ranke, *Der Mensch*, II Band, S. 593.

² „Il est probable que les statuettes de bronze de la collection du Louvre, que l'on fait remonter à l'époque des pyramides, c. a. d. 3600 ans avant notre ère, sont composées, d'un alliage de cuivre et d'étain“. G. Bapst, *Rev. des quest. scient.*, vol. XXIII., p. 355.

dejskich¹, które nie są późniejsze od najstarszych grobowców egipskich, znajdują się wyroby ze złota, bronzu i żelaza; najliczniej przedstawia się bronz, wszystkie narzędzia i sprzęty domowe były z bronzu, żelazo znachodzi się rzadko i używane było tylko do ozdób. Z tegoby wynikało, że na czterdzieści wieków przed naszą erą przemysł kruszcowy był znany w Chaldei, a stąd prawdopodobnie wniesć można, że ludy, które tam zamieszkiwały, były potomkami, lub blisko spokrewnionymi z tymi które wynalazły metalurgię. Jakie ludy zamieszkiwały wówczas ten kraj? Rzeczą jest niewątpliwą, że byli tam Semici i Chamicci; ci ostatni byli zdobywcami i przyszli tam z Nemrodem; jaki lud zastali tam zdobywcy? Na to pytanie niema jeszcze dziś dostatecznie pewnej odpowiedzi, jednakże znaczna część asyryologów, opierając się na pomnikach językowych, jakie tam znaleziono², utrzymuje, że najdawniejsze języki Akkadu i Sumeru są aglutynacyjne, a stąd i tubyley pierwotni należeli do szczepu uralo-ałtajskiego, a więc turajskiego. Za tem przypuszczeniem przemawiają również wykopaliska. Sarzec mianowicie odgrzebał w tych stronach archaiczne posągi kamienne (obecnie znajdują się one w Luwrze), których postacie przedstawiają bezsprzecznie typ mongolski.

Wzmianki dawnych historyków o przemyśle kruszczowym

¹ Sargon zwany „Stary“ panował w Chaldei w r. 3800 przed Chr. Już w tym czasie Akkad był ogniskiem cywilizacyjnym; kroniki spisane na 70 tablicach językiem aglutynacyjnym, przetłumaczone zostały za Asurbanipala na język asyryjski; sztuka stała wysoko, walec porfirowy z tej epoki znaleziony i opisany przez Menant'a (*Recherches sur la Glyptique orientale*, v. I, p. 73) zaliczony jest do arcydzieł rzeźby. O wykopaliskach chaldejskich cenne dzieło wydał Heuzey-Sarzec: *Découvertes en Chaldée*.

² Jeden z dowodów, jakie przytaczają, jest mianowicie ten, że, podczas kiedy wszystkie zwyczajne przedmioty, nawet złoto i srebro wyrażone są w piśmie klinowem przez znaki pojedyncze, żelazo, bronz i cyna, są wyrażone znakami nader złożonemi. Jak to widzieliśmy poprzednio, rzecz się ma tak samo w piśmie chińskiem. Z tych faktów można, zdaje się, na pewno wysnuć, że wynalazcy pisma nie znali metalurgii; a jeżeli przemysł kruszcowy powstał i rozwinął się wśród ludów Turajskich, jak zatem wiele przemawia dowodów, wówczas wynalazek pisma przynależy się potomkom Noego, prawdopodobnie Chamitom.

i o najdawniejszej kulturze ludów wskazują że północno-zachodnia Azja była pierwotną kolebką cywilizacyi.

„Słynny ustęp historyka Justyna — pisze sumienny badacz francuski¹ — poucza nas, że Azja zachodnio-północna przez przeciąg piętnastu wieków była w posiadaniu Scytów, których uważa za najdawniejszy lud na ziemi, dawniejszy nawet od samych Egipcyan. Ta wiadomość historyczna, którą Trogue-Pompejusz zaczerpnął z podań miejscowych mieszkańców, potwierdzoną została przez badania naukowe i jest uznana za fakt historyczny, mający za sobą poważne dowody“.

Wiemy z Herodota, że kupcy greccy przywozili złoto i wyroby kruszczowe z Kaukazu i Zachodniej Azji, zapuszczali się dalej na Wschód do Toboła i Irtysza, do ludów Issedon, które karawanami sprowadzały złoto z Altaju. Kroniki chińskie i muzułmańskie przechowały podania o ludach żyjących na południe od Altaju; ludy te oddawały się wyrobom kruszczowym, a przede wszystkim żelaza, sąsiadowały z krajem Miao-Ceu, gdzie Baskowie zastali przemysł żelazny szeroko rozwinięty. W tych też miejscowościach leży starożytne miasto Khotan, po sanskrycku Kostana, które niektórzy identyfikują z miastem Henoch, jakie wybudował Kain, a w którym, według podań chińskich i hinduskich istniał przemysł żelazny od niepamiętnych czasów².

Trudności w wykazaniu miejsca, gdzie pojawił się pierwszy przemysł żelazny, pochodzą przeważnie stąd, że ruda żelazna znajduje się w bardzo wielu miejscowościach kuli ziemskiej; inaczej się rzecz ma z przemysłem brązowym.

Jak wiadomo, brąz jest mieszaniną miedzi i cyny; wyrób jego mógł powstać tylko w okolicach, gdzie są kopalnie tych kruszców, a ponieważ kopalnie cyny są nader rzadkie, stąd znajomość miejscowości tych kopalni da nam bliższe wskazówki odnalezienia pierwotnego siedliska tego przemysłu.

Jeżeli pominiemy kopalnie cyny w Anglii, na wyspach Oceanu Indyjskiego i w Chinach, były one bowiem o wiele wie-

¹ Lenormant, *Les Origines*, p. 189.

² Baron d'Eckstein, *Histoire de la ville des Khotan*.

ków później odkryte, ludy przedhistoryczne mogły jedynie dobywać cynę z Ałtaju i z Banian w górach Hindu Kusz. W tych tedy tylko krajach, lub blisko z nimi sąsiadujących, mógł powstać przemysł bronzowy; a ponieważ bronz stanowi epokę cywilizacyjną, stąd ludy, które zamieszkiwały te kraje słusznie uważać należy za przodowników cywilizacji.

Do ostatnich prawie czasów sądzono, że ludy przedhistoryczne na Kaukazie zajmowały się wyrobami bronzowymi, poszukiwania dopiero Chantre'a¹ wykazały, że to mniemanie jest błędne. A najprzód, na Kaukazie niema kopalni cyny; dalej, wśród wykopalisk kaukaskich znaleziono dotąd bardzo mało wyrobów bronzowych, a rodzaj tych wyrobów, jak i cała kultura odgrzebana w grobach, wskazuje pochodzenie z Mezopotamii. Najnowsze badania dochodzą do wniosku, że Ałtaj i Hindukusz są dwiema najdawniejszemi miejscowościami, w których wydobywano cynę².

Baron d'Eckstein opierając się na podaniach Aryów, zamieszczonych w Aweście i Wedach, dowodzi, że istniały ludy, które czeili bożków metalurgicznych; otóż, ponieważ rzeczą jest nader prawdopodobną, że te właśnie ludy były wynalazcami przemysłu metalurgicznego, więc odpowiedź na pytanie: jakie to były ludy, rozwiązałaby zarazem zasadniczą kwestyę naszego niniejszego badania.

Przedewszystkiem uczony francuski sądzi, że te ludy nie dają się zaliczyć do Chamitów. „Są ludy — pisze on³ — które czezą bożków podziemnych, mających stosunek i wpływ na urodzajność ziemi; inne ludy oddają cześć bogom, mającym związek z metalurgią i tutaj właśnie przeważa kult magiczny i zabobonne praktyki. Otóż, ten kult i te ludy nie mają nic wspólnego z Kuszytami, Fenicyanami, Egipcyanami i Chananeńczy-

¹ Ernest Chantre, *Recherches anthropologiques sur le Caucase*.

² „Matériellement comme moralement, ce sera toujours en Asie qu'il faudra chercher la source première de l'étain, et, pour nous résumer, l'étude des faits nous ramène toujours aux deux sources de l'Altai et de l'Hindou-Kouch“. G. Babot, *L'étain dans l'antiquité*.

³ *Athénium français*. 1854.

kami, wogóle z żadną gałęzią ludów Chamičkih. Czy można nawiązać jaki węzeł pokrewieństwa tych ludów z Aryami, z rodzinami ludów hindo-europejskich? Żadnym sposobem; a również nie można, wynaleźć najmniejszego pokrewieństwa między temi ludami a ludami semickimi. Kult tych bożków metalurgicznych, tego zastępu duchów, istot fantastycznych, często śmiesznych, powiązany jest z podaniami o starym świecie, o którym przechowały się podania u Aryów i Semitów, jednakże w przeciwnem wprost znaczeniu, mianowicie te postacie bożków metalurgicznych nie zasługują całkiem u tych ostatnich na szacunek, a tem mniej na cześć... Aryowie boją się tych bożków, ale zarazem nienawidzą ich i nimi gardzą“.

W dalszym ciągu swej pracy, taką daje autor pozytywną odpowiedź na pytanie: jakie to mianowicie ludy były wynalazcami przemysłu kruszcowego. „Mamy podania ludów tureckich, mongolskich, tunguskich, które w pomroce dziejów zajmowały się metalurgią w górach altajskich. Dalej, idą ludy fińskie, poczynawszy od dolin uralskich aż do kończyn półwyspu Skandynawskiego. Ludy te były wyrugowane ze swych dawnych siedzib przez nadchodzące ludy aryjskie; rzeczą jest prawdopodobną, że jednej z odrośli tych ludów należy szukać w Tybecie, w dolinach Lahdak'u i Baltistanu... Jest również wielkie prawdopodobieństwo, że tuziemcy dolin Wakhanu i Tokharestanu należały do tegoż samego szczepu, który był wynalazcą i rozkrzewicielem przemysłu metalurgicznego“.

Najnowsze badania etnograficzne i etnologiczne północnej Azji o tyle potwierdzają ten wynik, że wykazują w zachodniej Syberyi ślady prastarej kultury a w szczególności prastarego przemysłu metalurgicznego. Kraj ten był niegdyś bardziej zaludniony aniżeli jest dzisiaj; świadczą o tem nieprzeliczone kurhany, o których już wyżej pisaliśmy, kultura zaś tubylców ówczesnych nie może iść w porównanie z kulturą obecnych mieszkańców, a jak świadczą wykopaliska, stała tam daleko wyżej aniżeli w Europie w epoce brązowej.

Dzisiejsze bogate kopalnie kruszców w Uralu i Altaju powstały dopiero w dwóch ostatnich stuleciach, otóż, w tych wła-

śnie miejscowościach istniał przed wiekami bardzo rozwinięty przemysł kruszcowy. Stolica uralskiego okręgu górniczego, Wierho-Turie, założona została w r. 1598 na miejscu, które mieszkańcy tamtejsi nazywali „gorodiszcze Wogułów i Czudów“, i gdzie istniały ślady dawnych kopalń. Wierho-Turie, jak sama nazwa wskazuje, leży na górnych wybrzeżach rzeki Tury; ta nazwa nie jest bez znaczenia, a nawiązuje się do ogólnej nazwy, jaką historycy dali ludom, które zamieszkiwały te okolice.

W Altaju znajdują się bogate kopalnie żelaza, miedzi, niklu, srebra i złota; kopalnie te znane były w czasach nader odległych. Inżynierowie Demidowa znaleźli cały kraj poświadrowany i powyżłabiany galeryami dawnych górników¹. Już Pallas wspominał, że w jednej galeryi odgrzebano szkielet górnika przedhistorycznego, a obok niego resztki woru skórzanego wraz z rudą kruszczową.

Rozkopane kurhany sybirskie obznajomiły nas z przemysłem kruszczowym tych ludów.

Już w czasie swej bytności w Minusińsku w roku 1733, Gmelin² widział tam mnóstwo wyrobów starożytnych ze złota, srebra i miedzi; pochodziły one z kurhanów, były nader liczne i za bezcen można je było nabywać. Wiele z tych wyrobów przepadło na zawsze, jednakże oprócz zbiorów prywatnych, Muzeum archeologiczne w Barnaule przechowało bardzo bogaty zbiór kruszczowych przedmiotów przedhistorycznych. Castren³ i archeolodzy rosyjscy zapewniają, że niektóre z tych wyrobów, szczególnie ze złota, są nadzwyczaj misternej roboty; wazy brązowe, na których w płaskorzeźbie były przedstawione różne zwierzęta, do arcydzieł zaliczyć można; sztuka ceramiczna stała też wysoko.

Na południe od Pamiru, w kraju zwanym Badakchan, w szczególności zaś na wybrzeżach rzeki Koczy, oprócz słynnych na cały świat kopalń rubinów i *lapis-lazułi*, znajdują się bogate ko-

¹ Ruprecht, *Bul. de l'Acad. des sciences de S. Peters.* 1866. Ledebur, *eise durch das Altaï-Gebirge.*

² *Voyages dans différentes parties de l'empire de Russie.*

³ *Reisenberichte und Briefe.*

palnie miedzi, ołowiu, alunu, siarki, żelaza i złota, a według podań miejscowych, dobywano je tam od niepamiętnych czasów. Mieszkańcy Badakchanu uważani są na Wschodzie za nadzwyczaj biegłych kowali, słynęli już za czasów greckich, a cały ten kraj należał do greckiej Baktriany.

Znakomite badania Castren'a wykazały, że w czasach przedhistorycznych cała niemal zachodnia i część środkowej i południowej Syberyi, od ujścia Obi po środkowy Irtysz, od gór Uralskich do Niżnej-Tunguski była zajmowana przez lud potężny i przemysłowy, któremu, oparci na podaniach, tuziemcy dają nazwę Czudów. Jeszcze w II. w. przed Chr. kraje nad Oksusem dzierżył szczep Turajski. Czudowie, wyparci ze swych siedzib przez różne pokolenia mongolskie, rozbici i wygładzeni przez zwycięzców, zniknęli z widowni dziejowej; potomkowie ich żyjący w Syberyi, podzieleni na liczne pokolenia, noszą dziś różne nazwy. Według Castren'a, najbliższymi potomkami Czudów byłiby Ostyacy, jedno z tych pokoleń nosi nazwę, która przypomina Tubalą, wynalazcę przemysłu kruszcowego.

Lenormant, który znaczną część swego dzieła „O początkach“ poświęcił badaniom pierwotnego przemysłu kruszcowego, temi słowy kończy swą pracę: „Czyż nie powinniśmy zawnioskować, że autor rozdz. IV. Księgi Rodzaju, miał na myśli Turyów, kiedy nam dawał rodowód Kainitów? W istocie, niema tam ani jednego szczegółu, któryby się nie stosował do tego szczepu i jego przeszłości. Kainici pierwsi odłączyli się od wspólnego pnia Adamowego, pierwsi budowali miasta, wynaleźli metalurgię i różne sztuki; oni właśnie odstąpiwszy od Boga, oddawali się obrzędom zakazanym i z tego powodu popadli w nienawiść u innych ludów: tacy byli Kainici i tacy też przedstawiają się w historii i podaniach Turyowie“¹.

Powyższy pobieżny przegląd dziejów, odnoszących się do powstania i pierwotnego rozkwitu przemysłu kruszcowego doprowadza tedy uczonych etnografów do upatrywania ścisłego pokrewieństwa między Kainitami i Czudami, a tem samem lu-

¹ *Op. cit.*, p. 204.

dami Turajskimi. Otóż, jakkolwiek dowody, które ci badacze podają, nie są ściśle przekonujące, jednak nie można ich pomijać milczeniem, bo nietylko wiążą się z naukowym rozwojem etnografii, ale też posłużyć mogą do wyjaśnienia ważnej kwestyi, dotyczącej etnicznej powszechności potopu. Kwestya ta, jak wspomnieliśmy w pierwszym artykule o Chińczykach, omawiana dziś szeroko przez pisarzy katolickich, nie jest dotąd między nimi rozstrzygnięta. O. de Hummelauer T. J. w znakomitem swem dziele *Commentarius in Genesim* podaje wyczerpujący przebieg całej sprawy. Sam zaś zastrzega się, że tej kwestyi swym osobistym sądem nie chce rozstrzygać¹. Otóż dobrzeby było, ażeby zwolennicy „powszechności“ chcieli go naśladować. Powściągliwość ta uczonego komentatora jest godna uwagi i naśladowania; a dopóki Kościół, pod którego okiem² broniony jest „częściowy“ potop, nie dotąd nie orzekł, dobry katolik może swobodnie obstawać przy każdej z trzech hipotez.

Ks. W. Zaborski.

¹ „Ceterum sequentibus non illud intendimus, ut quaestionem, de qua acris inter auctores est controversia, nostro privato iudicio dirimamus, vel recentiorum sententiae prae altera lectorum animos conciliemus, aut eam vere probabilem asseramus: sed, quo loco disputatio sit, recensitis utriusque partis et patronis et argumentis, demonstrare adnitimur“. *Op. cit.*, p. 337.

² „Die 14 decembris, 1892, I. Semeria Barnabita in aedibus Congregationis Propagandae Fidei, praesidente Illustr. Cardinali Vicario ei concessui, qui quarti anni Societatis Romanae pro studiis biblicis erat primus, publice tuitus est libertatem interpretibus concedendam in quaestione de universalitate diluvii relativa“. *Com. in Genesim*, p. 255.

KOLEGIUM POLSKIE W RZYMIE.

(Dokończenie).

Z początkiem roku 1865 ks. Semenenko był w Krakowie „Przyjechawszy — pisze 5 stycznia do ks. Kajsiewicza — miałem zamiar około Nowego Roku wyjechać. Tymczasem takie się tu otworzyły stosunki i interesa, żem wyraźnie potrzebował dłuższego czasu. Ponieważ spólcześnie wskutek licznych prośb rozmaitych osób ks. Serwatowski przyszedł mię zaprosić z kazaniem do św. Piotra; przyjąłem zaprosiny na trzy kazania aż do przyszłej niedzieli 8 stycznia. To takie miłe, że w tym kościele Skarga kazał i że to ta sama kazalnica. P. Jezus i tu wyraźnie pobłogosławił. Kochany Walery (Wielogłowski) wyszedłszy zawołał: Zwycięstwo! Niech wszystko Pana chwali... Nie uwierzysz, Ojeze, jak młode duchowieństwo nam przychyłne. Miałem we Lwowie osobiste dowody, prócz tego publicznego np. że na ostatniem kazaniu we Lwowie, niemal wszyscy księża, którzy tylko mogli, znajdowali się; a tu zaraz na pierwszym mnóstwo; i z kim się z nich spotkasz widzisz to najprzychylniejsze usposobienie... Już pisałem, że z biskupem przemyskim w najlepszych stanąłem stosunkach, rzekłbym czułych i przyjacielskich, chociaż to najzimniejszy człowiek. O Pukalskim nietylko powiem, choć mnie najlepiej przyjął. Ale rodzaj tego przyjęcia odmaluję kiedy powiem, że na końcu obiadu musiałem z nim samym (bośmy dwaj tylko byli) wypić całą butelkę szampańskiego wina. Szczęściem, że na mnie wino nie prędko skutek wywiera, a tem mniej szam-

pańskie, więc mogłem bez szwanku przebyć tę kąpiel... Ks. Dunajewski zdecydował się do nas wstąpić. Mielśmy rozmowę. Na kilka godzin tu przyjechał. Opowiem za widzeniem się, da Bóg, jego historię. Tymczasem jego zgłoszenie się zdaje się opatrzone przez wzgląd na seminarium“. Z Krzeszowic donosi 23 stycznia: „Zrobiła się i inna rzecz i przygotowanie dziennika katolickiego (politycznego i codziennego) w Galicyi, a mianowicie we Lwowie, jako punkcie najlepszym. Będąc we Lwowie już czynilem do tego kroki, ale tam nie się zebrać nie mogło. Chciałem tedy w Krakowie. Wielogłowski otrzymał właśnie pozwolenie wydawania dalej *Ogniska*, ale tą razą politycznego — tylko, że nie więcej, jak dwa razy na miesiąc. Byłby to *Przegląd*, tylko częstszy od poznańskiego. Gwałtowna tu potrzeba dziennika politycznego, coby całą prawdę powiedział. Przyjąwszy tedy *Ognisko*, jako jedyną rzecz możebną, naradziliśmy się we czterech (Paweł Popiel, Walery Wielogłowski i Mann ze mną) nad jego warunkami, kiedy wśród rozmowy przychodzi list ze Lwowa od Maurycego Dzie duszyckiego, wzywający Pawła do Lwowa w celu tegoż dziennika. Było to następstwem naszych lwowskich narad. Paweł natychmiast ruszył do Lwowa“.

Tymczasem ks. Koźmian wzywał gorąco ks. Semenenkę do Poznania. „Niewidać Ojca i niewidać. — pisze pod koniec stycznia — Bardzo nas to dziwi, i wierzą Ojciec, że wiele stąd złego. Potrzebowaliśmy bytności Ojca. Dziś ani wiemy, gdzie Ojca szukać. Ten list bierze p. M. jadąc do Wiednia. Przyjeżdżaj Ojciec, ale tak: Przez p. M. powiedz dzień (naznacz nieodzownie). W Wrocławiu, tu jadąc, nie zatrzymuj się, bo gruchnie i może to narobić hałasu. Przyjedź prosto do Czempinia. W Czempiniu będą czekać konie ze Szolder. Chodzi, żebyś nie kolejną przyjechał do Poznania. Staś ze Szolder przywiezie Ojca powozem. Wszystko się zrobi i ani się spostrzegą. Mój Ojciec, uczyn jak Cię proszę, ściśle się trzymaj wskazówek, naznacz stanowczo dzień i przybywaj. Bardzo potrzebny“. Ks. Kajsiewicz pisał także: „Piszę dziś głównie, abys był w Berlinie u Augusta Cieszkowskiego. Wiem *in confidenza*, że mu się myśl seminarium w Rzymie bardzo podobała i jest podobieństwo, że się na bursę zdobędzie. Wiem

także, że mając u siebie zebranie literatów, zaprotestował, gdy chcieli encyklikę rozbiierać“.

Musiał się ks. Semenenko dobrze uwijać, kiedy z Wiednia wyjechawszy 30 stycznia, 12 lutego z rana był już w Paryżu. Tu już mu ks. Jełowicki wszystko przygotował. Dnia 18 lutego otrzymał list od Władysława Zamoyskiego. „Kochany Ojcze! Widząc dziś rano p. Drouin de l’Huys, nadmienilem o polskiem seminaryum w Rzymie i o wyłącznem OO. Zmartwychwstania przyspasabianiu księży do obu obrządków. Zapytałem, czy Francya, która szkoły polskie zasila w Paryżu, a Zmartwychwstańców w Adrianopolu, nie uznałaby rzeczą stosowną rozszerzyć opiekę swoją i do polskiego w Rzymie seminaryum? Odpowiedział, zachęcając do podania mu o tem noty. — Czy mnie Ojciec zechce użyć do tego? — a w takim razie, czybys mi nie dał materyałów do takiej noty? Najżyczliwszy sługa, W. Zamoyski“.

8 marca ks. Semenenko był już w Rzymie. Sprawa kolegium musiała być raz już rozstrzygniętą. „Księżna — pisze ks. Kajsiewicz do ks. Jełowickiego — miała być w tych dniach u kardynała (Antonellego) i postawić go ze sumieniem wobec Boga i powiedzieć mu, że, jeżeli sądzi, że seminaryum niepotrzebne albo szkodliwe, niech stanowczo Ojca św. przekona, a wtenczas wszyscy się usuniemy; a jeśli tak nie sądzi, niechże nie uważa na opozycje ludzkie polityczne. Mgr. Franchi miał to samo uczynić z mgr. Berardim, a potem jutro przypomnieć Ojcu św. mianowanie komisji (gdyż w komplecie jeszcze nie była, ani urzędownie mianowana) *Lasciamo far Iddio*, boć to sprawa Jego. Ufajmy Bogu, który nas doświadcza, ale nie opuszcza. Nie byłoby zasługi robić ślub ubóstwa, by mieć zawsze wszystko, co potrzeba pod ręką“. W dalszym ciągu donosi: „O. Piotr podał się o audyencyę i rychło zapewne ją dostanie. Ale gdy mgr. Franchi przedstawił raport O. Piotra, spytał: „A pieniądze na dom są?“ Odpowiedział, że są. „A więc zaczynać“ rzekł żywo. Jak skoro to samo powtórzy ks. Piotrowi, to wraz się kontrakt zawrze, i to na nasze imię (i to się stanie dzięki opozycyom dyplomatycznym) bo papież nie zechce sam na pierwszym planie stawać. *Lasciamo far Iddio*“. (17 marca).

Audyencyę swoją u papieża tak opisuje ks. Semenenko w liście do ks. Jełowickiego (25 marca): „Byłem u Ojca św. w poniedziałek przeszły. Przyjął mnie najlaskawiej. Opowiedziałem mu całą moją podróż: wyrachowałem obietnice obecne i dalsze. Przedstawiłem z drugiej strony, że dom tutaj jest zaraz do wzięcia, a ponieważ drogi Ojciec Aleksander uprzedził nas telegrafem że może być na zawołanie suma, więc powiedziałem, że i pieniądze są do opłacenia pierwszej raty. Dodałem że biskupi galicyjscy czekają tylko na wezwanie Ojca św., aby przysyłali swoich alumnów, a z drugiej strony, wezwanie Ojca św. ułatwi im stosunek z rządem, bo na tem wezwaniu się opierając, będą tylko potrzebowali dać znać o niem rządowi, dodając, że według tego postępują, a nie prosić pozwolenia. Rezultat ten: żeby tu natychmiast otworzyć seminaryum, a otworzywszy dopiero napisać owo wezwanie do biskupów. Ojciec św. wszystko to przyjął, i kazał żebym mgrowi Franchi przypomniał, by mu to na swej audyencyi przedstawił. Rzecz więc dobrze idzie“.

„*Deo Gratias. Alleluja!* Ojciec św. kazał dom kupić — woła ks. Kajsiewicz już 28 marca. — Obiecał napisać drugi list do biskupów galicyjskich, ale słusznie dodał: „Niech wprzód seminaryum będzie otwarte“. Tymczasem cicho, aby nieprzyjaciele nowych trudności nie narobili. Wyrażnie sam Ojciec św. chce aby seminaryum stanęło *via facti*, aby przeszkodzić nie można i aby dyplomacya mniej mogła się czepiać“. „Zyskaliśmy pewność, że Ojciec św. śmieiej występuje jako w sprawie swojej. Stwierdza to fackik inny. Robili w Kapitolu rusztowanie na koncert świętopietrski. Architekt pytał co zrobić z drzewem użytym, a Ojciec św. odpowiedział: „Oddajcie mgrowi Franchi do seminaryum polskiego, może że się im zdać“. A mówiąc mgrowi samemu o tem dodał: „Drobna to rzecz, ale zawsze będą wiedzieli, że papież o seminaryum myśli“.

Tymczasem nowe powstały trudności. „Przyszła niebardzo dobra depesza z Wiednia od nuncjusza — pisze ks. Semenenko 14 kwietnia — że tam ministryum wyznań oświadczyło mu: że jesteśmy rewolucyonistami albo resurrekeyonistami, co wszystko ma być jedno. Tłumaczy się to tem, że po Rehbergu nastąpił

Schmerling w ministerstwie spraw zagranicznych, a może też nuncyusz chciał tą depeszą dogodzić kardynałowi Antonellemu. Rzecz więc mogła odwlec się znowu. Księżna Odescalchi ostateczny szturm przypuściła do Antonellego. „Księżna Zofia była u kardynała — pisze ks. Kajsiewicz 29 kwietnia. — Miętko się bronił. Pytał raz jeszcze, dlaczego by nie umieszczać Polaków po różnych kolegiach już istniejących? Księżna odpowiedziała: bo nikt na to pieniędzy nie da. Polacy nie strawią tego, by w Rzymie szczególnie byli gorzej traktowani od wszystkich innych narodów. *Et bien, il faut que la chose se fasse. C'est juste.* (No cóż robić, trzeba już na to przystać. To słuszne“).

Ks. Kajsiewicz 6 maja wyjechał do Ameryki. Dnia 1 maja był na audyencji u Ojca św. dla otrzymania błogosławieństwa na drogę i upoważnienia do zbierania w podróży pieniędzy na kolegium polskie w Rzymie. „Spytał mnie — pisze ks. Kajsiewicz: *E bene, questo Seminario polacco si fa poi, o no?* Odpowiedziałem: *Vostra Santità ne sa più di me, ma io sono persuaso che si fa. Ma che cosa manca dunque per principiar? Mancano i biglietti per la Commissione. Ma perchè non me l' hanno ricordato? io ho tante cose per la testa. Non conveniva Santo Padre di parlarne nel tempo Pasquale, quando era oppresso di fatiche.* (Nie powiedziałem: byś Ojciec św. zapomniał głupią notę nuncjusza wiedeńskiego, i by tymczasem zneutralizować kardynała). *Dite dunque à Franchi che domani mi ricordi assolutamente questi biglietti. Mgr. Franchi aux Anges,* bo kardynał rozbrojony, a Ojciec św. u nas się dopomina o seminaryum. Kiedy Bóg chce czego wobec ludzi i szatanów trzeba tylko modlitwy, cierpliwości i trochę taktu, a rzecz się zrobi pomimo wszystkich trudności“.

Tak tedy w pierwszej połowie maja (1865 r.) komisya do seminaryum została już ostatecznie ustanowiona. Złożoną była z kardynała Paracciani Clarelli jako prezydenta i dodanych mu: monsignora Franchi, arcybiskupa Tessalonicznego, sekretarza św. kongregacyi spraw nadzwyczajnych, tudzież mgra Simeoni, rzeczywistego protonotaryusza apostolskiego, prałata domowego Jego Świątobliwości, sekretarza św. kongregacyi Propagandy do spraw wschodnich, jako członków tej komisyi; nareszcie mgra

Passerini, prałata domowego Jego Świątobliwości jako sekretarza. „Wszyscy już otrzymali swoje bilety z sekretaryatu stanu, to jest nominacje, podpisane przez kardynała Antonellego — donosi o tej nominacji ks. Semenenko 14 maja ks. Kajsiewiczowi. — Wszyscy bardzo są kontenci ze swej nominacji, poczynawszy od kardynała a skończywszy na mgrze Passerini, który pływa w swem szczęściu, bo to pierwsza jego nominacja na coś. Co więcej: Sam Ojciec św. mu ją zwiastował, i dodał, że go za uszy wytarga (zna widać że to dziecko), jeśliby się tego lata za Rzym wydalil, a nie pracował nad wprowadzeniem tej jego myśli do życia. Komisya ta miała już przedwczoraj swoje pierwsze inauguracyjne posiedzenie u kardynała. Sekretarz ma na przyszłej sesji przedstawić raport o stanie rzeczy całej i o wszystkim co się dotąd stało. W tym celu zaprowadził go wczoraj mgr. Franchi do Księżnej i do Mira (Czackiego); powiedziano mu tam wszystko, ale dzisiaj wskutek tego mnie proszono abym mu pomógł“.

Dnia 12 czerwca komisya ta wystosowała list do ks. Semeneki:

„Przewielebny Ojcze!

„Niżej podpisany Prezydent Papieskiej Komisji zajmującej się założeniem kolegium polskiego w niniejszem mieście, otrzymał dnia 29 przeszłego miesiąca jego cenny list z przyłączonem zdaniem sprawy o wypadkach misji przedsięwziętej przez W. M. Pana za wiedzą Ojca św. w Galicyi i Poznańskiem, w celu przysposobienia tamecznych władz kościelnych do przyczynienia się w założeniu wzwyż wzmiankowanego kolegium.

„Dziękując Mu za jego łaskawe udzielenie i winszując mu wielkiej gorliwości w tym razie okazanej, rokuje sobie, że zechcesz niebawem dać tejże swej gorliwości inne, i jeszcze świetniejsze dowody. Albowiem W. M. Pan łatwo sobie wystawisz, że aby wprowadzić w życie ten Zakład, jest zgoła koniecznem, by Duchowieństwo i inne zacne osoby przez niego nawiedzone przyczyniły się do tego zobowiązaniami rzeczywistemi i nieodwołalnemi, i ażeby już teraz zamieniły w czyny szlachetne i pobożne dotąd zapowiedziane intencye.

„W tym celu niżej podpisany i Komisya, której jest prezesem, chcąc skutecznie i jak najskwapliwiej przyjść w pomoc usiłowaniom Ojca św., sądzą być rzeczą niezbędną, aby wszystkie obietnice uczynione na korzyść kolegium, o których jest mowa we wzmiankowanym jego zdaniu sprawy, były jak najprędzej w sposób najodpowiedniejszy zapewnione i zabezpieczone. W. M. Pan tedy jesteś wezwany, abys z tą czynnością i skwapliwością, której tak szczęśliwy dotychczas wystawiłeś zadatek, przyłożył się do tego, aby się to stało i postawił nas przez to w sposobności łatwiejszego przyprowadzenia do skutku pożądanego założenia.

„Zechcesz w swoim czasie donieść mi o skutkach otrzymanych, wręczając mi właściwe akta mające się zachować w archiwum Komisyi.

„W tem porozumieniu, i prosząc Go o odpowiedź, mam zaszczyt oświadczyć się z prawdziwym szacunkiem i życzliwością, Przewielebny Ojciec,

najżyczliwszy i na usługi

Z Pałacu Konsulty
12 czerwca 1865.

N. Kardynał Paracciani Clarelli
L. Passerini Sekretarz Komisyi“.

Dowiedziawszy się o wezwaniu Komisyi, ks. Kajsiewicz pisze z Ameryki do ks. Semenienki: „Jako pesymista lękam się strasznej konfuzyi dla Ciebie i dla honoru imienia polskiego, bo może ani jedna bursa z kilkunastu obiecanych nie będzie zrealizowana; ale *vogue la galère!*“ Ks. Kajsiewicz dobrym był prorokiem. Ks. Semenienko rozpiśał listy do biskupów, kapituł i różnych osób; jedna tylko kapituła lwowska ofiarowała 2500 franków w papierach papieskich, obiecując z czasem więcej. Jedynie bursy były zawsze te tylko, które księżna Odescalchi ufundowała, to jest 3 w tym czasie (w następnych latach dała znowu 3), albo które u niej złożono za jej staraniem tj. hr. Branickiej, Potockiej i hr. Jana Nep. Żółtowskiego. Nowych nie przybywało. Że taki będzie wynik starań o fundusze w Galicyi, wiedział już ks. Kajsiewicz z listu swego przyjaciela ze Lwowa, który mu pisał jeszcze 5 kwietnia: „Com przewidział, to się stało: rząd

uniżenie zapytany, stanowczo zabronił kleryków do seminaryum wysyłać; ks. arcybiskup równie stanowczo od tego ręce umywa, a pani B. przekonaną została — przez kogo? — że O. Piotr żadnej misyi nie miał, że Ojciec św. przychylił się do żądania Ojców i pozwolił by składanki zrobić na to by, gdyby i jeśliby kto chciał w Rzymie teologii się uczyć, mógł na swoją rękę szczęścia próbować. Wspominam o tem, bo najjaśniejsza pani B. jest odgłosem ks. arcybiskupa. Z nim samym mówiłem i powiedziałem mu, że jeżeli w taki sposób wola Ojca św. jest uszanowaną, to P. Bóg potrafi za swego Namiestnika ująć się. Zrobiło to wrażenie, ale wybieram się do niego z niepospolitą oracyą. Przechorowałem to wszystko. Księża np. dowodzą, że trudne było położenie, bo rząd nie dopuściłby księży w Rzymie wychowanych, do żadnych posad, co rzeczywiście deklarował. Na to pocziwy p. Maurycy (Dzieduszycki) powstał bardzo energicznie przeciwko temu i powiedział, że mogą tu święcić się. Ale strach ma wielkie oczy, więc na to znowu racya, że rząd kontroluje (!) kleryków, czy ci się święcą, którzy zdrową Cezaricianą nauką karmieni byli; a że nie można narażać się na to, by rząd *subsidia* seminaryum wstrzymał. Na to p. Maurycy krzyknął: „owszem, do tego doprowadzić trzeba; ale myśl wywalczenia swobód kościołowi śmiertelnie ich przeraża“. Zasłaniano się rządem; ale rząd wkrótce się zmienił, i już 26 lutego 1866 pisze ks. Semenenko do ks. Jełowickiego: „Przed kilku dniami przysłał depesza od nuncjusza z Wiednia, iż nowy minister Belcredi powiedział mu: „Ponieważ monsignorze przekonałeś mię, że seminaryum polskie w Rzymie jest rzecz dobra i święta, więc kazałem rozpisać biskupom, nie tylko że mogą tam uczniów posyłać, ale żeby po dyecezyach ogłaszali składki i t. d.“. — Krok ten ze strony rządu żadnej burzy nowej dla kolegium nie przysporzył. Praktyczny też i oględny ks. Hube odradzał zakładania seminaryum w Rzymie. Pisał d. 7 kwietnia 1865 do ks. Kajsiewicza: „Przypomina sobie zapewne kochany Ojciec, że mówiąc z nim w Mentorelli o seminaryum powiedziałem mu, iż według zdania mego, praktyczność zakładania kolegium polskiego w Rzymie, zależy od uznanej jego potrzeby w Polsce a szczególnie przez

biskupów. Nie dosyć, że w teorii nam się wydaje być pożądanem, potrzeba aby jego potrzebę czuł naród, a szczególnie biskupi. Otóż z samegoż listu kochanego Ojca pokazuje się, że nie tylko biskupi w Polsce potrzeby seminaryum polskiego w Rzymie nie czują, a co więcej, że gdyby i czuli, w położeniu obecnem kraju, nie są w stanie zrobienia czegokolwiek do zrealizowania myśli seminaryum w Rzymie. W obecnem położeniu Polski jedynie biskupi galicyjscy mogliby podtrzymać seminaryum polskie w Rzymie, ale że dotychczas, pomimo wycieczki ostatniej O. Piotra, nie mają tego na sercu, widać z tego, że Ojciec św. jeszcze czuje potrzebę pisania do nich w tym celu. Jeśli Ojcowie w Rzymie nie macie tam wyraźnego jakiego objawienia Bożego, to rozumem ludzkim sądząc, cała rzecz seminaryum polskiego w Rzymie może się jedynie zakończyć otworzeniem domu i nominacją rektora“.

Po ludzku — uwagi te bardzo słuszne — ale ks. Kajsiewicz i ks. Semenenko widzieli w tej rzeczy wolę Bożą i szli naprzód. „Komisya seminaryjska — donosi ks. Semenenko ks. Kajsiewiczowi (23 maja 1865) — zwiedzała wczoraj dom na *via 4 Cantoni*; zaprosili mię abym się znajdował: oprowadzałem tedy po domu. Kardynał Clarelli bardzo dobry i zacny człowiek, poznałem się z nim z tej okazji. Pytali mię we wszystkim o moje zdanie. Jak pytali, odpowiadałem; ale wogólności trzymałem się na defensywie, jak przystało na człowieka, o którym powiadają, że będzie rektorem, ale który bardzo byłby głupim, gdyby sam wierzył, że już nim jest doprawdy. Była w tem zresztą i rachuba, bom się dowiedział, że kardynał Antonelli zgola nie chce, aby się seminaryum w nasze ręce dostało. Ale P. Jezus mocniejszy niż pan kardynał i zrobi swoje. Czy to będzie jak myślimy? Ufam, a tymczasem prosimy o to jedno: Niech zrobi swoje! Dodaję, że pięć czy sześć dni temu, w przeszłą środę, księżna była u kardynała Clarelli, i wyraźnie mu oświadczyła że nie da ani grosza, jeżeli seminaryum nie będzie nam oddane. Była potem u kardynała Altieri, który na jej przedstawienie miał pojechać do Clarellego i wytłumaczyć mu całą swoją powagę, że inaczej być nie może“. Nie dość było księżnie na tem,

Na jej prośbę ks. Semenenko pisał (13 czerwca) do ks. Jełowickiego: „Co do funduszu seminaryjskiego (owych 100.000 fr.) mam objaśnienie bardzo ważne do uczynienia, że według terminów odpowiedzi papieskiej Ty sam jesteś panem umieszczenia i zabezpieczenia tej sumy, byle dochód z niej szedł na seminaryum, a umieszczenie było pewne. My tego tak nie rozumieliśmy; ale teraz rzecz wyjaśniliśmy z mgr. Franchim. On wyraźnie powiedział, że to było intencją Ojca św., to jest, że Ojciec św. nie chciał od Ciebie ściągnąć tej sumy do rąk swoich, tylko dał Tobie pozwolenie użycia tej sumy na intencję seminaryum, a tem samem zostawił Tobie sposób, jakim masz to zrobić. Powiedział mgr. Franchi, że słowa odpowiedzi były umyślnie przez niego wyrachowane na danie takiego sensu i znaczenia. To dopiero teraz wyjaśniliśmy z monsignorem, bo bylibyśmy o tem pierwszej pisali. Ta rzecz, jak widzisz, drogi Ojcze Aleksandrze, jest bardzo wielkiej wagi, bo razem z księżną czyni nas panami położenia. Księżna już ma 4 burse (80.000 fr.) to bardzo piękny rezultat, jak się dołączy naszych 5, to już 9, zupełnie od nikogo niezależnych. Księżna bardzo Cię prosi, żebyś się w tem razem z nią trzymał, i procenta przez nią tu przysyłał. Im mocniejsza będzie jej pozycja, tem mniej cała ta sprawa będzie narażona. Gdyby Antonelli miał pieniądze w swem ręku, albo co na jednoby wyszło, komisya, niezawodnie zarządzi Włochów wsadzili i całą rzecz zrobiliby nienawistną i wystawioną na zupełne nieudanie się“.

Ks. Jełowicki nie bardzo do tej kombinacji się skłaniał; zdawała mu się niezbyt bezinteresowną, ale też opierał się kiedy Komisya zażądała z sumy 100.000, która w jego myśli przeznaczoną być miała na utrzymanie kleryków, więcej niż połowę na restauracye i budowy lokalu nowo przez Komisję odszukanego dla kolegium. Był nim część klasztoru OO. Mercedaryuszów, do którego dokupiono przyległe spichrze od ulicy Salara Vecchia. Píše mu ks. Semenenko 26 września: „To co robi Komisya, robi wszystko na rozkaz wyraźny papieża. To papież każe kupić te spichrze, i to z Twoich pieniędzy; gdzie tu teraz tłumaczyć papieżowi, że miałeś inną intencję, płacenia tylko pro-

centów i t. p. To miałyby najniezwyklejszą postać i pozór najgorszy przed Ojcem św. On bardzo, ale bardzo chce to seminaryum otworzyć jak najprędzej, i ciągle sam się miesza do tej rzeczy, i pędzi;— gdyby mu ten pęd przetrącić, mogłoby mu być bardzo niemiłe“. Z całej tedy sumy 100.000 okroiła się jedna tylko bursa.

Ks. Jełowicki i ks. Hube tak pragnęli, ażeby żadnego cienia na Zgromadzeniu nie było jakiejś interesowności w sprawie kolegium, że nawet żądali, aby Zgromadzenie nie przyjmowało jego kierownictwa. Ks. Hube pisze do ks. Kajsiewicza: „Upraszam Ojca, żeby O. Piotra nie upoważniał do przyjmowania przełożeństwa seminaryum“. (15 sierpnia) a ks. Jełowicki: „Mnie się zdaje, że dla nas i dla rzeczy samej byłoby najlepiej, oddać seminaryum w ręce Jezuitów. W takim razie ks. Mycielski, zamianowany teraz superiorem w Śremie, byłby może najstosowniejszym na rektora seminaryum. Zanadto już ludzkich sposobików się używało na wtłoczenie nas do tego seminaryum, aby się można bezpiecznie błogosławieństwa Bożego spodziewać przy nas nienawistnych i rządowi i, z dopuszczenia Bożego, narodowi. Obym się mylił!“ (29 sierpnia). To samo pisze do ks. Semenienki: „Niech O. Piotr rozważy przed Bogiem, czy nie byłoby milej P. Bogu, a tem samem lepiej, abyśmy nie przyjęli dyrekcji seminaryum, gdyby nam nakoniec była dana. Jest nas za mało. A przytem jesteśmy nienawistni rządowi dzierżącemu Polskę, i niestety samymi Polakom. Więc mi się zdaje, że raczej bylibyśmy przeszkołą. Gdyby oddano to seminaryum Jezuitom, mojem zdaniem byłoby najlepiej“ (3 września).

Ks. Semenienko, jak zwykle, obiektywnie rzecz rozebrał i tak ks. Jełowickiemu odpowiedział: „Kto ma być rektorem, komu ma być oddanem, nie dotąd niema postanowionego. Piszesz drogi Ojcie Aleksandrze, że lepiej, aby seminaryum było oddane Jezuitom i dajesz do zrozumienia, żeby się nad tem zastanowić i przyjść raczej do tego, bo przeciw nim rządy nie będą miały nic do zarzucenia. Naprzód rząd pruski i rosyjski tyle przeciw nim mają, co i przeciwko nam, lub mało co mniej; a co do rządu austriackiego, to przy zmianie ministeryum możemy mieć na-

dzieję, że przeciwko nam nie będzie miało wiele więcej. A zresztą, tu my nie mamy do czynienia od siebie, i byłoby nieprzyzwoitą rzeczą mieszać się do tej sprawy, lub dawać radę, kiedy nas o nią nie pytają i nie nam o tem nie mówią; my tu jesteśmy zupełnie na boku. Jeśliż nas zawołają i do dzieła wezmą, to znowu byłoby nieprzyzwoitą i naganną rzeczą odmówić. Mogę zaręczyć kochanemu O. Aleksandrowi, że w całej tej sprawie zarządu seminaryum lub rektorstwa, my jesteśmy zupełnie w charakterze głuchoniemych". (19 września).

Ale nie tak spokojnie tę propozycję ks. Jełowickiego przyjął Czacki. Podajemy tu trzy listy jego, pisane w tym czasie do ks. Kajsiewicza, do Ameryki, a jak zwykle, przez ostrożność niepodpisane wcale, lub imieniem Artur podpisane.

„Mój Ojeze drogi! Pomimo, że nie jestem z tych, co kwiaty sypią pod nogi tryumfatorów, milczeć nie mogę dłużej, by Ci nie przesłać słówka współradości z przyczyny powodzenia Twego na Nowym Świecie. Piszę więc, chociażby w celu, żebyś się nie polubił nadto w onym, ze szkodą Starego Świata Twego, na którym pragnę Ci przypomnieć, że są, choć nieliczne, duchy sprawiedliwe i serca wierne. Prawda, prawda, że Ci Świat nasz Stary źle się odplacił, ale nadto zwierzeń wysłuchałeś w życiu, bym Ci miał przypominać, że los Twój jest koleją wszystkich niemal rodziców, a tyś Ojcem przecie. Ojcem zaś według Ewangelii, zatem przebacającym marnotrawnym synom, i kochającym ich zawsze i równo. Obok tego wszystkiego jednak pojmuję, że Ci tam lepiej niż tu; pojmuję i cieszę się nietylko z wygranych dla sprawy Bożej, lecz jeszcze dla Ciebie samego. Spodziewam się, że wypoczęty powrócisz nam rychło i po podolskiej ziemi, na piaszczystym Polesiu rozpoczniesz trudy. Trudy te bowiem nie zniosły Ci dotąd pociechy wielkiej; ale przyznasz, żeś właśnie tak wysoko się dorobił. Zatem błogosławmy w Bogu dobrej jak złej doli, bo rzeczywiście w Nim i przez Niego wszystkie są dobrami. Tu, mój Ojeze drogi rzeczy postępują po europejsku, czyli, że jeśli coś dobrego się wyrobi, to znajdują się zaraz tacy, co psuć zaczynają, i naturalnie dobro nie zawsze się traci, ale ile, ile to męki i trudu trzeba, aby ukoić złe zrobione i naprawić choć w części. Za długo Ci

opisywać, przez jak ciężkieśmy tu koleje przechodzili. Rodacy nasi poczciwi może są sercem, ale gdyby nieszaleni, rzekłbym, zbrodniarze głowami. Co ruch, to głupstwa, nie *quot capita, tot sensus*, lecz *tot nonsensus*. Darmo, cierpliwości trzeba i wytrwałości i pamięci, że nieraz za drugich płacić trzeba, inaczej braterstwo byłoby w słodyczy, a nie w cierniach, co na chrześcijan nie przystoi. O jednej jednak z tych bied muszę Ci wspomnieć, o tej, której zaradzić możesz. Poczciwy O. Aleksander (Jełowicki) zawsze z czemiś wyskoczy, jak Filip z konopi. Odrazu teraz, że seminaryum nie wam, ale Jezuitom oddać należy! Gdym usłyszał, zdawało mi się, żem w malignie! Tu od roku człowiek się poci, wzywa świętych nieba i ziemi w pomoc, dochodzi przy ich pomocy do celu — a tu wyskakuje taki Filip! Czyż nie rozpacz? Całe szczęście, że dotąd tylko do O. Piotra to napisał; ale gotów napisać do innych, tem bardziej, że z powodu przesylek pieniężnych wlaźł w korespondencyę, mówię wlaźł, bo rzeczywiście wlaźł, dlatego, aby wleźć i mieć dokumenta! A nie pojmuje, ile tem szkodzi. Otóż jeśli czas, wybij mu Ojce z głowy Jezuitów; przecież na tem seminaryum cała wasza przyszłość, nie dość tu, ale w kraju spoczywa! Lód mi po żyłach biega, jakby miał nogi, na tę myśl samą. Bolesne to, że jeden z waszych was gubi! Może źle robię, pisząc Ci to, bo jeszcze bardziej sobie nas obrzydzisz, a zasmakujesz w Ameryce, ale *miserere nostri*, bośmy bardzo biedni — i wierzaj mi tem samem, że cie Ameryka lepiej ceni, to mniej Cię potrzebuje od Europy. To jasne, jak słońce! Pisząc, radbym Ci jeszcze pomówić o rzeczy, która mnie nie pomału zajmuje, jako Was i seminaryum się tyjące. Chcę mówić o Jasińskim¹. O. Piotr mówił mi to, co on pisze. Zresztą obeznanym z całą tą sprawą, napomknął mi też o niechęci O. Aleksandra ku niemu. Pozwól, żebym Ci powiedział, że i tu O. Aleksander postąpił po dziecinnemu. Mojem zdaniem, nie godzi się na Jasińskiego napadać; należy być ostrożnym, badać, a nie odrzucać;

¹ O Jasińskim było wyżej. Udał się on do Brazylii i tam zajął się sprawą kolonizacji polskiej, obiecując pewne korzyści z niej na kolegium. Ks. Jełowicki i ks. Hube, nie dowierzający mu, czuli się w obowiązku ostrzedz rząd brazylijski, że to człowiek niepewny.

przyjmować, a bez wyraźnych oznak wierności się nie wiązać, i to zaraz. Ale demaskować go w chwili, gdy on się nawrócił, to szaleństwo lub niegodziwość. I dziwna, że ks. Jełowicki, który tak łatwo wierzy nawracaniom się Czartoryskich, nie wierzy nawracaniom się innych, którzy oznaki nawrócenia się dają, kiedy Czartoryscy odmówili takowe dać. Mnie się zdaje, że powinienbyś go wesprzeć, słowem bardziej niż czynem może, ale wesprzeć. Nietylko to mówię z odebranego wrażenia z listów onego, ile ze zdania Medejirosa¹, które jest ważne. Nie sądzę, bym to pod wpływem O. Piotra pisał. Wiesz, że go kocham i szanuję, ale z drugiej strony nie obcem Ci, że nie łatwo ja ulegam wpływowi. Lecz tu nadto jest ważnych możliwości na przyszłość, by ktokolwiek mógł sumiennie uderzyć w to zawiązywanie się rzeczy całkiem nowej. W każdym razie bierz pieniądze, bo te posłużą, i patrzaj — patrzaj wiele, bo o tem trzeba będzie pomówić. Wiesz, Ojczy, że ja ani sperandowiczem, ani projektowiczem, ani optymistą; coś mi jednak powiada, że tem wszystkiem gardzić nie można, a na to bić się nie godzi. Bardzobym rad miał Twe osobiste na miejscu spostrzeżenia, dotyczące osób, z którymi Jasiński żyje i działa. Od tego wszystko zależy. *Ex ungue leonem*, bardziej niż *ex cantu avem*. Potem bowiem stanowczo myślałbym się tą sprawą zając. Na teraz cisnę Cię do serca. Modłę się o Ciebie i proszę o wzajemność. Szczyć Ci Boże — tym to kwiatkiem drogę Ci zaścielam. Ciotka moja z serca Ci się kłania. Bog z nami.

Rzym, 11 września, 1865.

„Dodają spostrzeżenie! Czy nie dziwna, że w obu sprawach tych O. Aleksander stoi po stronie wrogów? Dziwna na pozór, ale pojętna w gruncie, niedorzeczność i niegodziwość, wiecznie sobie pomagali. W tem tajemnica zwycięstw złego, bo zawsze są większością zdobytą przez współudział niedorzecznych. Gdy będziesz mi odpisywał, racz proszę na ręce O. Piotra z napisem na wierzchu: do Artura“.

¹ Ks. Medeiros, świątły i gorliwy biskup Pernambuku, który protegował Jasińskiego i zaręczał za jego szczere nawrócenie.

„Mój Ojcie drogi.

„Dzięki za twą karteczkę z św. Agata. Błogosławię Bogu że Ci jest dobrze na zdrowiu, jedno smutno mi, że nie tak rychło powrócisz. Ale że gdziebądź jesteś dobro się rozchodzi, więc smutkowi „na bok” się mówi, a u woli Bożej tyle miłosiernej pociechy znajdujemy. Bardzom ciekaw wieści, które nam dasz o Brazylii. Jest coś we mnie, co mię tam ciągnie. Jakiś czuję tam zaród jest przyszłości. Oby zwichniętym nie został. Pojmuję, że pragniesz nie wystawiać siebie ani Zgromadzenia, ale zdaje mi się, że wiele dobrego uczynić możesz zbadaniem położenia i nadaniem mu kierunku. Widzisz Ojcie, to konieczne. Kto wie czy nie tam wytryska źródło co przyszłości służyć może. Mam w Bogu nadzieję, że wyskoczenie jak Filipów z konopii Ojców Paryskich zneutralizujesz. Tu u nas dotąd nie zdecydowanego. Widoczny spisek wielu i najsilniejszych, by was nie dopuścić do seminaryum. Gwałtem i to jako koncesya, chcą się ograniczyć na Ojcu Piotrze. Księżna i Artur (sam Czacki) walcą na zabój. Stąd krzyk na nich okropny. Gdyby nie na Bożym stali gruncie, powalonoby ich. Dotąd zaś stoją na nogach i nawet z głowami dość podniesionymi przed ludźmi, za złe im mającymi, że walcą bez strachu o biedę i o sprawiedliwość. Jaki będzie koniec, doniesiem Ci skoro się dowiemy. Dziś rzeczy tak stoją, że albo seminaryum będzie wasze, albo wy na lat znowu wiele dołem. Że zaś wasz czas wyraźnie nadchodzi, więc mam silną w Bogu nadzieję. Pisałeś że co uzbierasz na seminaryum oddasz nuncyuszowi. Nie czyni tak, błagam na wszystko. Tak zasługa Twoja stracona, a tu nam do zwycięstwa czynów Twoich jak oręża trzeba. Zatem co masz przysyłać w wekslu, bądź na O. Piotra, bądź na księżną, a staraj się przysyłać, bo nie uwierzysz jak rzeczywiście pieniędzy trzeba, nietylko że są pieniędzmi, ale jeszcze że są potęgą. Musisz i tam wiedzieć jaka w kraju zagłada, i jeszcze opamiętać się nasi nie chcą. Mann mi pisze, że mimo to marzą i prawdzie ani na chwilę w twarz zajrzeć nie chcą. Niedosć, że zgubili wszystko, bo głosów naszych nie słuchali i oszczerstwa im za braterską prawdę miotali, ale jeszcze widząc, że tu w Rzymie jakiegokolwiek położenie się ma, najbrud-

niejszemi intrygi starają się je zniszczyć. Całą kronikę bied mógłbym Ci opisać, ale i sił i czasu mi brak. O luby Ojeze, widzę że Ameryka lepsza. Odśwież się tam i wracaj nam z siłami nowemi. Na starym świecie źle, do niewypowiedzenia źle, chcącym służyć Bogu wyłącznie, to jest wszystkim ale przez Boga i dla Boga. Wiesz zapewne o upadku ministra broni. Co znaczne, wszystko jednym odgłosem jęknęło. Oczywiście mówię o *vulgo*, bo może są tajemnice stanu mogące tłumaczyć tę sprawę. W każdym jednak razie *raison d'état* nie uznała nawet potrzeby powiedzieć zaenym powodu. Bolesne to i mogące stać się boleśniejsem w owocach. Cisnę Cię do serca i Bogu oddaję. Módl się o mnie jak o prawdziwie Twego. Bóg z nami.

12 listopada 1865.

„Abyś mógł Ojeze łącniej pojąć całą wagę z którą mówimy o Brazylii dodaję, że są ludzie zaeni i rozsądni i dojrzałi, co jechać gotowi, a wyczekują jedynie wieści, które nam przysłesz“.

„Mój Ojeze drogi.

„Choć mi w swym liście zapowiedziałeś swą fotografię, dopiero teraz ją odebrałem. Pospieszam też Ci za nią ręce ucałować, tem więcej, że jest trafną i miłą, co nie często się zdarza. Z niecierpliwością, a raczej z upragnieniem wyglądam wieści Twych z Brazylii. Spodziewam się że podróż była szczęśliwa, i że Ci się tam wszystko powiedzie. Bodajbyś tam pomoc dla Was samych i dla seminaryum znalazł. Wielceby to było pożądanem; bo wiesz, Ojeze, że bez pieniędzy na tym świecie nie postępować nie może. Sprawa seminaryum względem: komu będzie oddana dyrekcyja dotąd nie rozstrzygnięta. Kardynał, prezes komisyi, upiera się i nie chce dotąd skłonić się. Nie wiem co z tego wypadnie. Panu Bogu to jak wszystko oddajemy. Bez Jego pomocy wyraźnej nie wiem jak z kłopotliwości tej wyjdziemy. Ojca Piotra położenie nad wyraz ciężkie. Trudno przyjąć osobistą nominacyę, z wykluczeniem Zgromadzenia zupełnem. Trudno też odmówić. Proszę Ducha św. by go oświecił. Jeśli tam są pieniądze zebrane na seminaryum, to coprędziej bierz weksel na Paryż na imię księżnej i jej przysyłaj. W tem największa siła.

Niestety świat jest takim. Przez nuncjusza zaś w żadnym razie, Ojcie drogi, nie przysyłaj. Bardzo ciekaw co nam napiszesz o Brazylii. Położenie tamtejsze jest ważne. Gdyby istotnie było tak ważne jak się zdaje, to warto o niem pomyśleć. Nadto świat stary niedopisuje enocie i prawdzie, by na ich korzyść nowego się nie chwytąć. W kraju położenie coraz okropniejsze ze strony rządu, a chaotyczne ze strony narodu. Oszłomienie niewyleczalne. W Galicyi politycznie jednak i rozsądnie Sejm rozpoczął swe działanie. Niemcy tak wściekli, że krzyczą, iż Galicya jest reakcyjną. *Quid ad hoc?* Czyż nie przypomina to czasów pierwszych chrześcijan. Ktobądź zgrzeszył, nie zgrzeszył, ale chrześcijanin winien. Okrutne to. Świat cały stoi na ironii i przeciwieństwach w które zapada, tocząc się z wysokości wiary, którą porzucił. Tu położenie w Rzymie też fatalne: rozpadek i napad. Gdy sam napad, to pół biedy, ale z rozpadem, trudno zwyciężyć, przynajmniej na razie. Żeby tu wszyscy byli, jeśli nie Piusami, ale piusistami *saltem*, toby można mieć pewność, że Bóg cudem wyciągnie z otchłani w którą zapadamy. Ale niestety mało i tu ludzi duchem Piusa przejętych. Smutne to. Noc nadchodzi, a większość żyje gdyby jeszcze słońce na południu stanęło, i jakby noc była niemożliwością. Tem też prędzej zapadnie, tem też na czas dłuższy. Daję Ci rzut oka, szczegółów pisać niepodobna, nawet nie godzi się. Co z ust do ust wolno powiedzieć, papierowi powierzać niepodobna. Cisnę Cię do serca, mój luby Ojcie, Bóg niech będzie z Tobą. Módl się o nas. Proś Boga by nam sił swych nie odmawiał. Niech nie patrzy na narzędzi swych niegodności, jedno na świętość pola własnego swego, na którem oni niegodnie wprawdzie, ale pracują. Pobicie chwilowe nawet nie powinno zniechęcać. *Sursum corda* i dalej. Ręce Twe ściskam i bardzo o modlitwy proszę. Bóg z nami.

Artur.

10 grudnia.

„Dom seminaryum doskonale się udał, co prawda to prawda, i nie wiele wydała komisya na to, co zrobiła. Pełna dobrych chęci, ale nietyle pojmuje, ile chce, mianowicie przełożony, który nie jest duchem samoistnym w czynie, ale w uporze. Co do na-

szego przyjaciela i opiekuna, ten jak zawsze dzielny i wierny, ale podolać tylu walkom nie może — nie żeby dział mu brakło do strzałów, ale że do wszystkich razem przyłożyć ognia w jednej chwili nie może. Czemu to P. Bóg nędznym i bezczynnym przynajmniej nie odbierze rąk na korzyść działających i dobrych, choćby złym ich ramiona zostawił? łatwiejsza byłaby sprawa. Ale Bogu idzie właśnie o zadawanie nam trudności, boć On nie dość Ojcem, ale jeszcze jest mistrzem. Jeszcze Bóg z nami“.

Tak tedy kwestya rektoratu zawsze była w zawieszeniu. Pomimo że, jak pisze ks. Semenenko 14 listopada „kilka dni temu papież sam już mówił że czas mianować rektora i mówił o naszym Zgromadzeniu (mgrowi Passeriniemu), że to nam powinno być oddane, jako Zgromadzeniu, i mówił stanowczo, że nie zważa w tem na rządy, bo niema za co być im wdzięczny“ — „i Mirowi przyrzekł — donosi 2 stycznia 1866 r. — że rektor i zarząd tem samem cały będzie należał zawsze do naszego Zgromadzenia, ale komisya, to jest kardynał, jest temu przeciwny, więc nietylko nie przedstawi tego papieżowi, ale owszem przedstawi co innego. Co do mnie, ja to zdaję na Pana Jezusa i mam zupełną nadzieję, że rzecz dobrze się ułoży; ale nasz przyjaciel (Czacki) chce jeszcze raz uderzyć na papieża za pomocą księżnej. I to zostawiam P. Jezusowi“. Jeszcze 17 stycznia 1866 uwiadamiając ks. Semenenko ks. Kajsiewicza o stanie rzeczy pisze: „Trudności dzisiejsze są takie, że kardynał Antonelli, który dotychczas Ojcu św. o seminaryum, zdaje się, nie mówił (od półroku), teraz razem z kardynałem Clarellim oświadczyli Mu, że nie można tego seminaryum oddawać naszemu Zgromadzeniu, i Ojciec św. został zachwiany. O mnie, zdaje się, nie ma kwestyi i moja nominacya na rektora stoi, ale chcą wykluczyć Zgromadzenie. W takim położeniu przyszła mi myśl, czy ja mam przyjmować to rektorstwo? Mam wszelką nadzieję, że do rozwiązywania tej kwestyi nie przyjdzie; że P. Jezus całą tą kwestyę na naszą korzyść rozstrzygnie; w modlitwie jednak i w duchu przed P. Jezusem tak tę kwestyę rozstrzygnąłem (zawsze zależnie od Twojej decyzji, mój Ojcze, jeśli będzie można jej się doczekać), ażeby

i wtedy to rektorstwo przyjąć. To mi się zdaje w duchu Bożym i według wiary. Bo nie można wątpić, 1) że to sprawa Boża, to seminaryum; 2) że ją dotychczas On sam prowadził; 3) że nas do niej w tej mierze użył, w jakiej dotychczas przyczyniliśmy się; stąd wniosek, że gdyby się skończyło na takim rezultacie, trzebaby go uważać za wolę P. Jezusa na tę chwilę — i zaufać Jemu i przyjąć, i ufać następnie, że On to sam na lepsze obróci“.

Ks. Semenenko został rzeczywiście mianowany rektorem. Ks. Jełowicki pogodził się z tą myślą: „Jeszcze raz *Deo gratias* za rektorstwo w osobie O. Piotra *in aeternum* to jest w Zgromadzeniu — pisze doń winszując. Lękałem się tego tylko, aby nie po ludzku, ale po Bożemu to wszystko się stało. Pozory ku takiemu lękaniu się być mogły w samejże ofercie na seminaryum przez ręce nasze złożonej“.

Rektorstwo w okolicznościach, które znamy, było ciężkim krzyżem dla ks. Semeneki. Pius IX. sam to dobrze rozumiał. Kiedy po przyjeździe z Ameryki ks. Kajsiewicz był na audyencyi: „Ojciec święty bardzo mię łaskawie przyjął — pisze — mówił mi, że i seminaryum i my mamy nieprzyjaciół. Odpowiedziałem, że tak zawsze było, że jesteśmy wciąż z dwóch stron bici“.— W rok niespełna Komisya się rozwiązała. W jej miejsce mianowany został nowy kardynał-protektor z dwoma deputatami do pomocy. Dane było tak zwane *Regolamento* dla kolegium. W niem stało wyraźnie, że „Ojciec św. na przedstawienie kardynała mianuje rektora, którym będzie mógł być członek Zgromadzenia Zmartwychwstania P. — jeśli to uznanem będzie za dobre“. *Si potrà avere nella scelta un riguardo alla Congregazione della Risurrezione di N. S. G. C. quando si creda opportuno*. Kardynał i Deputaci mają główny zarząd — *l'alta direzione della disciplina e dell' amministrazione dello stesso Collegio* — i dlatego deputaci mają najmniej co 2 tygodnie zwiedzać kolegium, a wtedy każdy alumn będzie mógł przed nimi zażalenia składać *ed in tale occasione a ciascun alunno sarà libero l'accesso ai medesimi*.

W jak trudnych warunkach postawiony był rektor! Dopiero kiedy kardynał Monaco La Valette został protektorem kolegium,

postanowił jako zasadę, że kolegium jest oddane w zarząd Zgromadzeniu i deputatów usunął. Ale tymczasem ks. Semenenko ciężkie znosił krzyże. „Dowiedziałem się — pisze ks. Kajsiewicz (19 stycznia 1869) do ks. Jełowickiego — że nowy kardynał protektor pisał do Ciebie, abys się zajął składką we Francyi na seminaryum. Mnie o tem nikt z tych panów słowa nie powiedział, wierni sentymentowi, aby Zgromadzenie całkiem usunąć. ...Ale o co mi bardziej chodzi, to o to, jak się obchodzą z O. Piotrem. Gdybys tu był, toby Ci się samemu krew zagotowała w żyłach... Nowy deputat nietylko, że go z góry traktuje i rachunki na rachunki podawać każe, ale nie znalazłszy do zarzucenia nałożył mu komputystę świeckiego. Chodził O. Piotr z protestacją w imieniu samegoż regulaminu i praktyki po innych kolegiach — nie wiem jeszcze, co wskórał“. Nic nie wskórał, bo komputysta jest dotychczas. To tem bardziej boleć musiało, że tyle trudu, tyle poświęcenia na to kolegium sięłożyło! Starano się o fundusze dla niego, kiedy u siebie pustki były. „Módl się za mnie i poleć mnie modlitwom — pisze ks. Kajsiewicz 1866 r., wracając z Ameryki, do ks. Koźmiana — bo na ciężki krzyż wracam. Już grosza rezerwy nie mamy, a są długi i 20 osób do karmienia. Wystawię winnicę na sprzedaż, ale czy w obecnych czasach i za bezcen uda się sprzedać? A dopóki kupiec się nie znajdzie, co począć? Na seminaryum zebrałem kilkanaście tysięcy w Brazylii, ale dla domu nie wypadało nawet próbować. Ale Bóg ma tyle środków do wyratowania nawet z najcięższych położań“.

Ks. Semenenko wszystko spokojnie przyjmował. „Komisya czeka tego, aby się rozwiązała — pisał do ks. Kajsiewicza — ale czy potem nie wróci pod inną formą, to P. Jezusowi wiadomo. Wszystko dobre, co On przyśle, Jemu wszystko polecam, i tylko o jedno proszę, żeby się stała Jego wola, i jestem pewien, że się stanie. I dlatego przestałem się już o cokolwiek troszczyć“. Z pewnem tedy zadowoleniem zapisuje pod dniem 24 marca 1866 w dzienniczku swoim:

„Sobota. Wniesienie się do nowego kolegium polskiego. Przed kilku dniami otrzymałem nominacyę na rektora. Dziś wie-

czorem, w pierwsze nieszpory Zwiastowania N. M. Panny cała komisya przybyła do kolegium. Odmówiono *Veni Creator Spiritus* i kolegium się otworzyło.

Dziwne uczucie zadowolenia i pokoju z otworzenia dzieła, które przeszło tyle kontradykcyi¹.

Ks. Paweł Smolikowski.

¹ Po tym rozdziale następują Roczniki kolegium polskiego, przez alumnów spisywane, a ciągnące się prawie do r. 1870. Te dopiero podane będą w osobnem odbiciu tej historyi, która ma wkrótce opuścić prasę.

(Przypisek Redakcyi).

DWIE PRZEDSTAWICIELKI DAWNYCH DYNASTYJ.

Zarys historyczny.

W ciągu pierwszych sześciu wieków istnienia naszego, posiadaliśmy dwie dynastye, które tak bardzo zespoliły się ze społeczeństwem, iż ich pamięć, po wygaśnięciu nawet, drogą a poważaną mieniono. I w istocie, długo miłość tę statecznie zachowywano dla znikłych z widowni dziejowej. Jeszcze w XV. wieku nie zapominano o Piastach. Myśl powołania na tron którego z licznie rozrodzonych Piastowiczów tułała się nietylko w umysłach pojedynczych, ale i do tłumów ją wprowadzały kombinacye polityków wyższych, a ku wspomnieniom świetności epoki Kazimierzowej skłaniające się. Świetność dni XIV. wieku, dni Kazimierzowych, prostota patryarchalna Łokietkowej doby olśniewała poważne umysły, współczesne Warneńczykowi.

Zniemczeniu, z usposobieniami najczęściej świadczącemi o wyrzeczeniu się swojskości, a zarazem i o niskim poziomie moralnym, drobni władcy szląskich gródków nie budzili już i w XV. stuleciu żadnej żywszej sympatyi, nawet u ludzi najbardziej zamilowanych w epoce piastowskiej, ale cała sympatya skupiała się około mazowieckich Piastowiczów. Gdy wówczas marzono o Piastach, gdy te marzenia starano się w czyn zamienić, nie zwracano oczu ku Odrze, nie szukano przedstawicieli starego królewskiego rodu na szląskich zameczkach, w dzielnicy od dawna odpadłej od państwa Krzywoustego, ale myślą i wzrokiem dążono na Mazowsze.

Mazowieccy Piastowicze najgodniej reprezentowali starą dynastję, byli żywiołem ładu, podnoszącym, umoralniającym swą dzielnicę — obce pierwiastki nie wchodziły pod ich dach, jak to się działo na Szląsku; wcale nie zgładzały ich swojskości. Owszem, ta swojskość u nich do końca w całej mocy przetrwała.

Byli mazowieccy Piastowie przez ciąg swego bytowania uczciwymi a często i poważnymi przedstawicielami starych, narodowych tradycyj. Do nich przeto miłośnicy epoki piastowskiej myśl zawsze zwracali, ilekroć zdawało się, iż możność się nastrecza osadzenia odłamu starej dynastji na Wawelu, na tronie syna Łokietkowego.

Taką możliwością, jak mniemał Długosz i niektórzy mu współcześni, była chwila po Warneńczykowym zgonie, a więc wówczas nie gdzieindziej, tylko ku Mazowszu, wzrok i kombinacye polityczne zwracano.

Kombinacye i zamiary restauracyi dynastji Piastów upadły w połowie XV. stulecia, i później już ich nie wskrzeszano. Kazimierz Jagiellończyk ustalił ciągłość dynastji nowej, która zespoliła się z narodem tysiącem nici i zaskarbiła jego miłość i poważanie. Za dni synów Jagiellończyka o rzeczonej restauracyi mowy nawet nie było, i być nie mogło. Z czasem, ku końcowi pierwszych paru dziesiątków lat XVI. wieku, pamięć Piastów najzupełniej okrywała mgła głębokiego zapoznania. Swojska gałąź Piastów — mazowieccy Piastowie — wygaśli; wegetujące na Szląsku latorośle zczudzoziemszczały; a dom Jagiellonów, ustaliwszy się, pozyskał bezbrzeżną miłość narodu. Szczególną sympatyą otaczano wtedy właśnie dynastję Jagiellońską, kiedy ta wygasła. Powołanie na tron Wazów tłumaczy się przeważnie wspomnieniami jagiellońskich czasów, jagiellońskiej dynastji, której krew płynęła w żyłach Zygmunta Wazy.

Zdarzało się wszakże niekiedy, iż członkowie prowadzący ród swój ze szczepu dynastji wygasłych, stawając u stopni tronu praojców, byli jakby zapomniani, gaśli wśród obojętności tych, do których serce i myśli ich garnęły się.

W pewnym stopniu tego rodzaju losom, rozezarowaniom, wobec zawiedzionych nadziei, ulegały w dwóch różnych epokach

dwie kobiety królewskich rodów, dwie przedstawicielki sławnych dynastii naszych.

Mówimy tu o Barbarze Zapołya (Zapolskiej), pierwszej żonie Zygmunta Starego i o Annie Wazównie, siostrze Zygmunta III. W różnych dobach dziejowych, we sto lat jedna po drugiej, obie po matkach pochodzące z dawnych polskich królewskich rodów, obie nie mogące się nazwać Polkami, bo kolebki ich stały w innych ziemiach — przybywały do Polski z otwartymi ramionami, i, zamiast wzajemnej sympatii, znajdowały w najlepszym razie obojętność.

Los pierwszej nieco lepszy, drugiej nieco gorszy — obie nader smutne do grobu stępowały: pierwsza szła smutna ku mogile, bo zawczasie ziemię i swe ukochania żegnała, druga — samotnością złamana. Żadnej z nich nie uwydatnił w pamięci narodu rylec dziejowy, lubo każda na zasnę pamięć i współczucie zasłużyła.

I.

Królowa Barbara Zapołya.

Zygmunt, Starym później nazwany, zapomniał już o wczesnej wiosnie życia, miał całą prawie młodość swą poza sobą, gdy tron obejmował. Liczył wówczas lat czterdzieści, a domu, rodziny nie miał. Na Głogowie, wśród ziem szląskich, rządził lat kilka, poprzedzających swe powołanie na tron krajów połączonych. W młodości zestosunkowany z życiem, obyczajem książątek ówczesnych niemieckich, mimowoli zastosowywał swój obyczaj do panującego wtedy obyczaju na królewskich, książęcych dworach Niemiec. Obyczaj niemieckich dworów owych czasów nie nazbyt sprzągał stosunki rodzinne; owszem, do ich rozluźnienia wiele się przyczyniał. Zygmunt poniekąd szedł w rzezonym kierunku; przynajmniej w pewnej mierze, za młodości swej dni, nie był wolny od niektórych usterek. Pobyt w Głogowie nie zmniejszał możności wcielenia się w pewne strony obyczaju niemieckiego. Ziemie szląskie zbyt długo już były pod wpływem germanizmu; wsiąkł tedy germanizm nie w jednym kierunku w sferę pojęć, nie ludu wszakże, ale rycerstwa. A więc

zamek rycerski, książęcy, posiadał na Szląsku, tu lub ówdzie, ślad zwyczaju niemieckiego w zabawie, rycerskich gonitwach, w sposobie ubarwiania sobie życia codziennego. Zresztą i z Włoch, gdzie ówczesny humanizm rozwijać się zaczął, płynęły pojęcia rozgrzeszające niejedną wyskok w życiu, które uprzyjemniać starano się wszelakiego rodzaju użyciem.

Umysły najpoważniejsze poddawały się, może nawet bezwiednie, wpływom, nie licującym z naszym obyczajem domowym. Zygmunt, chociaż to umysł poważny, rządząc na Głogowie i Opawie, może nieco uległ wpływom obyczaju cudzoziemskiego rycerstwa; przynajmniej z owej doby są podania, rzucające lekkie cień na domowe, samotne jego życie. Wiek ówczesny pospolicie patrzył na wesoły wybryk rycerza bardzo pobłażliwie, może nawet nazbyt pobłażliwie. Tak było wszędzie wówczas, ale nie w Polsce, gdzie w one lata górowały jeszcze poglądy surowe na rycerską swawolę, a drażliwość, skrupulatność poglądów na wszelkie zboczenia moralne były zadziwiające. W drugiej połowie XVI. wieku i w Polsce zaczęło być inaczej.

Postać Zygmunta w takim blasku aureoli cnót publicznych i domowych uwydatnia się na tle dziejowem, iż ta lub owa legenda o jego młodocianych uczuciach nie zmniejsza ani na chwilę świetlanych barw owej postaci... Legenda, niby smuga nici pajęczej, którą wiatr przyniósł, z lekka jedynie dotyka posagu, nie przekształca wszakże w niczem wspaniałych jego rysów.

Po objęciu korony Zygmunt opuszcza ustronną Głogowę; odtąd Wawel staje się jego siedzibą, na długie lata, aż do zgonu. Lecz na Wawelu, chociaż siostra niezamężna, Elżbieta, mu gospodarzy, chociaż sprawy publiczne czas mu pochłaniały — smutno i samotnie było. Myśl, iż jest ostatnim z rodu — *ultimus virorum* — iż następcy imienia i korony nie posiada, zasępiała mu czoło; wzdychał do życia rodzinnego; gorąco pragnął przedłużyć nie życia Jagiellonów.

W parę lat po objęciu tronu, Zygmunt postanowił wejść w związki małżeńskie; myśl o zostawieniu następcy, dziedzica tronu i imienia, nie opuszczała go. Szukano w tym względzie

projektów tu i ówdzie; sprawy krajowe gdzieindziej nieraz wzrok króla zwracały — lata więc tak upływały; szukano wreszcie projektów w północnych Niemczech, w księstwie Meklenburskiem; ale projekta, naprędce skłcone, czas szybko rozwiął: zdaje się, iż sam Zygmunt inaczej się namyslił; przynajmniej co do skoli-gacenia się z Meklenburgami. Projekta meklenburskie po doj-rzałej rozwadze usunął, poselstwo w rzeczonym celu wyprawione cofnął, i nie poszedł nawet później za radą cesarza niemieckiego, Maksymiliana, który mu niejednokrotnie, a zawsze natarczywie, narzucał się na dziewosłęba i radził szukać związków małżeń-skich za Alpami, wśród włoskich księżniczek, spowinowaconych z cesarzem. Maksymilian i jego posłowie twierdzili, że cesarz przez „przychylność bezinteresowną“ troszczy się o losy króla polskiego, iż mu „ofiaruje pannę narodu włoskiego w małżeń-stwo“. O tej przychylności niemieckiej różnie można twierdzić. Poza nią przeświecała rzecz iście germańska — interes.

Polityka rakuska za pomocą koligacyj, misternie nieraz wytwarzanych, szukała wzrostu swych wpływów. Tym razem nadzieje zawiodły. Zygmunt odparł, ku wielkiemu niezadowol-nieniu cesarza swatającego, iż już zapóźno. Rzeczywiście, zapóźno było. Zygmunt, idąc za radą najstarszego ze swych braci, Wła-dysława, króla Czech i Węgier, umyślił zaślubić Barbarę Zapolya (jak historyk ówczesny nazywa „z Zapoly“), która po matce pochodziła z krwi Piastów, a co do mowy, obyczaju, uczuć re-ligijnych, była typem swojskim, naszym najzupełniej. Rodzina Jagiellońska, w trzecim już pokoleniu zamieszkująca królewską na Wawelu siedzibę, zespoliła się tak dalece z ziemią naszą i jej zwyczajami, z charakterem i usposobieniami ludności, iż Zygmunt, z usposobienia wróg wszelkiego nowatorstwa, szukał owej swojskości w przyszłej życia towarzysze. Brat Władysław, z którym łączyły go stosunki najtkliwsze, śnać wiedział o uspo-sobieniach Zygmunta, gdy mu nasunął zamiar ten a nie inny.

O Barbarze, chociaż w epoce tej zaledwie z dziecinnych wychodziła lat, wieści już liczne po świecie krążyły, wszystkie zaś twierdziły jednogłośnie, iż jej istota duchowa to „korona

enót wszystkich“¹. Późniejsze, krótkie życie najzupełniej stwierdziło wieści rozbiegające się o dziewczęciu. Odbił się na niej wpływ matki, wpływ gniazda rodzicowego: matka i szląskie gniazdo, z którego owa matka pochodziła, nosiły wszystkie znamiona swojskości, na tle której łatwo się zaszczepliły cnoty domowe, przymioty nie szukające rozgłosu, ale podwaliną szczęścia rodzinnego zawsze a słusznie je mienia.

Jadwiga, matka Barbary, córką była Przemysława III, z dynastyi Piastów, księcia na szląskim grodzie, Cieszynie. Ojciec zaś jej, Stefan Zapolya — czyli, jak u nas nazywano, „Zapolski“ — był węgierskim magnatem, hrabią na Spiżu, wojewodą siedmiogrodzkim, władcą Trenczyna. Gdy dobiegała Barbara siedemnastej wiosny życia, ojciec jej już nie żył, a matka otoczona dziećmi (oprócz córki byli dwaj synowie: Jerzy i Janusz), osiadła na mężowskiej spuściźnie — trenczyńskim zamku, gdzie przestrzenią i całem otoczeniem zbliżoną była do ojczystego gniazda, do szląskiej dzielnicy. Gwara ludowa, słowacka, brzmiała u stóp zamku i w całej okolicy, z sąsiednich zaś dolin dobiegały wiatry jej rodzinnych pól szląskich. W Trenczynie, zdala od wpływów węgierskich i niemieckich, pod wyłączną opieką macierzystą, na polską dziewczęć wzrastała Barbara.

Wprawdzie na Szląsku już od lat wielu górowała niemieczyzna, krzewili ją nawet Piastowie tameczni, ale niewieście serca i myśli nie zostały jeszcze skażone tchnieniem germanizmu. Zarówno na zameczkach książęcych, jak i w chacie wieśniaczej, u kolebek niemowląt i u ognisk pracy powszedniej, brzmiała pieśń swojska i obyczaj prastary stał, utrzymywany niewieścią troską, by zachować to, co Bóg dał, a ludzie odbierali. Nietylko okoliczności wypływające ze zdarzeń przemożnych, dziejowych, prądy niemieckich towarzyskich oddziaływań, przy częstych zetknięciach się krzewiły germanizm, lecz na własnej szląskiej niwie powstawali gorliwi propagatorowie germanizmu. Wpływ niewieści jedyną był tarczą wobec nacisku obcego żywiołu.

Niemieczyzna, urosłszy u dworów książątek rozrodzonych

¹ M. Bielski, „Kronika polska“, ks. v, (wyd. K. Turowskiego).

i zubożałych, sięgnąć wszakże nie mogła do chat — tam instynkt tłumy ją odpierał wytrwale. Chłop polski nad Odrą, Olsą, u źródła Wisły, zamykał się szczelnie, niby żółw w skorupę dawnego obyczaju, nie przystępny był wszelkim niemieckim wpływom. Germanizatorowie już się znaleźli w XV. wieku, którym się zdawało, iż dość będzie pięciu lat, by całą masę ludową na Szląsku pozbawić na wieki języka ojczystego i zgermanizować. W tym duchu był edykt Jana, biskupa wrocławskiego, z r. 1495, nakazujący gminie Wojcice pod Odmuchowem, aby w ciągu lat pięciu nauczyła się po niemiecku, i po owym terminie, zarzucawszy najzupełniej mowę polską, używała już odtąd jedynie niemieckiej. Ktoby zaś nie usłuchał rozkazu — opiewał edykt — miał być wypędzon ze Szląska.

Po czterech wiekach, co od czasu owych edyktów upłynęły, widzimy, iż dzieło rąk Bożych tak łącznie wyteńpionem być nie może. Lud szląski w całej mocy zachował dotąd język i obyczaj swój.

Dom, rodzina, ojców wiara — to puklerz wobec niemieczyzny ucisków. Takim domem swojskim na zaraniu XVI. w., był Trenczyński zamek, gdzie niewieście, domowe rządy sprawowała Jadwiga z rodu Piastów, gdzie wychowywała się Barbara, ku której wzrok swój zwrócił Zygmunt I.

Pierwsze rokowania w tej sprawie podnosił Władysław węgierski. Posłał on na Trenczyński zamek, w celu wyrozumienia, jak się zapatrują na jego projekta matka i wuj Barbary, Kazimierz, książę na Cieszynie. Tym pierwszym gońcem, znać pospolicie używanym do rokowań poufnych, był dyplomata w duchownej szacie, dr. Hanel, który nie znalazł żadnych trudności w Trenczynie. Dla możnego wprawdzie, lecz weale niekrólewskiego rodu Zapolya, małżeństwo proponowane było nader świetnem. Siedemnastoletnia zaledwie Barbara sama o sobie nie orzekała; głos tu matki wszystko stanowił, a głos ten ze wszechmiar przyjaźnie brzmiał. Matka widziała w zamiarach tych więcej dla córki szczęścia, niż marzyć mogła. Zygmunt już od lat pięciu dał się poznać światu jako król, władca szeroko rozsiadłych ziem, których poważanie, miłość coraz większą zdobywał, a dla

matki Barbary znany był jako człowiek. Z opowiadań brata swego Kazimierza, księcia Cieszyńskiego, miała ona bliższe wskazówki o Zygmuncie. Znali się dwaj ci książęta na Szląsku, przed wstąpieniem na tron Zygmunta. A więc i tym razem, gdy chodziło o ostateczne omówienie kwestyi małżeństwa, wraz ze wspomnianym wyżej Hanelem, archiprezbiterem z Budy, udał się do Krakowa ks. Kazimierz cieszyński.

Działo to się w dniach kończących listopad a rozpoczynających zimę 1511 roku.

Rokowanie krakowskie prędko załatwiono. Kiedy na Trenczyńskim zamczku projekt przyjęto z radością, na Wawelu rzecz nie przedstawiała żadnych trudności. W zasadzie cały ten zamiar omówiony był wcześniej, wobec poselstwa króla węgierskiego, Władysława, które w Krakowie na niewiele przedtem gościło.

Termin zaślubin naznaczono na pierwsze dni lutego. Były to też same dni lutowe, około św. Doroty, co przed sześćdziesięciu prawie laty upamiętniły się w dziejach domu Jagiellońskiego zaślubinami Kazimierza Jagiellończyka z Elżbietą Rakuszką.

Ludzi pamiętających epokę pomyślną zaślubin Kazimierzowych niewielu już było; wiedziano wszakże, iż owe dni godów Kazimierzowych przyniosły dużo błogosławieństwa Niebios, dużo szczęścia domowego, rodzinnego Jagiellońskiej rodzinie i całemu państwu; wrócono więc i Zygmuntowi niemało szczęścia, gdy dzień zaślubin z owemi wspomnieniami łączy. Termin wydawał się jako dobry omen. Epoka ówczesna, nieco przesadna, skwapliwie podnosiła zbieg przypadkowy dat, wieszcząc tyleż lat życia przyszłej królowej, ile niegdyś żyła Elżbieta, słusznie nazywana „matką rodu Jagiellonów“.

Rzeczywistość powitała wprędce rozczarowaniem wieszczbiarzy... Przedwieczny dawca i kierownik losów miał wkrótce wydrzeć kartę z pomyślnej przyszłości. Lecz ciosów i zawiedzionych nadziei nie przewidywano wówczas, oddając się wrażeniom chwili — a wrażenia te tchnęły pogodą i nadzieją o barwach wzorzystych.

Wiedzieć, iż potężny monarcha środkowej Europy zaślubia dziewczę nieznane, stosunkowo ubogie, wychowane zdala od większych ognisk światła, wywołała mnóstwo rozpraw i komentarzy w Polsce, na Litwie, za Karpatami. W Węgrzech mniemano, iż to jest ubliżeniem dla majestatu zniżać się ku dziedzicom Trenczyńskiego zameczku; zapewne zawiść mówiła przez usta szlachty węgierskiej; każdy z nich uważał się za również dobrego jak Zapolya. W Polsce także wielu „tego małżeństwa, jako nierównego, nie chwaliło“, chociaż byli pono, — wedle słów Marcina Bielskiego — co „wiele dobrego się z niego widzieć obiecywało“¹.

Najwięcej sprawa tego małżeństwa nie podobała się cesarzowi niemieckiemu, Maksymilianowi, który pilnie troszcząc się o losy naszego Zygmunta, ofiarował mu — jak się wyżej wspomniało — „pannę włoskiego narodu w małżeństwo“. Propozycja, jak wiemy, spóźnioną była i posel niemiecki „odprawiony i udarowany“ został; „ale cesarz, obraziwszy się — pisze kronikarz — Krzyżaki na króla pobudził i z Moskwą się pobracił“². Tak się więc nader szybko ujawniła ta Maksymilianowa „przychyłość bezinteresowna“.

Król tymczasem na dąsanie się niemieckie nie zważał. Zabiegi znaczne i szybkie uczynił, aby gody weselne w pierwszych dniach lutego odbyć się mogły. Przedniejszych panów koronnych obesłał listami, wzywając ich na swe weselne gody wraz z żonami. I w tym razie stosowano się do dawnych tradycji. Gdy Kazimierz Jagiellończyk się żenił, również wzywano żony przedniejszych panów, aby towarzyszyły pierwszym krokom na Wawel królewskiej oblubienicy. I teraz, za Zygmunta, to się powtarza.

Prawie tezsame nazwiska pań spotykamy w relacji Długosza o weselu Jagiellończyka, jak i w piśmiennych zabytkach, które mówią o zaślubinach Zygmunta z Barbarą Zapolya.

Charakterystyczną jest rzeczą, iż na pierwszych, zarówno jak na drugich godach, nie widzimy pań litewskich, ale jedynie nazwiska rodzin małopolskich wraz z wielkopolskimi spotykają

¹ Kronika Marcina Bielskiego, ks. v, str. 962.

² L. c. 963.

się. Jeszcze znać niewiele wówczas Litwa posiadała kobiet o cywilizacji górującej, godnie tedy mogących reprezentować dwór królewski, chociaż już się zdarzało dość często, iż możnowładcza młodzież litewska sięgała po rękę dziewczyn najpierwszych rodów polskich. Podczas bardzo wczesnej doby wspólnego dwóch krajów życia, widzimy, że Tenczyńskie, ze starego Nawojowego zamku, z Tenczyna, stawały na ślubnych kobiercach z młodzianami z nad Niemna i temsamem uzupełniały pracę cywilizacyjną Jadwigi. Niosły one daleko, za puszcze, za miedze cywilizacji starej, hasła nowe obyczaju mniej szorstkiego, kultury wyższej, chrześcijańsko-zachodniej. Patrząc z odległości wielu stuleci na te pracownice, z Małopolski zabiegłe nad Niemen i Wilią, na ich cywilizacyjną działalność, nie można rzec, że „kobiety nie mają historii“. Swemi zasadami, wychowaniem dzieci, uczuciem, urastały ponad tłum, wpływały na społeczeństwo.

Takich niewieścich pionierów niewiele jednak jeszcze liczone na ówczesnej Litwie, a warunki geograficzne nie sprzyjały, ani też czas i pora roku, by je sprowadzać można było dla wytworzenia naprędce, w ciągu kilku tygodni, otoczenia dla młodocianej narzeczonej króla.

Podobnie jak Długosz przechował nam imiona pań: z Tarnowa, z Tenczyna, z Szamotuł, z Czyżowa, Ostrorogowej i innych, które witały i wprowadzały na Wawel Elżbietę Rakuszanę, narzeczoną Jagiellończyka, tak *Tomiciana* szacowne wyliczają nam owe panie, co były powołane do witania Barbary Zapolskiej. Zawsze są tu teżsame prawie nazwiska rodów starych, głośnych, zasłużonych, oddawna na tronu stopniach stojących.

Król powołał wśród wielu trzy Tarnowskie: Tarnowską, kasztelanową przemyską, wdowę po Rafale z Jarosławia Tarnowskim, Jadwigę Tarnowską, kasztelanową krakowską, małżonkę Spytkę z Jarosławia Tarnowskiego i ich córkę Annę, już wówczas małżonkę Jana Odrowąża, wojewody ruskiego. Dalej widzimy dwie przedstawicielki wielkopolskich pań: Lubrańską, wojewodzinę poznańską i Katarzynę z Szamotuł, małżonkę Łukasza z Górki, kasztelaną poznańskiego. Anna z Radziwiłłów księżna mazowiecka, młoda jeszcze wdowa, bo dopiero do połowy czwar-

tęgo lat dziesiątka dobiegająca, z dwiema córeczkami, Zofią i Anną, i dość już letnia siostra królewska, Elżbieta, tworzyły wyższy region zastępu niewieściego, który witał Barbarę.

Zygmunt mocno pragnął, aby ten zastęp był najliczniejszym i ślady zabiegów i trosk, w rzeczonym kierunku łożonych, pozostały w *Tomicianach*, gdzie wogóle odbijają się liczne szczegóły działalności tego króla. Oto, w jaki sposób przemawiał król Zygmunt do senatorów, wzywając ich na gody z żonami i córkami. „...Ponieważ przychodzi Nam na myśl, — pisze król — iż potrzeba znakomitych niewiast dla przyjęcia narzeczonej i uczczenia na pierwszym wstępie, chcemy, aby w. m. żonę swoją tu, na dzień św. Doroty, sprowadził, by ku czci Naszej i narzeczonej Naszej czyniła Jej asystencyą, coby Nam wielce miłym było“...

Łukasz z Górki, do którego powyższe wyrazy były pisane, należał do przedniejszych, a zarazem i do najulubieńszych senatorów; dlatego też król wysłał go po Barbarę, wraz ze swym największym ulubieńcem, Szydłowieckim. Krzysztof Szydłowiecki, kasztelan sandomierski, Jan Lubrański, biskup poznański, również blizki i miły królowi, a wreszcie wspomniany Łukasz Górka, potężny wielkopolski możnowładzca, składali grono poselskie, które po królewską oblubienicę za Karpaty jeździło.

Poselstwo sprawiono szybko i dobrze. Przy całym utrudnieniu środków komunikacyjnych, bez względu na brak warunków klimatycznych, sprzyjających pośpiechowi, i ułatwień informowania się szybkiego, wszystko na czas gotowem i dokonaniem porządnie, wedle woli Zygmuntovej, zostało.

W przeddniu św. Doroty, tj. w przeddniu wskazanego przez króla terminu, wracające z Węgier poselstwo z oblubienicą królewską, stanęło o mil parę od stolicy.

Taką chwilową gospodą, gdzie odpoczywano i do wjazdu się przygotowywano, była duża wieś kościelna, nazwiskiem Morawica.

Dla Barbary pierwsza to stacya dłuższego nieco pobytu w Polsce, pierwsza możność zetknięcia się z mieszkańcami kraju, którego miała się stać matką, panią, królową. Na przystanku tym

pierwszym godziny Barbarze szybko płynęły; nie była samą; towarzyszyła jej matka, brat Janusz i wuj.

Troskliwość rodzicielki nie pozwoliła córce odjechać samej. Z rodzicowego gniazda, z Trenczyna, wyjechała Barbara w towarzystwie swych najbliższych. Wujem, który ją odprowadzał, był wspomniany tu wyżej Kazimierz, książę cieszyński. Otoczenie, jak widzimy, było najzupełniej swojskie, blizkie sercu tej ziemi, do której Barbara wjeżdżała. Piastowie szlączy wieźli na stary gród piastowski młodociane piskłę własnego gniazda.

Zatracały się już wówczas w Krakowie i w kraju całym piastowskie tradycye, przed stu laty i za dni warneńskiego pogromu, tak jeszcze żywe; niewielu więc zapewne zapatrywało się na ów związek Zygmunta, jako na hołd oddany dynastyi starej, pierwotnej, której społeczeństwo wszystko zawdzięczało, która ostrzem miecza, niby lemieszem swego praojca, odorala miedzę graniczną szerokiego później łanu, miedzę przyszej wielkości, sławy, bezpieczeństwa. Ale każdy odczuwał, iż pewien powiew swojskości płynie z tą młodą królową.

Po raz to ostatni królowa, przybywająca z obczyzny, nie wnosi z sobą na Wawel żywiołu obcego; nie wnosi cudzoziemskiej mody, obyczaju, pojęć wręcz różnych od zasad, któremi się u nas rządono. Te panie, które później przybywały na Wawel i wieńczyły swą skroń koroną Jadwigi, niosły z sobą wszystko obce, zapelniały tłumami cudzoziemców antekamery izb królewskich, nie nawiązywały nici stosunku rodzinnego tronu z narodem. Były to Włoszki, Niemkinie, Francuzki, postacie, które serdecznemi węzły nie łączyły się z przybraną ojczyzną, i ta ziemia głoskami błogosławieństw nie zapisała ich pamięci. Mieśliśmy szeregi królewien o myśli, uczuciu swojskiem, ale królowe, z wyjątkiem Anny Jagiellonki, to obce twarze i zimne dla nas serca. Nawet Barbara Radziwiłłówna, szybko i smutnie przesuwająca się pod sklepieniem izb królewskich na Wawelu, wciąż moralnie i fizycznie zbolala, a więc chorobliwie rozdrażniona, chorobliwie kapryśna i dumna — nie powiększa szczupłej wyjątków liczby.

Barbara Zapolska, to typ królowej, co zdala przybyła, nie

pod naszym urosła niebem, a umiała jednak zespolić się z nową atmosferą życia, umiała stać się nieuczodziemką. Nie dziwny się — krew to piastowska... krew nasza...

Wjazd do Krakowa Barbary, odprawiony z pobliskiej Morawicy, świetnością uderzał. Orszaki poselstwa polskiego i rodziny królewskiej oblubienicy wynosiły „do ośmiuset koni“. Sam Łukasz Górka prowadził 60 zbrojnych; nie licząc orszaków innych posłów, nie licząc tych, co w okolicy przyległej do murów stolicy łączyli się z ową ciżbą godową. Droga, którą wieziono Barbarę, szła na Łobzów, Kleparz, ku Floryańskiej bramie; tem wejściem bowiem miano ją do stolicy wprowadzić. Na znacznych przestrzeniach, od Morawicy do Kleparza, droga przepełniona była końmi, ludźmi, jaśniała zbroją, barwą cennych szat, przepychem zaprzęgów i strojów.

Królewska oblubienica odbywała całą podróż w kolasie podarowanej jej przez króla węgierskiego Władysława¹. Zmienna pogoda, co u nas bywało po wsze czasy, uniemożliwiała od Morawicy dalsze posuwanie się kolasy na kołach. Śniegi i mrozy właśnie wówczas ustaliły drogę sanna, jak przystało na dni lutowe.

Kronikarz w następujący sposób opowiada o owej chwili dziejów rodziny Jagiellońskiej.

...„Przyjechali do Morawicy, blisko Krakowa, dnia 5 lutego (1512 r.) — czytamy w kronice — a tam nocowali... Nazajutrz, w piątkowy dzień, wyprawił się przeciwko niej król Zygmunt dosyć ochędożnie, ale iż był wielki śnieg i mróz, przeto na saniach jechał do Łobzowa, a tam czekał nowej małżonki swej“².

Na białych, śnieżnych kobiercach, pod Łobzowem, rozpostarte były namioty, w których król oczekiwał na przyszłą małżonkę. Siostra królewska, Elżbieta, jedyna wtedy gospodynii zamku wawelskiego, księżna Anna mazowiecka z niedorosłymi prawie córeczkami, z dwoma pacholećmi, wszystkie przedniejsze panie, mało i wielkopolskie, episkopat z prymasem Janem Łaskim

¹ „Jagiellonki pol. w XVI. w.“, przez A. Przeździeckiego, t. I, str. 12.

² M. Bielski, ks. v, str. 963.

na czele, tworzyli koło miejscowych dostojników. Tuż obok niemniej świetnie stały obce poselstwa i goście, z cudzych krajów przybyli: wszystko to czoło schylało wobec potęgi Zygmunta i państwa, któremu przewodniczył. Nie zapominano, iż Zygmunt był najpotężniejszym wśród dynastji Jagiellonów, a ta dynastja władała wówczas całą środkową Europą. Czechy i Węgry, szeroko rozpostarte ziemie Rzptej, pod berłem dwóch synów Kazimierza Jagiel. zostawały, Władysława i Zygmunta. A przytem korona ostatniego z nich otoczona była plejadą ziem, księstw holdownicznych. Wszystko to razem wzięte tak olbrzymią potęgę wytwarzało, iż można było przypuszczać przewagę stanowczą żywiołu słowiańskiego w stosunkach politycznych Europy ówczesnej. Sprawy dyplomatyczne, gdyby spoczywały w dłoni ludzi biegłych w swej sztuce, a bezinteresownie oddanych interesom państwa Jagiellonów, mogłyby na wieki całe wstecz, ku środkowi Europy, cofnąć wpływ niemiecki i nie pozwolić rozrósć się, wzmocnić monarchii rakuskiej.

Podczas doby, o której mówimy, rzeczy na rozdrożu stały. Dom rakuski nie wzmógł się jeszcze, a Jagiellonowie tworzyli powagę. Około powagi tej, iż zabiegano, że jej się wciąż kłaniano — nic dziwnego, jej to był czas. Otóż i na gody Zygmuntowe przybyli liczni posłowie obcych mocarstw, na których czele widziano posła papieskiego, Jana Staffleus; poza nim, w tłumnej ciżbie obcych znakomitości, spotykano przedstawicieli książąt niemieckich — saskiego i brandenburskiego markgrafa — wysłańców od książątek szląskich, od patriarchy konstantynopolańskiego, od wojewody wołoskiego, od biskupów węgierskich. Każdy z nich ponad górną Wisłę przybywał w celu zaskarżenia łaski królewskiej i utorowania sobie drogi do tej lub owej sprawy w przyszłości; i każdy nie odjechał z próżną dłonią; kronikarz nawet o nich pisze: „wszyscy dobrze uczęstowani i udarowani od króla odjechali“... W tak licznym a świetnym poczcie królewska oblubienica wjeżdżała, witana przez panów przedniejszych, duchowieństwo i mieszczan najprzód na Kleparzu, potem u Floryańskiej bramy, wreszcie w katedrze, na zamku, gdzie w imieniu złożonego chorobą biskupa krakowskiego, Jana Ko-

narskiego, wita, ją biskup przemyski, Maciej Drzewicki, polecając jej łasce duchowieństwo. Przemówienie to w całości, czy też w znaczniejszym fragmencie doszło do nas i wskazuje, iż pewne monarchiczne pojęcia istniały jeszcze wówczas, szanowano majestat tronu, przebija się to z całą mocą w słowach przedstawiciela duchowieństwa, submitującego się młodziutkiej monarchini. Buta senatorska i różnych paniąt w Rzpltej później dopiero urosć miała...

Barbara rzeczywiście nader młodziutką stawiała z królem Zygmuntem na ślubnym kobiercu. Liczyła siedemnaście zaledwie lat życia, podczas gdy jej małżonek miał już tych lat znaczną liczbę — czterdzieści pięć. Pomimo wielkiej różnicy wieku, rzeczzone małżeństwo opierało się na prawdziwym uczuciu, które wytworzyło dla obojga dni szczęścia rzeczywistego. Dni te były krótkimi, lecz Zygmunt zaliczał je do najlepszych w życiu swem... Po szybkim zniknięciu tych dni, gdy we trzy lata później Barbara umarła, Zygmunt złamany ciosem, długo na samo jej wspomnienie łzami się zalewał.

Młodziutką latorośl starej dynastyi na zamku krakowskim witano urzędownie bardzo uroczyście, nie obeszło się bez rymów łacińskich; ale nikt w niej nie witał powrotu piastowskiego pisklęcia do rodzinnego gniazda starej dynastyi: zabaczono, iż jest ona przedstawicielką dawnych, piastowskich tradycyji; nie oceniono należyście, iż słowo polskie z ust jej płynie, że nietylko co do mowy, ale co do obyczaju, usposobień, charakteru, przyzwyczajęh, kością jest z kości a krwią z krwi naszego społeczeństwa.

Kolebkę Barbary nie okrywano purpurą królewską, niemniej jednak jej wejście na Wawel i objęcie tronu sierocem i ubożuchnem mienić się nie mogło. Wnosiła mężowi wiano bogate, ze stu tysięcy czerwonych złotych złożone; suma znaczna, stosunkowo do ówczesnych warunków, a przytem mogłyby być nadzieje większego wiana nawet, ale Barbara, po koronacyi, która w parę dni po ślubie, w trzy zaś dni po wjeździe do Krakowa, odbyła się, zrzekła się wszelkiego dalszego po rodzicach spadku. Król w zamian za to — jak się przechowały świadectwa

u Dogiela i w Tomicyanach — żonie zapewnił znakomitą, tak zwaną „oprawę“, składającą się z licznych dóbr.

Barbara Zapolya, od pierwszej chwili przybycia na Wawel, stanęła wśród otoczenia najzupełniej różnego od tego, jakie ją na Trenczyńskim zamczku otaczało. Począwszy od świetności izb zamku królewskiego aż do ludzi, stojących najbliżej stopni tronu, wszystko innem, świetniejszym nie tylko mieniło się, lecz i bez zaprzeczenia innem było. Wpływ ciągłego stosunku z ogniskiem ówczesnego poloru, z wytworną Italią, uwidocznił się na każdym kroku. Włochami już i wówczas zapełniał się Kraków. Sukiennice prawie całe, będąc w ręku włoskich kupców, świadczyły wymownie o rozgałęzieniu się u nas stosunków handlowych z daleką, wciąż kupczącą Italią. Wszystko co do dziedziny sztuki zaliczało się, również z Włoch ród swój wiodło. Zamek królewski już był wspaniale odnowiony, pod kierunkiem Włocha, budowniczego, Franciszka Lori, rodem z Florencyi: i Krzycki, poeta ówczesny łaciński, a dworak pełen poloru i światowej giętkości, nie napróżno w wierszu na cześć Barbary Zapolya opiewa następującemi słowy piękności królewskiej siedziby:

... Tutaj dworzec napodziw — wszędy malowanie,
Wszędy złoto, dziewico! jeno obróć oczy,
Oto przepych królewski wkoło cię otoczy.
Tu przysionki, na słupach granitowych wsparte,
Tu obrazy cudnemi barwami natarte,
Tu misterne sklepienia, tutaj Rzymskie sale —
O! i król assyryjski nie żył tak wspaniale...¹

Pod owemi „misternymi sklepieniami“, ozdobionemi złotemi „rozety“, w „rzymskich salach“ i komnatach, których siedm przedniejszych liczone, mieścił się dwór, usposobieniem, pojęciami, obyczajem tworzący dla młodziutkiej Barbary inny świat, którego ścieżki dla niej, jako dziewczęcia pełnego sielskiej prostoty, wily się stromo, wydawały się ślizkami i przepaścistemi. Bo też, zaiste, takimi one były już wówczas.

¹ Andr. Krzycki, *In augustissimum Sigismundi, Reg. Pol. et Reg. Barbarae connubium* Andr. Criti Carmen, 1512. Przekład pol. Wład. Syrokomli.

Dwór królewski, podobnie jak dwory przedniejszych rodów, roił się od „trefnisiów“, ludzi dowcipnych, umiejących zabawić, rozweselić żartem pospolicie wesołym, lecz często boleśnie raniącym tych, których cheiano upokorzyć, ze ścieżki życia usunąć, jako niebezpiecznych współzawodników. Rozweselanie opowiadaniem żartobliwemi, dowcipem, leżało w obyczaju ówczesnego życia. Píše więc autor „Dworzanina“ o sposobach ówczesnego przepędzania czasu następującemi słowy: „Schodzą się, aby uweselić się i dać sercu ochłodę, a k'temu nie dopuścić, aby człowiek natenczas pomniał na swe frasunki a dolegliwości tęschiwe, któremi opływa nasz żywot“¹. Oprócz ludzi „trefnych“ (dowcipnych) większe dwory posiadały „trefnisiów“, których wyłącznym, z urzędu niejako, obowiązkiem było chlebobawców bawić, „dawać ich sercu ochłodę“. Takim był głośny Stańczyk, „błazen osobliwy“, jak nazywa go ówczesny kronikarz, takim mniej głośny, a jednak znany wówczas powszechnie, Benesz, trefniś na dworze Krzysztofa Szydłowieckiego. „Trefnisie“ zastępowali niekiedy dzisiejszą prasę i głosili prawdę, którą panowie prędzej z ich ust niż z innych przyjmowali. Panowie, wiedząc, że trefnisiom nie dotrzymają pospolicie kroku w dowcipie, najczęściej milezieniem odpowiadali, uznając tem samem słusność ich docinków. Marcin Bielski już to zauważał i taką zapisał w swej kronice przestrozę: „owa z błazny szkoda panom żartować, bo prawdę radzi żartem rzeką“...²

Obok trefnisiów z urzędu, tłumy dworzan zalegały izby zamku królewskiego, z których niejeden, według wyrażenia się Reya z Nagłowic, „przegryzał się przez życie“, dowcipkując i „trefnem“ słówkiem osłaniał własne sprawy, nie zawsze lubiące dziennej jasności. Niem mało wytwarzało się zatem intryg dworskich, nielicujących z powagą majestatu, którego zamek wawelski był siedzibą.

Niektóre postacie z owego liczego dworu, po wiekach zapomnienia, ożyły dla nas; wspomnienia bowiem o nich, zagrze-

¹ Ł. Górnicki, „Dworzanin“.

² „Kron. Polsk.“, Marc. Bielskiego; wyd. Turowskiego, str. 1000.

bane w „Tomicyanach“, i innych epoki ówczesnej rękopiśmiennej zabytkach, otrząśnięto z kurzu kilku stuleci: i znowu owi zygmuntownie dworzanie, owi trefnisie, owi chwalecy majestatu i jego spraw, ubierający swe pochwały w rym wytworny, stają przed nami. Widzimy ich zabiegi, ich zabawy, niekiedy zbyt wesołe, biesiady ku zgorszeniu Włochów za długie, bo przy stołach biesiadnych — jeśli wierzyć obcych relacyom — 6 do 8 godzin trawiono, nie rozstając się z opowiadaniem i z pełnemi dzbany. Jeden Polak „zje za pięciu Włochów“ — pisał tamtoczesny podróżnik włoski.

Usunąwszy pewną ilość przesady, której chętnie puszczały wodze cudzoziemcy, mówiąc o nas, i z lekceważeniem nas traktując, niemniej jednak przyznać należy, iż dużo czasu trawili ówczesi na zabawach. Żaden stan, powołanie nie nakładały hamulca używaniu wszelkich życia przyjemności. A epoka nieogłędnego czerpania z czary ziemskich rozkoszy, co należy do właściwości ludzi z doby Odrodzenia, zaczynała się u nas właśnie w owych latach, gdy Barbara Zapolya stała się panią na Wawelu.

Dla niej wszystko tam spotykane tem wyraziściej obcem się wydawało, iż na tle często lekkomyślnego, rzadko gruntownie coś umiającego tłumu, który gwarnie snuł się po kruzgankach zamkowych, widziała ludzi z rzeczywistą nauką, z polorem, z przyzwyczajeniami najwytworniejszego świata. Wobec nich nieśmiała i niejako w głębi ducha swego upokorzona się czuła. Do jej ucha zarówno dobiegały roznoszone po kraju, ba, i za Beskidem tułające się wieści, że stopnie tronu dla niej „za wysokie“, jak i zwykłe orzeczenia humanistów naszych ówczesnych, „iż Polki nie są tak uczone jak Włoszki“...

Nieśmiałość od pierwszej chwili przybycia na Wawel zauważano i wobec męża, którego wprawdzie pokochała całą mocą pierwszego uczucia, pomimo wielkiej różnicy wieku, a różnica dobiegała prawie lat dwudziestu ośmiu — lecz wielka powaga męża i jego wyższość pod wielu względami onieśmiały ją. Ta nieśmiałość, na tle jakby jakichś przeczuć smutnych, braku wiary w pogodę jutra, wprędce wywołała w młodem tem sercu

obawy o trwałość miłości męża, która dla niej cenniejszą była nad świata całego korony.

Nieco później przyplątały się do pesymistycznego usposobienia młodej kobiety pewne podszepty, pomnażające obawy, nadając im przytem niemało cech prawdopodobieństwa. Lecz o podszeptach złośliwych powiemy w dalszym ciągu opowieści naszej.

Zygmunt, liczący w chwili żenienia się lat czterdzieści pięć, nosił w swem usposobieniu i w całej swej postaci znamię człowieka epoki dawnej. Pewna miękkość, zaliczająca się do właściwości pokoleń humanistów, nie wplotła się do czynników jego wychowania. Wszystko w nim w latach młodzieńczych i dojrziałych jego życia tchnęło siłą, powagą, wstrzemięźliwością w słowie, czynie, szlachetnością i otwartością. Na taki wizerunek składają się pojedyncze rysy jego postaci, rozsiane u pisarzy doby noszącej jego miano. Takim go poznała, takim więcej może odgadła instynktem niewieściem, niż poznała młodziutka małżonka, taki stanął w dziedzinie jej uczuć i posiadał niepodzielnie ową dziedzinę.

Zewnętrzna postać Zygmunta zachowywała wieki całe dla potomności rzeźba, umieszczona na domu Jana Bonara w Krakowie, rzeźba pamiętająca krótkie lata życia Barbary Zapolyi. Na owej rzeźbie widzimy go z twarzą łagodną, bez zarostu, znać starannie wygoloną, z długimi włosami, twarzą o rysach spokojnych, regularnych, okiem rozumnem, ale u ust wiją się ślady jakichś przebytych goryczy i siła, co siebie raczej niż innych hamować potrafi.

Historyk XVI. stulecia uzupełnia nam to, czego dopowiedzieć dłoń włoskiego rzeźbiarza nie zdołała. Słowa rzeczonego historyka o Zygmuncie brzmią tak: „Urody był to pan krasnej a siły wielkiej tak, iż powrozy targał, podkowy łamał; niewiele rad mówił, ale z baczeniem; był trochę gniewliwy, ale jednak gniew umiał w sobie tać, był trzeźwy, mierny“¹. Do wyrazów tej charakterystyki historyka dorzuca pióro publicysty kilka ry-

¹ M. Bielski, „Kronika Polska“, ks. v, str. 1094 (wyd. K. Turowskiego).

sów, stwierdzających, iż nie napróżno rzekliśmy, że do znamien-nych cech charakteru Zygmunta zaliczała się pewna szlachetność i otwartość, zupełna dostępność, najzupełniej Jagielloński brak dumy w stosunkach z ludźmi; zastępowała ją powaga, od młodości wczesnej w nim spostrzegana, a bezmierna, powaga, nakładająca hamulec na jego czyny i słowa. Milczący najczęściej, milczenie przerywał niekiedy dowcipem, żartem, co niespodzianie wybiegał z ust pospolicie zaciśniętych, jakby przy wpatrywaniu się w zadumie w głąb ducha swego. Ale żart, dowcip — o ile posiadamy wskazówki — zwykle niezbyt był udatny. Konserwatystą zresztą mienić go nie możemy; wszelka zmiana wrażenie mu przynosiła nieprzyjemne; co jednak nie przeszkadzało być dostępnym dla uwag, zdań wręcz przeciwnych.

„Rad nas słuchiwał — pisze o królu Zygmuncie publicysta XVI wieku — nie tylko każdemu pozwalał łaskawego ucha. Stały otworem wszystkie jego gmachy, pokoje, najtajemniejsze przybytki, zgolał wszystkie dom swój, przez cały bieg życia, wynurzał na publiczny widok“¹. Piękna ta a łagodna postać tembardziej jasno na zamku wawelskim świeciła, iż wszystko, co do zastępu dworzan różnego rodzaju i miana należało, pod wpływem pojęć humanistów obcych, zdobywających u nas grunt pod swemi stopy, odbiegało od epoki prostego obyczaju i zasad moralności chrześcijańskiej mniej strzegło. Głos humanistów, echo mędrców starożytnego świata w większem poważaniu były nad słowo ewangelii. Zygmunt wcale nie odwracał ucha od prac nowych, ówczesnie dokonywanych pod wpływem powiewu pojęć humanistów. Poezye, które z wielką łatwością tworzył, w języku starej Romy, młody natenczas Andrzej Krzycki, wytworny dworak w sukni kapłańskiej, a przytem ulubieniec królewski, nie tylko, iż król chętnie czytał, ale je z sobą „woził w oddzielnej skrzyneczce“. Krzysztof Szydłowiecki, również mąż wykształcenia wyższego, wielki bywalec, który pił wodę Jordanu, podróżnik, „szukający w morzu i w ziemi — jak się wyrażano — godności wielkiej, człowiekowi przyzwoitej“, zaliczał się też do najbliższych

¹ „Stan. Orzechowski“.

króla, prawą jego ręką mienić się mógł i rzeczywiście takim był ¹. Mikołaj Szydłowiecki, brat tu wspomnianego, również niepospolita postać, w sztukach się lubujący, który, jak z zacięciem panegirycznym pisano o nim, „jaskinie plutonowe przemienił w mieszkanie graczy“, do „najpożądańszych“ Zygmunta senatorów i przyjaciół również się zaliczał.

Wymienione tu postacie najwybitniejsze dworu i kraju, otaczające tron, tworzyły niemniej i najbliższe otoczenie młodzietkiej królowej.

Zygmunt, urządzając dwór żony niewieści, z wielką troskliwością dobierał ludzi, pragnął widocznie, aby z przedniejszych otoczenie jej spleść. Andrzej Krzycki, wspomniany tu poeta, mianowany sekretarzem królowej, a Stanisław Jaroński, herbu Rawicz, „człowiek, jako siły wielkiej, tak rozumu i baczenia dobrego“, staje jako marszałek na czele jej dworu.

Pewna liczba niewiast, dziewic szlacheckich rodów, przebywa stale na dworze królowej. Źródła dziejowe zachowały nam pamięć szczególnie o jednej z owych dworskich dziewic: to Zofia z Targowiska Targowiecka, herbu Tarnawa, słynna „ze swej piękności“, a wreszcie dodawano i „z cnoty“, gdy o parę dziesiątków lat później, za dni Bony, obyczaj jej Włoszek, któremi licznie Wawel zaludniała, rdzą cudzoziemską enotę naszą starą okrywał ².

Igrać uczuciem umiano i wówczas; z dworów obcych przeszczepiano pewną w tej mierze bezwzględność, i na naszym gruncie urastali różni gorszycciele domorośli, ale na dworze Barbary, którą z polską zaczęto nazywać „Zapolską“, obyczaj ojców dawny i surowy w mocy swej stał, nie zmieniał się, acz obce wpływy i złe przykłady falą obfitą podmywały węgły spokoju gniazd rodzinnych.

Gorszycciele obcych nie brakło; widywano ich na celniejszych nawet stanowiskach. „Andrea Silvio Amato“, Włoch, który uprzednio w Wiedniu chleba szukał, a potem w gościnnej Polsce zasiadł na katedrze akademii krakowskiej, wreszcie zaś, po kilku-

¹ *Liber geneseos illustris familiae Schidloviciae*. (Wydanie paryzkie Tytusa Działyńskiego, 1848, w druk. Crapelet).

² Niesiecki, t. IX, str. 8 i t. VIII, str. 641, wyd. J. N. Bobrowicza 1842.

nastu latach, stał się z ręki Bony wychowawcą Zygmunta Augusta, znanym był z życia zbyt lekkiego¹. Własnych naszych gorszyieli i kalających obyczaj domowy mieliśmy sporo; im bardziej w głąb XVI w., tem tłumniej oni występują, lecz wielkości rodowód moralny od cudzoziemców wyprowadzić się da.

Prawdopodobnem było, iż Krzysztof Szydłowiecki, możnawładca ówczesna potęga, igrzać zechce także uczuciem wobec Zofii Targowieckiej; lecz na dworze królowej Barbary „Zapolskiej“ nie mogły rzeczy iść taką koleją. Szydłowiecki poprowadził piękną Zofię do ołtarza; był to związek nierówny co do majątku i stanowiska społecznego. Targowiccy ustępowali Odrowążom i Szydłowieckim — ale to związek serca, podobnie jak Zygmunta, i — również szczęśliwy.

Szczęścia dużo zapowiadało małżeństwo Barbary Zapolyi z Zygmuntem. Dla króla — to epoka nader pogodna. Królestwo nie rozłączali się prawie wcale w pierwszych dwóch latach swego pożycia. Po spędzeniu kilku pierwszych miesięcy w Krakowie, gdzie król dopilnowywał restauracyi i uświetnienia zamku na Wawelu, rozpoczęły się ku jesieni 1512 r. podróże, które dla spraw państwowych monarcha odbywając, woził z sobą żonę, podobnie, jak to niegdyś czynił jego rodzic ze swą Elżbietą, za dni bojów trzynastoletnich z Krzyżakami i podczas długich podróży w głąb Litwy. Barbara towarzyszy Zygmunтови na sejm piotrkowski, na zjazd w Wielkopolsce; i przy dłuższem w Poznaniu goszczeniu, gdzie król zamieszkiwał dom biskupi, przy tumie, powiła mu Barbara pierwsze dziecko — była to córka, Jadwiga. Przyszła ona na świat w dniu W. Piątku wczesnej wówczas, marcowej Wielkiej Nocy.

Przy całej dla żony miłości, król nie mógł nie odczuć pełnego rodzaju zawodu; spodziewał się, gorąco pragnął syna, widział w nim rękojmię przyszłej pomyślności swych państw, a tymczasem zamiast syna, nadziei dynastyi, córka się rodzi. Król żonie

¹ K. Morawski, w swych studiach umieszczonych w *Przegl. Polskim*, r. 1887.

nie daje do poznania swego chwilowego smutku z zawodu, który go spotkał, ale w pewnego rodzaju manifestie do stanów koronnych wydanym, uwiadamiającym o przyjeździe na świat dziecięcia, parę kropel goryczy tajemnej spotykamy. Zaczyna się owa odezwa od wyrazów, stwierdzających niejako smutek króla, z rezygnacją połączony; czytamy tam na czele te wyrazy: „Wszelki dar z góry dany mile przyjęty być winien. Pan Bóg dał Nam córkę“...¹ W liście do brata Władysława, króla węgierskiego, już śladów tej goryczy niema, ale i zbytcej radości z tego „daru“ niebios również nie widzimy.

Zygmunt dzielił się z narodem poronionemi nadziejami następcy, dziedzica tronu i Jagiellońskich tradycyj, bo i dla narodu rzecz to nieobojętna; zawiódł się i on w oczekiwaniach. Jeszcze przed ślubem z Barbarą, pisząc do hospodara wołoskiego, Bohdana, król wyrażał się, iż naród go skłania, „aby królowę sobie pojął, a w tem królestwu i państwie swym poradził“². Naród więc pragnął dla Zygmunta syna, urodzenie się córki rozpraszało nadzieje.

Obzęd podawania do chrztu malutkiej królowny odbył się w Poznaniu, bez żadnej okazałości; może się zgon ówczesny królowej Heleny, bratowej Zygmunta, zgasłej w Wilnie, przyczynił do tej ciszy u dworu; w tymże bowiem czasie donosi król jednemu z senatorów: „Pisano do Nas, że królowa Helena ostatni dzień życia swego przeżyła“. Ostatni ten dzień nie był wszakże zbyt przykrym dla rodziny królewskiej. Helena z tytułu tylko do rodziny męża należała, wogóle zaś zdala biedna kobieta — ofiara politycznych kombinacyj — trzymała się od rodziny Jagiellońskiej i owa rodzina od niej stroniła. Uroczystość chrztu królowny jest jednym z dowodów patryarchalnego stosunku, łączącego Zygmunta z narodem. Wyraźnie to uwydatnia się, gdy wzywa wielkopolskich panów, by mu do chrztu córkę trzymano. Wiele życzliwości przyjaznej jest w tem wezwaniu, skierowanem do Lubrańskich, których zaprasza, by mu się stali

¹ Patrz „Jagiellonki polskie“, t. I, str. 14.

² L. c. t. I, str. 10.

„kumami“. Przechowany w Tomicyanach list króla w tej kwestyi, do Mikołaja Gardziny Lubrańskiego, wojewody pozn. i jego małżonki, stwierdza jak serdeczny, patryarchalny stosunek łączył króla z poddanymi.

Wszystkie rodziny małopolskie, w kraju i u stopni tronu wpływowe, zaprzyjaźnione były bądź z całą rodziną Jagiellońską, bądź też z niektórymi jej członkami: poza stosunkami urzędowymi, każdy z owych senatorów lub dworzan niejedną nieią serdecznej łączności, niejednem osobistem wspomnieniem zjednoczonym się czuł z Jagiellonami. Postacie, widziane już przez nas na zamku krakowskim, wszystkie prawie prywatnemi stosunkami sięgały tronu. Szydłowiecki Krzysztof, na Wawelu, wraz z synami Jagiellończyka wychowywał się; osobisty to więc od lat dziecinnych przyjaciel króla Zygmunta. Rodzina Targowiekich także miała z Jagiellonami blizkie stosunki; brat bowiem Zofii Targowiekiej — Zygmunt — dworak i kapłan zarazem, sekretarzował przy bracie króla, kardynale Fryderyku, na pokoje ciągly wstęp mając. Panowie „z Sobienia“ i inne odpryski rodu Szreniawitów, spokrewnieni z nimi Ogończykowie z Dubiecka Ruskiego, a z tymi znowu spowinowaceni Derszniakowie, Korczakowie z Rokitnicy, wozili swe kobiety na Wawel; i później o lat kilkadziesiąt niektóre z tych rodów, wśród zmieniających się szybko kart losu, niejednokrotnie wnuczkom Zygmunta Starego, osieroconym Jagiellonkom, okazywały swą życzliwość, jakby odwdzięczając się, iż ich ongi dobrotliwie garnął król „Stary“ pod dach gmachu wawelskiego¹...

Zaledwie upłynęły pierwsze tygodnie macierzyństwa Barbary, niebezpieczeństwa od wschodniej ściany państwa skłaniają Zygmunta podążyć o mil kilkadziesiąt, ku Wilii brzegom. Małżonka i tym razem nie opuszcza męża. Dwa razy od niej starsza siostra królewska, Elżbieta, jedyna jeszcze niezamężna, acz już przekroczyła poza trzydziestkę lat swych, rozciąga macierzyńską

¹ Sobień, Dubiecko Ruskie — gniazda małopolskich rodów — nad Sanem, już za Jagiellończyka, wskutek napadu Węgrów, idą w gruzy; ostatnie aż do zagłady imienia swego, bo dziś zowie się Wieś Rуска nazwa zaś przeszła na sąsiedni zameczek i miasteczko.

opiekę nad małą Jadwigą, królowa zaś jedzie z królem na Litwę, chce mu towarzyszyć w trudach obozowych. O pobycie w obozie niema wszakże mowy; król żonę zostawia na zamku wileńskim, sam zaś dąży ku pogranicznym państwu miedsom. W krótkim życiu Barbary smutkiem znaczony pobyt jej w Wilnie, gdzie tęskniła i niepokoiła się podwójnie, o męża, zajętego wyprawą, i o dziecię piastowane na przyjaznem, lecz nie na matczynem łonie, w dalekich, wawelskich murach. Nie cierpiała zupełnego osamotnienia: miała dwór liczny i gwarny, jak w Krakowie; Mac. Drzewicki, biskup kujawski, opiekował się dworem i królową, Krzycki zaś udatnemi rymy głosił jej boleść z powodu rozstania się z mężem, i wierszowane łacińskie listy, w imieniu osamotnionej, do króla na teatr walki słał; lecz to wszystko nie przynosiło cichego szczęścia, do którego z usposobienia swego powołaną była niejako. Smutek wileński wywołał obawy, trwogi, by nie stracić uczucia mężowskiego, by w dziedzinie jego serca berło niepodzielnie trzymać. Późniejsze miesiące dorzucały zarzewia obaw nowych, wprowadzie płonnych, one wszakże organizm jej wątły podkopywały, rdzą smutku trawiły. Szlachetna ta niewieścia postać była wspaniałą, lubo wątłą rośliną, którą, żeby przy życiu utrzymać, potrzeba było wciąż otaczać miłością, strzedz pilnie od wszelkich powiewów obaw i zgryzot rzeczywistych, a nawet urojonych. Barbara dużo i urojonych posiadała; z organizacyi jej fizycznej, dość słabej, nerwowej wielce, z usposobień skłonnych do wątpliwości, to wpływało.

Weale przesadnemi mienić nie można opisów tęsknoty królowej młodziutkiej i wielce rozżalonej, gdy z wyprawy, upamiętnionej tryumfem orszańskim, król długo nie wracał. Dziwnie rzewne są te łacińskie rymy Krzyckiego, w których boleść osamotnionej królowej opiewa, porównywając ją do „żałośnej turkawki“. Początek tak brzmiał:

Jak w gęstym wiązcie turkawka jękliwa,
Wdowiem gruchaniem małżonka przyzywa,
Takimi jęki i we dnie i w nocie
Ja, smutna wdowa, narzekam, gruchocę...

.

Cóż ja modlitew, co ja zniosłam marnie,
Dziennej goryczy i nocnej męczarnie!
A ile przygód bywało na świecie,
Tyle obawy moją duszę gniecie...¹

Król obdarzał żonę wiadomościami dość częstemi; wszakże dla jej obaw, dla jej tęsknicy wszystko to nie wystarczało. Myśl jej wciąż ku dwom punktom zwracała się: do obozu, gdzie mąż przebywał, i na Wawel daleki biegła; tam bowiem malutkie jej niemowlę, pod opieką królowny Elżbiety wyciągało ku niej swe ręce. Król wielokrotnie przypominał siostrze, Elżbiecie Jagiellonce, swe niemowlę, prosząc, aby otaczała „najukochańszą“ jego córkę „swą miłością“. Dla młodej kobiety taka podwójna tęsknota zbyt ciężyla na wrażliwem sercu.

Towarzystwo dworu niewieścigo, ani też Krzyckiego, który stale na dworze królowej przebywał, i w charakterze jej przyboćznego kanclerza do najbliższych zaliczał się, nie koło smutków osamotnionej. Krzycki powierzchownością, uzdolnieniem wyróżniał się imponująco. Dość jeszcze młody, małego wzrostu, „śniady, giętki“, pełen rzutkości, wesoły, dowcipny, światowcem był, chociaż w szacie duchownej, i zabawić umiał; lecz Barbary umysł szukał gdzieindziej uspokojenia. Bawienie przedłuższe w Wilnie zapełniała temi miłosierdzia chrześcijańskiego czynami i modlitwą, co jej zdobyły chlubne wspomnienie, wyrażone przez współczesnego w następujący sposób: „dla wielkiej jej pobożności, ku królowi małżonkowi wiary i powolności, a ku wszystkim ludziom niewymownej dobroci i ludzkości, i ku ubogim szczodropliwości i dla innych wszelakich cnót, musieli ją wszyscy ludzie miłować“...²

Obcowanie z Bogiem i listy od Zygmunta zapełniają Barbarze dni smutku. Król często pisuje, daje szczegóły o sobie, ale głównie zajęty troskliwością o żonę. „Jużemy z bożą pomocą pierwszym obozem stanęli — czytamy w jego liście z Mińska, pisanym 16 sierpnia 1514 r. — teraz szczęśliwie dalej ruszamy...

¹ Przekład Wład. Syrokoml.

² Przekład z „Tomicyanów“, u Aleks. Przeździeckiego, w „Jagiellonkach“, t. I.

W. Miłość zaś prosimy, aby tęsknotę za nami cierpliwie znosiła, ponieważ to co czynimy służyć ma ku chwale imienia naszego i ku utrzymaniu państwa ojcowskiego i naddziadów Naszych¹.

Król szedł w tylnej straży obozów, nie narażało go owo ciąglenie na niebezpieczeństwa pierwszych ciosów wroga; wszakże Barbara mówi mężowi w swych listach, iż dni jej płyną w „żałobie“, i w nagrodę wynurzeń otrzymuje zaraz pociechę w postaci nadziei blizkiego zwycięstwa. „Piszemy — głosi list króla z Borysowa, w parę tygodni po poprzednim pisany — abyś tymczasem raczyła być dobrej myśli, wypogodziła swoje oblicze, nieczego się nie obawiała, mając dobrą otuchę i z każdym dniem lepszych nowin oczekiwała, chowając ku Nam zwykłą miłość²“.

Polecanie się uczuciu zbyt czułym tu zupełnie; królowa niem jedynie żyła, a obezwładniały ją nietylko obawy o męża życie i zdrowie, lecz i o stratę owego uczucia. Dni tęsknoty, jak wszystko na świecie, przemieły. Dzień Narodzenia M. Boskiej, ówczesnego roku, był dniem Orszy. Król wrócił jako tryumfator; za nim weszły na zamek i do katedry wileńskiej trofea; echo zwycięstwa świat szeroki zapełniało; Leon X. otrzymał o niem od Zygmunta zawiadomienie; w Rzymie przeto nabożeństwami, oracyami „uczonych ludzi“, sztucznymi ogniami obchodzono tryumf³.

Barbara witała nie tryumfatora, lecz męża, przedmiot swej miłości, ze cziłą połączoną. Dla niej kwestya tryumfów podrzędną była; gdy tymczasem kwestya jej istnienia w spokoju ducha, pod promieniem przyjaznych dokoła usposobień, zdawało się, iż wchodzi na lepszą drogę. Obawy i przypuszczenia smutne królowej rozwiały się, jak sen; a że nigdy nie wznowią się można było mniemać. Wracała ona przy boku męża z Litwy do Krakowa, po przeszło całorocznej niebytności, wśród wróżb najlepszych; echa przewagi orszańskiej wciąż jeszcze brzmiały; pogoda usposobień jej najbliższych i narodu odbijały się w umyśle młodziutkiej królowej w sposób uspokajający. Pogoda umysłów

¹ Loc. cit.

² Loc. cit.

³ M. Bielski (wyd. Turowsk.) str. 978.

w całej pełni rozwinęła się na wzgórzu wawelskiem po powrocie obojga królestwa do Krakowa w pierwszych dniach lutego 1515 r., wówczas bowiem zaczęto z cicha powtarzać na zamku wieść radosną, iż królowa spodziewa się znowu dziecięcia. Wieść ta pomnażała radość powszechną. Nikt nie wątpił, iż będzie to syn, tak upragniony przez króla i naród.

Powrót królowej do Krakowa przypadał prawie co do dnia i co do godziny w rocznicę trzecią pierwszego jej wjazdu do stolicy. Trzy lata właśnie dobiegało jak stanęła na stopniach tronu Jagiellonów; wrócono jej i tym razem przy uroczystych powitaniach lat szereg długi: nie przewidywano, iż obecnie już tylko ośm miesięcy od mogiły ją oddziela. Jej młodość, szczęście, miłość męża, potęgi blask składały się na horoskop najpomyślniejszy... Doba ówczesna nie zeznawała potrzeby otaczania niektórych istot wybranych atmosferą uczuć najtkliwszych, pod promieniem których one jedynie mogą istnieć; pozbawione takich dziwnie prędko ginęły. Starano się o moralne warunki mniej zapobiegliwie, za podrzędne je mając, nikomu więc z najbliższych i najtroskliwszych o Barbarę nie nasuwała się myśl, iż pozbawiona atmosfery serdecznej troskliwości zwiędnie przedwcześnie. A jednak to o czem nie myślano — ziściło się wprędce.

Zaledwie miesiąc upłynął od powrotu obojga królestwa z litewskiej stolicy, gdy Zygmunt, już tym razem bez żony, której stan zdrowia nie pozwalał odbywać wielkich podróży, wyrusza ku Dunajowi, na zjazdy i dyplomatyczne z monarchami rokowania.

Podróż króla, której celem najbliższym był Presburg, gdzie miał się widzieć z bratem Władysławem, królem węgierskim, a później zapowiadał się zjazd z Maksymilianem, cesarzem niemieckim, w Wiedniu lub jego okolicach, krótką być nie mogła. Obrachowywana na kilka tygodni, przeciągnęła się aż do sześciu miesięcy. Czas na nią zużyty, chociaż wypełniony częstemi listy Zygmunta i Barbary, wystarczającym się stał, by rdzą tęsknoty strawić wątły organizm Zygmuntovej małżonki. Kroniki XVI. w. przypisują zgon przedwczesny Barbary wilgotnemu latu; mówią,

iż choroba powstała „z wielkich mokości“ ówczesnego lata. Jeśli jednak damy ucho cichym jękom więcej niż tęsknicy, lecz bólu z trudnością tłumionego, który w listach Barbary wyraźnie się uwydatnia, wówczas gdzieindziej szukać będziemy przyczyn wyczerpania siły ducha, które wywołało i sił fizycznych wyczerpanie, w następstwie zaś nagle zgaśnięcie.

Listy z owej epoki, przeważnie układane przez Krzyckiego, poza wytworną formą i świetnym językiem uzdolnionego sekretarza królowej, odzwierciedlają nieraz całą głębię trawiących ją smutków¹.

Przyczyną — o ile się zdaje niemałą — wzmagających się z dniem każdym prawie smutków i żałobnych przewidywań Barbary, były rzucone, znać jeszcze w Wilnie, do jej wrażliwego umysłu opowieści o Zygmuntowym pobycie za dni młodszych w Głogowie, o miłości jego dla owej pięknej Morawianki, Katarzyny „z Telnicz“, czyli jak ją nazywano „Telniczanki“, o stateczności, z jaką utrzymywał długo to uczucie, on, stateczny zawsze, nie napróżno „starym“ zwany. Niejedna szczypta złośliwości, umyślnie dodana, pomnażała jaskrawość opowiadań, działała silnie na wyobraźnię.

Opowieści, prawdopodobnie ostrożnie podawane, wpadały do myśli, sączyły się powoli do ducha Barbary, osiadały w jego głębinach, niby trucizna i, budząc coraz bardziej przesadne obawy w umyśle młodej, egzaltowanej kobiety, wywołały zwykłe następstwa trucizny. Pesymizm, nieokreślone a ciągle obawy znalazły w tych opowiadaniach pewnego rodzaju grunt, na którym wybuchać zdołały.

„Telniczanka“ nie była urojoną postacią. Dzieje jej i osoba sama głośnieji stały się przed zamażpójściem Barbary. W chwili gdy ta ostatnia tron obejmowała, Telniczanka już była od trzech lat żoną Andrzeja Kościeleckiego, zdolnego i cenionego dygnitarza, któremu nie mogli nawet jego najbliżsi, nawet bracia ro-

¹ Cała serya tych listów, zachowana w „Tomicyanach“ (t. III), skąd czerpał ich wyjątki, w przekładzie umieszczając w „Jagiellonkach“, Al. Przezdziecki, t. I.

dzeni darować, iż się z nią ożenił. To oburzenie, niechęć ku Kościeleckiemu, czynem okazywana, przypominały światu istnienie Katarzyny „z Telnicz“, a zresztą i ona światu przypominała się. Ze swego domu „pod Białą Głową“, w Krakowie, przy ulicy Brackiej, pani Katarzyna rozległe stosunki utrzymywała, i chociaż wdzięki jej były w przededniu przekwit, rzuciła sieć zalotności dokoła. Najznakomitszych pragnęła posiadać w szeregu swych wielbicieli, i pono posiadała; a są ślady, że Telniczanki dłoń spotykano w kabałach i intrygach tłumnego, gwarneho, nieco długimi wczasy rozpróżnionego dworu na Wawelu.

Wobec takich usposobień Telniczanki, nie zrywającej wcale z rzemiosłem zalotności, podejrzania trwożliwej Barbary, cichej, pokornej, wysoce o sobie nie trzymającej, wzrastały wśród osamotnienia. Wyjazd Zygmunta na dłuższy przeciąg czasu, właśnie ku tym okolicom skąd Telniczanka ród swój wiodła, podróż na dwory książąt, gdzie obyczaj wcale wzorowym nie był, gdzie tak znaczna liczba pięknych twarzy, napępiały pełne chorobliwych niemal przewidzeń serce Barbary tysiąciami obawy. Pod ich to wpływem, „w dobę“ zaledwie po odejździe Zygmunta, z jej zlecenia, układa Krzycki w formę listu smutne jej myśli tej treści: „...Miłość lękliwa zawsze i frasobliwa góruje często nad rozumem, nie mogą (więc) nie być stroskaną i niespokojną“... Całe ówczesne usposobienie Barbary, o którym tu wyżej z jakimś naciskiem mówiliśmy, wybornie malują dalsze listu rzezonego wyrazy: „...Podróż — czytamy dalej w owym liście — ma swoje niewczasy, ma i niebezpieczeństwa, a gdyby ich nawet nie było, bojaźń wystawia sobie w urzeczywistnieniu to, coby być mogło“... „Długie podróże, często afekta miłości u nieobecnych osłabiać zwykły, lękam się bardzo, abys W. Kr. M., jak już ciałem — i duszą ode mnie nie odbiegła“... Te wyrazy, tak dosadnie malujące uczucia ówczesne Barbary, nie inwencya trzymającego pióro jej kancelaryi, ale własne jej serce dyktowało. Około myśli, w rzezone wyrazy odzianej, cała korespondencya królowej podczas nieobecności męża toczy się. I w innych listach owej półrocznej doby podróży królewskich, nie zabacza Barbara wciąż powtarzać, i tkliwych wynurzeń serca kochającego, i prośby

o jednakie uczucia, „...bo w innych sprawach różna może być zapłata, lecz miłość tylko miłością się płaci“... Król, zarówno w pierwszej odpowiedzi, na list tu zacytowany, którą pisał z Ostrawy, w kilka dni po wyjeździe z Krakowa, tak bowiem szybko gońcy z królewskimi listy jeździli — jak i w innych, rozwija jednaką myśl, iż nie jest tak słabą podstawa ich wzajemnej miłości, „aby osłabić ją zdołała bodaj największa odległość“... Listów nacechowanych najgłębszym smutkiem niemało pisała Barbara podczas półrocznej męża nieobecności, wiele też i Zygmunt zużył słów uspokojenia, łagodnej perswazyi, do których nieraz załącza uwagi, dotyczące się zdrowia żony i sposobów chronienia się od rzeczy szkodliwych jej zdrowiu. Podobne przestrogi zawarł i w listach do siostry Elżbiety, która czuwała nad Barbarą. Poznawszy wreszcie Zygmunt, iż przewidywania, przecucia żałobne mnożą się wciąż, co na jej zdrowie i losy przyszłego potomka wpłynąć może szkodliwie, mocno się zaniepokoił. W każdym jego liście — a takich w „Tomicyanach“ pozostało do żony dwadzieścia a trzy do siostry — przestroąg dotyczących zdrowia Barbary mnóstwo spotykamy.

Długie godziny zwykła była Barbara spędzać w kościele na modlitwie, której i w domu część czasu znaczną poświęcała, martwiąc przytem ciało surowemi postami. Zygmunt obawiał się dla niej murów zimnych świątyń krakowskich, obawiał się postów wycieńczających słabego organizmu siły; pragnął, aby w towarzystwie królowny Elżbiety Jagiellonki używała świeżego powietrza, w cieniu ogrodu królewskiego, który od Łokietkowych czasów zalegał wybrzeże Wisły, u ujścia Rudawy. Gdy więc wiosna nadeszła, drugi miesiąc nieobecności króla upłynął, a on wrócić jeszcze nie zdołał, takie wyrazy troskliwości płyną z pod pióra Zygmunta: „Usilnie prosimy W. Kr. M., aby te ostatki nieobecności Naszej spokojnie przeniosła; a dla miłości Naszej jak największe staranie w tej tak trudnej dla siebie porze o sobie miała. Przyjmiemy to za spełnienie gorącego żądania Naszego, jeżeliby W. Kr. M. codzień, idąc do kościoła na nabożeństwo, krótko tam bawiła; a czasem także dla odpoczynku umysłu i ruchu ciała przechadzała się z N. Siostrą Naszą po

ogrodzie Naszym, lub w innem jakimkolwiek przyjemnem miejscu“... Jednocześnie szły listy królewskie, zarówno do lekarza, „wielebnego Leonarda Pieczychowskiego“, któremu staranie powierzał o zdrowie żony, jak i do „sławetnego“ Jana Bonara, burgrabiego i rajcy krakowskiego, niejako marszałka dworu, zalceając mu sprowadzenie stosownej mamki. Do żony król w kwestyi mamki ze szczególną troskliwością pisze. Czytamy raz dopisek: „Bonarowi dla Ciebie mamki szukać kazałem“; to znowu w innym liście rozpisuje się szerzej. „Niech W. Kr. M. raczy naradzić się o tem z N. Siostrą Naszą, jak sama zechce, byleby nim czas rodzenia nastąpi, połączonemi radami tak się opatrzyło, aby mamka gotowa była, i raczej ona na dziecko czekała, aniżeliby dziecko na nią czekać miało“...

Wyrazy tu przytoczone dorzucają rys charakterystyczny do wizerunku postaci poważnej, wybitnej, a wreszcie mało dotąd wystudowanej, jaką jest Zygmunt Stary. Wśród spraw państwowego znaczenia, wśród rokowań dyplomatycznych, czas i myśl swobodną posiada on, by szeroko omawiać sprawy rodzinne, małuczkie, domowe. Chcąc temu sprostać, potrzeba było dużo mieć uczucia obok rozwagi, którą tak powszechnie sławią w Zygmuncie; że na uczuciu mu nie zbywało, liczne mówią świadectwa. Gdy miesiące upływały a zamierzone widzenie się z cesarzem Maksymilianem nie dochodziło, wciąż oddalając się raczej niż zbliżając, w Zygmuncie, acz cierpliwym, górować zaczęło zniecierpliwienie. Pisze więc do żony, znać mocno rozżalony: „Dałby Bóg, aby już nareszcie nie przez listy, ani posłów, ale osobiście dano było rozmówić się z W. Kr. M.... Pocięchą nieprzerwanego pożycia wynagrodzilibyśmy Naszą nieobecność, która nam coraz bardziej się przykrzy, ponieważ wyjeżdżając nie myśleliśmy wcale, że się tak przedłuży“...

Dochodziły króla wieści wciąż niewesołe: to pisano, że bezbrzeżna tęsknica królowej, to jej słabe zdrowie nie pozwalające wróżyć możebności karmienia spodziewanego dziecięcia, to wreszcie donoszono, że jakaś choroba, grasująca wśród niewieściego dworu królowej na zamku wawelskim, zabrała parę ofiar z najbliższego otoczenia, tak iż potrzeba zaszła zmiany

mieszkania księżniczek z obawy zarazy. Barbara wprawdzie o tem nie pisze, piszą inni, a ona i o swem żalobnem usposobieniu oględnie się wyraża. Bojaźń, złowrogie przeczucia zamykają jej usta; otwiera i usta, i serce częściej wobec Boga niż wobec ludzi, bodaj najdroższych. „... Gdy inne uczucia i troski zmniejszają się z biegiem czasu — pisze ta pełna przeczuć smutnych, trwożliwa pani — u mnie zwiększa się z każdym dniem pragnienie widzenia W. Kr. M. i niespokojność z powodu takiego opóźnienia“...

(Dok. nast.).

Maryan Dubiecki.



NOWE PROMIENIE¹.

Kto dziś nie słyszał, kto dziś nie mówi o nieznanych dotąd promieniach, o promieniach katodowych, o promieniach Röntgena, o fotografowaniu wewnętrznych części ciała ludzkiego, rzeczy ukrytych i niewidzialnych? — Rzadki to i prawdziwie niezwykły fakt w dziejach rozwoju nauk przyrodniczych, że doświadczenia fizyka wüzburgskiego dostają się w jednej chwili do publiczności i na falach opinii powszechnej z właściwą jej prędkością rozchodzą się po wszystkich zaułkach ziemi. Kiedy bowiem inne zasadnicze odkrycia musiały nieraz długie lata, całe dziesiątki, ba wieki całe pozostawać w ukryciu, za nieprzedartą kotarą świątynicy wiedzy, i z czasem dopiero i zwolna tylko potrafiły przecisnąć się i utorować sobie drogę do wiadomości powszechnej; doniosłe odkrycie niemieckiego uczonego z pracowni

¹ Cfr. W. Roentgen, *Expériences sur un nouveau genre de rayons*. Revue générale des sciences. 30 Janvier 1896. — H. Poincaré, *Les rayons Cathodiques et les rayons Roentgen*. Ibid. — A. Schuster, *Remarques au sujet des vues théoriques de M. Roentgen*. Ibid. — J. Perrin, *Etude expérimentale des rayons de Roentgen*. Ibid. — L. Poincaré, *Les rayons cathodiques et l'hypothèse de la matière radiante*. Ibid. 1894. — H. Poincaré, *Remarque sur un Mémoire de M. Jaumann intitulé „Longitudinales Licht“*. Comptes rendus 1895. T. 121 i T. 122. 1896. — J. Perrin, *Nouvelles propriétés des rayons cathodiques*. Ibid. T. 121. — A. A. C. Swinton, *Professor Röntgens discovery*, Nature. 23 stycznia 1896. — P. Lenard, *Ueber Kathodenstrahlen in Gasen von atmosphärischem Druck und im äussersten Vacuum*. Sitzungsberichte der Berliner Academie. 1893. — Idem, *Ueber die magnetische Ablenkung der Kathodenstrahlen*. Wiedemann's Annalen. 1894. T. 52. — Idem, *Ueber die Absorption der Kathodenstrahlen*. Ibid. 1895. Nr. 10. — O. Lehmann, *Ueber Kathodenstrahlen*. Ibid. — G. Jaumann, *Longitudinales Licht*. Ibid. 1896. Nr. 1.

fizycznej przeszło bezpośrednio do prasy codziennej, do publiczności, tak, iż żaden z fizyków społecznych nie miał jeszcze czasu zastanowić się nad nowem zjawiskiem, by sąd swój wypowiedzieć, podczas gdy my wszyscy profani musieliśmy już o tem mówić i rozprawiać.

Już drugi miesiąc upływa od czasu, jak pierwsza wzmianka o nowych promieniach ukazała się w dziennikach. Może więc dziś wolno będzie nie tylko postawić pytanie: Co to za zjawisko, skąd pochodzi? ale też spodziewać się na nie odpowiedzi.

Zrozumienie odkrycia Röntgena i jego prawdziwej doniosłości suponuje znajomość niektórych rzeczy z najnowszej fizyki; sądzimy, że uprzytomnić je na tem miejscu i tak jednocześnie rzucić kontury tła odpowiedniego, na któremby nowe zjawisko wyraźniej i ostrzej wystąpić mogło, nie będzie od rzeczy.

Jeśli o promieniach mowa, to mimowoli nasuwa się na myśl światło. Co to jest światło? Znamy doskonale ze strony subiektywnej to najidealniejsze i najbardziej duchowe wrażenie światła fizycznego, które stanowi jego krasę prawdziwą i jego życie właściwe, a fizyka społeczna poucza nas o przedmiotowej naturze tego zjawiska, że to są niesłychanie prężne i niezmiernie drobne oscylacye owej materji niezmysłowej, eteru, w którego łonie wszystkie ciała zmysłami naszemi dostrzegalne są pogrążone. Każde niemal światło przedstawia się nam jednolicie i jednostajnie: i światło słońca, w którego promieniach kąpią się niebotyczne wieżyczki i iglice tumów gotyckich, i światło lampki wiecznej, migotającej samotnie o północy w kościółku wiejskim. Żadne atoli białe światło, i najbardziej jednolite, nie jest światłem prostem, ale złożonem z niezmiernej ilości różnorodnych promieni. Przekonać nas o tem może bardzo łatwo każdy pryzmat przejrzysty lub każde lustro z wyrytą na sobie bardzo delikatną, mikroskopijną podziałką czyli tzw. siatką dyfrakcyjną. Otóż za pomocą zwyczajnych pryzmatów lub siatek dyfrakcyjnych możemy rozłożyć światło białe na jego składniki, na całą gamę promieni różnokolorowych, począwszy od brunatnych i czerwonych aż do fioletowych i lawendowoszarych. Jak wiadomo, pro-

mieniom różnych barw odpowiadają różne długości fal eterycznych, nadto, ponieważ prędkość rozchodzenia się światła jest dla wszystkich promieni ta sama, różna ilość drgnień na sekundę. I tak, promienie brunatne i czerwone posiadają fale najdłuższe (około 0,76 μ tj. mikronów czyli tysięcznych części milimetra) i wykonywają przeszło 400 bilionów oscylacyj na sekundę, zaś najkrótsze fale (mniej niż 0,4 μ) mają promienie fiołkowe i lawendowoszare, a ilość ich drgnień na sekundę wynosi przeszło 700 bilionów.

Nie dosyć na tem. Ów pasek barwny czyli widmo kolorowe między barwą brunatną a lawendowoszarą nie obejmuje wszystkich promieni, z jakich się składa nasz pęk światła białego — to dopiero pewna, widzialna część jego. Całe widmo ciągnie się jeszcze dosyć daleko po jednej i po drugiej stronie, i obejmuje promienie o fali dłuższej od czerwonych czyli pozaczzerwone i promienie o fali krótszej od fiołkowych czyli pozafiołkowe. Ponieważ promienie pozafiołkowe świadczą o swej obecności energicznym działaniem chemicznym na materiały używane w fotografii, promienie zaś pozaczzerwone wywoływaniem skutków cieplnych, nazwano też pierwsze promieniami chemicznymi, drugie cieplnymi. I istotnie promienie pozaczzerwone nie są niczem innym, tylko promieniami ciepła. Mamy już zatem następujące promienie: ciepłe, świetlne (barwne), pozafiołkowe, promienie, które podmiotowo umieszczamy w całkiem różnych kategoriach, które atoli przedmiotowo, o ile racjonalnie wnosić można, różnią się tylko ilościowo, tj. długością fal i ilością drgnień.

Dwojakie mogą być drgania jakiegoś ciała, albo podłużne (np. powietrze w piszczałce), albo poprzeczne (np. struna na skrzypcach). Otóż bardzo ważną jest kwestya, czy drgania eteru w naszych promieniach są poprzeczne, czy też podłużne. Na początku ubiegającego stulecia utrzymywano powszechnie, że drgania eteru są podłużne; skoro jednak dokładniej poznano różne zjawiska świetlne, a zwłaszcza polaryzacji światła, przekonano się dowodnie, że drgania te podłużnymi być nie mogą, że muszą być poprzeczne. I dzisiaj wiemy już to wszyscy, że i promienie ciepła i promienie kolorowe i niewidzialne pozafiołkowe są w rzeczywistości poprzecznymi drganiami eteru, że wszyst-

kie rozchodzą się z jednakową prędkością, około 300000 km na sekundę w powietrzu i próżni, a różnią się tylko długością fal i ilością oscylacyj.

Do tego szeregu, ilościowo niezmiernie dużego, który my przedmiotowo na kilka tylko grup rozkładamy, ale jakościowo różnych, przyłączyły się w ostatnich latach prawie nadspodziewanie inne jeszcze promienie — elektryczne. I elektryczność, ta wszechwładna pani, największa potęga w dzisiejszym ustroju ekonomicznym, która uczonym całego XIX. stulecia tyle czasu pożarła, a zawsze się z ich ryz i karbów jak piskorz wyślizgiwała, stanęła wreszcie pokornie w tym samym szeregu, co promienie ciepła, barwne i ultrafioletowe, i ona polega na oscylacjach eteru, na poprzecznych drganiach eteru, rozchodzących się z tą samą prędkością w powietrzu i próżni co światło, z tą tylko różnicą, że fale elektryczne w porównaniu z falami barwnymi, a nawet pozaczzerwonemi są niezmiernie długie, dochodzą zazwyczaj do kilku, a nawet do 10 metrów. Jakkolwiek nie zawadzi wspomnieć, że podług najnowszych badań Klemečiča, Czermaka, Righiego i innych, fale elektryczne mogą też być stosunkowo bardzo krótkie i posiadać długość ledwie kilkudziesięciu, a nawet półtrzecia tylko centymetra. Mamy zatem nowy rodzaj promieni, promienie elektryczne, różniące się znowu, o ile ze zjawisk wnosić można, jedynie ilościowo od promieni ciepła i światła. Pogląd taki hipotetycznie wypowiedziano już nieraz, ale prawo i podstawę do niego dały nam dopiero epokowe doświadczenia z r. 1889 i następnych znakomitego fizyka niemieckiego, Hertza, przedwcześnie niestety dla nauki zmarłego.

Z elektrycznością też, jeśli nie rzeczowo, to przynajmniej historycznie łączą się najnowsze promienie katodyczne i promienie Röntgena.

Któż nie pamięta owych wspaniałych zjawisk świetlnych w jaju elektrycznem lub w rurkach geisslerowskich? Kto nie podziwiał owego błękitnego światła na biegunie ujemnym, czyli katodzie i owych świetlnych krążków różowych, ciągnących się dalej wzdłuż rurki aż do bieguna dodatniego, czyli anody? Zja-

wiska świetlne w tego rodzaju rurkach, z powietrzem jednak wysoce rozrzedzonym, były przedmiotem rozlicznych badań najsławniejszych fizyków w ostatnich kilkunastu latach; zajmuje się nimi i dziś niemało uczonych, a spodziewać się należy, że na przyszłość zajęcie to jeszcze więcej się obudzi. Dość wspomnieć nazwiska Hittorfa, Puluja, Crookesa, E. Wiedemanna, Goldsteina, J. J. Thomsona, Kelyna, Hertza, Kowalewskiego, Lenarda, Perrina, Lehmana, Jaumanna. Rurek szklanych do tych badań służących, nie nazywamy już rurkami Geisslera, ale najczęściej rurkami Crookesa, Hittorfa, Puluja, lub wreszcie Lenarda.

Jeśli taką rurkę połączymy z cewką Ruhmkorffa, lub innem źródłem prądu elektrycznego, spostrzeżemy w niej ciekawe zjawisko: około katody zobaczymy duże ciemne pole, fluorescencyę końca rurki, leżącego naprzeciw katody, w przestrzeni zaś pośredniej warstwy krążków świetlnych. Zjawiska tego nie widać, jeśli powietrze w rurce nie jest dostatecznie rozrzedzone, ani też w absolutnej próżni. A gdzież są owe promienie katodyczne? Otóż liczne doświadczenia, najrozmaiciej kombinowane, wykazały, że kiedy w rurce pojawia się opisane zjawisko, z katody wychodzą pewnego rodzaju promienie, które uderzając w przeciwny koniec rurki wywołują tam fluorescencyę. I te promienie nazwał Goldstein katodycznymi. Są one ciekawe z wielu punktów. I tak nie mogą się przedostać przez szkło na zewnątrz, wskutek czego przez długi czas można je było badać tylko w rurkach Crookesa lub podobnych. Badania, nie zawsze łatwe, były mimo to liczne; zdania atoli fizyków różniły się niemało. Jedni, jak np. Goldstein, Wiedemann, utrzymywali, że to są promienie pozafiołkowe, inni, jak Crookes, J. J. Thomson, że to są promienie, których substratem nie jest eter, jeno drobiny gazów wysoce rozrzedzonych. Głównym koryfeuszem drugiego poglądu był Crookes, który po bardzo wielu ciekawych doświadczeniach i obserwacjach upatrywał w promieniach katodycznych nowy stan materii, różniący się niemało od stanu gazowego i nazwał go stanem promienistym.

Suggestywny ten pogląd zaczął się już przyjmować w nauce,

gdy wtem przed dwoma laty Lenard, uczeń Hertza, wystąpił z swemi doświadczeniami na promieniach katodowych. Lenard skorzystał z jednej obserwacji mistrza swego, mianowicie, że promienie katodowe mogą przechodzić bardzo cienkie blaszki aluminiowe, i zmodyfikował rurkę Crookesa w ten sposób, że koniec jej, leżący naprzeciwko katody, zamknął cienką blaszką glinową. Ponieważ zaś blaszka taka jest zupełnie nieprzejrystą dla promieni barwnych i pozaświatkowych, Lenard otrzymał rodzaj okienka, przepuszczającego same tylko promienie katodowe. Teraz dopiero można było przekonać się, jak promienie katodowe zachowują się w różnych gazach, powietrzu, a nawet w próżni. Przedewszystkiem mógł Lenard przy pomocy tego okienka wykazać i skonstatować, że promienie katodowe mogą się rozchodzić w próżni absolutnej, z czego wyciągnął wniosek, że promienie katodowe nie są związane z drobinami gazowymi, lecz polegają na procesach, odbywających się w łonie samego eteru, że więc niema osobnego stanu materji promienistej, a gazy bardzo rozrzedzone są potrzebne w rurkach Crookesa jedynie do wywołania promieni katodowych. I pewne własności tych promieni można było teraz z większą precyzją zbadać. Najciekawszą cechą tych promieni, którą zresztą i przed Lenardem znano, jest, że każde pole magnetyczne, więc każdy magnes lub elektromagnes, wychyla je bardzo znacznie z pierwotnego kierunku. Niemniej uderza następująca rzecz. Wszystkie gazy, a zwłaszcza powietrze, są mętnemi środowiskami dla promieni katodowych, wszystkie zachowują się wobec nich tak, jakby nie były jednorodne. Wogóle z bardzo rozległych doświadczeń Lenarda wynika, że niema żadnego ciała, któreby było zupełnie przezroczystem dla promieni katodowych, jak np. szkło dla zwykłych promieni. że wszystkie nawet gazowe pochłaniają je w wysokim stopniu, że np. gazy dosyć rzadkie ledwie na dwa centymetry grubości potrafią jeszcze przepuścić te ciekawe promienie.

Dlatego też Lenard uważa promienie katodowe za poprzeczne drgania eteru o falach tak krótkich, iż długość ich możnaby porównać z odległościami międzydrobinowymi.

Mimo te, zdawałoby się, bardzo przekonywające doświadczenia, niema jeszcze jedności w poglądach dzisiejszych na promienie katodyczne. Jakkolwiek większość fizyków przechyla się na stronę Lenarda lub pokrewny pogląd Wiedemanna, to jednak w ostatnich jeszcze miesiącach występuje w Niemczech Lehmann, we Francyi Perrin, którzy przemawiają za tem, że promienie katodyczne są promieniowaniem materji zwykłej, nie eteru.

Najświeższe atoli i najoryginalniejsze jest zapatrywanie Jaumanna. Podług niego promienie katodyczne są wprawdzie promieniami eterycznymi, jednak nie są to ani promienie poza-fiołkowe Wiedemanna, ani promienie o falach niezmiernie krótkich Lenarda, ale promienie o drganiach podłużnych. Co więcej, Jaumann dopatruje się nawet w każdym świetle naturalnem pewnej składowej podłużnej, która ma występować zawsze, zwłaszcza na brzegach światła poprzecznego!

Poglądy Jaumanna wywołają niewątpliwie mnóstwo badań i dyskusji w tym względzie — na razie nie można o nich nie stanowczego powiedzieć, jak tylko, że są prawdziwie zajmujące i oryginalne.

Rurkami Crookesa, promieniami katodycznymi zajmowano się również w fizycznej pracowni wüzburgskiej. Jajo elektryczne stało się prawdziwie jajem Kolumba w rękach Röntgena.

Prof. Röntgen otacza czarnym kartonem rurkę Crookesa, w chwili, kiedy wytwarzają się w niej promienie katodyczne, a umieściwszy ją w sali zupełnie ciemnej, zbliża do niej ekran papierowy, powleczonej z jednej strony sinkiem platynowo-ba-rowym. Ciekawa rzecz; ekran przedstawia wybitne zjawisko fluorescencyi, i to, którąkolwiek stroną zwrócimy go do rurki. Fluorescencya wyraźniejszą jest, gdy ekran zbliżamy do rurki, a widoczną jest jeszcze w odległości dwu metrów.

Profesor wüzburgski zrozumiał od razu doniosłość tego odkrycia. Oczywiście bowiem z tego zjawiska, że istnieje czynnik jakiś, który zdoła przejść dość gruby czarny karton, całkiem nieprzejrzysty dla promieni pozafiołkowych i dla światła łukowego lub słonecznego, czynnik zatem zupełnie różny od pro-

mieni widzialnych lub pozafołkowych, wywołujący jednak tak samo jak one fluorescencję. Röntgen zaczął powtarzać doświadczenia i zmieniać zasłony; przekonał się, że papier wogóle jest przeźroczystym dla nowego czynnika, ekran okazuje fluorescencję chociaż umieścimy go za książką o 1000 stronnicach lub za talią kart do grania; kawałki drzewa, blachy glinowe nie bardzo grube, szkło nie zawierające wiele ołowiu, zachowują się względem nowego czynnika podobnie. Metale jednak wogóle, a zwłaszcza ciężkie są o wiele mniej przejrzyste, podczas gdy woda i wiele innych płynów są zupełnie przeźroczyste. Jeżeli przed ekranem fluoryzującym umieścimy rękę własną, przekonamy się, że kości ręki rzucają na ekran wyraźny cień, tkanki zaś i mięśnie otaczające je zarysowują się tylko bardzo delikatnie, czyli, że kości w tym przypadku zachowują się jak ciała nieprzeźroczyste, mięśnie zaś i inne tkanki wręcz przeciwnie. Wogóle bez wielkiego błędu można powiedzieć, że im ciało jakieś jest gęstsze i grubsze, tem mniej jest przejrzyste. Ten nowy czynnik Röntgen nazywa promieniami x (x—Strahlen), my jednak idąc za głosem publiczności i uczonych zwąc je będziemy promieniami Röntgena.

Nie trudno zrozumieć, że zapomocą takich promieni, które wręcz przeciwnie jak inne promienie przechodzą swobodnie ciała dla zwykłych promieni nieprzeźrzyste, można będzie rzucać sylwetki przedmiotów ukrytych na płyty fotograficzne i utrwalac je na nich, jeśli tylko płyty fotograficzne będą wrażliwe na nowe promienie. W rzeczy samej Röntgen przekonał się wkrótce, że nowe promienie działają nietylko na sinek platynowo-barowy, ale że w podobny sposób wywołują fluorescencję szkła uranowego, szpatu islandzkiego, siarczku wapniowego i t. d., i co najważniejsza i najbardziej zajmująca, że suche płyty fotograficzne są na nie wrażliwe! Zapomocą tych płytek Röntgen mógł potwierdzić wszystkie zjawiska obserwowane na sinku; rozumie się samo przez się, że mógł fotografować różne przedmioty metalowe schowane w szkatułkach papierowych lub drewnianych, szkielet kostny żywej ryby, żaby lub ręki ludzkiej. Temu szczegółowi właśnie odkrycie Röntgena zawdzięcza swoją wziętość i popularność, zainteresowało ono nietylko cały świat uczony, ale

wszystkich ludzi czytających gazety. Próby tego fotografowania zaczęto natychmiast powtarzać we wszystkich niemal pracowniach fizycznych, i zewsząd dowiadujemy się o jednogłośnem skonstatowaniu obserwacyj Röntgena. Nie potrzeba zaznaczać i podnosić ważności tych rezultatów ze względu na cele chirurgiczne. Sama rzecz mówi o tem dosadnie. A w niektórych klinikach poczęto już korzystać z promieni röntgenowskich ze skutkiem pomyślnym.

Jest to i bardzo ważna i zajmująca niemało praktyczna strona promieni röntgenowskich; o wiele ważniejsza, donioslejsza a nawet ciekawsza jest teoretyczna strona i filozoficzna nowego odkrycia. Dwa słowa o niej jeszcze.

Jaka jest natura tych szczególnych, tajemniczych promieni? Że są to promienie, to oczywiste, jak i to, że rozchodzą się prostolinijnie — świadczą o tem aż nadto cienie o zarysach wyraźnych, rzucane na materye fluoryzujące i fotograficznie zdjęte sylwetki różnych przedmiotów. Atoli nie są to promienie barwne ni ciepłe, albowiem siatkówka oczna jest na nie całkowicie nieczuła, a Röntgen nie mógł w żaden sposób skonstatować skutków termicznych tych promieni.

Może to więc będą promienie pozafioletowe? I to nie! Dlaczego? Bo promienie röntgenowskie wogóle nie mogą, zdaje się, być żadnymi promieniami wywołanymi przez poprzeczne drgania eteru. Wszelkie promienie, polegające na drganiach poprzecznych poczynawszy od hertzowskich a skończywszy na ultrafioletowych załamują się gdy przechodzą z jednego do drugiego ciała o innej gęstości, a załamują się tem bardziej, im drobniejsze i prędsze posiadają drgania. Tymczasem promienie röntgenowskie nie chcą w żaden sposób zastosować się do tego ogólnego prawa. Najrozmaitsze próby i kombinacye Röntgena, świeżo znowu dokładnie przeprowadzone doświadczenia Perrina w Paryżu, zgadzają się najzupełniej w tem, że nowe promienie nie załamują się wcale. I to jest ich najciekawszą może i najbardziej charakterystyczną cechą. Oczywista rzecz, że takie promienie nic sobie nie robią z żadnych soczewek, że więc skupiać ich i zbierać nie będzie można. Co więcej, według dotychczasowych rezultatów, nie udało

się Röntgenowi na żadnym materiale wykryć i najmniejszego śladu odbicia nowych promieni.

A więc mamy przed sobą zupełnie nowe, odrębne, oryginalne zjawisko, mamy promienie i promienie prawdziwe, różniące się jednak bardziej od wszystkich dotychczas poznanych, niż promienie ciepła lub światła od promieni hertzowskich. Nowe promienie nie tylko ilościowo lecz także jakościowo rozróżniłyby się od wszelkich promieni, polegających na poprzecznych drganiach eteru.

A promienie katodyczne? Czy niema między temi dwoma rodzajami promieni żadnego związku? Przedewszystkiem promienie Röntgena nie są promieniami katodycznymi. Jak widzieliśmy, promienie katodyczne nie mogą przedrzeć się przez szkło, ni przez bardzo wiele innych ciał, w zwykłej atmosferze rozpraszają się w wysokim stopniu, tak iż prostą drogą mogą się posunąć ledwo na 2 *cm*, podczas gdy promienie Röntgena przechodzą z łatwością ogromne mnóstwo ciał i to wcale grubych, a do tego dla zwykłych promieni całkiem nieprzejrzystych, przechodzą się w powietrzu prostymi drogami bez trudności nawet na odległość przeszło dwu metrów. I druga racja jeszcze ważniejsza. Najbardziej charakterystyczną cechą promieni katodycznych jest, że każde pole magnetyczne wychyla je znacznie; otóż promienie Röntgena w swojej drodze nie zważają wcale na pola magnetyczne. W bardzo licznych doświadczeniach Röntgen nie zauważył ani razu najmniejszego nawet zboczenia. Identyfikować zatem promieni katodycznych z promieniami Röntgena żadną miarą nie można.

Istnieje jednak pewien związek między temi dziwnymi promieniami. Jaki? Promienie katodyczne, zdaje się, wywołują promienie Röntgena. Profesor Röntgen z wielu doświadczeń i obserwacyj dochodzi do przekonania, że źródłem i siedliskiem nowych promieni jest owa część rurki, która okazuje najświetniej zjawisko fluorescencyi; innemi słowy, że tam gdzie się kończą promienie katodyczne, czyli gdzie stykają się z rurką szklaną, tam biorą początek nowe promienie. Zaczem wnioskuje niemiecki

uczony, że promienie katodyczne wywołują na powierzchni rurki Crookesa promienie x.

Czemże więc są ostatecznie promienie Röntgena? Na razie jedną tylko mamy odpowiedź zupełnie prawdziwą: *ignoramus*. Röntgen stawia tylko i to dosyć nieśmiało hipotezę, czy nie możnaby przypisać tych zjawisk podłużnym drganiom eteru. Sprawdzić tej hipotezy doświadczalnie — nie udało mu się do tej pory.

„Cokolwiek jest, mówi słusznie znakomity profesor fizyki matematycznej w Sorbonie, Poincaré, znajdujemy się wobec nowego czynnika, tak nowego, jak elektryczność za czasów Gilberta, galwanizm za czasów Volty“.

Takie jest zdumiewające odkrycie Röntgena — i pod względem praktycznym i filozoficznym wysoce doniosłe. Powiedziano nieraz, że znajdujemy się obecnie w owym stadyum rozwoju nauki, w którym lepiej i dokładniej znamy materię niezmysłową, nieciężką, niż materię zwyczajną i dotykálną. Jeśli przerzucimy chociażby pobieżnie tylko nasze podręczniki fizyczne, przekonamy się, że dużo w tem prawdy i słuszności. Naprawdę atoli my ni eteru ni materii zmysłowej nawet ledwie dostatecznie nie znamy, oba te czynniki zasłania przed nami jakaś gruba powłoka nocy i tajemniczości — a kto wie, czy ową powłokę rodzaj ludzki zedrzyć w całości kiedykolwiek potrafi. Że i własności eteru mniej znamy, niżśmy dotąd sądzili, o tem przekonują nas odkrycie Röntgena. Już to samo miałoby dla nauki niemałe znaczenie; znaczenie to staje się prawdziwie fenomenalnym przez to, że nowe odkrycie wybija małą szczelinę w owej ciemnej powłoce, osłaniającej przed nami właściwe jądro i trzon rzeczy, uchyla nam jej rąbek, i pozwala nam dopatrzeć się nowych, nieznaných widnokręgów w sferach eterycznych.

J. Nuckowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Historia powszechna na klasy wyższe szkół średnich. *Wincenty Zakrzewski.* Tom I. Historia starożytna. Lwów 1891. (Str. XII. i 268). Wydanie drugie. Kraków 1895. (Str. X. 272). Tom II. Historia wieków średnich. Kraków, 1894. (Str. 247 i XI. w 8 ce)

Jedną z głównych zasług nowego kursu w Radzie szkolnej krajowej około podniesienia szkolnictwa średniego jest niewątpliwie staranie o ulepszenie podręczników szkolnych. Naśladując pod tym względem Komisję edukacyjną, może się niekiedy pochlubić podobnemi co tamta rezultatami. Podręcznik wyżej cytowany jest wymownym tego dowodem.

Napisać dobry, a przytem oryginalny, podręcznik historyczny jest pono trudniej, niż napisać monografię historyczną. Podręcznik bowiem taki nie tylko powinien zawierać treść dziejów powszechnych na podstawie najnowszych badań i pewnych wyników naukowych, lecz treść zastosowaną do pojęć młodocianych umysłów, treść dydaktycznie i pedagogicznie umodelowaną. Co do pierwszego punktu, nikt u nas bardziej nie był powołany do podjęcia się takiego zadania, jak autor, profesor uniwersytecki historii powszechniej od lat tylu, znany nie tylko z rozległej swej wiedzy, ale przede wszystkim z gruntowności i sumienności. Co do drugiego punktu, mogły powstać uzasadnione obawy, czy autor, który nie miał sposobności kształcenia młodzieży gimnazyalnej, i pod względem pedagogiczno-dydaktycznym sprost swemu zadaniu. Jak wielką wagę Rada szkolna przykładła do rzeczzonego właśnie podręcznika, tego dowodem złożona komisja z profesorów historii, uniwersyteckich i gimnazjalnych, która w ciągu półrocznej zimy r. 1889/90 wielokrotnie się zbierając, przedyskutowała gruntownie szczegółowy program

książki. W ten sposób obmyślane dzieło i poruczone tak znakomitej i wytrawnej sile wykonawczej nie mogło się okazać płodem poronionym. Można by tylko zarzucić, że zbyt powoli posuwa się naprzód. Zaledwie 26 czerwca 1891 pokazuje się pierwszy tom, w r. 94-ytm tom drugi, a trzeci, obejmujący historię nowożytną, czeka jeszcze wykończenia. Zarzut ten jednak winien być autorowi poczytany za zasługę. Dzieł, mających służyć całym pokoleniom do kształcenia, nie pisze się na kolanie. Właśnie ta powolność w wykonaniu świadczy najchlubniej, z jakim namysłem, z jaką gruntownością autor postępuje; nie dziw więc, że to, co nam daje, jest tak wytrawne, tak dobre, tak zupełnie odmienne od tego, cośmy mieli, tak niezależne od obcych wzorów, a jednak uwzględniające wszelkie zdobycze naukowo-pedagogiczne za granicą i u nas uczynione.

Odrębność, wyróżniająca nowy podręcznik historyczny od dawniejszego i wielu austriackich czy niemieckich, a wyróżniająca go na korzyść, objawia się przedewszystkiem w formie zewnętrznej, a mianowicie w układzie, w znakomicie ułożonej dyspozycji, wykończonej do najdrobniejszych szczegółów, w konsekwentnie przeprowadzonej dywizji i subdywizji, jak chce techniczne wyrażenie. Wskutek tego całość nie tylko jest podzielona na części główne, te na okresy i rozdziały, lecz i te rozdziały dzielą się znowu na ustępy, napisami oznaczone, stanowiące całość dla siebie. Drobne te ustępy są więc najmniejszymi częściami składowymi dzieła, są niejako pojedynczymi cegiełkami, z których cały gmach dziejowy jest zbudowany. Tworząc całość, same dla siebie nie rozbijają całości, przeciwnie, są ściśle ze sobą spojone. Końcowe myśli jednego ustępu służą zwykle jako ogniwo do następnego. W ten sposób już sam układ dzieła obrazuje doskonale tę różnorodność momentów historycznych z jednej strony, i przyczynowy ich związek z drugiej strony. To rozkawałkowanie i rozczłonkowanie materiału, zastosowane także i w innych podręcznikach, wywołało pewne zarzuty ze strony krytyki. Z sarkazmem podnoszono, że wiedzę się obecnie w szkołach podaje pudełkami, jak towary po sklepach. Nie łatwiejszego, jak coś, choćby najlepszego, ośmieszyć. Kwestya tylko, czy nowy sposób popodawania wiedzy jest lepszy, czy gorszy, czy ułatwia naukę, czy ją utrudnia. Doświadczenie każdego chyba nas pouczy, że ucząc się gruntownie jakiejś większej całości, dzielił ją na partye i kawałkami materiału sobie przyswajał. Dlaczego więc tej potrzebie, uzasadnionej psychicznymi własnościami człowieka, nie ma autor w sposób umiejętny i ekonomiczny zadośćuczynić. Czy dlatego, że dzisiaj herbatę, cukier

paczkami lub pudełkami publiczności po sklepach sprzedają, ułatwiając w ten sposób ekonomiczne zużytkowanie tych towarów, w dziedzinie pedagogicznej miałyby być czemś zdrożnem? Widocznie zrozumiano za granicą ważność tego umiejętnego rozczłonkowania materiału w nauce szkolnej, zrozumieli Anglicy, zwłaszcza zaś Francuzi, którzy pod względem formy byli i są mistrzami, i w podręcznikach szkolnych, zwłaszcza historycznych, to rozczłonkowanie materiału konsekwentnie przeprowadzili. Wspomnę tu tylko między innemi, używany w trzeciej klasie liceów francuskich podręcznik: *Histoire de l'Europe et en particulier de la France de 395 à 1270 rédigée*, par C. Bémont et G. Monod, — a także najlepszy dziś bezsprzecznie podręcznik niemiecki do historii powszechnej: *Grundzüge der Geschichte*, von Dr. G. Egelhaaf, gdzie to szczególne rozczłonkowanie materiału jest zastosowane i w bijący w oczy sposób uwydatnione.

Pożyteczną i dydaktycznie wcale a wcale uzasadnioną innowacją w nowym podręczniku jest położenie nacisku na fakta najważniejsze przez zaznaczenie ich odmiennym drukiem. W ten sposób uczeń nie tylko uczy się faktów samych, ale przez formę samą uczy się zarazem odróżniać fakta najważniejsze od mniej ważnych, co przy dzisiejszym ogromie wiadomości, podawanych młodzieży dorastającej, jest niesłychanie ważne. Kto bowiem nie nauczy się w tej fali przeróżnych wiadomości, wyróżnić zasadniczych i takowych sobie przyswoić, ten przy najlepszej pamięci przyswoić sobie może masę wiadomości, ale tylko chaotyczną masę, wątku zaś i całokształtu, organicznej całości nigdy nie zrozumie. A przecież zrozumienie zasad i całokształtu wiedzy stanowi wyłącznie o wykształceniu człowieka, jest też zadaniem naczelnem pedagogii umiejętnej.

Do tego samego celu zmierzają i owe streszczenia, podające na końcu każdego okresu główny wątek dziejowy. Większa część młodzieży naszej ostatecznie przy sumiennej pracy spamięta sobie główne fakta, a nawet najdrobniejsze szczegóły i szczegółiki jakiegoś okresu, jeżeli nauczyciel położy na nie główny nacisk, w krótkości jednak podać wątku całych okresów nie umie, a już go traci coraz więcej z oczu w miarę, jak się nauka do coraz dalszych partyj przesuwają. Streszczenia owe więc, jako rekapitulacja najważniejszych momentów historycznych, z danej partyi uczą nie tylko tego, co jest kwintesencją dziejową, lecz także umożliwiają dla swej krótkości uprzytomnienie stałe głównego wątku dziejowego, co przy posuwaniu się do dalszych partyj dla zrozumienia tychże jest nieodzownem.

Jeżeli pod względem formalnym rozczłonkowanie materiału jest ważną zaletą książki, to pod względem treści jest nią przeciwnie ścisła łączność faktów, ze sobą przyczynowym związkiem zespolonych. W nowszej historyografii bowiem coraz więcej przyjmuje się zasada, by wszystkie zdarzenia przedstawiać w tym porządku, w jakim się kolejno pojawiały na arenie dziejowej. Im rozleglejsza arena, im obfitszy strumień zjawisk powszechnodziejowych, tem więcej skomplikowana praca, albowiem trzeba wiele nici trzymać razem w rękę, razem traktować wiele zjawisk różnorodnych, będących przejawami tego samego ducha czasu wśród różnych warunków i okoliczności; ale też tylko w ten sposób uzyskuje się żywy i wierny obraz dawnych czasów z ich na pozór chaotyczną, a jednak ściśle organiczną treścią duchową. Musimy przyklasnąć autorowi, że ten jedynie racjonalny sposób przedstawienia dziejów powszechnych w swym podręczniku zastosował, i to tak umiejętnie i tak konsekwentnie zastosował. Wszędzie nadto w podręczniku, jako równorzędny czynnik występuje obok dziejów politycznych zewnętrznych, daleko krócej, niż w dawnym podręczniku traktowanych, rozwój stosunków wewnętrznych, występuje zaś nie odosobniony, jako dodatek gdzieś na szarym końcu, lecz jest organicznie złączony z wypadkami zewnętrznymi, jako ich uzupełnienie lub uzasadnienie. Obrazy stosunków wewnętrznych przeplatają tyle razy tok opowiadania, ile razy w rozwoju narodów zaśzło przeobrażenie tychże, wpływające na dalszy przebieg wypadków dziejowych. Wszędzie przytem umiał autor uniknąć niepotrzebnych szczegółów, wszędzie ograniczyć się do rzeczy i faktów zasadniczych i esencjonalnych. Niewątpliwie przedstawienie takie przedstawia uczniowi daleko więcej trudności, niż opowiadanie następujących po sobie faktów, ale też tylko takie przedstawienie daje prawdziwe wyobrażenie o rozwoju w jego pojedynczych fazach, jest prawdziwie umiejętne i kształcące zarazem.

W historii starożytnej, aczkolwiek w najnowszych dziełach naukowych, zajmujących się temi dziejami, nowy sposób przedstawienia znalazł zastosowanie, trudno było ze względów dydaktycznych zerwać z tradycyjnym podziałem i synchronistycznie, że się tak wyrazimy, traktować dzieje głównych przedstawicieli świata starożytnego, tem więcej, że oddziaływanie wzajemne tych narodów nie jest we wszystkich punktach dostatecznie już wyjaśnione, nadto iż rzeczywiście te ludy występują w całej pełni życia nietyle współcześnie lecz raczej jeden po drugiego upadku, jeden jako spadkobierca cywilizacyjnego dobytku drugiego. Tam jednak, gdzie te cywilizacyjne czy polityczne

wpływy są niewątpliwe, jak np. w wojnach perskich, w wyprawach Aleksandra po drugiej wojnie punickiej, tam nieomieszczał autor połączyć historię grecką z perską, wspomnieć o poselstwie Rzymian do Aleksandra W., bawiącego w Babilonie, przedstawić stosunków wewnętrznych państw helleńskich w związku z dziejami zaborcami Rzymu.

Natomiast w całej pełni znalazła zastosowanie nowa metoda w wiekach średnich, gdzie właśnie cały szereg narodów występuje na widownię współcześnie i w mniejszym lub wyższym stopniu zdobywa sobie znaczenie powszechno-dziejowe. To też dzięki tej nowej metodzie średnie wieki u autora szczególnie plastycznie i wiernie się przedstawiają. Opowiadając wypadki nie wedle krajów lecz wedle, że się tak wyrazimy, ewolucyj dziejowych, miał autor właśnie sposobność i możność uchwycenia jasno i wyraźnie wszystkich momentów powszechno-dziejowych i stworzył pierwszy mi znany umiętny i prawdziwy obraz powszechnej historii dla użytku szkół.

Nie podaje go żaden z nam znanych podręczników szkolnych czy to polskich, czy niemieckich, czy francuskich. Poczęści tam interes czy szowinizm narodowy stara się dzieje swego narodu wysunąć na pierwszy plan kosztem prawdy dziejowej. Proszę zajrzeć do Gidelego średniowiecznej historii! Czyż nie rozwodzi się szeroko o Teoderykach, Henrykach, Konradach, Fryderykach i t. d., natomiast takie postacie jak Bernharda z Clairvaux, Aleksandra III., co więcej Innocentego III., takie fakta, jak reformę kluniacką, zaledwo kilku zdaniem zbywa? To samo oczywiście można powiedzieć o podręcznikach najnowszych pruskich, jak dr. Fr. Hofmanna¹ innych. Nawet Egelhaaf, jakkolwiek przyznaje (w przypisku str. 87, t. II.), na końcu okresu drugiego, że należałoby zająć się historią Anglii, Francji, Hiszpanii i t. d., woli dzieje tych krajów oderwane od tła w osobnych dodatkach pobieżnie traktować, i tak zamiast historii powszechnej, podaje historię niemiecką z dodatkiem historyjek innych krajów.

Nam wykształconym głównie na niemieckich podręcznikach lub niendałych przeróbkach tychże, doprawdy aż się łżej robi, gdy widzimy te zajmujące wieki średnie w prawdziwej postaci, uwolnione raz nareszcie z tego tynku germańskiego, którym, czy przeszłość czy teraźniejszość najnowsi pedagodzy, historycy i politycy niemieccy zakryć usiłują.

Zasługą niepospolitą autora jest, iż zrzucił raz te niemieckie oku-

¹ *Lehrbuch der Geschichte für die oberen Klassen höherer Lehranstalten* III. Heft. *Geschichte des Mittelalters*. Berlin 1891.

lary, któremi niemiecka uczoność i tandeta wszystkim na dzieje świata patrzeć każe i spojrzął na nie okiem własnem, patrzył jasno, bez uprzedzeń i ocenił je sprawiedliwie. A zatem tam, gdzie Niemcy rzeczywiście wiodą prym wśród średniowiecznych narodów, tam Ottony I. i Henryki III. występują na pierwszy plan, tam około nich grupują się drugorzędne czynniki współczesne, natomiast z końcem XI. i XII. wieku Francya wysunięta jest naprzód, gdyż ona duchowo przoduje światu chrześcijańskiemu, tak samo w początku wieku XIV., gdy się staje politycznie najdojrzałym czynnikiem i t. d. i t. d. Oko historyka naszego nie tylko nie zamyka się w ciasnych granicach środkowej i zachodniej Europy, lecz śledzi bacznie ze zrozumiałych zresztą względów stosunki wschodnio-europejskie, które od XIV. wieku poczynszy, stają się nie tylko równorzędnym zachodnim czynnikiem, lecz niemal że pierwszorzędnym i to nie tylko pod względem politycznym, ale ekonomicznym i umysłowym.

Najfatalniejszym błędem nowszej zwłaszcza niemieckiej historyografii czy naukowej czy pedagogicznej jest bez wątpienia brak zrozumienia katolicyzmu. Zawisłe pod względem historyczno-powszechnym od niemieckiej pani-matki nasze podręczniki klepią za nią poczęści racjonalistyczno-protestancki pacierz, a jeżeli nie powtarzają wszystkich jaskrawych poglądów, to ostatecznie czuć z nich, że to dostrojone poczęści sztucznie na katolicką nutę protestanckie lub racjonalistyczne melodye. Autor nasz nie potrzebował dostrajać niczego, bo stwarzał sam pogląd na dzieje i dlatego nie mógł nie uznać, nie mógł nie podnieść doniosłości tego czynnika w dziejach, który już za cesarstwa rzymskiego zyskiwał znaczenie powszechno-dziejowe, a dominującym faktorem był niewątpliwie przez całe wieki średnie. Nawet protestanczy historycy tej miary co Macaulay, Leo, Ranke i t. d. przyznają to bez ogródki. Całkiem słusznie też autor rozwojowi chrześcijaństwa za rzymskich czasów poświęca wiele więcej miejsca w porównaniu z innemi podręcznikami. Sądzę, że dzieje cesarstwa rzymskiego i rozwijającego się w nim chrystyanizmu zasługują na daleko większą uwagę, niż to autor uczynił. W każdym razie są one bez porównania ważniejsze w rozwoju ludzkości, niż te tak szczegółowo traktowane dzieje początkowe Romy z ich patrycyuszami i plebejami, komicyami i dyktatorami. Tylko przesada filologiczna mogła tak wyśróbować te prowincjonalne, że się tak wyrażę, zdarzenia i stosunki kosztem wypadków powszechno-dziejowych, jakimi są cywilizacyjna praca cesarstwa rzymskiego i przenikanie go kwasem ewangelicznym. Tylko fanatyzm racyo-

nalistyczno-protestancki mógł usunąć na drugi plan ruch klunyacki, działalność Innocentego III., zakonów żebraczych, scholastyki i t. d. Historyk sumienny, trzeźwy i gruntowny, jakim jest autor, na podstawie najnowszych gruntowniejszych badań, uwydatniając wyraźnie i jasno znaczenie dziejowe i cywilizacyjne posłannictwa Kościoła i jego przedstawicieli, oddał tylko słuszny hołd prawdzie dziejowej. Jak w pierwszym, tak i drugim tomie zachowując ścisłą przedmiotowość naukową, nie stanął nigdzie w zasadniczej sprzeczności z nauką Kościoła. Ta więc harmonia wiedzy gruntownej z wiarą jest zdaniem naszym jedną z najpoważniejszych zalet dzieła. Tak napisany podręcznik na umysły młodzieży w duchu religijnym, lepiej podziela niż *ad hoc* napisane apologie. Mimo to spotkał autora zarzut ze strony jednego recenzenta tomu pierwszego, jakoby stał w historii Hebreów na stanowisku nie naukowem, lecz biblijnem. Jako dowód przytacza krytyk, że takich despotów, jak Dawida lub Salomona robi monarchami łagodnymi. Zarzut naszym zdaniem niesłychanie naiwny. Takim samem prawem trzebaby i naszych Bolesławów czy Chrobrego, czy Krzywoustego piętnować koniecznie despotami i tyranami, takim samem prawem a nawet i większem trzebaby dziejom pierwszych Piastów, opartym wyłącznie prawie na Gallu, odmówić miana naukowości.

Ze autor nie poszedł na manowce racjonalistyczne Renanów, Reinecków, Schultzów *et consortes* w przedstawieniu dziejów Hebreów, którzy fakta, podane przez źródło pierwszorzędne, naciągają w najdziwniejszy sposób do swych racjonalistycznych formulek i, co najważniejsza, do całkiem sprzecznych dochodzą wyników, to świadczy chlubnie o takcie naukowym autora, który w podręczniku szkolnym woli iść utartym szlakiem źródeł, niż puszczać się na zmienne fale karłowatych hipotez, jakkolwiek one szumnie sobie monopol naukowości uzurpują. Tak samo postępując w średnich wiekach, umiał się autor, ogółem biorąc, otrząść z poglądów racjonalistyczno-protestanckich, mówimy wyraźnie: ogółem biorąc, bo w szczegółach tu i owdzie znachodzimy echa z dzieł protestanckich, jak to poniżej wykazemy. I nie można się temu dziwić wobec braku umiejętnych dzieł, przedstawiających bezstronnie całokształt wieków średnich. Przeważna część bowiem dzieł odnośnych, mających największy rozgłos naukowy, pochodzi z pod pióra protestanckich lub racjonalistycznych uczonych, którzy niejednokrotnie subiektywizmem swych zasad zabarwiają lub zamacają prawdę dziejową. Trudno zaś żądać od autora, piszącego podręcznik szkolny,

aby *ad hoc* przestudował wszystkie monografie naukowe, ewentualnie kwestye sporne sam źródłowo zbadał.

Dla skompletowania naszej sązniczej już recenzji wypadaloby wytknąć po kolei wszystkie usterki i błędy, napotkane w I. i II. tomie podręcznika. Nie mając odwagi jednak nużyć cierpliwości czytelnika całą litanją drobnych, często drobiazgowych uwag, mających znaczenie tylko dla autora przy sporządzaniu nowych wydań, ograniczamy się tylko do ważniejszych. Ponieważ historia starożytna już w drugim wydaniu się pojawiła, konstatujemy, że jakkolwiek to drugie wydanie na pozór nie wiele się od pierwszego różni, to jednak znaczną część tych drobnych usterek usunęło, braki uzupełniło, niejasności dydaktyczne wyjaśniło.

Tak np. na str. 25 opuścił autor w drugim wydaniu rzekomo egipską nazwę kraju Fenicyan, „Kaft“, zapewne na podstawie świeżo wydanego dzieła Müllera: *Asien und Europa nach altägyptischen Denkmälern*. Na str. 35 opuszcza całkiem słusznie zdanie, jakoby ludy turańskie były pokrewne ludom irańskim. Na str. 225 wspomina autor całkiem słusznie, pominiętą w I. wydaniu bitwę Konstantego I. u mostu milwijskiego nad Tybrem r. 312. Bitwa ta, jak zwycięstwo między Tours i Poitiers z r. 732 i zwycięstwo wiedeńskie z r. 1683 ma epokowe znaczenie w historii. Na str. 44 dodano do słów: „Zeus nazwą i pojęciem zupełnie odpowiada najstarszym bóstwom indyjskim lub irańskim“ objaśniającą uwagę: „takim, jak Indra, Mitra i t. p.“ Takie i tym podobne drobne zmiany, nieliczne zresztą, świadczą, że krytyka przedmiotowa nic ponad te drobne usterki pierwszemu wydaniu nie wytknęła. To samo musimy stwierdzić o drugim wydaniu I. i o drugim tomie podręcznika.

Znajdujemy tu najpierw kilka kwestyj spornych, przedstawionych niezgodnie z wynikami najnowszych badań, znajdujemy dalej pewne niejasności, wymagające ze względów dydaktycznych koniecznie objaśnienia, tu i owdzie spotykamy się z błędem lub fałszywem zapatrywaniem.

Kwestyą np. jest na str. 35, czy Kambyzes rzeczywiście sztydził z obrzędów egipskich, zwłaszcza ze czci świętych zwierząt, czy raczej nie jest to wymysłem późniejszych Egipcyan, pragnących zdobywcę ich ojczyzny koniecznie zochoydzic w oczach potomności. (*Allgemeine Weltgeschichte I. Justi.* str. 380). Kwestyą jest, czy można Spartanów nazwać właścicielami gruntów, skoro państwo rozporządzało niemi w razie wymarcia rodziny (str. 54). Spornem jest, czy ucztę spartańskie zwały się *andreia* lub *syskenia*, czy raczej nie zwały się one *viditia*, tj. posie-

dzenia, str. 55. (Schömann, *Griech. Alterth.* I. 272). Kwestyą jest, czy Areopag jest wzgórzem Aresa, czy nie raczej Ateny ἀρεα, bogini prze-
kleństwa i prześlągania. str. 89 i 96. (Cfr. Wachsmuth, *Die Stadt Athen*,
I. 428 i 490) Kwestyą dalej, czy Rzym leżał na siedmiu pagórkach
i to wymienionych przez autora (str. 324). ob. Lange, *Röm. Alterthümer*.
I. 73. *Mommsen*. I. 48 i 108 przyp.). Czy Nero skonał ze słowami:
„Jaki to wielki artysta ginie we mnie“, jak twierdzi za plotkarskim
Swetoniuszem autor (str. 239), jest co najmniej wątpliwem. Kwestyą
jest w drugim tomie str. 23, czy Pepin młodszy, zwany bezpodstawnie
z Heristalu, był majordomem, czy raczej nie był tylko księciem udziel-
nym Austrazyjczyków, rządzącym bez tego tytułu po bitwie pod Tertri
całą monarchią frankońską z pomocą swych synów, których kazał kró-
lowi mianować majordomami Neustryi i Burgundyi (Pflugk-Harthung,
Gesch. des Mittelalt. I. 489). Czy Pepin, t. zw. Mały, był nizkiego wzrostu,
jest tak samo kwestyą, jak, czy Władysław Laskonogi miał cienkie
golenie. Jak *qui pro quo* syna Mieszka Starego z Mieszkim raciborskim
zdyskredytowały na kilka wieków nogi księcia wielkopolskiego, tak *qui
pro quo* Pepina króla, z Pepinem młodszym, księciem austrazyjskim,
wzrost ojca Karola Wielkiego (str. 23 i 120). Podobnie Ryszard Lwie-
serce nie zyskał swego przydomku nieustraszonem męstwem, lecz otrzy-
mał dzięki swej gwałtowności i chciwości od Sycylijczyków przydomek
Lwa, z czego późniejsi dopiero urobili Lwieserce, str. 101/2 (Pauli,
Gesch. v. England. III. 216 i 291). Kwestyą jest również, czy armia
krzyżowców z r. 1096 wynosiła 600.000 ludzi; najnowsze badania re-
dukują tę liczbę do połowy, a nawet do 100.000 (str. 80).

Niejasnością musimy nazwać, jeżeli autor mówi o uprzywilejo-
wanem stanowisku Latynów wśród sprzymierzeńców Rzymu, a nie określa
bliżej, o ile Latynowie byli uprzywilejowani (str. 157). Mówiąc o przy-
jęciu chrześcijaństwa przez Gotów, należało koniecznie dodać, iż przy-
jęli wyznanie arykańskie (str. 228). Z opisu organizacyi Kościoła na str.
9 t. II., nadto ze słów, że Bonifacy zupełnie poddał kościół niemiecki,
drugi po angielskim, zwierzchnictwu papieża, zdaje się wynikać, że
autor przypuszcza za protestantami, jakoby organizacya była czemś
w rodzaju federacyi różnych kościołów, zrazu niezawisłych od Rzymu
(str. 23). Podobnie niejasnem jest wyrażenie na str. 38, że papież Mi-
kołaj I. utwierdził prawo pociągania do odpowiedzialności monarchów
i biskupów. Omawiając początki feudalizmu, kiedy upatruje w zmieniają-
cym się sposobie gospodarowania jedną z przyczyn przewagi większych
właścicieli nad drobnymi, nie objaśnia wcale jej zmiany (str. 38/39). Fry-

deryk Rudobrody nie tylko myślał o cesarstwie w stylu Karola W. i Ottona W., lecz cesarzy rzymskich. Wyrażenia jak: *Tua voluntas jus est*, lub: *Quod principi placet, legis habet vigorem*, które cesarz odnośnie do swej osoby każe prawnikom bolońskim głosić, przypominają zasady Dyoklecjana i władców oryentalnych (str. 91). Ogólnikowe i niejasne z tego powodu jest zdanie: „Henryk I. (król angielski), utworzywszy początki administracyi króla, stał się monarchą absolutnym“. Należało koniecznie objaśnić, na czym polegała ta organizacya króla (str. 91). Ze słów: „Bonifacy VIII w bulli, skierowanej do króla Filipa Pięknego (*Ausculda fili*), upomniał go, że i on sam podlega papieżowi“, możnaby sądzić, że papież domagał się zwierzchności świeckiej. Dlatego należało wytłumaczyć, w jaki sposób papież rozumiał to podleganie, tem więcej, że istnieje przez Piotra de Flotte sfałszowana bulla *Deum time*, w której fałszerz kładzie w usta papieżowi zdanie, iż król papieżowi także w sprawach świeckich jest podległym. Otóż faktem jest, że Bonifacy VIII. wyrażnie tę bullę jako sfałszowaną, potępił (str. 146).

Błędnem jest stanowczo twierdzenie na str. 25, I., że Fenicyanie byli ludem semickim. Tak znakomity semitolog jak Renan udowodnił, a za nim nowsi etnografowie twierdzą zgodnie z Pismem św. iż, jak wielka część ludów kanaanejskich, są oni Chamitami, językowo bardzo do Semitów zbliżonymi (Lenormant, *Hist. ancienne de l'Orient*, I, 263—314). Nazwa rzymskiej mownicy *vostra* nie pochodzi bynajmniej od *columna rostrata* ozdobionej rzekomo dziobami przez Duiliusza zabranych okrętów punickich, lecz od dziobów okrętów z Antium, jakimi ozdobiono dawną mownicę (str. 161). (Lang, *Röm. Alterth.* II., 242). W roku 70 a. Chr. sądów w Rzymie nie oddano napowrót ekwitom, lecz na podstawie *lex Aurelia* $\frac{1}{3}$ sędziów przysięgłych składała się z senatorów, $\frac{1}{3}$ z ekwitów, $\frac{1}{3}$ z przełożonych pojedynczych *tribus*, t. zw. *tribuni aerarii* (str. 193). Pompejusz nie poślubił córki Cezara dopiero po zjeździe w Luce, lecz już w r. 59 przy pierwszym nawiązaniu stosunków z Cezarem (str. 205). (Mommsen i Herzberg, *Allg. Weltgesch.*, III., 309). Błędnem jest zdaniem naszym twierdzenie, że Włodzimierz W. przed swem nawróceniem wydarł był Mieszkowi I. t. zw. grody czerwieńskie (późniejszą Ruś czerwoną); wobec faktu, że dopiero Bolesław Chrobry zajmuje około 999 r. Szląsk i Chrobacęę z Krakowem (II., str. 53). Legenda ludowa o zaczarowanym cesarzu w górze Kyffhäuser odnosi się nie do Fryderyka I. lecz Fryderyka II. Dopiero dzięki znanej baladzie Rückerta z r. 1813 stał się Fryderyk I. bohaterem legendy, rozpowszechnionej następnie w tej formie przez braci Grimmów

w Niemczech (str. 95). (Voigt. *Die deutsche Kaisersage* i v. Brosch, *Die Friedrichsage der Italiener*. Hist. Zeitschr. XXVII. 31 i XXXV). Fałszem jest wreszcie, jakoby kościół irlandzki był bez związku z Rzymem i nie uznawał zwierzchności papieskiej, i że dopiero Henryk II., król angielski poddał ten kościół papieżowi. O schyzmie Irlandyi nie może być mowy. Za Eugeniusza III. w r. 1152 miał miejsce w Irlandyi synod narodowy, gdzie tylko utwierdzono nie zaprowadzono łączność z Rzymem, przeprowadzono nadto podział na 4 prowincye kościelne i reformy wprowadzono. Henryk II. dopiero 1171 udaje się na wyspę, niewątpliwie dopomógł do uregulowania stosunków kościelnych, lecz nie uczynił tego, co mu autor przypisuje str. 100/101. (Hergenhöther. K. Gesch. II., 381). Zakon rycerski Braci Dobrzyńskich dopiero r. 1228 został założony. W tym roku dopiero otrzymuje dokumentem z d. 6 lipca ziemię dobrzyńską, zatem w każdym razie po nawiązaniu stosunków z Zakonem niemieckim str. 120/1. (Perlbach, *Preussisch-poln. Studien*, I., 61. Felton, *Papst. Gregor IX.*, str. 126.

Tych kilkanaście drobnych usterek zdołaliśmy na 500 coś stronnicach wykryć. Czy to, co się nam osobiście błędem wydawało, jest nim rzeczywiście, niech czytelnik sam rozsądzi.

Jeden z pierwszych recenzentów podręcznika podnosi zarzut, że autor podaje zbyt ogólnikowy rys pragmatyczny uczniom, jak gdyby oni już wiele faktów dziejowych umieli na pamięć. Ponieważ tak nie jest, więc trzeba zerwać do pewnego stopnia z podręcznikiem i na tem tle ogólnem, które w nim znajdujemy, przedstawiać uczniom w wykładach poszczególne najważniejsze przynajmniej fakta w szerszym zakresie. Zarzut ten pedagogicznej natury byłby bardzo poważny i ciężki, gdyby był uzasadniony. Krytyk żadnego takiego faktu, żadnej partyi ogólnikowo i niejasno traktowanej nie przytacza, powołując się tylko na utyskiwanie kolegów zawodowych. Piszący na podstawie trzechletniej praktyki szkolnej z pomocą podręcznika Zakrzewskiego może stwierdzić z całą stanowczością, że z wyjątkiem wzwyż wymienionych niejasności, które kilku słowy wyjaśnić można, nie znalazł nigdzie ustępów dla uczniów niezrozumiałych, tak iżby potrzeba było najważniejsze fakta w szerszym zakresie traktować. Rozszerzanie materiału w osobnych wykładach uważamy za nawyczkę szkodliwą z dawniejszych czasów, kiedy podręczniki bardzo liche wyzywały prawie nauczyciela do samodzielnego wykładania historii, a uczniów do spisywania tych wykładów, przez co gimnazjum stawało się do pewnego stopnia uniwersytetem. Jeżeli dawniej takie postępowanie było poniekąd usprawiedliwione już

to lichym podręcznikiem, już to zbyt wyśrubowanymi wymaganiami instrukcyi, to obecnie jest odo wobec wyraźnych i słuszných zakazów władz szkolnych naganne, a wobec tak jasnego i przejrzystego podręcznika wprost niepedagogiczne i szkodliwe. Podręcznik prof. Zakrzewskiego zawiera materiał zupełnie wystarczający, daje ogólny rys dziejów wcale przystępny i zrozumiały, czyni nietylko naukowym lecz i pedagogicznym wymogom zupełnie zadość. Chcąc ostatecznie krótko a węzłowato nasze zdanie o nim wypowiedzieć, może piszący śmiało i otwarcie wyznać, iż jest on nietylko jednym z najlepszych podręczników polskich, lecz wogóle mu znanych podręczników szkolnych.

Pamiętnik I. Zjazdu księży katechetów w Krakowie 27, 28, 29 sierpnia 1895 r. Ułożył i wydał ks. dr. *Julian Bukowski*. Kraków. W drukarni W. L. Anczyca i Spółki. 1896. (Str. 164).

Natychmiast po odbyciu się krakowskiego zjazdu katechetów, zwróciliśmy uwagę czytelników *Przeglądu*¹ na ważność tego zjazdu i staraliśmy się w zbyt krótkim może artykuliku wskazać główne poruszone na nim idee, podkreślić najważniejsze z postawionych postulatów. Wspomnieliśmy w tym artykuliku o mającym się niebawem ukazać Pamiętniku zjazdu i odsyłaliśmy do niego wszystkich pragnących bardziej wyczerpującego sprawozdania. „Kto z urzędu — pisaliśmy wtedy — z powołania i zamięlowania poruszonymi przez zjazd pytaniami specjalnie się interesuje, książkę tę będzie musiał nie przeczytać, ale przestudować“. — Obecnie, dzięki wytrwałym staraniom tego samego, który był inicjatorem zjazdu, książka już się ukazała; nikogo z pewnością z tych, którzy z tego czy z innego powodu zajmują się wychowaniem młodzieży, nikogo bezwątpienia z księży, z katechetów, z tych zwłaszcza, którzy osobiście w wiecu nie mogli brać udziału, nie trzeba zachęcać, aby się z nią dokładnie i wyczerpująco zapoznali!

Pastele. *Jan Łada*. Lwów 1895. (W 8-ce, str. 333).

Sześć różnej treści obrazków względnie nowelek zebrano się na zbiór powyższy, który autor „Pastelami“ nazwał. Nie ujmując bynajmniej ni wartości literackiej onym, ni autorowi prawa wyboru tytułu swego dzieła, zdaje mi się wszakże, że może nie wszystkie w zbiorze tym zawarte opowiadania zasługują na nazwę pastel, przez które zawsze coś delikatniejszego, miększego rozumiemy, to też wolałbym je raczej

¹ Por. *Przegląd Pow.* z października 1895 r., str. 153—160.

nazwać obrazkami albo szkicami, a wtedy tytuł mniejby może był wymuszony, natomiast co do niektórych przynajmniej, mem zdaniem, odpowiedniejszy. Wszakże autor sam opowiadanie pierwsze („Wiosną”) nazwał obrazkiem szkolnym, szóste („W otchłan”) szkicem z życia, drugie („W Tyrolu”) nowelą, a piąte („Atak cholery”) przygodą podróżną i t. d., widać stąd, że sam gatunkował je podług treści, a tym razem zawsze trafnie. Ale mniejsza o tytuł. Ten nieraz tak wiele zapowiada, a tak mało daje. Czego bo dziś nie nazywamy nowelą. Są ludzie, których łapać trzeba na lep wyszukanych nieraz, a niekoniecznie z treścią w parze idących tytułów, bo inaczejby książki do rąk nie wzięli, zbyt skromnym rzekomo zrażeni tytułem, zwłaszcza gdy nie znają autora, względnie jego pseudonimu. A takich czytelników u nas niestety mnogo pono jeszcze... Po tej ogólnikowej uwadze przechodzę do „Pasteli” Łady.

Trzy z nich („Wiosna“, „Majówka“, „W otchłan“) wzięte są z życia szkolnego, z tych samych czasów i murów, bo we wszystkich te same napotykamy nazwiska profesorów i uczniów. Odsłania nam w nich autor, na własnem doświadczeniu oparty, wewnętrzne, zakulisowe życie szkolne, przeplatając swe opowiadanie raz po raz jakąś głębszą pedagogiczną uwagą, jak to w szkole trzeba nieraz „pracy nie-malej, aby twardy charakter nagiąć, nie łamiać i nie krzywić, aby próżność zastąpić ambycją, upór — hartem woli, aby nadmiar sił nie-jednej natury bogatej i pełnej życia, skierować na właściwe tory, ku obowiązkom codziennym (str. 154—155) jak młodzież trzeba „prowa-dzić twardą ręką, ale ciepłym sercem“, a jak trudno nieraz profesoro-owi przy najlepszych chęciach „wszystkimi się zająć, gdy ma sześć-dziesięciu w klasie“... To też zdarza się czasem, że najprzykładniejszy uczeń wskutek niedostatku w domu lub na stancyi, a z powodu braku moralnej opieki i dyrektywy ze strony nauczyciela. karłowacieje fizycznie i moralnie i idzie na marne. Taki przykład widzimy w Sikorze („W otchłan“), który za nieposłuszeństwo okazane nauczycielowi podczas lekcyi, uchwałą konferencyi wydany zostaje, a tak to sobie bierze do serca, że postanawia rozbrat wziąć z życiem. Niewtajemniczonym w zasady pedagogii, pseudo-pedagogom upatrującym zwykle wszystko złe w nauczycielu i systemie szkolnym, wydawać się może zbrodnią łamać życie ucznia, wydalać go za pierwsze lepsze wykroczenie ze szkoły. A przecież najpierw tak się nie dzieje zazwyczaj, a potem nie wydala się ucznia bez należytego powodu ze szkoły. Prawda, że Sikorę w tym wypadku zbyt surowo profesor osądził, że

nie należało całemu gronu nauczycielskiemu dać się porwać wymowie jednego z kolegów, bo przecież na konferencyi każdemu swobodny sąd pozostawiony, ale czy ten Sikora zatrzymany w szkole i ukarany tylko karcerem, byłby w niej wytrwał i wyszedł na człowieka?... Toćże sam temu przeczy kategorycznie. Nie wydalenie zatem i nie dyscyplina szkolna, ale nędza życia i zjadliwe podszepty niepowołanych apostołów pchają go w otchłań, w którą sam idzie świadomie a uparcie. Autor też, zdaje się w swoim szkicu nie miał innego zamiaru, jak tylko przedstawić nam plastycznie, wśród jakich ciężkich warunków materalnych z jednej strony żyje przeważna część naszej młodzieży szkolnej, a jak zgubnie z drugiej strony oddziaływają na nią nieraz fałszywi doradcy, siejąc jad i nienawiść w młodocianych ich umysłach przeciwko klasom uprzywilejowanym, a to uplastycznienie nędzy studenckiej i zdradzieckich podszeptów owych fałszywych opiekunów młodzieży, mianowicie w ostatnich wywnętrzaniach się Sikory, udało mu się znakomicie. Zbyt może osobiste względy ceniąca, ale w gruncie rzeczy uczciwa na wskroś natura profesora skazującego na wydalenie ze szkoły ucznia, ponieważ mu w partyi wista przeszkodził i wśród szarugi przykrej z ciepłego mieszkania wyjść zmusił, żałującego wszakże szczerze tego kroku natychmiast, oddana jest z wielką siłą obserwacyi i psychologiczną prawdą. Nie satyrą wszakże na takie zbyt pohopne wyroki stanu nauczycielskiego, jakie się dzięki Bogu często nie zdarzają, ma być ona, ale przestroga, aby nie wydarzały się nigdy, bo tylko wtedy szkoła należycie spełnia swój obowiązek, jeśli nie łamie charakterów, lecz je nagina, prowadząc młodzież „twardą ręką, ale ciepłym sercem“.

Pokrewny treścią a równie ponury jest drugi obrazek szkolny zatytułowany „Wiosną“. Biedny piątoklasista Wincenty Bielak, którego jedynem marzeniem było „na wsi żyć, jakieś choć najmniejsze miejsce mieć, byle kącik i łyżka strawy i trochę tego powietrza, co, jak odechnąć, smaruje w piersiach miodem“, chcąc przyjść w przyszłości w pomoc biednej matce i siostrze, które w nim wszystkie swe położyły nadzieje, uczy się wytrwale w szkole mimo niewielkich zdolności, a równocześnie boryka się z okrutnym losem. Często ni łyżki ciepłej strawy, ni okrycia na zimno niema, wskutek czego przeziębiam się, zapada na zdrowiu i niknie w oczach powoli, niczego nie zaznawszy, nie używwszy, nie doświadczywszy, prócz — biedy! Śmierć przyszła i zabrała biednego chłopczykę, którego sami tylko koledzy i profesorowie odprowadzili na wieczny spoczynek, i jak kwiat złamany przed czasem,

zwiądło, złamało się jego młode życie. „Kto się nim zajął kiedykolwiek? — o to co myślał, co czuł, co go bolało, co było słońcem i rosą jego życia, nie zapytał go nikt, nikt nie troszczył się o to“.

Weselszą natomiast treść zawiera trzecia pastela z życia szkolnego, zatytułowana „Majówka“. Barwny w niej opis wesołego dnia, spędzonego na łonie natury przez młodzież wspólnie z profesorami. I majówki zatraciły już dzisiaj dawną swą cechę, dawny wdzięk i powab, twarde życie i ciężkie jego warunki coraz to mniej ukazują onych wesołych, rumianych twarzyczek młodzieńczych, co to się bawić umiały wesoło, ochoczo a z umiarkowaniem. Wprawdzie od niedawnego czasu jakiś nowy, lepszy, żywszy prąd powiał z góry, a władze szkolne jak najstaranniej i najżyczliwiej zalecają gry i zabawy coraz to więcej karłowaciejącemu młodemu pokoleniu. Jest więc nadzieja, że i majówki odzyskają dawny swój urok dla młodzieży, która koniecznie tego rodzaju rozrywki potrzebuje i w danym wypadku umieć się bawić powinna, a przy zabawie i rozrywce rozumny pedagog i obserwator-wychowawca również korzystny jak w szkole wpływ wywrzeć może, zwłaszcza, że „szkoła jedną tylko część człowieka odsłania — całym okazuje go dopiero życie“.

Pozostają nam jeszcze do oceny trzy dalsze pastele Łady, co do których postaramy się być zwięźlejszymi, aby nie przekroczyć ram na niniejszą recenzję przeznaczonych. A więc najprzód nowela „w Tyrolu“. Znajdujemy się „w jednym z najbardziej uroczych zakątków północnego Tyrolu nad brzegiem Achensee“, gdzie rozmowa się toczy o sztuce i braku sił artystycznych w dzisiejszych czasach między Ser Ercole Pompilio Gripp, wielkim melomanem i impresaryem artystycznym, a Don Giovannim. Ser Ercole jest impresaryem z amatorstwa, gdyż posiada znaczny majątek i mieszkanie wykwintne w Neapolu, gdzie uchodzi za wzór i wyrocznię w rzeczach dobrego smaku, jednakże tylko zimy tam przepędza, latem jeździ po świecie i „zastawia sidła na talenta“. „Całe Alpy przenurował; wie, gdzie jakiś głos lepszy znaleźć, latami czeka na wyrobienie się jego i mutację, czatuje jak myśliwy na zwierzynę, wyprosi, wykupi, gwałtem wydrze dziecko rodzinie, latami całemi uczy, kształci . . .“ a przytem czuwa nad moralnością swoich wychowanków. Wszakże nie zawsze mu się to udaje. I tak na przykład Andreas Gschnaser (Tambu'lini), którego wbrew woli Ser Ercole wyrwał z jego gór, umiera „z nadużywania trunków i rozkoszy“, strawiony tęsknotą za hałami rodzinnymi, ale i rozpustą z tęsknoty. Inaczej postępuje sobie w swych podróżach Don Giovanni. Ten spotyka młodego śpiewaka

Seppla vel Peppo, który chciałby sam zobaczyć co się dzieje na świecie szerokim i jak tam wygląda, bo ciasno mu i duszno i tęskno między górami, więc ucieka w pole na skałę jaką i śpiewa, śpiewa... a to co śpiewa „dziwne jest, nieuczone i oryginalne w najwyższym stopniu, a jednak precudne“, ale znając smutną historię Tamburlini'ego, nie namawia Don Giovanni młodego Seppla do opuszczenia stron rodzinnych, bo mu „szkoda jego życia dla czezej i marnej walki o szczypkę kadzidła, szkoda przedewszystkiem jego serca, któremu tam duszno będzie i tęskno“. Pytanie kto lepiej postąpił? — czy Ser Ercole pokazując talent Tamburliniego ludziom w całym blasku, ale rzucając równocześnie jego duszę w wir zepsutego życia, czy Don Giovanni, nie dający Sepplowi sposobności zakosztowania świata, mimo, że chłopak gwałtem rwał się do niego?

Następna pastela zatytułowana „Kto on?“ Jest to wdzięczna sylwetka dwojga serc kochających się naiwnie i szczerze, tym razem jedna z najpiękniejszych pastelii piórem oddana, w której „ona“ kocha serdecznie i głęboko swego kuzyna, a „on“ zatopiony w swych archeologicznych badaniach nie dorozumiewa się na chwilę, że wybór jego uroczej kuzynki padł właśnie na niego. I oto ona odjechała od niego, a on stoi wciąż myśląc o jej słowach, i wciąż bije mu się w mózgu pytanie, kto jest ten człowiek, którego ona ukochała tak gorąco, od tak dawna, w tak zupełnej tajemnicy przed nim. Chodzi po salach muzealnych i po galeriach napełnionych podróżnymi kuframi, a w myśli ma jedno i jedno: Kto on?

Ostatnią z nowel jest „Atak cholery“. Zabawna to przygoda podróżna z czasów cholery w Wiedniu przed kilkoma laty. Bogaty, jowialny szlachcic z Ukrainy, Ignacy Strumkiewicz, właściciel Hołodajówki z przyległościami, opowiada wesołej kompanii po obfitym obiedzie przy czarnej kawie swą podróż pełną przygód do Karlsbadu, względnie przyjazd do Wiednia i pobyt tamże podczas cholery. Kto sobie przypomni te niedawne czasy i te czyste komedye, jakie wyrabiano po granicznych stacyach z pasażerami, dezynfekcyonując ich *pro forma*, temu prawdopodobniejszą okaże się przygoda p. Ignacego i przesady w jego opowiadaniu nie znajdzie. A przyszłe pokolenie, które po latach przygodę tę odczytywać będzie, nie rzuci kamieniem potępienia na język przodków, którzy tak śmiać się i opowiadać umieli mimo zimnych czasów i twardych bytu warunków. Jak zaś obraz ten jest doskonalszy, im lepiej w nim stosują się światła i cienie, jak życie ludzkie z radości i smutków się składa, tak też i autor pisząc „szkice

z życia“, przepłótl je raz wesołą, to znów smutną treścią. Czytelnik też tem wdzięczniejszym tylko może być autorowi, że bawiąc go równocześnie i myśleć i zastanawiać się go zmusza nad niejednym problemem życia, przykrym samym w sobie, który jednak autor przez dramatyczną osłonę i barwne opowiadanie i łatwiejszym i miłszym robi mu do rozwiązania. „Pastele“ Łady, jak wogóle wszystko, co z pod pióra tego autora wychodzi, odznaczają się i tendencją jaknajuczciwszą i treścią różnorodną, a zawsze interesującą, i formą przystępną, językiem czystym, poprawnym, stylem potoczystym, zwięzłym, wykwinutym. To też, da Bóg, doczekamy się jeszcze niejednej pasteli z pod pióra autora.

K. O. B.

Zawsze oni. Obrazy historyczne i obyczajowe z czasów Kościuszki i legionów. *Kajetan Suffczyński (Bodzantowicz)*. Tomów 2. W Krakowie. Spółka Wydawnicza Polska. 1896.

Z opowiadań, snutych gdzieś przy kominku, w zimie roku 1847, w obecności i przy współudziale „jednego z największych poetów naszych“, zrodziła się dwutomowa powieść historyczna, pod tytułem: „Zawsze oni“. Każdy z obecnych — pisze p. Bodzantowicz w przedmowie — „co zasłyszał z podań familijnych, z opowiadań starców, dodawał do tego obrazu“; jeden z gości, posiadający znaczny zasób podobnych anegdot, zaczął na usilne prośby swych ciekawych słuchaczy spisywać takowe w formie powieści i co wieczór po jednej odczytywać; ale gdy pomimo nalegań całego towarzystwa, nie chciał ich ująć w szersze ramy, podjął się tego p. Bodzantowicz i szczęśliwie wywiązał się z zadania. Gdyby tak częściej umiano u nas zużytkowywać ogrom tych anegdot, dykteryjek, przygód i wspomnień, sypanych nieraz wśród wesołego nastroju dobranego towarzystwa, jak z rogu obfitości, posiadalibyśmy do dziś dnia o wiele bogatszą literaturę powieściową i pamiątkową.

W powieści p. Bodzantowicza „Zawsze oni“ znajdujemy cały szereg obrazków historycznych i obyczajowych, połączonych nader luźnie nicią fabuły. Na tle losów dwóch zacnych, walecznych, gorąco kraj miłujących młodzieńców, przesuwają się przed nami wypadki historyczne wielkiej doniosłości w ostatniej dobie dziejów naszych: od Maciejowic aż do Daszowa. Całe to opowiadanie żywo nas przenosi w czasy chronologicznie wprawdzie niezbyt dawne, ale tak różne od naszych, w następstwie wielkiego przełomu dziejowego, jakiego nie doświadczał chyba żaden naród nie wyłączając nawet francuskiego.

Opowieść p. Bodzantowicza tchnie duchem i uczuciami prawdziwie

staropolskimi, odtwarzanemi pod wrażeniem własnych osobistych wspomnień i świeżej jeszcze tradycyi. Coraz mniej tych ludzi, do których ona mogła bezpośrednio jeszcze przemawiać, a niwelujący prąd ducha wieku ściera z naszego społeczeństwa ostatnie już może charakterystyczne rysy przeszłości staropolskiej. Poznać ją dziś można tylko z książek i dlatego książka tej treści, co „Zawsze oni“, posiadać będzie dla nas urok niezwykły. Pragnęlibyśmy przedewszystkiem, aby młodzież jak najwięcej z niej korzystała. Obszerne wyjątki z W. Pola na czele każdego rozdziału wprowadzają nas w ten świat szlachecki i ułatwiają jego zrozumienie.

„Zawsze oni“ jest to oczywiście kombinacya *Wahrheit und Dichtung*. Naturalnie, że od tych wspomnień historycznych żądać nie możemy ani ścisłości, ani krytyki naukowej. Autor opowiada wypadki tak, jak je sobie wówczas opowiadano po dworach możnych i dworkach szlacheckich. U niego np. panna Ludwika Sosnowska ucieka z Kościuszką, Kościuszko zwycięża wrogów nawet pod Szczekocinami, a kozak Polopin i oficer Powłuchowski zadają Naczelnikowi Narodu najcięższe rany w bitwie pod Maciejowicami, chociaż o pierwszym wypadku historya nie zgola nie wie lub przynajmniej zbywa jej na dowodach, a o dwóch ostatnich wcale inaczej opowiada. Ale to darmo! P. Bodzantowicz — jak sam powiada w przedmowie — „spisywał powieść“, ale nie historię swych czasów.

A. S.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Fractio panis. Die älteste Darstellung des eucharistischen Opfers in der „Cappella Greca“. Entdeckt und erläutert von *Joseph Wilpert*. Mit 17 Tafeln und 20 Abbildungen im Text. Freiburg im Breisgau. Herder. 1892. (str. IX. i 140 in 4^o. Cena m. 18).

Pojawilo się wreszcie dawno zapowiedziane i oczekiwane z niecierpliwością przez wszystkich miłośników starożytności chrześcijańskiej dzieło Wilperta o „Najstarszym obrazie eucharystycznej ofiary w kaplicy greckiej w katakumbach św. Pryscylli“. Opóźnieniu nie winien jednak szanowny autor, jeno nieszczęście, mianowicie pożar, który przed rokiem wybuchł w znanym rzymskim zakładzie fototypicznym Danesi'ego, i zniszczył wszystkie już gotowe do publikacyi tablice. Sam

byłem naocznym świadkiem, ile mozołu i nakładu kosztowało sporządzenie nowych ilustracyj, nad których lepszych jeszcze chyba nikt nie ogłosił. Wilperta hasłem jest: robić tak, aby nikt po nim nie potrzebował dokładać poprawek. Jeśli się ima jakiejś pracy, to na to, aby w niej dojść do rezultatów naukowych, definitywnych i ostatecznych. Jego zdanie może czasami razić w pierwszej chwili nowością i budzić nawet pewien żal i obawę dlatego, że staje niekiedy w poprzek tłumaczeniu Rossi'ego, którego tradycja uchodzi za świętą; ale po bliższym rozpatrzeniu się w wywodach Wilperta, nawet największy wielbiciel zmarłego mistrza musi przyznać, że opiera on swoją interpretację na głębokiem studyum porównawczem wszystkich monumentów. Podczas gdy np. Rossi, a za nim reszta archeologów, byli mniemania, że kapłan, stojący przy trójnogu w tak zwanych kaplicach sakramentów u św. Kaliksta, dopełnia aktu konsekracyi i przemienienia chleba w ciało eucharystycznego Ichthysa, Wilpert występuje ze zdaniem, że kapłan sięga po Eucharystyę, aby ją w komunii udzielić wiernym, a uzasadnia je tem, że właściwy gest konsekracyi na malowidłach i starej rzeźbie całkiem jest odmienny. Ale przejdźmy już do omówienia samego dzieła.

W I. rozdziale autor opowiada, w jaki sposób dokonał odkrycia nieznanego malowideł kaplicy greckiej. W drugim, opisuje najważniejszą kompozycję „łamania chleba konsekrowanego przez celebranta“ czyli obraz mszy św. z II. wieku, mający za podkład cudowne rozmnożenie chleba na puszczy, jako zapowiedź i proroctwo Eucharystyi. Nie zatrzymuję się bliżej nad tą kwestyą, bo wytłumaczyłem ją już w jednym z zeszłorocznych poszytów *Przeglądu Powszechnego*.

W III. rozdziale traktuje autor o grobach krypty greckiej, z których jeden, murowany, mieszczący się w absydzie pod obrazem mszy, zawierał najprawdopodobniej szczątki męczennika, i służył równocześnie za mensę ołtarzową. Mielibyśmy tedy w nim ilustracją do słów św. Jana: „widziałem pod ołtarzem dusze pobitych dla słowa Bożego, i dla świadectwa, które miały“. (Apokal. 6, 9). Prócz tego znajdowało się w kaplicy jeszcze 10 innych grobów. Jako dowód, że miejsce to było w IV. wieku odwiedzane przez pobożnych pątników, służy grafit wyryty na prawej ścianie: *Navigi, vivas in X* — Nawigiuszu, żyj w Chrystusie!

Czwarty rozdział jest poświęcony omówieniu już dawniej znanych fresków, znajdujących się w nawie naszej kaplicy.

Piąty zajmuje się chronologią malowideł, i tu autor dochodzi do konkluzyi, że obie części krypty są z tego samego czasu i pochodzą

jeszcze z pierwszej połowy II. wieku. Z tej samej epoki jest także duże atrium, czyli przedsionek naszej kaplicy, który służył na pomieszczenie ludu w czasie nabożeństwa. W jednej z przyległych krypt znalazły się trzy następujące greckie kamienie grobowe: 1) „Aurelii Lucylli, najmłodszej córce, położył napis, Lucysz, ojciec“. 2) „Irenie, świętej i najlepszej żonie, Lucysz, jej mąż“. 3) „Dla Ceji Phoebe, najlepszej żony i dla siebie wygotował ten grób, Kapiton, jej mąż“. Już św. Paweł wspomina w swym liście do Rzymian o Febie, będącej „na posłudze kościoła“; niejaka Statilia Phoebe spoczywa w nietkniętym jeszcze do dziś dnia grobie w pobliżu tejże kaplicy greckiej, a nieco dalej mieści się również nienaruszony grób jakiegoś Fabiany. Piękny jest także epitaf Alliusa Akwili, na którego się ojciec żali, iż zawiódł jego nadzieję, wyprzedzwszy go do grobu przedwcześnie, bo już w 35 roku życia. Paleografia liter każe go odnieść raczej do III. niż II. wieku.

Siódmy rozdział daje obraz liturgii za czasów św. Justyna na podstawie monumentów literackich i epigraficznych; następny zajmuje się syntetycznym wykładem wszystkich malowideł krypty greckiej.

W ostatnim wyciąga autor ze swego odkrycia konkluzje teologiczne i ikonograficzne dla całej archeologii chrześcijańskiej. I tak najpierw, logiczny związek tych kompozycji wskazuje, że natchnął je i czuwał nad ich wykonaniem głębszy teolog. Dalej wynika z nich, że symbolika chrześcijańska nie powstała dopiero w początkach III. wieku, jak niektórzy sądzili, ale że doszła ona do wysokiego stopnia rozwoju już w pierwszej połowie II. wieku. Cykl malowideł kaplic sakramentów, który dotychczas uważano za szczyt symbolizmu cmentarnego, występuje u św. Pryscylli jeszcze głębszy i bogatszy.

Msza, czyli jak ją Wilpert stale nazywa: *Fractio panis*, dalej pory roku i obrazy Zuzanny w tej formie, w jakiej je tu napotykamy, są prawdziwym unikatem w całej sztuce katakumbowej.

Nic też pewnego nie wiedzieliśmy dotychczas o formie starych kielichów mszalnych; obecnie ze sceny mszy dowiadujemy się, że były to jednolite puchary, bez nóżki, o dwóch uchach, tem wygodniejsze, że niełatwo się wywracały, i że je z łatwością dyakoni mogli w obu rękach nosić do ludu przy rozdawaniu komunii.

Dołącza jeszcze Wilpert dwa dodatki. W pierwszym podaje kilka pięknych napisów greckich i łacińskich, znalezionych w przedsionku i w sąsiednich kryptach, a wymieniających *gentilicia*: Flawiuszów, Waleryuszów, Kokcejuszów, Ulpiuszów, Klaudyuszów, Juliuszów, Eliuszów i Aureliuszów. Z symbolów znajdujemy tu kotwicę i palmę — wszystko

oznaki największej starości. Styl epitafów wszędzie jest klasyczny, lakoniczny; nigdzie nie czytamy nawet specyficznie chrześcijańskiej akłamacji: *In pace* — w pokoju!

Obszerny drugi dodatek (str. 102—127) poświęcony jest znanemu nagrobkowi biskupa Abercysusa z Hieropolis we Frygii Szczęśliwej, który ostatniemi czasy kilku teologów protestanckich chce gwałtem przerobić na epitaf pogański. Pierwszy wystąpił z tą oryginalną interpretacją docent z Halli, G. Ficker. Jego zdaniem Abercysusz był kapłanem Cybeli, który odbył podróż do Rzymu i Syryi celem szerzenia jej kultu. Wartość tej rozprawy ocenił uczony Duchesne zdaniem, że Ficker przedkładając ją akademii umiejętności w Berlinie, chciał chyba zdrwić z tej poważnej instytucji. Ale wnet wystąpił w obronie Fickera znany profesor berliński Adolf Harnack. Wprawdzie nie ręczy on za prawdziwość swej egzegezy, ale ostatecznie podpisuje także konkluzję Fickera, że Abercysusz był albo prostym poganinem, albo synkretystą, który misterya chrześcijańskie przeszczepił na grunt gnostycki. Nie naszą rzeczą wdawać się tu głębiej w wywody berlińskiego teologa i historyka, który na każdym kroku zdradzał najgrubszą nieznajomość pierwszych zasad archeologii chrześcijańskiej. Wilpert chłosta go też bez miłosierdzia; jego polemikã z nim jest istotnie mistrzowska. Przytem ogłosił on trzy ilustracye napisu Abercysusa, z których zwłaszcza trzecia (zob. tabl. XVII. 2), będąca dokładnem oddaniem i uzupełnieniem oryginalnej fotografii kamienia, poraz pierwszy daje dokładny obraz i pojęcie o formie i paleografii ocalałej części epitafu.

Stare *itinerarium* czyli przewodnik po katakumbach rzymskich daje następujące wiadomości o cmentarzu św. Pryscylli: „Potem idąc dalej tą samą drogą (salarijską), dotrzesz aż do kościoła św. Sylwestra, gdzie wielkie mnóstwo spoczywa Świętych: najpierw św. Sylwester papież i wyznawca, a u jego nóg papież św. Syrycyusz, zaś po stronie prawej papież Celestyn i biskup Marcelli; Filip i Felix męczennicy wraz z wielką rzeszą Świętych leżą pod ołtarzem wielkim, Krescencyusz męczennik w grocie (*in spelunca*), w innej leży Pryska męczennica, Frimitis ma swój grób w kubikulum u wyjścia, a jeszcze w innem spoczywają męczennice Potencyana i Prakseda“.

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że te wiadomości topograficzne są chyba wystarczające do odtworzenia mapy naszego cmentarza. Niektórzy nowsi archeologowie nie wahali się też umieścić mauzoleum senatora Pudensa i jego dwóch córek Pudencyany i Praksedy w samej kaplicy greckiej. Tymczasem — jak słusznie ostrzega

Wilpert — są to konjektury przedwczesne, nie poparte żadnym poważnym dowodem, i trzeba nam czekać dalszych poszukiwań i odkryć, które może nowe w te podziemia wprowadzą światła. Tyle tylko jest pewnem, że w kaplicach, okalających wielkie *atrium*, spoczywali istotnie męczennicy. Dowodem, między innemi, nagrobek młodzieńczego notariusza Kościoła rzymskiego, który głosi, że został on pochowany w posrodku męczenników: *cuM · MARTYRIBUS (sic)*.

Świetnie wykonane tablice w liczbie 17-stu i ilustracye w tekście przynoszą częścią całkiem nieznaną zabytki starożytności chrześcijańskiej, częścią poprawione publikacye dawniejsze. Wszystkie kopie zostały sporządzone według oryginalnych zdjęć fotograficznych. Kilka z nich są prostą reprodukcją oryginału bez wszelkich poprawek ze strony autora lub malarza; większość zawiera przerobione fotografie i oryginalne rysunki.

Pewien żal odczuwa się tylko nad tablicą, która przedstawia najważniejszą kompozycję, tj. obraz mszy, gdyż mimo całej artystyczności jej wykonania, niedość wyraźnie występują, niedość odbijają się od ciemnego tła twarze uczestników eucharystycznej biesiady. Ale nie winować nam w tem czcigodnego autora, bo on uczynił wszystko co było w jego mocy. Odrzucał i poprawiał tę tablicę aż po kilka razy.

W każdym razie ze słuszną dumą Wilpert może sobie powiedzieć: *monumentum exegi*. Jego odkrycie przyjęto z entuzjazmem w świecie archeologicznym; równego uznania doczeka się z pewnością także jego publikacya. Wiem, że w niektórych krajach mają miejsce publiczne odczyty o pryscyliańskiej mszy katakumbowej. Księgarnia Firmin Didot gotuje też francuskie wydanie naszego dzieła, które z pożytkiem i przyjemnością przeczyta nie tylko archeolog, ale także dogmatysta, liturgista i egzegeta.

Ks. Dr. Józef Bilczewski.

Z czeskiej literatury katolickiej. W Pradze w styczniu 1896 r.

Gdy w miesiącu wrześniu 1860 roku odbywał się w Pradze zjazd katolickich stowarzyszeń, czeski wydział tych stowarzyszeń postawił wniosek, iż należy zawiązać osobne stowarzyszenie pod nazwą *Dědictví sv. Prokopa*, w celu wydawania naukowych ksiąg teologicznych. O założeniu takiego stowarzyszenia, niezbędnej jego potrzebie i użyteczności mówił głównie ówczesny kanonik wyszehradzki i znany czeski pisarz, Karol Vinařický, zgodę zaś na jego wywody wyraził w imieniu całego czeskiego episkopatu ś. p. ks. Jan Waleryan Jirsík, biskup budzie-

jowicki. Natychmiast też powyższe stowarzyszenie zostało założone i niezwłocznie zabrało się do pracy. Błogosławiona zaiste była to praca, gdyż w przeciągu 35 lat swego istnienia, stowarzyszenie wydało 36 dzieł naukowych, z których wiele trwałą posiada wartość. Że mogło ono pracować z takim powodzeniem i ciągle jeszcze pracuje, to należy przypisać ofiarności czeskiego duchowieństwa, które zapisując się tłumnie na liście „Dziedzictwa świętego Prokopa“, zabezpieczyło materialny byt jego tak dalece, iż obecnie posiada ono przeszło 84.000 zlr. kapitału.

Pomijając wykaz pojedynczych dzieł, wydanych w latach ubiegłych przez to stowarzyszenie, a pomiędzy którymi najbardziej zasługują na uwagę egzegetyczne dzieła d-ra Franciszka Sušila, historyczne prace d-ra Klemensa Borovego i d-ra Franciszka Kryštůfka, dogmatyczne dzieła d-ra Antoniego Lenza, teologia pasterska d-ra Antoniego Skočdopola i filozoficzne rozprawy d-ra Eugeniusza Kadeřavka, chcemy położyć główny nacisk na ostatniem wydawnictwie, którem *Dědictví* w r. 1895 obdarzyło swych członków. Jestto mianowicie dzieło pod tytułem: *Sv. Prokop, jeho klášter, a památka u lidu*. Napsal dr. Frant. Krásl, kanovník u sv. Víta na hradě Pražském a jednatel Dědictví sv. Prokopa; stran VIII. a 626 ve vel. 8^o; krámská cena 3 zlate. Se 16 obrazy. („Święty Prokop, jego klasztor i pamiątka u ludu“. Napisał dr. Franciszek Krásl, kanonik przy katedrze św. Wita na zamku prazkim i sekretarz „Dziedzictwa św. Prokopa“. Str. VIII. i 626 w wielk. 8-ce, cena księgarska 3 zlr. Z 16 ilustracjami).

Kanonik dr. Krásl już w r. 1885 skreślił obszernie historyczne dzieło pod tytułem: *Arnošt hrabě Harrach, kardinál sv. Římské Cérkve a Kniže-arcibiskup pražský* (Arnold hrabia Harrach, kardynał świętego rzymskiego Kościoła i ksiądz arcybiskup prazki). I tę również książkę, będącą wiernym historyczno-krytycznym obrazem religijnych stosunków w Czechach od r. 1623 do 1667, wydało „Dziedzictwo św. Prokopa“, czem wielką względem swych członków położyło zasługę. Pierwsze to dzieło zdobyło zaszczytną sławę swemu autorowi, tak że każdy oczekiwał z zaufaniem nowej jego pracy. Ufność ta bynajmniej zawiedziona nie została. Zakres pracy d-ra Krasla obejmuje nie tylko żywot św. Prokopa i cześć przez wiernych mu oddawaną, ale także dzieje klasztoru, założonego przez tego świętego nad rzeką Sázawą. Ponieważ zaś w klasztorze sazawskim, którego pierwszym opatem był św. Prokop, istniała liturgia starosłowiańska, należało więc, aby w tem dziele obszerna mieściła się wzmianka jak o starosłowiańskim piśmie i księ-

gach, tak też i o słowiańskiej liturgii, o obrzędach Mszy świętej podług wschodniego obrządku. Zadaniu temu autor uczynił zadość w III., IX. i X. rozdziałach części I., gdzie opisuje życie, działalność, cuda i śmierć św. Prokopa, gdy część II. poświęcona dziejom klasztoru św. Prokopa na Sázawie, a część III. opisuje kult tego świętego wśród czeskiego ludu.

Powyższe więc dzieło stanowi piękny i zasłużony hołd dla jednego z główniejszych patronów ziemi czeskiej, jakim jest św. Prokop, wydając zaś je, *Dědictví* złożyło dowód pobożności należnej względem świętego, którego nosi imię. Wreszcie praca ta mimowoli budzi w nas nadzieję, że i inni święci patronowie czescy doczekają się takiego pomnika, czegoby jak najgoręcej pragnąć należało. A może nawet sam dr. Krásl skreśli nam żywot któregośkolwiek z nich, jak na przykład św. Wojciecha.

Drugie nasze *Dědictví*, a mianowicie *Dědictví sv. Jana Nepomuckého*, założone przez O. Antoniego Hanikýřa T. J. (1753—1833) w celu wydawania dla katolickiego ludu książek treści religijnej, a liczące obecnie przeszło 28.000 członków, wydało w r. 1895 książkę pod tytułem: *Liturgika o posvátných dobách svatě katolické Církve*. Sestavil a vyložil Bohumil Fr. Hakl, papež. komoří atd., str. 855, male 8^o („Liturgika o poświęconych służbie Bożej czasach świętego katolickiego Kościoła. Uložyl i objaśnil Bogumil Fr. Hakl, szambelan dworu papieskiego i t. d., str. 855 w malej 8-ce). Zbytecznem byłoby mówić, jak dalece książka ta może być pożyteczną dla naszego ludu. Istotnie więc to stowarzyszenie wielką położyło zasługę, wydając swym nakładem dzieło tej treści. Skreślone jest ono w sposób niezmiernie zajmujący i o ile możności popularny. Autor mówi najprzód o liturgii wogólności, poczem tłumaczy kolejno wszystkie okresy roku kościelnego. Wszędzie też stara się nakreślić historyczne tło pojedynczych uroczystości, wyłuszcza całkowite ich znaczenie, opisuje obszernie ceremonie przepisane na to lub owe święto, przypomina ludowe obyczaje i zwyczaje, jak również rozmaite prognostyki, legendy i tradycje, nie zapominając także o gorącej zachęcie katolickich swych czytelników do gorliwego wykonywania obowiązków religijnych. Można się więc spodziewać, że książka ta niemały przyniesie pożytek, tem bardziej, iż wiemy, jak wielką popularnością cieszą się wogóle wszystkie wydawnictwa Świętojańskiego Stowarzyszenia, które lud z powodu zielonej okładki zowie zwykle *zelení knihy*.

Również i Stowarzyszenie *Vlast*, o którym już dawniej *Przegląd*

Powszechny umieścił obszerny referat, pracowało w ubiegłym roku z nie-małym powodzeniem. Nietylko bowiem wydawało z niezmienionym pro-gramem trzy swoje czasopisma: *Vlast*, *Vychovatel* i *Dělnické Noviny* z miesięcznym dodatkiem *Hornické Listy*, ale także wydało własnym nakładem rozmaite pojedyncze dzieła. Wymieńmy najprzód drugą część obszernej pracy pod tytułem: *Z dějin nepatrné české vesnice*. Podává Václav Honejsek, kně. arcib. notář, farář u sv. Haštala (Castulus) w Praze; str. 64 vol. 8^o, cena 40 kr. („Z dziejów skromnej czeskiej wiosieczki“. Skreślił Wacław Honejsek, notaryusz ks. arcybiskupa, pro-boszcz przy kościele świętego Kastulusa w Pradze, str. 64 w dużej 8-ce, cena 40 ct.). Praca ta, którą członkowie założyciele *Vlasti* do-stali bezpłatnie, na jak największą zasługuje pochwałę. Pierwsza jej część wyszła w r. 1894. Jestto monografia niewielkiej czeskiej wioski Kojetice, leżącej o 2¹/₂ mili od Pragi, niedaleko Lobkowic, gdzie spo-czywają zwłoki czeskiego historyka, Franciszka Palackiego. Rzec można, że taką monografią niewiele miast u nas może się pochlubić, wieś zaś żadna jej nie posiada. Całe dzieło oparte na studyach archiwalnych, pozwala sięgnąć okiem w przeszłość i powziąć dokładne pojęcie o ży-ciu naszych przodków. Autor potrafił zużytkować najmniejsze nawet drobnostki i w tej mierze zbliża się do profesora Wintera, który kreśli kolejno dzieje naszych miast. Gdy jednak w pierwszej części autor mówił nam wyłącznie o historii Kojetic i stosunkach społecznych, w drugiej szkicuje współczesne tamtejsze stosunki religijne i szkolne. Można doprawdy powinszować tego dzieła zarówno autorowi, byłemu proboszczowi w opisywanej przez niego wiosce, jak też i samym Ko-jeticom.

Drugiem wydawnictwem Stowarzyszenia *Vlast* z r. 1895 jest książka: *Vzájemný poměr učení Petra Chelčického, starší jednoty českých bratrů a Táborů k nauce valdenských, Jana Husi a Jana Viklífa*. Napsal dr. Antonín Lenz, probošt (Praepositus) královské kapitoly na Vyšehradě, praelát Království Českého. Cena 1 zl. 60 kr., stran 173 vel. 8^o („Wza-jemny stosunek pomiędzy doktryną Piotra Chelczyckiego i starszego zgromadzenia czeskich braci i Taborytów, a nauką Waldensów, Jana Husa i Jana Wiklefa. Skreślił dr. Antoni Lenz, prefekt królewskiej kapituły na Wyszehradzie, prałat Królestwa Czeskiego. Cena 1 złr. 60 ct., str. 173 w dużej 8-ce).

Prałat Lenz jest jednym z najlepszych znawców doktryny cze-skich reformatorów, czego dowiódł niejednokrotnie rozmaitemi cennemi monografiami w tym przedmiocie. Pomiedzy niemi najbardziej zasługuje

na uwagę praca pod tytułem: *Učení mistra Jana Husi*, która wyszła w r. 1875 nakładem Stowarzyszenia św. Prokopa w Pradze, tudzież dzieło: *Petra Chelcického učení o sedmeře svátosti a poměr učení tohoto k Janu Viklířovi*, wydane w Pradze w roku 1889. Z góry więc można było sądzić, że nowe to dzieło będzie bardzo cennem i wyczerpującem, gdyż opierało się na gruntownych i źródłowych studyach, należy zaś przyznać, iż nie zawiodło ono bynajmniej naszych oczekiwań. W powyższej swej pracy dr. Lenz następującej trzyma się metody. Wyliczywszy najprzód w rozdziałach I. i II. główne zasady doktryny Bogomilów i Albigenów, podaje w rozdziale III. zarys doktryny Waldensów, wyświeatla stosunek ich wzajemny, a wreszcie przy końcu rozdziału kreśli historyczny obraz szybkiego rozkrzewienia się tych sekt w Europie. W rozdziale IV. wyłuszcza autor naukę Chelczyckiego i jej stosunek do doktryny Waldensów i Wiklefa, poczem w rozdziale V. wykazuje jak na dłoni, że Chelczycki był poprostu naśladowcą Wiklefa i Waldensów. Następnie w rozdziale VI. jest mowa o zasadach starszego zgromadzenia czeskich braci na podstawie własnego ich wyznania wiary z r. 1525, pod tytułem: *Grunt víery*, tudzież o stosunku ich jak do nauki Chelczyckiego, tak też i do doktryny Waldensów. W rozdziale VII. zeszkiecowuje autor doktrynę sekty Taborytów, wraz z ich stosunkiem do zasad Chelczyckiego. W rozdziale VIII. wyświeatla naukę Jana Wiklefa i jej stosunek do doktryny Taborytów, a wreszcie w rozdziale IX. kreśli obraz stosunku pomiędzy doktryną Wiklefa i Husa. Śmiało rzec można, że jestto dzieło niezmiernie pod względem treści bogate, dla dogmatyki zaś zwłaszcza posiada tak wielką wartość i znaczenie, że należałoby pragnąć jak największego rozpowszechnienia się tej książki.

Tegoż samego 1895 roku, wyszedł nakładem *Vlasti* czwarty tom *Sborníka historického kroužku*. „Koło historyczne“ (*Historický kroužek*) założone zostało przy *Vlasti* w r. 1891. Celem jego jest popieranie studyów z dziejów czeskiego narodu w duchu katolickim na podstawie wiarogodnych źródeł, obalanie historycznych błędów i tendencyjnych fałszów o katolickim Kościele, tudzież zaznajamianie ogółu z katolickimi mężami duchownymi i świeckimi, którzy walczyli z husytyzmem, luteranizmem i masonią, w historycznych zaś dziełach bywają umyślnie albo pomijani milczeniem, albo niesłusznie potępiani. Ażeby się wywiązać należycie z przyjętego dobrowolnie zadania, Koło historyczne rozdzieliło zakres swej pracy na trzy główne okresy: 1) Okres husycki od r. 1403; 2) Okres katolickiej reformacji, rozpoczynający się

od wskrzeszenia arcybiskupstwa prazkiego w r. 1561, a sięgający aż do roku 1661, a wreszcie 3) Okres nowomodnego liberalizmu i wolnomularstwa. Członkami Koła historycznego są historycy katoliccy duchowni i świeccy. Na czele jego stoi sędziwy, lecz zawsze młodzieńczym odznaczający się zapalem O. Józef Svoboda T. J. w Pradze, który i pomiędzy młodymi alumnami rozkrzewia zamiłowanie do historycznych badań i to jak się zdaje nie bez skutku.

Działalność Koła historycznego objawia się na zewnątrz w dwóch odrębnych kształtach, to jest za pośrednictwem odczytów, urządzanych podczas zimowych miesięcy, oraz ogłaszania drukiem rozmaitych prac we własnym organie *Sbornik*, wydawanym przez Koło za pomocą Stowarzyszenia *Vlasť*. Redaktorem pierwszego i drugiego tomu był profesor Zdráhal, tom zaś III. i IV. wyszły pod redakcją profesora d-ra Matyasza Kovára. Prace dotychczas tam umieszczane nic nie pozostawiają do życzenia. Oprócz rozmaitych drobnych notatek i recenzyj, znajdujemy w tomie IV. trzy historyczne artykuły. Pierwszy z nich: *Po stopách Drabíkových prorocství*, skreślony przez O. Piotra Špičku, stanowi nader cenny przyczynek do dziejów czeskiej emigracji. Widzimy tam, jak wielki wpływ wywarł na Komenského „prorok“ Mikołaj Drabík swojemi „prorocztwami“, które przed śmiercią odwołał, aczkolwiek głosił poprzednio, że były one objawieniem otrzymanem od Boga. W taki sposób wpłynął też Drabík i na losy całej czeskiej emigracji. Ojciec Špička analizuje starannie wszystkie te prorocтва, rozwijając ciągle swą rozprawę na tle historycznem. Praca jego jest wielce dokładna i wyczerpująca, powinnaż za i w Polsce zwrócić na siebie uwagę, gdyż, jak wiadomo, czescy emigranci niejednokrotnie tam przebywali. Również godną uwagi jest druga praca, skreślona przez profesora Józefa Vávru: *O katolických paních v Čechách za doby reformace*. Cały ten artykuł odznacza się pięknnością stylu, stanowiącą zresztą już oddawna jedną z charakterystycznych cech tego autora. Pan Vávra daje tu poznać, jak katolickie panie z czeskiej szlachty zachowały się wobec reformacji w Czechach. Praca powyższa jest jednym z owoców wytrwałych badań autora z okresu reformacji, ale bynajmniej nie jedynym, bo już poprzednio złożył dowody niezmordowanej pracy na tem polu, nie ulega zaś najmniejszej wątpliwości, że i nadal tak będzie, bo wszak profesor Vávra należy do najgorliwszych i najwybitniejszych członków „Koła historycznego“. Również nie bez wartości jest ostatnia praca umieszczona w *Sborniku* i skreślona podług archiwalnych źródeł przez d-ra Antoniego Podlahę. Nosi ona tytuł: *Z dějin katolických missií*

w *Čechách* r. 1670—1700. (Z dziejów katolickich misyj w Czechach od r. 1670—1700), opowiada nam zaś o misjach odbywanych w rozmaitych zakątkach Czech przez kapłanów z Towarzystwa Jezusowego. Szczegóły o nich czerpał dr. Podlaha bądź z arcybiskupiego archiwum, bądź też z *Litterae annuae Soc. Jesu*, przechowywanych w bibliotece księcia Lobkovica w Pradze. Niepodobna zaprzeczyć, iż są to szczegóły wielce ciekawe, świadczące wyraźnie, z jakimi trudnościami musieli walczyć misjonarze mianowicie tam, gdzie tajni akatolicycy agitatorowie podburzali lud przeciw kapłanom, zachęcając go do stawiania oporu katolickiej reformacji.

*

*

*

Jednym z najznakomitszych młodszych pracowników na polu literatury katolickiej jest niezaprzeczenie syn siostrzanej Morawii, dr. Paweł Vychodil O. S. B. Musi to uznać każdy. Co do nas, to na poparcie słów naszych wymienimy tylko jego przekłady pism Arystotelesa na język czeski, które znalazły ogólne uznanie nawet wśród osób, nie lubiących chwalić prac katolickiego kapłana. Dotąd wyszedł przekład dzieła Arystotelesa: *O básnictví* — „O poezji“ (1884), *O duši* (1885) i *Etyka Nikomacha* (1888—1891), obecnie zaś wychodzi w przekładzie *Polityka Arystotelesa*. Niech jednak nikt nie sądzi, że jestto tylko po prostu tłumaczenie na język czeski, wcale nie, gdyż każda książka opatrzona jest licznymi i dokładnymi objaśnieniami, które do zrozumienia pism Arystotelesa niezbędnie są potrzebne. Z drugiej strony o niepospolitym talencie d-ra Vychodila świadczą oryginalne jego prace, jak naprzykład: *Důkazy jsočnosti Boží a dějiny jejich*, Brno 1889. („Dowody istnienia Boga i ich dzieje“), jak również jego *Poetika*. Brno 1890—1894, a zwłaszcza najnowsze dzieło: *Apologie křesťanství*. W roku ubiegłym wyszła I. część tej pracy, II. zaś i III. ma niebawem się ukazać. I teraz jednak sądzić już można, że całe to dzieło będzie prawdziwą ozdobą czeskiej apologetycznej literatury. Doktor Vychodil przygotował się tak starannie do skreślenia tej pracy, iż pod względem treści stanie ona niewątpliwie na wysokości swego zadania. Co się tyczy formy, to w niej Vychodil jest mistrzem. U nas zaś w Czechach koniecznie tego potrzeba, ażeby dobra rzecz w pięknej podaną była formie, w przeciwnym bowiem razie pomimo najlepszej nawet treści nie zwróci na siebie uwagi świeckich czytelników. Mamy nadzieję, że książki Vychodila nie ulegną smutnemu temu losowi.

Do tejże samej kategorii zaliczyć wypada dzieło, którego autorem

jest dr. Eugeniusz Kadeřávek, profesor filozofii i fundamentalnej teologii przy wydziale teologicznym w Pradze. Mamy tu na myśli książkę pod tytułem: *O jsoucnosti Boží* — „O istnieniu Boga“, (w Pradze 1896, cena 60 cnt.). Książka ta poświęcona jest przede wszystkim słuchaczom uniwersytetu, którym ma zastąpić litografowane wykłady. Wielę więc rzeczy zostało tam pominiętych, inne zbyt pobieżnie są naszkicowane, tak że mimowoli przywodzą na myśl ustny wykład pana profesora. Wogóle jednak powyższe dzieło odpowiada należycie swemu zadaniu.

* * *

Z poetów katolickich w ostatnich czasach ze zbiorem oryginalnych swych utworów wystąpili dwaj: Karol Dostál-Lutinow i Francisek Leubner. Zbiór poezyj Dostál-Lutinova nosi tytuł *Sedmikrásky*, wyszedł zaś jako II. tom antologii pod nazwą *Básnické Obzory katolické*, której tom I. został niedawno temu oceniony w *Przeglądzie Powszechnym*. Nie znamy wierszy poety-kapłana, któreby tak ładnie były napisane, jak utwory Dostála. Pod względem formy poezjom tym nie zarzucić niepodobna. Co się tyczy treści, to i jej również jak największa należy się pochwała. Jestto istotnie zbiorzek prześlicznych, co się zowie, utworów, świadczący, iż Dostál-Lutinov — to *poeta natus*. Jak wdzięcznie płynie wiersz za wierszem, jak nieporównany jest jego rym! Nigdzie się nie dostrzega najmniejszych nawet usterek, gdyż wszędzie forma poetycka jest istotnie doskonałą. Dodajmy nadto ton swojski, ludowy, a w niektórych utworach i naturalny, niewymuszony dowcip, a możemy być przekonani, że będziemy mieli w Dostálu znakomitego poetę.

Powyższy zbiór swych utworów rozdzielił autor na trzy części. W pierwszej z nich umieścił *Písň a pohádky* (Pieśni i gawędy), w drugiej *Legendy a Legendičky*, a wreszcie w trzeciej przekłady z niemieckiego. Już pierwszy utwór: *Písň o žních* zachwyca swoją wzniosłością, zdobywając pocie odrazu serca czytelników. Z dalszych utworów najbardziej podobać się mogą: *Bílé ruce, Pan berné. Sůl nad zlato, Hrnčířská i Je to něco lepšího?* Pomiedzy legendami zaś najbardziej zasługują na uwagę: *Šla bílá dívenka, Večer před Božím Tělem, Sv. František Seraf* i ostatnia prawdziwie prześliczna pod tytułem: *Ostatky Svateho Methoděje*. Szkoda tylko, że w legendzie o św. Franciszku Serafickim nie opuścił autor wiersza 3 i 4 na stronicy 109.

Również wielką poetycką wartość przyznać należy zbiorowi utworów Franciszka Leubnera pod tytułem: *Ballady a legendy*. Poezye te,

a zwłaszcza niektóre z nich są prześliczne w całym tego słowa znaczeniu. Wogóle znajdujemy tam 18 ballad i 8 legend. Autor ich, kapłan, czerpie treść do ballad z historyi i narodowych podań, do legend zaś z żywota Chrystusa i Świętych Pańskich. Do najpiękniejszych legend należą niezaprzeczenie: *O Mści sv. Krista Pana* i *Mše Biskupa Vojtěcha*.

*

*

*

W czeskiej katolickiej publicystyce zaszły od Nowego roku pewne zmiany; niektóre bowiem czasopisma przestały wychodzić, na ich zaś miejscu ukazały się nowe. Do czasopism, które zakończyły swoją egzystencję należy *Blahověst'* i *Hlídko Literární*. *Blahověst'* było jednym z najstarszych czeskich katolickich czasopism i za lat kilka obchodziłoby 50-letnią rocznicę swego istnienia, co nader rzadką jest rzeczą. Nie doczekało jednak tej chwili, gdyż 45 rocznikiem zakończyło egzystencję. *Hlídko Literární* wychodziła przez lat 12, pod redakcją d-ra Pawła Vychodila, i wielka doprawdy jej szkoda, gdyż wywiązywała się wybornie ze swego zadania. Teraz miejsce jej zajęło nowe czasopismo, wydawane przez tegoż samego d-ra Vychodila pod nazwą *Hlídko*, a poświęcone wyłącznie kwestyom filozoficznym i apologetycznym w najszerszym tego słowa znaczeniu. Nie ulega wątpliwości, że odpowie ono wybornie swemu przeznaczeniu, tembardziej, iż między współpracownikami liczy znakomite literackie siły, jak na przykład d-ra Pospíšila, kanonika w Bernie. Pierwsze dwa zeszyty, które mamy przed sobą, bardzo korzystnie się przedstawiają. Oprócz *Hlídky* zaczął wychodzić w Pradze *Nový život*, pod redakcją Karola Dostála-Lutinowa. Jest to organ młodych pisarzy, skupionych dokoła Dostála, Skalika, Dvořaka i Bouški, a znanych czeskiemu społeczeństwu pod nazwą nowej katolickiej literackiej generacji. Ponieważ dotychczas wyszedł jeden tylko zeszyt wydawanego przez nich czasopisma, sąd więc o niem na później wolimy odłożyć. Obok tych dwóch świeżo powstałych organów katolickiej prasy wymienić jeszcze możemy *Sborník Velehradský*. Zaczął on już wychodzić w r. 1880, lecz w pięć lat później znikł nagle z widowni. Ówczesnym jego redaktorem był ks. Józef Vykydal, dziekan i były proboszcz na Welehradzie, współredaktorem zaś ks. Jan Vychodil, były wikary welehradzki, a teraźniejszy proboszcz w Želechovicach na Morawach. On właśnie zamierza obecnie wskrzesić to czasopismo, którego pierwszy zeszyt niebawem ma się ukazać. Wymieńmy wreszcie jeszcze jedno nowe czasopismo katolickie pod tytułem *Eucharistia*, wydawane przez ks. Jana Blokšę dla czeskiego Bractwa Kapłanów wiecznej adoracyi.

Co się tyczy starszych czasopism katolickich, to wyliczyć je wszystkie jest niepodobieństwem. Poprzestaniemy więc na wymienieniu tylko trzech główniejszych, znanych pod nazwą *Časopis katolického duchovenstva*, *Vlast'* i *Museum*.

Časopis katolického duchovenstva jest najstarszym organem teologicznym w języku czeskim, bo już w r. 1828 zaczął wychodzić w Pradze. Pierwotne jego istnienie przetrwało do roku 1852, ówczesnymi zaś redaktorami byli kolejno: Mikołaj Tomek, Wacław Vaclaviček, Wacław Pešina, Jan Waleryan Jirsík, Franciszek Havránek i dr. Edward Tersch. Od r. 1860 czasopismo to znowu zostało wskrzeszone i od tej chwili wychodzi nieprzerwanie aż do dnia dzisiejszego. Redaktorem jego był z początku Vinařický, od 30 zaś lat pozostaje ono pod redakcją prałata d-ra Klemensa Borovego. Współpracownikami naukowego teologicznego tego organu byli i są wszyscy najznakomitsi pisarze czescy na polu teologicznem, z których wielu i poza obrębem Czech zdobyło sobie sławę, jak na przykład sam dr. Borovy, dr. Laurin, dr. Bauer, teraźniejszy biskup berneński, † kanonik M. Procházka, dr. Sušil, † prefekt Štulc, † Vinařický, dr. Krásł, dr. Kryštůfek, dr. Sýkora, dr. Kadeřávek, dr. Jirák, dr. Šimáuko, dr. Soukup, dr. Pospíšil, dr. Janiš, dr. Doubrava, dr. Lenz, O. Svoboda T. J., dr. Skočdopole i t. d. Prace umieszczane w tem czasopiśmie, poruszają wszelkie gałęzie teologicznej wiedzy: historię, prawo, etykę, dogmatykę, apologetykę, filozofię, studia biblijne, socyologię, jak również malują wiele rysów praktycznych z życia duszpasterzy, w dziale zaś zwanym *Kronika* mieszczą się rozmaite drobne wiadomości. W rubryce, oznaczonej nazwą *Literární oznamovatel*, znajdujemy liczne recenzje z dziedziny naukowych wydawnictw teologicznych, zarówno swojskich, jak obcych. Niejedno dzieło polskie było tam ocenione. W roku bieżącym czasopismo to rozpoczyna 37 rok drugiego okresu swego istnienia, które, jak się zdaje, będzie trwało przez długie jeszcze lata, gdyż całe czeskie duchowieństwo pragnie gorąco jak największego rozwoju i rozkwitu tego swojego organu.

W r. 1895 wyszedł jedenasty rocznik *Vlasti*. Będąc wydawaną w Pradze pod redakcją Tomasza Škrdla, jako czasopismo poświęcone nauce i rozrywce, *Vlast'* należy do najpoczytniejszych organów prasy czeskiej. Treść jej jest wielce urozmaiconą. Obok artykułu naukowego napotykamy nowellę, obok poezji prozę. W ostatnim roczniku artykuły treści naukowej wyszły z pod pióra Flekáčka, d-ra Kadeřávka, d-ra Kolíska, d-ra Lenza, d-ra Sedláčka, d-ra Podlahy, Konečného, Pohunka, Štingia, Venečka i Žáka. Powieści zaś i poezyj dostarczyli Brodský,

Aloizy Dostál, Vlaska Pittnerová, Bulant, Šťastný, Tichý i wielu innych. Z literatury polskiej umieszczono tam przekład fantastycznego poematu Lucyana Rydla, pod tytułem: *Dies irae*. Bogatą zwłaszcza jest we *Vlasti* rubryka, poświęcona krytykom nie tylko z literatury czeskiej, ale też i z innych literatur słowiańskich, jak również z niemieckiej, francuskiej, flamandzkiej i hiszpańskiej. Z polskiej literatury w każdym prawie numerze mieściły się recenzje. Na uwagę zasługuje także obszerny referat o katolickim oddziale na wystawie etnograficznej w Pradze w r. 1895.

Życząc *Vlasti*, aby coraz bardziej się doskonaliła i coraz więcej zdobywała sobie czytelników, musimy także nadmienić o czasopiśmie, wydawanem przez alumnów czesko-morawskich pod nazwą *Museum*. Nie jest to czasopismo niedawno założone, owszem mamy tu już do czynienia z weteranem, wychodzącym od lat 30. Z początku *Museum* było litografowane i dopiero w 19 roku istnienia zaczęto je drukować w Bernie. Corocznie wychodzi teraz 5 zeszytów tego organu. *Museum* jest jakby pierwszą literacką areną dla pracowników na polu piśmiennictwa, w niem bowiem ogłaszają alumni pierwsze swoje prace. Kierunek jego jest przeważnie naukowy, chociaż i beletrystyka nie została usuniętą całkowicie z programu. Prawdziwą też pociechę sprawia każdemu szczeremu przyjacielowi czeskiej katolickiej literatury widok coraz bardziej wzrastającego pocztu nowych sił literackich. Życzyć by tylko należało, aby wszyscy ci młodzi pisarze wytrwali w swym zapale, jak również w braterskiej miłości ku sobie, nawzajem dla dobra Kościoła świętego i drogiej ojczyzny. Oby też Bóg błogosławił młodym, natchnionym tym pracownikom, ażeby poczet ich się zwiększał, praca zaś obfite przyniosła plony!

Dr. Józef Tumpach.

Philosophia moralis in usum scholarum. Auctore Victore Cathrein S. J.

Editio altera aucta et emendata. Friburgi Brisgoviae. Sumptibus Herder. 1895.

Książka Cathreina, o której pierwszym wydaniu podał nasz *Przegląd* przed rokiem obszerne sprawozdanie, ukazała się obecnie w drugim wydaniu. Jeżeli w ogólności książka każda wymaga zmian i ulepszeń, to wymaga ich w szczególności podręcznik szkolny, jakim jest omawiane dzieło. W niniejszym wydaniu zaszły pewne zmiany. Zaraz z początku dodana jest teza o ostatecznym celu stworzeń, czyli o chwale Boga zewnętrznej. Czy jest ona w tem miejscu konieczną?... W za-

sadzie jesteśmy przeciwni powtarzaniu się w podręcznikach pewnych partyj przedmiotu, mających odnośnię do rozmaitych działów filozofii. Dla niniejszej tezy właściwe miejsce jest w teodycei; w etyce może być ona wzmiankowana kilku słowy, ale obszerniej traktowana, jak na podręcznik szkolny, jest niepotrzebnym balastem. Za to za inne zmiany należy się autorowi uznanie. I tak na czasie jest dodatek o kwestyi socyalnej; myślimy, że w następnych wydaniach ten dodatek jeszcze więcej się rozwinie i znajdzie własne miejsce w środku dzieła. Ze względów pedagogicznych wielkie ma znaczenie powiększenie zapasu zarzutów. podnoszonych przeciw pewnym zasadom i wykaz autorów, o odnośnej kwestyi traktujących, na początku każdej tezy podany.

Podręcznik Cathreina jest aż nadto może na potrzeby szkolne obrachowany. Etyka jest takim polem, że przy całym rygorze szkolnym może się znaleźć w niej miejsce na jakiś szerszy pogląd, a nawet pogląd taki w niektórych działach stykających się z prawem państwowem, polityką, ekonomią jest z natury rzeczy koniecznym. Etykę, jak na dzisiejsze anormalne stosunki, uważamy na razie za jeden z najważniejszych środków assanizacyjnych, potrzeba zatem, żeby ucząca się młodzież przejęła się ważnością i wielkością przedmiotu. A do tego przy ścisłości szkolnej i głębokości filozoficznej potrzebną jest pewna doza dobrze zrozumianej pogładowości.

O najnowszej etyce, nader oryginalnej, ciekawej, która w ostatnich czasach tylu znalazła przedstawicieli w Niemczech, Francyi i Anglii, nie znajdujemy wiele w niniejszej książce. Myślimy, że wydanie trzecie te braki usunie.

Zarzutami temi nie myślimy kwestyonować wartości pedagogicznej podręcznika, bo z tej znanym jest on powszechnie i u nas i za granicą, po pierwszym już nawet wydaniu. Wychodzimy tylko z zasady, że ulepszeniom nigdy nie trzeba kłaść tamy.

Ks. J. Pawełski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Ferdynand-apostata. — Katolickie wnioski w parlamencie i sejmie berlińskim. — Świecenie niedzieli w wojsku niemieckiem. — Masońskie rządy we Francyi. — Kardynał Ferrari o organizacyi i akeyi katolików włoskich.

FERDYNAND-APOSTATA. Książę Ferdynand bułgarski zyskał sobie wreszcie po wielu pracach i staraniach przydomek, który w dziejach mu pozostanie: „Ferdynanda Apostaty“. Sam dotąd wprowadzie katolickiej wiary się nie wyrzekł, ale uczynił gorzej i podlej, bo z zimną krwią, po dokładnem zastanowieniu się, sprzedał schyzmie małoletniego swego synka; w ścisłem słowa znaczeniu powiedzieć można: „sprzedał“, bo „przechrzczenie“ małego Borysa poprzedziły długie targi, aż wreszcie przed kilku tygodniami ostatecznie ugody dobito; Ferdynand dostał koronę za duszę syna. Do różnych podłości świat dziś przyzwyczajony; rozliczne wszelkiego rodzaju „Panamy“, które w ostatnich kilku latach przesunęły się przed naszymi oczami niemal we wszystkich krajach europejskich, stępiły nerwy i uczucie; o największych zbrodniach mówi się i pisze z ultra-filozoficznym spokojem, z wyrozumiałością, któraby była podziwu godną, gdyby była istotnie wyrozumiałością, a nie ślepotą i zubożeniem na wszystko. A jednak mimo tego ogólnego stanu umysłów wieść o bułgar-

skim handlu przyjęto powszechnie z początku z niedowierzaniem. aby taka podłość była możliwą; później z oburzeniem tem większem i słuszniejszem, im handel prowadzony był z większą jawnością i cynizmem.

Istotnie cynizm, a jednocześnie udana, czy prawdziwa naiwność księcia Ferdynanda, udana, czy prawdziwa nieznajomość kardynalnych podstaw katolickiej wiary, mogą przywieść w osłupienie. Ksiązę jedzie do Rzymu, aby otrzymać jawne, a jeśli nie da się jawne, przynajmniej milczące przyzwolenie Ojca św. na rzucenie swego dziecka w objęcia schyzmy, a więc w objęcia błędu: na przeprowadzenie go w szeregi najzaciętszych wrogów Kościoła. Przyjęty, zgromiony w Watykanie, jak na to zasługiwał, skarży się w publicznym manifestcie, że „wbrew swym oczekiwaniom“ nie znalazł u papieża potrzebnego zrozumienia potrzeb Bułgaryi; chęłpi się w patetycznych wyrazach „z największej, najcięższej ofiary, jaką składa na ołtarzu ojczyzny“: a wreszcie kończy manifest bluźnierczą prośbą, w ustach bądź co bądź jeszcze katolika wyglądającą na szyderstwo: „Oby Król królów pobłogosławił temu postanowieniu!“ „Ciekawa rzecz — pyta ironicznie *Popolo Romano* — do jakiego to „króla królów“ zwraca się ksiązę bułgarski? Przecież nie do Pana Boga, którego zdradza, a zdradza tym oczywiście, że nie jest widocznie przekonany o prawdziwości prawosławia, kiedy sam na jego łono nie przechodzi; zapewne więc poleca się łasce króla Menelika, bo on właśnie nosi tytuł „króla królów“.

Czy ksiązę koburski osiągnie doczesne korzyści, dla których zdecydował się ofiarować swego syna, czy handel mu się opłaci? Wobec potworności samego tego faktu mniejszej to wagi pytanie; ale i na to pytanie odpowiedź wypaść musi co najmniej bardzo wątpliwa. Pominąwszy już najszcześliwszą może skądinąd hipotezę, śmierć Borysa w latach dziecięcych, nie może być żadnej a żadnej pewności, że albo Rosya, zapuściwszy ponownie z podwójną siłą korzenie w Bułgaryi, nie usunie prędzej, później, nie dość nadające się, a niepotrzebne już narzędzie; albo sami Bułgarzy, raz po raz w bałkańskich księstwach praktykowanym zwyczajem nie odprowadzą za granicę Ferdynanda wraz z „pre-

chrzczonym jego synkiem. To łatwo być może w bardzo nawet niedalekiej przyszłości; obecnie jest już, jako pierwsze, bezpośrednie następstwo apostazji, oddanie Bułgaryi w lenność Rosyi, rozdział ze żoną i z resztą rodziny, zasłużona, jawna wzgarda całego zachodu, a mniej jawna, ale nie mniej dotkliwa pogarda wszystkich ludzi, głębiej patrzących w samejże Rosyi i na całym Wschodzie. Artykuły paru najbardziej wpływowych gazet rosyjskich nie pozwalają w tym względzie żadnej wątpliwości. Korzysta się z usług szpiega, zdrajcy, korzysta się z usług apostaty, ale w głębi duszy czuje się zawsze do niego wstręt, a po spełnionej usłudze wyrzuca się co prędzej za drzwi.

KATOLICKIE
WNIOSKI W PAR-
LAMENCIE
I SEJMIE BER-
LIŃSKIM. W jednocześnie obradujących sejmie pruskim i parlamencie niemieckim podnieśli katolicycy posłowie cały szereg mnogimi faktami stwierdzonych zażaleń, odnoszących się głównie do nierównego traktowania przez rząd katolików a protestantów. Z jakiej racji, pytał dr. Bachem, wydał rząd podwładnym sobie urzędnikom rozporządzenie, aby nie brali udziału w pogrzebie kardynała Melchersa? Pytanie to tem ważniejsze i ciekawsze, że oto, niezadługo później umiera starokatolicki biskup, dr. Reinkens i na pogrzebie jego zjawia się nadprezydent reńskiej prowincyi, dr. Nasse. Czy, taka w oczy bijąca różnica może katolików nie dotknąć? W Cleve uczyły zakonnice dzieci robót ręcznych; rząd dowiaduje się o tem i niema nic spiesniejszego jak zakazać uczyć się tych robót od zakonnic wszystkim dzieciom obowiązującym uczęszczać do szkoły. Czyż rzeczywiście państwo pruskie spoczywa na tak słabych podstawach, że grozi mu upadek, gdyby się nie broniło przed tego rodzaju niebezpieczeństwami? Powiecie mi: Mamy prawo i wedle tego prawa musimy postępować. Ja powiadam przeciwnie: Jeśliby istotnie takie prawa istniały, to trzeba je co tchu usunąć. Idźmy dalej! Rada Związkowa pozwoliła zasłużonemu zakonowi Redemptorystów pracować w Niemczech; do tego postanowienia przyczynili się oczywiście i pruscy delegaci w Radzie Związkowej, bo inaczej nie byłoby ono mogło przyjsć do skutku. A jednak po dziś dzień rząd pruski nie dozwolił Redemptory-

stom założyć ani jednego klasztoru; cóż po pięknej teorii, kiedy się jej w praktykę nie wprowadza? Chcecie walczyć z katolickim Kościołem bronią duchową, a nie policyjnymi przepisami; głosicie, że Prusy są państwem postępowem i katolicy posiadają w niem te same prawa, które posiadają protestanci; — a jakże wobec wszystkich tych zapewnień wygląda uporeczywa obrona jezuickiej banieyi? Co o tem myśleć, że np. Śląsk dostał obecnie poraz pierwszy od przyłączenia do Prus, tj. od r. 1871, katolickiego nadprezydenta; że dla Kolonii — która przecież z pewnością jest katolickiem miastem — nie wyznaczył rząd ani razu, absolutnie ani razu, katolickiego prezydenta?... Daremna rzecz! emancypacyjna walka pruskich katolików rozpoczęła się na dobre i nie ustanie, dopóki nie dojdziemy do tych samych rezultatów, do których doszli katolicy w Holandyi i w Anglii. Konieczne to następstwo całego kulturowego rozwoju, jaki dokonywa się w naszych czasach; róbcie co chcecie, nie potraficie w biegu powstrzymać toczącego się naprzód koła czasu. Raczej starajcie się, aby słusznym naszym skargom jak najprędzej zadośćuczynić. Sami się wtedy przekonacie, ile przez to zdziałaliście dobrego dla Prus i dla Niemiec.

Katolicy posłowie niemieccy pamiętają o złotem przysłowiu: Kropla kamień żłobi. Ileż razy podnosili już głos w obrobie równouprawnienia katolików; ile razy kruszyli kopie za powrotem Redemptorystów, Jezuitów; za przestrzeganiem niedzielnego odpoczynku w urzędach, na pocztach, we wojsku! Żadnego ze swych postulatów nie przeprowadzili po jednym, choć najświetniejszym wystąpieniem; ale zwolna, stopniowo przeprowadzili niektóre w zupełności, inne w pewnej przynajmniej części, do innych jeszcze wracają przy każdej sposobności i na chwilę nie tracą otuchy, że uda im się z Bożą pomocą wszystkie przeszkody zwyciężyć.

ŚWIĘCENIE NIE-
DZIELI W WOJSKU
NIEMIECKIEM.

Kwestyę odpoczynku niedzielnego w wojsku, na pocztach, w urzędach, poruszyli szczególnie bardzo żywo posłowie katolicy; z ochoczą pomocą pospieszyli im, choć naturalnie z zupełnie innego punktu widzenia.

posłowie socyalistyczni. Odnośnie do wojska uczynił w znacznej mierze zadość słusznym żądaniom katolików i wierzących protestantów prawdziwie chrześcijański reskrypt cesarza Wilhelma, którego zwłaszcza umotywowanie bodaj w austriackich sferach wojskowych znalazło jak najgłośniejsze echo. Reskrypt ten, wy stosowany do ministra wojny, i ogłoszony w urzędowym dzienniku wojskowym, brzmi:

Pragnąc dać nowy dowód mojemu wojsku, jak bardzo leży mi na sercu utrzymanie i wzrost religijnego ducha, wyjaśniam wyraźnie pismem niniejszem, że rozporządzenie zawarte w par. 28, ustęp 3, regulaminu garnizonowego z 13 września 1888 r., wedle którego każdy żołnierz ma prawo w zwyczajnych okolicznościach uczęszczać do kościoła w niedziele i święta, rozciąga się również na dobrowolne uczęszczanie do kościoła. Tę wolę moją, która, jak dobrze o tem wiem, najzupełniej odpowiada przywiązaniu do wiary, kwitnacemu w mem wojsku, masz Pan wojsku ogłosić i dalsze kroki przedsięwziąć.

Berlin 23 stycznia 1896.

Wilhelm.

Bronsart von Schellendorff.

Dalej poszedł rząd bawarski. Wedle najnowszego rozporządzenia monachijskiego ministra wojny, mają odtąd wszystkie soboty popołudniu wolne być od ćwiczeń wojskowych, aby żołnierze mogli w tych godzinach dopełnić obowiązków służbowych, na które dotychczas przeznaczano niedziele i święta. Służba kancelaryjna ograniczoną ma być w niedziele i święta do tego, co jest ściśle i nieodzownie niezbędnem. Uczęszczanie do kościoła uważanem ma być wogólności jako obowiązek służbowy; kto chce się od tego obowiązku uwolnić, wniesć musi w tym celu osobną prośbę. W czasie przedpołudniowego nabożeństwa w niedziele i święta mają kantyny wojskowe być zamknięte.

Kiedyż — zapytajmy raz jeszcze za katolickimi gazetami, wychodzącymi w Austrii — kiedyż i u nas doczekamy się podobnych rozporządzeń?

MASOŃSKIE RZĄDY
WE FRANCYI.

Arcybiskup z Aix wyraził się kiedyś: „Nie żyjemy w rzeczypospolitej, ale w wolnomularstwie”. Wy mowną ilustracją do tych słów jest tryumfalny okrzyk wydany

przez *Révue Maçonnique* z powodu imponującej cyfry wolnomularzy, wchodzących w skład obecnego francuskiego rządu:

„Dzisiejsze ministerjum liczy w swych szeregach dziewięciu masonów. Jedynie pp. Nicard i Berthelot nie należą do wielkiej naszej rodziny. Wszakże co się tyczy Berthelota, moglibyśmy go również bez skrupułu policzyć do naszych współbraci...; ma on masoniński charakter i usposobienie, ożywiają go wzniosłe humanitarne zasady, które wolnomularstwo wlewa i pielęgnuje. Nadto wolnomularzami są: prezes rzeczypospolitej i prezes izby. Nigdy jeszcze nie znajdowało się na czele politycznej władzy tylu razem mężów, noszących symboliczny fartuszek“.

Jakże się dziwić, że owi „fartuszkowi“ mężowie dążą podwojoną siłą pary do ziszczenia dawnych masonińskich ideałów? Na razie na pierwszy plan wystąpiło znowu zniesienie ambasady przy Stolicy Apostolskiej; do tego kroku utorować miało drogę odwołanie długoletniego i bardzo chętnie podobno widzianego przez papieża ambasadora, Lefebure de Béhaine. Odwołanie to miało być „lekcyą“ daną papieżowi, że nie wolno mu wyrażać ani głośno, ani cicho, ani publicznie, ani poufnie swego niezadowolenia z panujących dziś we Francyi stosunków. Tymczasem Leon XIII. ośmielił się wypowiedzieć wobec francuskiego posła swój żal głęboki z powodu zapowiedzianych, nowych jeszcze antykościelnych praw o stowarzyszeniach, a pan de Béhaine słuchał papieża „ze zbytnią uległością“, i zdał następnie swemu rządowi dokładny raport z całej tej rozmowy. Czego w tem wszystkim poseł francuski dopuścił się nieodpowiedniego, nietaktownego; jak papieża miał słuchać, aby naganna „uległość“ z owego słuchania się nie przebijiała? — trudno pojąć i wyrozumieć. To jedno do pojęcia łatwe, że p. Bourgeois szukał na wszystkie sposoby jakiejś okazji do bezpośredniego zaczepienia Stolicy św., i lepszej mimo szczerej chęci nie mógł znaleźć. Zdaje się, że na razie potrafiłono mu wytłumaczyć, że użycie tego rodzaju pretekstu dla sprawienia papieżowi zupełnie niepotrzebnej nieprzyjemności, do niczego absolutnie by nie prowadziło; zdaje się, że p. de Béhaine przez pewien jeszcze czas w Rzymie pozostanie, ale już samo poruszenie tej sprawy i żakowskie za-

grożenie Ojcu św. „lekeyą“ za wyrażone przezeń skargi, najjaśniejszym znakiem, jakie usposobienie dla katolickiego Kościoła, dla Watykanu, panuje w rządzącym dziś Francją masonskim ministerjum.

KARDYNAŁ
FERRARI O ORGA-
NIZACJI I AKCJI
KATOLIKÓW WŁO-
SKICH.

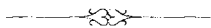
Medyolański arcybiskup, kardynał Ferrari, wydał publiczną odezwę o konieczności energiczniejszej i szersze pole obejmującej akcji katolickiej we Włoszech. Programowa ta odezwa liczy się na pierwszym miejscu z włoskimi stosunkami, lecz pomimo tego żywo w ogólnych swych zarysach przypomina podobne odezwy biskupów niemieckich lub austriackich; udziela tych samych rad i napomnień, które niedawno temu czytaliśmy w omówionym w poprzednim zeszyście, liście ks. biskupa tarnowskiego. To samo złe tu i tam, ta sama, zgubna w celach, w środkach nie przebiegająca agitacja; rzecz prosta, że i podawane na chorobę lekarstwa nie wiele mogą się między sobą różnić.

Bardzo jeszcze wiele — ostrzega kardynał Ferrari — pozostaje nam katolikom do zrobienia. Kraj nasz potrzebuje gwałtownie gruntownej reformy i na religijnem, i na politycznem polu; wszyscy prawdziwi katolicy muszą zgodnie przyłożyć ręki do pracy nad tą reformą, która jedynie naród nasz może uchronić od grożącej ruiny. Do tego celu, do obrony przeciw wolnomularstwu i socyalizmowi, przeciw wszelkiego rodzaju antyspołecznym i antychrześcijańskim sektom, posłużyć ma świeżo powstała organizacja katolickich kongresów i komitetów. Stały, naczelny komitet załatwia i broni katolickich interesów w całych Włoszech; pod nim szeregują się okręgowe i dyeceزالne komitety, których głównem zadaniem jest zakładać i kierować komitetami parafialnymi. Lud wogóle łatwo da się jeszcze do dobrego prowadzić, tembardziej, że rozpoznał już, kto mu prawdziwym a kto fałszywym przyjacielem. Jakoż istotnie w niektórych parafiach akcja rozwija się we wszystkich kierunkach: dobra prasa wyrzuciła złą, dzieci pilnie uczą się katechizmu, młodzież gromadzi się w dni świąteczne na katechizmowe wykłady, na następującą po nich uczciwą zabawę...

„Niektórzy pytają: Po co nam parafialnych komitetów, kiedy mamy od dawna istniejące religijne bractwa? Bez wątpienia, bractwa, należycie prowadzone, mogą zdziałać niezmiernie wiele dobrego; ale wobec dzisiejszego stanu rzeczy nie wystarczają do wszechstronnego rozwoju katolickiej akcyi. Inni utrzymują znów, że księża, a w szczególności proboszcze, nie powinni się zajmować polityką. Proboszcz powinien być dla wszystkich ojcem i dlatego żyć z wszystkimi w pokoju. Tak jest! — ma być ojcem, lecz dobremu ojcu nie wolno oczu zamykać, gdy jego dzieci lecą na zgubę; ma żyć z każdym w pokoju, ale nie w takim, który Boże sprawy składa w ofierze ludzkim względom...

„Przestańmyż już raz nakoniec patrzeć z ukosa na katolickie stowarzyszenia. Jedynym ich celem, bronić religii, udzielać rodzinie i społeczeństwu dóbr prawdziwych, Bożych, waleczyć ze socjalizmem, z niewiarą, z bezbożnością... Akcyą katolickich stowarzyszeń i komitetów obracać się zawsze będzie w ramach ścisłej legalności; nie wróci się nigdy przeciw publicznemu porządkowi. Wiemy, że pomimo tego spotka się z oszczerstwem i prześladowaniem; ale to nas bynajmniej nie odstrasza. Ucieknijemy się w razie potrzeby do wszystkich, ile i jakie tylko są, prawnych środków, byle móż wiarę naszą wolno wyznawać w kościele, w domu, wszędzie; byle móż skutecznie za nią się zastawiać!“...

Ks. Jan Budeni.



Działalność katolików w Czechach na polu socyalnem.

Przed dwoma laty skreśliłem na tem miejscu działalność katolickiego Stowarzyszenia *Vlast*, a parę tych słów wywołało podziw i uznanie tego, co zrobiono dla podniesienia życia katolickiego w Czechach. Artykuł ów nie byłby ukończonym, gdybym nie wspomniał obszerniej o działalności i usiłowaniach podejmowanych przez katolików czeskich na niwie socyalnej, bo jak się zaraz przekonamy, czynność ta wyszła z łona tegoż stowarzyszenia i w niem dotąd się koncentruje. W obecnych czasach, gdy kwestya socyalna mocno porusza umysły wszyst-

kich ludów, gdy antychrześcijański socjalizm rozpostarł się w Krakowie i Galicyi — gdy zaś w obronie Kościoła i wiary przeciwko tym wrogom wszędzie rozpoczyna się toczyć bój prowadzony przez mężów ożywionych chęcią ratowania co się jeszcze da ratować, a następnie wywalczenia tego co Kościołowi odebrano — sądzę, że słowa te staną się pobudką i zachętą do tej słusznej walki.

„Było to r. 1888 — pisze o sobie T. Škrdle, redaktor *Vlasti* — gdy przyszedł do mnie T. Liroušek, robotnik z fabryki maszyn i przyniósł mi artykuł do *Vlasti*: „O rozwoju i istnieniu socjalizmu chrześcijańskiego w Morawii“. Fakt ten prosty i nie napozór nie znaczący miał wielką doniosłość. Poznało się przez to dwóch mężów ożywionych jedną ideą, jednym pragnieniem, jedną myślą. Podówczas demokracja socjalna zuchwale podnosiła głowę napadając na Kościół i wiarę katolicką. Organem tego prądu była dotąd istniejąca gazeta *Zář* (*Zorza*). Naradzali się więc obaj, jakby przeciwko jej napaściom wystąpić. T. Liroušek zaczął pisać artykuły do *Vlasti* i do innych czeskich katolickich czasopism i dzienników zwłaszcza w Morawii, gdzie ruch robotniczy ogarnął był szerokie warstwy, szczególnie w fabrycznym mieście Bernie, stolicy Morawii. Prace jego zbijały trafnie napaści socjalistów. Z drugiej znów strony ks. Škrdle agitował w księgarniach, ażeby nie sprzedawano ohydneho pisma, co się mu po większej części i udało.

Równocześnie wydawał obecny biskup w Königsgrätzu, J. E. Brynych, natenczas kanonik kapituły na Wyszehradzie w Pradze, na kształt niemieckich *Flugblätter* broszury pod nazwą „Słowa prawdy“, w których to z rzadką rzeczy znajomością i zręcznością wyświecał i zbijał liberalne frazesy i hasła socjalistów. Pisemka te, liczące do 24 stron w małej ósemce, po niezwykle niskiej cenie, bo po 2 ct. sprzedawane, rozchodziły się w tysiącach egzemplarzy pomiędzy ludem robotniczym. W rozpowszechnieniu ich niemalą sobie zdobyło zasługę *Družstvo Vlasti*, bo kupowało po 125 egzemplarzy każdego numeru i rozdawało przez swoich członków pomiędzy lud. Agitacja dążąca do rozpowszechnienia tych druków była jeszcze większa w piśmie *Vlasti* i dzienniku *Čech*, starano się bowiem o rozpowszechnianie tych broszur i poznanie z niemi w każdym numerze. Prócz tego Stowarzyszenie *Vlasti* wydało swoim kosztem broszurkę Piotra Kopala (r. 1891) pod tytułem: „Kiedy człowiek jest najszcześliwszy?“ w 10.000 egzemplarzy, którychto połowę zapłaciła drukarnia *Cyrillo-Metodějska*, zaś r. 1892 nową broszurę *Majisté* (Majści) i drugą o encyklice Ojca św. *Rerum novarum* —

nareszcie r. 1894: „Socjalizm a chłopi“. Wszystkie te broszury wkrótce zostały wyczerpane. W kierunku tym pracuje stowarzyszenie bez przerwy tak, że liczba wydanych broszur jest już dosyć znaczna.

To samo stowarzyszenie starało się uczynkami stwierdzać, co głosiło w pismach. Działalność jego na polu miłości chrześcijańskiej zasługuje na szczególną uwagę. Ks. Škrdle, który zawsze opiekował się konferencyami św. Wincentego i taniemi kuchniami dla biednych, nie żałował ni czasu ni trudów, aby przynieść ulgę materyalnej nędzy ubogich. Wiedząc także o ich moralnej nędzy, zakładał wypożyczalnie dobrych książek do czytania, i w własnem mieszkaniu na Žižkowie taką wypożyczalnię urządził, znosząc chętnie nieprzyjemności i ponosząc ofiary z tem połączone. W piśmie swoim pobudzał innych z wielkiem powodzeniem do wspólnej pracy i dał inicjatywę licznym dobroczynnym instytucyom. W pracy tej nie ustaje, czego dowodem systematycznie publikowane artykuły jego we *Vlasti* pod tytułem: „Nasze dobroczynne zakłady“.

Lecz i innych środków i dróg szukało stowarzyszenie. Na rękę im był ówczesny prezes Stowarzyszenia katol. czeladników w Pradze, ks. kanonik Brynych, który spowodował zjazd wszystkich delegatów stowarzyszeń katolickich rzemieślniczych z Czech, Morawii i Szląska do Pragi r. 1891, w czasie jubileuszowej wystawy czeskiej. Zebrawszy się delegaci Czesi i Niemcy obradowali nad wspólnemi interesami. Wynikiem zjazdu tego była też uchwała, aby wręczyć Ojcu św. adres podziękowania za encyklikę *Rerum novarum*. Komitet do tego wybrany wkrótce zebrał 10.364 podpisów rzemieślników, robotników i robotnic — liczba to wobec 20.000 tysięcy podpisów, które wręczono Ojcu św. z całej Francyi, bardzo znaczna — i wręczył ją r. 1892 przez kard. Rampollę na osobnem posłuchaniu Ojcu św. Łaskawe przyjęcie członków komitetu przez Ojca św., jakoteż odpowiedź na piśmie, zachęciła delegatów do tem wytrwalszej, gorliwszej pracy socyalnej.

W innym jeszcze kierunku kroczyło stowarzyszenie w przedsięwziętej pracy. Zawezwawszy r. 1890 fachowych znawców T. Hirouška i W. Žižkę, naradzało się jakby odczytami i drukiem bronić rzemieślników i robotników przed agitacją socyalistyczną. Wynikiem tych obrad było ukonstytuowanie się komitetu, który zaproponował: „wydawanie dodatku do kat. dziennika *Czecha*, niedzielną gazetkę robotniczą“, która miała torować drogę większej osobnej gazecie robotniczej. Nakładca *Czecha* otrzymał tytułem odszkodowania 50 zlr. rocznie. Trzy lata wychodził niedzielny ten dodatek i umieszczono i złożono w nim prace

wielkiej wartości. Jedenastu księży i sześciu fachowych znawców z klasy robotniczej pisało do niego, czterech, rozdzieliwszy pomiędzy siebie najważniejsze kwestye socyalne, obrabiało je wszechstronnie. Każdemu płaciło stowarzyszenie prócz zwykłego honorarium po 25 zlr. na czasopisma i potrzebne dzieła naukowe. Z własnego doświadczenia i powszechnej opinii mogę twierdzić, że tygodnik ten był wielkiej wartości, i że dużo dobrego zdziałał w sprawie chrześcijańsko-socyalnej. Już to, że w każdym numerze zbijano nieuczciwe napaści *Zorzy*, że odkrywano ujemne strony przywódców socyalistycznych, że referowano wciąż o ruchu antyreligijnym socyalizmu w Ameryce, Francyi, Niemczech i t. d. z uwzględnieniem jego niepowodzenia, już to samo przynosiło obfitą korzyść czytelnikom. Ale nadto znaczna liczba pisarzy katolickich ćwiczyła się w piśmie tem w robieniu bronią, którą miała później walczyć w osobnej gazecie robotniczej i w publicznych odczytach.

Pierwsze zgromadzenie nastąpiło już r. 1891. Prezes Stowarzyszenia *Vlast*, dr. Horský opublikował uchwałę sekcji socyalnej i prosił publicznie członków o zezwolenie na wydawanie osobnej gazety robotniczej. Członkowie zgodzili się na to i poparli nowe dzieło licznemi zgłoszeniami się do przedpłaty, oraz wskazywaniem adresów, pod którymi nowe pismo należało posyłać. Uchwalono statuta dla sekcji socyalnej przy *Družstwie Vlast*, obrano redaktorem pisma wspomnianego już T. Jirouška i współredaktorem d-ra Horského, pierwszego z płacą 600 zlr. rocznie, drugiego 200 zlr. Pierwszy rocznik miał już 3.500 abonentów, a agitacya dla pozyskania nowych w miesięczniku *Vlast* i dzienniku *Čech* rokrocznie liczbę powiększała i dotąd powiększa. Nie trzeba przypominać, że duszą i tego dzieła był nigdy niezmordowany agitator T. Škrdle. Ile miał trudności, i wiele przeszkód czynionych tak ze strony nieprzyjaciół jak i z własnego obozu musiał usuwać, aby torować drogę nowemu pismu, wie tylko sam Bóg! Obecnie *Robotnicza gazeta*, licząca piąty rok swego istnienia, jest podług opinii publicznej najlepszem chrześcijańsko-socyalnem pismem.

Co dotyczy drugiej części programu sekcji socyalnej, to jest odczytów, udało się wnet odnaleźć kilku uzdolnionych mowców. T. Jiroušek w r. 1891 miał w Pradze dwa odczyty (o prasie socyalistycznej i encyklice Ojca św. do robotników), dwa razy podróżował po Morawii i miał tam w dziesięciu miastach odczyty. Tego samego roku mówił poza Pragę w Czechach w 8 miastach. R. Vrba r. 1892 mówił raz poza Pragę, a T. Jiroušek w siedmiu miastach w Czechach i w trzech

na Morawii¹. R. 1893 tenże sam przemawiał w dziewięciu miastach jedenaście razy. Od października 1893 do października 1894 rozwinęła się największa agitacja co do odczytów; weszło w szranki już czterech mówców. T. Jiroušek miał odczytów 15, dr. Horský 4, R. Vrba i V. Koleš po jednym; wszystkie odbywały się w Czechach. Od października r. 1894 do października 1895 dr. Horský miał ich w Czechach i na Morawie 9, T. Jiroušek 8, Fr. Satorie i V. Žižka po jednym. Odczyty odbywały się każdego roku w innych miastach, tylko tam wracano, gdzie partya chrześcijańska potrzebowała więcej obrony, czyli gdzie socyalizm silniej się rozwijał. Odbywały się przeważnie w miastach przemysłowych, niekiedy w lokalach stowarzyszeń katolickich, niekiedy w lokalach publicznych za zaproszeniami i nieraz bez zaproszeń. Słuchaczy bywało zawsze najmniej koło 1000, a po jednym odczycie rzesza 4000 głów licząca urządziła publiczną manifestację dla partyi chrześcijańsko-socyalnej. Socjaliści nie potrafili nigdzie a nigdzie odczytom przeszkodzić, złość zaś swoją wylewali tylko w swoich pismach. Powodzenie to zawdzięczają katolicy mówcom, gruntownym ich wykładom i różności przedmiotów. Mówiono często o wspomnianej encyklice Ojca św., o potrzebie i organizacyi partyi chrześcijańsko-socyalnej, o maszynach, to jest o korzyściach z nich wypływających, o nadużyciach, o polepszeniu bytu robotników, o anarchizmie i ateizmie w partyi socyalistycznej, o ekonomicznych zasadach chrześcijańskiego socyalizmu, czy religia jest rzeczą prywatną? i t. d. Skutki odczytów tych były kolosalne. Gdzie stowarzyszenia rękodzielników katolickich liczyły przed tem do kilkadziesiąt członków, po odczytach wzrastała liczba ich do kilkuset. To też było to najlepszą nagrodą dla niezmordowanych mówców, którzy nie szczędzili ni czasu, ni pracy, ni kosztów, ni zdrowia, aby tylko organizację partyi chrześcijańskiej podnieść. Podziwiać należy rzeczywiście mówców, ich pracę i sposób walki. Taki np. dr. Horský opakowany drukami i pismami socyalistycznymi, występuje bez bojaźni przed zgromadzonymi, wyciąga pisma jedno po drugim, cytuje z nich własne wyroki przewodników czerwonego sztandaru, zbija ich i po dwu-

¹ Na uwagę szczególną zasługuje ta okoliczność, że mówcy wszystko czynili bezinteresownie, żadnych datków z okazji swoich odczytów nie zbierali, ani dobrowolnych datków nie przyjmowali. *Drużstwu* płaciło tylko kosztą podróży, które były tak skromne, że np. r. 1891 zapłacono za 10 podróży 40 zlr. 40 ct. Czy przewodnicy socyalnej partyi krakowskiej mogą się czemś podobnem wykazać?

godzinnej mowie, wypowiedzianej z niepospolitym talentem retorycznym, rozbrzmiewa z tysiąca piersi hymn na cześć chrześcijańskiej „Pracy“.

Ale zapyta kto: A koszta tych agitacyj, tego całego ruchu, z jakiego źródła zostały pokryte? Dobrowolnemi składkami, które urządzało *Drużstwo*. R. 1891—2 zebrało 1785 zł., roku następnego było dochodów 2259 zł., a wydatków tylko 192 zł., r. 1893—4 dochodu 2342 zł., wydatków zaś 151 zł., r. 1894—5 dochodu 2412 a wydatków 201 zł. tak, że na rok 1895—6 pozostało się w gotówce 2210 zł. Rozumie się, że największy udział w tych składkach brał episkopat i duchowieństwo czeskie. I z Ameryki doznało *Drużstwo* od tamtejszych kapłanów czeskich poparcia. Według możliwości zaś i rękodzielnicy czescy przyczyniali się swoim datkiem; członkowie *Drużstwa* byli na pierwszym miejscu przykładem i zachętą dla innych.

Pozostaje nam jeszcze omówić paru słowami ważne dzieło, podjęte przez chrześcijańskich socyalistów, a mianowicie pracę nad zakładaniem i rozwojem stowarzyszeń katolickich, zwłaszcza rzemieślników i robotników katolickich. Stowarzyszenia te zakładano pilnie w Pradze, w Czechach i na Morawii już przed r. 1890¹. W Pradze istniało już Stowarzyszenie czeladników katolickich (wiadomo, że obecny arcybiskup wiedeński, kardynał Grusza mocno poruszył sprawę stowarzyszeń tych w Wiedniu i całej Austrii) i już r. 1889 kanonik Brynych, ówczesny prezes, kupił dla stowarzyszenia dom za 45.000 zł. Bóg sam tylko wie, w jak dziwny sposób dług ten w kilku latach został o tyle spłacony, że już spokojnie może czeladź katolicka w domu mieszkać i stowarzyszenie swobodnie się rozwijać. Jest w domu tym obecnie 50 łózek dla czeladników, którzy się jednak zmieniają, mieszkając w przytułku dotąd tylko, dokąd pracy nie znajdą. Dwadzieścia osób dziennie ma tam wikt (śniadanie za 8 ct., obiad 15—20 ct., kolację, jak kto sobie życzy). Znajdujemy w domu piekarnię, pralnię, kuchnię, stancję dla podróżujących, jest tam także wielka sala bawialna, sala zgromadzeń, odczytów i przedstawień, mieszkanie dla stałego kapelana, który jest zarazem wiceprezesem stowarzyszenia, kaplica i t. d. Stowarzyszenie posiada dobrze wykształconych muzykantów i śpiewaków, co umożliwia częste przedstawienia i zabawy. Każdej niedzieli urządzają się odczyty jużto przez osobno w tym celu zaproszonych, jużto przez wiceprezesa albo prezesa. Przez cały zaś czas postu wygłasza obecny prezes, ks.

¹ Na Morawii podjęto pracę w tym kierunku znacznie wcześniej i dlatego napotykanym tam stowarzyszenia dawniejsze w większej liczbie.

kanonik Buryan konferencye postne. Znaczna liczba gazet, czasopism, i dzienników dają członkom możność kształcenia się. W każdą niedzielę słuchają kazania i mszy św., raz w rok przystępują wszyscy wspólnie do komunii św. Obecnie doszło stowarzyszenie do największego stopnia rozkwitu, dzięki gorliwości prezeza i wiceprezeza. Dowodem tego, że majstrowie w Pradze dobijają się o czeladników stamtąd i nadzwyczaj ich cenią.

W podobny sposób, ma się rozumieć do odnośnych potrzeb zastosowany, urządzono *Joanneum*, dom i stowarzyszenie dla terminatorów w Pradze. Prezesa obydwóch stowarzyszeń mianuje biskup, który jest zarazem protektorem, często stowarzyszenie odwiedza i członków zaszczyca uprzejmą rozmową.

Praga jest ogniskiem pracy na prowincję. Sekcja socyalna starała się i stara zakładać podobne stowarzyszenia w innych miastach. Jednakowoż nie wszędzie da się założyć stowarzyszenie takie jak w Pradze, dlatego zakładają się stowarzyszenia ogólne robotników i rzemieślników katolickich albo stowarzyszenia młodzieży katolickiej, które wszystkie należą do wspólnej organizacyi związku dyecezalnego. Związkowi temu przewodniczy mianowany przez biskupa prezes, który znów proponuje biskupowi miejscowych prezesów, zatwierdza ich statuta, słowem jest kierownikiem i duszą całego ruchu. Wielką to ma doniosłość, bo organizacya ta podtrzymuje życie stowarzyszeń, pobudza członków do gorliwej działalności wewnątrz i na zewnątrz, oraz nie dopuszcza zboczeń od statutów lub zaniedbywania takowych.

Ile stowarzyszeń tych w Czechach, na Morawii i na Szlasku istnieje, ile ich *družstvo Vlast'* założyło, nie możemy niestety powiedzieć. Szkoda, że nie mamy pod ręką takiego wykazu. Z pism jednak czeskich i morawskich, z różnych wiadomości o stowarzyszeniach miejscowych można wnosić, że pod tym względem dokonano niezmiernie dużo. Już na etnograficznej wystawie w Pradze, w oddziale „Stowarzyszenia katolickie“ oglądać było można bardzo poważny prospekt, zaznajamiający nas z liczbą ich i rozwojem; a od tego czasu liczba stowarzyszeń znacznie jeszcze wzrosła.

Dodatkowo przypominamy, że sekcyja socyalna urządziła zjazd chrześcijańskich socyalistów w Litomyślu, i drugi podczas etnograficznej wystawy w Pradze. Na pierwszym wiecu przedłożono dokładny program partyi, który służy za podstawę wszystkim stowarzyszeniom. Na Morawii konsystorz arcybiskupi w Olomuńcu ma nawet osobną sekcyę socyalną, która kieruje całym ruchem chrześcijańsko-socyalnym.

Szczegóły te wzięte poczęści z miesięcznika *Vlast* r. XI., i z różnych wiadomości w pismach innych umieszczonych, nie dają jeszcze wcale dokładnego obrazu ruchu chrześcijańsko-socjalnego w Czechach a tem mniej na Morawii. Ale już z tego co tu się powiedziało, przekonać się można, że w krajach tych partya chrześcijańsko-socjalna nie zakłada rąk, ale oddaje się usilnej pracy. Już i za granicą o niej wiedzą, bo włoskie pismo *Revista internazionale* uczyniło kilkakrotnie wzmiankę o czeskiej gazecie robotniczej i nawet streściło niektóre jej artykuły. Dr. Horský referował o socjalnej pracy katolików czeskich na wiecu chrześcijańsko socjalnym w Bambergu (w Bawaryi) i na wiecu katolickim w Wiedniu.

Oby i w Polsce ruch chrześcijańsko-socjalny się rozwinął. W Tarnowie praca się już rozpoczęła i wydała piękne owoce. Co do Krakowa pociesza nas krakowski korespondent *Grzmotu* (nr. 1), „że socjaliści tutejsi cicho jakoś siedzą“. Lecz kto czytał przedtem *Pochodnię* i obserwował ruch robotniczy bez przerwy, nie potwierdzi tego zdania. Nastąpiła w obozie tym tylko pauza chwilowa, bo procesa sądowe już odbyte jako też mające się odbyć, pióro w rękę ściskają i głos w pierśiach stłumiają. Ale wpływ agitatorów socjalistycznych na robotników i najuczciwszych, jak na własne oczy widzę, będąc z nimi w nieustannej styczności, jest znaczny i dowodzi, że u nich „nie cicho“. Gorliwej, energicznej pracy z naszej strony potrzeba!...

Fr. P. Sadok Wernberger Ord. Praed.

Z dzisiejszych próbek etycznych.

I. Tołstowcy.

Pisze Chateaubriand gdzieś w swojej historii rewolucyi, że dzieje ludzkie są ciąglem kręceniem się w kółku i każda rewolucya wraca przez strumienie krwi i pożogę ognia do tego samego miejsca, skąd wyszła. Nie inaczej się dzieje z rewolucją i na polu idei, — po pewnym, krótszym, lub dłuższym czasie, kiedy wybitniejsze umysły zrozumieją, że zaawanturowanie się przekroczyło możliwą granicę, zaczyna się odwrót na dawne stanowisko. Ale ta chwila odwrotu, kiedy wszystko w co się święcie wierzyło, zawiedzie, a co uchodziło za pewne, okaże się błędem, ta chwila, w której całe rusztowanie przekonań, wierzeń

i marzeń w krwawym pocie i w długim mozole stawiane rozsuwa się i zamienia w bezkształtną kupę gruzów, ta chwila jest ciężka. Pewien procent ludzi odpada wtedy zazwyczaj z rachunku pracy społecznej i pograża się w sceptycyzmie, lub pesymizmie bezgranicznym. Inni śmielsi i czujący w sobie energię życia szukają jeszcze jakiegoś punktu wyjścia — skrajni przerzucają się na brzeg wręcz przeciwny, umiarkowańsi próbują dróg pośrednich. Wszędzie naokół powstają kształty niewyraźne, mgliste, połowiczne.

Dni dzisiejsze są smutną tej prawdy ilustracją. Ileż to z dniem każdym na ruinach pozytywizmu nie powstaje nowych pomysłów, ileż nie utworzyło się nowych systemów, ileż nie uorganizowało się związków i stowarzyszeń, byle tylko tę pustkę, którą pozytywizm w sercach po sobie pozostawił, wypełnić i zatrzeć. A zwłaszcza na polu moralności, na którym już filozofowie przeszłego wieku i następujące po nich rewolucye niezatarte po dziś dzień wycisnęły piętno, zwłaszcza na tem polu budzić się poczyna jakaś praca organizacyjna. Tylko na swe nieszczęście nie umieją nowi ci reformatorowie, czy nie chcą poszukać ulgi i wypoczynku po tyloletniem moralnem znużeniu tam, gdzieby je jedynie znaleźć mogli i stąd nowe zawody i nowe rozczarowania.

Te dobre w zasadzie, ale w sobie połowiczne wysiłki, te krwawe prace serc i umysłów dzisiejszych zasługują na to, aby im choć kilka pobieżnych szkiców poświęcić. Zaczniemy od próbki reformy etycznej, której wadliwość okazała się już w skutkach, a której istnienie łączy się z działalnością i życiem jednego z najwybitniejszych przewodzców dzisiejszej myśli, Lwa Tołstoj.

Ten wielki hrabia, który po publicznej przed całym światem spowiedzi z całego swego życia odłożył na bok złote pióro powieściopisarza, zerwał wszelkie wielkowiejskie stosunki i przywdziawszy zgrzebną koszulę muzyka cofnął się we wiejskie zacisze Jasnej Polany, aby stamtąd czynem i piórem rozpocząć apostołstwo swoich filozoficzno religijnych idei, jest najcałkowitszem wcieleniem tych mąk i szamotań moralnych, jakie wszyscy głębiej myślący ludzie naszego wieku przechodzić musieli. W swoim pamiętniku „Lat dziecięcych i młodzieńczych“ sam opowiada jak pozytywizm Comte'a zwarzył odrazu całą jasność i pogodę młodej duszy. Od tej chwili wielkie to serce nie zaznało już ani momentu wypoczynku; kipiały i kotłowały w niem naprzemian wszystkie myśli i dążenia naszego stulecia. Zrazu z ciekawości, a potem wskutek duchowej nieprzepartej potrzeby tulał się Tołstoj po wszystkich kątach wszystkich filozoficznych systemów: rozpoczął od pozytywizmu a skończył na schop-

penhauerowskim pesymizmie i buddystycznej nirwanie. Dopiero około 1880 roku zaświeciło pogodniejsze słońce nad znużoną skronią rosyjskiego myśliciela. „Żyłem 55 lat na świecie — tak zaczyna Tolstoj swoje dzieło: „Co jest moją religią?“ — a z tych, z wyjątkiem 14-stu czy 15-stu pierwszych lat młodości, 35 lat przeżyłem jako nihilista i to w prawdziwym tego słowa znaczeniu, to jest nie jako socjalista albo rewolucjonista, jak to słowo zwyczajnie się rozumie, ale jako nihilista wskutek braku jakiejkolwiek wiary. Przed 5-ciu laty przyszła mi wiara w naukę Chrystusa — a moje życie nagle się zmieniło“.

Zdawaćby się powinno, że już Tolstoj trafił do przystani, gdzie znajdzie spoczynek i ulgę; niestety, zabrakło mu pierwszych podstaw, na których wiara oprzeć się musi. Tolstoj staje na stanowisku czysto protestanckim wolnego badacza i niezawisłego krytyka, z nauki Chrystusa przyjmuje kilka zasad bardziej jego upodobaniu odpowiadających, które więcej uczuciem niż rozumem obejmuje, rozciąga ich znaczenie do niemożliwych granic, i tak zrozumiane zasady bierze za punkt wyjścia swojej doktryny. W imię tych kilku pryncypiów krytykuje i odrzuca wszystkie istniejące systemy religijne i filozoficzne — naturalnie dogmatyczne zasady chrystyanizmu, te nawet, w których kościół rosyjski zgadza się z rzymskim pierwsze padły ofiarą osobistej krytyki.

Nie miejsce po temu, by poddawać tu analizie cały system religijno-etyczny Tolstoja, podajemy tylko główne tego systemu zarysy, o ile tego zakrój naszego obrazka wymaga. Otóż w całym tem szperaniu po Ewangelii szło Tolstojowi tylko o to, co nazwaćby można sensem życia — chciał wiedzieć, jak trzeba żyć, żeby to życie miało wartość, szukał ideału moralnego, normy etycznej. I ta jedna idea przyćmiła wszystko inne. Chrystusa pojął jako mędrca, który daje tylko wskazówki etycznego życia, a nauka Chrystusa jest tylko nauką ideału, a nie systemem przepisów. Wszystkie instytucje chrześcijańskie, sakramenty, cała organizacja kościelna, dogmaty, to wszystko jest tylko wymysłem następujących pokoleń, nierozumiejących Chrystusa; chrystyanizm właściwy, to jest tylko kilka rad moralnych, pozostawionych dobrej woli każdego, niezależnie od jakiejkolwiek władzy kościelnej. Jako główne prawo całego chrześcijaństwa, specyficznie je odróżniające od starego Testamentu uważa te słowa Chrystusa: „Słyszeliście, iż powiedziano: Oko za oko, ząb za ząb. A ja wam powiadam, żebyście się nie sprzeciwiali złemu: ale jeżeli cię kto uderzy w prawy policzek twój, nastaw mu i drugiego“. (Mat. V, 38 — 39.). Wziąwszy do pomocy kilka jeszcze innych tekstów pisma (Mat. VII, 1; Łuk. VI, 37; List Jak. II, 1 — 13; IV, 11 — 12:

List do Rzym. II, 1 — 11.) wyciąga Tolstoj taki z tego prawa wniosek, że wszelkie prawa karne i każda wojna stoją w całkowitej sprzeczności z nauką Chrystusa. Miłość ludzi, nieprzyjaciół zwłaszcza, ma być powszechna; nikomu niewolno drugim źle czynić, a źle czyniącym żadnego oporu stawiać nie trzeba, złodziejom nawet i rabusiom.

W dalszym pochodzie swego studyum zaznacza, jako oryginalnie własną naukę Chrystusa i jako swoje dogmaty, następujące pięć przykazań: 1) Utrzymuj pokój ze wszystkimi i strzeż się drugim człowiekiem gardzić, lub uważać go za szalonego. 2) Każdy niech ma swoją kobietę i każda swego mężczyznę w nierozdzielnej małżeństwie. 3) Nie przysięgaj ani też nie czyn żadnego ślubu. 4) Nie mścij się, ale płac za złe dobrem. 5) Miłuj twoich nieprzyjaciół — to jest — należących do innych narodowości, jako dzieci tego samego Boga.

Tak wyglądał chrystyanizm Tolstoja w pierwszej swojej fazie; w kilka lat później nastąpiła dość silna modyfikacya co do pojmowania małżeństwa. W „Sonacie Krentzera“ przedstawia on małżeństwo jako instytucję zupełnie niemoralną i zdrożną, a jako stan jedynie moralny uważa bezżeństwo i całkowite dziewictwo. Celem życia powinno być wytworzenie stosunków moralnych między mężczyzną a kobietą, a do tego celu koniecznym środkiem jest dążenie do całkowitej czystości. „Sonata“ przekroczyła wkrótce granice Rosyi, tłumaczono ją w lot na wszystkie główne europejskie języki. Wszystkich podbijała nowość tematu, znakomicie zwłaszcza przeprowadzona dyagnoza psychologiczna — ale też wszyscy ze zdumieniem stawali przed ostatecznym celem i tendencyą moralną opowieści. Niepodobna, mówiono, by tak wybitny myśliciel coś podobnego utrzymywał, przecież teoria taka w zastosowaniu swojem przyprowadziłaby do całkowitej zagłady rodzaju ludzkiego. Pospały się zapytania i interpelacye, na które Tolstoj w osobnym traktacie¹ to samo odpowiada, co już w opowieści w usta Pozdnychewa włożył. W „Sonacie“ Pozdnychew widzi wszystkie następstwa swojej teorii i wcale się przed niemi nie wzdryga. „Nie twierdzą — mówi — Schoppenhauer, Hartmann i buddyści że prawdziwe szczęście istnieje tylko w nicości. I nie myślą się, gdy uczą, że szczęście ludzkości zależy od jej zagłady“. „Wszystkie religie przewidują koniec ludzkości, a i podług wiedzy kres taki nieuchronny. Cóż dziwnego, że i filozofia moralna dochodzi do takich rezultatów. W innym miejscu „Sonaty“,

¹ Traktat ten umieszczony jest w następnych, licznych wydaniach „Sonaty“, jako jej posłowie.

a potem i w posłowniu trudność tę w inny także sposób rozwiązuje. Co innego, powiada, jest reguła obowiązująca i przepis, a co innego ideał. Czystość nie jest przepisem, ale ideałem, a każdy ideał o tyle tylko jest takim, o ile jego urzeczywistnienie jest tylko w idei i myśli możliwem. O utrzymanie rodzaju ludzkiego niema obawy; owszem, dążenie do tego ideału utrzymać go tylko może, ale swoją drogą zaniedbywanie tego ideału jest złem i niemoralnem. Takie jest ostatnie słowo w tej kwestyi Tołstoja — od tej chwili bezżeństwo stało się jednym z głównych jego dogmatów.

Tak po dyletancku okrojony chrystyanizm jest tylko jedną częścią składową tołstoizmu; w swoją naukę moralną wcielił Tołstoj wszystkie cierpkie doświadczenia długiego swego życia i wszystkie usposobieniu swemu odpowiadające kawałki i strzępy rozmaitych systemów filozoficznych. A więc na pierwszym miejscu stawia on ostatniemu pokoleniu, sterrowanemu przez pozytywizm, tak właściwy wstręt do wiedzy i nauki. Nie wiedza, mówi, ale wiara zapewnia szczęście; złożywszy pychę ciała i rozumu zapomnimy o znikomościach ziemi i pozbędziemy się tysiąca rozczarowań, wynikających z nadmiernych pragnień i pożądań. Wstręt ten do dzisiejszej cywilizacji tak daleko w Tołstoję się posuwa, że jako jeden z warunków szczęścia stawia za Rousseau'em usunięcie się od wielkich ognisk kultury, od miast stołecznych. Ideałem dla niego byłby powrót całkowity na łono natury, życie na wsi ciche i spokojne, zajęte pracą fizyczną przy uprawie roli. Jak wiadomo, wychodzi sam Tołstoj z plugiem na ugor, a w sięgających po kolana butach, otrząskanych nieraz najpotworniej błotem wraca z pola i wchodzi wprost bezwzględnie na posadzki salonów.

Dorzućmy jeszcze do tego *credo* zapożyczoną u socyalistów nienawiść do kapitału i nieuznawanie prawa własności, a nadto właściwą pesymistom pogardę życia, przeglądającą prawie z każdej kartki pism moralnych Tołstoja, a będziemy mieli pobieżny szkic całokształtu nowej doktryny moralnej.

Ze teorye Tołstoja wywołały tak olbrzymie wrażenie w całej Europie, a nawet pewien wpływ moralny zwłaszcza we Francyi wywarły, tłumaczy się to wpływem samej osobistości ich twórcy i mnogością sympatycznych rysów samejże doktryny. Miłość bliźniego, obojętność a nawet pewna pogarda wszystkiego, co ziemskie, cierpliwość i pokora, czystość i życie z wiary, to są najpiękniejsze klejnoty chrystyanizmu, które mu zwycięstwo nad całym światem zapewniły. Tylko u Tołstoja wszystko to jest tak prześrubowane, tak ze strony naturalnej

i czysto ludzkiej pojęte, że do wykonania i urzeczywistnienia jest zupełnie nie możliwem.

A jednak reformę tę etyczną urzeczywistnić próbowano i to pod okiem Tolstoja, we własnej jego ojczyźnie. Tolstoj sam wygłosił niejednokrotnie bardzo słuszną zasadę, że na wszystkie wewnętrzne nie-moce Rosyi, na wszystkie rewolucyjne spiski i nihilistyczne zamachy nie środki gwałtowne, ale cicha, wewnętrzna, moralna praca jedynie pomóc może. Myśl ta znalazła wkrótce wzięcie między jego zwolennikami; zaczęto krzącać się koło jej wykonania, a jako podstawę tej reformy społecznej przyjęto jego zasady moralne i socyologiczne. Po różnych zakątkach Rosyi poczęły się tworzyć przy wsiach odrębne kolonie rolnicze, z bogatym nawet nakładem przez majątniejszych Rosyan zakładane. Kolonie takie, wyposażone obficie w grunta, w porządne domy i budynki gospodarcze, zaopatrzone w cały inwentarz, we wszystkie rzeczy do codziennego życia potrzebne, a nawet i w biblioteki, oddawano zupełnie bezinteresownie do dyspozycji napływającym ludziom obojga płci ze sfer inteligentnych. Głównym celem kolonistów, zwanych dzisiaj powszechnie Tolstowcami, była praca wewnętrzna i umoralnianie się w myśl zasad Tolstoja; a więc głównie staranie się o czystość, miłość bliźniego i pogardę rzeczy ziemskich. Dla zapobieżenia lenistwu praca fizyczna przy gospodarstwie i roli była obowiązującą. Tak więc zaczęły się urzeczywistniać, lubo w bardzo ograniczonej formie marzenia rosyjskiego socyologa. Zobaczmy, jakie były następstwa.

Początkowo osiedlania się te szły wolnem tempem; niejednego szczerzego człowieka odstraszały wygórowane obowiązki, jakie były do kolonii przywiązane. Inni, śmielsi, postanowili spróbować szczęścia: jednych pod strzechę wiejskiego zacisza zapędziło przekonanie i potrzeba moralna, innych materyalna bieda, innych pociągała idylla sielskiego życia. W najlepszym swym stanie liczyły kolonie 10 do 20 osób obojga płci. Był czas pewien, w którym osady te cieszyły się dobrem powodzeniem; praca fizyczna kolonistów utrzymywała gospodarstwo całe w porządku, a porządek też i w życiu towarzyskiem panował. Stan ten jednak nie trwał długo; z głębi Rosyi zaczęły dochodzić słuchy, że w koloniach zaczyna się coś psuć, między kolonistami zaczęły się spory, rozterki, bezcelowe i długie dysputy zamiast pracy, a w końcu następował upadek tej, lub owej kolonii. Apriorystycznie, tak jak niepowodzenie to można było przewidzieć, tak też i przyczynę jego można było sobie wytłumaczyć. Ludzie pozostawieni swojej dobrej woli, ma-

jący całą mądrość życiową i całą duchową siłę czerpać z kilku błędnych wskazówek, byli z natury rzeczy wystawieni, albo na skrajną, sekciarską przesadę, albo na całkowite rozluźnienie. Tak można było przewidywać, ale o konkretnych zająściach i o rzeczywistych przyczynach upadku nie można się było nic pewnego dowiedzieć. Dopiero w roku przeszłym po pojawieniu się książki o tych koloniach p. Kryweński, zaczęła prasa nasza¹ podawać zajmujące szczegóły, które nie bez interesu będzie tu przytoczyć.

We wszystkich tych koloniach — zdaniem p. Kryweński — panował duch ciasny, sekciarski, krępujący indywidualną swobodę myślenia i uczucia, przypominający rygor moralny i przesadną surowość pierwszych wyznawców Kalwina w Szwajcaryi. Oto np. w jaki sposób członkowie jednej z takich kolonii rolniczych poszukiwali prawdy. Jednostce, samowiedzy indywidualnej — powiadali w kolonii czarnomorskiej — nie jest dana prawda. Zarówno w świecie fizycznym, jak i moralnym, głównym warunkiem powodzenia jest praca zbiorowa, towarzyskie lub społeczne współdziałanie. Myśl każda, raz wypowiedziana, raz poddana spokojnej dyskusyi, wolnej od wszelkiej zawiści i rozdrażnienia, będzie się szerzyć i wyjaśniać coraz bardziej. Im więcej ludzi stanie po jej stronie, tem bliższą jest ona prawdy i słuszności; tylko powszechna zgoda jest najlepszą gwarancją bezwzględnej prawdziwości pewnej idei. W tejże kolonii nad morzem Czarnem zaprowadzono zwyczaj spowiadania się wzajemnie ze swych myśli i uczuć. Zwróć oko w głąb swojej duszy — polecano przybyłym członkom gminy — i otwórz przed nami wszystkimi, twoimi towarzyszami i przyjaciółmi, swą duszę. Bądź najmocniej przekonany, jeżeli się w niej znajdzie choć iskierka dobrego, to my ją rozdmuchać zdołamy przyjaznym oddechem naszym, aby zajaśniała pełnym płomieniem. Najlżejszem zatem poruszeniem duszy, należało dzielić się ze swymi braćmi w koloniach.

Nie inaczej działało się w kolonii kijowskiej. Zakazywano najsurowiej wszelkiej przyjaźni lub wogóle wszelkiego przywiązania do kobiety, do rodziców, krewnych i przyjaciół. Młodszy członkowie kolonii rolniczej powinni byli spowiadać się przed starszymi ze wszystkich swych myśli, aby można się było przekonać, czy w jakimś zakątku duszy nie kryje się osobiste uczucie. Teatr, muzyka, śpiew i wogóle wszelkie przyjemności życia, nawet z kategorii najszlachetniejszych, były stanowczo wzbronione.

¹ Czas z 15 sierpnia i 14 września.

Największem powodzeniem mogła się pochlubić kolonia smoleńska, pod nazwą Szawiejewo. Założycielami jej byli dwaj bracia, ludzie zamężni, jeden z nich pracował wiele na polu naukowem, gotował się do zajęcia katedry uniwersyteckiej; drugi — długo podróżował po Europie, a w Ameryce studyował różne sekty religijne. Obaj bracia już w wieku późniejszym (starszy liczył lat 40) przystąpili do założenia kolonii rolniczej, a więc z głęboką wiarą w prawdziwość wyznawanych zasad i z całą samowiedzą tego, co czynić zamierzają. Włożywszy 14.000 rubli na zakupno gruntów, inwentarza i wystawienie budynków gospodarskich, obaj bracia pokrywali ciągle z własnej kieszeni niedobory osady. Początkowo mieszkało w niej tylko 5 osób, a w tej liczbie jedna kobieta. Później zaczęło przybywać do Szawiejewa coraz więcej młodych ludzi, aby „żyć z pracy rąk swoich“. Jednego lata było ich w kolonii 20, w równej prawie liczbie mężczyzn i kobiet. Zgromadzeni — powiada p. Kryweńko — nie doświadczali prawie trudów i dolegliwości pracy fizycznej; praca na wsi, na roli, wydawała się im urzeczywistnieniem jakiejś wymarzonej idylli; popracować trochę w miłym towarzystwie, potem zjeść obiad z apetytem, wypaść się smacznie, a w wolnych chwilach pogawędzić, podysputować lub poczytać — oto jak przeważna część mieszkańców Szawiejewa wyobrażała sobie nowe życie, wiodące wkońcu do zbawienia duszy.

Dysputy te jednak o stronie duchowo-moralnej życia ludzkiego odciągały młodzież od pracy ręcznej, gospodarstwo w Szawiejewie szło coraz gorzej, coraz nieporządniej, a deficyt rósł niepomrotnie. Jeden z kolonistów, p. S., zwrócił wkońcu uwagę na opłakany stan gospodarstwa i zaproponował, aby dla kierowania niem obrano jednego, bo gospodarstwo wymaga bezwarunkowo jednolitego kierownictwa. Wybór padł oczywiście na samego wnioskodawcę, jako najlepiej znającego się na gospodarstwie wiejskiem. Pomimo, iż p. S. dawał z siebie najlepszy wzór pracowitości, ogół nie szedł bynajmniej za jego przykładem. Pan S. zaczął tracić cierpliwość. Gdy kogoś budził rano z wezwaniem do pracy, spotykał się z następującym protestem: „To gwałt zadawany woli człowieka! czym ja wół roboczy lub parobek u szlachcica na wsi, abym miał słuchać niedorzecznych rozkazów?“ — Inny znowu oświadczał: „Nie jestem w takim usposobieniu ducha, abym mógł dziś pracować fizycznie“.

Razu pewnego zdarzył się następujący wypadek. Koszono siano powoli, opieszale, aż wkońcu, po tygodniu, skoszono je nareszcie. Siano wyszło dobrze, pogoda sprzyjała, więc trzeba je było zebrać i zwieść

do stodoły. Przy śniadaniu mówi p. S. o tem i wzywa wszystkich do rączej pracy. Ale prośba nie znajduje posłuchu: jeden idzie list pisać; drugi bierze książkę do rąk i idzie ją czytać pod rozłożystem drzewem; trzeci, narzekając na łamanie w kościach, kładzie się najspokojniej na ławce w ogrodzie, a czwarty zebrawszy koło siebie piękną połowę kolonii, zaczął dowodzić, iż życie w osadzie jest prostą niedorzecznością: zadaniem bowiem człowieka na ziemi — zbliżać się w duchu i prawdzie ku Stwórcy, a nie pracować nad produkcją chleba; wszystkie te troski o rzeczy powszednie stoją na przeszkodzie zbawieniu duszy, jak o tem można się przekonać z przypowieści o bogatym ewangelicznym młodzieńcu. W rezultacie nie było komu zebrać w porę siana, deszcz zaczął padać i siano zgniło. Przy takim usposobieniu kolonistów oczywiście, iż praca własnymi rękami, jako środek udoskolenia się moralnego, jako jedyne źródło utrzymania, zeszła na dalszy plan. Gadulstwo zajęło miejsce pracy.

Jedną z najważniejszych, najtrudniejszych do rozwiązania kwestyj, omawianych w koloniach Tolstowców, było — czy należy lub nie stawiać opór złemu. Oto obrazek z tych nieskończonych dysput na temat powyższy, przedstawionych dokładnie w książce p. Kryweński.

— Jak się będziecie zapatrywać — odezwał się M. J....cz — na moje postępowanie. Jadę z żoną i córką przez las, wśród ciemnej nocy. Na mnie napada zły człowiek z zamiarem zamordowania mnie, a wzięcia mych towarzyszek podróży żywcem do niewoli. W tym wypadku mam dwie drogi wyjścia: jeżeli jestem silniejszy od napastnika, to powalam go o ziemię, wiążę mu ręce i nogi, zostawiam go na drodze i jadę dalej; a jeżeli słabszy, to wydobywam rewolwer z kieszeni i grożę nim napastnikowi; jeżeli zaś pogroźka nie skutkuje: spuszcza kurek...

— I w jednym i w drugim wypadku postąpiłbyś nie jako chrześcijanin, lecz jako poganin.

— Zgoda, dajmy na to, w tym drugim wypadku, ale w pierwszym?

— Pan wiążesz człowieka, a więc przemocą sprzeciwiasz się złemu.

— Ależ w rezultacie mego oporu było zapobieżenie morderstwu i znieważaniu kobiet, któreby się dostały w moc napastnika.

— Pomimo tego postąpiłbyś pan, jako poganin... Co za nieszczęście, iż rozbójnik mię zabije? zabije tylko ciało moje, ale nie duszę. Jeżeli istotnie kocham bliźniego swego, to padnę przed tym rozbójnikiem na kolana i ze łzami w oczach będę błagał, aby nie gubił swej duszy; i jeżeli w tej krytycznej chwili nietyle dręczyć mię będzie

obawa o własne życie, ile troska o zbawienie duszy rozbójnika, w którym widzę bliźniego swego, to wierście mi, iż morderstwa nie będzie; rozbójnik nie podniesie ręki na człowieka, który go kocha, troszczy się o jego duszę, a nie boi się śmierci fizycznej.

Na takich to dysputach upływały członkom gminy smoleńskiej dni i tygodnie.

Nie można się zatem dziwić, jeżeli teoria niesprzeciwiania się złemu, zasłyszana przez najbliższych sąsiadów, wydała osobliwsze rezultaty, jakich wcale nie oczekiwali Tolstowcy. Pomiedzy nimi zaczął się kręcić chłopak 13-letni, bez rodziny i sposobu do życia, który przez czas pewien żył z żebranią, zanim go wkońcu nie przyjęto do kolonii rolniczej. Koloniści zaczęli go kształcić i zaszczepiać w jego umyśle swe zasady. Chłopak okazywał wiele sprytu i śmiałości. Otóż, zrozumiawszy o co chodzi, zaczął na swój sposób stosować zasady sekty. Widząc, że jego kapota zdarła się na strzępy, a u innych braci-kolonistów dobre marynarki i surduty, wstał razu pewnego wcześniej od innych, wybrał najodpowiedniejszy swej figurze surdut, a swoje łachmany gdzieś ukrył. Skoro właściciel surduta zbudził się i spostrzegł na czym grzbiecie jego mundur, wzięwszy to za żart, domagał się początkowo łagodnie zwrócenia surduta, potem z całą stanowczością, a wkońcu groził, iż zdejmie go przemocą. Młody zwolennik zasad hr. Tolstoja dawał ciągle odpowiedzi przeczące, a na groźbę odpowiedział następującym argumentem: „Jakto! chcesz wiarę swą zmieniać? Przecież powiedziano: złemu nie należy się sprzeciwiać“. Właściciel surduta zbliżył się ku pomysłowemu nowatorowi, aby zeń ściągnąć surdut przemocą, ale wnet odstąpił usłyszawszy nowy argument: „Powiedziałem już razy z dziesięć, iż nie dam; a jeżeli będziesz zdejmował, to cię palnę. Cóż mi zrobisz? Bić się tobie nie wolno“. Nareszcie wdały się w to kolonistki i zaczęły chłopcu prawić morały, przypominając mu wszystkie dobrodziejstwa, jakich doświadczył w tej kolonii. „Otóż, macie czem się chwalić:— odpowiadał na te perswazye chłopiec — napoiłszy, nakarmiliśmy! Postępować w ten sposób jest waszym obowiązkiem, ponieważ wiara wasza tego wymaga. Mówicie jednak co innego, a robicie co innego. Żał wam zrobiło się tego surduta. Nie oddam go wcale“. Na razie nie było co z nim począć i śmiałego Piotrusia zostawiono w kolonii. Wygnano go dopiero wówczas, gdy zaczął ich na dobre okradać.

Nielepiej od tego mędrca postępowali z inteligentnymi rolnikami i sąsiedni chłopci ze wsi Maszina. Przyznawali oni kolonistom wiele

zalet, jak dobroć, uprzejmość, ale od samego początku istnienia kolonii kpili sobie z ich niepraktyczności. Zasłyszawszy o ich zasadach, zaczęli przy każdej sposobności coś od nich wypraszać. Wypraszenie to stało się wkońcu codziennym objawem, zwłaszcza po odjeździe jednego z braci-założycieli osady, który uchodził za prawnego jej właściciela w oczach władzy; faktycznym zaś właścicielem była cała kolonia. Gdy właściciel odjechał, chłopci ze wsi Maszina wyobrazili sobie, iż ziemia powinna stać się ich własnością, ponieważ „u nich taka wiara, a dla zbawienia duszy, oni niczego żałować nie będą“. Nie było dnia, aby ktoś o co nie prosił; o drzewo na opał, budulec, stare wozy lub sanie, odzienie, pieniądze i t. p. Zaledwie jednego zaspokojono, wnet drzwi się otwierały i pojawiał się drugi. Wkońcu zaczęli wyludzać pomoc pod rozmaitemi pozorami: śmierci ojca, matki, córki lub brata, którzy w istocie cieszyli się najlepszym zdrowiem. Wierni głoszonym zasadom, koloniści odmawiać nie mogli, a tymczasem pozbawiali się rzeczy niezbędnych w życiu i gospodarstwie. Gdy nareszcie świeżo przybyły kolonista B. zdobył się w imieniu innych na akt odwagi i dalszych wsparć i darowizn odmówił, chłopci wleźli w nocy do mieszkania, zrewidowali biurko, szukając pieniędzy, a przy tej sposobności zabrali wszystko, co się tylko dało zabrać.

Główną przyczyną upadku tych kolonij była kwestya małżeństwa. Niejedna para młodych nie czuła tyle siły moralnej, aby stłumić w sobie wzajemność, a tymczasem trzeba się było z nią ukrywać. Ukrywać się zaś z tem uczuciem, żyć tylko życiem skrytem, fałszywem, było ciężko i niesumiennie względem towarzyszy. Po odjeździe założyciela osady, który dla tej samej racji pierwszy się usunął, spory nad tym tematem przybierały charakter coraz groźniejszy. obrońcy małżeństwa powoływali się na ten fakt, iż sam Tołstoj żyje w pożyciu małżeńskim, a nikt mu z tego nie czyni zarzutu. Nareszcie zaczęto powoływać się na Ewangelią, iż sam Chrystus nie zakazywał żenić się, ani za mąż wychodzić. Wynik dysput był taki, iż obrońcy celibatu zostali stanowczo pobici. Młodzi osadnicy zaczęli wstępować w związki małżeńskie a następnie odjeżdżać z Szawiejewa już parami. Szawiejewo stoi obecnie pustką.

* * *

Tak się skończyła jedna z próbek etycznych dnia dzisiejszego. Mogłaby Tołstojowi przyjść bardzo słusznie refleksya nad przyczynami niepowodzenia swego chrystyanizmu — zwłaszcza, że potępiony przez niego chrystyanizm, liczy już poza sobą dziewiętnaście wieków istnienia.

Nie zawadzi zwrócić przytem uwagę, że kolonie rolnicze były tylko cząstkowem wcieleniem tołstojowskiej doktryny, bo chociaż były eremami zapadłymi w głąb puszczy, to jednak musiały mieć z natury rzeczy mimowolną odnośnię do panujących stosunków, do całej dzisiejszej cywilizacji, do urządzeń państwowych i społecznych i do istniejącej władzy, bo ostatecznie nie skąd inąd, ale z tego otaczającego świata rekrutowali się Tołstowcy, i w danym wypadku do niego wrócić mogli.

Ale, gdyby ludzkość cała chciała urządzić się wedle tych socyologicznych zasad, to mielibyśmy przed oczyma arcyoryginalne widowisko. Byłyby to gromady ludzi porozrzucane po łąkach i polach, robotą fizyczną zajęte, pozostające bez żadnych ustaw karnych i nadzorów, a zrezygnowane w imię miłości bliźniego i pogardy życia na wszelkie możliwe przykrości i cierpienia. Ze zniknięciem prawa własności i wszelkich praw osobistych, zniknęłyby wszystkie dykasterye i wszystkie urzędy; nawet hierarchia duchowna nie miałaby racyi bytu, bo wiara, która byłaby jedynym celem takiego życia, jest u Tołstoja zupełnie od wszelkiej władzy i ołtarza niezależną. Kilka takich pokoleń, a ludzkość zesłaby do stanu takiej dzikości, jaką nawet napotkać trudno u nieucywilizowanych ludów Afryki, Ameryki i Australii. Na szczęście, w systemie Tołstoja, byłoby tylko jedno takie pokolenie możliwem.

Ks. J. Pawelski.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Stronica
Z PAMIĘTNIKÓW JENERAŁA CHŁAPOWSKIEGO:	
I. Wejście Francuzów do Poznania w r. 1806 .	1
II. Potyczka pod Tezewem	8
III. Obłężenie Gdańska. Dostanie się do niewoli (1806)	209
IV. Szkoła Politechniczna. Rozmowa z Kościuszką (1807)	217
V. Z kampanii roku 1808 w Hiszpanii	333
VI. Bitwa pod Aspern. Wyjątek	345
LUDY TURAJSKIE I ICH POJĘCIA RELIGIJNE. Przez ks. W. Zaborskiego T. J.	12 355
KSIĄŻĘ JAKUB KURLANDZKI I JEGO NASTĘPCY. Przez br. G. Manteuffla	34
PRZEZ SYBERYĘ. Listy z podróży. (Dok.). Przez księcia Pawła Sapiełę	53
GRÓB KRÓLA BOLESŁAWA ŚMIAŁEGO W OSSYACHU. Przez G. Smólskiego	71
ASEMITYZM. Przez ks. Maryana Morawskiego T. J. . . .	161
KOLEGIUM POLSKIE W RZYMIE. VI. Przez ks. Pawła Smolikowskiego	190 373
RADYKALI RUSCY. Przez ks. Jana Badeniego T. J.:	
I. Cele, programy, ideały	222
II. Przyczyny	230
III. Agitatorzy i agitorki	236
IV. Agitacya	258
V. Wrogowie i sojusznicy	264
VI. Co robić?	277
DWIE PRZEDSTAWICIELKI DAWNYCH DYNASTYJ. Przez Maryana Dubieckiego.	394
NOWE PROMIENIE. Przez J. Nuckowskiego T. J.	427

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

BYRON I JEGO WIEK. Studya porównawczo-literackie. M. Zdzichowski. Tom I. Europa zachodnia. (<i>Dr. Antoni M. Kurpiel</i>)	101
TATRY POD WZGLĘDEM FIZYCZNO-GEOGRAFICZNYM. Opisane przez d-ra Antoniego Rehmana. Z dwiema mapkami. (<i>H. Liński T. J.</i>)	113
BUDOWNICTWO LUDOWE NA PODHALU. Przez Władysława Matlakowskiego. (<i>M.</i>)	116
KWESTYA LENNEGO ZWIERZCHNICTWA POLSKI DO POMORZA ZA CZASÓW KAZIMIERZA WIELKIEGO. Kazimierz J. Gorzycki. (<i>L. M. Dziama</i>)	119
SŁUGA CHRYSUSOWY W SAMOTNOŚCI, czyli dziesięciodniowe reko-lekcyje. Według ks. Jana Krasseta. ROZMYŚLANIA DLA WIER-NYCH. Przez ks. Chaignon. Przekład z francuskiego. Drugie poprawne wydanie. 4 tomy. WYKŁAD TAJEMNIC RÓŻAŃCA ŚWIĘTEGO. Przez ks. Karola Ludwika Gay. Z drugiego wydania francuskiego przełożył biskup Henryk Piotr Kosowski. 2 tomy.	121
CEREMONIAŁ PARAFIALNY. Przewodnik liturgiczny dla duchowieństwa pasterstwem dusz zajętego. Napisał ks. Antoni Nowowiejski, magister św. Teol., prof. semin. duchown. w Płocku. Tom drugi. (<i>Ks. H. Pydynkowski T. J.</i>)	121
Z NAJNOWSZYCH POWIEŚCI POLSKICH. (<i>Ks. Jan Badeni T. J.</i>)	282
HISTORIA POWSZECHNA NA KLASY WYŻSZE SZKÓŁ ŚREDNICH. Wincenty Zakrzewski. Tom I. Historia starożytna. T. II. Historia wieków średnich.	438
PAMIĘTNIK I. ZJAZDU KSIĘŻY KATECHETÓW W KRAKOWIE 27, 28 29 sierpnia 1895 r. Ułożył i wydał ks. dr. Julian Bukowski	449
PASTELE. Jan Łada. (<i>K. O. B.</i>)	449
ZAWSZE ONI. Obrazy historyczne i obyczajowe z czasów Kościuski i legionów. Kajetan Suffczyński (Bodzantowicz). Tomów 2. (<i>A. S.</i>)	454

Z piśmiennictwa zagranicznego:

L'EGLISE ET LE SIÈCLE. Conférences et discours de Mgr. Ireland, archevêque de Saint Paul. Publiés par l'abbé Félix Klein. (<i>M.</i>)	123
POD JEDNYM SZTANDAREM. Almanach katolickich poetów cze-skich. (Pod jednym praporem. Almanach katolických básníků českých). (<i>T. Sopodžko</i>)	133
TREPPENWITZ DER WELTGESCHICHTE. Von W. L. Hertslet. (<i>T. W.</i>)	138
GESCHICHTE DER PÄPSTE seit dem Ausgang des Mittelalters. Mit Benutzung des päpstlichen Geheim Archives und vieler anderer Archive bearbeitet von Dr. Ludwig Pastor, ordentl. Professor der Geschichte an der Universität zu Inns-	

bruck. Dritter Band: Geschichte der Päpste im Zeitalter der Renaissance von der Wahl Innocenz' VIII. bis zum Tode Julius' II. Erste und zweite Auflage. (<i>Ks. Chotkowski</i>)	290
NOWE PIEŚNI. Wyśpiewał dr. A. Tresić Pavičić. (Nove pjesme. Spjevao dr. A. Tresić Pavičić. (<i>T. Sopodžko</i>)	296
FRACTIO PANIS. Die älteste Darstellung des eucharistischen Opfers in der „Cappella Greca“. Entdeckt und erläutert von Joseph Wilpert. Mit 17 Tafeln und 20 Abbildungen im Text. (<i>Ks. dr. Józef Bilczewski</i>)	455
Z CZESKIEJ LITERATURY KATOLICKIEJ. W Pradze w styczniu 1896 r. (<i>Dr. Józef Tumpach</i>)	459
PHILOSOPHIA MORALIS IN USUM SCHOLARUM. Auctore Victore Cathrein S. J. Editio altera aucta et emendata. (<i>Ks. J. Pawelski T. J.</i>)	469

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

STYCZEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Interpelacye rzymskie. — Odpowiedź Criespigo. — Wybory w Stupawie. — Katolicki klub ludowy. — Di Pauli, Lueger, Badeni. — Kardynał Sembratowicz. Przez <i>ks. Jana Budeniego T. J.</i>	145
ŁACIŃSKO-POLSKA PROPAGANDA WEDLE PISM ROSYJSKICH. Przez <i>H. L.</i>	155

L U T Y.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Walka kulturalna w Węgrzech. — Trzecie przykazanie Boże w Galicyi. — List o socyalizmie księdza biskupa Lobosa. Przez <i>ks. Jana Budeniego T. J.</i>	305
WYPADKI W TRANSVAALU I NASTĘPSTWA ICH W EUROPIE. Przez <i>Edmunda S. Naganowskiego</i>	314

MARZEC.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Ferdynand-apostata. — Katolickie wnioski w parlamencie i sejmie berlińskim. — Świecenie niedzieli w wojsku niemieckiem. — Masońskie rządy we Francyi. — Kardynał Ferrari o organizacyi i akcyi katolików włoskich. Przez <i>ks. Jana Budeniego T. J.</i>	471
DZIAŁALNOŚĆ KATOLIKÓW W CZECHACH NA POLU SOCYALNEM. Przez <i>Fr. P. Sadoka Wernbergera Ord. Praed.</i>	478
Z DZISIEJSZYCH PRÓBEK ETYCZNYCH. I. Tolstowcy. Przez <i>ks. J. Pawelskiego T. J.</i>	485

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. MORAWSKI T. J.